

Nowa powieść autorki *Ósmego życia*



NINO HARATISCHWILI

Coraz mniej
światła



NINO HARATISCHWILI

Coraz mniej
światła

TEUMACZENIE IRENA DĘBEK


OTWARTE
KRAKÓW 2022

*Dla
Sandro (1977–2014)*

i

*Leli (1976–2015),
kochanków z Tbilisi,*

oraz dla

Tatuli, z którą uczyłam się przyjaźni

JEDEN: MY

*Tak bardzo przywykłem do śmierci
Aż dziw, że sam jeszcze żyję.*

*Tak bardzo przywykłem do duchów
Że rozpoznaję ich ślady na śniegu.*

*Tak bardzo przywykłem do żałoby
Że topię swoje wiersze we łzach.*

*Tak bardzo przywykłem do ciemności
Że światło byłoby dla mnie udręką.*

*Tak bardzo przywykłem do śmierci
Aż dziw, że sam jeszcze żyję.*

Terenti Graneli

TBILISI, 1987

Wieczne światło połyskiwało w jej włosach. Na pewno da radę, już za chwilę pokona i tę przeszkodę, będzie napierać całym ciałem na ogrodzenie, aż siatka pod jej ciężarem zacznie stawiać coraz słabszy opór, leciutko zaskrzypi i w końcu puści. Tak, pokona tę barierę nie tylko dla siebie, ale także dla nas, swoich trzech nieodłącznych towarzyszek, utoruje nam drogę ku wielkiej przygodzie.

Na ułamek sekundy wstrzymałam oddech. Szeroko otwartymi oczami wpatrywałyśmy się w przyjaciółkę stojącą na granicy dwóch światów. Jedna stopa Diny pozostawała wciąż na chodniku przy ulicy Engelsa, druga unosiła się już nad pograżonym w ciemnościach terenem ogrodu botanicznego, zawieszona między tym, co dozwolone, a tym, co zakazane, pomiędzy dreszczykiem, jaki wywołuje nieznane, a monotonią tego, co znajome, między ryzykiem a bezpieczną drogą do domu. Dina, najodważniejsza z całej czwórki, otwierała przed nami tajemniczy świat. Tylko ona mogła umożliwić nam do niego dostęp, gdyż płoty, kraty czy siatki nie miały dla niej żadnego znaczenia. Dina, której życie w ostatnim roku tego ołowianego, chorego i ledwo dyszącego stulecia miało zakończyć się na stryczku, skleconym naprędce z linki od pierścienia gimnastycznego.

Ale tamtego wieczoru, na wiele lat przed tą nieprzeczuwaną śmiercią, rozpierało mnie jakieś przemożne uczucie, którego nie potrafiłam dokładnie zidentyfikować. Dzisiaj nazwałabym je pewnie euforią, niespodziewanym prezentem od losu, małą szczeliną, która w ohydnej codzienności, w całym tym ciężkim życiowym mozole, otwiera się nadzwyczaj rzadko i pozwala domyślać się, że za tą arcyzwyyczajnością kryje się coś więcej, jeśli tylko człowiek dopuści to coś do głosu, uwolni się od przymusu, narzuconych wzorców i zrobi ten decydujący krok. Już wtedy, nie zdając sobie do końca z tego sprawy, przeczuwałam, że ten moment na zawsze utkwi mi w pamięci i z czasem zamieni się w symbol szczęścia.

Czułam, że to jest jakaś magiczna chwila, ale nie dlatego, że wydarzyło się wtedy coś nadzwyczajnego, lecz ze względu na niezniszczalną siłę, jaką dawała nam nasza więź, wspólnota, która nie cofnie się przed żadnym wyzwaniem.

Wstrzymałam oddech i obserwowałam, jak Dina z tym swoim rozbawionym i triumfalnym wyrazem twarzy przedostaje się przez siatkę na teren ogrodu. Wtedy i ja poczułam się jak władczyni wszelakiego szczęścia i wszelkiej radości, jak królowa wszystkich śmiazków, ponieważ przez chwilę byłam nią, Diną, moją szaloną i odważną przyjaciółką Diną. Ale nie tylko ja, dwie pozostałe dziewczyny też stały się Diną, łączyło je poczucie wolności kryjące w sobie tyle obietnic, bo przecież za tymi zardzewiałymi drutami cały świat czekał tylko na to, żeby go odkryć i zawojować – świat, który pragnął lec nam u stóp.

Podeszłyśmy do starego ogrodzenia i podziwiałymy cud, którego dokonała, a ona patrzyła na nas z dumą, jakby oczekiwała oklasków i wyrazów uznania, bo przecież mimo naszych wątpliwości okazało się, że miała rację, ponieważ ten przeżarty rdzą kawałek siatki przy ulicy Engelsa był idealną śluzą, przez którą mogliśmy się przedostać i rozpocząć naszą wielką i od dawna wyczekiwaną przygodę.

– No, idziecie czy nie? – zawołała z tamtej strony, na co jedna z nas, już nie pamiętam która, przyłożyła palec wskazujący do zaciśniętych ust i szepnęła zaniepokojona: „Pst!”.

Samotna latarnia stojąca po drugiej stronie ulicy rzuciła światło na twarz Diny, na obu policzkach widać było ślady rdzy. Zrobiłam pierwszy krok, podniosłam energicznie prawą nogę, starając się pokonać strach i zdenerwowanie – trudno powiedzieć, co przeważało. Otarłam się o Dinę, która z całych sił odciągała mi siatkę, zaczepiłam włosami o jakąś poskręcaną i wystającą bez sensu drucianą pętlę, ale udało mi się z niej oswobodzić i wgramoliłam się na dziedziniec. Dina pokiwała z uznaniem głową i nagrodziła mnie szelmowskim uśmiechem. Zachęcona zaliczoną właśnie próbą odwagi zawołałam do ociągających się

dziewczyn, żeby się pospieszyły. Stałam się teraz częścią świata Diny, świata przygód i tajemnic, teraz i ja mogłam mieć na twarzy uśmiech samozadowolenia.

Wydawało mi się, że słyszę bicie serca Nene, że jego dźwięk niesie się aż po wejście do tunelu, które rozwierało się przed nami niczym szeroka ziewająca paszcza wołająca: „No, pewnie wam się zdaje, że pokonałyście już cały swój strach i zaszyście tak daleko, ale prawdziwe potworności dopiero przed wami, bo jeszcze ja tu jestem, w całej swojej ponurej betonowej krasie, z mnóstwem szczurów, że nie wspomnę o niebezpiecznych ciekach wodnych i przeraźliwych odgłosach”.

Odwróciłam wzrok od czarnej betonowej dziury i skupiłam się tylko na tym, żeby jakoś wciągnąć Nene i Irę na teren ogrodu. Zaczynający właśnie padać deszcz nie dodawał mi otuchy, mimo to starałam się rozwiewać wszelkie obawy przed czekającą nas długą drogą do właściwego celu.

Przejechał jakiś samochód. Nene skuliła się instynktownie. Dina zaczęła się śmiać.

– Pewnie myśli, że wuj już jej szuka i jak jej zaraz nie znajdzie, to wyśle za nią swoje hieny.

– Przestań ją jeszcze bardziej straszyć! – upomniała Dinę Ira, najbardziej rozsądna i pragmatyczna z całej naszej czwórki, członkini klubu szachowego w Pałacu Pionierów i laureatka przedostatniego transkaukaskiego konkursu „Co? Gdzie? Kiedy?” dla szkolnych drużyn młodzieżowych.

– Nene, chodź, zrobimy to razem! – powiedziała spokojnym, łagodnym, ale kategorycznym tonem i chwyciła Nene za drżącą, stale spoconą rękę. Potem zaczęła przepychać jej wiotki i miękki tułów przez szczelinę w siatce, którą przytrzymałyśmy z Diną.

Gdy Nene przecisnęła się w końcu na drugą stronę, Ira ruszyła za nią.

– Udało się! I co, było się czego bać, mięczaki? – krzyknęła triumfalnie Dina, po czym puściła siatkę, a ta zachręściła żałośnie i kołysząc się, zaczęła się ściągać, aż w końcu, powróciwszy do stanu pierwotnego, znieruchomiła.

– Dostaniemy burę, zobaczycie – przestrzegała Ira, ale jej głos nie brzmiał już tak kategorycznie, bo ją także ogarnęła euforia, więc starała się nie dopuszczać do siebie lęku i myśli o kłopotach, których sobie niechybnie przysporzymy tą nocną eskapadą. Potem spojrzała zamyślona w niebo, jakby szukała tam mapy przydatnej podczas czekającej nas wędrówki. Wielka kropla deszczu spadła jej na okulary.

Gdy tego dnia po południu wróciłam nieco później z korepetycji z matmy, na które nalegał mój ojciec i które, rzecz jasna, musiałam pobierać u jednego z zaprzyjaźnionych profesorów (bo wszyscy przyjaciele ojca byli albo profesorami, albo naukowcami), Dina czekała już na mnie w naszej kuchni. Pod pretekstem wspólnego odrabiania pracy domowej chciałyśmy jeszcze raz omówić nasz plan ucieczki. Ira i Nene zamierzały dołączyć do nas później, Ira miała jeszcze lekcję gry w szachy, a Nene musiała podjąć jakieś „środki ostrożności”, żeby móc wieczorem wyjść z domu.

Dina wyciągnęła z nieco sfatygowanego już plecaka ogromną latarkę, czym wprowadziła nas w lekkie osłupienie.

– Coś wam to przypomina? – zapytała, uśmiechając się szeroko. – Tak, to latarka Beso, ale jestem pewna, że nawet nie zauważy, że zniknęła, jutro od razu mu ją odniesiemy.

Beso był woźnym w naszej szkole i nie mogłam wyjść z podziwu, jak Dinie udało się mu ją wykraść. Nene zaśmiała się głośno i ruszyła pędem w stronę ciemnego tunelu, jak gdyby śmiech dodał jej energii. Wszystkie trzy spojrzałyśmy na nią zaskoczone, bo zawsze była z nas najwolniejsza. Ostrożność Nene wynikała z jej sytuacji w rodzinie, zdominowanej przez wuja, wszechwładnego i wszechobecnego tyrana, którego u nas w domu nazywaliśmy, przesłaniając usta rękami, „człowiekiem z równoległego świata”. W zasadzie lekkomyślne, wręcz naiwne i nadzwyczaj pogodne usposobienie Nene pozostawało w całkowitej sprzeczności z żelazną hierarchią panującą w jej domu, gdzie rządzą mężczyźni, a kobiety musiały bez oporu poddawać się patriarchalnej strukturze. Ale na

szczęście Nene była radosna z natury, jej siły i energii życiowej nie można było stłumić ani groźbami, ani karą.

Ira wytarła okulary o biały fartuszek będący częścią szkolnego mundurka, choć trzeba przyznać, że po sforsowaniu zardzewiałej siatki nie był już tak nieprzyzwoicie biały jak zawsze. Matka Iry codziennie go prała, krochmaliła i prasowała, a następnie starannie zawiązywała córce z tyłu niczym gorset i podczas gdy u nas kokarda w ciągu dnia się luzowała, a fartuszek przesuwiał się na bok, u Iry przez cały dzień wszystko trwało wzorowo na swoim miejscu, jakby musiała być zawsze w pogotowiu na wypadek, gdyby w szkole zjawił się nagle fotograf poszukujący idealnego dziecka na pierwszą stronę „Komsomolskiej Prawdy”.

Wreszcie Ira ruszyła za Nene. O ile dobrze sobie przypominam, Nene była jedyną osobą, dla której Ira była gotowa w mgnieniu oka porzucić swoje zdyscyplinowanie, pragmatyzm i trzeźwość umysłu. Fakt, że Ira w ogóle wzięła udział w naszej późnowieczornej i do tego bardzo nierozsądnej wyprawie do ogrodu botanicznego, też należy zawdzięczać spontanicznej decyzji Nene. Nigdy nie sądziłyśmy, że nasza przyjaciółka tak łatwo pokona strach przed rodziną, a także wrodzone niezdecydowanie, i zgodzi się na naszą propozycję. Gdy podczas długiej przerwy na szkolnym podwórku pośród wrzasków rozbieganych dzieciaków Nene obwieściła nam, że „oczywiście trzyma z nami”, spojrzaliśmy na siebie z niedowierzaniem, co sprawiło, że przez kolejnych piętnaście minut grała obrażoną księżniczkę, czyli jedną ze swoich ulubionych ról. Każda próba Iry, by odwieść przyjaciółkę od „głupiego pomysłu”, kończyła się fiaskiem, więc Irze nie pozostawało nic innego jak, zacisnąwszy zęby, również wyrazić zgodę na tę wyprawę.

Z jakiegoś zupełnie dla nas niezrozumiałego powodu Nene od samego początku wzbudzała w rozważnej Irze instynkt opiekuńczy. Zawsze trzymała silną, dyscyplinującą, ochronną rękę nad podatną na pokusy, impulsywną i sterowaną emocjami głową Nene, jakby w każdej chwili spodziewała się, że ta zrobi coś nierozważnego, a wtedy chciała być przy niej – gotowa do każdej walki. Więc teraz

pobiegła, żeby jej towarzyszyć, gdy zanurzy się w obezwładniających ciemnościach tunelu. Deszcz padał coraz mocniej. Zrzuciłam plecak na ramię i także ruszyłam biegiem przed siebie. Dina dołączyła do mnie i nie wiem dlaczego obie równocześnie zaczęłyśmy się śmiać. Może skłoniła nas do tego świadomość, że gdzieś niedaleko czeka na nas szczęście. Szczęście, które miało smak niedojrzałych śliwek, letniego deszczu pachnącego kurzem, młodszej ekscytacji i niepewności, a także wielu oprószonych cukrem pudrem przeczuć.

BRUKSELA, 2019

Niepewnie wchodzę do wytwornej sali z parkietem ułożonym w jodełkę, zostawiając za sobą wiosenne światło późnego popołudnia. W tym momencie zapalają się reflektory, wydając brzęczący dźwięk. Oświetlenie jest w porządku, stwierdzam natychmiast z ulgą. Jej zdjęcia potrzebują specjalnego światła, tajemniczego, wręcz powściągliwego, jakby lekko zawstydzonego oświetlenia, które wydobywa kunszt artystki, podkreśla zdecydowaną czerń i biel jej fotografii, ich klarowny przekaz i ewidentność, które nie potrzebują krzykliwej jaskrawości, przemawiają do odbiorcy także z półcienia i potrafią świecić w mroku. Oddycham głęboko. Jestem pod wrażeniem obu wielkich niczym hale pomieszczeń płynnie przechodzących jedno w drugie, to prawdziwa retrospektywa. Zgromadzono tu mnóstwo jej fotografii, są wśród nich te słynne i ikoniczne, ale także mniej znane i trzymane do tej pory w szufladzie. Wiszą teraz tu, w tym obcym i ciekawym wszystkim mieście pełnym secesyjnych kamienic, zatłoczonych kafejek i barów, mieście, które pełni funkcję metropolii, ale broni się przed takim wizerunkiem, zachowując w sobie coś przytulnego, coś z klimatu małego miasteczka.

Spędziłam tu przed laty wiele lekkomyślnych i beztroskich chwil. Kiedyś nawet byłam w tym budynku, szacownym i modnym Centrum Sztuk Pięknych, Norin zabrał mnie tu ze sobą, z tego, co pamiętam, byliśmy na projekcji jakiegoś odjechanego azjatyckiego filmu, podczas którego cały czas chichotaliśmy, a na koniec dnia upiliśmy się pienistym belgijskim piwem. Wspomnień z tego miasta mam tyle, że grzeją mnie od środka do dziś, takie słoneczko, które w razie potrzeby można w każdej chwili zapalić. Norin i ja pracowaliśmy wtedy w piwnicach Królewskiego Muzeum i byliśmy strasznie dumni, że możemy wykazać się umiejętnościami w tak elitarnym miejscu – powierzono nam, nowicjuszom, maski Ensora, więc nie posiadaliśmy się ze szczęścia. Po pracy korzystaliśmy z nocnego

życia miasta, które przyjmowało nas z otwartymi ramionami, opowiadaliśmy sobie różne historie i w końcu zblżyliśmy się do siebie. Kiedy to było, myślę sobie i w zadumie przemierzam puste jeszcze sale obwieszane znajomymi fotografiami. Wyglądają tu obco, jakoś inaczej, tak że zaczynam odczuwać dziwną zazdrość, jakby to miejsce odbierało mi mój boleśnie intymny stosunek do tych zdjęć, ponieważ za nieco więcej niż godzinę te dwa pomieszczenia zapełnią się grupą ekskluzywnych gości, utworzy się długa kolejka zwiedzających, wybrańcy zaproszeni na otwarcie wystawy zaczną się pozdrawiać i z zaangażowaniem prowadzić rozmowy w różnych językach, będą kosztować gruzińskiego wina i wysłuchiwać mów powitalnych. A ja zobaczę po latach dwie osoby, które – oprócz nieżyjącej fotografki, z powodu której się tu zbieramy – odcisnęły na mnie największe piętno, zniszczyły mnie, nasyciły moje dni szczęściem i nieszczęściem. Dwie kobiety, dziś już w średnim wieku, których nie widziałam od lat, a które mimo to snują się za mną jak cień, niezależnie od tego, dokąd zmierzam.

Wciąż wędruję od zdjęcia do zdjęcia, usiłuję jednak nie nawiązywać z nimi zbyt bliskiego kontaktu wzrokowego, żeby twarze z przeszłości tylko przelotnie migają mi przed oczyma. Staram się im umknąć, właściwie to mogłabym jeszcze stąd wyjść, uciec, tak, może rzeczywiście powinnam zrobić w tył zwrot, może to był błąd, że w ogóle tu przyszłam, akt, który najwyraźniej wymaga ode mnie zbyt wiele, przekracza moje siły. Każdy to zrozumie. Wyjaśnię to Anano, która zwołała tutaj nas wszystkie i nie chciała słyszeć o żadnej odmowie, która nakłoniła mnie to tego, żeby wsiąść do samolotu i przylecieć tu, do Brukseli, załatwiła mi wejściówkę dla VIP-ów, dzięki czemu mogłam wejść do tej sali jako *special guest* na godzinę przed otwarciem wystawy. Która zaklinała mnie przez telefon: „Musisz przyjechać. Wszystkie trzy musicie tu być, nie przyjmuję do wiadomości żadnych wymówek”. Może mogłabym jeszcze opuścić ten wernisaż, cofnąć film, bo nie jestem pewna, czy to wszystko, co tego wieczoru runie na mnie jak lawina, zniosę bez szwanku. Tak długo walczyłam o swoje poczucie bezpieczeństwa, wręcz z wojskową dyscypliną wybijałam sobie z głowy przeszłość, a teraz idę przez te

muzealne sale, moje kroki odbijają się subtelnym echem, przemierzam ponadwymiarowe wytworne przestrzenie i robię wszystko, żeby odpędzić wspomnienia, które rzucają się na mnie jak wygłodniałe małpy.

Ale czy nie przyjechałam tutaj, żeby uszanować jej ostatnią wolę? A to oznacza, że muszę stawić temu wszystkiemu czoła. Nie tylko ja to wiem, one obie też to wiedzą i dlatego zjawiamy się tutaj, mimo resentymentów i wątpliwości, i nie zważamy na to, co było. Jesteśmy to winne jej i sobie nawzajem, musimy jakoś znieść to ponowne spotkanie i wszystkich, którzy kiedyś byli z nami. Którzy teraz patrzą na nas ze ścian i żądają ofiary. Czy również dlatego przyjeżdżamy tu same? Nie wiem tego, lecz zakładam, że każda z nas przyleciała do Brukseli bez osób towarzyszących – bez swoich partnerów, bez dzieci, bez przyjaciół, którzy mogliby nasze spotkanie po latach uczynić łatwiejszym.

Na razie jednak jestem tu sama, jeszcze mogłabym uciec. Nawet jeśli bym to zrobiła, to co? Niech sobie strzępią języki z powodu tego tchórzostwa, proszę bardzo, jakie to ma znaczenie? Skoro byłby to mój jedyny ratunek. Nagle zatrzymuję wzrok na małoformatowym zdjęciu w prostej ramie pod intrygująco cienką świetlówką. Dlaczego ta fotografia wisi samotnie na wielkiej ścianie jak sierota? Inne, jeśli dobrze widzę, wiszą seriami, ale ta tutaj stanowi wyjątek i im bardziej się do niej zbliżam, tym lepiej pojmuję jej funkcję: to jedyne zdjęcie, które wprawdzie przedstawia artystkę, ale nie zostało wykonane przez nią samą. Inne fotografie, na których widnieje, są bez wyjątku autoportretami, to artystycznie ambitne, prowokujące, obnażające aż do granic wytrzymałości ujęcia, które w swego rodzaju wiwisekcji wyciągają na wierzch głęboko ukryte wnętrza. Takich zdjęć będzie tutaj niemało, jestem tego pewna. Ale w przypadku tego stosunkowo małego obrazu nie chodzi o dzieło sztuki, nawet jako zdjęcie amatorskie trudno uznać je za udane, ale jest w nim coś, co wywołuje na plecach dreszcz i sprawia, że na chwilę wstrzymuję oddech.

Fotografia przedstawia naszą czwórkę, pokazuje tę wersję nas, z której się wywodzimy, coś w rodzaju źródła, jaja, z którego razem się wyklułyśmy. Stoimy u progu życia, na początku naszej przyjaźni, która tak wiele będzie nas kosztować,

ale jeszcze nic o tym nie wiemy, jeszcze nie znamy tej karty, którą przydzielili nam życie, ta partyjka jeszcze się nie zaczęła, jeszcze możemy być wolne, możemy wszystkiego pragnąć i o wszystkim marzyć.

To zdjęcie, które ma służyć jako swego rodzaju prolog wystawy, nie nosi tak typowego dla niej chwytliwego tytułu, jest opatrzone jedynie informacją o miejscu i roku wykonania: „Tbilisi, 1987”. Stoję jak zahipnotyzowana, nie jestem w stanie ruszyć się z miejsca, a obrazy zaczynają zalewać mi głowę, nie mam wyjścia, muszę poddać się ich nurtowi, nie ma sensu walczyć z czymś, co jest jak żywioł. Czuję się bezradna, znów jestem dzieckiem, jestem tą dziewczynką, która patrzy teraz na mnie ze zdjęcia. Im dłużej przyglądam się czarno-białej odbitce, stojąc sama ze sobą w majestatycznej sali, tym bardziej jestem pewna, że chodzi dokładnie o ten dzień, gdy włamałyśmy się do ogrodu botanicznego, o ten wyjątkowy moment, w którym po raz pierwszy w życiu poczułam się szczęśliwa, czułam szczęście na wewnętrznych stronach dłoni, pod kolanami, w pępku i na rękach. Dziwię się tylko, dlaczego akurat to zdjęcie zostało wybrane jako symboliczny początek. Anano, siostra artystki zarządzająca jej spuścizną, jest konsultantką tej wystawy, o czym miesiąc temu osobiście poinformowała mnie z dumą przez telefon. To ona musiała podjąć tę decyzję. Czyżby wiedziała o wyjątkowości tego dnia? Czy siostra opowiedziała jej o wszystkim?

Równie dziwny wydaje mi się fakt, że ta fotografia, jak sobie teraz przypominam, została wykonana u nas w domu, i to przez mojego ojca, który właściwie nigdy nie robił nam zdjęć, co najwyżej zabierał mnie i brata na obowiązkowe sesje do zakładu fotograficznego. Jednak tamtego dnia z jakiegoś powodu zastał nas w kuchni i od razu chwycił za aparat fotograficzny. Ale nie po znienawidzoną leicę mamy, leica leżała jeszcze wtedy w swojej ciemnej kryjówce u ojca w pokoju, to był pewnie lubitel albo smiena*, stary aparat moich babć, w którym akurat przypadkowo znajdował się film. Zdjęcie przedstawia nas, cztery dziewczyny w tamto popołudnie, gdy po szkole planujemy swoją przygodę i pochylone nad stołem siedzimy pochłonięte rozmową, niezwykle skoncentrowane, niektóre z nas lekko przestraszone, natomiast Dina w euforii,

gotowa na wielką wyprawę, na wielką próbę odwagi. Ojca pewnie tak rozbawił nasz widok, że uznał za stosowne przerwać swoją ukochaną pracę i pójść po aparat.

Ira była zbyt rozsądna, żeby coś takiego mogło jej przyjść do głowy, Nene zbyt ostrożna, nawet jeśli w szkole nie robiła niczego innego, tylko marzyła całymi godzinami – o wolności i wszystkim, co mogłaby z nią zrobić, ale przede wszystkim o miłości, przesadnie romantycznej, przelukrowanej, skażonej filmami, takiej, od której aż zapiera dech. Nie miałam w sobie nic z tych rzeczy, a jednak miotalam się pomiędzy pędem ku wolności, takim jak u Diny, rozsądkiem Iry i marzycielstwem Nene i dlatego już od samego początku przypadła mi w tej konstelacji rola rozjemczyni, mediatorce, tak jakby moim przeznaczeniem było dbać o równowagę w naszej przyjaźni.

To Dina uknuła ten plan, nasza połykaczka ognia, jak ją czasem nazywałam, dziewczyna z największą liczbą nagan w szkole, która każdą karę nakładaną przez dorosłych za przekraczanie granic przyjmowała z przymrużeniem oka. Nie obchodziły jej upomnienia, wywiadówki, na których matka była wystawiona na pogardliwe spojrzenia innych rodziców i musiała znosić niezadowolenie i ciężkie westchnienia wychowawczyni. Te kary pochodziły ze świata, który konsekwentnie dzielił ludzi na posłusznych i rebeliantów, na sprytnych i głupich, na dobrych i złych, na konformistów i outsiderów. W świecie Diny takie kategorie nie istniały. W jej świecie były tylko takie pojęcia jak „ekscytujący” i „nudny”, „ciekawyy” i „nieciekawyy”, „niezwykły” i „zwyčajny”. A jeśli ktoś chciałby ją naprawdę ukarać, powinien był dostosować się do jej kryteriów i znaleźć coś, co przystawało do jej kategorii. Na szczęście nikt z dorosłych nie miał, jak się zdaje, wstępu do jej świata, więc nikt nie mógł jej niczego zrobić. Fakt, że Dina skończyła szkołę ze względnie przyzwoitym świadectwem, należało, jak przypuszczam, zawdzięczać wyłącznie współczuciu, jakie dyrektorka okazywała matce Diny ze względu na fakt, że samotnie wychowuje swoje córki.

Nic nie mogło ujść uwadze tej dziewczyny, ciekawość była jej napędem, kompasem, którym niezawodnie się kierowała. Musiała poznać i zbadać wszystko,

co rozpalało jej wyobraźnię, co było obce i pociągające, każda granica istniała tylko po to, żeby ją przekraczać, a każda bariera – żeby ją przełamywać. Siła, jaka w niej wówczas wzbierała, była jak huragan, nie sposób było jej się oprzeć, porywała nas ze sobą niczym trąba powietrzna w dalekim Kansas, która przeniosła Dorotę i Toto do kraju Manczkinów – co ciekawe była to jedna z nielicznych powieści dla dzieci, której nie uznano u nas za „kapitalistyczny szmatławiec” i dzięki temu mogliśmy się z nią zapoznać.

Ale najmniej odporna na działanie huraganowej siły Diny byłam ja. Byłam najwierniejszym członkiem jej świty, najbardziej lojalną towarzyszką. Powędrowałabym za nią do każdej zaczarowanej krainy, choćby i do Oz, a nawet jeszcze dalej. Od dnia, gdy się poznałyśmy, niezwykle mnie do siebie przyciągała, zaraziła mnie swoją ciekawością, zachorowałam na nią. Nie to, żeby mnie samej brakowało energii lub ciekawości poznawczej albo żebym była szczególnie ułożona i posłuszna, co to, to nie, ja też miałam całkiem żywą wyobraźnię. Ale wyprawy badawcze Diny prowadziły znacznie dalej niż cel, do którego ja sama miałabym odwagę wyruszyć. Jak na przykład ta wyprawa do ogrodu botanicznego.

Śmiejąc się, pędziłyśmy przez tunel, światło latarki Diny migotało epileptycznie w ciemnościach, a nasze cienie tańczyły pokracznie na pokrytych wilgocią betonowych ścianach. Tunel uchodził wśród tbiliskich dzieci za optymalne tło wszelkich mrozących krew w żyłach opowieści, został podobno wybudowany podczas drugiej wojny światowej z przeznaczeniem na schron, gdy okazało się, że faszyci dotarli pod Elbrus. Wydawał się nieskończenie długi, ale przecież nasze gołe nogi już raz pokonały strach, a teraz echo naszych głosów odpowiadało nam i utwierdzało w przekonaniu o słuszności naszych zamiarów, grunt, to się nie zatrzymywać, żeby ciemność i przerażające odgłosy ponownie nie napędziły nam strachu. Nene była najbardziej podekscytowana i jednocześnie zdumiona własną odwagą, co chwilę wybuchała piskliwym i zaraźliwym śmiechem, który rozchodził się po całym tunelu i zdawał się ożywiać tę bezkresną pustkę. Jej śmiech nas niósł, biegłyśmy coraz szybciej, coraz swobodniej,

z poczuciem coraz większej wolności, aż zdyszane, spocone i dumne dotarliśmy do wyjścia i wpadliśmy w objęcia letniej ulewy.

Krople deszczu były tak wielkie, że nasze mundurki, fartuszki i włosy przemokły w mgnieniu oka, ale było ciepło, więc nic sobie z tego nie robiłyśmy, chroniły nas niespodziewanie gorący maj i własna odwaga. Nene padła na ziemię i próbowała złapać oddech. Ira pochyliła się i wsparła ręce na kolanach, a ja oparłam się plecami o mokre wyjście z tunelu i oddychałam głęboko. Ale Dina nie zatrzymywała się, jakby miała niewyczerpane zapasy tlenu, jakby jej płuca były stworzone do zawrotnych prędkości i niekończących się dróg. Rozpostarła szeroko ramiona i rzuciła się w morze deszczu, zieleni, ciepłego powietrza i muzyki wodospadu, docierającej już do naszych uszu.

– Chodźcie, jesteście prawie na miejscu, no, chodźcie wreszcie! – krzyczała do nas i przejechała światłem latarki po naszych twarzach.

– Zaczekaj, muszę chwilę... muszę chwilę... – Nene dyszała, a Ira kręciła głową, jakby po raz kolejny zdenerwował ją brak rozsądku u koleżanki, bo zdecydowała się tutaj przyjść, ignorując wszelkie niebezpieczeństwo.

Nasz cel stanowił mały wodospad znajdujący się pośrodku ogrodu. Jeziorko u jego stóp było wystarczająco głębokie, żeby skakać do niego ze skały, dlatego latem w ciągu dnia można tam było obserwować chłopaków z sąsiedztwa wywijających po mistrzowsku salta. Do tej pory zawsze tylko przyglądałyśmy się im z zazdrością, bo albo byłyśmy w ogrodzie botanicznym z nauczycielami na szkolnej wycieczce, albo pani kasjerka pilnowała, żeby nikomu nic takiego nie strzeliło do głowy, gdyż mogłoby to ją kosztować posadę.

Gdy odzyskałyśmy oddech, ruszyłyśmy, tym razem raczej rozważnie, w kierunku wodospadu, przedzierając się przez gęsto porośnięty ogród oświetlany blaskiem księżyca. Deszcz spływał nam po twarzach, włosach, ubraniach i torbach, z każdym krokiem zostawiałyśmy za sobą jakby małą kałużę. Przed sobą widziałyśmy rozbłyskujące co chwilę światło latarki Diny, od czasu do czasu słychać było jej okrzyk radości, jakby wciąż namawiała nas, przekonywała do tego, żeby naprawdę zrobić jeszcze tych kilka ostatnich kroków do wspólnego celu i nie

zawracać w ostatniej chwili. Ira wzięła Nene za rękę, bo ta nagle zaczęła wyglądać na zmęczoną i przestraszoną, jakby z chwilą, gdy wyszła z ciemnego tunelu, opuściła ją cała odwaga. Szły obok siebie jak dwie staruszki. Sposób, w jaki Ira podtrzymywała Nene, niesamowicie mnie wzruszał – jak ona na nią uważała, patrzyła, żeby idąc na miękkich nogach, nie potknęła się, chroniła jej delikatne ręce, żeby nie zadrapała ich jakaś wystająca gałąź, zwracała uwagę na jej drobną różowawą zgrabną sylwetkę, skórę delikatną jak u niemowlaka, zarysowujące się już pod mundurkiem piersi; Ira i ja byliśmy chyba ostatnimi płaskimi dziewczynami, natomiast Dina i Nene zaczęły się już zmieniać. Dina w ogóle się tym nie przejmowała, była zdumiewająco obojętna, za to Nene, ze swoim pięknym pszeniczożółtym warkoczem, wilgotnymi jasnoblękitnymi oczami, które stawały się jeszcze bardziej łzawe, gdy wpadała w sentymentalny nastrój, przyjmowała swoją przemianę z wyraźną dumą i cieszyła się, że wkrótce stanie się kobietą. Przystanęłam na chwilę, dałam się wyprzedzić, żeby móc je podziwiać, nie zakłócając ich bliskości. Doszliśmy do polany, krzaki przeszły w kwiecistą łąkę, a po lewej stronie naszym oczom ukazało się małe jezioro, tworzone latami przez wodospad, słychać było nieprzerwany szum, a strumienie wody spadające z góry zatrzymywały się na dole, jakby zapuszczały tam korzenie.

Rozejrzałam się za Diną, jej latarka i plecak leżały na brzegu, ale po niej samej nie było śladu. Zawołałam ją, ale szum wodospadu mnie zagłuszył. Ira przyłączyła się do mnie. Wołałyśmy i wołałyśmy, aż nagle z góry dobiegł nas pisk Diny. Podniosłyśmy wzrok. Mimo deszczu i ciemności zdołała wdrapać się na skałę. Stała nad wodospadem, jakby właśnie udało się jej go ujarzmić, jak gdyby właśnie została niekwestionowaną władczynią tego miejsca.

– Jak ona się tam wdrapała? – wypaliła Nene, a Ira pokręciła znacząco głową.

Natomiast ja patrzyłam do góry i czułam spokój, bo wiedziałam, że jeśli jej się udało, to ja też dam radę, poza tym doprowadziła nas do celu, więc dopóki będzie w pobliżu, nie muszę się niczego bać.

– No chodźcie! – wrzasnęła, zakłócając nocną ciszę.

Zaczęłam zdejmować lepiące się do ciała ubranie, kompletnie przemoczone skarpetki i buty. W białych bawełnianych majtkach z napisem „Freitag”**, jednych z „tygodniowego zestawu”, które ojciec przywiózł mi kiedyś w prezencie ze swojej podróży na kongres w Warszawie czy Pradze, a może w Sofii, podniosłam bezsensownie świecącą latarkę i wcisnęłam ją Irze do ręki, poprosiłam, żeby mi oświetlała drogę, i przystąpiłam do wspinaczki w tych głupich majtkach, których napis nigdy nie pasował do właściwego dnia tygodnia.

Małe kamienie wbijały mi się w stopy, co było bolesne, ale ja miałam przed oczami tylko rozpostarte ramiona Diny, stojącej tam na górze i czekającej na mnie. Torowałam sobie jakąś drogę, przytrzymując się gałęzi albo wystających skał podciągałam się do góry. Kilka razy osunęłam się i wtedy serce zamierało mi ze strachu, ale szybko zbierałam się w sobie i dalej parłam do góry. Strumień światła latarki tylko sporadycznie trafiał w te miejsca, w których akurat stawiałam stopy. Czułam na sobie zaniepokojone spojrzenia Iry i Nene, siliłam się, żeby wyglądało tak, jakby wspinaczka przychodziła mi bez najmniejszego trudu. A potem zobaczyłam rękę Diny i chwyciłam ją uradowana. Podciągnęła mnie i po chwili stałyśmy obok siebie. Jeszcze podczas mojego wdrapywania się Dina zdjęła mundurek oraz buty i teraz, śmiejąc się, rzuciła wszystko na dół.

– Gotowa? – spytała i mocniej ścisnęła mnie za rękę.

Wyprostowałam się, stanęłam z nią ramię w ramię – małe sterczące piersi z niemal bezbarwnymi sutkami wyglądały jak jakieś obce ciała na jej tak poza tym dobrze znanym mi tułowiu. Skinęłam głową i zrobiłam krok do przodu. Nie patrzyłam w dół. Spojrzałam w górę. Niebo było czarne, ale rozpoznałam Wielki Wóz, o którym ojciec tak chętnie opowiadał mi różne historie. Gwiazdy zdawały się patrzeć przychylnie na nasze przedsięwzięcie. Pociągnęłam Dinę za rękę, poruszając palcami u stóp, przesunęłyśmy się po nierównej skale kawałek do przodu, ponownie spojrzałyśmy na siebie, jeszcze mocniej zacisnęłyśmy dłonie i wzbiliśmy się do góry, by po chwili runąć w dół.

Otrząsam się przestraszona, ktoś stuka mnie w ramię. Nawet nie usłyszałam, że idzie. Czuję się jak wyrwana z głębokiego snu. Przed sobą widzę zdjęcie, potrzebuję chwili, żeby oddzielić myśli od wspomnień: tak, to jest to popołudnie przed skokiem do wodospadu. Przed moim skokiem w wolność. Preludium do tego.

– Nie wierzę własnym oczom... Przyjechałaś!

Anano rzuca mi się na szyję, a ja do końca nie wiem, w której epoce zostałam przyłapana, czy może wiszę gdzieś pomiędzy czasami lub jestem we wszystkich równocześnie. Wygląda wspaniale. Taka szczęśliwa, promienna, w prostej granatowej letniej sukience, która równie dobrze mogłaby należeć do jej matki – ona i jej starsza córka bardzo często nosiły te proste kopertowe sukienki i zawsze wyglądały w nich jak cesarzowe. W uszach ma duże złote kółka, na ustach trochę błyszczyku, proste baleriny na nogach, wokół oczu widać kilka drobnych zmarszczek mimicznych, w burzę brązowych włosów zaplątało się trochę siwizny, ale wciąż wygląda niezwykle słodko i powabnie, jest wiecznie młodą dziewczyną, a może to tylko mój punkt widzenia, może dla mnie już na zawsze zostanie młodszą siostrą Diny. W każdym razie jestem w tym momencie nią oczarowana, zastanawiam się, kiedy widziałam ją ostatni raz. Wiem, że wyszła za męża za jakiegoś zamożnego faceta, który dorobił się w Gruzji na świetnie rozwijającej się branży budowlanej, i że ma dwoje dzieci, mieszka w jakimś domu na przedmieściach Tbilisi i zajmuje się ogrodem – tak przynajmniej mówiła mi przez telefon jej matka. Doskonale ją sobie wyobrażam w takiej scenerii, jako szczęśliwą kobietę, matkę, małżonkę wiodącą pogodne i beztrudne życie, otoczoną morzem kwiatów. Prowadzi galerię w mieście, wspiera młodych artystów i od kiedy matka nie ma już na to siły, opiekuje się spuścizną siostry. Anano, najjaśniejsza postać w całej rodzinie, największa optymistka, najmniej poobijana z nich wszystkich. Los podarował jej to, co odebrał innym członkom rodziny, a więc miłość, opiekę, możliwości, wiarę w przyszłość i sprawiedliwość. Ona to wszystko dostała: perspektywy, normalność i spokój.

Potrzebuję trochę czasu, żeby przyzwycząć się do myśli, że to właśnie ona opiekuje się dorobkiem Diny, tą bezlitosną bielą i czernią dzieł siostry. Radykalność spojrzenia Diny i jej osobowości stanowią ogromny kontrast do łagodnej natury Anano. Ma w sobie dużo wyczucia i intuicję, ale woli polegać na kuratorach, na ekspertach w tej dziedzinie i trzyma się dyskretnie na drugim planie. To także wiem od jej matki i w tym momencie naprawdę szczerze się cieszę, że ma teraz swoje pięć minut, które za chwilę obwieści dzwonek i podczas których będzie odbierać wyrazy uznania w zastępstwie siostry. Chętnie zatrzymałabym ją w ramionach na dłużej, ale puszczam ją, widzę, że cieszy się z naszego spotkania nie mniej niż ja, stara się tłumić narastające w niej wzruszenie, sentymentalność, która tak bardzo odróżnia ją od siostry. Zatrzymuję jej dłoń w swojej.

– O Boże, nie wierzę! To niesamowite, że wszyscy spotykamy się akurat w Brukseli. Oblęd! Deda prosiła, żeby cię koniecznie ucałować. Na pewno słyszałaś, że akurat teraz, przed wystawą, złamała nogę i nie może tu być. A ta wystawa, Keto, mówię ci, to istne szaleństwo. Przygotowywaliśmy ją ponad dwa lata, jestem taka szczęśliwa, że w końcu udało się ją otworzyć. Co za ulga! Poprosiłam też Irę i Nene, żeby przyszły trochę wcześniej. Może zanim to wszystko oficjalnie ruszy, uda nam się trochę porozmawiać, ale nie wiem dokładnie, kiedy się zjawią. Poza tym później mamy wielkie party. Żeby mi żadnej z was nie przyszło do głowy zrywać się wcześniej. W ogrodzie będą naprawdę świetne drinki i muzyka. Myślę, że nie może tak być, że najpierw organizujemy jej retrospektywną wystawę, a potem nie chcemy tego uczcić tak, jakby jutra miało nie być...

– Tak, masz rację – odpowiadam i próbuję oprzeć się pokusie, by ponownie rzucić okiem na zdjęcie naszej czwórki.

Anano zauważyła to i się śmieje.

– Czyż nie jest urocze? Długo się nad tym zastanawiałam, które z waszych zdjęć powinnam wziąć, i wtedy... Uważam, że ta fotografia wspaniale oddaje waszą czwórkę, tak mi się wydaje.

– Zrobił je mój ojciec. Wiesz, to był szczególny dzień... Skąd je masz?

– No, od ciebie, chyba dałaś je kiedyś Dinie.

Ale zanim jestem w stanie cokolwiek z siebie wydusić, wykrzykuje rozentuzjasmowana, że musi mnie koniecznie przedstawić kuratorom wystawy, i ciągnie mnie za rękę przez wielką halę, która powoli zaczyna zapełniać się gośćmi.

Zbliżamy się do wysokiej Gruzinki w czarnym eleganckim kombinezonie i do niepozornego mężczyzny z lekką łysiną, w okularach w rogowej oprawce. Witają się ze mną z przesadną serdecznością.

– Keto Kipiani we własnej osobie! – woła po angielsku przysadzisty mężczyzna i wyciąga do mnie rękę.

Gruzinka wita mnie po gruzińsku i całuje lekkim muśnięciem w oba policzki.

– A więc teraz możemy zobaczyć panią na żywo, ale trzeba przyznać, że dzięki tym licznym zdjęciom pani i koleżanek ma się wrażenie, że już się was trochę zna – dodaje Gruzinka, tym razem po angielsku.

– No właśnie! – potwierdza mężczyzna.

– To Thea i Mark, bohaterowie tej retrospektywy – wyjaśnia Anano, szeroko się uśmiechając. – Mark jest uznanym na świecie specjalistą od fotografii i dyrektorem Muzeum Fotografii w Rotterdamie, a Thea renomowaną historyczką sztuki, specjalistką od Europy Wschodniej. Powołała do życia wspaniałą Festiwal Fotografii w Tbilisi, musisz to koniecznie zobaczyć.

Anano wczuwa się w rolę gospodyni i najwyraźniej dba o to, by każdy czuł się co najmniej tak dobrze jak ona. Uśmiecham się nieco zakłopotana i potakuję uprzejmie głową. To zdanie wypowiedziane przez Gruzinkę wzmacnia moją czujność: „...dzięki tym licznym zdjęciom pani i koleżanek ma się wrażenie, że już się was trochę zna...”.

To jasne, cała nasza czwórka jest tu wyeksponowana aż nadto. Muszę się przygotować na spotkanie z niezliczonymi odcieniami samej siebie, kolejnymi stadiami własnego rozwoju. Muszę się przygotować na objęcia przeszłości. Muszę się przygotować na spojrzenia w nieme oczy umarłych.

Znowu odczuwam potrzebę ucieczki, znów spoglądam nerwowo w stronę wyjścia. Jeszcze jest czas, jeszcze mogę pobiec do hotelu, wziąć swoją walizeczkę i pojechać najbliższym pociągiem na lotnisko, wsiąść do samolotu, wrócić do domu, do swojej niewielkiej oazy schowanej na uboczu, usiąść w ogrodzie pełnym kwitnących kwiatów, otworzyć wino i uciec od tego wszystkiego, umknąć przed wzbierającym huraganem i się uchronić.

Ale nagle słyszę za sobą jej kroki, jeszcze jej nie widzę, ale wiem, że to Ira. Jest teraz inną kobietą, innym człowiekiem, być może to ona z całej naszej czwórki przeszła najbardziej spektakularną metamorfozę, ale jej kroki wciąż są takie same, głośne, rytmiczne i ciężkie, zapowiada nimi swoje nadejście i jednocześnie nadaje rytm.

Wydaje mi się jeszcze wyższa od Iry z moich wspomnień, jej dziecięca sylwetka nie zapowiadała wtedy tak wysokiego wzrostu, oboje rodzice byli raczej niscy, więc jej wygląd zdumiewa mnie za każdym razem, gdy widzimy się po dłuższej przerwie. Włożyła dzisiaj doskonale dopasowany garnitur w prążki, świetnie podkreślający jej androgyniczność. Z powodu upału zdjęła marynarkę i przewiesiła ją przez rękę. Biały opinający ciało T-shirt uwydatnia wysportowaną sylwetkę i imponujące bicepsy. Dawniej zawsze twierdziła, że sport to głupia strata czasu, ale lata spędzone w Stanach Zjednoczonych zrobiły swoje, uzależniła się od fitnessu i widać wyraźnie, że do dziś inwestuje mnóstwo czasu, żeby fizycznie w niczym nie ustępować własnemu intelektowi. Podoba mi się jej fryzura. Odkryła ją dla siebie kilka lat temu. Odtamtąd stanowi jej znak rozpoznawczy, obok ekstrawaganckich garniturów w różnych kolorach od znanych projektantów, które nosi niczym mundur. Jej krótki bob jest z lewej strony wyraźnie krótszy niż z prawej, zaś tył głowy jest podgolony. Jak należałoby się spodziewać, nie ma na sobie biżuterii, jedynie usta podkreśliła nieco błyszczącym. Z gracją ciągnie za sobą po parkiecie małą aluminiową walizkę, podchodzi do nas pewnym krokiem i rozpościera ramiona. Przy czym najpierw przytula Anano, następnie przedstawia się kuratorom, wita się z nimi, a potem obejmuje mnie. Cała trójka usuwa się teraz dyskretnie i zostawia nas same. Stoimy przez chwilę w objęciach. Uderzają mnie

w nozdrza jej męskie perfumy, świetnie do niej pasują, i po raz pierwszy, od kiedy przekroczyłam próg tego budynku, czuję się dobrze i bezpiecznie, z twarzą wtuloną w jej szyję. W ogóle po niej nie widać, że jest zdenerwowana, a zakładam, że jest. Jak zawsze podziwiam jej pewność siebie, to wrażenie kobiety sukcesu, z trudem wypracowane w pełnym zwycięstw adwokackim życiu. Trudno u niej dostrzec, zupełnie inaczej niż u mnie, jakiegokolwiek uczucie dyskomfortu z powodu powrotu do dawno wypędzonej z pamięci przeszłości.

– Tak się cieszę... – mówi cicho i słyszę, że jej głos po raz pierwszy trochę się łamie, jakby jej pewność siebie nieco się zachwiała, co daje mi poczucie satysfakcji, bo nie jestem już całkiem sama ze swoim zdenerwowaniem i przerażeniem przed czekającą mnie konfrontacją z tymi wszystkimi fotografiami, przed ekspozycją siebie samej i obnażeniem na oczach setek ludzi żądnych sensacji.

– Cieszę się, że przyszłaś. Sama bym tego nie zniosła – mówię i dziwię się sobie, że używam takich słów.

– Damy radę. To ważny dzień dla nas wszystkich.

– Nene też przyjdzie?

Nie chce mi się wierzyć, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, wejdzie za kilka minut do sali i razem z nami podda się temu eksperymentowi. Nene, która z naszej czwórki zapłaciła być może najwyższą cenę, wystawiona do wiatru i wielokrotnie zdradzona, unikała przez lata jakiegokolwiek kontaktu z Irawą. A teraz miała zostawić to wszystko za sobą i wsiąść tak po prostu do samolotu? Nie wierzę w to do ostatniej chwili.

– Przyjdzie. Jestem pewna – mówi Ira, jak zwykle pełna optymizmu, i robi mały krok do tyłu. – Pokaż się. Dobrze wyglądasz.

– Daj spokój, ostatniej nocy prawie w ogóle nie spałam. Nie mogę nic jeść i czuję się wykończona, nie wiem, jak ja ten wieczór...

– Przestań, nie wygłupiaj się!

To lapidarne upomnienie trochę mnie irytuje. Ale to dla niej typowe: jest przyzwyczajona do wydawania rozkazów, do manipulowania, do uzyskiwania pożądaných wyroków.

– Nie wygłupiam się, źle się z tym wszystkim czuję.

– Tak mi przykro – odpowiada i patrzy mi prosto w oczy. – Wiem, że dla ciebie to szczególnie trudne. Ja też się denerwuję. Wiadomo... to jest jak do tej pory największa wystawa i wszyscy tu przyjdą. Ale rozumiesz, że trzymanie się od tego z daleka byłoby niewybaczalne. Nigdy byś sobie tego nie wybaczyła. Ja tobie zresztą też nie. – Puszczą do mnie oko.

– Wiedziałaś, że my też stanowimy część tej wystawy? – dopytuję.

– No jasne, nie sądziłaś chyba, że ze względu na jakąś głupią poprawność wyrzucą część zdjęć, na których nas widać?

Podejście Iry i Nene do naszych portretów zawsze różniło się od mojego. Nieco ekshibicjonistycznie usposobiona Nene i Ira ze swoim wybujałym ego najwyraźniej są dumne z tego, że stały się częścią dzieł sztuki i zostały uwiecznione na tych czarno-białych fotografiach. W przeciwieństwie do mnie odwiedzały też inne wystawy w Gruzji albo za granicą, bardzo pilnując, żeby się nie spotkać. Nene wygłosiła nawet w kilku miejscach jakąś mowę i udzieliła kilku wywiadów na temat swojej wybitnej koleżanki.

Natomiast ja starałam się unikać sytuacji, w których musiałabym cokolwiek wyjaśniać, a już na pewno nie chciałam niczego wyjaśniać światu zewnętrznemu. Wspomnienia, które łączą mnie z fotografiami Diny, są z całą pewnością inne niż tło, które chce interpretować w nie świat sztuki – nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, żeby dzielić się nimi z obcymi ludźmi. A teraz stałam się elementem jej sztuki, tak samo zresztą jak Ira i Nene. Bronię się z czysto egoistycznych i samozachowawczych pobudek, w przeciwnym razie mogłabym popełnić nieomal zbrodnię, gdybym swoimi wypowiedziami w jakikolwiek sposób zaszkodziła jej dziełom. Sama służę w swoim życiu innym dziełom sztuki, więc wiem, o czym mówię.

Ira jest pochłonięta rozmową z Anano. Zaczynam się rozglądać, natrafiam wzrokiem na inną fotografię i jak lunaticzka, jakby kuszona syrenim śpiewem, ruszam w tamtym kierunku. Nie znam tego zdjęcia, widzę je po raz pierwszy, ciekawe, z jakiego okresu pochodzi, wydawało mi się, że znam je wszystkie, niemal o każdym wiem, kiedy i gdzie powstało, jaki panował wtedy nastrój, o jakie wydarzenie chodzi, jaka przykrość lub jaka radość kryją się za nimi. Ale to zdjęcie nic mi nie mówi, choć rozpoznaję na nim wszystko i wszystko wydaje się znajome. Czuję się, jakbym wpadła w pokrzywy, i zaczyna mnie piec skóra.

To zdjęcie z naszego podwórka, domy są widoczne z lotu ptaka, ze względu na odległość i dużą wysokość wydają się takie małe, widać powiewające pranie, mały ogród z wiecznie ciekącym kranem, huśtawkę, drzewa granatu i morwy. Musiała chyba wejść na dach, żeby strzelić tę fotkę. Jak zwykle nie bała się niczego i znalazła sposób, żeby to dobrze znane miejsce poznać z zupełnie innej perspektywy.

* Objaśnienia wybranych pojęć w *Słowniku pojęć* na s. 763–765.

** Niem.: piątek (przyp. tłum.).

PODWÓRKO

Podwórko było w latach dzieciństwa całym naszym wszechświatem, znajdowało się w najbardziej górzystej i kolorowej części Tbilisi. „Dzielnica Sololaki zawdzięcza swój rozwój licznym źródłom wypływającym z pobliskich gór. To niegdyś oddzielone od świata krętymi drogami miejsce rozwinęło się w ciągu stuleci w atrakcyjną i mieniącą się wieloma kolorami dzielnicę”. Przyglądam się fotografii i mam wrażenie, że słyszę głos ojca, który kiedyś opowiadał mi tak wiele o naszej okolicy, gdy spacerowałam z nim wąskimi uliczkami, trzymając go za rękę. „Podczas arabskiego panowania używano dużej ilości wody do nawadniania ogrodów należących do twierdzy, dlatego podjęto decyzję o budowie kanału, którym można było sprowadzać wodę do doliny z pobliskich wzgórz Sololaki. Gdy panowanie przejęli później Turcy, oni także korzystali z tej instalacji wodnej. W języku tureckim woda to *su*, z czasem »u« zamieniło się w »o« i w ten sposób tureckie słowo znalazło się w gruzińskiej nazwie tej części miasta. W dziewiętnastym wieku osiedliło się tu wielu zamożnych Gruzinów, którzy również zakładali swoje ogrody, dlatego i w tamtym okresie woda odgrywała istotną rolę. Sololaki stało się prestiżową dzielnicą, w krótkim czasie przy brukowanych ulicach powstały liczne urokliwe wille z kolorowymi witrażami i ozdobnymi drewnianymi balkonami”.

W czasach, gdy ja przyszedłam na świat, rodzice mieszkali w zacienionym i wiecznie wilgotnym mieszkaniu przy ulicy Winorośli położonej między długą ulicą Engelsa i placem Toneti. Wysocy rangą funkcjonariusze partii komunistycznej wyprowadzili się już wtedy z Sololaki, mieszkali w innych dzielnicach, a opuszczone przez nich okazałe wille zaczęły – w wyniku decyzji państwowych – zmieniać swój charakter i swoje przeznaczenie. Powstały wówczas tak zwane tbiliskie podwórka. W głowie znów słyszę jednostajny, spokojny głos ojca:

„Wszędzie brakowało wtedy mieszkań, dlatego w domach znajdujących się w tak zwanych podwórkach gnieździło się wiele rodzin. Ich życie toczyło się przeważnie na zewnątrz, więc zawsze było tam strasznie głośno, a ponieważ był to okres popularności włoskich filmów neorealistycznych, ten gwar od razu skojarzono z Włochami i tbiliskie podwórka zaczęto nazywać włoskimi podwórkami”.

Oczyrna wyobraźni patrzę teraz na te podwórza, idę brukowanymi ulicami, skręcam w ulicę Winorośli, gdzie rozpoczęło się moje życie. Ta dzielnica była wówczas dla mnie całym światem. Wyobrażam sobie, jak biegam tam po okolicy, idę wzdłuż ogrodu botanicznego, mijam cerkiew Dżwaris Mama, idę dalej ulicą Engelsa, przy której znajdowała się nasza szkoła, wjeżdżam kolejką szynową na górne zbocza Mtacmindy, przechodzę obok wieży telewizyjnej i parku rozrywki, biegnę przez wzgórze Okrokany, pośród mnóstwa zaczarowanych uliczek, drewnianych schodków i bujnej winorośli porastającej dziko balkony, schodzę małymi krętymi drózkami i przez okazały plac Lenina docieram do ratusza, idę dalej pomiędzy plotkującymi babami i mężczyznami wiecznie myjącymi swoje kamazy, między powiewającym na wietrze praniem i kamiennymi studzienkami – w tych wszystkich miejscach rozgrywały się moje tragedie i komedie, tam wkraczałam po omacku w życie i tam przeżyłam upadek pewnego świata, z szeroko otwartymi oczami i śmiertelnym przerażeniem w klatce piersiowej, nie dowierzając w to, co się stało.

Mam przed oczyma nasze prostokątne podwórze: dwa domy stojące naprzeciw siebie, a między nimi ogródek ogrodzony płotem, z prawej zaś strony przylegający do nich mały jednopiętrowy dom z kamienia osadzony na drewnianych podporach. Został dobudowany w późniejszym czasie i nie jest już tak ładny i kolorowy jak budynki obok, wygląda niczym chatka na kurzej łapce, która przyplątała się tu z jakiejś rosyjskiej baśni i stoi teraz zagubiona.

W przeciwieństwie do czeskich czy austriackich galeriowców u nas wchodziło się do mieszkania nie tylko od ulicy przez klatkę schodową z krzywymi drewnianymi schodami, lecz także od podwórka po zewnętrznych kręconych lub łamanych schodkach. Poszczególne mieszkania łączyła od podwórka wspólna

drewniana galeria. Nasz budynek miał trzy kondygnacje i najbardziej dekoracyjne ażurowe balkony, natomiast stojący naprzeciwko dom z cegły został wybudowany dopiero na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku i stanowił najsolidniejszą budowlę w podwórzu, składał się z parteru i pierwszego piętra i był porośnięty bluszczem, zdobiły go dodatkowo metalowe balkony z florystycznym ornamentem.

Życie rodzin zamieszkujących te trzy domy toczyło się głównie na galeriach albo na dziedzińcu. Tam graliśmy w tryktraka albo w domino, podawaliśmy sobie przepisy, gospodynie przechowywały słoiki z przetworami, a dzieci odkładały zabawki, wymieniano przyprawy na mąkę, omawiano choroby, zażegnawano kryzysy małżeńskie lub demaskowano romanse. Prawie każde drewniane drzwi wejściowe miały okno, więc wszyscy mieszkańcy podwórka wiedzieli, że wszelkie próby chowania się przed innymi są z góry skazane na porażkę. Zawsze znalazł się jakiś sąsiad cierpiący na bezsenność, który słyszał każde wyjście z domu lub powrót, niezależnie od pory dnia czy nocy, również każdą kłótnię i potrafił skomentować każde namiętne pojednanie. Podwórko było jednym organizmem, w którym poszczególne mieszkania stanowiły organy wewnętrzne, wszyscy byli ze sobą powiązani, wszyscy niezbędni, by utrzymać ciało przy życiu. Dopiero później nabrałam podejrzeń, że komuniści podczas przydzielania mieszkań zwracali szczególną uwagę na to, by w tym mikrokosmosie umieścić wiele różnych grup zawodowych, które mogłyby sobie nawzajem pomagać, i dzięki temu odciążać trochę państwo. Jeśli ktoś zachorował, to mógł znaleźć pomoc w obrębie podwórka, jeśli ktoś potrzebował pończoch, dostępnych zwykle tylko spod lady, można było załatwić je u któregoś sąsiada lub sąsiadki, a gdy ktoś chciał kupić sobie dobre oceny, żeby móc studiować na uniwersytecie, także i to dawało się zorganizować w ramach pomocy sąsiedzkiej. Podwórko było państwem w państwie. Na pierwszy rzut oka wzorcowym państwem socjalistycznym, wszyscy byli równi, mieli te same prawa, niezależnie od przynależności etnicznej czy płci, ale oczywiście to były tylko pozory. W gruncie rzeczy każdy znał swoje miejsce w szeregu i własne przywileje. I tak oto ormiański szewc Artiom nawet

w najśmielszych snach nie odważyłyby się zabiegać o względy pewnej Gruzinki z rodziny akademickiej, podobnie jak rodzina fabrykantów o nazwisku Tatiszwili nigdy nie zaprosiłaby do siebie kurdyjskiej rodziny mieszkającej w budynku po prawej stronie.

Nawet my, dzieciaki z podwórka przy ulicy Winorośli 12, mieliśmy we krwi owe niepisane zasady, nie zdając sobie z tego sprawy. Naśladowaliśmy po prostu dorosłych, a fakt, że pozwalaliśmy Tarikowi, dziecku z kurdyjskiej rodziny, bawić się z nami w chowanego albo w niebo-piekło, mimo iż mieliśmy wbite do głowy, że jest ciągle umorusany, źle się uczy, zjada własne gile i żuje wyplute gumy do żucia, uzasadnialiśmy wyłącznie tym, że fajnie jest znosić kogoś takiego w swoim towarzystwie. Bo i to należało do specyfiki naszego podwórka, naszej dzielnicy, a może i nawet całego miasta: chcieliśmy za wszelką cenę być lubiani i kochani i doskonale wiedzieliśmy, że ochrona słabszych w tym wieloetnicznym mieście, od stuleci żyjącym w symbiozie z innymi, jest po prostu dobrze widziana. Słynęliśmy przecież z gościnności, byliśmy najbardziej tolerancyjnymi sąsiadami, nikomu u nas nie spadł włos z głowy, zapraszaliśmy do siebie każdego, gościliśmy go i ładnie się uśmiechaliśmy, ale gdy tylko wychodził, oddychaliśmy z ulgą i kręciliśmy nosem na jego maniery przy stole albo nieokrzesanie. Inni zawsze byli od nas trochę gorsi, trochę bardziej prostacy, trochę głupszy i w nieco gorszej sytuacji.

Nasze mieszkanie zostało dawniej, po zrehabilitowaniu rodziny, przyznane babci ze strony ojca, nazywanej przez nas babudą jeden. To lokum miało wysokie i stale wilgotne ściany, ażurowe balkony wychodzące na ulicę oraz wciąż ciekące krany, wobec których wszyscy fachowcy czuli się bezradni. Tu dorastał mój ojciec, tu przywiózł moją matkę, gdy postanowili opuścić Moskwę. Tutaj też wniesiono mego brata, po tym jak przyszedł na świat w jakiejś surowo urządzonej porodówce w okolicach dworca, a pięć lat później także i mnie. W pokoju, gdzie urządziłam swoje małe królestwo, wisiały plakaty z czasopisma „Film Zagraniczny”, zdobywanego na czarnym rynku za grube pieniądze. W dzieciństwie ja i brat mieszkaliśmy razem w bardzo ładnym i trochę większym pokoju. Nieraz

organizowaliśmy w nim bitwy na poduszki albo próby męstwa, ale z czasem zrobiło się tam zbyt ciasno dla nas dwojga, więc zostałam przetransportowana do małej komórki obok kuchni, dawnej spiżarni. Niezbyt mi się podobała, ale i tak miałam lepiej niż babuda jeden i babuda dwa, czyli babcia ze strony mamy. Obie mieszkały w salonie, dzieliły jeden pokój zarówno podczas swoich najgorszych kłótni, jak i w czasach rozejmu, przyjmowały tam swoich uczniów albo tłumaczyły książki, a każdego wieczoru przy nakładzie sporego wysiłku, przestawiając i przesuając to i owo, zamieniały go w sypialnię.

Galeria na drugim piętrze należała do nas oraz do Nadii Aleksandrownej, samotnej, bezdzietnej wdowy, którą trudno mi było sobie wyobrazić w młodym wieku i która popełniła niegdyś fatalny błąd, zakochując się podczas studiów na Moskiewskim Uniwersytecie imienia Łomonosowa w pewnym gruzińskim nauczycielu gry na gitarze. Straciła dla niego serce i rozum i pojechała za nim do jego legendarnej ojczyzny, opiewanej i podziwianej przez tak wielu jej krajan, rosyjskich poetów. Gdy burzliwa miłość przeminęła, a szalona namiętność wygasła, gruziński nauczyciel gitary zakwaterował swoje rosyjskie trofeum u starszej siostry, a sam zniknął na całe tygodnie, szukając szczęścia w ramionach innych dam. Miłość Nadii okazała się niewzruszona i trwalsza od miłości męża. Nadia dochowywała mu wierności zarówno za jego życia, jak i po nim, i zawsze potrafiła znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla niewybaczalnych wybryków małżonka. Nawet wtedy, gdy z dwoma innymi kobietami spłodził nieślubne dzieci i przyprowadzał je czasem do domu, twierdziła, że jej „biednemu małżonkowi” się to należy, ponieważ ona sama nie może mu dać dzieci z powodu poważnej choroby, którą przeżyła w dzieciństwie. Ten wiecznie imprezujący facet musiał swojej kruchej i eterycznej żonie w jakiś sposób rekompensować własne występki, bo jak inaczej można wytłumaczyć jej ofiarną, wręcz graniczącą z głupotą miłość. Po śmierci niezamężnej siostry gitarzysty, a następnie po śmierci wskutek marskości wątroby także i jego samego, Nadia zachowała ich ciemne, zawilgocone dwupokojowe mieszkanie i do końca życia mieszkała tam razem ze swoimi roślinami, kotami... i swoim językiem rosyjskim, którego nigdy nie zamieniła na gruziński. I jeszcze

jedna rzecz pozostała niezmienna – nie przestawała obdarowywać nas, dzieciaków, nugatowymi i berbersowymi cukierkami.

Do dzisiaj nie mogę zrozumieć, dlaczego obie babudy odnosiły się do niej z dystansem. Wprawdzie zawsze były dla niej miłe, pożyczały jej czasami mąkę, proszek do pieczenia albo jajka, ale zawsze wyczuwało się pewną rezerwę. Może brało się to stąd, że obie bardzo dobrze pamiętały jeszcze męża Nadii oraz jej „niegodne” trwanie u jego boku i nie mogły jej darować tego kobiecego poświęcenia przypominającego wręcz religijną samoofiara. I mimo że łączyło je bardzo wiele – Nadia również była miłośniczką literatury i wzniosłej poezji – nigdy nie zawarły przyjaźni i Nadia Aleksandrowna do końca życia była jedynie sąsiadką, którą zapraszało się na większe uroczystości i której zanoszono na Wielkanoc czerwone pisanki i paskę.

Piętro niżej mieszkała rodzina Basilia. Ciekawe, co się z nimi stało? Z korpulentną Nani, dorabiającą zawodowo jako ekspedientka w sklepie spożywczym Gastronom gdzieś po drugiej stronie rzeki, ale głównie zajmującą się handlem na czarnym rynku, najbardziej cwana kobietą w całym podwórku (nawet matka Iry nie mogła jej dorównać). Doskonale pamiętam jej kolorowe podomki. Potrafiła handlować dosłownie wszystkim i ze wszystkimi. Gdy ktoś ją poprosił o trochę soli, po chwili chciała od niego w zamian pół kilo ryżu. Umiała przekonać każdego do zakupu, a w szczególności ulegały jej kobiety z podwórka, które cierpliwie znosiły jej humory i arogancki sposób bycia, ponieważ za stosowną opłatą była w stanie wytrzasnąć wszystko, czego tylko dusza zapragnie, a czego państwo sowieckie nie dawało: od biletów do kina na jakąś zamkniętą projekcję po czeską bieliznę. Co się zaś tyczy jej męża Tariela, to zazwyczaj widywaliśmy tylko jego imponująco owłosione plecy, bo nawet w wolnym czasie dłubał niezmiernie przy swoim kamazie, który zawsze stał – ku rozpacz dzieciaków – na podwórku i przeszkadzał w zabawie. Ich jedyny syn Beso nie odziedziczył talentu ani po ojcu, ani po matce, był powolny, leniwy i ślamazarny, zawsze drapał się po kroczu i od najmłodszych lat wykazywał nadmierne zainteresowanie seksualnością.

Czy rodzina Basilia mieszkała przez ścianę z Cico? Tak, jasne, musiało tak być, bo później państwo Żordania, czyli rodzice Iry, odcięli tej starszej kobiecie dostęp do mieszkania i zapowiadał się pierwszy wielki podwórkowy skandal. Nigdy nie lubiłam Cico, ale musiałam znosić cierpliwie wszystko, co spotykało mnie z jej strony, bo ja i inne dzieciaki zostaliśmy po prostu tak wychowani. Ta wiecznie zrządzająca starsza pani w idiotycznym kapelusiku na głowie straciła przed laty w wypadku samochodowym jedyne syna i z powodu tej straty zyskała w oczach wspólnoty podwórkowej status męczennicy. Wolno jej było robić to, czego innym nie było wolno: krzyczeć i skarżyć na innych, upominać i narzekać. Kiedyś odstąpiła matce Iry, Giuli, jeden ze swoich dwóch pokoi. Na pewno nie spodziewała się, że matka Iry odetnie jej dostęp do mieszkania przez klatkę schodową i skaże ją na wieczne jęki i utyskiwania podczas wspinaczki po kręconych schodkach.

Parter z jednym ogromnym mieszkaniem należał w całości do Tatiszwilich, niesamowicie, wręcz podejrzanie wzorowej rodziny, która mimo przesadnej gościnności, towarzyskości i nadzwyczajnych umiejętności kulinarnych matki rodziny nie budziła wśród mieszkańców podwórka zbyt dużego zaufania. Szczególnie przedstawiciele tak zwanej inteligencji zamieszkującej nasze podwórko okazywali im swoją dezaprobatę, a winna była temu uprawiana niegdyś przez ojca rodziny profesja. Dawita nigdy nie nazywano inaczej jak tylko „cechowik” – słowo, którego znaczenie pojęłam dopiero wiele lat później, było sowieckim synonimem korupcji oraz zepsucia państwa. Za sowieckich czasów takich ludzi uważano za „kapitalistyczne świnię” i cierń w oku każdego „szanującego się” obywatela. Na dodatek wydawali się aż nadto perfekcyjni, więc niektórzy starali się za wszelką cenę przyłapać ich na jakichś błędach albo odkryć jakieś problemy.

Anna Tatiszwili siedziała w szkole dwie ławki przede mną i uchodziła nieoficjalnie za klasową księżniczkę. Przez wiele lat była najpiękniejszą i najlepszą uczennicą w klasie, w każdym razie do czasu, aż Ira nie podważyła drugiego z jej atutów, czyli statusu prymuski. Jej brat Otto, książę rodziny, był małym sadystą.

Jak ja go nienawidzę, na myśl o nim do dziś robi mi się niedobrze. Wieczny zbieg. Jak można żyć z taką winą na sumieniu?

Już jako dziecko dziwnie się zachowywał, ale rodzice ciągle go usprawiedliwiali, więc wszyscy w końcu machali na to ręką. Mówiło się, że to jest po prostu „chłopak szczególnej troski” i trzeba okazać mu dużo cierpliwości. Tylko że gdy kiedyś utopił w zlewie na podwórku kota Nadii Aleksandrownej – mały Tarik był przypadkowym świadkiem tych tortur i o wszystkim nam opowiedział – ludzie stracili do niego anielską cierpliwość i zaczęli przepowiadać, że „ten chłopak źle skończy”. I nie mylili się.

Domek z drewnianymi podporami znajdujący się po prawej stronie stanowił schronienie – to także było niepisanym prawem – dla ludzi, którym nie powiodło się w życiu oraz dla outsiderów. Ta zasada została wywrócona do góry nogami wraz z wprowadzeniem się Liki Pirweli i jej obu córek. Wcześniej mieszkali tam tylko ormiański szewc Artiom, zostawiony przez żonę i dzieci z powodu jego nadmiernej miłości do alkoholu, oraz pewna kurdyjska rodzina, której nazwiska nie pamiętam, bo nikt nie używał ani ich imion, ani nazwiska, wszyscy mówili tylko o „Kurdach”, więc jako dziecko sądziłam, że są bezimienni. Zdaje się, że ich ojciec pracował w łaźniach siarkowych, chyba że coś mi się pomyliło. Powinnam zapytać Irę, tak, ona ma dobrą pamięć, na pewno będzie wiedziała. Starsze dzieci Kurdów, a było ich wszystkich w sumie pięcioro czy sześcioro, pożeniły się i wyprowadziły z domu. Tarik, najmłodszy syn, był późnym dzieckiem, wszyscy szeptali po cichu, że rodzice już od dawna mają kwestię prokreacji za sobą, aż tu nagle pojawił się na świecie Tarik. Nosił okulary z grubymi szklami, które zmniejszały mu oczy do dwóch punkcików. Był niesamowicie miłym i grzecznym chłopcem, ale krążyły o nim – zupełnie niesłusznie – jakieś idiotyczne legendy, co nie przysparzało mu przyjaciół wśród dzieci, mimo to ciągle jakoś trzymał się z nami. Można go było zobaczyć na podwórku o każdej porze roku. Kochał zwierzęta, każdemu kundelkowi nadawał imię i karmił go smakołykami podkradzionymi rodzicom albo sąsiadom. Nie wiem, czy mama uwielbiała go tak dlatego, że przyszedł na świat

niespodziewanie jak spóźnione szczęście, czy też dlatego, że nie miał lekko w życiu, w każdym razie okazywała to z taką nadgorliwością, że na pewno szkodziła mu co najmniej tak samo jak te wszystkie idiotyczne plotki na jego temat. Ach, ten nasz Tarik, sejsmograf sygnalizujący nadciągające nieszczęście, zwiastun upadku, który obwieścił nam koniec dzieciństwa.

Przyglądam się fotografii naszego podwórka i wzrokiem wędruję dalej, na przeciwległą stronę, do domu z czerwonej cegły. Mieszkania w czerwonym domu były solidniejsze, ładniejsze, bezpieczniejsze, jego mieszkańcy byli dla nas niczym pierwotne skały i wszyscy okazywali im szczególny szacunek. Poza tym u nich nie mieszkało na jednej kondygnacji po kilka rodzin, tak jak u nas, lecz w sumie tylko dwie – a ściślej mówiąc, jedna rodzina i wuj Giwi, imię, które u prawie wszystkich (przede wszystkim starszych) mieszkańców podwórka wzbudzało bezgraniczny podziw, wyrażany najczęściej nostalgicznym kiwaniem głową.

Wuj Giwi... uśmiecham się i z przyjemnością pozwalam rozpląwać się temu imieniu na języku, momentalnie pojawia się smak dzieciństwa, zapach lodów śmietankowych, kaszy gryczanej, berbersowych cukierków i lemoniady estragonowej. Wydawało nam się, że wuj Giwi mieszka w tym ceglany domu od zawsze, że mieszkał tam już za cara i przed wszystkimi rewolucjami i bolszewikami. Jego okna były zawsze otwarte, zarówno latem, jak i zimą, a z przestronnego mieszkania dochodziły zazwyczaj dźwięki muzyki klasycznej. Uchodził za bohatera drugiej wojny światowej, nosił na piersi niezliczoną ilość medali za męstwo. Dotarł aż do Berlina, był generałem w stanie spoczynku i zapalonym pianistą, samoukiem, jak dopowiadano często z pewną dozą szacunku. Kawał chłopca, stwierdzały kategorycznie moje babudy, a ja podejrzewałam, że obie podkochują się w tym wysokim chudym mężczyźnie ze zwieszonymi ramionami, który chodzi jak kaczka.

Szczególnie Eter, babudzie numer jeden, tej bardziej pedantycznej i surowszej z babć, po której najmniej bym się spodziewała, że jest zdolna do jakichkolwiek romantycznych uniesień, robiło się słabo, gdy rozmowa schodziła na wujka

Giwiego, i kto wie, może faktycznie podbiłaby jego serce i gawędziła z nim w nieskończoność o wzniosłości muzyki oraz języka niemieckiego, gdyby nie pewien haczyk, przeszkoda nie do pokonania, która uniemożliwiała jej jakiegokolwiek rozważania o bliższych relacjach. Wuj Giwi był zatwardziałym stalinistą i nawet gdy upadł kult Stalina, nie zdjął ze ściany jego portretu i zawsze stawiał pod nim świeże kwiaty.

Tak, ten elegancki, bezdzietny wdowiec z emeryturą weterana wojennego, słabością do Bacha oraz gry w szachy czcił masowego mordercę, który zrujnował życie Eter i zaprzepaścił jej przyszłość. Gdy sprawy zaczynały zmierzać – zdaniem wuja Giwiego – w niewłaściwym kierunku, zawsze przywoływał „męża ze stali”. „Gdyby on widział, jak to wszystko zmierza teraz ku przepaści! – wzdychał, siedząc o poranku przy otwartym oknie i czytając gazetę lub słuchając w radiu wiadomości. – Swoją żelazną ręką w mig doprowadziłby wszystko do porządku”. Tego typu okrzyki nie przeszkadzały jednak sędziwym paniom z dzielnicy zachwycać się jego nienagannymi manierami i eleganckim ubiorem, opowiadały także z wyraźnym wzruszeniem o jego bezgranicznej, „rozdzierającej serce” miłości do „niestety, niestety” przedwcześnie zmarłej żony. Co to za miłość, jakie oddanie, a jaka czułość! Gdy patrzyło się na ich łzawe oczy i usta ściągnięte tęsknie w cienką kreseczkę, można było nabrać podejrzeń, że pragnęły, może nawet nie zdając sobie z tego sprawy, znaleźć się na miejscu tej nieśmiertelnej Julii, której nie było dane się zestarzeć i wraz z Giwim wydać na świat potomstwa.

Jego sposób wypowiedzania się, nieco sztuczny i staromodny, zawsze doprowadzał nas, dzieciaki, do śmiechu i czasami dzwoniłszy do jego drzwi pod byle jakim pretekstem, żeby tylko nawiązać z nim rozmowę i posłuchać skomplikowanych konstrukcji zdaniowych. „Czcigodne niewiniątka, proszę tylko popatrzeć, jak wiosna pięknie rozkwitła na naszym podwórku swoimi subtelnie pudrowymi barwami” – powiedział kiedyś, mijając nas, a my parsknęliśmy śmiechem, ledwo tylko zniknął za drzwiami swojego mieszkania. Kiedyś w Nowy Rok przywitał nas następującymi słowami: „Szanowni państwo, życzę, by ten rok obfitował w sprawy sercowe i żeby przyjęły one jak najkorzystniejszy dla państwa

obrót”. Potem powtarzaliśmy te słowa jeszcze przez kilka dni. Pamiętam, jak pewnego dnia położył przede mną ten stary zeszyt...

Ciekawe, która z babud wpadła na ten genialny pomysł, żeby przy użyciu jakiejś nadludzkiej siły perswazji przekonać mnie i brata do wzięcia u wuja Giwiego kilku lekcji z zakresu muzyki klasycznej. Oczywiście w przypadku Ratiego poniosła sromotną klęskę, mój brat rozwrzeszczał się, jakby go opiekano żywcem na ruszcie, że nie jest jakimś maminsynkiem i nie ma zamiaru stać się pośmiewiskiem całej dzielnicy. Ale ja nie potrafiłam sprzeciwić się jej woli i rzeczywiście poszłam kilka razy do jej idola, by pobierać tam edukację muzyczną wysokiego lotu. I prawdopodobnie musiałabym długo jeszcze wysłuchiwać prelekcji na temat etюд Bacha albo *VII Symfonii Szostakowicza*, którą wujek Giwi cenił nade wszystko ze względu na swoje wspomnienia wojenne, ale niespodziewanie sam wuj wybawił mnie z tej kłopotliwej dla mnie sytuacji.

Podczas jednego ze swoich wykładów poderwał się nagle z krzesła i poszedł po jakieś nuty do pokoju znajdującego się w głębi mieszkania, a ja w tym czasie wzięłam ze sterty leżących przede mną gazet serwetkę i całkowicie zatopiona w myślach zaczęłam coś na niej rysować. Nieobecna duchem tworzyłam jakiś rysunek bez konkretnego tematu, jak mi się często zdarzało, a głos wuja zaczął rozptylać się powoli w powietrzu. Ulubione zajęcie pochłonęło mnie tak bardzo, że w pierwszej chwili nie zauważyłam, iż wrócił już do pokoju. Stał za mną w bezruchu, a ja tak się wystraszyłam, że aż ołówek wypadł mi z ręki.

– Oj, przepraszam – wymamrotałam, starając się ukryć serwetkę.

– Nie, nie, chwileczkę, niech pani pokaże, to bardzo ciekawe.

Gdy teraz wspominam tę sytuację, uświadamiam sobie, że on zawsze zwracał się do każdej żywej istoty „pan” lub „pani”, i pamiętam, że wszystkim dzieciakom z podwórka bardzo podobało się to nietypowe zachowanie i że wszyscy dzięki tym zwrotom grzecznościowym czuliśmy się o wiele ważniejsi.

Powoli, z wahaniem wyciągnęłam rękę z serwetką w jego kierunku. Dopiero gdy dokładniej przyjrzałam się swojemu obrazkowi, dotarło do mnie, co,

a właściwie kogo, próbowałam narysować, i momentalnie zrobiłam się purpurowa. Za pomocą kilku cienkich, niedbałych kresek naszkicowałam arystokratyczne rysy wuja Giwiego, jego długi orli nos i lekko cofniętą brodę. Wziął rysunek do ręki i przybliżył go do oczu, nie miał na nosie okularów i prawdopodobnie nie chciał przeoczyć żadnego szczegółu.

– Nieźle, młoda damo, całkiem nieźle. Często pani rysuje?

– Czasami – odpowiedziałam nieśmiało.

– Najchętniej portrety?

Nie rozumiałam, do czego zmierzał, i wzruszyłam niepewnie ramionami.

– Mam na myśli, czy woli pani rysować przedmioty, czy też preferuje pani ludzkie oblicza.

– Nie mam pojęcia. Rysuję wszystko, co mi się wyda ciekawe.

– O, w takim razie czuję się zaszczycony. Powinna pani to kontynuować – dodał wciąż zatopiony w rysunku. – Kto wie, może któregoś dnia wyrośnie z pani drugi Kramskoj.

Bardzo mi to schlebiało, a poza tym odczułam ulgę, bo akurat wyjątkowo wiedziałam, o kim mowa. Reprodukcje *Nieznajomej* zdobiły wiele mieszkań, które odwiedzałam w dzieciństwie, a jeśli nie było tam *Nieznajomej*, to z całą pewnością można było się spodziewać *Dziewczyny z brzoskwiniami* Sierowa. My też mieliśmy ten obraz – wprawdzie tylko w formie pocztówki, ale zawsze to coś – stał na regale oparty o grzbiety książek. Dina często mówiła, że jestem do tej dziewczyny podobna.

Wujek Giwi też miał *Nieznajomą*, wisiała w złoconej ramie na tej samej ścianie co ogromny portret Stalina. Na lewo od *Nieznajomej* znajdowała się czarno-biała fotografia jego przedwcześnie zmarłej żony, która z tym swoim lekko nieśmiałym spojrzeniem, starannie upiętymi włosami i kołnierzem z nerek wyglądała jak z jakiejś innej epoki.

– Nie chciałyby pani dokończyć swego dzieła? – zachęcał mnie. – Przyniosę porządną kawałek papieru i proszę narysować ten portret do końca, dobrze? Etiudy

mogą poczekać – dodał jeszcze, chcąc niejako zaostriżyć mi apetyt na wykonanie tego zadania.

Czułam się lekko oszołomiona, mimo to wyraziłam zgodę, bo rzeczywiście wydawało mi się, że będzie to lepsze niż dalsze wysłuchiwanie ciągnących się w nieskończoność wykładów na temat muzyki. Wyciągnął stary, wyblakły już blok rysunkowy i położył go przede mną. Wzięłam do ręki ołówek z nadzieją, że wstanie i zostawi mnie samą, ale nie odważyłam się prosić go o tę przysługę. Był wyraźnie dumny, że niespodziewanie został modelem, nawet jeśli portretowała go tylko dorastająca dziewczyna. Zabrałam się porządnie do pracy, przestudiowałam dokładnie rysy jego twarzy i zaczęłam rysować, tym razem dokładniej, precyzyjniejszą kreską. Miał piękne oczy i na nich postanowiłam się skupić, to one powinny znaleźć się w centrum obrazu. Były czyste jak szkło, czujne, w porównaniu z resztą twarzy zdawały się młode, jakby skrywało się w nich źródło jego młodości.

Na krótką chwilę czas uległ jakiejś kompresji, nagle ucichły odgłosy, nawet tykanie zegara na ścianie rozplynęło się w powietrzu, otaczająca nas rzeczywistość, wszystko dokoła stało się przytłumione i spokojne. Poczułam gęsią skórę na rękach, trudno było wytrzymać ten stan koncentracji, a jednocześnie wiedziałam, że jest to jakiś szczególny moment i starałam się nie przegapić żadnego drgnienia, żadnego, choćby najmniejszego impulsu. Można było odnieść wrażenie, że wuj Giwi także powstrzymuje oddech, że on też znajduje się w jakimś magicznym miejscu, gdzie wszystko istnieje jakby w jednym czasie i zarazem przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Zawsze będę wspominać tę chwilę i tego wyjątkowego człowieka z ogromną wdzięcznością. Pokazał mi drzemiacą we mnie siłę, która miała mi służyć w późniejszym życiu za kompas. Ale myśląc teraz o tym, czuję jednocześnie na sercu ołowiany ciężar, bo nic nie napawa mnie większym smutkiem, nic bardziej nie zbija mnie z nóg niż świadomość, że dawno, dawno temu, pewnego ponurego lutowego popołudnia, w zoo przy wybiegu dla małp zamieniłam ten kompas na zwykłą chęć przetrwania i już nigdy nie odzyskałam go z powrotem.

Nie wiem, jak długo tam siedzieliśmy, całą wieczność czy tylko pięć minut. Drżącą ręką podałam mu rysunek.

– Ma pani talent, młoda damo, ma pani talent. I sędzę, że ten talent nie dotyczy muzyki, lecz malarstwa, i to jemu powinna pani tak naprawdę się poświęcić – powiedział cicho i nałożył okulary do czytania, żeby dokładniej przyjrzeć się obrazkowi.

Przez dłuższą chwilę siedział w bezruchu, a ja dałabym wtedy wszystko, żeby dowiedzieć się, co mu chodzi po głowie. Jego słowa schlebiały mi, ale jednocześnie odczuwałam strach. To tak jakby nakładał na mnie odpowiedzialność, do której nie czułam się wystarczająco dojrzała.

– Czy mogę zatrzymać ten rysunek? – zapytał.

Jeszcze nikt nigdy nie przykładął tak wielkiej wagi do mojego rysunku. U nas w domu uchodziłam za dziecko, które ciągle „coś tam sobie bazgrze”, jedynie ojciec spoglądał czasem życzliwie na moje obrazki albo babudy chwaliły mnie za „wyobraźnię”. W szkole nikt nigdy nie interesował się moimi artystycznymi ambicjami, a i ja nie byłam jakoś specjalnie zainteresowana tym, żeby pokazywać swoje „dzieła” szerszej publiczności. Dla mnie to było coś, co traktowałam na równi z jedzeniem czy oddychaniem, nie zastanawiałam się nad tym. Do pochwał wujka Giwiego podchodziłam w związku z tym dość nieufnie, miałam wątpliwości, czy rzeczywiście jest taki zachwycony, ale wiedziałam, że jest niezwykle poważnym człowiekiem, bez odrobiny poczucia humoru czy ironii, więc ostatecznie nie pozostawało mi nic innego jak tylko mu uwierzyć.

I faktycznie kilka tygodni później, gdy przechodząc przez podwórko, zajrzałam przez otwarte okno do jego mieszkania, zauważyłam wykonany przeze mnie prosty rysunek jego twarzy obok fotografii jego zmarłej żony, *Nieznajomej* Kramskoja i portretu Stalina. Zatrzymałam się zaskoczona i przytłoczona nieco owym widokiem, stanęłam na palcach, nie mogąc oderwać oczu od tego zdumiewającego zestawienia. Zaledwie dwa dni po naszym brzemienym w skutki spotkaniu wujek Giwi zapukał do naszych drzwi. Babudy nie posiadały się z radości, jakby zawitał tu Jean Gabin we własnej osobie (to, że Jean Gabin był najprzystojniejszym

mężczyzną na świecie, należało do nielicznych faktów, co do których między babciami panowała absolutna zgoda). Na stole pojawiło się wszystko, w co tylko obfitowała spiżarka, a do tego podano świeżo zaparzoną zieloną herbatę. Po krótkiej ogólnikowej wymianie zdań wujek Giwi przeszedł do sedna:

– Uważam, że nie powinniśmy dalej zmuszać naszej małej Keto do tego, by zaszczycła mnie swoimi odwiedzinami – powiedział i chrząknął znacząco.

– Dlaczego? Czyżby narozrabiała? Keto, co ty tam przeskrobałaś? – zawołała babuda jeden na całe mieszkanie.

Gdy tylko usłyszałam głos wujka Giwiego, schowałam się w swoim pokoju i podsłuchiwałam wszystko przez cienką ścianę. Przeczuwałam, że jego wizyta ma coś wspólnego ze mną, ale jeszcze nie wiedziałam, jakie to będzie miało dla mnie skutki.

– O nie, jest uroczą i mądrą dziewczynką, bez dwóch zdań!

Słysząc było, jak obie babudy odetchnęły z ulgą.

– To o co chodzi? – dopytywała Oliko, babuda numer dwa.

– Po prostu nie sądzę, by jej zainteresowania dotyczyły muzyki klasycznej. Podobnie zresztą jak jej talent – wyznał z rozbijającą szczerością wujek Giwi, czym wprowadził na moment obie babudy w osłupienie.

– Ale zainteresowania można przecież wspierać, można ćwiczyć słuch... – wyjąkała w końcu Oliko.

– Ale nie można rozbudzić pasji przez zwykłe naciśnięcie guzika, a muzyka jest przecież pasją, powinna być pasją, w przeciwnym razie wszystko, co robimy, jest stratą czasu i jest jej niegodne. – Chrząknął. – Ale...

– Tak? – zapytały babudy jednym głosem. Ileż nadziei zawierało się w tym pytaniu! Może jednak istniała jeszcze jakaś możliwość, minimalna szansa, żeby mogła nadal składać wizyty ich idolowi, temu nadzwyczaj szarmanckiemu mężczyźnie.

– Keto ma niezwykle imponujący jak na swój wiek talent, proszę mi wierzyć, tyle że nie do muzyki, lecz...

– Lecz?...

Tym razem babuda jeden nie mogła powstrzymać ciekawości.

– Lecz do sztuk plastycznych. Muszę przyznać, że rysuje zdumiewająco dobrze. Bez wątpienia.

Nastąpiła pauza. Byłam zła, że nie widzę wyrazu twarzy obu babć. Nie wiem, czy były zaskoczone, czy rozczarowane. Zaczęło mnie rozpierać uczucie triumfu, bo przecież wiedziałam, jak wielką wagę przywiązywały do jego opinii. Z pokoju dobiegło kolejne chrząknięcie, jedna z babud zakasłała, usłyszałam, jak Oliko zapala papierosa, na co Eter z pewnością zareagowała spojrzeniem pełnym wyrzutu.

– No tak, na pewno ładnie rysuje, ale klasyczne wykształcenie muzyczne to przecież zupełnie co innego... – Babuda jeden nie mogła już dłużej ukrywać swojego rozczarowania.

– Powinny panie wspierać talent Keto. Jej rysunki powinien obejrzeć jakiś profesjonalny malarz.

Głos wujka Giwiego brzmiał teraz trochę bardziej szorstko.

– Tak, oczywiście. Na pewno tak zrobimy, prawda, Eter? – babuda numer dwa wkroczyła do akcji, usiłując ratować nastrój.

– Proszę zrozumieć – zaczął ponownie wuj Giwi – na muzykę trzeba się otworzyć, trzeba pozwolić, by wniknęła do środka, żeby dotarła do duszy i zaczęła tam działać, w dosłownym znaczeniu tego słowa, a potem należy pokazać światu to, co tam powstanie. A Keto tego nie chce. Ona nie chce naruszać swojej skorupki. Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego, ale tak po prostu jest.

To zdanie, które usłyszałam, stojąc w swoim malutkim pokoju, pozostało mi już na zawsze w pamięci. Nawet dzisiaj, lata świetlne od tamtej chwili i tamtego miejsca, pobrzmiwa mi w uszach. Wtedy jeszcze nie mogłam wiedzieć, że wujek Giwi potrafi doskonale czytać zarówno nuty, jak i ludzi.

Wkrótce babudom zabrakło argumentów i z wielkim rozczarowaniem musiały dać za wygraną. Podziękowały mu z przesadną uniżonością za odwiedziny i ledwo

wuj Giwi zamknął za sobą drzwi, wzięły mnie w obroty i zaczęły bez końca wypytywać, czy aby na pewno niczego nie przeskrobałam, aż w końcu obie wpadły w głęboką melancholię i widać było, że powoli żegnają się z marzeniem, by z wnuczki uczynić wielkiego muzyka.

Niezależnie od różnic między moimi babciami i całej tej ambiwalencji, jaką odznaczały się ich życiorysy, jedno można powiedzieć o nich na pewno: obie były na wskroś kobietami swoich czasów, to znaczy wykazywały sowiecką mentalność i zdecydowanie rozróżniały sztukę wysoką i niską. Muzyka klasyczna, również balet, a także pewne dziedziny sportu niezwykle popularne w Związku Radzieckim, oparte były na dyscyplinie, na niezmordowanym wysiłku, żeby coś osiągnąć, należało grać tak długo, aż na palcach pojawiały się rany, tańczyć, aż stopy zaczynały krwawić, trenować ciało do upadłego, gdyż artysta lub sportowiec musiał za wszelką cenę osiągać sukcesy, być widoczny, obwieszony medalami i podziwiany, artysta musiał wzbudzać bezgraniczny podziw i otrzymywać nagrody. Natomiast jeśli komuś przychodziło coś z łatwością (a tak traktowano mój talent do rysunku), z góry uznawano to za niepoważne i niegodne wsparcia. To był po prostu sposób spędzania czasu, młodzieńcza zabawa i nie należało mydlić dziecku oczu, że los robi człowiekowi takie prezenty i że można coś osiągnąć bez ciężkiej pracy, że dzięki czemuś, co „wyszło ot tak, po prostu”, można być w życiu szczęśliwym.

Mój wzrok zatrzymuje się na pierwszym piętrze, niewielkim wycinku zdjęcia wykonanego z lotu ptaka: na rodzinie Jaszwilich, jedynych oprócz wujka Giwiego mieszkańców domu z czerwonej cegły. O dziwo, zauważam najpierw nie Lewana, lecz Ninę, jego matkę, jej obraz zaczyna rozrastać się przed moim wewnętrznym okiem. Ta łagodna, otwarta, miła i kulturalna kobieta o alabastrowej skórze i zielonych oczach o wiecznie rozmarzonym syrenim spojrzeniu miała w sobie coś z bohaterów Czechowa, z tą swoją robioną na szydełku narzutką, akuratnie ułożonymi włosami i berecikiem na głowie. Pracowała w bibliotece państwowej. Moje babcie lubiły ją i szanowały, mimo że była od nich młodsza o całe pokolenie,

zdawała się mieć z nimi o wiele więcej wspólnego niż z innymi kobietami z dzielnicy w tym samym wieku. Jakie to było piękne trio, gdy obie babudy i Nina siedziały u nas przy stole kuchennym i grały w tryktraka, tworząc jedną parę na zmianę. Nina i Oliko zapalały sobie od czasu do czasu papierosa albo rozmawiały o przeczytanej właśnie książce. Nina zaopatrywała babudy w zakazane lektury, do których zwykły śmiertelnik nie miał zbyt łatwego dostępu. Ale to idylliczne wspomnienie zagłuszyła za chwilę jej wilczy skowyt z tamtego dnia, gdy śmierć zapukała niespodziewanie do jej drzwi.

Mąż Niny, Rostom – jego twarz mam również przed oczyma, jego melancholię, jego ponadwymiarowe okulary i jasne, przerzedzone włosy. Widzę siebie, jak wchodzę do jego ciemni, ulubionego miejsca Diny. Zastanawiam się, czy wyobrażałam sobie wtedy to mieszkanie jako własny dom, czy w ogóle myślałam o tym, żeby tam zamieszkać, czy wierzyłam w to, że byłabym tam szczęśliwa.

Rostom, tak, Rostom. Ten milczący i żyjący we własnym świecie człowiek. Pracował jako fotograf w jakiejś gazecie. Już nie pamiętam której. Może w „Komuniście”? Tak, chyba tak. To była dość atrakcyjna posada, nawet jeśli wolałyby wykonywać te swoje wielkoformatowe portrety zamiast konformistycznych zdjęć na zamówienie. Widzę ściany tego prosto urządzonego i najczęściej pachnącego ciastem mieszkania, na których wiszą jego zdjęcia, i mimo że były to portrety znajomych i sąsiadów, no i członków rodziny, zawsze miałam wrażenie, że widzę tych ludzi po raz pierwszy.

Jako dzieci uwielbialiśmy przesiadywać w jego przestronnej ciemni wypełnionej subtelnym czerwonym światłem i wymieniać się opiniami na temat zawieszonych na sznurze do prania odbitek. Jakże często pod pretekstem obejrzenia zdjęć Rostoma chodziłam tam, żeby zobaczyć jego młodszego syna, który nigdy wprost nie przyznawał się do tego, że mnie lubi, ale zawsze wykorzystywał sytuację, żeby musnąć moje ramię albo dotknąć mojej ręki. Te kruche chwile spędzone we dwoje w czerwonym świetle ciemni były dla mnie bezcenne.

Prawdopodobnie Rostom czuł się tam podobnie i w tym przytłumionym świetle odnajdował zapewne spokój, którego tak bardzo potrzebował. Tylko czasem, gdy któryś z chłopaków narozrabiał albo Nina straciła cierpliwość, wpełzał na światło dzienne i zmuszał się do zabrania głosu oraz udawania surowego ojca, mimo że prawdopodobnie doskonale zdawał sobie sprawę, że ani starszy Saba, ani drugi w kolejności Lewan nie boją się grożących im konsekwencji. Ile razy Lewan naśmiewał się z wymuszonej surowości ojca! A Saba, ten piękny Saba, Królowna Śnieżka... Jak on nienawidził tego przezwiska, które nadał mu kiedyś mój brat, świetnie oddając jego charakter. Zamykam na chwilę oczy, muszę odetchnąć, znów myślę o ucieczce.

Ile to razy zastanawiałam się, czy mój brat obrałby taką drogę, jaką obrał, gdyby nie ta sytuacja z Sabą? Ten uroczy chłopiec z czarnymi jak smoła lokami, zielonymi oczami, śnieżnobiałą skórą. Przyjaciel, którego mój brat najbardziej kochał i potrzebował. Uśmiecham się pod nosem na myśl o jego wstydlivości i nieporadności, które w ogóle nie pasowały do jego rozbrajającego wyglądu. Z jakim trudem radził sobie z zainteresowaniem dziewcząt, którego wszyscy koledzy, łącznie z bratem, mu zazdrościli. Ale o uroku Saby decydował przede wszystkim fakt, że kompletnie nie zdawał sobie sprawy z tego, jak działa na innych ludzi, a zwłaszcza na płęć przeciwną. W damskim towarzystwie zachowywał się strasznie niezdarnie, przerastało go to, zawsze się czerwienił, gdy ktoś go bezpośrednio zagadnął, wtedy, jak się zdaje, potrzebny mu był mój silny brat z tym swoim zawadiackim sposobem bycia, ktoś, kogo mógłby naśladować, kto byłby dla niego oparciem, żeby mógł poradzić sobie w tym świecie pełnym oczekiwań i wyzwaniań.

Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego tak często było mu źle, przecież miał wszystko, czego trzeba, by być podziwianym, kochanym, nawet ubóstwianym, ale może odziedziczył to po ojcu, może on także potrzebował własnej ciemni, która zapewniłaby mu niezbędne poczucie bezpieczeństwa i niezbędny spokój. On też nadawałby się na bohatera literackiego, ale nie ze świata Czechowa, o nie, raczej na postać z jakiejś francuskiej powieści, może Flauberta albo Prousta. Tym bardziej

absurdalny wydawał mi się fakt, że na swojego najlepszego przyjaciela wybrał właśnie mojego brata. Rati miał wszystko, czego brakowało Sabie, był wiodącą postacią męskiego świata, którego Saba nie znał, mówił językiem ulicy, prezentował ten rodzaj męskości, który był w naszym kraju niezwykle ceniony i poważany. Ale motywów mojego brata, dlaczego zdecydował się na tę nierówną przyjaźń, nie mogę pojąć do dziś, nie umiem sobie wytłumaczyć, czego szukał i co takiego znalazł mój uparty, bezkompromisowy, niespokojny i buńczuczny brat u boku tego wrażliwego chłopaka, uosabiającego wszystko, co Rati zwykł wyśmiewać. Saba był jego przeciwieństwem: spokojny, introwertyczny, małomówny, niezdarny, wstydlivy i przede wszystkim bojaźliwy. Nigdy nie widziałam, żeby Saba się komuś naprzykrzał, nie mówiąc już o jakiegoś rodzaju słownej czy cielesnej przemocy, co dla Ratiego i jego świty było chlebem powszednim. Gdzieś głęboko, w jakimś najodleglejszym zakamarku, musiało tkwić w Ratim coś, co tęskniło za roztropnością Saby i jego powściągliwością.

Parasol ochronny Ratiego gwarantował Sabie nietykalność, której potrzebował, by móc pozostać sobą. Ceną za nietykalność był udział w awanturach i bijatykach Ratiego oraz jego kolegów. Zadaniem Saby podczas tych różnych razborek było odgrywanie roli pokojowego rozjemcy i hamulcowego, gdy sytuacja zaczynała wymykać się spod kontroli.

Nagle słyszę nienaturalnie niski głos Lewana, tak jakby już od co najmniej dziesiątego roku życia był nałogowym palaczem, i do tego jeszcze ten beczelny, wiecznie prowokacyjny ton. Przełykam ślinę, coś zaczyna mnie dławić. Czuję w nozdrzach jego zapach, woń skórzanej kurtki i to wewnętrzne napięcie wiecznego poszukiwacza, który nigdy nie znalazł tego, czego szukał. Lewan był wulkanem energii, wybuchowym i nieustraszonym wiecznym dzieciakiem. Gdy wspominam szkolne lata, zawsze przychodzi mi na myśl jakiś kawał albo jakieś draństwo w jego wykonaniu i od razu mam przed oczyma zawstydzoną twarz jego matki, wezwanej do szkoły z powodu naganego zachowania syna. Mimo że swoimi głupimi odzywkami albo porywczym temperamentem doprowadzał mnie często do białej gorączki, spośród koleżków Ratiego jego lubiłam najbardziej.

Tryskał godnym pozazdrosczenia optymizmem, tak obezwładniającą pozytywnością, że trudno było oprzeć się jego urokowi. Był czarną owcą rodziny Jaszwili, której pozostali członkowie wykazywali raczej skłonność do melancholii i sentymentalnego smutku. Gdyby nasza dyrektorka nie darzyła Niny wielkim poważaniem ze względu na jej wrażliwość i stanowisko pracy, Lewan już dawno wyleciałby ze szkoły.

Lewan był niższy i zwinniejszy od starszego brata, podobnie jak Saba miał na głowie burzę gęstych loków, choć rysy jego twarzy wydawały się wyrazistsze i mocniejsze niż u dandysowatego Saby, natomiast oczy obu braci były identyczne, duże, zawsze zdziwione, nieustannie czegoś wypatrujące, ukryte pod niesamowicie gęstymi rzęsami, u Saby lśniący zielone, a u Lewana w kolorze bagnistej zieleni. Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz patrzyłam w oczy Lewana. Ale dzisiaj nie ma to właściwie żadnego znaczenia. Choć teraz chętnie wspominam jego loki i czochram palcami jego gęstą grzywę.

Nie wiem dlaczego, ale od dziecka byłam zafascynowana braćmi Jaszwili. To, jak w obu jednoczyły się przeciwieństwa, nadawało się na scenariusz filmowy, tak jakby natura starała się stworzyć dokładne odwrotności, niemal idealną symetrię przeciwieństw. Nie potrafiłam inaczej, lubiłam Lewana i choć przytłaczała mnie jego obecność, to podobały mi się jego porywczość, emocjonalność i serdeczność. Z czasem przyzwyczaiałam się do niego tak bardzo, że zaczynałam czuć się nieswojo, gdy znikał nagle z pola widzenia. Nawet jeśli nie wiedziałam, gdzie akurat się znajduje, mogłam być pewna, że może pojawić się w każdej chwili.

Właściwie nie wiem, kiedy zaczęła się ta moja nieodparta słabość do niego. Pamiętam tylko, jak pewnego dnia stwierdziłam ze zdziwieniem, że jego zachowanie w stosunku do mnie zmienia się o sto osiemdziesiąt stopni, gdy zostajemy sami. Zdarzało się to wprawdzie rzadko, ale jednak, a wtedy przemieniał się nagle w zaciekawionego, jakby lekko zakłopotanego chłopaka, który chce się ode mnie czegoś dowiedzieć i ciągle zadaje mi pytania. Podobał mi się ten jego głód wiedzy, więc z chęcią udzielałam mu odpowiedzi i byłam do jego dyspozycji. Niezależnie od tego, czy chodziło o moje zainteresowania związane z kulturą, czy

rysunki, które zauważył kiedyś w naszej loggii i które z jakiegoś powodu strasznie go zafrapowały, bombardował mnie pytaniami, gdy tylko zostawaliśmy sami na podwórku. Ale kiedy pojawiał się ktoś jeszcze, choćby to była jedynie któraś z moich babć, natychmiast wracał do swojej roli i traktował mnie chłodno, jak zazwyczaj.

Przez lata tkwiliśmy w tej dziwnej relacji, która z czasem zaczęła mnie drażnić. Trudno mi było zrozumieć takie zachowanie, nie rozumiałam, dlaczego szuka mojej bliskości i jednocześnie zdaje się tego wstydzić, ale nigdy nie zdobyłam się na odwagę, żeby go o to zapytać. Przyzwyczaiałam się do tej niedającej spokoju tajemnicy, a z wiekiem uznałam to nawet za coś ekscytującego. Dzielił się ze mną czymś wyjątkowym i to coś było zarezerwowane tylko dla mnie, bo dla innych pozostawał niezmiennie rozrabiaką. Cieszyła mnie ta ekskluzywność, upajałam się jego niewyczerpaną ciekawością, dwuznacznymi spojrzeniami podczas przypadkowych, nigdy nieumawianych wcześniej spotkań.

Z czasem rozwinęła się podczas tych spotkań pewna rutyna, wyczuwałam, kiedy zostaniemy sami, a on zacznie wtedy nerwowo się rozglądać i sprawdzać, czy na pewno nikt nam nie będzie przeszkadzał, by po chwili przejść do sedna: „Dlaczego rysujesz podwórko zawsze z tej samej perspektywy?”, „Mam nową płytę takiej jednej zwariowanej Angielki, nazywa się Kate Bush, jest świetna, może chciałabyś posłuchać, powiedziałaabyś mi potem, co o niej myślisz?”, „Dobrze ci w czerwonym, czemu nie chodzisz tak częściej?”, „Też lubisz muzykę klasyczną?”. Strzelał tematami jak z pistoletu, następowały jeden po drugim, często bez większego związku. Czasami odnosiłam wrażenie, że zbiera je w czasie, gdy się nie widzimy, a potem czeka na najbliższą okazję, żeby mnie wziąć w krzyżowy ogień pytań. Powoli zaczęłam odkrywać w tej mieszance tematów pewną logikę i udzielałam odpowiedzi coraz szybciej. Płynne przechodzenie od moich zainteresowań muzycznych do określonych technik rysunku albo od ulubionego jedzenia poprzez jakąś kłótnię w szkole do najnowszego filmu w kinie Październik przestało sprawiać mi jakąkolwiek trudność. Nauczyłam się z czasem na podstawie poruszanych przez niego kwestii odkrywać jego zainteresowania, mówiły o nim

bardzo wiele. Ugruntował się we mnie zupełnie nowy, mój własny obraz Lewana, który on sam, nie wiedząc czemu, chciał udostępnić tylko mnie.

Miał bzika na punkcie muzyki, uwielbiał też muzykę klasyczną, mało tego, ku memu zaskoczeniu świetnie się na niej znał. Najwyraźniej długie popołudnia spędzone u wuja Giwiego, do których nakłoniła go mama, przyniosły u niego – inaczej niż u mnie – jakieś owoce. Miał słabość do sztuki, ale w przeciwieństwie do starszego brata dawał temu wyraz w jakiś zawoalowany sposób, żeby po prostu nie wypaść z roli twardego i niewzruszonego chuligana. Najprawdopodobniej jednak tęsknił za kimś, komu mógłby pokazać swoją łagodną stronę. Wybrał sobie na taką osobę mnie, a ja przyjąłem ten potajemny wybór jako mały i niespodziewany dar. Czasami zastanawiałam się, co mnie powstrzymuje przed tym, żeby po prostu przejść przez podwórko, odwiedzić go i porozmawiać w spokoju, jak należy, ale coś mi podpowiadało, że tym posunięciem nadwątlilibym naszą nieśmiałą i ostrożną bliskość, dlatego zostawiałam wszystko tak, jak było.

A jak można byłoby opisać nas, rodzinę Kipianich, ostatnich mieszkańców tego podwórka? „Kipiani”, tak, właśnie tak nazywano nas na podwórku, jedno nazwisko obejmowało wszystkie trzy pokolenia żyjące w trzypokojowym mieszkaniu i tak wiele lat, tyle przeszłości i tyle możliwych wariantów przyszłości, tyle przeciwieństw i tyle spopielonych marzeń...

Babudy, jak bardzo mi ich brakuje. One stanowią początek mojej prywatnej osi czasu. Babuda numer jeden i babuda numer dwa. Dwa początki tej samej historii. Zanim pojawiłam się na świecie, mój brat zwracał się do nich „bebia”, po prostu „babcia”. Ale było z tym trochę zamieszania, bo gdy brat wołał „bebia”, obie odwracały głowę, a potem obie prześcigały się w opiekuńczych zabiegach, żeby i pod tym względem być górą jedna nad drugą. Gdy w końcu brat uznał, że ta wieczna rywalizacja jest głupia, postanowił pozbawić je statusu babci. Najpierw zaczął, ku ich przerażeniu, zwracać się do nich po imieniu – „Eter” do babci ze strony taty i „Oliko” do babci ze strony mamy – ale potem zdecydował się na określenie „babuda”, czyli „siostra dziadka”, co wydawało się nielogiczne, ale

w jakiś dziecięco-intuicyjny sposób zażegnał dzięki temu konflikt. Dodatkowo nadał im numery, i tak oto Eter została babudą numer jeden, a Oliko babudą numer dwa.

Babuda numer jeden urodziła się w roku, w którym bolszewicy anektowali istniejącą od niedawna gruzińską demokrację i babcia stale nam powtarzała, że to „nie był przypadek”. Istnieje ścisły związek między gwałtownym końcem demokracji a jej dążeniem do autonomii i dyscypliny. Była trzeźwo myślącą kobietą, intelektualistką w wąskim tego słowa znaczeniu, jednak wykazywała pewne skłonności do mistyki i miała sentymentalny stosunek do heroizmu. Żywiła przekonanie, że urodziła się tego brzemennego w skutki roku, ponieważ los ofiarowuje takie momenty zwrotne tylko wybrańcom. Wszechświat wiedział, że ona sprosta postawionemu jej wyzwaniu. Bardzo często zapominała przy tym, że wyzwanie odnosiło się do całego narodu, no ale jej chodziło głównie o to, żeby w utarczkach słownych z babudą numer dwa zademonstrować swoją wyższość, gdyż ta przyszła na świat o dwa lata później, a więc w znacznie mniej symbolicznych czasach.

Owa idiotyczna rywalizacja na pokaz ciągnęła się przez ich życie jak motyw przewodni, tak jakby zależało im wyłącznie na tym, żeby wszystko, ale to absolutnie wszystko, podporządkować temu kokieterijnemu współzawodnictwu. Ciekawa jestem, kiedy to się zaczęło, a przede wszystkim, która z nich zaczęła. Czasem odnosiłam wrażenie, że narodziły się tylko po to, żeby utrudniać sobie nawzajem życie, że nawet rodzice wzięli ślub nie po to, żeby począć mnie i mojego brata albo cieszyć się tym swoim, jak się później okazało, zbyt krótkim szczęściem małżeńskim, lecz wyłącznie w tym celu, by połączyć ze sobą dwie twarde i uparte rywalki, a jednocześnie pokrewne dusze.

Babudy miały dokładnie tyle samo podobnych co całkowicie różnych cech. Wciąż były między nimi tarcia, dzięki którym wyzwalala się pewna ilość energii utrzymująca je przy życiu. Z biegiem lat zdawały się coraz bardziej uzależnione od tego źródła energii i kiedy akurat nie było żadnej spornej kwestii na podorędziu i nie zapowiadał się żaden większy konflikt, doprowadzały do jakiejś drobnej

różnicy zdań i prowokowały w ten sposób sprzeczkę. Widać było, że owe potyczki słowne je nakręcają, mobilizują do coraz lepszych osiągnięć, podtrzymują ich żywotność i sprawność umysłową, podobnie jak u innych ludzi codzienna aktywność fizyczna podtrzymuje tężyznę. Stanowiły filary naszej rodziny. Wydawało się, że to one dobrały się w parę, a nie nasi rodzice poprzez swoje małżeństwo zdecydowali o tym – jak gdyby to nie przypadek sprawił, że mieszkają teraz razem, lecz jakiś tajny kosmiczny plan, który po prostu realizują od przedszkola.

W opowieściach Eter na temat dzieciństwa zawsze występowały postacie niczym z bajki, były tam guwernantki z Drezna i nauczycielki rękodzieła z Krakowa, młodszy brat miał nawet instruktora jazdy konnej z Armenii. Wyobrażam sobie babcię z tamtych czasów jako pucołowatą dziewczynkę w lakierkach, z turkusowymi kokardami we włosach, taką, jaką widziałam w naszym starym wydaniu *Alicji w krainie czarów*. Siedzi wyprostowana w pokoju pełnym słońca i z poważną miną wyszywa na chusteczce rudziki. Wyobrażenie tego błogiego i świetlistego dzieciństwa wywołuje na plecach dreszcz, bo wiem z jej opowieści, że wkrótce nastanie mrok, przyjdą ponure czasy, a na piękny dom z łukami i lustrami w złoconych ramach padnie zły urok, że przyjdą bolszewicy i wszystko im odbiorą. W mojej dziecięcej wyobraźni wszyscy bolszewicy byli uosobieniem złych mocy ciemności, nosili czarne ubrania i mieli tylko po jednym oku, jak cyklop z naszej książki o greckiej mitologii, którą zaczytywałam się w dzieciństwie. Ale wtedy jeszcze nie wiedziałam, że bolszewicy to nie był ktoś, kto najpierw przyszedł, a potem sobie poszedł, że zostali u nas na ponad siedemdziesiąt lat i że ja również żyłam pod ich rządami.

Scenę, w której ojca Eter, nobliwego właściciela fabryki jedwabiu, zabierają nocą z domu, mam przed oczami do dzisiaj, widzę to teraz tak samo wyraźnie jak wówczas, gdy z szeroko otwartymi oczami i rozdziawioną buzią słuchałam jako dziecko tej przerażającej historii. Widzę ciemnych typów, którzy przychodzą po niego o trzeciej nad ranem, gdy miasto jest jeszcze pogrążone we śnie, słyszę płacz mamy Eter, słyszę, jak jej ojciec pociesza żonę i dodaje jej otuchy, widzę, jak

z podniesionym czołem prosi uprzejmie bolszewików, by go nie dotykali, bo chce sam i z godnością wsiąść do czekającego na nich auta. I jak funkcjonariusze patrzą zawstydzeni w podłogę, ośmieszeni taką postawą, i jak mała Eter, zbudzona hałasem, wbiega boso do pokoju, a tata mówi jej, że to jest tylko taka gra, jak zabawa w chowanego, tylko że dla dorosłych, i żeby się nie bała, bo on ukryje się „w bardzo dobrze strzeżonym miejscu”.

Rodzina musiała zamienić słoneczne pokoje na ciemną, zawilgoconą norę w dzielnicy Ortachala, nieopodal twierdzy Narikala, gdzie nie było znajomych i gdzie mieszkaly wyłącznie rodziny robotników, z którymi trudno było znaleźć wspólny język. Kiedy później, podczas spacerów, Eter zbliżała się do tego miejsca, zawsze powtarzała z naciskiem: „Jak oni nami pogardzali, sądzili, że uważamy się za kogoś lepszego”. Listy z Astrachania, dokąd deportowano jej ojca, zaczęły przychodzić coraz rzadziej, a mama zachorowała na gruźlicę. Gdy siedemnastoletnia Eter wychodziła za mąż za młodego bolszewika, zafascynowanego teorią permanentnej rewolucji i wysławiającego marksizm jako ostatnią deskę ratunku całej ludzkości, wiązano z tym wydarzeniem wielkie nadzieje, liczone na wybawienie rodziny z dotkliwej biedy i powrót ojca ze zsyłki. Ponadto ani ona, ani jej brat nie mieli szans jako dzieci „zdrajcy narodu” na zdobycie dobrego wykształcenia czy jakąś przyzwoitą posiadłość. Jednak ich nadzieje dosyć szybko okazały się płonne. Najpierw przyszedł list z Astrachania, że więzień zginął tragicznie podczas budowy zbiornika retencyjnego pod Stalingradem, a potem wybuchła wielka wojna ojczyźniana i zarówno jej brat, jak i świeżo poślubiony małżonek zostali wysłani na front. Rok później ukochany brat Guram, który pisał wiersze po niemiecku i śpiewał arie Pucciniego „jak mało kto”, zginął na Półwyspie Kerczeńskim. „Nie nadawał się na wojnę, miał duszę łabędzia” – mówiła zawsze Eter, a ja próbowałam wyobrazić sobie niemieckie wiersze i łabędzią duszę Gurama – niebędącego moim ojcem, mimo tego samego imienia – lecz mimo najszczerzych chęci za nic mi się to nie udawało.

Mąż Eter, którego znała właściwie jedynie z listów nadsyłanych z frontu i w którym bardzo chciała zobaczyć bohatera wojennego, skoro już nie nadawał się na

bohatera romantycznego, pozostawił w jej życiu zaledwie jeden znaczący ślad, a i to tylko dlatego, że tak zrządził przypadek, ponieważ z powodu odniesionych ran w ostatnim roku wojny został umieszczony w jednym z tbiliskich szpitali. Podczas tego pobytu musiało dojść do poczęcia mojego ojca, który przyszedł potem na świat jako półsierota, bowiem małżonek Eter ponownie wyruszył na wojnę, gdy tylko odzyskał siły, lecz niestety nie udało mu się dotrzeć do końca i zginął w jej ostatnich dniach.

Status wdowy po poległym na wojnie żołnierzu uczynił jej życie nieco znośniejszym, przełknęła złość i rozczarowanie jak gorzką, lecz konieczną pigułkę, zakasała rękawy i zaczęła urządzać życie na nowo. Dała synowi na imię Guram, po swoim ukochanym bracie, i starała się koncentrować wyłącznie na rzeczach, które dawały jej szczęście. Wspominała słoneczne popołudnia, podczas których rywalizowała z bratem o to, kto piękniej wyrecytuje wiersz, albo zabiegała o pochwałę pochodzącą z Niemiec guwernantki Marthy. Wciąż wracała pamięcią do tego magicznego miejsca i zbierała tam to, co zostało. Ku zaskoczeniu wszystkich – niemiecki był przecież teraz językiem wroga – postanowiła studiować germanistykę, ponieważ dla niej istniały także inne Niemcy, Niemcy Marthy, Niemcy jej ojca, które wielokrotnie odwiedzał w interesach, Niemcy braci Grimm i Heinego, i Kleista, i Novalisa, i Hölderlina, no i oczywiście ukochanego Goethego.

Studiowała germanistykę i załapała się nawet na stypendium, dzięki któremu udawało jej się wiązać jakoś koniec z końcem. Ile razy ja i brat słyszeliśmy, że niemiecki język i kultura uratowały jej życie. Temu językowi pozostała wierna do końca życia, w nim odnajdywała pocieszenie i ciepło, dobro i wzniosłość – wszystko, czego szczędził jej los od czasu aresztowania i wywózki ojca. Mój brat miał na nią później w razie potrzeby swój sposób. Za każdym razem, gdy mówił, że niemiecki brzmi „jak młot pneumatyczny” i nie zamierza się go uczyć, czuła się głęboko dotknięta i reagowała z oburzeniem.

Właściwie żałuję, że w żaden sposób nie udokumentowałam jej sprzeczek z babudą dwa o wyższość niemczyzny nad francuszczyzną. To były istne walki

gladiatorów, prawdziwe lekcje pogładowe na temat potyczek słownych. Czasami padały całkowicie absurdalne argumenty albo cytaty z najprzeróżniejszych źródeł, na przykład *Pieśń o Nibelungach* versus *Pieśń o Rolandzie*, Goethe versus Racine, Kant versus Voltaire, Musil versus Proust. Te kłótnie i niekończąca się wymiana argumentów, to zestawianie francuskich i niemieckich cnót były melodią mojego dzieciństwa. Wszyscy wiedzieliśmy, że w tej walce nie mogło być ani zwycięzców, ani pokonanych, że zawsze zakończy się niesatysfakcjonującym remisem.

– Niemiecki jest już choćby dlatego najwspanialszym językiem świata, że słowa „*leben*” i „*lieben*” różni tylko jedna jedyna litera „i” – powiedziała babuda jeden pewnego słonecznego poranka podczas śniadania.

Ojciec był zatopiony w swojej gazecie, ja i brat jak zwykle o coś się sprzeczałyśmy, w tle leciały w radiu jakieś kiczowate pieśni ludowe, których słuchała Oliko, i wszystko było jak zawsze. Czuliśmy, że znów nadciąga niekończąca się dyskusja.

– Deda, proszę cię, nie zaczynaj znowu, a przede wszystkim nie teraz! – westchnął ojciec.

– A niby czego? Trzeba to przecież w końcu powiedzieć.

Eter spojrzała z satysfakcją w kierunku Oliko, która zachowywała się tak, jakby niczego nie słyszała, ale widać było, że przyjęła twierdzenie rywalki z uznaniem i uważała to za mistrzowskie posunięcie.

– Słonko, podaj mi, proszę, masło – Oliko zwróciła się jak gdyby nic do mego brata.

Eter nie oczekiwała wprawdzie żadnego wieńca laurowego, ale można było wyczuć, że uważa to swoje banalne zdanie za małe zwycięstwo, i kontynuowała z samozadowoleniem śniadanie. Jednak zanim podnieśliśmy się z krzeseł i odeszliśmy od stołu, nastąpił kontratak.

– A wiecie, dlaczego francuski jest najpiękniejszym językiem świata?

Oliko omiotła iskrzącym spojrzeniem każdego z osobna. Byliśmy przyzwyczajeni, że uczestniczymy w tych wiecznych dyskusjach, stanowiliśmy

część areny, zagrzewaliśmy je swoją obecnością do walki, bez nas ta gra nie miałaby sensu i była po prostu nudna.

– Bo tylko w języku francuskim orgazm nazywany jest „małą śmiercią”. *La petit mort* – dodała z satysfakcją swoją nienaganną francuszczyzną.

Ojciec zakrztusił się herbatą.

– Już całkiem postradałaś zmysły? Przecież dzieci siedzą przy stole! – z miejsca upomniała ją Eter, ale widać było, że jest oburzona tylko połowicznie, bo podoba jej się riposta przeciwniczki.

– Co to jest orgazm? – spytał mój brat i popatrzył filuternie na obie babcie, uśmiechając się przy tym od ucha do ucha.

Eter Kipiani uchodziła w katedrze germanistyki Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego za koryfeuszkę. Miała tytuł profesorski i pracowała tam początkowo jako nauczyciel akademicki, a potem jako kierowniczka katedry. Jej syn, a mój ojciec, Guram był przedwcześnie dojrzałym chłopakiem, który usiłował sprostać intelektualnym oczekiwaniom swojej matki i już jako uczeń w niczym nie ustępował jej ulubionym studentom, o których wiecznie mu opowiadała. Wtajemniczała syna we wszystkie swoje troski i problemy, nie dostrzegając przy tym emocjonalnego obciążenia, jakim go obarcza. Dlatego ojciec wypracował sobie z biegiem lat pewną strategię, którą stosował w kontaktach z dominującą matką do końca jej dni. Dawał jej to, co chciała usłyszeć bądź zobaczyć, zaś to, co go rzeczywiście dręczyło lub mu ciążyło, zostawiał dla siebie. Jestem święcie przekonana, że wieczna rywalizacja obu babć brała swój początek dokładnie tam, w sercu ojca.

Tata już od najmłodszych lat był zafascynowany naukami ścisłymi. Kiedyś w rozmowie z wychowawczynią jego matka pokiwała milcząco głową, po czym stwierdziła z lekkim ubolewaniem w głosie: „Wolałabym wzbudzić w nim zapał do czegoś istotniejszego...”. Nauczycielka spojrzała na Eter nieco poirytowana: „Chciałam go zgłosić do krajowej olimpiady młodzieżowej z matematyki!”. Ale Eter wzruszyła tylko ramionami.

Wygrał tę olimpiadę i w następnym roku poszedł do szkoły średniej imienia Komarowa dla wybitnie zdolnej młodzieży, do której chodzili już inni geniusze matematyczni z okularami na nosie. Tam odkrył swoją prawdziwą pasję, fizykę, i po ukończeniu szkoły z najwyższą notą i uzyskaniu „czerwonego dyplomu”, o którym przypominano memu bratu przy każdej nadarzającej się okazji, postanowił studiować fizykę. Dzięki rekomendacji kilku nauczycieli udało mu się dostać do Moskiewskiego Instytutu Fizyki i Technologii, jednego z wiodących elitarnych instytutów w Związku Radzieckim.

Matkę mojej matki, babudę dwa, oficjalnie Olgę, ale zazwyczaj nazywaną Oliko, spotkał nie mniej tragiczny los niż jej odwieczną rywalkę. Ona także przysłała na świat w burzliwych czasach sowietyzacji Gruzji. Jako dziecko wywodzące się z burżuazyjnych kręgów miałyby, podobnie jak Eter, wszelkie przesłanki ku temu, by wieść beztroskie i przyjemne życie. A przede wszystkim piękne. Ponieważ w przeciwieństwie do matki mojego ojca Oliko była na wskroś estetką, oddaną bez reszty wszelkiemu pięknu. Wszystko na świecie oceniała pod kątem piękna, a gdy już uznała jakiś obiekt za piękny – kwiat, człowieka, dom, kota lub jakąś książkę – pozostawała pod jego absolutnym urokiem, w każdym razie do chwili kolejnego odkrycia. Musiała być nieustannie zakochana, w świecie, w ludziach, w sobie samej. Musiała być zachwycona, oczarowana, odurzona tym, co ją otacza, żeby czuć, że żyje. Ta cecha, jestem o tym przekonana, nieraz uratowała jej życie, nie pozwoliła zgorzknąć mimo ciężkich strat, jakie poniosła, w tym ostatniej z nich, utraty własnego dziecka. Oliko nie zatraciła w sobie tego wielkiego daru dostrzegania w każdej najmniejszej banalności jakiegoś cudu. Tak, babuda jeden miała całkowitą rację, twierdząc, że Oliko jest jak fruujący motyl – wprawdzie piękny, ale nietrwały. Czasem jej zainteresowanie gasło tak szybko, jak się rozpałało, i oczywiście większość jej planów i zamiarów pozostawała niezrealizowana, na co Eter patrzyła z politowaniem, ponieważ ona była kobietą bardzo solidną i dokładną. Ale Oliko nie przywiązywała do tego wagi.

Kiedy dziś o tym rozmyślam, nie przychodzi mi do głowy nikt inny, kto miałby tak nieograniczoną zdolność bycia szczęśliwym. I fakt, że życie skąpiło jej tego szczęścia, wydaje mi się zarówno niesprawiedliwy, jak i głupi. Ponieważ życie powinno wychodzić naprzeciw ludziom, którzy są gotowi cieszyć się każdym dniem, życie powinno tańczyć z nimi długowieczny taniec. Ale jak to zazwyczaj bywa, życia nie obchodzi, z jakimi oczekiwaniami w nie wkraczamy, a w przypadku Oliko nie obchodziło to także bolszewików.

Ojciec Oliko był chirurgiem, do tego frankofilem i socjaldemokratą od zarania, żarliwym zwolennikiem republiki, która w jego słonecznej ojczyźnie mogła przetrwać jedynie trzy lata. Mimo że jego brat, który jeszcze przed rewolucją wyemigrował do Francji, proponował mu, by do niego dołączył, postanowił zostać w ojczyźnie w przekonaniu, że przecież nie będzie tak źle. Powtarzał to jeszcze na dzień przed wywłaszczeniem i upokorzeniem, jakiego doznał, gdy na czarno ubrani czekiści zabrali go z domu, a następnie wrzucili do celi w więzieniu Metechi. (Oliko zawsze nazywała ich „czekistami”, a mnie zajęło trochę czasu, zanim zrozumiałam, że „czekiści” i „bolszewicy” to jedno i to samo). Podobno wciąż powtarzał, że dyrektora Szpitala Michajłowskiego nie da się tak łatwo wsadzić za kraty. Ale potem, podczas aresztowania, nie powiedział ani słowa, tylko wyciągnął spod łóżka spakowaną zawczasu walizkę.

Z biegiem lat ta brązowa podniszczona walizka stała się także i dla mnie symbolem czegoś potężnego i gwałtownego, co z dnia na dzień może wedrzeć się w nasze życie i spustoszyć wszystko, co budowaliśmy z trudem długoletnią pracą.

Rozpoczęły się długie i wyczerpujące miesiące niepewności. Mama Oliko całymi nocami wystawała pod więzieniem Metechi pełnym ludzi, którzy nie byli w stanie czcić fałszywego bożka. „Deportacja byłaby gorsza, a tak mógł jeszcze mieć nadzieję, że zostanie w swoim ojczystym mieście i blisko rodziny”. Eter zawsze wtrącała się w tym miejscu, jakby chciała także w cierpieniu mierzyć się ze swoją ukochaną konkurentką. Gdy Oliko dochodziła do fragmentu, w którym zaczynała opowiadać o jedynym spotkaniu matki z ojcem, o tym, jak udało jej się przekupić strażników i przemyścić przez grube więzienne mury przygotowaną

z wielkim trudem paczkę z jedzeniem i paroma czystymi ubraniami i jak chory na dyfteryt i osłabiony ojciec upuścił pakunek, ponieważ za bardzo drżały mu ręce, kończyła się cierpliwość Eter i przerywała Oliko złośliwym komentarzem. Wówczas z kolei Oliko traciła panowanie nad sobą i strofowała babudę jeden typowym dla siebie wysokim tonem: „Jak śmiesz! Nie masz prawa! Nie masz pojęcia, przez co przeszła moja matka i jak my się wtedy czuliśmy! Tobie zostawili przynajmniej matkę, a mnie zabrali nawet ją...”.

I całe przedstawienie zaczynało się od początku, w rolach głównych Eter, surowa, zdyscyplinowana i szorstka matka naszego ojca, oraz Oliko, wiecznie rozmarzona i naiwna romantyczka, egzaltowana entuzjastka, matka naszej zmarłej mamy.

Owe sceny kończyły się zazwyczaj tym, że jedna z nich wybiegała obrażona z pokoju i ustępowała pola konkurentce. A my, tak czy owak, pozostawaliśmy w szponach opowiadanych przez nie historii. Według nas nie było między nimi jakiejś specjalnej różnicy, obie były tak samo smutne, tak samo przerażające i tak samo odległe. Ja i brat byliśmy skazani na role wiecznych słuchaczy i nawet on, który później w wyniku swojej bezkompromisowej rebelii odwrócił się od rodziny, rozumiał wtedy, że babcie nas potrzebowały, nawet bardziej niż my ich. I że ich dawne tragedie i komedie zawsze rozgrywały się za zamkniętymi drzwiami i być może to było w ich życiu największym dramatem.

Ojciec Oliko nie trafił do gułagu. Niegodne warunki w więzieniu, brak higieny, ale nade wszystko podsycane przez strażników odczłowieczenie osadzonych, którego doświadczył pogodny lekarz, przyniosły mu szybki koniec jeszcze w Tbilisi. A gdy rodzina myślała, że najgorsze już za nią, zabrano także matkę i deportowano do Peczory położonej w republice Komi. Słóczeni jak bydło na małym statku, w ciasnych kabinach bez okien, płynęli, pokonując wysokie fale morskie, na koniec świata, tam, gdzie przetrwać mógł tylko ten, kto odłożył swoje człowieczeństwo na bok jak piękną jedwabną pelerynę, która na siarczystym mrozie okazuje się zupełnie bezużyteczna.

A potem następował fragment, podczas którego mojemu bratu i mnie łączy równocześnie napływały do oczu, niezależnie od tego, który raz słuchaliśmy tej opowieści, i niezależnie od tego, jak dobrze znaliśmy dobór słów używanych przez Oliko, by opisać to, czego dowiedziała się dopiero wiele lat później od pewnej kobiety, której udało się przeżyć. O tym, jak matka w arktycznej głuszy przy niewyobrażalnym mrozie uczyła inne więźniarki gruzińskich pieśni i jak podczas rąbania drewna śpiewały *Cicinatela* na głosy. Oliko milkła w tym miejscu i zalegała cisza nie do zniesienia, ale żadne z nas nie było w stanie jej przerwać.

Siostra Oliko, która, jak mawiała babcia, nigdy w życiu nie przyrządziła sama nawet jajecznicę, za to całymi dniami czytała książki w trzech językach, uznała za konieczne poszukać jakiegoś sposobu na zapewnienie godnego życia sobie i siostrze. Wyszła więc za mąż, podobnie jak babuda jeden, za aparatczyka (kolejne słowo, które wydawało mi się groźne i obce jak jakiś niebezpieczny czarownik z bajki), pracownika NKWD. Powiedziała „tak” komuś, kim całkowicie pogardzała. Oliko do końca życia nie potrafiła pozbyć się wyrzutów sumienia z powodu poświęcenia swojej siostry. Obie przeżyły. Także wojnę, która wstrząsnęła całym światem i przestawiła oś czasu na godzinę zero.

Gdy ambitnemu szwagrowi zaproponowano stanowisko w Najwyższej Radzie Gospodarki Narodowej w Moskwie, Oliko została sama. Jednak szwagier przekazał jej przestronne mieszkanie położone niedaleko uniwersytetu. Podjęła studia języka francuskiego i literatury w przekonaniu, że odda tym hołd swojemu ojcu. Już na pierwszym roku zakochała się w pewnym młodym profesorze, którego nazywała „mój trubadur”, i dała się całkowicie porwać miłosnej przygodzie. Wyrosła na niezwykle atrakcyjną kobietę. (Przypominają mi się liczne czarno-białe zdjęcia z zygzakowatymi brzegami, na których została uwieczniona jako młoda dziewczyna). Była delikatna, otoczona aurą ponadczasowości, zupełnie inna niż smutna i przygnębiająca rzeczywistość powojenna. Ludzie przeżyli zbyt wiele potworności, dlatego łaknęli piękna, a Oliko roztaczała je wokół siebie, miała go aż w nadmiarze. Początkowo musieli ukrywać się z tą miłością, ponieważ była, bądź co bądź, jego studentką, chociaż niewiele młodszą od niego. Spotykali się więc

potajemnie w bramach kamienic i w zacienionych brukowanych zaułkach Starego Miasta. Prawdopodobnie to ów szczególny czas, w którym musiała dzielić się swoją miłością z całym Tbilisi łącznie z jego zakamarkami, sprawił, że wchłonęła to miasto jak poezję.

– Ulica Ninoszwilego nadaje się do jedzenia śliwek i opowiadania kawałów. – Nierzadko rzucała ot tak po prostu takie dziwne komentarze. – A na tyłach karawanseraju można się cudownie całować, jest tam wspaniały ogród różany.

Najwyraźniej jej miłość mogła kwitnąć jedynie w ukryciu, wśród potajemnych szeptów i ukradkowych spojrzeń, ponieważ gdy tylko została wystawiona na światło dzienne, zwiędła jak cieniolutna roślina, której szkodzi słońce. Już w drodze do urzędu stanu cywilnego Oliko czuła, że cały czar prysł, ale nie odważyła się torpedować tak wyczekiwanego wydarzenia. Małżeństwo przetrwało równo rok, choć Oliko dokładała wszelkich starań, by być przykładną gospodynią domową, zrezygnowała nawet z posady nauczycielki języka francuskiego i literatury. Jednak jej trubadur bardzo szybko zamienił się w typowego mężczyznę z Kaukazu, oczekującego, by co rano wisiała na krześle wyprasowana koszula, a po powrocie do domu czekał na stole ciepły obiad. Oliko umierała z nudów i zaczęła wychodzić na długie spacerunki po mieście, podczas których nuciła sobie pod nosem francuskie piosenki. Jedną z takich piosenek oczarowała pewnego schludnego pana w eleganckim kapeluszu, który po bolesnym rozwodzie rozglądał się akurat za jakimś nowym mieszkaniem.

Ów schludny pan okazał się niezwykle szarmanckim inżynierem oraz zapalonym alpinistą. W taki oto sposób Oliko odkryła w sobie miłość do kaukaskich gór, która przetrwała to krótkie i bezdzietne małżeństwo. Po drugim rozwodzie zajęła się wreszcie tym, do czego czuła się powołana i czemu pozostała wierna do końca życia. Zaczęła tłumaczyć francuską beletrystykę. „Przekładając Anatola France’a, straciłam jako tłumaczka dziewictwo” – zwykła często mówić, chichocząc przy tym jak mała dziewczynka. Mężowie przychodzili i odchodzili, ale France, La Rochefoucauld, Rolland, Balzac, Sand, Flaubert, Verne, Montaigne i jej

„wielka miłość”, Baudelaire, którego przetłumaczyła na pół legalnie dla samizdatu**, pozostali już z nią na zawsze.

W związku pisarzy poznała pewnego redaktora komitetu do spraw liryki, który został jej trzecim i ostatnim mężem i naszym nieznanym dziadkiem. Poważany redaktor o literacko-heroicznym imieniu Tariel kochał poezję, dobre wino i piękne kobiety, poza tym otaczała go aura bohatera – faktycznie brał udział w szturmie na berliński Reichstag, a jego pierś zdobiło wiele orderów za zasługi. Po trzecim małżeństwie pozostało nareszcie coś ważniejszego niż góry czy tajemnicze uliczki miasta – córka, której Oliko dała na imię Esmā. Było to imię pewnej góralki, którą Oliko poznała podczas jednej z wędrówek w okolicach Kazbeku i która poczęstowała ją kozim mlekiem, wyrażając przy tym życzenie, by uroda Oliko przyniosła jej i jej kozom szczęście. I mimo że Oliko nie znosiła koziego mleka, wypiła duszkiem cały dzbanek. Tak głosi w każdym razie legenda.

Tariel był dobrym ojcem, ale niedobrym małżonkiem. Jego głód wina i kobiet był wiecznie niezaspokojony, więc małżeństwo zakończyło się po pięciu latach rozwodem. Tuż przed narodzinami Ratiego Tariel zmarł na zawał serca w drodze na spotkanie z nową kochanką.

Esmā wyrosła na żądną przygód kobietę i w znieawidzonym przez swoją teściową mieście poznała naszego ojca. Została naszą matką i prowadziła życie w tempie nieznanym żadnych ograniczeń, aż któregoś lutowego ponurego, deszczowego poranka z zawrotną prędkością... Ale to zupełnie inna historia, więc pozostanę jeszcze przez jakiś czas na naszym podwórku.

Zatrzymuję na chwilę wzrok na naszej ścianie frontowej, która z góry wydaje się taka mała. Myślę o ojcu. Dostyc szybko przyzwyczaiałam się do tego, że potrzebuje pobyć sam ze swoimi fizycznymi wzorami. Słowa zawsze wydawały mu się czymś obciążającym i zbędnym. Wprawdzie odpowiadał uprzejmie na wszystkie pytania, ale nigdy nie wypowiedział zdania, które do niczego nie służy. A już najmniej potrafił mówić o uczuciach. W zasadzie istniały dwa tematy, przy których nie szczędził słów: fizyka i jazz, którym zaraził się podczas studiów i który

przez całe życie stanowił jego schronienie. Zresztą tak jak Moskwa. Kochał to miasto i spędzony tam czas. Może dlatego, że on, kujon w okularach, po raz pierwszy w życiu poznał prawdziwych przyjaciół. Tam, w Moskwie, był jako student renomowanego Instytutu Fizyki i Technologii wśród swoich, nikt nie patrzył na niego jak na budzącego nieufność zarozumialca i odludka. Podobno, gdy przyjechał na ferie do domu, mama go nie poznała. Przestał nosić wykrochmalone i zapięte pod szyję koszule, włosy miał nieco dłuższe, niż zalecała doktryna socjalistyczna, bujne brwi przestały wyglądać śmiesznie, były raczej frapujące, zmienił się także jego chód, przestał włączyć nogami, rozrósł się w barach i w takiej oto postaci, z podniesioną głową, z elegancką teczką pod pachą, wkroczył na podwórze swojego dzieciństwa, ściągając na siebie spojrzenia wszystkich mieszkańców.

Ponadto w tym wielkim, szarym mieście poznał swojego osobistego boga, laureata Nagrody Nobla, Aleksandra Michajłowicza Prochorowa, pioniera w dziedzinie elektroniki kwantowej, który szybko stał się dla niego ojcem zastępczym i mentorem. Wybrał go na swego promotora pracy doktorskiej, w następstwie czego ten wielki naukowiec i wicedyrektor moskiewskiego Instytutu Fizycznego imienia Lebidiewa zaoferował mu stanowisko badawcze w prowadzonym przez siebie laboratorium elektroniki kwantowej. Było to dla Gurama spełnienie marzeń. Wyprowadził się z akademika, rozpoczął życie chorobliwie ambitnego badacza, wszedł w subwersywne kręgi artystyczne i zapalał miłością do swojej drugiej pasji – jazzu. Ileż to razy Rati i ja musieliśmy wysłuchiwać historii sowieckiego jazzu! Mógł godzinami opowiadać z pasją o pustych halach magazynowych i opuszczonych budynkach fabrycznych, w których odbywały się zakazane jam sessions niczym tajne spotkania jakiejś sekty, na które każdy z wtajemniczonych mógł wprowadzić tylko jednego nowego gościa. W ten sposób ktoś wprowadził tam pewnego dnia mamę.

Ojciec opowiadał, że już od pierwszej chwili zrobiła na nim „piorunujące wrażenie”, i być może była to najbardziej emocjonalna opowieść, na jaką kiedykolwiek się zdobył. Tak, wierzę mu, ktoś taki jak on musiał być pod

wrażeniem tej młodej kobiety z zuchwałą fryzurą na pazia i nerwową mimiką, kobiety, która ciągle gdzieś gnała, jakby nie miała ani chwili do stracenia.

Był bardzo zaskoczony, gdy podczas rozmowy okazało się, że Esma również pochodzi z Gruzji i właśnie kończy historię sztuki na Uniwersytecie Łomonosowa. A ona podobno tak przesadnie ucieszyła się z odkrycia, że oboje pochodzą z Gruzji, jakby w całej Rosji nie było żadnych innych Gruzinów. Ta kobieta o imieniu przypominającym zaśnieżone kaukaskie góry została Ratiego i moją matką.

Odrywam wzrok od fotografii i powoli się odwracam.

* Niemiecki czasownik „*leben*” oznacza „żyć”, a „*lieben*” – „kochać” (przyp. tłum.).

** Z rosyjskiego, „*samodielnoje izdatielstwo*” lub „*sam izdaju*”, potoczne określenie publikacji wydawanych poza zasięgiem cenzury w ZSRR od przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku, drugi obieg (przyp. tłum.).

DINA

Jeszcze tylko chwila i oba skrzydła wielkich drzwi ze złożonymi klamkami zostaną otwarte, wkroczą tu ludzie i zaczną odrywać epokę za epoką jak kartki z kalendarza i odkładać je na bok. Będą próbowali wydzierać przeszłości jej tajemnice, wnikać w twarze i miejsca jak zapaleni archeolodzy poszukujący czegoś nadzwyczajnego. Będą grzebać w naszych życiach, będą usiłowali nas przejrzeć. Będą mijać zdjęcia grozy, popijając z kieliszków i wkładając drobne przekąski do swoich doskonale wyprofilowanych ust, będą starali się uciec od tych obrazów i znaleźć, z marnym skutkiem, coś łaskawszego. Tylko nieliczni zahartowani stawiają czoła okrucieństwu, wchłoną owe obrazy, ponieważ uważają, że są to winni tym dziełom sztuki, ale nie rozumieją, że ta sztuka nie ma nic wspólnego z pięknem i estetyką, że nie jest to forma świadomie wybrana po to, by trafić do widza z ważnym przesłaniem, lecz stanowi wyłącznie czysty akt przetrwania, tylko tyle i aż tyle.

Czuję, jak narasta we mnie nerwowość, być może Ira odczuwa to samo, bo wyraźnie widać, że usiłuje nie wypaść z odświętnych ram, uśmiecha się i okazuje zainteresowanie rozmową, kiwa głową, kiedy trzeba i śmieje się z błyskotliwych puent.

Robi mi się gorąco, pot niemal ścieka mi po dłoniach, mam mokre czoło, rozglądam się za napisem „WYJŚCIE”, muszę mieć wyjścia stale w zasięgu wzroku, muszę być gotowa do ucieczki. Przepraszam, oddalam się od grupki z kuratorami, Anano i Irą, po czym pędzę do toalety. Potrzebuję wody, muszę odetchnąć, muszę się lepiej uzbroić, a jednocześnie przecież wiem, że to niemożliwe, że nie da się uzbroić przeciw temu wszystkiemu, co mnie czeka.

Przemierzam szybkim krokiem parkiet, po drodze zawieszam wzrok na pewnym zdjęciu i natychmiast się zatrzymuję, nie panuję już nad swoim ciałem,

zdjęcie przyciąga mnie jak magnes, nie mogę się powstrzymać, wlepiam wzrok. Tej fotografii też nie znam. Ciekawe, z którego jest roku? Tak, musi być z początkowego etapu jej kariery, jak zdjęcie naszego podwórza.

Autoportret, bardzo prosty i radykalny w swojej prostocie. Pokazuje Dinę ze zdalnym wyzwalaczem w ręku. Stoję jak rażona piorunem, robi mi się niedobrze, jest tak nieprzyzwoicie młoda, tak piękna, tak bezlitośnie głodna życia, ma w sobie jeszcze tyle miejsca, tyle ogromnych przestrzeni pełnych obietnic, obietnic, które tylko czekają na spełnienie. Jej wzrok jest skierowany prosto w obiektyw, to cała ona. Nie mogę się powstrzymać i mimo wszystko spoglądam jej w oczy. Widzę jej głód świata, jej otwartość, którą prowokuje widza. Ile może mieć tu lat? Siedemnaście? Osiemnaście? Ciekawe, co robiła, przeżyła, mówiła tego dnia? Czy widziałyśmy się wtedy, czy spędziłyśmy ten dzień razem, jak wiele wcześniejszych i późniejszych dni? Śmiałyśmy się, denerwowałyśmy się nawzajem? Wyznawałyśmy szeptem jakieś tajemnice?

Nie wiem i ta niewiedza pali mnie w język, wżera się weń, chciałabym odzyskać pewność, chciałabym wyłuskać ją z przypadkowości wspomnień, ale wiem, że to pragnienie jest nedorzeczne i śmieszne.

Patrzę jej w oczy, daję się sprowokować temu gniewnemu spojrzeniu, które chce wszystko ogarnąć, zgłębia każdy ciemny zakątek, bada każdą otchłań, studiuje każdy skrawek, podąża za każdym niebezpieczeństwem. Spogląda na mnie z odległych czasów, zdaje się mieć w sobie tyle życia, o wiele więcej niż ja i wszyscy inni, którzy są teraz w tej sali i ci, którzy za chwilę ją wypełnią, jak gdyby przechytrzyła swoją śmierć, jakby znalazła sposób, by powrócić, spotkać się ze mną i powiedzieć, że jednak było warto... mimo wszystko.

Ten jej szelmowski uśmiech, ta jej kokieteryjnie lekko przekrzywiona głowa, nieposłuszne i nieokiełznane włosy opadające na twarz. Ona wie o wiele więcej niż my. Znów gapię się na nią i nagle zdaję sobie sprawę ze swojej pomyłki, tak, wyciągnęłam niewłaściwy wniosek, pomyliłam się, to nie słodkie obietnice, nie ocean możliwości odkrywam w jej twarzy, oglądając jej wczesne fotografie, które sznurują mi gardło i wywołują mdłości, bo przecież życie tak bardzo ją oszukało

i rozczarowało. Nie, to byłoby mylne założenie sądzić, że na tych wczesnych autoportretach wygląda tak bezwstydnie młodo, jasno i żywotnie dlatego, że jeszcze nic nie wie o tych potwornych zwrotach w swoim życiu, bo ma nadzieję, że życie jest dla niej łaskawe i pozwoli jej spełnić marzenia. Nie, jest zupełnie odwrotnie. Magia tych zdjęć, siła jej wczesnych portretów, a w szczególności tego tutaj, tkwi nie w nadziei, lecz w jej świadomym flircie ze śmiertelnym ryzykiem, możliwością porażki i niespełnienia. To dlatego tak trudno znieść widok tego zdjęcia, bo celebrytuje siebie, ten moment i wszystko, co ma nastąpić, otwiera się na wszelkie ewentualności – bo ta twarz już przeczuwa, że marzenia mogą być wielką pułapką, a życie okazuje się polem bitwy, na którego końcu nie czeka nas upojne świętowanie, lecz bezdenne otchłań, a mimo to człowiek podejmuje ryzyko i bez reszty wystawia się na jego pastwę.

Wycofuję się chwiejnym krokiem, zabarykadowuję się w damskiej toalecie i wybucham płaczem.

Przypominam sobie, jak zobaczyłam ją pierwszy raz na naszym podwórku. Ten dzień i każdy szczegół tego dnia pozostaną już na zawsze w mojej pamięci. Ona sama nie pamiętała tego popołudnia, dla niej to nie było nic szczególnego, bo już wtedy żyła według własnej rachuby czasu – subiektywizm, który stanowił jednocześnie jej przekleństwo i błogosławieństwo. Twierdziła, że nasza przyjaźń rozpoczęła się tamtej nocy, gdy zaświeciła mi w oczy latarką. Ale dla mnie zaczęła się znacznie wcześniej, właśnie tego dnia, gdy na podwórko wjechał wielki kamaz i wysiadła z niego jej matka, otarła pot z czoła i zaczęła komenderować dziećmi obładowanymi walizkami i kartonami. (Zachowanie tego uderzająco odmiennego tria musiało wtedy zafascynować mnie do tego stopnia, że jeszcze tego samego wieczoru narysowałam tę scenę, a rysunek przechowywałam potem w szufladzie przez wiele lat).

Stałam wówczas na górze, w naszej loggii przy oknie, i stamtąd obserwowałam całe zamieszanie na dole. Było gorąco, wakacje właśnie się zaczęły i wiele osób uciekło już z miasta, dlatego podwórko wyglądało jak wymarłe. Tylko Tarik

siedział w rogu przy kranie i jadł pestki słonecznika, zastanawiając się, czy powinien zaoferować nowo przybyłym pomoc, czy nie. Ze względu na wysokość i odległość nie mogłam przyjrzeć się twarzom nowych mieszkanek z bliska, ale pamiętam, że granatowe dzwony młodej kobiety, dyrygującej dziećmi w niezwykle kategoryczny sposób, nonszalancja jej ruchów, okulary przeciwsłoneczne na głowie i espadryle na nogach były dla mnie kompletnie nowym zjawiskiem, odkryciem mody, czuło się w tym coś zachodniego, co robiło wielkie wrażenie i z miejsca wzbudziło mój zachwyt. Nie mogłam od tej trójki oderwać wzroku, od tych nowych członków naszego mikrokosmosu, którzy wprowadzali się właśnie do sutereny sąsiadującej z mieszkaniami ormiańskiego szewca Artioma oraz kurdyjskiej rodziny. Już parter uchodził u nas za miejsce zarezerwowane dla tych, którzy nie mieli innego wyboru, a co dopiero suterena, do której prawie w ogóle nie wpadało światło i z której widać było tylko nogi przechodniów, tak jakby architekt chciał w ten sposób dodatkowo podkreślić status jej mieszkańców. W dodatku ta suterena, która od lata stała pusta i była zamknięta na wielką zardzewiałą kłódkę, nadawała się tylko na lokum dla pariasów. Nie mogłam zrozumieć, co tutaj robią ta gustownie ubrana i, jak można było przypuszczać, światowa kobieta oraz jej dzieci. Starsza córka była zapewne w moim wieku, ja skończyłam niedawno osiem lat, młodsza pewnie zaczynała podstawówkę. Obie odziedziczyły chyba imponującą nonszalancję po swojej stylowej matce, obie miały bujne włosy, gęste ciemne loki sięgające do linii brody. Pojedyncze kosmyki tak im falowały na głowach, że przypominał mi się pewien lew z filmu dokumentalnego, który w zwolnionym tempie podrywa się do skoku na ofiarę. Wszystkie trzy były bardzo ruchliwe i w pewien niepokojący sposób nadpobudliwe, jakby nie potrafiły usiedzieć w miejscu ani sekundy. Emanowały jakąś dla mnie wówczas niezwykle obcą formą wolności, jakby w ogóle ich nie obchodziło, jakie robią na innych wrażenie. Było to coś, czego w swoim socjalistycznym dzieciństwie jeszcze nie widziałam.

Ale te wrażenia miały także bardziej osobisty charakter. Od najmłodszych lat tworzyłam sobie własny obraz swojej matki, złożony z ruchomych elementów, jakimi były informacje, zdjęcia i fantazje. Matkę z mojej wyobraźni

charakteryzowało przede wszystkim jedno: była inna. Inna niż cała reszta, którą znałam. Lepsza, bardziej wolna, dzika, głodna życia, odważniejsza, mądrzejsza, nieustraszona – i prawdopodobnie tę młodą i piękną matkę, którą zobaczyłam na podwórku, od razu skojarzyłam z obrazem mojej zmarłej matki, który nosiłam w sercu, odkąd sięgam pamięcią.

Całe moje dzieciństwo było naznaczone poszukiwaniem dowodów na to, że ten niemal nieosiągalny, wyidealizowany obraz matki jest prawdziwy, i do dzisiaj łapię się czasem na tym, że myślę sobie: „Tak, to na pewno by się jej spodobało” albo „Tak, w tej sytuacji na pewno by tak postąpiła”. Chwytałam się czasem jakiejś cechy, która wydawała mi się atrakcyjna albo na swój sposób szczególna, i przypisywałam ją matce. Nie wiem, czy ten obraz był wynikiem moich najskrytszych marzeń, by mieć nietuzinkową mamę, czy rzeczywiście szła pod prąd, jak można było się domyślać z krążących na jej temat opowieści. W każdym razie nie potrafiłam inaczej i każde odstępstwo od normy traktowałam jako coś niezwykle pociągającego. Z jednej strony wszystkie historie na jej temat, jakie znaliśmy ja i mój brat, wszystkie nasze wspomnienia potwierdzały, że była żywiołowa, pogodna, ciekawa wszystkiego i żądna przygód. Ale z drugiej strony równie dobrze mogła być osobą przytłoczoną, rozczarowaną i skazaną na łaskę i niełaskę codzienności, kobietą, która chciała uciec przed poczuciem rozgoryczenia. Dlatego sądzę, że droga, która zaprowadziła mnie wprost w ramiona Diny, byłaby bez jej matki niemożliwa. Gdyby nie Lika, dzięki której mój nieosiągalny matczyny ideał został zastąpiony namacalną, realną postacią, byłabym z pewnością ostrożniejsza i wystrzegałabym się szalonych pomysłów Diny. Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że najpierw zaczęła mnie w magiczny sposób przyciągać otwartość Liki, którą zwietrzyłam, stojąc wówczas na swoim stanowisku obserwacyjnym. Dopiero potem doszły do tego odwaga i zdumiewający nonkonformizm, może też coś hipisowskiego, ale wtedy nie znałam jeszcze tego słowa.

Trzy nowe mieszkanki wypakowywały w doskonałych nastrojach swoje rzeczy, a mnie nawet nie zdziwiło, że brakuje tam męskich pomocników, w Gruzji

zazwyczaj nieodzownych podczas przeprowadzki. Ale one zdawały się nie potrzebować niczego i nikogo i chociaż trudno było mi sobie wyobrazić, jak one wniosą ciężkie meble do swojego niedoświetlonego mieszkania, byłam pewna, że znajdą jakieś rozwiązanie. Nie wyglądały na kobiety, które potrzebują pomocy. Wszystko przebiegało w uporządkowany sposób, wykonywały płynne ruchy, każdy chwyt był pewny. Nawet najmłodsza łapała małymi rączkami kosze pełne naczyń i schodziła z nimi cztery schodki w dół tak zwinnie jak żongler na linie. W pewnym momencie zrobiły przerwę i usiadły na ziemi. Kobieta rozdzieliła między dziewczynki czereśnie i naląła im z termosu jakiegoś czerwonego płynu. W tym momencie strasznie zapragnęłam znaleźć się wśród nich i jeść razem z nimi te same czereśnie, i pić ten sam czerwony napój. Ja też chciałam mieć w sobie taką lekkość, taką swobodę, na które brakowało mi wtedy określeń, ja też chciałam mieć takie sandały jak starsza córka i taki rzemyk na przegubie ręki jak młodsza z nich. Przeszył mnie jakiś skurcz i to uczucie było nie do zniesienia.

Odwróciłam wzrok i odeszłam od okna. Otworzyłam lodówkę i zaczęłam się rozglądać za czymś do jedzenia. Babuda jeden weszła do kuchni.

– Jesteś głodna, bukaszko?

Ofuknęłam ją, bo nie lubiłam, gdy używała tego pieszczotliwego, według mnie idiotycznego, określenia, a potem zażyczyłam sobie czereśni.

– Bu... Keto, nie mamy czereśni, są za to pyszne truskawki, tata kupił wczoraj na bazarze.

– Nie chcę truskawek, mam ochotę na czereśnie – wymamrotałam, po czym zaszyłam się w swoim pokoju. Straciłam humor, czułam się nieforemna, brakowało mi pewności ruchów, moje ciało było spięte, ubrania skromne, wykrochmalone i uprasowane przez babcię, czuć było ode mnie przeciętność, byłam niewidoczna, nie miałam niczego, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie tej rodziny.

Zgadza się, byłam nieśmiałym i wycofanym dzieckiem, zawsze w cieniu trudnego i nadpobudliwego brata, który wciąż chciał stać w centrum zainteresowania i ściągał na siebie uwagę wszystkich, a ja dzięki temu mogłam

zajmować się sama sobą. I trzeba przyznać, że skrętnie i do woli z tego korzystałam. Świat wydawał mi się za szybki i chaotyczny, ja chciałam w spokoju badać gruntownie każdą rzecz. Najbardziej pomagały mi w tym moje kredki i bloki rysunkowe, bez których prawie nigdy nie ruszałam się z domu. Rysowałam na lekcjach, kiedy było mi nudno. Uciekałam w ten sposób od rzeczywistości. Podczas posiłków rysowałam na papierowych serwetkach, a na podwórku malowałam kredą po ścianach. Rysowałam przedmioty i ludzi, czasem były to realistyczne obrazy, a czasem nieokreślone abstrakcyjne konstrukcje, których sama sobie nie byłam w stanie wytłumaczyć. Portretowałam Ratiego i jego kumpli we wszelkich możliwych sytuacjach, ojca zasłuchanego w jazz, rysowałam koty Nadii Aleksandrownej i Tarika z jakimś bezpańskim psem, ręce babudy jeden i spinki do włosów u babudy dwa, podczas gdy ona czytała mi jeden z przetłumaczonych przez siebie wierszy Verlaine'a. Rysowałam też ciągnące się w nieskończoność rzędy cyprysów w dzielnicy Sololaki i krzywe balkony okolicznych domów. Kochałam swego ojca, ale już od dziecka czułam, że każdego dnia pyta sam siebie, czy nie powinien był zrezygnować z zakładania rodziny. Życie rodzinne, poza godzinami, które mógł spędzać nad swoimi książkami i formułkami, po prostu go przerastało. Nie mógł pogodzić się z tym, że nasza mama zostawiła go po prostu na lodzie, odbierał jej śmierć jako niesłychane szyderstwo, jakby chciała nią przekreślić całe jego życie. A przecież dla niej zrezygnował z dobrze zapowiadającej się kariery w Moskwie, odwrócił się plecami do najjaśniejszych gwiazd na fizycznym firmamencie i przyszłych laureatów Nagrody Nobla, wrócił do ciasnej ojczyzny i pogodził się z tym, że zamiast wspinać się na wyżyny elektroniki kwantowej, musi zadowolić się zakurzonym pokoikiem w Akademii Nauk i długoletnią współpracą przy redagowaniu leksykonów i podręczników. Popełnił błąd, zakochując się w wiecznie poszukującej i ciągle niezadowolonej kobiecie, dla której domowa codzienność była męczarnią. Nie miał odwagi zostawić swojej ciężarnej żony, ale dawał jej do zrozumienia, że byłoby jej z nim lepiej, gdyby był spełnionym naukowcem, mógł mieszkać w Moskwie i zajmować się pracą badawczą. Ze swoim promotorem i idolem, Prochorowem, który w 1964

roku otrzymał Nagrodę Nobla za pracę w dziedzinie elektroniki kwantowej, mógłby dokonywać odkryć i zmieniać świat na lepszy. Zamiast tego był skazany na życie pantoflarza, który nawet w połowie nie mógł wykorzystywać swojego potencjału naukowego i który wywiązywał się ze swojej roli ojca rodziny raczej gorzej niż lepiej. Jego przygody miały miejsce w laboratoriach i centrach badawczych, wycieczki prowadziły do świata książek i konferencji, nie interesowało go to, co dzieje się poza przestrzenią teorii kwantowych. Życie składało się według niego z ciągu przygnębiających obowiązków i rozczarowań i tylko w swoich formułkach odnajdował czyste szczęście, tylko tam skrywało się coś, co można było odkrywać, natomiast prawdziwe życie było deprymująco przewidywalne.

Chętnie spytałabym mamę, czy małżeństwo oraz my, jej dzieci, także i dla niej okazały się klątką. Bardzo chciałabym usłyszeć w odpowiedzi zdecydowane „nie”, ale obawiam się, że nie byłaby w stanie udzielić mi jednoznacznie negatywnej odpowiedzi.

Zastanawiam się, co skłania tak kompletnie różnych ludzi jak moi rodzice do tego, by być razem. Czy to stan zakochania sprawia, że decydują się na tak irracjonalną przygodę, czy może w gruncie rzeczy zawsze jest tak, że ludzie szukają w drugim człowieku kogoś, kim sami nie są, oraz czegoś, czego sami nie posiadają?

Nie wiem, czy te otwarte pytania w ogóle zajmowały matkę w takim samym stopniu co ojca. Ojciec zdręczał się pytaniami, nie potrafiąc przyznać, że nie na wszystko w życiu można znaleźć odpowiedź i nie wszystkie problemy świata da się rozwiązać. Ale gdyby oboje przyznali to sami przed sobą, gdyby spróbowali zburzyć twardy jak beton konstrukt złożony z wyobrażeń i oczekiwań, wówczas mogliby wyzwolić się z więzów i znowu być sobą. Wtedy nie musiałabym przez całe swoje dzieciństwo czekać na jakiś znak od niego, jakiś przejaw akceptacji, zgody na mnie, na nas. Wtedy mój brat może... Ale takie dywagacje prowadzą w ślepią uliczkę, to nie ma sensu.

Do chwili, gdy poznałam Dinę wraz z jej rodziną, chciałam tylko jednego: nie sprawiać dorosłym kłopotów. Kłopoty to była specjalność mojego brata, aż nadto psuł im nerwy i doprowadzał do napiętej atmosfery w domu, a ja wtedy robiłam wszystko, żeby przywrócić stan równowagi. Należało w tym celu mieć dobre oceny w szkole, nikogo nie drażnić swoim zachowaniem i nie zawracać ojcu niepotrzebnie głowy swoimi drobnymi problemami. Ale skutek był oczywiście taki, że ojciec widział we mnie tylko swojego małego ołowianego żołnierzyka, który był zawsze na posterunku, zawsze do usług i służył generalnie do tego, żeby sprawiać mu jak najwięcej radości. Nienawidziłam sposobu, w jaki mnie traktował, automatycznego głaskania po policzku za dobre oceny z rosyjskiego i wybuchów złości podczas wspólnego odrabiania pracy domowej, gdy wbrew jego oczekiwaniom nie od razu coś rozumiałam, albo jego zdumienia, gdy – stosunkowo rzadko – byłam chora i wieczorem nie mogłam oglądać z nim w telewizji *Świata zwierząt*. Byłam dla niego idealnie funkcjonującym systemem molekuł, podczas gdy brat stanowił niestabilne jądro atomowe, które wszystko rozsadza. Ale ojcu nigdy nie przyszło do głowy, że Rati w ten sposób buntuje się przeciw jego oczekiwaniom, że chce się od niego za wszelką cenę odseparować.

Zanim poznałam Dinę, chciałam tylko przejść po prostu przez życie. Nie chciałam się niczym sparzyć, nie chciałam robić sobie zbyt wielkich nadziei, mieć oczekiwań, wspinać się na szczyty, bo w moim karku tkwił lęk. A gdy oddawałam się marzeniom – a robiłam to często i namiętnie – to zawsze ze świadomością, że to tylko marzenia, które niekoniecznie są od tego, żeby się spełniać.

Dzień, w którym Dina zauważyła, że istnieję, nastąpił stosunkowo szybko. Byłam z tatą na urodzinach jego kolegi, zabrał mnie ze sobą głównie po to, by móc wcześniej się zerwać, ale i tak zrobiło się późno, było już ciemno, a zmęczeni letnim upałem mieszkańcy podwórka zapadli już w sen.

Ojciec skierował się do klatki schodowej, a ja chciałam koniecznie wejść kręconymi schodkami, więc skręciłam w podwórko i wtedy ją zobaczyłam. Siedziała na stopniach prowadzących do sutereny, trzymała w ręce latarkę

i oświetlała coś, co trzymała w drugiej dłoni. Nie mogłam rozpoznać, co to jest, więc stałam przez chwilę nieruchomo jak zaczarowana. Była za mała, żeby o tej porze siedzieć samotnie na podwórku, ale wtedy nic jeszcze nie wiedziałam o swobodzie panującej w jej domu. Ponieważ w ogóle nie zwracała na mnie uwagi, zebrałam się na odwagę i ruszyłam w jej stronę, trzymając ręce w kieszeniach swojej odświętnej, uszytej przez Oliko sukienki, którą wkładałam tylko na specjalne okazje. Nagle chwyciła mocniej latarkę i zaświeciła mi prosto w twarz. Stałam tam oślepiona i przyłapana na gorącym uczynku i poczułam się niejako zmuszona do złożenia wyjaśnień.

– Ja chciałam tylko... – wyjąkałam.

– Mieszkasz tam na górze, prawda? – spytała i opuściła latarkę.

– Tak, jestem Keto z drugiego piętra.

– Cześć, Keto z drugiego piętra. Jestem Dina z żadnego piętra.

Parsknęła śmiechem. Byłam zaskoczona, że tak może śmiać się dziewczynka, bo jej śmiech brzmiał chropawo i rubasznie, śmiała się jak marynarz na statku, więc poczułam się trochę nieswojo.

– Podejdź tu, Keto z drugiego, coś ci pokażę.

Przywołała mnie ręką, jakby czytała w moich myślach, a ja z wdzięcznością przyjąłam zaproszenie. Usiadłam obok niej na twardych schodkach i wtedy pokazała mi zdjęcie naklejone na kawałek kartonu. Początkowo nie mogłam rozpoznać, co to jest, ale potem, gdy przyjrzałam się dokładniej, zorientowałam się, że trzyma w ręku czarno-białą fotografię. Na zdjęciu widać było trzy młode kobiety, wszystkie w białych strojach, z długimi włosami, siedziały na schodach jak my obie, z tym że schody na zdjęciu były wykonane z marmuru, a dom znajdujący się w tle przypominał pałac – trzy anioły w idealnym świecie.

Przez chwilę wpatrywałyśmy się milcząco w to zdjęcie. Latarka oświetlała twarze dziewcząt i podkreślała ich pozaziemski wygląd.

– Ta w środku to moja prababka, wyobrażasz sobie? – powiedziała tajemniczym głosem, a ja poczułam się strasznie ważna, jakby właśnie powierzono

mi jakąś tajemnicę państwową. – Była księżniczką, do czasu, aż przyszli bolszewicy – opowiadała dalej konspiracyjnym tonem, a ja automatycznie przysunęłam się bliżej. – Była zaręczona z królem, pewnym szachem perskim. Zakochał się w jej fotografii, po prostu zobaczył ją na zdjęciu i zakochał się na śmierć i życie, wyobrażasz to sobie? – spytała, jakby chcąc sprawdzić, czy wystarczy mi siły wyobraźni, by podążać za jej opowieścią. – Ale potem zakochał się w niej też pewien rosyjski hrabia i z jej powodu wszczęli wojnę.

– Którą?

Przemówił przede mnie mój ojciec, który zawsze dawał w ten sposób o sobie znać, gdy jakaś informacja wzbudziła moją wątpliwość. Potrzebowałam dowodów.

– Jak to którą?

– No którą wojnę masz na myśli? – spytałam.

Spojrzała na mnie skonsternowana i zaczęła się zastanawiać, czy ma mnie uznać za kogoś strasznie zarozumiałego, czy strasznie mądrego. Takie reakcje znałam już ze szkoły. Pożałowałam, że w ogóle zadałam to pytanie, i chciałam już przeproszać, żeby nie stracić jej sympatii, ale mnie uprzedziła, rozbijając swoją szczerością.

– Nabrałam cię. A to wcale nie jest moja prababka. Podczas przeprowadzki znalazłyśmy pudełko ze zdjęciami i one wszystkie są takie piękne! – krzyknęła z zachwytem i spojrzała w górę. Powiał lekki wiatr i przegonił ciemne chmury z nieba oświetlonego blaskiem księżyca.

Byłam zła z powodu swojej łatwowierności i jej głupiego żartu, ale złość nie trwała długo, bo znów wybuchła swoim chropawym, gardłowym śmiechem i błyskawicznie podniosła się ze schodków. Zrobiłam to samo. Było tego wszystkiego jak na mnie za wiele, czułam się lekko oszołomiona, jednocześnie pomyślałam, że mogą mnie już szukać, ale ciekawość okazała się silniejsza, nie mogłam się oderwać od nowej koleżanki, jeszcze nie. Emanowała z niej niesamowita siła, tryskała energią. Poszłam za nią, weszłyśmy do ogrodu oddzielonego od reszty podwórka niskim płotem, na małą czworokątną działkę

z krzewami bzu i róż, kilkoma drzewami: brzoskwinia, morwą i granatem, a także wąskim drewnianym stołem, przy którym mężczyźni grali zazwyczaj w tryktraka, popijając wino. Na skraju wznosił się dumny cyprys, były też dwie huśtawki: stara zniszczona huśtawka na linkach i skrzypiąca równoważnia. Mimo że znałam ten ogród jak własną kieszeń, w tamtym momencie miałam wrażenie, że widzę go po raz pierwszy, był jak zaczarowana kraina na jeszcze nieodkrytym kontynencie. Nagle rozszumiały się drzewa, lekki wietrzyk przemienił się w smagający wiatr, na niebie coś się zakotłowało – nadciągała letnia burza. Ale nic sobie z tego nie robiłam, czułam, że wciąga mnie coś wielkiego, co było obce i znajome zarazem. Dina zatrzymała się przy huśtawce i zawołała mnie. Najpierw myślałam, że chce, żebym ją rozbijała, ale ona kazała mi usiąść na wąskiej desce, a potem wcisnęła się tuż za mną. Starła się nas rozbijać, raz po raz podkurczając nogi, i zaczęłyśmy się huścić, coraz wyżej i wyżej, na przekór wiatrowi. Poczułam, jak przywiera swoim ciałem do moich pleców, czułam jej ciepło i siłę i zaczęło mnie ogarniać zupełnie nowe, nieznane dotychczas uczucie: czułam się niepokonana, w tamtym momencie zdawało mi się, że jesteśmy królowymi świata. A może nawet nimi byłyśmy, może upoważniała nas do tego nasza odwaga, nasza radość z tego, że znalazłyśmy siebie nawzajem.

Gdy mam komuś wyjaśnić, co łączyło mnie z Diną, co kazało mi ostatecznie zanurzyć się w niej jak w jakimś wielkim, niezgłębnym jeziorze, wtedy zaczynam się jąkać i plątać w banałach. Nigdy nie mogłam pojąć tego tak do końca, choć czasem wydawało mi się, że jestem bliska prawdy. Prawdy o przyjaźni, która przetrwała wszystko, nawet śmierć.

A teraz jestem tu, w Brukseli, i rozmyślam o pewnym zdjęciu Liki. Z jakiegoś powodu mam je teraz przed oczyma, na pewno jest gdzieś tutaj wystawione razem z innymi eksponatami. Lika, ta wspaniała kobieta, bez której nie zostałabym tym, kim jestem. Ta kobieta, której nieobecność tutaj i dzisiaj jest skandaliczna. Przypominają mi się jej ciemne kręcone włosy, szeroki uśmiech. Na zdjęciu, które chodzi mi teraz po głowie, stoi boso na progu tonącym w promieniach słońca,

mogłoby się zdawać, że nosi to słońce w sobie. Zawsze widziałam ją dokładnie tak, jak córka uchwyciła ją na tym zdjęciu, pełną życia, ciepła i łagodności. Ta wieczna hipiska, ubierająca się w ogrodniczki i męskie koszule, kobieta, która w najbardziej gorzkich godzinach swego życia obdarowywała ludzi uśmiechem. Ogarnia mnie straszna tęsknota za nią. Ile to już minęło czasu, od kiedy ostatni raz rozmawialiśmy przez telefon? Jak wytłumaczyć tę lukę, która powstała w moim życiu przez jej nieobecność? Jestem zła i jednocześnie widzę przed sobą jej promieniejące oczy, tak jak zostały uchwycone na zdjęciu. Ile ma na nim lat? Końcówka trzydziestki? Początek czterdziestki? Już nie pamiętam, w każdym razie dla mnie na zawsze pozostanie młoda, nawet jeśli już dawno posiwała i z powodu bólu w stawach musiała zamknąć atelier, swoją samotnię, małą oazę, i mieszka teraz u młodszej córki oraz jej męża, bankowca, gdzieś poza miastem, w dużym domu z cegły i zawsze, gdy rozmawiamy o pracy w ogrodzie bądź wymieniamy się różnymi ogrodniczymi sztuczkami, mogłaby o tym opowiadać w nieskończoność. Ogród to oprócz zawodu jeszcze jedna wspólna pasja, która łączyła nas przez te wszystkie lata. To jest zdjęcie, przed którym trzeba paść na kolana, zakochać się w nim, muszę je koniecznie znaleźć, znowu się nim odurzyć.

Lika, córka zwykłych robotników z Batumi, była przede wszystkim kobietą morza. Lubiała lekkość słonecznego popołudnia i kolorowe kamyki pod stopami, lubiała nawet wieczną wilgoć swego rodzinnego miasta, jak gdyby sama była zbudowana z morskiej piany. Była niepoprawną marzycielką. Jeśli zaś chodzi o realia, nie miała złudzeń, bo doświadczyła wielu rozczarowań i przeciwności, mimo to, gdy ją poznałam, zachowała w sobie coś z dziewczynki potrafiącej wciąż od nowa zapalać się do czegoś i dostrzegać tylko słoneczną stronę życia.

Jej rodzicom nie podobała się młodzieńcza marzycielska natura córki. Żeby kobieta mogła budzić szacunek, powinna, ich zdaniem, po ukończeniu szkoły wyjść za mąż i założyć rodzinę. Oczekiwanie od życia szczęścia i spełnienia wydawało im się niemal grzechem. Lika miała muzyczne zdolności i gdy matka wysyłała ją na obowiązkowe lekcje gry na pianinie, nie przypuszczała, że wyznaczy córce tym samym kierunek, który będzie całkowicie sprzeczny z ich

wyobrażeniami o prawdziwym życiu. Lika lubiła grę na pianinie, a ponieważ w domu nie było takiego instrumentu, przesiadywała godzinami w skromnych pomieszczeniach starej szkoły muzycznej i tam sobie ćwiczyła i podśpiewywała. Ojciec, który nawet pływanie w Morzu Czarnym uznawał za bezsensowną stratę czasu, krzyczał bez przerwy na żonę, że powinna w końcu przywołać córkę do porządku i raz na zawsze wybić jej z głowy te „głupoty”. Ale Lika miała szczęście, trafiła na nauczycielkę, która wspierała talenty i doceniła jej głos wznoszący się i opadający o kilka oktaw bez najmniejszego wysiłku i zasugerowała, by Lika towarzyszyła jako solistka pewnemu kwartetowi, który określiła mianem „trupy podróźnej”. Wprawdzie Lika nie wiedziała, co nauczycielka ma przez to na myśli, ale słowo „podróżny” wydało jej się na tyle kuszące, że było jej wszystko jedno, dokąd zawiedzie ją ten angaż – i na jak długo. W pustej sali komsomolskiego klubu dała z siebie wszystko i wyśpiewała miejsce w dotychczas czteroosobowym zespole złożonym z trzech Ukraińców i jednego Gruzina, występującym na przeróżnych radzieckich statkach pasażerskich. Lika, świeżo upieczona absolwentka szkoły średniej i, jak sobie wyobrażam, dziewczyna w kwiecie wieku, została z miejsca zatrudniona i jeszcze tej samej nocy spakowała walizki. Oczywiście nie wtajemniczyła nikogo z rodziny w swoje zamiary i wkrótce po raz pierwszy w życiu weszła na pokład statku należącego do niemieckiego armatora, którym podróżowali zachodni i majętni pasażerowie, pragnący podczas rejsu po Morzu Czarnym zajrzeć za żelazną kurtynę. Śpiewając podczas wieczornych występów rosyjskie romanse i pieśni gruzińskie, z miejsca oczarowywała żądnych egzotyki podróżnych. Rzecz jasna na pokładzie znajdował się także pracownik KGB, który swoimi czujnymi orlimi oczyma kontrolował zachowanie radzieckich pracowników oraz muzyków. Wprawdzie udało mu się raz czy dwa nie dopuścić do tego, by z natury entuzjastyczna Lika, wyrwawszy się z ciasnych ram swojej konserwatywnej rodziny, zakochała się w jakimś podróżnym z Bonn czy Stuttgartu i zaczęła knuć z nim plan szalonej ucieczki, ale tego, że zadurzy się w kimś ze swoich, pewnym skrzypku z Odessy, nawet on nie był w stanie przewidzieć.

Skrzypek, którego imienia nigdy nie poznałam, był szarmanckim, niestroniącym od alkoholu romantykiem starej daty, z białym szalem zarzuconym wokół szyi, w spodniach w prążki, z imponującym repertuarem rosyjskiej poezji miłosnej, którą potrafił recytować na zawołanie o każdej porze dnia i nocy, i z niewyczerpaną paletą komplementów, którymi potrafił stopić serce każdej, nawet najbardziej nieczulej damy. Dlatego było mu stosunkowo łatwo sprawić, by całkowicie niewinne serce Liki mocniej zabiło, a następnie je podbić. Młodziutka Lika znała miłość jedynie z filmów i książek i tak też ją sobie wyobrażała. Stojąc na pokładzie o zachodzie słońca, na lekkim rauszu po kilku lampkach krymskiego szampana, wsłuchiwała się w jakiś ckliwy poemat miłosny deklamowany przez mężczyznę klęczącego przed nią z rozpalonymi oczyma. Oczywiście, że zmiękła, oczywiście, że uległa, oczywiście, że porzuciła wszelkie plany, o ile w ogóle je miała, oraz wszelkie muzyczne ambicje i poszła z nim do jego kajuty.

I mogłoby się tak ciągnąć latami, w ciągu dnia mogła pławić się w komplementach i wyrazach podziwu ze strony podróżnych, a nocą poddawać się urokowi pięknych wierszy miłosnych swojego czarującego skrzypka, który zarzekał się, rzecz jasna, że będzie trwał u jej boku do końca swoich dni.

Gdy statek zawinął na jeden dzień do portu w Odessie, chciała zejść z nim na ląd, podekscytowana i szczęśliwa, że może wreszcie obejrzeć rodzinne miasto swego kochanka, ale zauważyła, że on zachowuje się jakoś dziwnie. Szukał wymówek, zapewniał, że pokaże jej miasto następnym razem, i skończyło się tym, że przez cały dzień wałęsała się po mieście razem z innymi członkami zespołu.

Dopiero następnego dnia, gdy statek miał już wypływać w morze, uświadomiła sobie, w jak beznadziejnej jest sytuacji, ponieważ skrzypek przyszedł do portu w towarzystwie pewnej pani z obfitym biustem i w kwiciastej sukience zapinanej od góry do dołu na guziki oraz dwóch chłopców w krótkich spodenkach. Cała trójka stała potem na brzegu jak tresowane zwierzątka cyrkowe i machała na pożegnanie tak długo, aż zamieniła się na horyzoncie w trzy rozmyte punkciki.

Nawet nie chcę myśleć, ile wysiłku musiało kosztować Likę śpiewanie przez następne dni wesołych piosenek miłosnych u boku tego łachudry. Ale Lika zawsze

była – w każdym razie tak sobie wyobrażam, że już wtedy miała ten talent – w stu procentach profesjonalna. Nieważne, w jakich okolicznościach, i nieważne, co było do zrobienia, zawsze wykonywała to sumiennie i z pełnym oddaniem.

Została na statku i co wieczór śpiewała sentymentalne piosenki o wiecznej miłości, ale brakowało już żaru i bezgranicznej wiary w te dźwięki, a wszelkie starania skrzypka, by ją udobruchać i licznymi przeprosinami oraz zapewnieniami ponownie zaciągnąć ją do kajuty, spełzły na niczym. Lika pozostawała nieugięta. W końcu zdecydowała się wrócić do Batumi, licząc się z tym, że spotkanie z rodzicami skończy się niechybnie skandalem, i od razu zdawać do szkoły muzycznej. Postanowiła, że odtąd tylko muzyka będzie towarzyszyć jej w życiu, muzyka, a nie muzykujący mężczyźni.

Silne mdłości sygnalizujące ciążę przekreśliły jej plany. Skrzypek był daleko, mieszkał w Odessie z dwójką dzieci w krótkich spodenkach i żoną niestrudzenie machającą ręką na pożegnanie. Informowanie go o ciąży nie miało zupełnie sensu, ale też trudno było się spodziewać, że rodzice przyjmą wiadomość o dziecku z zadowoleniem i pomogą jej wychować bękartą. Będzie musiała poradzić sobie z tym sama.

Często myślę o jej niesamowitej prostolinijności. Podczas wielu godzin spędzonych u jej boku w pracowni, w miejscu, które tak bardzo pokochałam, starałam się zrozumieć, skąd czerpie taką siłę, ale nigdy nie udało mi się znaleźć odpowiedzi. Zanim poznałam Likę, nie znałam nikogo, kto biegałby dzień i noc na bosaka, z papierosem w ustach, z ołówkiem za uchem i słuchał muzyki rockowej, zajadając morele lub arbuza. Robiła wszystko z wielkim oddaniem, niezależnie od tego, czy było to gotowanie, renowacja mebli czy gra w karty z córkami. Emanowała spokojem i zadowoleniem, które znałam co najwyżej z czasopisma „Film Zagraniczny”. Niewiele ją obchodziło, co inni sobie pomyślą, i przez to jej chaotyczny sposób bycia wydawał się jeszcze bardziej pociągający i zmysłowy. Była całkowicie sobą, a jej starsza córka zupełnie instynktownie przejęła to po niej.

Tak więc Lika zdecydowała się urodzić dziecko i znów spakowała swoje rzeczy. Jedną z jej koleżanek dostała się na studia w Tbilisi, przyznano jej miejsce

w akademiku, więc Lika mogła na początek zatrzymać się u niej. Udało jej się odłożyć trochę pieniędzy zarobionych na statku, więc na start powinno było wystarczyć. Wprawdzie nauczycielka muzyki polecała ją wcześniej pewnemu big-bandowi przy Instytucie Technicznym, formacji znanej także poza granicami kraju i wyjeżdżającej często na tournée, ale Lika uznała, że to bez sensu ubiegać się tam o zatrudnienie. Za kilka miesięcy i tak będzie musiała zostać w domu i zająć się czymś innym niż nuty.

I znów pomógł jej przypadek. Poszła kiedyś z przyjaciółką na imprezę do kolegi ze studiów. Był to duży dom z ogrodem pełnym rzeźb. Ojciec kolegi był rzeźbiarzem, który popadł w niełaskę, w związku z czym zmienił specjalizację i zaczął zajmować się renowacją mebli. Błądziła po domu, aż w końcu natrafiła w pewnym pokoju służącym za pracownię na małomównego, trochę gburowatego siwobrodego mężczyznę i wdała się z nim w rozmowę. Jej zainteresowanie trochę go rozpogodziło i zaczął opowiadać o swojej pracy. Zanim w środku nocy ruszyła z powrotem do akademika, siwobrody pan zapytał, czy nie miałaby ochoty mu pomagać, bo ma pełne ręce roboty i potrzebowałby wsparcia. Lika zgodziła się i po dwóch dniach przyszła wypoczęta i pełna energii do pracy. Okazało się, że jest nie tylko żądna wiedzy i pracowita, ale także utalentowana. Odznaczała się imponującą precyzją. Rzeźbiarz pomógł jej załatwić zameldowanie – był kiedyś uznanym artystą z koneksjami, do czasu gdy pewnego razu zmajstrował krzywego Lenina – i Lika mogła wkrótce wprowadzić się do własnego pokoju ze wspólną łazienką, położonego w dzielnicy dworcowej.

Wraz z brzuchem rosły jej umiejętności. Zanim Dina przyszła na świat, Lika tapicerowała już krzesła, usuwała uszkodzenia z powierzchni, reperowała uchwyty, zawiasy i kółka, szpachlowała zarysowania, usuwała starą farbę lub lakier z komód i stołów, śpiewając przy tym w najlepsze piosenki ze swojego rosyjskiego i gruzińskiego repertuaru. Pomysł, by z tego rzemiosła uczynić zawód, zdecydowanie odrzucała, wciąż trzymając się kurczowo marzenia o karierze śpiewaczki. Najpierw musiała jednak przygotować sobie do tego odskocznię, stworzyć dobry punkt wyjścia do życia z dzieckiem. I jak to już nieraz bywało,

natychmiast zaczęła obracać postanowienia w czyn. Rzeźbiarz był wprawdzie jej decyzją rozczarowany, ale okazał wyrozumiałość i zadeklarował, że w każdej chwili może do niego wrócić, gdyby z kariery muzycznej nic nie wyszło. Podarował jej piękne łóżeczko dziecięce wykonane ze starego drewna.

Można było odnieść wrażenie, że los jej sprzyja, bo zaraz potem pojawiło się ogłoszenie, że państwowa rozgłośnia radiowa poszukuje sekretarki, i mimo iż nie miała doświadczenia w tym zakresie, odważyła się podjąć tam pracę w nadziei, że uda jej się nawiązać niezbędne znajomości i ostatecznie wrócić na scenę, czyli tam, gdzie, jak sądziła, było jej miejsce.

Przyjaciółka z akademika była jedyną osobą, która czekała na nią pod szpitalem i odkorkowała szampana, gdy Dina pojawiła się na świecie. Lika dała córce nietypowe imię, po swojej wielkiej idolce, Dinah Washington, której podwójny album otrzymała w ramach wdzięczności od skrytego wielbiciela ze Stuttgartu czy Kaiserslautern pod koniec rejsu statkiem turystycznym.

Gdy Dina skończyła trzy miesiące, Lika oddała ją pod opiekę niani, a sama wróciła do pracy w radiu, gdzie jako sekretarka wpuszczała i wypuszczała najprzeróżniejszych muzyków. Nie miała już tej pewności siebie, z którą kiedyś pod osłoną nocy i mgły wchodziła na pokład statku, ale nie zamierzała się poddawać. Śpiewała okazjonalnie w prywatnych domach podczas urodzin albo spotkań suto zakrapianych alkoholem, nierzadko zabierała tam ze sobą córeczkę, która po pewnym czasie zasypiała wśród poduszek na jakiejś sofie czy łóżku. Lika chorobliwie pragnęła uznania i uwielbiała być zakochana, choć trzeba przyznać, że nie rzucała się już w wir miłości bez opamiętania. I mimo że była świetnym kompanem do zabawy, że razem z nią można było przez chwilę doświadczyć niekonwencjonalnego trybu życia, to do swojego domu nikt nie chciał jej zabrać – dziewczyny bez solidnego zaplecza rodzinnego, z nieślubnym dzieckiem i w letnich sukienkach często noszonych bez stanika.

Zdawało się, że karta może się odwrócić, gdy podczas jednego z takich spotkań zwrócił na nią uwagę pewien starszy pan. Twierdził, że pracuje w konserwatorium, uczy śpiewu i w mig potrafi rozpoznać „dobry głos”. Poza tym ma znajomości,

jego najlepszy przyjaciel Maxim pracuje w Moskwie w znanym radzieckim wydawnictwie płytowym Melodia.

Lika, podobnie jak później jej starsza córka, potrafiła zapalić się do czegoś z niewiarygodną naiwnością. Wykładowca zaprosił ją do eleganckiej restauracji Tbilisi w parku ze słynną kolejką szynową. Lika, lekko pijana i rozluźniona, w obliczu zapowiadającej się wielkiej zmiany w jej życiu opowiedziała o swojej nadziei, że któregoś dnia nie będzie już musiała siedzieć w sekretariacie rozgłośni radiowej. Zaczęła na wyrost wielbić legendarnego Maxima, nie posiadała się z radości i gorączkowo wyczekiwała dnia, w którym przyjedzie do Gruzji i z miejsca zakocha się w jej głosie. Ale Maxim wciąż przesuwiał swój przyjazd, a niezmordowany docent nadal wychodził z nią wieczorami i karmił coraz to nowszymi iluzjami. Lika zwątpiła w swoje nadzieje, ale nie miała odwagi odprawić docenta, bo dopóty, dopóki robił jej awanse, istniała jakaś szansa, że słynny Maxim weźmie ją w końcu za rękę i zaprowadzi tam, gdzie powinna być, czyli na scenę.

Ponieważ docent nigdy nie wracał do domu później niż o dziesiątej, a ich spotkania nigdy nie odbywały się w prywatnych pomieszczeniach, Lika przypuszczała, że jest żonaty, co z jednej strony ją uspokajało, ale z drugiej stawiało w stan gotowości. Gdy któregoś dnia po jednym z kolejnych spotkań w restauracji nie skręcił jak zwykle na plac Bohaterów, lecz pojechał prosto w kierunku dzielnicy Wake i zatrzymał się przed domem z cegły, Lice zrobiło się potwornie głupio. Weszli do przestronnego mieszkania z fortepianem.

– To jest mieszkanie mojego brata, jest teraz z rodziną w Suchumi, więc nareszcie możemy pobyć trochę sami – powiedział i otworzył butelkę wina.

Siedzieli przy stole, a on opowiadał o swoich studentach. Lika sączyła wino zatopiona w myślach. To jasne, że nie przyjedzie tu żaden Maxim, jasne, że jej docent miał zawsze tylko jedno w głowie, ten stół, to wino, a potem łóżko, które na pewno czeka już na nią gdzieś w pobliżu.

Nagle zerwała się jak z uwięzi, przewracając krzesło z łoskotem, i zwróciła się do swego wielbiciela i manipulatora:

– Bardzo dziękuję ci za wszystko, ale teraz muszę już iść.

Spojrzał na nią wzburzony, twarz mu spochmurniała i wypowiedział zdanie, które Lika zapamiętała do końca życia:

– Wiesz, ile mnie kosztowały te wszystkie wyjścia do restauracji i butelki wypitego wina?

I zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, chwycił ją za ramiona, zerwał z niej sukienkę i rzucił na tapczan.

Gdy opowiedziała mi tę historię, nie miałam odwagi zapytać, dlaczego postanowiła urodzić to dziecko, poczęte w wyniku gwałtu dokonanego przez oszusta, który zwodził ją obietnicami bez pokrycia. Nie wiem tego i już od dawna nie ma to żadnego znaczenia, ale zawsze, gdy o tym myślę, zastanawiam się, czy powinnam traktować tę decyzję jako akt niewiarygodnej odwagi, czy też jako swego rodzaju przestrożę.

Urodziła Anano i kochała obie dziewczynki z takim samym oddaniem, z takim samym roztargnieniem i tak samo bezładnie, jak dawniej kochała swoich kochanków, i podarowała córkom wolność bycia sobą.

Docent zdemaskował się nie tylko jako gwałciciel, lecz także jako tchórzliwy zdrajca. Ze strachu przed tym, że Lika ujawni jego wybryk i zrujnuje mu opinię oraz małżeństwo, przeprowadził stosowną rozmowę z szefem radia, a ten kilka tygodni po całym zajściu poprosił Likę do siebie i oznajmił, że były redukcje etatów i jeśli chce nadal pracować w radiu, musi zmienić stanowisko i przenieść się do archiwum, które znajduje się w podziemiach budynku. Lika rzuciła mu w twarz:

– Nie wiem, co ci naopowiadał, ale chcę ci powiedzieć, że kryjesz potwora i przez to sam się nim stajesz.

Opuściła siedzibę radia z podniesionym czołem. Niestety, nigdy nie było jej dane wejść za szklane drzwi studia nagrań, przed którymi siedziała tyle lat.

Po narodzinach Anano, gdy z dwójką małych dzieci była zdana wyłącznie na siebie oraz łaskę kilkorga przyjaciół i gdy znalazła się na dnie rozpacz i zwątpienia, pomyślała o siwobrodym rzeźbiarzu, o ciszy jego pracowni,

o zapachu starego drewna i kleju. Zadzwoiła do niego i była mu dozgonnie wdzięczna za to, że nie usłyszała w jego głosie złośliwej satysfakcji. Opowiedziała mu o wszystkim i w pewnym sensie poczuła nawet coś w rodzaju ulgi, że był świadkiem, świadkiem jej głupiej współodpowiedzialności za kolejną katastrofalną porażkę.

– Posłuchaj, zrobimy tak: nie jestem dobrym nauczycielem, bo gdybym nim był, to udałoby mi się zainteresować cię na tyle, że nigdzie byś nie poszła. Ale znam kogoś, kto to potrafi i jest najlepszy, w całej Gruzji nie ma nikogo lepszego od niego. Przyjeżdżają do niego ludzie z całego Związku Radzieckiego. Zadzwoię do niego. Nauczy cię wszystkiego, co trzeba wiedzieć o renowacji mebli.

I rzeczywiście już po trzech dniach zaczęła pracę u Gurama Ewgenidze.

To ciekawe, że zarówno Dina, jak i Lika zazwyczaj nie używały w swoich opowieściach imion. Skrzypek był zawsze skrzypkiem, a docent docentem, ale on zawsze był nazywany z imienia i nazwiska: Guram Ewgenidze. Stał się dla Liki tym, kim Prochorow był kiedyś dla mojego taty. Dzisiaj myślę sobie, że ten mężczyzna był dla niej jak ojciec, jakiego pragnęła mieć, poza tym był pierwszym człowiekiem, który zaoferował jej dom, ślepo jej zaufał i pokochał bezwarunkową miłością. Guram Ewgenidze studiował renowację zabytków w Rosji oraz w Polsce i marzył o tym, by odnawiać klasztory w kaukaskich górach. Ale ponieważ zachowywanie starych świątyń nie należało do największych priorytetów państwa sowieckiego, był zmuszony zająć się czymś mniej podniosłym i wyspecjalizował się w renowacji mebli. Z czasem stał się koryfeuszem w swoim fachu. Od stołów z okresu rewolucji przemysłowej końca dziewiętnastego wieku po toaletki z belle époque – wszystko lądowało prędzej czy później u Gurama i nie było takiego mebla, którego by na nowo nie ożywił, nie przywróciłby mu utraconego blasku.

Musiała czuć ogromną ulgę, gdy zaczął wyjaśniać, a nawet znajdować określenia na te wszystkie jej „ekscentryczności”, do których społeczeństwo odnosiło się wyłącznie z pogardą. Dawał jej do czytania książki, które były jego zdaniem niezbędne na drodze do samopoznania – od Junga po Burroughsa, od

Laozi po Gurdżijewa – a przed każdą godziną pracy wykonywał ćwiczenia oddechowe. Najprawdopodobniej był tylko oderwanym od życia dziwakiem, ale w Związku Radzieckim mógł uchodzić za wariata – wegetarianin w czasach, gdy nikt jeszcze nie znał tego pojęcia, wierny naukom Buddy, zwolennik psychoanalizy i archiwista przeszłości. Jego żona, Lilia, nie mniej zwariowana joginka i wspaniała towarzyska życia dla takiego outsidera jak on, którą poznał na jakimś tajnym kongresie spirytystycznym w Baku, również serdecznie polubiła Likę. Guram i Lilia nie mieli dzieci i być może to spotęgowało ich sympatię do Liki. Zupełnie niespodziewanie, gdy oboje dobiegali już siedemdziesiątki, pojawiła się w ich życiu córka, której być może zawsze pragnęli, a na dodatek okazała się żądna wiedzy jak dziecko. Ostrożność, której Lika nabrała wraz z doświadczeniem życiowym, z czasem zniknęła. Wprowadziła się razem z córkami do Ewgenidzów i zaczęła uczyć się właściwego obchodzenia się z komodą z drewna orzechowego, rozpoznawania ubytków na normańskiej szafie weselnej w stylu Ludwika XV albo przywracania pierwotnego blasku gustawiańskim szafkom kuchennym. Już nigdy nie wróciła ani do gitary, ani do fortepianu, jej głos także pozostał już na zawsze uwięziony w ciele jak dżin, duch zamknięty w butelce. Przestała traktować swoją pracę jak dorywcze zajęcie i nieustannie marzyć, że wkrótce będzie mogła zająć się swoim przeznaczeniem, lecz nauczyła się szacunku dla rzeczy, które trafiają w jej ręce – umiejętność, która będzie później miała niebagatelny wpływ na moje życie.

Gdy po pięciu latach współpracy z Guramem Ewgenidze zdiagnozowano u niego guza mózgu i dawano mu co najwyżej cztery miesiące życia, została przy nim. Kilka dni przed śmiercią uczynił ją swoją spadkobierczynią. Lika przejęła pracownię, a rekomendacje przekazywane z ust do ust dopełniły reszty. Zamówienia wciąż napływały, dostawała meble do konserwacji nawet z Tallina czy Budapesztu. Po niedługim czasie mogła nareszcie odetchnąć finansowo i zatrudnić dla swoich córek prywatnego nauczyciela. Natomiast jeśli chodzi o muzykę, to wciąż trwała przy swoim postanowieniu i trzymała się od niej z daleka, w związku z czym ani Dina, ani Anano nie otrzymały, wbrew sowieckim wzorcom, wykształcenia muzycznego. Po śmierci Lilii, która nastąpiła kilka lat później,

sprzedła stare, częściowo rozpadające się domostwo i wprowadziła się do sutereny przy ulicy Winorośli. Przez te wszystkie lata spędzone u Ewgenidzów tak bardzo przyzwyczała się do wilgoci i ciemności, że na swoje nowe lokum wybrała coś bardzo podobnego. W jednym z pomieszczeń urządziła pracownię, wyposażyła ją w narzędzia swojego mistrza, a na jednej ze ścian powiesiła zdjęcie przedstawiające Gurama wraz z małżonką. Przez wiele lat, siedząc u jej boku, pochłonięta czasem bardzo żywiołową, a czasem refleksyjną rozmową – trzeba przyznać, że nigdy nie zapadała między nami niewygodna cisza – studiowałam ich portret i z czasem nabrałam przeświadczenia, że poznałam ich osobiście.

Dina dołączyła do naszej klasy i mimo że siedziała kilka ławek dalej, odczuwałam już od pierwszego dnia tę znaną mi i jednocześnie niepokojącą euforię, dokładnie taką samą, jaka ogarnęła mnie, gdy spotkałyśmy się po raz pierwszy. Tak jakby nie była moją równolatką z podobnymi problemami i troskami, lecz obietnicą czegoś niesamowicie ważnego. Przywitała się ze mną na korytarzu, ale na długiej przerwie rozmawiała z innymi koleżankami z klasy. Ku mojemu zdumieniu bez trudu nawiązywała kontakt zarówno z kujonkami, jak i z królowymi piękności, z potomkami elit i z pariasami, zajmującymi najczęściej ostatnie rzędy i robiącymi wszystko, by nie zwracać na siebie uwagi.

Kilka dni po rozpoczęciu roku szkolnego siedziałam na lekcji przyrody, stara i rozpadająca się książka *Wrota natury* leżała otwarta przede mną na stole, a ja myślałam tylko o tym, że już jej nienawidzę. Można było odnieść wrażenie, że interesuje się wszystkimi innymi, tylko nie mną, straciłam ją, zanim w ogóle udało mi się ją zdobyć – należała już do innych, nie do mnie, tamta wyjątkowość naszego wspólnego bujania się na huśtawce przestała mieć dla mnie jakkolwiek wartość. Siedziałam i dumałam, aż przyszło mi do głowy, że mogę ją przynajmniej potrącić, gdy będziemy przechodziły obok siebie, albo jeszcze lepiej: przewrócę się na jej oczach. Ale do tego nie doszło, bo po ostatniej lekcji podeszła do mnie i zapytała, czy poszłabym razem z nią.

– Dokąd? – zapytałam zdziwiona, z lekką pretensją w głosie.

– Na cmentarz.

– Na cmentarz?

Nienawidziłam cmentarzy. Poniedziałek Wielkanocny, dzień modlitwy za zmarłych, był najokropniejszym dniem w moim życiu. Tego dnia chodziliśmy zawsze na grób matki, piliśmy tam wino, kładliśmy czerwone pisanki na grobie i zapalaliśmy świece. Ja stałam wtedy nieruchomo w miejscu, Oliko płakała bezgłośnie, Eter patrzyła w dal z kamiennym wyrazem twarzy, ojciec grzebał w ziemi i powoli się upijał, a brat odwiedzał obce groby, po czym wracał i wymieniał ciurkiem nazwiska zmarłych, jakby to była jakaś super zabawa. Nie wiedziałam wtedy, co mam czuć, bardzo ciężko znosiłam ten stan. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że oczekuje się ode mnie smutku i przygnębienia, wiedziałam, że powinnam wskoczyć w tragiczną rolę dziecka bez matki, ale wszystko we mnie buntowało się przeciw temu. Matka zniknęła z mojego życia tak wcześnie, że nie zostało mi po niej nic prócz obcych wspomnień i opowieści. Dlatego zazdrościłam każdemu, kto urodził się wcześniej ode mnie. Oni wszyscy mieli coś niezwykle cennego – żywe wspomnienie – podczas gdy ja musiałam zadowolić się resztkami. Ale najbardziej denerwował mnie Rati, któremu najwyraźniej podobało się, że jest nieszczęsnym dzieckiem i wszyscy mu współczują, gdy tylko usłyszą, że jego matka nie żyje.

A teraz ta dziewczyna z silnym charakterem, na którą i tak już jestem wściekła, prosi mnie, żebym poszła z nią na cmentarz.

– Ale po co chcesz tam iść? To znaczy, czyj grób chcesz odwiedzić? – wyjąkałam.

– Grób ojca – odpowiedziała rzeczowo, bez odrobiny smutku i przez milisekundę podziwiałam jej dojrzałość. Wzięła mnie za rękę i pociągnęła za sobą na dwór. – Po prostu chodź ze mną.

I w ten oto sposób klamka zapadła, przypieczętowała tym coś wielkiego i znowu poczułam się wyróżniona i wyjątkowa.

Wsiadłyśmy do trolejbusu i pojechałyśmy w stronę hipodromu. Rzadko bywałam na Nowym Mieście, dla mnie to było prawie jak połowa podróży dokoła świata, sama nigdy bym się wtedy nie odważyła oddać tak bardzo od domu. Szłyśmy zdyszane pod górę w kierunku cmentarza Saburtalo pustą ulicą wysadzaną cyprysami. Było gorąco, w powietrzu unosił się kurz. Przypominam sobie, jak podążam za nią w milczeniu, a ona prowadzi mnie, zmierzając pewnym krokiem do celu, pomiędzy nagrobkami zmarłych, przez labirynt złożony z nazwisk, dat narodzin i śmierci, pośród zasuszonych lub świeżych kwiatów, bezimiennych grobów i prostych drewnianych krzyży.

W pewnym momencie zatrzymałyśmy się przy niskim ozdobnym płotku, za którym znajdowała się zadbana płyta nagrobna, a na niej świeże goździki. Był to prosty czarny granit z wygrawerowanym nazwiskiem „Dawit Pirweli” oraz datami urodzin i śmierci. Nie umarł staro, co oczywiście przydawało mu aury nieszczęśnika. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć, obserwowałam Dinę kątem oka i podziwiałam jej opanowanie. Odeszła na chwilę, wróciła z konewką i zaczęła się krzątać w zadumie, podlała krzak bzu rosnący z boku i poprawiła goździki w wazonie. Stałam obok niej w promieniach pełnego czerwcowego słońca i nie miałam bladego pojęcia, dlaczego zabrała mnie ze sobą w tak intymne miejsce, ale sam fakt, że ponownie wtajemniczyła mnie w coś osobistego, niesamowicie mi schlebiał.

– Jak umarł? – spytałam, gdy milczenie zaczęło mi w pewnym momencie już trochę doskwierać.

– Był za dobry na ten świat – odpowiedziała tym samym, rzeczowym tonem. – Serce mu pękło. Bum! O tak!

I zaczęła imitować ręką pękające serce. Byłam pod wrażeniem tego wyjaśnienia i pokiwałam w zadumie głową. Oczywiście był to najlepszy tata na świecie, ponieważ do tak wspaniałej rodziny złożonej z wyjątkowych kobiet mógł pasować tylko nadzwyczaj wyjątkowy i niezwykle wrażliwy mężczyzna, ale niestety musiał umrzeć w tym podłym świecie.

W drodze powrotnej na przystanek, którą pokonywałyśmy na piechotę, stwierdziłam z naciskiem:

- Musiałaś go bardzo kochać.
- Tak, bardzo – odpowiedziała.

Po raz pierwszy w jej opanowanym głosie usłyszałam smutek. Ale zaraz potem, całkowicie odmieniona, powiedziała zaraźliwie radosnym tonem:

– A teraz idziemy na lody. Znam lodziarnię niedaleko stąd, dodają tam mnóstwo wiórków czekoladowych.

Od tamtego dnia byłyśmy już nierozłączne.

Dopiero po dwóch latach i po niezliczonych wizytach na cmentarzu dowiedziałam się, że z tym mężczyzną leżącym pod nagrobkiem łączyło Dinę jedynie nazwisko, że jej biologiczny ojciec, skrzypek pokładowy, żył najprawdopodobniej w najlepszym zdrowiu w Odessie i o istnieniu Diny nie miał najmniejszego pojęcia. Gdy dotarło do mnie to oszustwo, byłam przez kilka godzin wściekła, dąsałam się i nazwałam ją kłamczuchą, ale z czasem mi przeszło i znów uległam jej urokowi, gdy oznajmiła:

– Przecież umarli zawsze się cieszą, gdy ktoś ich odwiedza. A do niego nikt nie przychodził. Tylko sobie wyobraź: umarłaś i nikt cię nie odwiedza.

Trudno było zaprzeczyć i tym mnie pokonała.

IRA

Zauważa, że zniknęłam, i idzie mnie szukać. Wchodzi do pustej zazwyczaj damskiej toalety, słyszę kroki, tak, to bez wątpienia ona, woła mnie.

– Zaraz! – krzyczę z za drzwi, udając spokój i opanowanie. Staram się zatuszować zdenerwowanie, ale zdaję sobie sprawę, że wie o moim poczuciu bezsilności i lęku, i trudno powiedzieć, co jest dla mnie straszniejsze: jej wiedza czy sam fakt, że tak jest. Mimo że tyle lat mieszkaliśmy daleko od siebie, że był między nami dystans największy z możliwych, wystarczyło kilka sekund, by znów wrócić na znane, utarte koleiny. Stoję naprzeciw niej i wiem, że udawanie nie ma najmniejszego sensu. Tak samo jak ona jest w pełni świadoma tego, że potrafię przejrzeć jej pewność siebie, że nadal widzę przed sobą pełną zwątpienia okularnicę, która cierpi z powodu swojego nieokreślonego, innego niż u wszystkich pożądanja. Dużo wiemy o sobie, o swoich dążeniach, z trudem wywalczonych sukcesach, słabości do zachodniego stylu życia, którym dystansujemy się od reszty. Zdajemy sobie doskonale sprawę, że obie udajemy przed sobą i światem, każąc mu wierzyć w to, że dałyśmy radę i przeżyłyśmy. Ale przecież nie udało nam się uratować samej esencji, czegoś, co już na zawsze pozostanie w tych czarno-białych fotografiach i jak subtelne echo będzie odzywać się w naszej terażniejszości.

Wychodzę z kabiny, unikając kontaktu wzrokowego, podchodzę do umywalki i ochlapuję twarz zimną wodą. Patrzy na moje odbicie w lustrze. Swoje dawne niekorzystne okulary z grubymi szklami pomniejszające jej oczy już dawno zamieniła na eleganckie, w czarnych rogowych oprawkach, z widniejącym na zauszniku i trudnym do przeoczenia napisem YSL – z całą pewnością są z najwyższej półki, w końcu ciężko na nie zapracowała. Jej oczy wyglądają teraz całkiem inaczej, muszę się do nich przyzwyczaić, nagle zauważam, że są głęboko osadzone. Zawsze miała skłonność do sińców pod oczami, po dokładnym

przyjrzeniu się dostrzegam ciemne podkwy i nieomal cieszę się, że mimo jej transformacji mogę odkryć coś znajomego. Ma oliwkową karnację i tylko kilka piegów na nosie, co sprawia, że jej twarz zdaje się tryskać zdrowiem. Podoba mi się, że nie farbuje włosów, należy do nielicznych kobiet, którym wiek dodaje jakiejś nowej erotycznej siły przyciągania. Jej ciało zdradza dryl, dyscyplinę, ten wyciskający poty trud samokontroli. Ani grama tłuszczu, nigdzie, ani sekundy niedbałości, ani grama lekkomyślności. Mam mieszane uczucia, coś pomiędzy podziwem a niechęcią.

Mieszka w Chicago, jest głównym wspólnikiem pewnego giganta wśród kancelarii adwokackich, specjalizuje się w prawie międzynarodowym i zajmuje się dywidendami oraz optymalizacją zysków możliwych tego świata. Dawniej chciała zmieniać świat, potem zrozumiała, że nie wygra tej walki, więc postanowiła zamiast świata zmienić i zoptymalizować samą siebie. A teraz bez żadnych skrupułów korzysta ze swojej bez wątpienia zasłużonej premii. Bierze to, czego potrzebuje, i usuwa z drogi to, co jej zawadza. Może to lęk przed spojrzeniem wstecz sprawia, że stara się prowadzić jak najatrakcyjniejsze życie, może robi tak właśnie po to, żeby nie mieć powodów do oglądania się za siebie? Nie wiem. W każdym razie widzę, że zostało jeszcze coś z dawnej Iry, którą podczas wystawy tak często będę oglądać na fotografiach, i czuję, jak chwytam się mocno tego, co jest mi dobrze znane, i że ta swojskość daje mi tak potrzebne poczucie bezpieczeństwa. Mogę stamtąd przerzucić most do samej siebie, by coś z tej kobiety, która będzie wkrótce patrzyła na mnie z czarno-białych świadectw czasu, odnaleźć w sobie.

– Już lepiej? – pyta mnie i podaje mi otwartą butelkę wody.

Wypijam łyk i kiwam głową.

– Damy radę – mówi i sili się na uśmiech.

Stoimy obok siebie, ramię w ramię, i wpatrujemy się w swoje lustrzane odbicia. Wyjmuję z torebki puder i próbuję przykryć napięcie wywołane sytuacją, która mnie przerasta.

– Właściwie to nie powinno tak dalej być – mówi i nagle zmienia wyraz twarzy.

Zupełnie niespodziewanie, bez ostrzeżenia, staje przede mną dawna Ira, wielka sceptyczka, zawsze bezinteresownie oddana i najbardziej pracowita z nas wszystkich. Chciałabym ją objąć, a właściwie nie, lepiej, żeby to ona objęła mnie swoimi umięśnionymi rękami, jak kilkanaście minut temu, gdy zobaczyłyśmy się pierwszy raz po tak długiej przerwie. Zapowiada się długi wieczór, przed nami jeszcze wiele godzin, które trzeba będzie jakoś przetrwać. W tym momencie postanawiam, że jednak spróbujemy to zrobić.

– Co masz na myśli? – pytam po pewnej chwili.

– Że się nie spotykamy. To znaczy, przynajmniej my obie. Że tak mało o sobie wiemy, że twoje życie toczy się beze mnie, a moje bez ciebie.

Takiego bezpośredniego i sentymentalnego wyznania nigdy bym się po Irze nie spodziewała, na pewno jest jej strasznie trudno wypowiadać te słowa, ale jestem jej wdzięczna. Bo czy ja też nie zadaję sobie pytania, dlaczego, na Boga, zrezygnowałam na tak długo z naszych spotkań, ze zdecydowanych kroków za plecami, gdy tylko zauważa, że nad moją głową zbierają się ciemne chmury, z tych stalowych ramion, które mnie obejmują i które podają butelkę wody, z ciemnych oczu, które patrzą teraz na mnie w lustrze? Jak to możliwe, że tak szybko, jak mało komu, udaje jej się wzbudzić we mnie poczucie bezpieczeństwa? Właściwie znam bardzo dobrze odpowiedź na to pytanie i ona też wie doskonale, dlaczego jest, jak jest, i dlaczego uciekłyśmy teraz do łazienki i dodajemy sobie otuchy przed tym, co nas czeka. Ponieważ wspomnienia nie dają nam spokoju, są zbyt bolesne, bo mamy wyrzuty sumienia, że my zostałyśmy przy życiu, podczas gdy świat, z którego pochodzimy, leży w gruzach.

– Masz rację, musimy to zmienić. Też o tym pomyślałam, kiedy tu wparadowałaś, cholernie elegancka bizneswoman z aluminiową walizką.

To jest żałosna próba złagodzenia wagi tego wyznania.

Ira przyjmuje moją propozycję z wdzięcznością i natychmiast odparowuje:

– Trudno dogodzić twojej *sophistication*.

Czasami wplata angielskie słówka w swój już trochę niezgrabny gruziński.

– Spójrz tylko na swoje mokasyny, proszę cię. Czerwone mokasyny! Sama przyznasz, że to już lekki *overkill*!

Śmieje się, a ja jej wtóruję.

– Keto, obiecaj mi, że nie zwiejesz. Nie zostawiaj mnie tutaj samej, potrzebuję cię dzisiaj – mówi, jeszcze zanim cichnie nasz śmiech.

Spoglądam na nią i odwracam się do niej przodem.

– Obiecuję. I dzisiaj dotrzymam obietnicy.

Doskonale wie, co mam na myśli, ale nie daje się sprowokować do żadnego komentarza. Zamiast tego bierze mnie za rękę i idziemy razem zdecydowanym krokiem w sam środek huraganu. Znowu mamy po czternaście lat, za chwilę pokonamy wygiętą siatkę przy ulicy Engelsa i rozpocznie się wielka przygoda.

Jeszcze tego samego lata, tuż przed końcem wakacji, nasze podwórze wzbogaciło się o kolejnych mieszkańców. Ira oraz jej rodzina zamieszkali na pierwszym piętrze, a gdy zaczął się rok szkolny, Ira przyszła do naszej klasy.

Ojciec Iry był lekarzem w Szpitalu Miejskim numer 9, renomowanym anestezjologiem i zapalonym ogrodnikiem, który cały wolny czas spędzał na dacy w Kodzori i hodował tam oraz pielęgnował roślinki niczym swoich prawdziwych pacjentów. Można było odnieść wrażenie, że nie lubi miasta, mimo że spędził w nim całe życie, i najchętniej rzuciłby pracę i wyjechał na wieś, gdyby tylko żona, nieoficjalna patriarchini rodziny, mu na to pozwoliła. Znosił to swoje miejskie życie wyłącznie ze względu na nią i odliczał dni do weekendu, kiedy będzie mógł uciec na zieloną trawkę. Wsiadał wówczas do swojej niebieskiej łady 06 i jechał na zielone wzgórza, gdzie czekało na niego sześć czy siedem psów, dogłdanych podczas jego nieobecności przez sąsiada.

Był spokojnym człowiekiem, w domu spędzał czas, przesiadując w fotelu przed telewizorem, przykryty kocem w kratkę, albo stał na drewnianej werandzie i przesadzał kwiaty balkonowe. Gdy kiedyś miałam okazję pojechać z Iry i jej ojcem na ich daczę i spędzić tam z nimi weekend, nieźle się zdziwiłam, gdy

zobaczyłam, że pan Tamaz – jak go wszyscy nazywali – potrafi być dziarski i energiczny. Jakby przyroda sprawiała, że ożywał i stawał się zupełnie innym człowiekiem.

Wszyscy mieszkańcy podwórza zastanawiali się, jak pan Tamaz mógł poznać, a przede wszystkim pokochać swoją żonę. Rzadko widywałam tak nierówne pary. Matka Iry, Giuli, była całkowitym przeciwieństwem swojego męża. Bardzo pragmatyczna i zawsze nastawiona na korzyści, jak gdyby życie, któremu nie da się wydrzeć żadnych profitów, nie miało sensu. Była urzędniczką, odpowiadała za przydział powierzchni mieszkaniowej i ciągle wisiła na telefonie. Albo próbowała coś komuś wmówić, albo wyperswadować. Już po krótkim czasie wszyscy w dzielnicy jej nienawidzili lub w najlepszym razie bali się jej, ponieważ z marszu, w pierwszych tygodniach po przeprowadzce, przekonała starą Cico – nie zważając na jej wspomniany już wcześniej status nietykalności z powodu zmarłego syna – żeby przepisała na nią jeden pokój, oferując za to bardzo niską cenę, co Cico uczyniła bez większego sprzeciwu, gdyż dzięki temu mogła spełnić swoje wielkie marzenie, czyli pojechać do Leningradu i zwiedzić Ermitaż. Zanim Cico wróciła, Giuli zdążyła usunąć ścianę, poszerzyć swoją kuchnię i tym samym uniemożliwić sąsiadce wejście do mieszkania od klatki schodowej. Cico nie pozostawało odtąd nic innego jak wchodzić do mieszkania wyłącznie od podwórka po starych drewnianych kręconych schodach – było to duże wyzwanie dla starszej pani z chorymi biodrami. Rodzina Tatiszwilich też bardzo szybko straciła do Giuli sympatię, gdy ta zagroziła Dawitowi, że poda go do sądu, jeśli natychmiast nie zmieni kierunku wzrostu swoich winorośli, które niebawem mogą się tak rozkrzewić, że zakryją jej całe okno i światło słoneczne przestanie wpadać do mieszkania.

Giuli ciągle gdzieś się spieszyła, zawsze była szybka, a ludźmi, którzy nie mogli za nią nadążyć, jawnie pogardzała. Tylko dla swojego męża robiła, jak się zdaje, wyjątek. Snującego się apatycznie po mieszkaniu w skórzanych kapciach Tamaza zostawiała w spokoju, nie upominała go tak jak innych, nie krzyczała na niego i niczego nie żądała, jak gdyby już dawno uznała, że to i tak niczego nie

zmieni, więc pogodziła się ze swoim losem. Gdy obserwowało się tę parę przy obiadowym stole albo podczas wspólnego wyjazdu (co zdarzało się bardzo rzadko, bo Giuli nienawidziła życia na wsi, a najbardziej psów, dlatego prawie nigdy nie jeździła z mężem do Kodzori), człowiek się zastanawiał, co łączy tych zupełnie różnych ludzi. Ich rozmowy nie wykraczały poza banalne sprawy codzienne, rzadko mówili o czymś, co nie dotyczyło zakupów na targu, pogody albo programu telewizyjnego. Prawie nikt ich nie odwiedzał, Giuli chyba już dawno wybiła mężowi z głowy zapraszanie do domu kolegów albo przyjaciół. Niezależnie od tego w ogóle nie znosiła pijackiej wrzawy i głośnych śpiewów, a sąsiedzi, którzy lubili imprezować do późnej nocy, musieli liczyć się z jej pogrózkami i kanonadą połajanek i wyzwisk. Którejś nocy usłyszałam, jak Nani, królowa czarnego rynku, krzyczy na całe podwórko: „Ty głupia krowo, jesteś po prostu zazdrosna, zamknij się wreszcie i daj ludziom robić to, czego sama nie możesz. Może w końcu kiedyś ktoś się nad tobą zlituje i zaprosi cię do siebie!”. A czasem w kierunku pierwszego piętra leciały i takie zdania: „Ty się nadajesz do czubków! Idź w końcu do psychiatry, ty zmij!”.

Pierwsze piętro miało dosyć dziwną budowę, była to jedyna betonowa konstrukcja w całym systemie drewnianych mieszkań, balkonów i galerii, wystająca nad przestronną uliczką i w całym naszym siedlisku stanowiąca niejako ciało obce.

Czas multiplikuje się na moment, wydaje mi się, że to halucynacje: mam przed sobą Irę, tę pewną siebie kobietę ze stali, która bierze mnie pod swoje skrzydła i prowadzi do sali wystawowej, a równocześnie widzę dziewczynkę z dawnych lat. Porusza się spokojnie i ostrożnie, żeby tylko nie zwracać na siebie uwagi, spaceruje przede mną zamyślona, w nienagannie podciągniętych podkolanówkach, trochę niezgrabna z tymi swoimi kościstymi kolanami. Widzę za duże okulary na nosie, które sprawiają, że wygląda bardzo dojrzałe, i mocno ściągnięte do tyłu włosy, które nadają jej twarzy cierpiętniczy wyraz. Ciemna karnacja, odziedziczona po mamie, jest taka jak dawniej, ale próżno szukam na jej twarzy śladów dawnej nieśmiałości.

– Patrz, to ta nowa z pierwszego piętra. Wydaje się całkiem miła, jak sądzisz, bukaszko? – powiedziała donośnym głosem babuda jeden, gdy wchodziłyśmy kiedyś na podwórko, na co ja szturchnęłam ją łokciem w bok, bo za nic nie chciałam, żeby nowa dziewczyna usłyszała to głupie i znieprawdzone przeze mnie pieszczotliwe określenie.

Ira stała na podwórku i rozglądała się, jakby coś tam zgubiła. Udawałam, że mnie nie interesuje, i minęłam ją spokojnym spacerowym krokiem. Podniosła wzrok, spojrzała na mnie poważnie zza grubych szkieł i ruszyła cicho przed siebie. Przyzwyczała się przemykać niezauważenie. Patrząc na jej chód, zrobiło mi się smutno, pomyślałam od razu o Dinie. Jak diametralnie różne były te dwie nowe mieszkanki naszego podwórza. Jedna z nich nawykła do zwycięstw i formowania świata według własnego życzenia, a druga jakby zamknięta w swoim mikrokosmosie, w którym wyczuwało się ogromną samotność.

W kolejnych dniach, jeszcze przed rozpoczęciem roku szkolnego, podwórko zaczęło powoli zapełniać się dziećmi, które po wakacjach wracały do zakurzonego i tonącego w sierpniowym upale miasta. Iry w tym czasie nie było widać, tylko raz zauważyłam ją w kuchni przy oknie, jak obserwowała radosne ożywienie na podwórzu. Ten widok miał w sobie coś przygnębiającego, wyglądała strasznie poważnie, jakby czekała tam na coś cierpliwie, wypatrywała jakiegoś znaku. Może liczyła na to, że ktoś ją zawoła na dół, zaproponuje, żeby dołączyła do tej hałaśliwej gawiedzi, ale nie odważyłam się tego zrobić, bo sposób, w jaki stała tam z założonymi rękami, działał zniechęcająco.

Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego byłam tak zaskoczona, gdy pierwszego dnia w szkole pojawiła się w naszej klasie. Wychowawczynie przyprowadziła ją za rękę jak małe dziecko, a my zaczęliśmy głośno chichotać i wymieniać złośliwe komentarze. Została nam przedstawiona jako Irine Żordania. Następnie nauczycielka poinformowała, że rodzice Irine przeprowadzili się do nas z innej dzielnicy i że mamy teraz, z łaski swojej, przywitać się z nią oraz przyjąć do wspólnoty klasowej. Coś mi mówiło, że w przypadku Irine będzie to wyglądało trochę inaczej niż z Diną Pirweli, która przyciągała uwagę wszystkich uczniów jak

jakiś rzadki kwiat. Irine nie wyglądała na kogoś, z kim od razu chciałoby się przebywać. Ja także zachowywałam początkowo dystans. Z jednej strony tak bardzo pochłonęła mnie nowa przyjaźń, że nie pozostało już więcej miejsca na nikogo innego, a po drugie sposób bycia Irine, która sama siebie nazywała Iżą, sprawiał, że nie miałam ochoty się do niej zbliżyć. Ten dystans między nami urósł w kolejnych tygodniach jeszcze bardziej, gdy okazało się, że Ira swoimi ocenami przegoniła w zawrotnym tempie wszystkich, nawet Annę Tatiszwili, i wkrótce zajęła miejsce najlepszej uczennicy w klasie. Była imponująco dobra ze wszystkich niemal przedmiotów, a jej powaga zupełnie nie przystawała do wieku, co wywoływało zazdrość wśród wzorowych uczennic, ale także u tych, które jedynie aspirowały do tej roli. Stanowiła dla nich po prostu konkurencję, a już najbardziej denerwowało je to, że nauka przychodziła jej bez najmniejszego wysiłku, w przeciwieństwie na przykład do dotychczasowej prymuski, Anny Tatiszwili. Rzadko zabierała na lekcji głos nieproszona, prawie nigdy nie podnosiła dobrowolnie ręki, ale zawsze, gdy jakiś nauczyciel ją wywoływał, strzelała prawidłowymi odpowiedziami jak z karabinu. Wszystkich nas wprawiała tym w osłupienie. Skąd ta dziewczyna się wzięła? Czyżby zakuwała bez przerwy w swoim zacisznym pokoiku, czy może naprawdę wiedza wchodziła jej tak łatwo do głowy? Poza tym sprawiała wrażenie kogoś, kto nie potrzebuje zawierać przyjaźni. Dopiero dużo później zrozumiałam, że ona po prostu nie potrafiła inaczej. Zawsze chodziła własnymi drogami i za każdym razem gorzko żałowała, gdy zebrawszy się na odwagę, decydowała się podejść do jakiegoś równolatka. Niemal codziennie można było obserwować, jak wraca ze szkoły z tornistrem wypchanym po brzegi, idzie pod górę ulicą Engelsa i skręca w naszą uliczkę, potem znika na klatce schodowej i dopiero po kilku godzinach zjawia się ponownie, i idzie z tym samym tornistrem na jakieś kółko zainteresowań. Potem dowiedziałam się od obu babud, które były zresztą pod ogromnym wrażeniem, że Ira jest nie tylko członkiem klubu dyskusyjnego w Pałacu Pionierów, lecz także krajową mistrzynią gry w szachy w kategorii młodzieżowej. W zasadzie widać było

tylko, jak wchodził i wychodził, zawsze z tym samym, w pełni skoncentrowanym wyrazem twarzy, jakby nie dostrzegała nikogo i niczego poza sobą.

W gruncie rzeczy Ira była dziewczyną, która nie pragnie niczego bardziej niż być kochaną. Uczyła się, bo przychodziło jej to po prostu z łatwością i mogła liczyć dzięki temu na uznanie, stała zazwyczaj z boku, bo nie chciała nikomu przeszkadzać, była posłuszna, bo myślała, że w ten sposób nie będzie zwracać na siebie niczyjej uwagi. A gdy okazywało się, że swoim zachowaniem osiągnęła przeciwny skutek i wzbudziła jeszcze większą niechęć niż zwykle, czuła się bezradna. Świat wydawał jej się wtedy niezrozumiały, wycofywała się jeszcze bardziej i próbowała wmawiać sobie, że nie potrzebuje świata, który odwraca się od niej w taki sposób. Jej nieustająco hiperpoprawne zachowanie działało na wszystkich prowokująco, ja też nie byłam wyjątkiem. Gdy obserwowało się ją przez jakiś czas, trudno było się powstrzymać i nie narozrabiać w jej obecności, natychmiast nachodziła nas ochota, żeby zrobić coś zakazanego albo powiedzieć coś głupiego i niestosownego. To był jakiś instynkt, który się uruchamiał, gdy tylko Ira znalazła się w zasięgu wzroku. Czasami było mi głupio i dziwiłam się sama sobie, dlaczego opryskuję ją na przerwach z pistoletu na wodę albo na jej widok zeskakuję nagle z parapetu na parterze, zdzierając sobie przy tym oba kolana, albo dlaczego przyklejam gumę do żucia pod jej ławką. Niestety, nie potrafiłam inaczej. Jej poprawność ciągle wywoływała u mnie niepoprawność. Ale zarówno to, jak i wszystko inne zmieniło się za sprawą Diny.

Gdy tylko przypomni mi się historia z pamiętnikiem, od razu tracę humor i przygniata mnie coś ciężkiego jak ołów. Gdyby była taka możliwość, chętnie spytałabym dawną Irę, czy podoba jej się ta kobieta, obecna Ira, która stoi teraz przede mną, ale spuszczam wzrok i przywołuję w pamięci Annę Tatiszwili, najpiękniejszą dziewczynę w klasie i do pewnego momentu najlepszą uczennicę, której Ira od pierwszego dnia w szkole była solą w oku. (Nie, nie będę myśleć o Ofelii ani o śladach, które zostawiła...) Anna była przyzwyczajona do tego, że wszyscy ją podziwiają, była jakby stworzona do takiego wywyższenia i każde

zagrożenie tej pozycji zwalczała z największą perfidią. Tak, była przyzwyczajona do oklasków i pochlebstw, uwielbiała kąpać się w morzu pochwał: za urodę, wzorowe sprawowanie, dobre oceny. Lubiła być królową. Jeśli któraś z dziewcząt była przez nią tolerowana, mogła uważać się za szczęściarę. Nawet gdy była jeszcze w wieku, kiedy chłopcy okazują sympatię za pomocą poszturchiwania, droczenia się albo popychania, dostawała kwiaty na Dzień Kobiet, a w dniu urodzin znajdowała małe anonimowe prezenty pod drzwiami. Nie wygląd Iry, lecz jej mądrość wzbudzała w Annie już od samego początku zew rywalizacji. W dodatku Anna musiała wkładać dużo pracy, żeby osiągać dobre wyniki w nauce, pobierała korepetycje i bez przerwy wkuwała, podczas gdy Irze wiedza sama wchodziła do głowy. Anna nie mogła tego znieść. Powołała więc swój oddział przyboczny złożony z dwóch niewolniczo oddanych koleżanek, które za jej plecami nazywałyśmy jej „służącymi”, i nakazała im znaleźć słabe punkty Iry. Szpiegowały ją, próbowały się do niej zbliżyć, nawiązać z nią rozmowę i już po krótkim czasie udało im się coś znaleźć. Zauważyły, że Ira zapisuje coś regularnie w pękatym i podniszczonym notatniku, uznały więc, że musi to być pamiętnik. Czekwały potem na dobrą okazję, żeby go wykraść. Gdy Ira musiała kiedyś wyjść na lekcji do toalety i zostawiła otwarty tornister, jedna z przybocznych Anny, obrzydliwie służalca Eka, wyjęła gruby notatnik i podała go „szefowej”. Nie trzeba było długo czekać, żeby pamiętnik zaczął krążyć z rąk do rąk i już wkrótce prawie cała szkoła czytała go na głos, śmiejąc się przy tym i wrzeszcząc. Gdy przerażona Ira zorientowała się, co się stało, próbowała wyrwać Annie pamiętnik, ale czuła, że ośmiesza się jeszcze bardziej. Ira była dosyć niezdarna, jak gdyby wszystkie jej umiejętności skupiły się wyłącznie w sferze umysłowej. W tej szarpaninie runęła z całej siły na ziemię, po czym załapała się łzami. Nauczyciele musieli ją wysłać do domu, a cała klasa wyśmiała ją szyderczo na odchodne.

Było mi wstyd, że jej nie pomogłam, i w głębi ducha nienawidziłam Anny, ale czułam się wobec niej bezsilna – już dawno przeciągnęła całą klasę na swoją stronę. Udając, że ja też trzymam z Anną, zakreśliłam się wokół Eki i poprosiłam ją, żeby mi pozwoliła po lekcjach zajrzeć do pamiętnika. To, co tam zobaczyłam,

zaskoczyło mnie i odjęło mi mowę. W każdym socjalistycznym domu wisiał taki mały kalendarz, z którego każdego dnia zrywało się jedną kartkę. Czasem były tam krótkie biografie czołowych postaci socjalizmu, które urodziły się lub zmarły danego dnia, niekiedy anegdoty albo praktyczne przepisy dla wzorowych gospodyń domowych. W zeszycie Iry było mnóstwo powklejanych kartek z takiego kalendarza zapisanych drobnym, bardzo dojrzałym charakterem pisma. Na karteczce z urodzinami Gagarina widniała notatka: „Źle spałam, Iago ma problemy z żołądkiem, mam nadzieję, że nie będzie trzeba go uśpić, ojciec denerwuje się na upartych pacjentów, a matka znowu nie chce tego słuchać”. A nad napisem „Pierwszy Maja” można było przeczytać: „Niedługo przeprowadzka. Nowa dzielnica. Nowe mieszkanie. Nowa szkoła. Raczej nic się nie zmieni”. I tak dalej przez cały rok. W pieczołowitości, z jaką te karteczki były wrywane z kalendarza, a potem wklejane do zeszytu, w powadze charakteru pisma było coś niesamowicie deprymującego. Poczułam się beznadziejnie, chichot i szyderczy śmiech Anny Tatiszwili oraz jej pomocnic nabrał w tym momencie zupełnie innego posmaku. Z tych komentarzy przemawiała samotna dziewczyna, pozostawiona całkowicie samej sobie, nierozumiejąca, dlaczego świat odwraca się do niej plecami i dlaczego wywija jej tak okrutny numer. Rzadko zdarzały się jakieś pozytywniejsze wpisy, a jeśli już, to dotyczyły gry w szachy i wygranych turniejów. Co charakterystyczne, nie było tam prawie żadnych wpisów na temat innych osób, co najwyżej o rodzicach albo psach ojca.

Czułam się podle. Podczas naszej krótkiej wędrowki ze szkoły do domu Dina wygłupiała się jak zwykle, podskakiwała przede mną tanecznym krokiem, a potem chciała mi koniecznie pokazać, jak się robi tort. Mimo że cieszyłam się na to wspólne pichcenie, nie mogłam pozbyć się myśli, które naszły mnie podczas czytania pamiętnika. Miałam poczucie, że zawiodłam. Bez przerwy myślałam o poważnej, smutnej dziewczynie, jej gęstych brwiach i mądrych oczach i o tym, jak ona teraz musi się czuć, gdy ta głupia Tatiszwili i jej koleżaneczki upubliczniły jej najintymniejsze zapiski.

– Co ci jest? – spytała Dina, zauważając mój poważny wyraz twarzy i milczenie.

– To straszne, co zrobili tej biednej Irze – wymamrotałam.

Ze zdumieniem stwierdziłam, że Dina w ogóle tego nie zauważyła, mimo że co najmniej pół szkoły brało w tym udział. Popatrzyła na mnie kompletnie zaskoczona i spytała:

– Tej z naszego podwórka? Tej mądrali?

– Tak, jej.

Poprosiła, żebym się zatrzymała i opowiedziała jej o wszystkim ze szczegółami.

– Chodź ze mną – powiedziała zdecydowanym tonem, gdy kilkakrotnie zrelacjonowałam jej całą sytuację.

To była jeszcze jedna typowa dla niej cecha: podejmowała decyzję, nie wtajemniczając w nią swojego rozmówcy, a potem chciała, żeby jej wierzyć na ślepo i robić to co ona. I ja tak robiłam. Tak, zazwyczaj tak robiłam.

– Co ty kombinujesz? Co chcesz zrobić?

Przez całą drogę do domu zadawałam jej pytania, ale nie otrzymałam odpowiedzi. Zamiast tego zaciągnęła mnie do klatki schodowej i zadzwoniła do drzwi Tatiszwilich. Otworzyła nam zawsze miła Natela i natychmiast zaprosiła do środka.

– Aniko akurat się uczy, ale zaraz ją zawołam. Macie może ochotę na ciasto gruszkowe? Właśnie upiekłam.

Rzeczywiście pachniało wybornie i o mało nie skinęłam głową, ale Dina nie dopuściła do tego.

– Nie, dziękujemy – odpowiedziała dosyć szorstko, stojąc przez cały czas w przedpokoju.

Anna wyszła ze swojego pokoju ze świeżo umyтыми włosami i ręcznikiem na głowie i omiotła nas znudzonym spojrzeniem.

– O co chodzi?

Jeszcze nigdy nie zadała sobie trudu, żeby choć trochę ukryć swoje przekonanie, że nie dorastamy jej do pięt.

– Masz jeszcze ten pamiętnik, prawda? – spytała Dina zaskakująco miłym tonem.

– Tak, bo co?

– Keto świetnie rysuje i pomyślałam, że byłoby śmiesznie, gdyby naskrobała tam parę rysunków.

Nie rozumiałam, jaki ma plan, ale starałam się nie okazywać zdziwienia.

– Skoro tak sądzisz. Ale dzisiaj wieczorem muszę go mieć z powrotem – odpowiedziała Anna z właściwą sobie obojętnością.

Nawet przez chwilę nie przyszło jej na myśl, że chcemy ją nabrać, no tak, przecież była przekonana o swojej wyższości. Zniknęła na moment, a ja syknęłam do Diny:

– Co ty robisz?

Ale zanim zdążyła mi odpowiedzieć, Anna wróciła już z grubym i rozpadającym się zeszytem. Przekazała go Dinie bez wahania, a Dina podała go mnie.

– Dzięki, będzie niezły ubaw! – powiedziała i otworzyła drzwi, przepuściła mnie przodem, lecz nagle odwróciła się i z całych sił pchnęła Annę na szafkę z butami. – Ty świnió! – wycedziła.

Na twarzy Anny pojawił się grymas bólu, jednak przerażenie tym, na co Dina pozwoliła sobie wobec niej, było zdecydowanie silniejsze niż faktyczny ból. Była wściekła i obrażona.

– Wszystko w porządku? – z kuchni dobiegł głos Nateli, na co Dina przyłożyła palec wskazujący do ust. Coś w wyrazie jej twarzy kazało Annie milczeć.

– Tak, deda, wszystko w porządku – zawołała i wyprostowała się. – Co ty sobie wyobrażasz, debilko? – Patrzyła na nas z nienawiścią. – Jesteście skończone!

– Odbiło ci? – spytałam Dinę, gdy znów znalazłyśmy się na podwórku. – Pobiłaś ją!

Coś się we mnie buntowało, a jednocześnie byłam niesamowicie dumna ze swojej koleżanki, w której kryło się tyle niespodzianek.

– Owszem, popchnęłam ją. Ale tak naprawdę zasłużyła na coś znacznie gorszego. Czasem trzeba komuś przyłożyć, jeśli pewnych spraw nie potrafi inaczej zrozumieć – powiedziała Dina z przekonaniem, a ja uznałam, że wszelkie kontrargumenty są bezcelowe.

– Oddamy teraz Irze pamiętnik? – spytałam.

– Jeszcze nie.

Poszłyśmy do stale ciemnego mieszkania Diny i usiadłyśmy przy dużym okrągłym drewnianym stole w jadalni, która jednocześnie służyła za kuchnię. W mieszkaniu unosił się zapach mokrego kleju, drewna, farb i lakieru. Wszędzie stały stare meble, które ktoś kiedyś wyrzucił i w które Lika tchnęła drugie życie, tworząc z nich dzieła sztuki. Uwielbiałam każdy element wystroju ich mieszkania. Starą dębową szafę z kolorowymi zdobieniami, w której przechowywały naczynia. Pomalowaną na biało komodę ze złotymi uchwytyami. Ręcznie haftowane zasłony z motywem psów i lwów. Dwupiętrowe łóżko należące do obu sióstr, na którym Lika namalowała czerwone kropki wyglądem przypominające krosty. Dina konspiracyjnym ruchem położyła gruby zeszyt na kuchennym stole, otworzyła go, a następnie zaczęła czytać. Właściwie tylko go przeglądała, nie czytała notatek do końca, jak gdyby czuła się trochę niezręcznie, stając się częścią tego intymnego procesu. Nagle wstała, wyjęła piórnik z tornistra, wzięła do ręki ostro zatemperowany ołówek i przy zapiskach Iry zaczęła rysować jakieś esy-floresy. Obok wpisu na kartce z urodzinami Gagarina na temat problemów żołądkowych Iago i narzekań ojca zanotowała: „Bardzo ładnie dziś wyglądałam”. Na kartce z Pierwszym Maja, przy wpisie o przeprowadzce zakończonym stwierdzeniem, że i tak raczej nic się nie zmieni, dopisała: „Wszystko się zmieni. Poznam nowych przyjaciół. I tak już zostanie na zawsze”. Na kartce z dniem urodzin Iry widniała notatka: „Dostałam książkę, o którą prosiłam: *Hrabia Monte Christo*. Poza tym nie

wydarzyło się nic specjalnego”, którą Dina uzupełniła słowami: „Jestem teraz o rok starsza i mądrzejsza”. W końcu przestała pisać, podniosła się z krzesła i napiła się wody.

- No i? – spytałam.
- Co no i?
- Uda jej się...?
- Co masz na myśli?
- ... uda jej się znaleźć przyjaciół? Na zawsze?
- Tak. My zostaniemy jej przyjaciółkami.

Za każdym razem, gdy Dina decydowała częściowo za mnie, nachodziła mnie złość. Ale zazwyczaj zgadzałam się z nią w każdej sprawie i nie okazywałam niezadowolenia. Także i tutaj przyznałam jej w gruncie rzeczy rację i od tej chwili ja też chciałam zostać przyjaciółką Iry.

Wieczorem zapukałyśmy do jej drzwi. Otworzyła nam, wciąż jeszcze w szkolnym fartuszku, i instynktownie cofnęła się na nasz widok.

- Tak? – wyjąkała lekko przestraszona.
- Kto tam? Kto tak wali o tej porze do drzwi?! – rozległ się krzyk Giuli.
- Deda, to do mnie – odparła Ira z charakterystyczną niepewnością w głosie, cały czas spokojnie nas obserwując.
- Mam coś dla ciebie, to twoja własność – powiedziała Dina i z opuszczoną głową wręczyła Irze zeszyt.
- Dziękuję – odpowiedziała i zanim zdążyłyśmy cokolwiek dodać, zamknęła nam drzwi przed nosem.

Przez kolejne trzy dni nie przychodziła do szkoły. Oficjalnie z powodu upadku, ale nieoficjalnie na pewno chodziło o wstyd. Gdy w końcu pojawiła się na lekcji, sprawiała wrażenie jeszcze bardziej nieśmiałej niż zwykle, widać było, że najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Anna Tatiszwili i jej świta zostawili ją w spokoju. Ale ich pogardliwe spojrzenia w naszą stronę zdradzały, że knują już

jakiś akt zemsty. W drodze powrotnej ze szkoły Ira dogoniła Dinę i mijając ją, szepnęła do ucha nieśmiało: „Dziękuję”, po czym pognęła szybkim krokiem dalej.

– Zaczekaj! – zawołała Dina i pobiegła za nią.

Ira obejrzała się speszona, stanęła ze zwieszonymi rękami i zaczęła grzebać czubkiem buta w ziemi.

– Chcesz z nami pójść do parku Musztaidi? – zapytała Dina i uśmiechnęła się promiennie.

Nic nie wiedziałam o tym planie, prawdopodobnie powstał spontanicznie w tamtym momencie.

– Nie mogę. Muszę wracać do domu, a potem idę na szachy – odpowiedziała z zakłopotaniem Ira.

– Coś ty?! Na to będzie jeszcze czas, a teraz idziesz z nami, będzie fajna zabawa. Tam jest najlepsza wata cukrowa w całym mieście!

I pomaszerowała pierwsza pewnym krokiem, jak generał oczekujący od swojej armii całkowitego posłuszeństwa. Ira spojrzała na mnie zdenerwowana, a ja wzruszyłam ramionami.

– Ja też dostanę w domu burę – to było najlepsze, co w tamtej sytuacji przyszło mi do głowy.

Zauważyłam wahanie i brak zaufania w jej oczach, a także lęk przed konsekwencjami, które ta nieoczekiwana wyprawa mogła za sobą pociągnąć. Tego dnia przyjechała akurat do parku kolorowa karuzela i Dinie udało się jakoś przemycić nas tam za darmo. Było mnóstwo śmiechu, konkurs na najgłupszą minę, chichot i palce posklejane watą cukrową. I była tego dnia także duma z tego, że pokonałyśmy same siebie, a to dlatego, że znalazł się nagle ktoś, kto nam pokazał, że można brać życie lekko. I wtedy to pojawiło się: „my”.

NENE

Nie ma jej. A więc moje przypuszczenia się potwierdziły. Wyczuwam u Iry narastającą nerwowość, którą próbuje przykryć zbyt głośnym śmiechem i nadmierną nonszalancją.

Drzwi są otwarte, pracownicy muzeum wpuszczają z uprzejmym uśmiechem tłum gości. W powietrzu unosi się zapach pudru, drogich perfum, eleganckich lokali, lotniskowych butików, południowego prosecco i egzotycznej wody po goleniu. Kelnerzy w śnieżnobiałych koszulach i czarnych kamizelkach zręcznie balansują z tacami pomiędzy przybyłymi gośćmi. Panie odziane w drogie tkaniny cmokają w policzki panów rozmówianych w sztuce, pracownicy ambasad podają sobie ręce na powitanie, referenci do spraw kultury zatrudnieni w Unii Europejskiej mają wielki zaszczyt i rozglądają się wśród zwiedzających w poszukiwaniu potencjalnych partnerów do współpracy przy nowych projektach, sponsorzy odbierają wyrazy uznania. *Show must go on.*

Nene nie przyszła. Ira nie przyjmuje jeszcze tego do wiadomości, ja też nie tracę nadziei, może to jeszcze za wcześnie, może za późno, nie wiem, w każdym razie wolałabym nie spoglądać co chwilę w kierunku drzwi. Sale zapełniają się zwiedzającymi. Robi się ciasno, szacowne grono emanuje ekskluzywnością i jest żądne spektaklu. Kuratorzy przechodzą w róg sali po prawej stronie, gdzie ustawiono mały podest. Ktoś ustawia mikrofony. Kakofonia babilońskich głosów wypełnia muzealne sale.

Kuratorzy zaczynają, będą wygłaszać jeden po drugim nużące przemówienia i podziękowania, ale wszyscy jesteśmy przecież dobrze wytresowani, znamy powitalne rytuały, nikt nie zamierza im przeszkadzać. Jesteśmy cierpliwi, bogaty wybór win, zasponsorowany przez jakiegoś gruzińskiego producenta, pozwala nam dosyć dobrze znieść tę niedogodność, w rękach gości pojawiają się lampki wina,

kelnerzy dolewają do kieliszków. Ira nie odstępuje mnie na krok, mimo że co chwilę się z kimś wita, niektórych całuje symbolicznie w policzek. Pracowała już w tylu miejscach, jej spektrum zawodowe obejmuje tyle obszarów i miejsc, jest znaczącą postacią, budzącą zarówno strach, jak i respekt. Czuję nad sobą jej wirtualnie rozpostarte ramiona i to mi daje poczucie bezpieczeństwa. Poczęstowałam się już wybornym białym winem i poluzowałam trochę cugle. Mam nieodpartą potrzebę dobrze spędzić ten wieczór – niech się dzieje, co chce. Anano krąży wokół i pobzykuje jak robaczek świętojański, jej dziewczęcy wygląd wciąż od nowa mnie zaskakuje, jej otwartość, nieudawana serdeczność, szczerza duma z tego wydarzenia. Dyrektorka Centrum Sztuk Pięknych i jednocześnie patronka wystawy otwiera tę imponującą retrospektywę i opowiada o swoim dynamicznie rozwijającym się, liczącym się na rynku międzynarodowym ośrodku kultury i sztuki, o tętniącym życiem miejscu w sercu belgijskiej kultury, nie zapomina także wspomnieć, że znajdujemy się w perełce sztuki art déco, jednym z największych skarbów architektonicznych Brukseli. I mimo że pałac, w którym się spotykamy, przeżył już tysiące koncertów, wystaw, spektakli teatralnych i tanecznych, spotkań literackich i projekcji filmowych, podkreśla wyjątkowość obecnego wydarzenia. Opowiada o osobistym stosunku do tej wystawy i o swojej miłości do Kaukazu, a szczególnie do Gruzji, zaznaczając jednocześnie, że to zdjęcia Diny stały się dla niej mostem do gruzińskiej kultury. Na koniec dodaje z przesadnie szerokim uśmiechem, że ze względu na sztukę Diny Pirweli zrobiono wyjątek i zezwolono na poczęstunek w salach muzealnych, ponieważ na takiej wystawie nie może zabraknąć gruzińskiego wina, prosi nas jednak o ostrożność i niezbliżanie się z kieliszkami do zdjęć.

W pewnym momencie przestaję jej słuchać i myślę o Dinie. Co by chodziło jej teraz po głowie, gdyby tu dzisiaj była i wysłuchiwała tych dytyrambów na temat swojej sztuki i swojego talentu, jak przyjęłaby te hymny pochwalne, czy potrafiłaby rozróżnić, kto rzeczywiście odnosi się z uznaniem do jej prac, a kto grzeje się tylko w jej świetle? Czy odciągnęłaby mnie nagle na bok, wzięła, chichocząc, kieliszek do ręki i wzniosła toast, wyjaśniając, że to wszystko tutaj nie

jest tym, o co w życiu chodzi, że to, co tak naprawdę się liczy, znalazłyśmy przecież dawno temu gdzie indziej?

Ira ciągnie mnie za rękaw. Otwieram oczy i ponownie kieruję wzrok na podest. Teraz z kolei kuratorzy próbują odkryć przed nami „magię” dzieł naszej zmarłej przyjaciółki, znaleźć słowa, żeby wyrazić coś, co nie potrzebuje żadnych słów. Uzasadniają zestawienie obrazów, sposób działania przy ich wyborze, szerokie spektrum, jakie obejmuje ta retrospektywa, chronologiczny układ przedstawiający życie Diny i jej karierę. Podkreślają osobisty wymiar jej dzieł, raz po raz pada słowo „radikalny”, Brytyjczyk wciąż powtarza frazę o „bezwzględności wobec siebie i widza”, zwraca uwagę na jej oryginalność, polegającą na nadawaniu zdjęciom niezrozumiałych – na pierwszy rzut oka – tytułów, i wyjaśnia, jak głęboki sens tkwi tak naprawdę w owych tytułach. Kuratorzy dziękują na przemian cieszącemu się światową renomą centrum kultury, miastu, które jest gospodarzem tego przedsięwzięcia, składają także podziękowania różnym sponsorom, ambasadzie, nie należy również zapominać o gruzińskich oficjelach, ten mały kraj powinien mieć tutaj okazałą reprezentację, bo przecież eksponowane tu fotografie mają z nim w tej czy innej formie wiele wspólnego. Następnie pochodzący z Rotterdamu dyrektor Muzeum Fotografii przedstawia kilka tez z zakresu historii sztuki, oczywiście nie może przy tym zabraknąć dwóch cytatów z Foucaulta, do których dorzuca na dokładkę jakąś myśl z Helmuta Newtona. Thea, gruzińska historyczka sztuki w czarnym spodniem i soczyście zielonych czółenkach, stara się w krótkiej prelekcji przedstawić jak najlepiej historię Gruzji z ostatniego stulecia, skupiając się głównie na pierestrojce i czasie po pierestrojce, ponieważ ten okres stanowi ramy obecnej wystawy i zwiedzający powinni uzyskać ważne informacje na temat kluczowych wydarzeń.

My, dzieci tych czasów, słuchamy cierpliwie tego dość suchego wykładu w przeświadczeniu, że hasła typu „walki o niepodległość”, „wojna domowa”, „stłumione demonstracje”, „kryzys gospodarczy” nie mają z nami nic wspólnego, że znamy je tylko ze słyszenia, że nawet nie musnęły naszego życia. Ambasador, przysadzisty mężczyzna z bujną czupryną, składa wyuczone na pamięć

podziękowania, chrząkając raz po raz, a na koniec zaprasza wszystkich na bankiet w ogrodzie.

Po tym wszystkim zabiera głos Anano. Z jakiegoś powodu kilkoro jej znajomych zaczyna bić brawo, zanim jeszcze wejdzie na scenę, więc uśmiecha się lekko zakłopotana, czerwieni się i potrzebuje chwili, zanim swobodną angielszczyzną z lekkim gruzińskim akcentem zacznie opowiadać o swojej siostrze. Ira i ja natychmiast nastawiamy uszu. Jej zaangażowanie i szczerść rozdierają serce i mimo że już od dawna jest kobietą dobiegającą swojej drugiej połowy życia, dla nas wciąż jest dziewczynką stale zabiegającą o naszą uwagę, wiecznie „ta mała”, wiecznie młoda, otoczona niezwykłą aurą lekkości. To, że właśnie Nene wystawiła ją do wiatru, mimo że najbardziej z nas wszystkich podziwiała i lubiła Anano, wydaje mi się w tym momencie niewybaczalne.

Anano mówi o bezwzględnym talencie swojej siostry, który był darem, ale jednocześnie okazał się jej przekleństwem, opowiada o jej obsesyjnym przypatrywaniu się, tak długim i wnikliwym, że aż zatracala się bez reszty i zlewała z przedmiotem obserwacji znajdującym się przed obiektywem. Mówi o jej wiecznym balansowaniu na linie i życiu, które odebrało jej wszystko, o rozdarciu pomiędzy przymusem a wolą i wysokiej cenie za bezkompromisowość. Anano stara się nie przytłaczać słuchaczy swoimi słowami, dobrze dozuje informacje, wplatając tu i ówdzie jakąś anegdotę. Ciężar wydarzeń, to, co trudno wyrazić słowami, pozostawia fotografiom siostry. Nagle zupełnie nieoczekiwanie zwraca się do nas, przedstawia nas jako „inspirację i podporę Diny”, wszyscy odwracają się w naszą stronę i starają się wypatrzeć nas w tłumie. Ira przyjmuje to z zadowoleniem, uśmiecha się, słysząc rozlegający się dookoła szept. Ja natomiast mam ochotę zabić Anano, bo właśnie w tym momencie zrobiła z nas eksponaty wystawy i jestem pewna, że będą się nam teraz przyglądać nie mniej niż fotografiom na ścianach. Składa nam podziękowania, dziękuje za przybycie i podkreśla, że nie wahałyśmy się przyjechać, Ira ze Stanów Zjednoczonych, a ja z Niemiec, wspomina też o Nene, tak jakby tu była – że przyjechała prosto z Tbilisi – i dodaje: „Wasza obecność tutaj bardzo dużo dla mnie znaczy, mam nadzieję, że

wiecie o tym”. Zachęca przybyłych, by po obejrzeniu wystawy przeszli do ogrodu i „dobrze się bawili, tak jak lubiła Dina”, życzy wszystkim „miłego zwiedzania” i opuszcza podest.

Rozlegają się brawa i nagle, dokładnie w tym momencie, gdy aplauz narasta, dostrzegam ją. Ira jeszcze jej nie widzi i cieszę się, że nie muszę dzielić z nią tej chwili, jestem taka szczęśliwa, odczuwam radość i ulgę i chcę pierwsza przekazać Irze tę spóźnioną niespodziankę. Oczywiście miałam prawo pomyśleć, że Nene się spóźni. Zawsze się spóźniała, więc dlaczego tym razem miałyby być inaczej?

Jestem tak wzruszona, że z trudem powstrzymuję się, żeby nie rzucić się do przodu i nie podnieść do góry tego rajskiego ptaka, to zjawisko, obok którego trudno przejść obojętnie, tę delikatną, drobną postać o mocno umalowanej twarzy lalki. Jej wygląd jest bardzo mylący, bo na pierwszy rzut oka nie widać, ile dzikiej siły tkwi w tej ekstrawaganckiej drobnej osobce. Ma na sobie oryginalną kopertową sukienkę w jaskrawożółtym kolorze, z haftowanym motywem jaskółek, która uwydatnia jej imponujący dekolt, w niebotycznie wysokich szpilkach wkracza z gracją i jednocześnie nieco pospiesznie do sali, sprawiając wrażenie, jakby cały pałac czekał tylko na nią. Rozgląda się, ewidentnie szuka jakiejś znajomej twarzy, może nas, chciałabym w to wierzyć, wchodzi w ten ogłuszający aplauz, jakby był przeznaczony dla niej – zawsze miała dobry timing.

Szturcham Irę lekko w bok i ruchem głowy wskazuję na Nene. Widzę, jak jakaś pięść zaciska się nagle wokół jej serca, coraz mocniej i coraz szybciej. Jej usta robią się wąziutkie, powstrzymuje płacz, nie, nie może płakać, łzy przynoszą ulgę tylko na krótko, a ona potrzebuje ulgi, która obejmie całe stulecie, całe życie. Potrzebuje ulaskawienia, wyzwolenia, na które czeka od dwudziestu lat, a moc owej łaski posiada tylko jeden człowiek na tej planecie, i ten człowiek wchodzi właśnie do sali w krzykliwie żółtej sukience, a parę głów odwraca się w jego stronę. Teraz to ja podtrzymuję Irę, wydaje mi się, że słyszę bicie jej serca, i nagle znika ta pewna siebie *senior partner* z Chicago ze stalowymi bicepsami, w designerskim garniturze. Zamiast niej stoi teraz przede mną mała Ira, wiecznie za czymś tęskniąca dziewczyna ze skrytymi, pulsującymi w niej pragnieniami. Nene

zauważa nas, jeszcze zanim do nas pomacha, na jej twarzy pojawia się delikatnie kokieteryjny uśmiech i przez ułamek sekundy wszystko znów jest w porządku, znowu jest dobrze.

Nene i ja poznałyśmy się pod stołem. Już nie pamiętam, czyje to było wesele, wiem tylko, że było duże i bardzo uroczyste i byli na nim wszyscy sąsiedzi. Babcie uczesały nas, wystroiły i zabrały ze sobą. Przyjęcie odbywało się w jakiejś sali bankietowej na obrzeżach miasta, stoły ciągnęły się w nieskończoność i ugiwały się pod ciężarem piętrzących się potraw, ludzie siedzieli ciasno jeden obok drugiego, tak że trudno byłoby wcisnąć między nich choćby szpilkę. Było dużo alkoholu, a wygłaszane głośno toasty zdawały się nie mieć końca. Panna młoda była ubrana w długą białą suknię z bardzo długim trenem, który wtedy zrobił na mnie tak wielkie wrażenie, że od razu postanowiłam jak najszybciej wyjść za mąż, żeby też móc włożyć taką sukienkę.

Jak to zwykle na takich uroczystościach bywa, my, dzieciaki, nie wysiedziałyśmy długo na swoich miejscach i zaczęłyśmy zwiedzać okolice. Najmniejsi i co bardziej zwinni postanowili poznać tajemniczy świat znajdujący się pod odświeżnie nakrytymi stołami i zaczęli przedzierać się przez labirynt zbudowany z butów i pończoch. Podczas jednej z takich wypraw zderzyłam się z Nene Koridze. Spojrzałyśmy na siebie zaskoczone i po chwili wybuchłyśmy śmiechem. Od razu ujął mnie jej pogodny i żywiołowy charakter. Wyglądała jak puchaty kot z tą swoją blond czupryną, wielkimi jasnoniebieskimi oczami i zaróżowionymi policzkami. Miała na sobie zieloną sukienkę z falbankami, a we włosach kokardę w tym samym kolorze. Jej drobny okrągławy tułów był niezwykle zwinnie, przeciskała się między niezliczonymi parami nóg w zawrotnym tempie. Potem wyszłyśmy razem na zewnątrz i w ogrodzie pełnym uschłych roślin karmiłyśmy bezpańskie psy. Trudno było z miejsca jej nie polubić. Ściągała na siebie pełną życzliwości uwagę i u każdego, kto na nią patrzył, wywoływała czuły uśmiech. Do jej wyglądu anioła jak z renesansowego obrazu dochodził jeszcze delikatny jak tchnienie głos, zdawało się, że nie wypowiada słów, lecz wydycha je

bez najmniejszego wysiłku. Również jej chód miał w sobie dużo lekkości, jak gdyby nie stawiała stóp, lecz unosiła je lekko nad ziemią.

Jak wielka była moja radość, gdy w zerówce usiadła w jednej z sąsiednich ławek. Minęło trochę czasu, zanim uświadomiłam sobie, że w tej dziewczynie jest coś wyjątkowego, a jej rodzina cieszy się specjalnym statusem. Nasza nauczycielka zniżala zawsze głos, gdy wypowiadała jej nazwisko: Nestan Koridze. Także w sposobie, w jaki inni dorośli mówili o jej rodzinie, wyczuwałam mieszankę pokory, strachu i szacunku.

Któregoś dnia, może to było w trzeciej albo czwartej klasie, zauważyłam przed wjazdem na nasze podwórze duży czarny samochód, a przy nim dwóch tak samo na czarno ubranych mężczyzn w przeciwsłonecznych okularach, chodzących tam i z powrotem. W podwórzu panowało jakieś poruszenie, wszyscy wychylali się z okien, a Cico zadała sobie nawet trochę trudu i przyszła do nas na werandę, skąd był lepszy widok. W pewnym momencie drzwi Tatiszwilich się otworzyły i zobaczyliśmy, jak Dawit wychodzi z wysokim, bykowanym mężczyzną o imponujących barkach oraz monstrualnie szerokim karku i odprowadza go do samochodu, kłaniając się raz po raz, jakby chciał jeszcze bardziej podkreślić jego status. Ten dobrze zbudowany facet miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, a na ramiona zarzucony biały ręcznik, dość dziwne akcesorium, którego funkcji nie umiałam sobie wytłumaczyć. Poklepał mocno po plecach wciąż kłaniającego się Tatiszwilego i zniknął po chwili za przyciemnianymi szybami swojego samochodu. Przez cały wieczór i jeszcze następnego dnia słychać było w podwórzu tylko jedno słowo: „Tapora”. Wywnioskowałam więc, że ktoś, kto nosi takie nazwisko, nie może być zbyt sympatycznym gościem. Podczas kolacji także mój brat wymówił to nazwisko i popadł w zachwyty. Był w takiej euforii, jakby ujrzał żywego Boga. Pewnie gadałby tak w nieskończoność, gdyby ojciec nie walnął w końcu płaską dłonią w stół i nie zwrócił się wzburzony do Ratiego:

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, o kim mówisz? I jak o nim mówisz? Czy tak cię wychowaliśmy, żebyś tego krwiopijcę i złodzieja nazywał swoim idolem? Tego kryminalistę?

– Tato, a co on zrobił? – chciałam natychmiast wiedzieć, ale jedna z babć upomniała mnie tylko cichym: „Pst!”.

– Przecież on pomaga tylu ludziom! – usprawiedliwiał się Rati, a ja już w końcu nie wiedziałam, komu mam wierzyć. – W każdym razie jest fair i troszczy się o swoich...

– O swoich? Jakich swoich? – oburzał się ojciec. – Postradałeś zmysły? Dito Koridze jest fair, słyszeliście to, słyszeliście, co mój syn wygaduje?

– Koridze? – spytałam. W końcu zaświeciła mi się lampka. – Tata Nene?

– Nie, jej wuj, ale prawie jak ojciec – wyjaśnił brat.

– Ten facet to złodziej... to... – ojciec nie był w stanie się uspokoić i jak zwykle w takich sytuacjach, gdy tracił panowanie nad sobą, a nie zdarzało się to często, z natury gadatliwe babcie milkły i ustępowały mu pola.

– Może i jest złodziejem, ale złodziejem w prawie, a to co innego! – odpowiedział przekornie Rati i wypił duszkiem herbatę.

Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek wcześniej słyszałam to wyrażenie, w każdym razie od tamtego wieczoru już na zawsze zostało mi w pamięci. Dopiero z czasem, przyjaźniąc się z Nene, mogłam zyskać wgląd w ów specyficzny ciemny świat, jego prawa i wzorce zachowań, i nauczyłam się liczyć ofiary, których żądał. Tak, wówczas to był obcy, odrażający świat, aż w końcu runął na nasze własne, na pozór uporządkowane i pokojowe uniwersum i je pogrzebał, narzucając nam swoje prawa. Prawdopodobnie wtedy niewiele z tego rozumiałam, ale domyślałam się, że Dito Koridze, nazywany Tapora, to jeden z najbardziej wpływowych przedstawicieli półświata, którego wszyscy się boją. Dopiero później, gdy jako młoda dziewczyna stałam się zakładniczką tego świata, zaczęłam sprawdzać i czytać na ten temat i nieźle się zdziwiłam, znajdując informację, że pojęcie „złodziej w prawie” pochodzi z języka obozowego Gułagu, że ten typ sowieckiego kryminalisty powstał i rozpowszechnił się dzięki stalinowskim represjom. W okrutnej hierarchii więziennej wykształciła się wśród skazanych złodziei niezwykle autorytarna grupa więźniów, predestynowana niejako do roli

szczególnego rodzaju zarządców i strażników. To oni określali porządek dnia w łagrze i ustanawiali swoje własne zasady. Stworzyli swego rodzaju państwo w państwie, równoległą rzeczywistość, która po śmierci Stalina rozciągała się także na obszary pozaobozowe i w której panowało wyłącznie złodziejskie prawo. Wiązało się to z całkowitym odrzuceniem jakichkolwiek struktur państwowych i jakiegokolwiek współpracy z władzami. Członkowie tej grupy nie mogli wykonywać regularnej pracy zawodowej. Nielegalnie zdobyte pieniądze – zazwyczaj w wyniku napadów rabunkowych i wymuszeń – składano do wspólnej kasy, nazywanej obszczakiem. Kryminalnym autorytetom gangu należało okazywać ślepe posłuszeństwo, członkowie „starszyny” mieli zakaz zakładania rodziny po to, by zminimalizować możliwość zadania im ciosu. Niepisane złodziejskie prawo mówiło, że narkotyki i prostytutka to niegodne interesy, zaś inny przepis określał znaczenie tatuaży – niektóre z nich były zarezerwowane wyłącznie dla określonych stopni w hierarchii. Zadaję sobie pytanie, kiedy właściwie zaczęła się era półświatka, i dochodzę do wniosku, że to musiało nastąpić w latach siedemdziesiątych, w czasach breżniewowskiego zastoju. Zmierzch partii komunistycznej i kwitnąca korupcja stanowiły idealną pożywkę dla takich ruchów kryminalnych, których rządy trwały przez trzy dekady, a ich szczytowa, zdegenerowana i perwersyjna forma pchnęła nas w prąciemną, przedcywilizacyjną otchłań.

Nie pamiętam już, kto opowiedział mi o tym spotkaniu w Kisłowodzku – Nene czy Rati? W 1979 roku w dalekim kurorcie Kisłowodzk miało podobno miejsce tajne spotkanie wszystkich ważniejszych złodziei, po rosyjsku: worów, i cechowników, podczas którego złodzieje wymusili na skorumpowanych cechownikach przekazywanie im dziesięciu procent zysków w zamian za ochronę. To na pewno była Nene, przecież dla niej tego typu rozmowy to była normalka. Używanie takich określeń jak „schodka” było tak samo oczywiste jak „sucza wojna” czy „całowanie noża”.

Im bardziej państwo traciło szacunek i poważanie, im wyraźniej obywatele dostrzegali w służbie ojczyzny kłamców, wyzyskiwaczy i manipulatorów, im

bardziej było oczywiste, że ideologia przekształciła się w farsę, a przede wszystkim im bardziej obywatele tracili coś, co ich przywiązywało do państwa najsilniej, czyli strach, tym bardziej znaczącą rolę w społeczeństwie odgrywało złodziejskie prawo. Nawet moje babcie nazywały ludzi idących na współpracę z milicją „szczurami”.

Do dziś mam w uszach głos wzburzonego brata. Słyszę, jak zaciekle przedstawia ojcu kontrargumenty, słyszę, jak się kłóć. Nie, ich światopoglądy nigdy się nie zejdą, nigdy nie uznają nawzajem swoich wartości i nigdy nie przestaną wściekać się na siebie.

– W przeciwieństwie do twoich pieprzonych polityków przynajmniej dotrzymują słowa. To prawdziwi faceci i nie rzucają słów na wiatr. Zabierają tym, którzy nas okradają, i rozdzielają to sprawiedliwie. Nie zostawiają swoich na lodzie, jak robi to twoja zasrana władza! Dla nich słowo honor ma ciągle jeszcze jakieś znaczenie! – słyszę Ratiego, jak atakuje ojca. – Bo dobrze wiesz, tato, że twoje zasrane państwo jest największym złodziejem ze wszystkich!

Nene chciała przez całe dzieciństwo być dziewczynką w falbankach, lakierkach i zwiewnych sukieneczkach, z błyskotkami i lakierem na paznokciach, chciała być kochana i rozpieszczana. Żyła w tak bardzo hermetycznym męskim świecie, że starała się mu koniecznie coś przeciwstawić, coś, do czego mężczyźni nie mają dostępu. Nie miałam okazji dobrze poznać jej przedwcześnie zmarłego ojca. Nie wiem, czy również był kryminalistą, czy tylko stał w cieniu swego potężnego brata. Oficjalnie pracował w fabryce tytoniu, nieoficjalnie wykonywał określone zlecenia wszechwładnego brata, który wtedy jeszcze odsiadywał jeden ze swoich niezliczonych wyroków, ale zawiadywał wszystkim z więzienia i stamtąd pociągał za sznurki. Dlatego do ojca Nene należało przekazywanie wiadomości, ściąganie pieniędzy od dłużników, rozstrzyganie w imieniu brata sytuacji konfliktowych i sporów. Wiedzieliśmy, że padł ofiarą głupiego konfliktu między dwoma pomocnikami Tapory. Ten młody człowiek, który zapłacił życiem za bezgraniczne zaufanie do swojego starszego brata, osierocił dwóch synów w wieku sześciu oraz trzech lat i zostawił ciężarną żonę.

Tapora wyszedł na wolność dopiero dwa lata po tym zdarzeniu, ale mówiło się, że jeszcze z więzienia kazał brutalnie rozprawić się z mordercą. Odnaleziono go nagiego w lesie z dziewięcioma ranami kłutymi. Tapora opuścił więzienie i zamieszkał z rodziną brata. Nie wiem, czy zrobił tak dlatego, że czuł się winny wobec wdowy i dzieci, czy też przez śmierć brata mógł wejść w posiadanie rodziny zastępczej, choć przecież z racji swojej pozycji nie wolno mu było zakładać własnej. W każdym razie został nieoficjalnym ojcem rodziny Koridze. Wokół tej rodziny od dawna krążyły legendy. Według jednej z nich Tapora już od najmłodszych lat był zakochany w Mananie i mógł skorzystać na śmierci brata. Do dziś nie umiem powiedzieć, czy Manana po prostu uległa swojemu losowi, czy też uznała, że tak trzeba, i dobrowolnie oddała się pod opiekę swojego operatywnego szwagra. Zawsze, gdy myślę o Mananie, mam przed oczyma tę dużą, ociężałą, ubraną zawsze na czarno kobietę, która rzadko się śmiała, była raczej smutna, zazwyczaj przygnębiona i cierpiała na silne migreny skazujące ją czasem na kilka dni izolacji spędzanych w milczeniu i całkowitej ciemności. Była na wskroś konserwatywna i zdecydowanie odrzucała jakiekolwiek odstępstwo od normy. Jej twarz zawsze zdradzała pewne zmęczenie, ale za tą maską skrywało się coś jeszcze, jakaś przerażająca rezygnacja. Jestem ciekawa, jak wyglądała jako młoda dziewczyna, zanim los związał ją z braćmi Koridze. Ale dzięki tym nieobliczalnym tytanom prowadziła w swoim przestronnym mieszkaniu dostatnie życie i mogła być pewna, że jej dzieci nigdy nie zazną biedy i dostaną wszystko, czego im potrzeba – poza jednym wyjątkiem: prawem do tego, by żyć tak, jak chciałyby żyć.

Okna ich pięciopokojowego, jak na warunki radzieckie wręcz luksusowego mieszkania przy ulicy Dzierżyńskiego wychodziły, jak na ironię, na siedzibę Komitetu Centralnego i na zamknięty i bujny ogród. Manana mogła kolekcjonować zarówno czeskie wazony kryształowe i francuską porcelanę, jak i petersburską złotą biżuterię z czasów carskich, futra z moskiewskiego domu towarowego GUM czy włoskie buty. Codziennie dostarczano jej świeże wiejskie produkty, żeby nie musiała chodzić sama na bazar czy do jakiegoś lichego sklepu spożywczego. A gdy wyjeżdżała na urlop, to nie nad gruzińskie Morze Czarne, lecz do bułgarskich

Złotych Piasków albo nad Morze Bałtyckie w Estonii. Jednak ceną za te materialne dobra i przywileje była rezygnacją z wszelkich form samodzielności.

Guga, starszy z braci, wyrósł na nieśmiałego, bojaźliwego chłopca. Mimo wzrostu i szerokich barów był raczej powolny, dużo jadł i lubił oglądać telewizję. Musiał być męski, dominujący, waleczny, musiał nieustannie bronić wątpliwego honoru rodziny, liczyć się ze słowami wuja i go słuchać. Gdy w wieku piętnastu lat miał być rozprawiony przez prostytutkę, lecz przeciwko temu zaprotestował, bo od pewnego czasu był zakochany na zabój w Annie Tatiszwili, wuj zagroził mu laniem, jeśli natychmiast nie przestanie „zachowywać się jak pedał”, a na dodatek został wyśmiany przez brata, którego wuj już w dwunastym roku życia „uczynił mężczyzną”.

O ile więc Guga był ciągle wycofany, a Nene udawała miłą i potulną córcię, która potrzebuje dużo ciepła i czułości i nieustannie próbuje udobruchać wściekłego wuja, to o trzy lata młodszy od Gugi Cotne był zbudowany z całkiem innego tworzywa. Szczupły, trochę niższy od starszego brata, z twarzą już za młodych lat wyglądającą dojrzałe i w przeciwieństwie do swego rodzeństwa niemający w sobie nic z marzyciela. Nigdy nie potrafiłam dojrzeć w nim atrakcyjnego mężczyzny, na którego widok mdlały wszystkie dziewczyny w okolicy. Już od dziecka wołałam trzymać się od niego z daleka z powodu blizny przecinającej jedną brew, stalowoniebieskiego koloru oczu (kolor oczu to jedyne, co u całego rodzeństwa Koridze było takie samo), na łyso ogolonej głowie i nerwowego, porywczego charakteru. Już jako siedmiolatek przeklinał jak wuj, a w wieku dwunastu lat prześladował chłopaków z równoległej klasy i wyłudzał od nich pieniądze. Uchodził za nieustraszonego człowieka, który zawsze potrafi zachować zimną krew – doskonale przesłanki, by pójść w ślady wuja. Jego matka miała zakaz nawiązywania przyjaźni z określonymi kobietami, to znaczy z kobietami, których mężowie pracowali w instytucjach państwowych. Jedynie podczas nieobecności Tapory Manana mogła realizować własne potrzeby. Ale trwało to do czasu, gdy Cotne zaczął Taporze zdawać regularnie relacje i wtedy niewola Manany stała się jeszcze bardziej ciasna i smutna.

Manana unikała wszelkich konfliktów ze swoim młodszym synem, a Guga bał się brata, natomiast Nene nierzadko wchodziła z Cotnem na wojenną ścieżkę. Klócili się do krwi, jak dwa zwierzaki, które przestają widzieć na oczy, gdy tylko wpadną w furję. Często się dziwiłam, skąd mała i na pierwszy rzut oka niewinna Nene czerpie tyle siły. Dzisiaj to wiem. Nikt by się nie spodziewał, że pod tą twarzą niewiniątka kryje się tyle impetu i złości, że w tym drobnym ciele nagromadziło się tyle energii, tyle wściekłości i zdecydowania. Ale jej napady szału przeplatały się z fazami rezygnacji, które niepokoiły nas w nie mniejszym stopniu. Nieraz słyszałyśmy z jej ust zdania typu: „To przecież nie ma sensu”, „I tak nic nie mogę zrobić”, „To i tak nigdy się nie zmieni”. Sposób, w jaki wypowiadała te słowa, był strasznie wzruszający, ale najbardziej martwiła się o nią Ira. Ira wprost ją ubóstwiała, a zaczęło się to w dniu, gdy przekonała się o jej przychylności.

Początkowo Nene dworowała sobie z nadopiekuńczości Iry, która z czasem okazała się koniecznością i jednocześnie przeszkodą. Ira, najbardziej racjonalna i rozważna z nas wszystkich, uparła się, że Nene – jakkolwiek paradoksalnie by to brzmiało – trzeba chronić przed nią samą i przed jej rodziną, ale nie dostrzegała przy tym, że Nene mimo konfliktów i problemów była nieodłączną częścią tej rodziny i że odcięcie pępownicy nie było takie proste. Nene uosabiała całą tę sprzeczność. I tak jest do dziś, jestem o tym przekonana. W tej sprzeczności toczy się całe jej życie. Zawsze tak było, że jednego dnia przekraczała jakąś granicę, by następnego dnia dobrowolnie wrócić do złotej klatki i pisanego jej losu. Rozumiałam to, Dina też, tylko Ira nie potrafiła tego zaakceptować i nie chciała spojrzeć prawdzie w oczy. Czy teraz, stojąc naprzeciw Nene, otoczona tymi czarno-białymi fotografiami, nadal wypiera tę prawdę? Mam jednak nadzieję, że nauczyła się żyć z ową sprzecznością.

Ja i Nene zaprzyjaźniłyśmy się już w podstawówce. Najpierw była to taka przelotna, raczej niezbyt bliska przyjaźń, bez zobowiązań. Rozmawiałyśmy ze sobą, bo czułyśmy do siebie sympatię, tak jak wtedy pod weselnym stołem, ale nie miałyśmy wobec siebie wielkich oczekiwań. Zapraszałyśmy się nawzajem na

urodziny, na wycieczkach szkolnych siedziałyśmy często obok siebie i razem chichotałyśmy, na przerwach wygłupiałyśmy się, ale po szkole raczej się nie umawiałyśmy. Większość rodziców ostrzegała swoje dzieci przed zbytnim spoufalaniem się z dziećmi Koridze, wszyscy obawiali się nieobliczalności tych ludzi. Nie pamiętam, jak długo Dina, Ira i ja stanowiłyśmy już nierozłączną paczkę, gdy nagle Nene podeszła do nas i zapytała o coś bardzo dziwnego:

– Czy możecie mi w czymś pomóc?

Zwróciła się bezpośrednio do Diny, jak gdyby wiedziała, że z całej naszej trójki najpierw powinna przekonać właśnie ją.

– Jasne, dawaj! O co chodzi? – odparła Dina i zrobiła jej przed nosem różowy balon z ulubionej gumy do żucia marki Donald. (Od razu czuję jej zapach w nozdrzach, taki sztuczny, słodkawy...)

– Musimy odwrócić jakoś uwagę mojego brata, żeby mama mogła się spotkać z koleżanką – wyjaśniła Nene.

Ira uniosła brwi, jak zawsze, gdy usłyszała coś, co wywoływało jej słynne wątpliwości. Dina patrzyła na Nene przez chwilę z niedowierzaniem, potem odchyliła gwałtownie głowę do tyłu, zaczęła się śmiać tym swoim głębokim, drapieżnym głosem i zawołała zachwycona:

– Jasne, działamy. Jaki jest plan?

Plan polegał na tym, żeby wywabić Cotnego z domu po to, by mama mogła w spokoju spotkać się z jedną z przyjaciółek, która podpadła Taporze. Nene zaproponowała, żeby dwie z nas poszły do niej do domu i poprosiły Cotnego, aby natychmiast przyszedł do szkoły, ponieważ Nene się przewróciła i potrzebuje pomocy. W tym czasie Manana mogłaby wyjść z domu niezauważona i spotkać się z przyjaciółką tak, żeby syn nie mógł jej szpiegować.

– Czemu twoja mama musi się ukrywać przed twoim bratem?

Ira zadała pytanie, które my wszystkie miałyśmy na końcu języka. Nikomu z nas nie mieściło się w głowie, że dorastający syn narzuca dorosłej kobiecie jakies

zakazy. Ira wlokła się wprawdzie za nami, ale widać było, że nie zgadza się na ten pomysł.

Przypominają mi się zdumione miny moich koleżanek, gdy Cotne otworzył nam drzwi. Duży przedpokój wybity boazerią, niekończący się korytarz, sufit na wysokości pięciu metrów, to wszystko wprawiło Dinę i Iry w osłupienie. Znałam już to mieszkanie z przyjęć urodzinowych, ale ja także za każdym razem, gdy tam wchodziłam, byłam pod ogromnym wrażeniem. Żadna z nas tak nie mieszkała.

Wiele lat później, gdy pękły tamy, zgasły światła, a ludzie i psy, jakby opanowani wścieklizną, biegali rozjuszeni po ulicach w poszukiwaniu łupów, nie zważając na strzały, Dina powiedziała do Iry i do mnie, że to jakaś makabra, iż akurat te nieskończone długie korytarze i olbrzymie pokoje zastawione po brzegi luksusem są teraz największym więzieniem. Ani Ira, ani ja nie wiedziałyśmy wtedy, co odpowiedzieć, więc zdruzgotane zamilkłyśmy, popadając w zadumę nad całą tą biedą i niedostatkiem, lecz każda z nas była osamotniona w swoim milczeniu, bo ta bieda i niedostatki, nawet jeśli same w sobie były do siebie podobne, dotknęły każdą z nas w inny sposób.

Ale zanim to wszystko nastąpiło, wtedy w drzwiach mieszkania rodziny Koridze stał dumny Cotne, z ogoloną głową, sprężystym ciałem i charakterystyczną blizną, trzymał w ręku kawałek chleba i z pełnymi ustami patrzył na nas zdziwiony:

– O co chodzi? – spytał i rzucił pogardliwe spojrzenie na Dinę, która wypaliła od razu:

– Twoja siostra przewróciła się w szkole, musisz ją odebrać, bo kuleje – wyjaśniła i usiłując nadać swoim słowom trochę dramaturgii, popatrzyła smutno na niego.

– Co ta głupia krowa znowu nawyprawiała?

– Przewróciła się. Głuchy jesteś czy co?

To był głos Iry stojącej nieco z tyłu. Muszę przyznać, że zaskoczyła mnie swoją odwagą. Ta Ira, która przez całe życie stała z boku i tylko obserwowała, przystąpiła nagle do czynu. Byłam pewna, że nie miało to nic wspólnego z Diną. Pod

wpływem Nene coś się w niej rozbudziło, jakaś czuła troska, jakiś stłumiony instynkt, i szczerze mówiąc, nie wiedziałam, jak należy to interpretować.

– Jak ty się zwracasz do dorosłych?! – skrytykował ją Cotne, a my nie mogliśmy się nadziwić, z jak absurdalną pewnością siebie uważał się za dorosłego. I nie czekając na reakcję, wrzasnął przez cały korytarz do Gugi: – Guga, chodź tu szybko, musisz odebrać Nene ze szkoły!

Po czym zniknął, zostawiając otwarte drzwi. Nie przewidzieliśmy takiego obrotu sprawy. Poczułam, jak narasta we mnie panika, Irę przeszył dreszcz, a Dina spojrzała na nas przerażona.

– Co teraz robimy? O rany, Nene powinna była przewidzieć, że ten idiota wyśle swojego brata – szepnęłam. Nie mogliśmy zawieść nowej koleżanki, nie tak od razu, już podczas pierwszej misji, którą nam powierzyła.

Wtem w drzwiach stanął rosły Guga. Wyglądał zupełnie inaczej niż jego drobniejszy brat, mimo niewzruszonych niebieskich oczu, tak charakterystycznych dla rodziny Koridze, których stalowa siła była wręcz nie do zniesienia. Ale w oczach Gugi nie było ani odrobiny gniewu, tylko całkowita otwartość, można było odnieść wrażenie, że to nie on obserwuje świat, lecz świat sam wpada mu do oczu. Rozejrzał się zdezorientowany i zaczerwienił się na nasz widok.

– Idź z nimi i przyprowadź Nene do domu – zakomenderował Cotne i przełknął resztę chleba.

– Coś się stało? – spytał przestraszony Guga.

– Nie, nic strasznego, tylko nie może chodzić – wymamrotałam z zakłopotaniem i poczułam się jak największa oferma na świecie.

– A, jasne, to już idę – odpowiedział Guga i zaczął wkładać buty.

– Nie, to ty masz ją odebrać – powiedziała nagle Ira i zrobiła krok do przodu, wchodząc do mieszkania.

Spojrzałyśmy po sobie zaskoczone. To była całkiem inna Ira niż ta, którą znałyśmy. Stała tu jak mała amazonka, gotowa do walki za wszelką cenę.

– A dlaczegoż to? – chciał wiedzieć Cotne.

– Bo ona nie przewróciła się tak po prostu. Ktoś ją popchnął – wypaliła Ira jak z pistoletu.

– Popchnął? Co za bękart odważył się popchnąć moją siostrę? – Cotne zmienił ton. Obojętną arogancję zastąpiła agresywna troska.

– Tak, jakiś chłopak ją popchnął i Nene chce, żebyś dał mu nauczkę.

W oczach Diny pojawił się błysk uznania. Irze udało się coś, z czym my obie nie dałyśmy sobie rady. Od razu zorientowała się, jakim językiem trzeba przemawiać do Cotnego. Miała fenomenalne wyczucie ludzkich potrzeb. Jak sejsmograf odbierała drgania wynikające z lęków lub pragnień, bez trudu odczytywała potrzeby i nieszczęścia. To najprawdopodobniej te umiejętności sprawiły, że stała się tą kobietą, która stoi teraz obok mnie, przyzwyczajona do tego, że dostaje to, co chce. Ale w przypadku jednej osoby to nie funkcjonowało, w przypadku jednej osoby jej czujnik nie działał, a tą osobą była rozmarzona, niestała i wiecznie łaknąca czyjejś uwagi Nene.

– Guga, zostań tutaj, ja się tym zajmę, bękart pożałuje...

Cotne ubrał się błyskawicznie i zbiegł przodem po schodach, zostawiając w drzwiach zdezorientowanego Guge.

Byłyśmy bardzo zadowolone, wręcz szczęśliwe. Umożliwiłyśmy ucieczkę dorosłej kobiecie. Czułyśmy się jak bohaterki, bo przechytryłyśmy drania. Pobiegłyśmy ulicą Dzierżyńskiego w dół, trzymając się za ręce. Drań został wyprowadzony w pole. Z każdym krokiem czułyśmy się coraz lżejsze, jakbyśmy miały za chwilę się unieść i pofrunąć nad tonącymi w promieniach słońca dachami i strzelistymi, soczyście zielonymi cyprysami, nad parkanami i balkonami, brukowanymi ulicami, zaparkowanymi autami, ponad głowami starców grających w tryktraka i wyklócających się o coś sąsiadek, nad szczekającymi psami i wygrzewającymi się na słońcu kotami, nad naszym coraz bardziej kurczącym się miastem. Byłyśmy niepokonane, czas pękał kawałek po kawałku, odpadał jak tynk ze ściany, przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie, od tej chwili miałyśmy własną oś czasu i kierowałyśmy się nią konsekwentnie jak kompasem. W tym poczuciu

spełnienia i doskonałości chwili nie przeczuwałyśmy, że nasz świat właśnie zaczyna się rozpadać. Nie przeczuwałyśmy, że to, co było naszym najlepszym schronieniem, nasz domek ślimaka, nasze dzieciństwo, wkrótce od nas odpadnie i staniemy w obliczu nowych czasów zupełnie nagie, i będziemy musiały w tym nowym świecie jakoś się odnaleźć.

Ale tymczasem frunęłyśmy dalej i nie chciałyśmy o tym wszystkim nic wiedzieć.

DWA: PSIE LATA

Ужасный век, ужасные сердца

Okrutne serca i okrutny wiek!

Aleksander Puszkina, *Skąpy rycerz*, tłum. Seweryn Pollak

LEICA

Nic się nie zmieniła, myślę. Wdycham jej zapach i trzymam ją w ramionach, nie puszczam, czuję, jak nerwowe spojrzenie Iry pali mnie w kark. Ira nie wie, co ma począć, co zrobić ze swoim ciałem, stoi zdana na jej łaskę i niełaskę, nawet dzisiaj. Natomiast ciało Nene, po trójce dzieci, po, no cóż, właściwie nie wiem, po ilu partnerach, na pewno było ich kilku, po wygranych i przegranych bitwach, których z pewnością pozazdrościłby jej niejeden żołnierz, jest nadal jędrne, krągłe, gładkie, a skóra delikatna. Wciąż pachnie pudrem jak kiedyś, włosy wiązuje dokładnie tak samo kunsztownie jak dawniej i tak samo jak dawniej żywiłowo i bezładnie gestykuluje rękami. Kocham ją za tę stałość, chociaż wiem, że zapłaciła za nią niewyobrażalnie wysoką cenę, tyle razy mogła wybrać inną drogę, do innego ja, z którym życie byłoby o wiele łatwiejsze, ale w przeciwieństwie do Iry i w przeciwieństwie do mnie nie zrobiła tego.

Czyżby zdecydowała się przyjechać do Brukseli sama, gdzie są jej synowie, jak się miewa? Chcę wiedzieć wszystko jak najszybciej, zastanawiam się, jak to możliwe, że tak długo wytrzymałam bez tej wiedzy. W końcu odrywam się od tak bliskiego mi ciała i ustępuję miejsca Irze, daję im się przywitać. Zauważam na twarzy Nene pewną zmianę, bardzo subtelną, jej własna rodzina doprowadziła ją do tego, że stała się specjalistką od nakładania masek. Zawsze potrafiła się uśmiechać, nawet wtedy, gdy jej świat staczał się w przepaść. Teraz też jest uprzejma, okazuje zainteresowanie, a jednak gdy przyjrzeć się dokładniej, widać, jak jej wyskubane do cienkiej kreski brwi zaczynają się ściągać, nos lekko się marszczy, jak przełyka ślinę, a uśmiech powoli zastyga. Ale oczy wciąż są pogodne, nie widać w nich żadnej pretensji. Wysyła sygnał, że przybyła do Brukseli z pokojowym nastawieniem, jest gotowa na to spotkanie i pragnie zostawić przeszłość za sobą.

– Cześć, Ira – mówi tylko i staje lekko na palcach, pochyła się do przodu i cmoka Irę w policzek.

Ira stoi sztywna jak kołek, tak jak wtedy, jest niewolnicą własnego zakłopotania, własnego strachu i jednocześnie własnej tęsknoty, przepadła gdzieś jej sprężysta, wysportowana sylwetka, efekt niezliczonych godzin spędzonych na siłowni. Po powitalnym pocałunku Nene natychmiast się cofa, jej pokojowe nastawienie nie powinno nikogo mylić, ponieważ nic nie poszło w niepamięć. Nie wybaczyła jej, jedynie odgrywa rolę kogoś, kto łaskawie darował winy, w przeciwnym razie przyjazd tutaj po to, by świętować razem z nami i oddać hołd naszej zmarłej przyjaciółce, byłby niemożliwy.

– Tak się cieszę, że przyszaś – mamrocze Ira.

Bardzo chciałabym jej pomóc, jeszcze przed kilkoma minutami była pewnym siebie drapieźnikiem, niekwestionowaną gwiazdą wśród adwokatów, a teraz z trudem panuje nad sobą, musi liczyć się z tym, że zostanie odrzucona.

– Jak mogłabym nie przyjść – mówi Nene i spogląda na mnie znacząco z rozbajającym uśmiechem.

Pod jej oczami odkrywam nowe zmarszczki mimiczne, które wyzierają spod grubej warstwy pudru, wiek dodaje jej jakiejś nowej formy powabu, to swego rodzaju drzemący w niej erotyzm. Zdaje się, że dawna agresywność i lekka wulgarność jej ruchów oraz mimiki zniknęły, wróciła do siebie, nie, właściwie nigdy nie oddalała się od siebie, nagle to do mnie dociera – po prostu już się nie boi, pokonała strach, zostawiła go za sobą i to czyni ją tak atrakcyjną. A ja znów odczuwam ów nieznośny ból, znowu wydaje mi się to niesłychane, że o niczym nie wiedziałam, nie miałam pojęcia o tym, co się z nią dzieje, o tych jej wszystkich próbach wyzwolenia się.

Młody kelner w czarnej kamizelce i białej koszuli, o uśmiechu bohatera komedii romantycznej sunie w naszą stronę z tacą zastawioną kieliszkami z winem, czerwonym oraz białym, chce coś opowiedzieć o serwowanych gruzińskich trunkach, ale wpadam mu w słowo, po czym częstuję się lampką białego wina,

szukając w niej swojego zbawienia. Ira również się częstuje, wyraźnie widać, że odetchnęła z ulgą. Nene pyta kelnera swoją łamaną angielszczyzną, czy jest może coś mocniejszego, no chyba rozumie, co ma na myśli. Młody mężczyzna nie wie, jak ma zareagować, czerwieni się i patrzy na mnie zakłopotany.

– Nie ma problemu – staram się go uspokoić.

– Zorganizowaliście wielką retrospektywę z fotografiami Diny bez wódki albo czaczy? Chyba sobie żartujecie?!

Nene potrząsa głową i śmieje się dwuznacznie. Kelner ma nietęgą minę, chociaż nie jest przecież niczemu winien. Dopiero teraz przypominam sobie, jak Nene działa na mężczyzn. Te ich charakterystyczne spojrzenia, coś pomiędzy fascynacją a zdumieniem, ta ich niepewność, czy mają brać ją za wariatkę z tym jej hałaśliwym sposobem bycia, czy też ulec jej urokowi lalki. Na pewno i ten chłopak zadaje sobie takie pytanie, jeszcze nie wie, na co się zdecydować, ale ma czas, w ciągu wieczoru na pewno jeszcze się to okaże.

Nene puszcza do niego oko napominająco. Ira uśmiecha się dyskretnie, a ja robię wszystko, żeby nie parsknąć śmiechem, cieszę się, że tak szybko znów biegniemy w jednym zaprzęgu, że znowu, jak dawniej, jesteśmy przyjaciółkami, które znają każdy swój krok. Odpowiedź kelnera totalnie nas zaskakuje:

– Mogę zejść na dół i sprawdzić, może bufet jest już przygotowany. Jeśli tak, to coś zorganizuję. Wódka z lodem, tak?

A więc już podjął decyzję. Mógłby być jej synem, przechodzi mi przez myśl. Ira tylko potrząsa głową i przeciąga ręką po włosach. Jakiż to znajomy gest.

– Byłbyś tak miły, naprawdę? W takim razie wódka z martini byłaby najlepsza, ale od biedy może być też wódka z lodem. Tak. To naprawdę urocze z twojej strony, naprawdę.

Ira i ja staramy się zachować powagę.

– Jasne, nie ma sprawy. Zobaczę, co da się zrobić.

– *You made her day* – woła za nim Ira swoim nienagannym *American English* i ten ton również wydaje mi się znajomy, jak echo z dawnych lat, ta zuchwałość,

lekki sarkazm w jej głosie.

Wybucham głośnym śmiechem, także Ira śmieje się, zakrywając usta ręką.

– Ale o co wam chodzi? – pyta Nene z udawaną naiwnością i wzrusza ramionami.

– Jak to dobrze, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają – mówię, puszczając oko.

– Za to wy obie dość mocno się zmieniłyście – szybko kontruje Nene i lekkość chwili od razu znika, a nasza bliskość znów jest tylko mglistym wspomnieniem.

Żałuję, że dostarczyłam jej pretekstu i swoim entuzjazmem zdetonowałam bombę.

– Nie to miałam na myśli – staram się, by mój głos brzmiał pojednawczo. – Przecież to jest coś pięknego, gdy... Ach, zresztą nieważne.

Nagle ogarnia mnie złość na nią i na jej niewypowiedziany zarzut. W końcu przecież ja też jestem uwikłana w całą tę gmatwaninę zależności. Ale wobec mnie zawsze zachowywała uprzejmy dystans jako wyjście z sytuacji, nigdy otwarcie nie obarczyła mnie winą.

Odkąd wyjechałam z naszego rodzinnego miasta, od kiedy stamtąd uciekłam, rozpoczynając nowe życie, nie było dnia, żebym nie miała z jej powodu wyrzutów sumienia. Między Iraw i Nene doszło kiedyś do spięcia, które zaważyło na ich życiu. To taki rodzaj konfliktu, który nigdy nie przemija, jest wciąż otwarty. Natomiast między Nene i mną leży coś niewypowiedzianego, co jak monolit zagradza nam drogę do siebie.

– Postarajmy się dobrze bawić, okej?

Tym razem to Ira próbuje załagodzić sytuację.

Twarz Nene ponownie się rozjaśnia, tak, ten wieczór powinien przebiegać w dobrym nastroju, cała reszta nie powinna mieć teraz znaczenia, powinniśmy pić wino albo wódkę z martini i wznieść toast za spuściznę przyjaciółki.

– A co tam słyhać u twoich dzieci? I co słyhać u ciebie?

Naprawdę jestem tego ciekawa, chciałabym się tyle dowiedzieć. Brwi Nene lekko się unoszą, jakby chciała odruchowo udzielić mi rutynowej odpowiedzi, ale potem reflektuje się i odpowiada cierpliwie i szczegółowo:

– U nas wszystko w porządku. Naprawdę. Wprawdzie bliźniaki trochę rozrabiają, bo to ciągle dwa łobuziaki, ale Luka to wspaniały chłopak, wszystkie dziewczyny za nim szaleją, jest tak samo przystojny jak ojciec.

Widzę oczyma wyobraźni jego ojca, te zielone oczy, niewinną aurę marzyciela. Doznaję jakiegoś skurczu, znów zjawiają się umarli i wypełniają salę. Ta wystawa to jedno wielkie czuwanie przy zmarłych, jedna wielka uroczystość pogrzebowa. Otrząsam się z zamyślenia, tak bardzo chciałabym stać się teraz niewidzialna.

– Jeśli chcesz, to pokażę ci później kilka zdjęć – dodaje Nene. – I jeszcze jedno... w lipcu znowu wychodzę za mąż.

Śmieje się kokieteryjnie, a jej wzrok wędruje w kierunku Iry, nie odpuszcza, chce zobaczyć jej reakcję, chce wiedzieć, czy zostało jeszcze coś z tego, czego przez całe życie mogła być pewna: bezwarunkowej i zranionej miłości Iry. Ira patrzy w bok, nie reaguje, jest profesjonalistką, zachowuje pokerową twarz.

– Wow, to dopiero nowina! Nie no, naprawdę nic a nic się nie zmieniłaś – reaguję spontanicznie i znów wybucham głośnym śmiechem.

– Taaak, na miłość nigdy nie jest za późno! – chichocze Nene i zatrzymuje wzrok gdzieś daleko.

Próbuję rozpoznać, co przyciągnęło jej uwagę, ale bezskutecznie.

– O Boże, spójrzcie, to jest zdjęcie naszego skoku. Chodźcie. To my! – woła w euforii i pospiesznie się oddala.

Jak piętnastolatki pędzimy za nią zygzakiem pomiędzy licznymi grupkami gości tłoczącymi się z kieliszkami w rękach przed fotografiami. Wreszcie rozpoznaję to zdjęcie, które przyciągnęło Nene. Pochodzi z czasów, gdy Dina dopiero zaczynała przygodę z fotografowaniem i była gotowa na każdy szalony eksperyment. Zdjęcie zostało wykonane aparatem mojej zmarłej matki. Zatrzymujemy się, stając jedna przy drugiej. Oddychamy w tym samym rytmie,

nasze klatki piersiowe unoszą się i opadają tak samo miarowo, we trzy stoimy przed spuścizną czwartej z nas i zadajemy sobie pytanie, co te dziewczyny z obrazka mają wspólnego z nami, dorosłymi kobietami, stojącymi teraz tutaj ramię w ramię.

Podskoczyłyśmy wtedy równocześnie, z ustami szeroko otwartymi w uśmiechu, tylko Ira patrzyła poważnie, jak zwykle, gdy ją fotografowano, przekrzywiła lekko głowę, jakby chciała uciec od oka obiektywu. Dina i ja pośrodku, Nene z prawej, a Ira z brzegu po lewej stronie. Skok radości. To Dina zaproponowała, żebyśmy go wykonały, a następnie sfotografowała go aparatem mojej matki, używając do tego samowyzwalacza. Widzę na tym zdjęciu nie tyle skok, co raczej jakiś niepokorny triumf, święto radości na szczycie wulkanu.

To był pomysł Diny, żeby pojechać na teren opuszczonej fabryki sukna i tam porobić zdjęcia. Początkowo byłam zdecydowanie przeciwna, ponieważ istniało ryzyko, że nie zdążymy wrócić przed godziną milicyjną i narobimy sobie kłopotów. Ira była tego samego zdania, ale z jakiegoś irracjonalnego powodu ta propozycja spotkała się u Nene z wielkim entuzjazmem, przypuszczalnie dlatego, że jej wuj i bracia akurat gdzieś wyjechali, więc chciała się nacieszyć tą odrobiną wolności. Ira i ja dałyśmy w końcu za wygraną, radość pozostałych koleżanek i ich chęć przeżycia przygody były zbyt wielkie i zbyt zaraźliwe.

Zaledwie kilka tygodni wcześniej Dina dostała od mamy w prezencie smienę i od tamtej pory nie potrafiła rozmawiać o niczym innym jak tylko o dobrych miejscach do fotografowania, odpowiednim oświetleniu i najlepszych motywach. Zazwyczaj jej zapał do czegoś nowego zniknął tak samo szybko, jak się pojawiał, ale ta pasja przetrwała. Wciągnęła się tak mocno, że zaczęła poszerzać wiedzę na ten temat, pożyczała od Rostoma Jaszwiłego albumy i prosiła o wyjaśnienia dotyczące każdego szczegółu, spędzała w jego ciemni niezliczone godziny i ani na chwilę nie zdejmowała aparatu z szyi, zawieszony na rzemieniu dyndał jej na piersi jak drogocenny amulet.

Jej ulubionym motywem byłyśmy my trzy. Zdawało się, że przez obiektyw odkrywa nas i nasze twarze na nowo. Tak często naciskała wyzwalacz, że przestałyśmy w ogóle zwracać na to uwagę. Z tym że Nene jako jedynej z naszej trójki wyraźnie sprawiało to przyjemność, mogła być fotografowana na okrągło. Ustawiała się specjalnie do zdjęcia, otwierała szeroko swoje sarnie oczy i nadymała usta, ale Dina zakazała jej tego pozowania. Uważała, że nie ma nic głupszego niż taki rodzaj oszustwa. Zdjęcie, które powstało tego dnia na terenie opuszczonej fabryki, stanowiło jednak wyjątek, bo z jakiegoś powodu Dina tym razem zdecydowała się na inscenizację. Uchwyciła nas w połowie skoku, w powietrzu, z podkurczonymi nogami i śmiejącymi się ustami. To zdjęcie przedstawia nas u progu nadciągającej młodości, ukazuje także naszą nieświadomość tego, co przyniesie przyszłość.

Patrzyłyśmy wówczas w ponure, zaciągnięte chmurami wrześnie niebo. W powietrzu wisiała jakaś zmiana, ale my miałyśmy do zrobienia coś ważniejszego niż zwracanie sobie głowy polityką. Liczyła się tylko teraźniejszość. Staraliśmy się nie zwracać uwagi na propagandę sącząca się nieustannie z migoczących na niebiesko ekranów ani na wprowadzoną dziewiątego kwietnia godzinę milicyjną. Uciekałyśmy, gdy tylko dorośli wdawali się w zażarte dyskusje polityczne, które toczyły się każdego dnia, zarówno w domach, jak i wśród sąsiadów na podwórku. Nie miałyśmy ochoty rozprawiać ani o „kwestii abchaskiej”, ani o „kwestii narodowej”, nie chciałyśmy roztrząsać ani „problemów mniejszości etnicznych”, ani wyliczać zmarłych, którzy stracili życie kilka miesięcy wcześniej podczas demonstracji dziewiątego kwietnia i o których codziennie przypominały nam czerwone tulipany w alei Rustawelego. Udawało nam się nawet ignorować patrolujących żołnierzy i rosyjskie czołgi blokujące główne ulice. Ale od własnej rodziny nie tak łatwo było uciec, bo po dziewiątym kwietnia, kiedy użyto gazu, gdy łopatomi rozbijano głowy, skronie i karki demonstrantów, gdy krew spływała strumieniami, a na ulicach leżały przykryte zwłoki, i gdy wszelkie nadzieje zostały odarte ze skóry, w babudę dwa wstąpiła taka determinacja, że aż strach. Jej dawna

pojednawcza i harmonijna natura uległa transformacji i przekształciła się w bezkompromisowość i złość. Tłumiona latami i skumulowana nienawiść do systemu, który odebrał jej w życiu wszystko, znalazła wreszcie ujście i przemieniła łagodną dotychczas i miłą Oliko w ślełą agitatorkę.

– Trzeba go ukamienować i powiesić, bo tylko na to zasługuje. Albo pędzić w nieskończoność ulicami miasta i linczować, tak, linczować, za wszystko, co nam zrobił! – krzyczała, parszając ze złości, gdy słuchała w telewizji noworocznego orędzia Gorbaczowa. – A w Europie myślą, że jest mądry i pragnie pokoju wśród wszystkich narodów świata! Jak można być tak ślełym? Wystarczyło, że zburzyli im mur, i od razu nie chcą niczego widzieć ani słyszeć – wściekała się dalej, podczas gdy ojciec odkorkowywał szampana i z uroczystą miną czekał, aż będzie mógł wzniesić z nami toast za nowy 1990 rok. – On jest po prostu tylko w miarę sprytny, poza tym tak się składa, że wyjątkowo nie jest pijaczną ani wiejskim głupkiem czy psychopatą jak poprzednicy. Ale zrujnuje nas dokładnie tak samo jak tamci!

Oliko nie mogła się opanować. Staliśmy zakłopotani wokół stołu, aż w końcu Rati podszedł do telewizora i go wyłączył, żebyśmy mogli wzniesić toast i złożyć sobie życzenia, ale oczywiście do tego nie doszło, bo tym razem babudzie jeden puściły nerwy.

– Zupełnie zwariowałaś? Rozejrzyj się, posłuchaj, co mówią twoi koledzy z uniwersytetu, ci nacjonaści. To są faszyci bez sumienia, mówię ci, nacjonalizm czai się za każdym rogiem i gdyby nam tylko pozwolili, to pozabijalibyśmy się wszyscy nawzajem! – podsumowała, wskazując palcem na ciemny ekran telewizora. – Tylko posłuchaj, jak ci twoi przyjaciele mówią o Abchazach, byłam niedawno w bibliotece i spotkałam Kotego, tego z anglistyki, byłam zszokowana, gdy powiedział, że trzeba z nimi zrobić to, co zwykle robił Stalin. Skoro im się u nas nie podoba, mówi, to proszę bardzo, niech wszyscy wsiadają na statek i wynocha, na ziemi jest tyle niezamieszkaných terenów, mogą sobie na Syberii ze swoimi Rosjanami wznosić toasty za przyjaźń narodów – przedrzeźniała Eter nieznanego nam Kotego z anglistyki.

– Czy możemy wreszcie wznieść toast?! – krzyknął mój brat poirytowany.

– Nie! – wrzasnęła babuda dwa. – Kogo to dzisiaj jeszcze dziwi, że Kote mówi takie rzeczy? No kogo? Przez prawie siedemdziesiąt długich lat żyliśmy w niewoli, więc ludzie w końcu się zbuntowali, czy to tak trudno zrozumieć? Ale po tym, co mówisz, widać, jak wspaniale działa propaganda: wymordowali ci rodzinę, a ty mimo wszystko bierzesz ich w obronę i nadal chcesz być ich niewolnicą.

– Ty i ci twoi przyjaciele, jesteście ślepi i głusi, i zanurzeni w tym swoim zdegenerowanym nacjonalistycznym patriotyzmie. No tak, bo jesteśmy najlepsi, najwspanialszy, nasza kultura jest najwyższa, jesteśmy szczęśliwym, pobłogosławionym przez Boga krajem, którego wszyscy nam zazdroszczą. Naprawdę wierzysz w te brednie?

Eter omiotła wszystkich spojrzeniem pełnym dramatyzmu.

Rati, którego narastający gniew można było poznać po szybko poruszających się skrzydełkach nosa, spuścił na krótko wzrok, żeby uniknąć patetycznego spojrzenia Oliko.

Eter ponownie przypuściła atak:

– To wszystko i tak prędzej czy później się rozpadnie, tylko się rozejrzyj, ten kraj jest skończony, Rosjanie mają teraz wystarczająco dużo własnych problemów, nie będą w stanie utrzymać sowieckich republik. Sama widziałaś, jak zareagowali dziewiątego kwietnia. Po prostu nie chcę kolejnego bezsensownego rozlewu krwi.

Eter opadła wyczerpana na krzesło, wzięła z gazetnika cenione przez obie babudy czasopismo „Litieraturnaja Gazieta” i zaczęła się nim wachlować.

Babuda dwa wyprostowała się na swoim krześle i z kamienną miną rzuciła w kierunku Eter pogardliwe spojrzenie.

– Na pewno stałaś w 1981 roku pod Pałacem Sportu i machałaś mu ręką, co? Jak cię znam, byłaś pewnie cała w skowronkach i przyniosłaś mu kwiaty, a może nawet poszłaś na koncert i oddawałaś mu cześć, biorąc udział w tej całej maskaradzie...

Rati i ja spojrzeliśmy na siebie poirytowani, nie mieliśmy pojęcia, o kogo chodzi i kogo dotyczy jej kontratak.

Popatrzyłam na delikatną matkę mojej zmarłej matki, jej jasne i bystre oczy, resztki szminki wokół wąskich ust, ładny posągowy nos, perfekcyjnie zaczesane do tyłu, ufarbowane na jasny brąz i spięte srebrną spinką włosy. A po drugiej stronie przysadzista i wysoka Eter z falującą z wściekłości pierśią w bezkształtnej, ciemnobrązowej wełnianej sukience (zdaje się, że miała ich sporą kolekcję, krój zawsze ten sam, tylko kolory się zmieniały, od ciemnozielonego po ciemnoszary), z surową miną dyrektorki internatu, gęstymi brwiami, które odziedziczył po niej mój ojciec, z wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi i typowo gruzińskim orlim nosem, z czujnymi ciemnobrązowymi oczami, którym nic nie było w stanie umknąć. Coś ścisnęło mnie za serce.

– O kim ona mówi? Kogo witałaś kwiatami? – Rati natychmiast zaczął wypytywać babudę jeden, która, wciąż wyraźnie wzburzona, potrząsała głową i jeszcze gwałtowniej niż przedtem wachlowała się czasopismem literackim.

– Pewnie ma na myśli Breżniewa, który w 1981 roku składał w Gruzji wizytę państwową – wyjaśniła Eter – i tak zwana elita zgotowała mu wtedy oczywiście triumfalne przyjęcie, a twoja babka jest łaskawa wrzucać mnie do jednego worka z ludźmi, którzy włązili mu do tyłka bez najmniejszego honoru i wstydu w nadziei, że dostaną jeszcze lepsze przywileje!

– Przestańcie, w tej chwili macie przestać, w przeciwnym razie zabieram Ratiego i Keto i opuszczamy to mieszkanie raz na zawsze! – wściekał się ojciec i ściskając w rękę kieliszek z szampanem, skarcił swoją matkę oraz swoją teściową gniewnym spojrzeniem.

Rati puścił do mnie oko i natychmiast zrobiliśmy ponure miny, chcąc nadać groźbie ojca jeszcze więcej wiarygodności. W ten sposób topór wojenny został na jakiś czas zakopany. Zawarliśmy pokój i wszyscy wznieśliśmy toast za nowy rok.

Rati. Któryż to z licznych Ratich będzie patrzył na mnie z tych ścian, przed którym z nich zatrzymam się najdłużej? I znów powraca ten cały kłębek

sprzeczności, jego delikatna, słodka jak miód czułość mogąca w każdej chwili przemienić się w pełną żółci złość i palącą wściekłość. Zawdzięczam mu orientację w świecie, był moim przewodnikiem po nieprzeniknionym świecie dorosłych. I podarował mi swoje bezpośrednie wspomnienia o naszej matce. To dziwne, myślę, że akurat Rati potrafił dać mi w dzieciństwie największe poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji. Tak bardzo potrzebowałam jego rozpalonej głowy, gorącego temperamentu, entuzjazmu i poczucia sprawiedliwości. Wszystko w nim ściśle wiązało się z naszą zmarłą matką, ona była jego świątynią, jego świętą, jego punktem odniesienia i wszelką miarą. Czczył jej obraz, jaki stworzył sobie w głowie, przypisywał jej inności tak wielką wartość, że stała się ona z biegiem lat legitymizacją i kluczem do wszelkich jego działań. A jednocześnie za wszystko obwinał ojca, za każde stracone marzenie, każde swoje rozczarowanie, a przede wszystkim za to, że wychowywał się bez matki. W jego wyobraźni matka nie miała żadnej wady, z czasem zbudował wokół jej pamięci pewnego rodzaju relikwiarz, w którym jedynie dobro miało swoje miejsce. Wobec takiego uwielbienia dla zmarłej ojciec nie miał naturalnie żadnych szans. Rati nabrał z czasem przekonania, że to ojciec przyczynił się niegdyś do jej ucieczki. Nawet jeśli nie było podstaw, żeby tak sądzić, Ratiemu było o wiele łatwiej mieć jednego winowajcę, na którego mógł wskazać palcem, gdy coś szło nie tak.

Przypomina mi się pierwsza większa eskalacja konfliktu pomiędzy ojcem i Ratiem. Siedzimy sobie w beżowym samochodzie, który ojciec pożyczył od jakiegoś kolegi – sam nigdy nie miał własnego auta – żeby pojechać z nami do Raczy. Chcieliśmy uciec od upału w mieście i spędzić trochę czasu w górach, zanurzyć się w kryształowo czystej wodzie jeziora i wilgotnej zieleni pagórków.

Ojciec nienawidził urlopów. Nawet dziś, gdy przypominam sobie jego cierpienniczą minę z powodu przymusu nicnierobienia, robi mi się go żal. Wakacje oznaczały dla niego przygnębiającą i ciągnącą się w nieskończoność nudę, dlatego dopóki byliśmy mali, a babudy nie takie stare, podrzucał nas im obu, żeby pojechały z nami nad morze. Zazwyczaj jeździliśmy do Picundy w Abchazji, mieszkaliśmy w eleganckim i prestiżowym domu zdrojowym, co zawdzięczaliśmy

członkostwu ojca w Akademii Nauk. On zaś zostawał w Tbilisi albo odwiedzał kolegów w Moskwie, działo się tak w każdym razie w czasach, gdy było jeszcze spokojnie na świecie i stać go było na bilet lotniczy.

Jednak tamtego roku zrobił dla nas wyjątek. Rati skończył właśnie dwanaście albo trzynaście lat, opuszczał swoje niewinne dzieciństwo i wkraczał na nieznaną teren. Ojciec obawiał się prawdopodobnie wyznań, jakie ta przemiana niosła ze sobą, i postanowił poświęcić nam trochę więcej czasu. Siedziałam na tylnej kanapie przy otwartym oknie, wyciągałam rękę na chłodny pęd powietrza i cieszyłam się na czekające nas atrakcje w górach. Rati natomiast siedział naburmuszony na przednim fotelu, zamknięty w sobie i niezadowolony. W którymś momencie ojciec nie wytrzymał, wyłączył radio i urażony zwrócił się do syna:

– Czy masz zamiar przez cały tydzień zamęczać nas tą miną?

Tak się starał, wszystko zaplanował, wszystko zorganizował, a niewdzięczny syn psuje mu teraz cały wyjazd, to jest wielka, wołająca o pomstę do nieba niesprawiedliwość.

– Przecież nie musiałeś mnie ze sobą zabierać – odparł szorstko Rati.

Nie odezwałam się ani słowem. Ojciec na pewno oczekiwał ode mnie jakiegoś wsparcia, bardzo często dawałam się wciągać w ich konflikty ze strachu, że zawiodę albo ojca, albo brata. Byłam swego rodzaju gołąbką pokoju, który musiał poderwać się do lotu, gdy już nic innego nie mogło pomóc. Ale tym razem trudno było Ratiego udobruchać.

– Nienawidzę gór!

W tym zdaniu słychać było tyle gorzkości i złości, że odruchowo spięłam się, podciągnęłam kolana i objęłam je rękami, jakbym chciała owinąć się w kokon.

– A to dlaczego? Przecież w ogóle ich nie znasz.

Ojciec nie wyczuł buntu Ratiego – nie należał do ludzi czytających między wierszami.

– Gdyby nie było tych zasranych gór, to mama byłaby dzisiaj z nami.

Ojciec powinien był w tym momencie zorientować się, że sytuacja jest drażliwa, i zakończyć temat, ale zamiast tego ciągnął rozmowę poirytowany:

– To naprawdę absurdalny powód, żeby torpedować tę wycieczkę.

– Ty to nazywasz absurdalnym powodem? Śmierć mojej matki nazywasz absurdalnym powodem?

Rati się rozwrzeszczał.

– Rati, ostrzegam cię, nie mów do mnie tym tonem, wszystko ma swoje granice, rozumiesz? Pojedziemy tam i będziemy wypoczywać, czy ci się to podoba, czy nie. Nie pozwolimy ci zepsuć naszej wycieczki, prawda, Keto? – I rzucił mi w lusterku dobrotliwe spojrzenie. – Czy góry są temu winne, że wasza matka kochała je, jak się zdaje, bardziej niż własną rodzinę?

Zamknęłam oczy w oczekiwaniu na następne gromy i nie musiałam długo na to czekać.

– Natychmiast to odwołaj! – krzyknął Rati. – Jeździła w góry, bo nie mogła z tobą wytrzymać!

– Ach, więc tak to rozumiesz! Uważasz, że to przeze mnie uciekła w środku mroźnej zimy do Swanetii? I zostawiła w domu pięcioletniego syna i roczną córkę?

– Poczzerwieniał ze złości, podczas mówienia ślina przyskała mu z ust, zacisnął dłonie na kierownicy i wdusił gaz.

– Chce mi się siku. Czy możemy się zatrzymać? – zaczęłam marudzić na tylnym siedzeniu, ale nikt mnie nie słuchał.

– Tak, nienawidziła cię, nie miała już ochoty z tobą być! Nic w tym dziwnego, słowo daję! – wrzeszczał Rati.

– A któż ci to powiedział? Czyżby przemówiła do ciebie we śnie, czy może przerzucasz swoje źle skanalizowane emocje na mnie?

Nagle z jego głosu zniknęła wściekłość, pozostał jedynie dojmujący smutek i nieskończenie głębokie rozczarowanie tym, że on, Guram Kipiani, członek Akademii Nauk, były uczeń laureata Nagrody Nobla Aleksandra Prochorowa, człowiek, który mógł dokonać przełomowych odkryć w dziedzinie elektroniki

kwantowej, wrócił do swojego miasta rodzinnego z powodu miłości i że poniesiona ofiara i włożony trud nie zdołały zapobiec temu, że kobieta, dla której zrezygnował z tego wszystkiego, któregoś dnia zostawi go z dwójką dzieci i w ponury lutowy dzień wejdzie na wysokość 5200 metrów nad poziomem morza, na Szcharę, trzeci pod względem wysokości szczyt spośród „trzech olbrzymów”, kapryśną i trudno dostępną *grande dame* Wielkiego Kaukazu. Jak mogło do tego dojść, w którym momencie jego życia poszło coś nie tak, że siedzi teraz w tym ciasnym samochodzie spętany poczuciem ojcowskiej odpowiedzialności?

Wydawało mi się, że widzę w lusterku, jak to pytanie przemyka przez jego twarz, i zrobiło mi się go żal, tak, zawsze było mi go na swój sposób żal i po raz kolejny byłam zaskoczona, że mój chcący sprawiać wrażenie dorosłego i wiecznie niezadowolony brat, który potrafi każdemu człowiekowi, każdej potrzebującej istocie okazać imponujące współczucie i który posiada niezwykle poczucie sprawiedliwości, nie jest w stanie rozpoznać bezradności naszego ojca.

Nie czekając na reakcję, ojciec kontynuował:

– Bóg wie, że to nie była moja wina. Nie, *madame* potrzebowała przygód, chciała się bawić, a więc była zabawa, w środku zimy, przy całkowicie nieodpowiedniej sytuacji pogodowej! Dlaczego? Czy naprawdę byliśmy dla niej tak strasznym obciążeniem, że w połowie lutego musiała urządzić sobie tę przekłętą wspinaczkę? Każdy laik wie, że przy takiej pogodzie nie wchodzi się w Kaukaz! A ja byłem w tym czasie w ferworze przygotowań do najważniejszej konferencji swojego życia, ale nie, przecież to się w ogóle nie liczy...

Ojca znowu poniosło, Rati przeciągnął strunę i musiał liczyć się z poważnymi konsekwencjami. A ja razem z nim.

– Już całą jesień przesiadywała z alpinistami, tymi alkoholikami i niebieskimi ptakami. Rzekomo chcieli przywrócić do życia gruziński alpinizm! Śmiechu warte! Szukała pretekstu, żeby tylko wyrwać się z domu, wszędzie było jej za ciasno i za nudno. Matka dwójki dzieci – no jasne, można się zanudzić na śmierć, siedząc w domu i zajmując się dziećmi!

– Cicho bądź! Przestań! – błagał Rati. Ale wiedziałam, że nie przestanie.

– Co za egoizm, ręce opadają... Przygody! Przygody z tymi brodatymi nierobami, żeby tylko machać im tyłkiem przed oczyma!

– Zamknij się!

To już nie był krzyk, lecz skowyt. W tym momencie drzwi po stronie pasażera się otworzyły i długi, sprężysty tułów brata wytoczył się na drogę. Na szczęście ojciec wjeżdżał właśnie w bardzo stromy zakręt i zredukował prędkość. Autem ostro szarpnęło i zatrzymaliśmy się. Nie mogłam się powstrzymać, mój pęcherz opróżnił się na tylnym siedzeniu pożyczonego samochodu.

Tego popołudnia, gdy jechaliśmy w góry, żeby tam nigdy nie dojechać, miał swój początek trwający już potem przez całe życie bunt Ratiego. Zawsze, kiedy pomyślę o bracie, czuję najpierw powiew tych emocji, którymi emanował aż zanadto: chodziło o przeświadczenie, że został oszukany. Oszukany przez życie, przez własnego ojca, a potem przez zżerane korupcją i moralnie zepsute państwo, w którym miał nieszczęście się urodzić.

O ile jako dziecko buntował się przeciw ojcu, o tyle od tamtego popołudnia jego protest był skierowany przeciwko państwu i jego systemowi. Zaczął uważnie przyglądać się wszystkiemu i zadawać dociekliwe pytania, kłócił się bez przerwy z rodziną i nauczycielami, ze znajomymi i sąsiadami. Sprawiało mu przyjemność przełamywanie wszelkich tabu i nazywanie po imieniu rzeczy, o których nigdy nie mówiło się otwarcie. Widać było wyraźnie, że lubi wprawiać ludzi w zakłopotanie i demaskować ich jako hipokrytów i kłamców, z którymi nie chciał mieć do czynienia – z ludźmi, którzy kupowali swoim dzieciom dobre oceny i miejsca na studiach, z ludźmi, którzy sprzedawali na lewo swoje towary za dwukrotność albo trzykrotność wartości, z ludźmi, którzy się podlizywali, żeby tylko zapewnić sobie jakieś profity i przywileje, z ludźmi, którzy zdradzali swoje zasady i przekonania za urlop na abchaskim wybrzeżu albo na Krymie, z ludźmi, którzy w swoich samochodach trzymali w schowku na rękawiczki trzyrublowe monety, żeby w razie kontroli drogowej wcisnąć je do ręki bez zbędnych słów stróżom prawa, z ludźmi,

którzy krzyczeli: „Niech żyje partia!”, po to tylko, żeby śpiewać, tańczyć albo publikować, z ludźmi, którzy sprzedawali klientom wybrakowany materiał budowlany, a pełnowartościowy wykorzystywali do budowy własnej daczki, z ludźmi, którzy kupowali wyroki uniewinniające dla swoich dzieci, gdy popadły w konflikt z prawem. Według Ratiego oni wszyscy byli winni, stanowili część tego skorumpowanego systemu, trybiki w niezwykle złożonym mechanizmie, wspierali to państwo i nieustannie, godzina za godziną, zdradzali samych siebie oraz bliźnich i okradali każdego z nadziei na wolność. O ile początkowo te konflikty rozgrywały się w naszym pokoju dziennym, o tyle z biegiem lat rozciągnęły się na podwórko, szkołę, a potem na ulice naszej dzielnicy. Gdy zwracano mu uwagę, że powinien się bardziej starać na lekcjach, odparowywał jak z automatu, że nie widzi sensu, bo i tak wszystko to kwestia pieniędzy i gdyby tylko miał trochę kasy, mógłby bez problemu studiować medycynę. Jeśli pouczano go, że powinien okazywać dorosłym więcej szacunku, odpowiadał beczelnie, że to dorośli powinni najpierw zasłużyć na ten szacunek, że skorumpowany urzędnik całujący zwierzchników w stopy nie zasługuje na szacunek, podobnie jak cwana handlarka spekulująca na czarnym rynku, która za odpowiednią cenę sprzedałaby nawet własną duszę.

Tak długo, jak można było karmić się iluzją, że jest młody i da się go jeszcze formować, chwytno się wszelkich sposobów, żeby tylko utrzymać go z dala od „złych wpływów”. Kiedy pomyślę o tych wszystkich absurdalnych krokach podejmowanych przez babudy, żeby „przywołać go do porządku”, muszę się mocno powstrzymać, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Przypomina mi się na przykład hipoterapia dla trudnej młodzieży na naszym hipodromie, na którą posyłano Ratiego. Albo prywatne lekcje u rzekomo genialnego filozofa, z którym miał rozmawiać o swoich „pomysłach”, co skończyło się tym, że Rati zainteresował się Machiavellim i jeszcze bardziej radykalizował swoje poglądy. W akcie desperacji babudy porzuciły swój zdrowy rozsądek i zaprosiły pewną kobietę o „ponadmysłowych zdolnościach”. Rati zrobił sobie z tego żarty i odegrał atak epilepsji, powiedział, że demon wziął go we władanie i w ten sposób zmusił kobietę do ucieczki.

W wieku czternastu lat po raz pierwszy wyleciał ze szkoły, zwymyślał dyrektora od „zakłamanych partyjnych szumowin”. Oliko obarczyła za to odpowiedzialnością jego chamskich i zawadiackich kolegów, którzy wyciągają jej „aniołka” na ulicę, co, jak wiadomo, jeszcze nigdy nikomu nie wyszło na dobre. Ile to razy byłam wysyłana na róg ulicy Lermontowa, na ulicę Kirowa albo Gogebaszwilego, żeby zabrać go z jakiejś birży i przyprowadzić do domu. Jeszcze dziś doskonale pamiętam ciekawskie spojrzenia tych silnie zbudowanych i niegrzeszących mądrością osiłków, spluwających mi pod nogi swoje pestki słonecznika i wołających do mnie: „Priwiet, Kipiani, co słyhać?”.

Te hordy młodocianych, którzy planowali zrobić coś wielkiego, szalonego, zakazanego i przerażającego, którzy pragnęli być odważni i wierzyli w honor i moralność, którzy dużo chcieli, ale nie robili nic – ze strachu, że może im się nie udać, a wtedy droga życiowa zaprowadzi ich w ten sam ciasny i prymitywny świat kłamstw, którym tak pogardzali. Ci „dzweli biczebi”, mieszanka cyganerii i próżniaków, ci rzekomi Robin Hoodowie byli w gruncie rzeczy niczym innym jak zwykłymi łobuzami flirtującymi z przestępczością. Tak, nasz kraj od zawsze sympatyzował z Robin Hoodami tego świata, z antybohaterami i pogromcami systemu i jest przesycony ową niepokorną tęsknotą małego narodu za wolnością i wynikającymi z niej mitami o własnej niezłomności. Ta wieczna opowieść o zwykłym człowieku, wyruszającym na wojnę z potężnym aparatem władzy. Nasze żyjące według podwójnych standardów społeczeństwo jest pełne outsiderów i buntowników, którzy nie chcą służyć zakłamanemu państwu, żeby zachować swą „przyzwoitość”, ale przez to zapominają, że droga wiodąca przez kontestację i izolację aż po bojkot musi niechybnie skończyć się przestępstwem. Podczas gdy większość obywateli udawała żarliwych komunistów i cieszyła się zarządzaną przez państwo normalnością, buntownicy chcieli iść na barykady. I robili to. Robili to tak konsekwentnie i tak długo, aż wszelka normalność legła w gruzach.

W pewnym momencie życie Ratiego przeniosło się na ulicę. Od tamtej pory każdy w rodzinie miał swoje zadanie: babudy obdzwaniały jego kolegów oraz ich

rodziny, ja byłam odpowiedzialna za aktywne poszukiwania w dzielnicy, a ojciec wziął na siebie wygłaszanie kazań, gdy syn stawał w progu mieszkania. Jedną z najbardziej dramatycznych scen rozegrała się kiedyś podczas zwykłego rodzinnego obiadu, gdy Rati, już pełnoletni, obwieścił najspokojniej w świecie, że nie będzie kończył szkoły. System edukacyjny to jedna wielka farsa, jak większość rzeczy w tym kraju, i on nie ma zamiaru brać udziału w tej szmirowatej komedii. Wieczór skończył się tak, że trzeba było zawołać Tamaza Żordanię, bo Oliko strasznie podskoczyło ciśnienie i zrobiło jej się słabo, gdy tymczasem Eter wznosiła ręce do góry jak w jakimś antycznym spektaklu i przemawiała do nieobecnych bogów, uskarżając się na niesprawiedliwy los. Ale prośby i groźby nie pomagały, Rati upierał się przy swoim i odmawiał powrotu do szkoły choćby na jeden dzień.

Dina brała u Oliko korepetycje i przyszła na lekcję również tamtego dnia. Czekala cierpliwie na swoją nauczycielkę, gdy nagle w pokoju zjawił się mój brat, w doskonałym nastroju i z szerokim uśmiechem na twarzy. Był niezwykle rozmowny i wyraźnie starał się zrobić na Dinie dobre wrażenie, co zdarzało mu się niezwykle rzadko. Rati i Dina znali się już od lat, ale tylko przelotnie. W tamtym czasie różnica wieku między nimi była jeszcze dość znaczna, a poza tym ja nie paliłam się jakoś specjalnie do tego, żeby zapoznawać go, a także jego chuligańską klikę, ze swoimi przyjaciółkami. Jednak tamtego dnia wydarzyło się coś szczególnego. Wystarczy, że zamknę oczy, a od razu mam przed sobą czternastoletnią Dinę, dziewczynę, która właśnie postanawia z tą tak typową dla siebie stanowczością i zaangażowaniem okazać komuś swoje bezwarunkowe zainteresowanie. I wtedy nagle pojawia się w jej polu widzenia Rati, momentalnie przemieniając się w jej oczach ze zwykłego mężczyzny w obiekt badawczy, któremu należy całkowicie poświęcić uwagę. Tak, to była świadoma decyzja. Nie przydarzyło jej się to tak, jak przydarza się większości i jak przydarzyło się również mnie, gdy nagle w wieku czternastu, piętnastu, może szesnastu lat odkrywa się w sobie tę obezwładniającą słabość do drugiej osoby, gdy popada się w stan zakochania charakterystyczny dla tego szalonego etapu życia. Rati nie

należał do tego typu chłopaków co Cotne Koridze, którzy w dużej mierze definiowali siebie poprzez zainteresowanie kobiet i wynikającą z tego władzę. Nie był też przesadnie empatyczny ani romantyczny. Stojąc przed Diną, miał jej w sumie niewiele do zaoferowania, bo przecież do tej pory prawie w ogóle nie interesował się płcią przeciwną i zazwyczaj przebywał w swoim romantycznym, robinhoodowym męskim świecie.

– Podobno chcesz rzucić szkołę? – zwróciła się do Ratiego, przed którym postawiono właśnie na stole talerz pieczonych ziemniaków.

Rati podniósł powoli głowę i spojrzał na Dinę z niechęcią. To nie był dobry temat na początek rozmowy i obawiałam się, że powie zaraz coś niestosownego.

– Tak, właśnie tak zamierzam zrobić. Masz z tym jakiś problem? – odpowiedział prowokacyjnie i zajął się ponownie jedzeniem w przekonaniu, że zawstydził małą zuchwałą dziewczynkę i tym samym uciął temat.

Ale Dina nic sobie nie robiła z jego poirytowania.

– Neeee, ja nie mam z tym problemu. Po prostu ci nie wierzę – powiedziała poważnie i wzięła sobie kawałek chleba z koszyczka. – Twoja siostra mówi, że masz szkołę gdzieś, ale...

– Ale co?

– Ale ja sędzę, że po prostu masz przed nią pietra.

– Pietra, ja? – Rati zaśmiał się demonstracyjnie głośno. – Przed czym miałbym mieć pietra? Przed szkołą?

– Tak, dokładnie tak.

– A niby dlaczego? – Rati udawał rozbawionego, ale był najwyraźniej zaskoczony.

– Bo mógłbyś to zawalić, oblać egzaminy... – Dina szukała odpowiednich słów – i zbłąźnić się przed kumplami.

– Sędzisz, że moich kumpli w ogóle interesuje, jakie mam oceny?

– Owszem. Jesteś przecież swego rodzaju prowodyrem, prawda? A taki musi przecież mieć coś w swojej makówce.

– Prowodyrem? – Tym razem szczerze się roześmiał.

– No tak, prowodyrem, a kim? Przecież zawsze nadajesz ton. Rati powiedział to, Rati powiedział tamto. W każdym razie uważam, że przywódca powinien mieć łeb na karku.

Odebrało mi mowę. Oliko także wydawała się zaskoczona i nie była pewna, czy powinna wtrącić się do tej rozmowy, czy nie, i z tego wszystkiego przestawiała tylko w kółko garnki i patelnie.

– Hej, mała dziewczynko, czy ty przypadkiem nie wsadzasz właśnie nosa tam, gdzie nie trzeba?

Rati był rozdrażniony. Chciał zakończyć temat, bo od pewnego czasu i tak wałkowano go w domu na okrągło, a ta dziewczyna była ostatnią osobą, od której chciał usłyszeć kolejne kazanie.

Dina wepchnęła kawałek chleba do ust, wzruszyła ramionami i głośno przeżuując, stwierdziła z nonszalancją:

– No, ja tylko wyrażam swoje zdanie, możesz nie słuchać.

– Możesz być tego pewna!

– Ale nic na to nie wskazuje. Patrz, jak się denerwujesz. A człowiek denerwuje się tylko wtedy, gdy ktoś mówi mu prawdę!

– No, już dosyć, uspokójcie się i spróbujcie frykadelek, zaraz będą gotowe.

Głos Oliko zdradzał zaniepokojenie. Ja także nie wiedziałam, co sądzić o prowokacji Diny. Dlaczego zaczęło jej nagle tak na tym zależeć, żeby nadal chodził do szkoły?

– Dziewczyno, naprawdę nie rozumiem, na czym polega twój problem.

Rati popatrzył na mnie z wyrzutem.

– Chcę tylko, żebyś się do tego przyznał. A tak w ogóle to mam na imię Dina, jasne?

– Ale do czego mam się przyznawać? Keto, o co jej chodzi? – Rzucił mi wściekłe spojrzenie.

– Że masz pietra – powtórzyła Dina.

– Mam zero pietra. Dlaczego miałbym się bać i kto cię w ogóle pytał o zdanie, dziewczyno?

– Jeszcze raz: mam na imię Dina i nie potrzebuję pozwolenia, żeby wyrażać własną opinię. Masz po prostu pietra, i już.

– To jakiś obłąd. Powiedz jej, żeby mnie zostawiła w spokoju!

Tego już było dla niego za wiele. Dina nie była jego kumplem, przed którym mógł podkreślać swoją przewagę, Dina nie była także naszym ojcem, którego mógł tępować bez ogródek, Dina nie była żadną z babud, nie była jego siostrą, żadną z tych osób, które mógł ignorować.

– Więc udowodnij to!

– Komu, przepraszam bardzo? Może tobie? – Rati spojrzał na nią z politowaniem.

– Tak, czemu nie.

– A dlaczego mam to zrobić?

I wtedy Dina wypowiedziała zdanie, które stanęło mi w gardle, jakbym to ja je wypowiedziała i się nim zakrztusiła:

– Żebym mogła zatańczyć z tobą rock'n'rolla. Potrafię tańczyć rock'n'rolla najlepiej na świecie. Uwielbiasz przecież rock'n'rolla?

Od tyłu dobiegł mnie chichot Oliko, ja zakaszałam, a Rati głośno się roześmiał.

– Ona jest szurnięta, prawda? Hej, Keto, twoja przyjaciółka jest szurnięta!

Rzeczywiście opowiadałam kiedyś Dinie, że Rati lubi tańczyć i że wychodzi mu to całkiem nieźle. Od dawna wymuszał na mnie, żebym wywijiała biodrami do *Jailhouse Rock* Elvisa Presleya. Robił ze mną obroty i całkowicie zatracił się w tańcu, stawał się wolny i wyluzowany jak rzadko kiedy.

– A może ja wcale nie chcę z tobą tańczyć. Brałaś tę opcję pod uwagę? – skontrował Rati z satysfakcją i ponownie zajął się jedzeniem, ale kątem oka mogłam zauważyć, jak wielkie wrażenie zrobił na nim ten rozbrajający sposób bycia Diny.

– Na pewno zechcesz, gdy tylko zobaczysz, jak tańczę.

Oliko znowu zachichotała.

– Tańczysz rock'n'rolla?

– Tak, tańczę.

– Naprawdę tak dobrze, jak twierdzisz?

– Jestem najlepsza. Chcesz zobaczyć?

– No to dawaj, proszę bardzo.

– Ale nie zrobię tego za darmo.

– Co za to chcesz?

– Zaprosisz mnie na swój bal na zakończenie szkoły i będziesz tam ze mną tańczył.

– Czy ktoś mi może wyjaśnić, czego ona ode mnie chce? – Rati przewrócił oczami.

– Chcesz zobaczyć, jak tańczę, czy nie? – naciskała Dina.

– No dobrze, dobrze, Keto, leć, weź Elvisa i włącz adapter!

Rati potrząsał głową, ale zarówno Oliko, jak i ja wyczuwałyśmy lekkość, jaka go nagle ogarnęła i ochotę na to wyzwanie. Coś się w nim poruszyło.

Pobiegłam do pokoju taty i wyszukałam odpowiednią płytę, włączyłam adapter, otworzyłam szeroko drzwi, żeby było dobrze słyszeć muzykę, i czekałam na show, które obiecała nam Dina. Nic nie wiedziałam o fascynacji Diny rock'n'rollem, ale babuda dwa i ja byłyśmy ogromnie podekscytowane, bo przeczuwałyśmy, że Dina jest o krok od wielkiego sukcesu, który dla całej naszej rodziny mógłby mieć kolosalne znaczenie, więc rozgorączkowane czekałyśmy na ciekawy pojedynek. Dina przesunęła krzesło do tyłu, wskoczyła na nie i wyciągnęła do mojego brata rękę.

– Ja mam z tobą zatańczyć, tak? – Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– No jasne, bo wiesz, samej tańczyć rock'n'rolla byłoby trochę głupio! – śmiejąc się, krzyknęła mu prosto w twarz.

I Rati się poddał, mój nieokiełznany i niepokorny brat uległ jej woli. Teraz on także zerwał się z miejsca i trzymając ją za rękę, poprowadził za sobą do salonu.

Oliko i ja poszłyśmy za nimi i stałyśmy się świadkami przedstawienia, które było czymś znacznie więcej niż zwykłym tańcem. To był moment, w którym zakochałam się w bliskości tych dwojga, mimo że wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak określić to uczucie i co tak naprawdę mam sądzić o tym nagle rozbudzonym zainteresowaniu Diny moim bratem. Widzę, jak przenikają się nawzajem, jak wchodzą w stan nieważkości. Patrzę, jak nią obraca w tańcu, jak ona wślizguje mu się między nogi, jak on ją wyciąga do góry – jak wspaniale harmonizują ze sobą, jak ich ciała są doskonale dopasowane, jakby miesiącami przygotowywali się do turnieju tanecznego. Dziwię się, skąd ona to wszystko umie, i obserwuję przemianę Ratiego. Jak mój uparty brat, ten buńczuczny chuligan, przeobraża się w otwartą, mięką i łagodną istotę, która jest szczęśliwa, że coś jej wychodzi.

Gdy pod koniec płyty ostatni zgrzyt igły adaptera wyrwał ich z ekstazy i przeniósł z powrotem do pokoju dziennego wypełnionego przytłumionym światłem, tych dwoje lunatyków stało w miejscu i zdawało się dziwić, jak znaleźli się w tym miejscu. Rati był wyraźnie niezadowolony, że się tak zapomniał, i natychmiast wycofał się do swojego pokoju, Oliko chrząknęła, jakby właśnie wydarzyło się coś nieprzyzwoitego, i wysłała Dinę po materiały do lekcji. Ja wciąż stałam w miejscu i nie wiedziałam, co ze sobą począć. Poczułam w ustach słony smak łez, ale nie rozumiałam, co doprowadziło mnie do płaczu. Może już wtedy opłakiwałam stratę, której nie potrafiłam jeszcze ująć w słowa, przy czym nie było jasne, czy chodzi o utratę Ratiego, czy Diny, czy może obojga. Zatoczyłam się do loggii, szczęśliwa, że Oliko zamknęła się z Diną w pokoju, i zaczerpnęłam głęboko powietrza. Miałam ochotę zasypać przyjaciółkę mnóstwem pytań i jednocześnie bałam się usłyszeć na nie odpowiedzi.

Bez jakiegokolwiek słowa wyjaśnienia Rati ponownie zaczął regularnie chodzić do szkoły, a my zaklinałyśmy tatę i babudę jeden, by powstrzymali się od jakiegokolwiek komentarza. Na imprezę z okazji zakończenia roku, która odbywała się w Ckneti, na działce u kolegi z klasy, zabrał ze sobą Dinę i przez dwie godziny tańczył z nią bez przerwy rock'n'rolla. Gdy wrócili z przyjęcia, lekko pijany,

z rozpalonymi policzkami, opadł ciężko na fotel, przyciągnął mnie do siebie, przycisnął do piersi i potargał po włosach. Trzymał mnie w objęciach, a ja czułam jego przemianę: pachniała słodko, czerwonym winem i lekkością bytu. A on pachniał jak ktoś, kto jest zakochany. Kochający miłością osiemnastolatka, jedyną w swoim rodzaju, silną jak lawina i jednocześnie lekką jak trzepot skrzydeł motyla. Z jakiegoś powodu łzy znów napłynęły mi do oczu. Tym razem nawet nie starałam się ich ukrywać i szlochając, rzuciłam się mu na szyję. Głaskał moje policzki, cmokał w czoło i szczypał mnie w nos. A ja wciąż płakałam z powodu dziwnego przeczucia, które mnie nagle ogarnęło. Z powodu uczucia ciężkości, którego nie potrafiłam nazwać. Płakałam z powodu tego wielkiego ognia, który się wkrótce między nimi rozpali, ognia, który także mnie będzie przyciągał i jednocześnie zmusi mnie do ucieczki.

Po imprezie na zakończenie roku Rati schodził Dinie przez jakiś czas z drogi. Tego lata znów zaczął udawać twardego ulicznego kowboja, spędzał czas z kolegami gdzieś w dzielnicy i po raz pierwszy wyjechał sam, bez rodziny, za to z Sabą i jego wiecznym kompanem Sancho (jak oni mogli mu dać tak na imię? Ciekawe, czy ktoś z nich był rzeczywiście podobny do Sancho Pansy i czy ktoś zajrzał kiedykolwiek do *Don Kichota*?) nad morze, do Batumi. To była podróż, którą ojciec opłacił mu w przypływie radości z powodu ukończenia szkoły.

Rati wrócił pod koniec sierpnia opalony, wysportowany i wręczając mi drobne pamiątki z Batumi, zaczął dopytywać o moją „zwariowaną koleżankę”. Cały czas fotografuje, odpowiedziałam, dostała od mamy w prezencie aparat fotograficzny i od tamtej pory całkiem ją wciągnęło. „Aha” – odparł tylko Rati i zaczął udawać, że jest czymś strasznie zajęty. Kilka dni później obudził mnie wściekły głos ojca. Nie potrzebowałam zbyt wiele czasu, żeby się zorientować, że wściekał się na Ratiego. Wyszłam do loggii i zobaczyłam wzburzonego ojca chodzącego tam i z powrotem, gdy tymczasem Rati spokojnie popijał swoją ulubioną czarną herbatę.

– Co za idiota... – Ojciec ledwo dyszał ze złości.

– Coś ty znowu przeszkrobał? Co się stało? – Spojrzałam zdenerwowana na brata.

– Oddał w prezencie aparat fotograficzny twojej matki... twojej matki. Prawdziwą leicę, niezwykle cenny aparat, który kosztował majątek...

Nie mógł mówić z oburzenia. Wiedziałam, że posiadamy drogocenny aparat fotograficzny, który przywiózł ojcu z Europy sam Prochorow – w każdym razie tak głosi legenda – ale mimo najszczerzych chęci nie potrafiłam zrozumieć związku pomiędzy tak wielkim wzburzeniem ojca a aparatem fotograficznym, którego sam nigdy nie używał i który przez lata leżał zakurzony w regale.

– Jak złodziej zakradł się do mojego pokoju i go wykradł! I oddał go w prezencie, żeby zrobić wrażenie na dziewczynie.

Dopiero teraz zrozumiałam, o co chodzi. Rati podarował Dinie leicę naszej matki. To mi dało do myślenia: przekazał Dinie coś, co należało do matki, jego wielkiej idolki, a więc mogło to oznaczać tylko jedno – że myśli o niej znacznie poważniej, niż przypuszczałam.

– Tato, on go podarował Dinie, mojej Dinie. To nie jest jakaś tam dziewczyna – próbowałam załagodzić sytuację, ale bezskutecznie.

– To jest absolutnie wszystko jedno. On go wykradł, nie pytając mnie o zdanie.

– I tak nigdy go nie używałeś. Przecież to bezsens trzymać w szafie tak wysokiej klasy aparat po to tylko, żeby tam rdzewiał! A ona będzie robić nim świetne zdjęcia – upierał się Rati.

– Metale szlachetne ze stopem magnezu nie rdzewieją, ty idioto! – wrzeszczał ojciec, aż ślina pryskała mu z ust wprost na czubek mojego nosa.

– Tato, uspokój się. Wszystko jej wyjaśnię i odda go z powrotem. Na pewno zrozumie – wymamrotałam.

– Keto, ani mi się waż! Zabiję cię, jeśli to zrobisz! – krzyczał Rati.

– Ten aparat nie miał prawa opuścić tego domu! Nigdy!

Z tym zdaniem na ustach ojciec wybiegł z pokoju. Rati i ja przestraszeni staliśmy nieruchomo w miejscu naprzeciwko siebie.

– Czemu to zrobiłeś? Przecież wiedziałeś, że się wkurzy.

Usiadłam przy stole i głęboko westchnęłam.

– Tylko leżał i zbierał kurz.

– Ale on go podarował dedzie.

– Deda na pewno by się cieszyła. Nie chciałaby, żeby skończył w szafie wyłącznie jako pamiątka.

– Tak, ale to jest po prostu jego własność.

– Nie, to nie jest jego własność. Należał do dedy. Zresztą nieważne. Teraz należy do Diny.

Ojciec był wściekły jeszcze przez kilka kolejnych dni i przez cały czas kazał nam przynieść aparat z powrotem, aż w końcu któregoś dnia Eter wypaliła podczas kolacji:

– Nie stawiaj chłopaka w niezręcznej sytuacji. Już i tak ciągle przed nami ucieka, nie dawaj mu kolejnego powodu, żeby unikał swojej rodziny. Jest teraz w trudnym wieku, wszyscy musimy nauczyć się wyrozumiałości. Właściwie to powinieneś go raczej nagradzać i chwalić, Guram. Chciał zrobić wrażenie na dziewczynie, a jeśli zależy ci na tym filmie, który został w aparacie, to można ją przecież poprosić, żeby go oddała, przecież to mądra dziewczyna. Twoja teściowa – zawsze tak nazywała Oliko, gdy rozmawiała z synem – mogłaby się tym zająć, udziela jej przecież korepetycji, i problem byłby rozwiązany.

– Jaki film? – Oliko i ja spytałyśmy równocześnie.

– Deda, sądzisz, że to jest dobry moment, żeby poruszać ten temat? – syknął ojciec i sięgnął po masło.

– Jaki film? – Oliko nie odpuszczała.

– Guram, powiedz jej. Teraz to już wszystko jedno. Musimy rozwiązać ten problem.

– O nie, już nigdy nic ci nie powiem! – burknął ojciec, robiąc aluzję do swojej bliskiej relacji z Oliko, która zawsze dotrzymywała tajemnic i podczas jego kłótni z Esmą nierzadko stawała po jego stronie, natomiast jego własna matka

w drażliwych dla niego sytuacjach zazwyczaj wywierała na niego jeszcze większą presję.

– Co za film? Guram, o czym ona mówi? – Oliko nie dawała za wygraną.

– Odłóżmy ten temat na później. Keto...

– O nie, nie pójdę teraz do swojego pokoju. Ta cała historia dotyczy chyba w jakimś stopniu także mnie, prawda? Dina jest w końcu moją najlepszą przyjaciółką.

Moje żalosne argumenty brzmiały mało przekonująco, byłam tego całkowicie świadoma, ale nie wiedziałam, co mogłabym jeszcze powiedzieć, żeby nie odsyłali mnie do pokoju jak małego dziecka.

– Ten aparat był razem z nią w górach. – Eter rozładowała trudne do zniesienia napięcie. – Miała go ze sobą, gdy... gdy to się stało. Ale on za nic w świecie nie chce dać tego filmu do wywołania. Do czego ma, oczywiście, pełne prawo – dodała łagodnym tonem.

– Czy to z powodu...? Czy... czy to przez niego nie chcesz wywoływać tego filmu? – Oliko nagle przerwała i zakryła sobie usta ręką.

– Jakiego niego? Halo? – Nie mogłam już znieść tego straszego napięcia, ale jednocześnie bałam się odpowiedzi.

– Twoja mama miała drogiego jej przyjaciela, o którego ojciec był trochę zazdrosny.

Szczebiotliwy głos Eter nie spodobał mi się. Rozmawiała ze mną, jakbym miała pięć lat.

– Drogiego przyjaciela? Ach więc to tak, deda, drogiego przyjaciela? Brawo! Wspaniale!

Ojciec odwrócił się na pięcie i zostawił szlochającą Oliko, obrażoną Eter oraz mnie, ogarniętą przerażeniem córkę, która usiłowała być bardziej dorosła, niż była w rzeczywistości.

– Nigdy by cię nie zostawiła, między nimi nic nie było, Guram, ile razy mam ci powtarzać, byli przyjaciółmi, znali się od dziecka, po prostu doskonale się

rozumieli, mój Boże, gdyby chcieli ze sobą być, zrobiliby to, zanim cię poznała, po prostu mieli wspólną pasję, Guram, proszę cię, nie wygłupiaj się i wracaj tutaj!

Babuda dwa szlochała i ocierała łzy rękawami, podczas gdy babuda jeden patrzyła na nią pogardliwie i kręciła głową.

Nocą zapukałam do drzwi ojca i usiadłam na brzegu jego wiecznie skrzypiącego, prehistorycznego drewnianego łoża, którego nie chciał wymienić za żadne skarby. Leżał odwrócony do mnie plecami i czytał książkę.

– Załatwię ci ten film – powiedziałam do niego.

– Już dobrze. Nie powinnaś była tego wszystkiego słyszeć, to ciebie nie dotyczy, jesteś dobrą dziewczyną – wymamrotał, nie patrząc na mnie.

Zdenerwował mnie tym zdawkowym zdaniem, które zabrzmiało pusto jak jakaś formułka. Już od dawna nie chciałam być grzeczną dziewczynką, chciałam być sobą, chciałam móc być sobą. Ciekawe, co ujawniłaby ta klisza, której ojciec przez tyle lat nie chciał wywołać? Szalenie odważną i jednocześnie szczęśliwą grupę alpinistów w Wielkim Kaukazie na krótko przed tym, zanim porwała ich lawina, czy kobietę, która w poszukiwaniu samej siebie trafiła w ramiona innego mężczyzny?

– Załatwię ci ten film, ale zostawię Dinie aparat. Ze względu na Ratiego. To dla niego ważne – powiedziałam. – Załatwię go, ale pod jednym warunkiem – dodałam natychmiast, zbierając w sobie całą odwagę.

– Warunek? Ty stawiasz mi warunek?

– Wyrzucisz go.

– Nie mogę tego zrobić. To ostatnia pamiątka po twojej matce...

– Ale przecież nie masz odwagi oglądać tych zdjęć. Przez te wszystkie lata nie miałeś odwagi. Więc może nie jest to dla ciebie takie ważne.

– Zrobię to, kiedy będę gotowy.

– Nigdy nie będziesz. Musisz zdecydować, jakie wspomnienia chcesz o niej zachować, zdjęcia nie odgrywają tu żadnej roli. Gdyby odgrywały, już dawno byś

je wywołał.

Milczał. Wreszcie usiadł i popatrzył na mnie.

– Może masz rację. Sam nie wiem, dlaczego nie zrobiłem tego przez te wszystkie lata.

– Pewnie miałeś swoje powody, ale teraz to już bez znaczenia, tato. I obiecaj mi, że Rati się o tym nie dowie.

Chyba był pod wrażeniem mojego zdecydowania, jakby sam sobie życzył takiej samej łatwości podejmowania decyzji, która z pewnością znacznie by mu ułatwiła pogodzenie się z własną przeszłością, ale musiał żyć ze swoją wściekłością i niepewnością, takie było jego przeznaczenie.

Stoję teraz przed tą fotografią i przyglądam się naszemu skokowi uchwyconemu aparatem mojej matki, który ostatecznie na zawsze zachował dla siebie jej tajemnice i za którego pomocą jego nowa właścicielka wydarła ulotności życia tak wiele magicznych chwil. Widzę, jak wszystkie – poza Irą – śmiejemy się i nie mamy jeszcze pojęcia, w jakiej przyszłości wylądujemy, gdy tylko nasze stopy ponownie dotkną ziemi. Patrząc na ten skok i myśląc o tłumie ludzi, który w tym czasie wypełnia główne ulice, wyposażony w transparenty i niezliczone marzenia. I słyszę Gorbaczowa, jak przemawia do nas w wiadomościach i zapowiada „plan przebudowy”. To było chyba tuż przed tym skokiem, gdy Nene powiedziała nam w tajemnicy, że jest zakochana. Oznajmiła nam z mądrością stulatki, że zakochała się na zabój w Sabie Jaszwilim. I przypominam sobie, jak Ira, usłyszawszy to, nagle wstała i oddaliła się z miejsca, gdzie się bawiliśmy i gdzie Nene wyznała nam swoją tajemnicę. „Nie wygłupiaj się!” – krzyknęła za nią oburzona Nene.

Wpatruję się w poważny wyraz twarzy Iry i znów przypomina mi się, jak któregoś dnia oświadczyła, że nie będzie już chodzić na lekcje gry w szachy, że już w ogóle nie zamierza grać w szachy. „Dlaczego? Jak to? – zapytała Nene. – Myślałam, że chcesz zostać drugą Noną Gaprindaszwili”, na co Ira odpowiedziała: „Chcę w przyszłości grać tylko w to, w czym będę mogła naprawdę wygrywać. A nie dostawać tylko jakieś idiotyczne dyplomy i głupie puchary”. Wkrótce potem

oznajmiła, że chce studiować prawo. A my trzy jeszcze nie chciałyśmy otwierać drzwi do swojej przyszłości, wciąż wierzyłyśmy, że możemy siedzieć bezpiecznie zaryglowane w teraźniejszości i że nie będziemy musiały wkrótce, po dziewiątym kwietniu, oglądać morza tulipanów na zakrwawionych tbiliskich ulicach ani rosyjskich żołnierzy, narastającego strachu przed nowo powstałą bandą Mchedrioni oraz jej bronią. Trzymałyśmy się kurczowo ostatnich letnich dni dzieciństwa. I tak oto stałyśmy na terenie starej fabryki i pozowałyśmy przed leicą Diny. Jej aparat fotograficzny miał kontynuować to, co zostało nagle przerwane dawno, dawno temu w pokrytych śniegiem kaukaskich górach.

– Wuj mnie zabije, gdy się o tym dowie! – zaczęła biadolić Nene, kiedy ponownie znalazłyśmy się na ulicy i dotarł do nas zatrważający spokój i pustka. Rozpoczęła się godzina milicyjna.

– Ostrzegałam was – komentowała Ira z pewną dozą wyższości.

– Oj, na pewno jakoś dotrzemy do domu, przestańcie tchórzyc.

Ale widać było, że Dinę też obleciał strach, wyczuwałam to po jej napięciu, po jej kanciastych, mechanicznych ruchach.

– Pójdziemy na skróty, znam tę okolicę, będziemy omijały główne ulice i najpóźniej za dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut powinniśmy być w domu, okej?! – krzyknęła nienaturalnie pogodnym tonem niczym pionierski przewodnik.

– Oni mnie naprawdę zabiją – rozpacziała Nene. W niektórych sytuacjach opuszczała ją odwaga i wtedy zamieniała się w strachliwą dziewczynkę, która bez opieki męskich przedstawicieli swojej rodziny czuje się całkowicie zagubiona.

– Tylko bez paniki. – Ira jak zwykle zachowywała spokój. Logiczne myślenie było jej kompasem i teraz także spokojnie zastanawiała się nad najbezpieczniejszą trasą do domu. – Nie mamy wyboru, a zadzwonić do rodziców będzie jeszcze bardziej niebezpiecznie. Oni kontrolują tylko główne ulice, Dina ma rację, pójdziemy małymi uliczkami i przejściami podziemnymi.

Dina nie czekała na opinie pozostałych i ruszyła przed siebie, więc nam nie pozostało nic innego jak tylko iść za nią. Mnie ta część miasta też nie była całkiem

obca, z Diny i moją orientacją w terenie na pewno dotrzemy bezpiecznie do domu.

– O co im w ogóle chodzi? To znaczy, po co ta godzina milicyjna? – westchnęła Nene, gdy biegliśmy w dół wąską nieoświetloną boczną uliczką w kierunku placu Woroncowa.

– Naprawdę nie wiesz czy tylko udajesz? – syknęła Ira. Od kiedy Nene zaczęła na okrągło powtarzać, że Saba Jaszwili jest tak boski, że „klękajcie narody”, Ira była niezwykle rozdrażniona i nic ani nikt nie był w stanie poprawić jej humoru.

– Dlaczego ciągle tak na mnie parskasz? Skup się lepiej na drodze!

– Czyli nie wiesz, czego Ruscy od nas chcą, tak?

– Dina, Keto, powiedzcie jej coś, bo strasznie się mnie czepia!

Nene starała się wyprzedzić Irę i zostawić ją za sobą.

– Nie zgadzają się na naszą niepodległość, po prostu! – Ira krzyknęła za Nene.

– Demonstracje dziewiątego kwietnia dały im tylko pretekst do tego, żeby tu wkroczyć. Zaczęli zabijać ludzi, a potem wmawiali wszystkim, że to było nieuniknione.

Jeszcze nigdy nie słyszałam Iry mówiącej z taką furią. Nie wiedziałam, czego lub kogo to dotyczy, Saby Jaszwilego czy rosyjskich wojsk, które trzymały nasze miasto jak zakładnika. Pamiętam, że zatrzymałam się na chwilę i odwróciłam do niej, zdumiona kategorycznością jej słów. Spojrzała na mnie pytająco.

– Nie wiedziałam, że ty jesteś tak... no, że jesteś taka zaangażowana.

Nie przychodziło mi do głowy żadne lepsze określenie. Nasze słowa odbijały się w tej małej uliczce dziwnym echem, co jeszcze bardziej podkreślało niecodzienną atmosferę, jakbyśmy się znajdowały w mieście duchów.

– Zaangażowana? Zaangażowana? – Zły humor Iry zdawał się pogłębiać z minuty na minutę. – W przeciwieństwie do was obchodzi mnie, w jakim kraju mieszkam i czy jestem wolna, czy żyję w niewoli! – krzyknęła patetycznym tonem.

Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, Nene odwróciła się, podbiegła do nas i stanęła przed Irą na szeroko rozstawionych nogach, przyjmując bojową postawę, i wykrzyczała jej prosto w twarz:

– Całkiem ci odbiło? Ciągłe nas obrażasz, wydaje ci się, że jesteś najmądrzejsza i masz wszystko pod kontrolą. Ale to nieprawda!

To była sprawa między nimi, więc miałam ochotę się wycofać, ale nie było czasu na wycofywanie się, tak samo jak na kłótnie, jednak w tym momencie coś pękło i nie dało się już tego posklejać. Dina, która wciąż biegła przed nami, nie słyszała tych dwóch albo nie chciała słyszeć, jej kroki były naszym drogowskazem w ciemności. Co się stało z latarniami? Czyżby one także przestraszyły się Rosjan?

– Hej, musimy iść naprzód, nie możemy się tutaj zatrzymywać – usiłowałam iść między nimi, ale zachowywały się jak dwa psy, które przygotowują się do ataku i szczerzą kły.

– Ja przynajmniej staram się orientować, co się dzieje dokoła, a do ciebie nie dociera nic poza własnymi kapryсами i humorkami. Cały świat musi się kręcić wokół ciebie i twojego oderwanego od życia Saby! – Ira była wściekła, jakieś obezwładniające zwątpienie sprawiało, że nie mogła nad sobą zapanować.

– Ty jesteś po prostu zazdrosna! Keto, powiedz, że mam rację! – Nene zwróciła się tym razem do mnie. Zawsze potrzebowała współnika, zawsze potrzebny był jej obrońca, jak gdyby tylko inni posiadali moc sprawczą, dzięki której jej prawda rzeczywiście stawała się prawdą.

– Zazdrosna, ja? Zazdrosna o co? Że usychasz z tęsknoty za jakimś bezmózgim typkiem, który nawet na ciebie nie spojrzy?

– Przecież my się znamy, ty głupia krowo! – obruszyła się Nene. – Jeśli nie możesz sobie z tym poradzić, to bardzo mi przykro, w takim razie będzie lepiej, jeśli znikniesz z mojego życia!

– Hej, wy dwie, naprawdę musimy pędzić... I bardzo was proszę, nie krzyczcie! – syknęłam, ale wydawały się głuche na moje prośby.

– Z twojego życia? Właśnie usiłuję ci powiedzieć, że ty przede wszystkim powinnaś mieć własne życie, a nie przyklejać się jakiegoś typka, który ci będzie mówił, co masz robić albo myśleć.

– A więc takie masz o mnie zdanie, tak? No to świetnie, dziękuję! To czego ty tu jeszcze szukasz? Przecież jesteś najlepsza! Właściwie dlaczego jeszcze się ze mną przyjaźnisz?

– Ja... – Ira pękła.

Stałam obok i nie wiedziałam, co robić. W oddali usłyszałam głos Diny, wołała nas.

– Widzisz, nawet tego nie wiesz! Nie potrzebuję takiej przyjaciółki.

Nene zademonstrowała swoją słynną dumę jako oznakę ostatecznego triumfu, dała do zrozumienia, że jest głęboko urażona, i zaczęła odgrywać nieprzystępną. Ira obróciła się na pięcie i pobiegła w przeciwnym kierunku. Ogarnęła mnie panika. Nie mogłam biec za nią, bo to by oznaczało, że musiałybyśmy się rozdzielić, a to było zbyt niebezpieczne. Postanowiłam najpierw odnaleźć Dinę, żeby potem we trójkę zacząć jej szukać. Nene biegła za mną w milczeniu, skręciłyśmy na podjazd do jakiegoś podwórka, które wyglądało na całkiem wymarłe. Dina stała oparta o betonową ścianę.

– Co wy tak długo robiłyście? Gdzie jest...

– Pokłóciły się i Ira zwiła – wyjaśniłam, ledwo dysząc.

– Sama jest sobie winna, powiedz jej, Keto, była wobec mnie niemożliwa, już od samego początku! – Nene zaczęła się usprawiedliwiać.

– Nene, teraz to bez znaczenia, ona nie może łazić tutaj sama, musimy ją znaleźć – powiedziałam, zanim Dina przedstawiła swój plan.

– Tak, jasne, że musimy – przytaknęła mi bez sprzeciwu i zaczęłyśmy wracać.

Tym razem nie biegłyśmy, przyzwyczaiłyśmy się już do strachu, do ciemności i deprymującej ciszy. Szłyśmy powoli drogą, którą przed paroma minutami pokonałyśmy biegiem. Znalazłyśmy ją zaledwie trzy ulice dalej, stała pod jakimś drewnianym balkonem z powiewającym praniem w otoczeniu dwóch żołnierzy w oliwkowych mundurach, którzy najwyraźniej przypierali ją do muru.

Zastygłam w bezruchu, ze stresu przestałam oddychać. Nene zasłoniła usta dłońmi, powstrzymując się w ten sposób od krzyku, natomiast na twarzy Diny

przewinęła się w ciągu sekundy cała paleta emocji: najpierw panika, potem niepewność, co robić, potem obrzydzenie, następnie chęć natychmiastowego odwrotu, wreszcie odwaga, a na koniec decyzja, żeby działać.

Nie oglądając się na nas, zrobiła kilka kroków do przodu i znalazła się w polu widzenia żołnierzy, którzy wprawdzie nie mieli przy sobie karabinów maszynowych, ale na pasach od mundurów mieli przypięte kabury z pistoletami. Ira zauważyła nas natychmiast. Podążając za spojrzeniem Iry, obaj odwrócili głowy w naszym kierunku. Stałyśmy po drugiej stronie ulicy, zeszywniałe i sparaliżowane strachem. Jeden z żołnierzy, niewiele starszy od nas, krzyknął coś w naszą stronę, ale w tym momencie Dina podeszła do nich jeszcze bliżej i podciągnęła do góry kraciatą koszulę. Odsłoniła czarny biustonosz i swoje pełne piersi. Zanim cokolwiek udało mi się powiedzieć, zobaczyłam, że Nene robi to samo. Zrobiła to szybko, bez zastanowienia, rozpięła guziki kwiecistej sukienki i stanęła na środku pustej ulicy w słabym świetle ulicznej latarni, jak modelka prezentująca swe oszałamiające ciało. Niewiele myśląc, ja również podciągnęłam T-shirt, zamykając przy tym mocno oczy, jakbym chciała stać się niewidzialna.

Ira otworzyła usta, a żołnierze zaczęli powoli iść w naszym kierunku, zaintrygowani i zdumieni naszym widokiem. I podczas gdy oni zaczęli gwizdać i ryczeć w obliczu tak niespodziewanej i cennej ofiary, Ira wyrwała się i pobiegła pędem w dół ulicy. Chwilę potem my też odważnie i zdecydowanie ruszyliśmy za nią.

OSTATNI DZWONEK

Rozglądam się, ale nie widzę żadnej z nich. Ludzie tłoczą się przed zdjęciami. W powietrzu unosi się wielojęzyczny gwar niczym rozpięta nad salą przeogromna sieć. Wypiłam swoje wino i czekam w nadziei, że jeden z przemykających obok kelnerów zaproponuje mi kolejną lampkę. Próbuję wypatrzeć w tłumie chociażby jaskółki Nene, ale bezskutecznie. Idę dalej, podążam za niepodważalną chronologią naszej przeszłości. Na widok jednego z obrazów zatrzymuję się, mimo że zamierałam szybko minąć tę ścianę. Chodzi o jedno z serii małoformatowych zdjęć oprawionych w prostą ramę, stanowiących swego rodzaju tryptyk. Rozmyte, tajemnicze fotografie. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że przedstawiają coś znajomego, a jednak, gdy się dokładniej przyjrzeć, wrażenie okazuje się mylne, ponieważ sposób ujęcia motywu sprawia, że coś swojskiego stało się czymś obcym.

Rozpoznaję swoje miasto, rozpoznaję ulice, w końcu przecież siedziałam wtedy razem z nią w samochodzie, gdy wychyliła się z aparatem przez otwartą szybę w tej swojej prostej, przepięknej sukience, wystawiając górną część tułowia na pęd powietrza i piszcząc z radości w drodze do nowego życia, ku wolności, w drodze na własny bal z okazji zakończenia roku, w której towarzyszył jej aktualny, tym razem już oficjalny chłopak. Lewan, ja oraz zawstydzony i szczęśliwy Tarik siedzieliśmy z tyłu.

Stojąc przed tymi zdjęciami, odnoszę wrażenie, że ominęło mnie wtedy coś decydującego, że przeoczyłam coś ważnego. Jednocześnie napełnia mnie niespodziewanie duma, że mam pewną przewagę nad wszystkimi ludźmi wokół, którzy tak uważnie przypatrują się tym czarno-białym eksponatom. Na jednym z mniejszych zdjęć po prawej stronie widzę most koło twierdzy Narikała. Gdy nim przejeżdżaliśmy, zaczęła fotografować wiszące na balustradzie plakaty wyborcze,

na wpeł oderwane i trzepocące na wietrze wzbudzonym przez przejeżdżające samochody. „Okrągły Stół – Wolna Gruzja” – czytam i na jednym ze strzępów plakatu dostrzegam fragmenty pierwszego prezydenta, rękę i ramię, część czoła i oczy. Sloganu wyborczego nie da się odczytać, zdjęcie jest zbyt niewyraźne. I mimo że to był ciepły dzień, ma się wrażenie, że było wtedy zimno i wietrznie, a dwaj piesi na moście wyglądają tak, jakby przed czymś uciekali.

Wybory, tak, wybory i absurdalny tort babudy z tej okazji. W dniu wyborów była ogromna wichura, wszystko wirowało w powietrzu: kurz, liście, nadzieje, lęki i pozrywane ze sznurów pranie. Po raz pierwszy od sowietyzacji Gruzji odbyły się wielopartyjne wybory do Rady Najwyższej. Reakcje na to wydarzenie były zróżnicowane: uczucie triumfu i radość u babudy dwa ze względu na zwycięstwo nacjonalistów i ich wielkiego męża opatrznosciowego Gamsachurdii, natomiast u Eter oburzenie i złość z powodu wyboru tego „radykalnego ezoteryka” – to określenie wbiło mi się mocno w pamięć. Babuda dwa zignorowała protesty Eter, upiekła tort i przystroiła go z tej uroczystej okazji gruzińską flagą. Przypomina mi się też inna uroczystość tego wieczoru, na którą zostałam zaproszona i na którą od dawna strasznie się cieszyłam: urodziny Lewana obchodzone w dużym gronie w ich pięknym mieszkaniu znajdującym się w domu z cegły. Lewan i cień jego gęstych, długich rzęs na moich policzkach. Lewan i wiecznie stercząca między zębami zapałka, którą żuł jak opętany. Odgłos jego trampek na drewnianej podłodze, bezustanne nerwowe tiki i niemożność zaznania spokoju. Ciekawość w jego lśniących oczach. Zapach jodeł, wody po goleniu i papierosów.

Salon Jaszwilich tonie w przytłumionym pomarańczowym świetle, w tle leci *Tom's Diner*. Siedzę przy suto zastawionym stole, który tak ładnie przygotowała Nina Jaszwili, a zamyślony i melancholijny Rostom nosi tam i z powrotem ciężkie karafki z winem. Jest mi dobrze: wolno nam pić, już nie musimy robić tego potajemnie, większość z nas jest albo wkrótce będzie pełnoletnia. Widzę, jak piękna Anna Tatiszwili, otoczona swoimi służącymi, siedzi w rogu na sofie i chichocze. Oczywiście nie wita się z nami, jest za bardzo skupiona na sobie i poczuciu własnej wyższości.

Dostrzegam na końcu stołu Cotnego Koridze i jestem zaskoczona – czy on tam naprawdę był, czyżby naprawdę tam przyszedł, czy może coś mi się poplątało? A jednak tam był, oni wszyscy tam byli, całe rodzeństwo Koridze, wtedy było to jeszcze możliwe, bo Tarik też tam był, jeszcze żaden baranek ofiarny nie poszedł na rzeź, nie padły żadne strzały, nikt nie nacisnął na spust broni myśliwskiej, jeszcze nikogo z nas nie było w szlamowatym zoo, a życie ludzkie było warte więcej niż pięć tysięcy dolarów.

Cotne Koridze rozmawiał z Anną Tatiszwili, trudno było nie zauważyć jej tęsknych oczu, jej podziwu, jej rozpalonych policzków. Przy stole siedział również Saba, wiecznie rozmarzony i zamknięty w sobie bohater powieści, ta chorobliwie zawstydzona Królowna Śnieżka, wyglądał na nieco zagubionego, tkwiąc między moim i swoim bratem, wesołym i już nieco pijanym jubilatem. Ten niewłaściwy, lecz mimo to najlepszy przyjaciel Ratiego zaczął w tym roku studiować architekturę na Akademii Sztuk Pięknych i w przeciwieństwie do mojego brata, który zrezygnował z uniwersytetu i jakiegokolwiek szkoły wyższej, dążył z wielką pasją do zdobycia przyszłego zawodu. Ich klika wybaczyła mu ów krok w kierunku burżuazji tylko dlatego, że Rati dał wszystkim jasno do zrozumienia, iż nie będzie tolerował żadnych głupich odzywek pod adresem Saby. Mówiło się po kryjomu, że Saba cieszy się u Ratiego Kipiani przywilejem „szczenięcej ochrony”.

Próbuję zatrzymać się na dłużej przy tym radosnym dniu, kiedy piękny Saba zostaje obdarowany pierwszym pocałunkiem, i staram się nie myśleć o wrzaskach jego matki.

Rati i Dina jako pierwsi ruszyli do przygotowanego na tańce salonu, ściągając na siebie wszystkie spojrzenia. Czas potajemnych rozmów telefonicznych i spotkań minął dla nich bezpowrotnie. Mój brat uznał, że Dina jest już na tyle dorosła, że można śmiało wyjawić tajemnicę ich związku, choć tak naprawdę już dawno przestała być tajemnicą. Tego wieczoru oboje byli oszołomieni swoim niewysłowionym szczęściem, co mieli ochotę wykrzyczeć całemu światu prosto w twarz.

Większość odeszła od stołu, stali z kieliszkami w rękach w pokoju stołowym albo siedzieli grupkami po kątach i toczyli rozmowy. Zatwardziali, jak Cotne Koridze, pozostali za stołem i dalej ostro pili. Ktoś podkreślił głośniejszą muzykę na znak, że parkiet jest wolny. Wszystkie spojrzenia powędrowały w kierunku Ratiego i Diny, nikt nie śmiał robić im konkurencji, patrzono ze zdumieniem i podziwiano, jakby to była młoda para podczas pierwszego tańca weselnego. Wyglądali pięknie, a ich taniec był szalony, w zupełności sobie wystarczali, świat zewnętrzny odpadł od nich jak podczas jakiegoś rytuału wyzwolenia albo wypędzania demonów. Gdy skończyła się piosenka, a wraz z nią ich popisowy, jakby wyuczony numer, także inni goście ośmielili się wejść na parkiet. Nene i ja obserwowałyśmy jej brata Gugę, jak zbiera się na odwagę i podchodzi, a raczej człapie, kiwając się na boki jak kaczką, do Anny Tatiszwili, prosi ją do tańca, na co jej poddani zaczynają szyderczo chichotać. Anna zmierzyła go podejrzliwie wzrokiem, uśmiechnęła się pod nosem, rozejrzała się rozbawiona i zaczęła się z wolna podnosić, w końcu to był brat Cotnego, więc nie mogła odprawić go z kwitkiem.

– Ale kanał! – westchnęła Nene i wypowiedziała to, co Ira i ja też na widok tej nieporadnej pary w tamtym momencie jasno i z przerażeniem sobie uświadomiłyśmy: – Guga zabujał się w tej małpie! A ta wzdycha do Cotnego!

Zrobiło mi się żal Gugi. Żadnemu chłopakowi nie życzyłybyśmy, żeby Anna Tatiszwili została jego dziewczyną, chyba że miałyby to być kara. O ile ja nie miałam odwagi powiedzieć tego głośno, o tyle Ira zrobiła to z typową dla siebie bezwzględnością:

– Szkoda Gugi, właściwie to Cotne byłby dla niej lepszym partnerem.

Ira nie ukrywała, że gardzi Cotnem, i obarczała go odpowiedzialnością za życie Nene w złotej klatce. Jej zdaniem nie tylko wuj był temu winien.

– Nie przesadzaj. Cotne potrafi być niesamowicie szarmancki, jeśli tylko zechce – Nene wzięła swojego brata w obronę jak zwykle, gdy tylko ktoś otwarcie go krytykował, mimo że sama nieraz życzyła mu wszystkiego, co najgorsze, i wyzywała go od najgorszych.

– Jasne, jest prawdziwym dżentelmenem, szczególnie kiedy cię terroryzuje, a twojej matce robi piekło. Wtedy jest najbardziej szarmancki – odparła ironicznie Ira.

Tego typu sprzeczki między Irą i Nene były od pewnego czasu na porządku dziennym, ale ja chciałam tego wieczoru po prostu się bawić, upojona lekkością tych dni. Miałam na sobie przerobioną spódnicę mamy – jedną z nielicznych relikwii, które były wyłącznie moją własnością, nie musiałam się nią dzielić z bratem – i wydawałam się sobie ładna, byłam zadowolona. Ale nie tak jak Nene, która celebrowała swoją kobiecość i gdy tylko brat znikał z pola widzenia, rozpiniała guziki bluzki do granic przyzwoitości, i nie tak jak Dina, która przyjęła swoje nowe ciało jak coś oczywistego, jak gdyby miała już jakieś doświadczenie w byciu kobietą, no i zupełnie inaczej niż Ira, która bezwzględnie tłumiała swoją cielesną transformację. Ja miałam mieszane uczucia, byłam niespokojna, bałam się tego, co przyjdzie. Jeszcze nie weszłam w ten krajobraz pełen wypukłości, krągłości i łuków, wtedy nie było ich na mapie mojego ciała. Często patrzyłam na siebie w lustrze i rozpoznawałam w nim znajome rysy twarzy, widziałam brązowe oczy i charakterystyczne brwi odziedziczone po ojcu, których nienawidziłam, pełne usta po mamie, mały garb na nosie, zaokrąglone policzki. Ale w ten znajomy obraz zaczynało już wkradać się coś obcego, coś, czego nawet nie potrafiłam jednoznacznie nazwać.

Jakaś powolna, smutna piosenka o miłości przyciągnęła kilka par na zaimprovizowany parkiet, kołysali się trochę nieporadnie, uważając, żeby się do siebie za blisko nie zbliżać. Anna Tatiszwili szybko wyrwała się po wymuszonym tańcu z rąk Gugi i ponownie zasiadła na sofie wśród swojej świty. Guga stał w miejscu wyraźnie wyczerpany, jakby właśnie zbudził się ze snu. Ciekawe, czy zdawał sobie sprawę z tego, że Anna wzdycha do jego brata. Siedzieliśmy okrakiem na porozstawianych dokoła krzesłach i obserwowaliśmy aktorów tego jakże emocjonującego spektaklu. Marzyło mi się, żeby być jego częścią, tańczyć z Lewanem obok Diny i Ratiego, mimo że nie potrafiłam i wstydziałam się tańczyć. Ira, jak się zdaje, nie miała takich pragnień. Popijała wino i komentowała wszystko

i wszystkich. Szczególnie uwzięła się na Annę, nigdy nie wybaczyła jej kradzieży pamiętnika i pośmiewiska, na jakie ją wystawiła. Także ich rywalizacja o stopnie w szkole trwała do samego końca. Ira bez trudu zachowywała status prymuski, choć Anna także pewnym krokiem zmierzała po „czerwony dyplom”.

– Wiele osób uważa, że jest ładna. A do tego jest nieprzystępna i zarozumiała. I to jest właśnie coś, co chłopaki, jak się zdaje, lubią najbardziej – podsumowałam swoje obserwacje, aż tu nagle stanął przede mną Lewan i zapytał, czy możemy na chwilę wyjść.

Podniosłam się jak zdalnie sterowana lalka i podążyłam za nim. Zaprowadził mnie do ciemnej sypialni swoich rodziców, a stamtąd na balkon wychodzący na ulicę. Do dziś jestem w stanie przywołać w pamięci niepokojące mrowienie na całym ciele, jakie towarzyszyło mi podczas tego krótkiego spaceru.

– Chcę ci coś pokazać – powiedział i zatrzymał się.

Widać było, że musiał się przełamać, żeby zrealizować swój zamiar, rozejrzał się kilka razy i gdy się upewnił, że nie ma nikogo na ulicy, poszedł na chwilę do pokoju i wrócił z jakimś etui, które wyglądało jak mały futerał na instrument. Spojrzałam na niego zdziwiona, ale starałam się nie dać po sobie tego poznać. Otworzył futerał i wyciągnął jakiś drewniany instrument przypominający flet.

– To jest ormiański duduk, słyszałaś nim? – spytał i uśmiechnął się od ucha do ucha. Lewan miał taką szczególną cechę: wypowiadał szybko wyrazy jeden za drugim, jakby chciał się ich jak najszybciej pozbyć, tak że czasem trudno było go zrozumieć.

– Chyba już go kiedyś widziałam, tak, na pewno, ale... – Nie wiedziałam, co mam powiedzieć.

– Usiądź – poprosił i podstawił mi mały taboret.

Usiadłam posłusznie, wdzięczna, że nie muszę stać tak blisko niego i patrzeć mu prosto w oczy. Przyłożył instrument do ust i zaczął grać subtelną, hipnotyzującą melodię. Poczułam w środku jakiś skurcz.

I znów czuję ten skurcz. Słyszę tamtą melodię i rozglądam się, zdumiona, że nikt oprócz mnie w tej sali zdaje się jej nie słyszeć. Ale przecież jest tutaj, głośna i wyraźna, orientalna i rzewna, słychać dźwięki budzące tęsknotę za dalą. Zamykam oczy i wracam – jak cudownie jest stać nocą na tym balkonie i wiedzieć, że wszyscy jeszcze tam są, oddzieleni tylko jedną ścianą, lekko pijani, radośni, zakochani i oszołomieni. Nie wiem, jak długo grał, trzy minuty czy pół godziny, straciłam poczucie czasu, porwała mnie tęskna melodia i widok pełnego oddania, czulego Lewana, który obejmuje ten cienki instrument i pieści go jak małe, urocze zwierzątko.

Gdy przestał, milczeliśmy przez chwilę. Podniosłam się, popatrzyłam na niego, a potem się uśmiechnęłam.

– To było bardzo piękne. Naprawdę piękne. Jak długo już grasz?

– Nie mam pojęcia. Zacząłem kiedyś jeszcze jako dziecko, a potem ciągle chodziłem na lekcje do Giwiego. To wspaniały instrument, który jest niedoceniany – dodał jak profesjonalista i włożył ostrożnie duduka z powrotem do futerału.

– Powinieneś częściej to robić. To nadzwyczajne, że można wydobyć z siebie coś tak pięknego – powiedziałam, zdumiona własnym doborem słów.

– Też tak umiesz. – Uśmiechnął się promiennie.

– Nie, nie jestem muzykalna, sam Giwi to powiedział.

– Umiesz malować. To jest osamo.

– No nie, to nie jest to samo, a poza tym ja rysuję, jeszcze nigdy nie malowałam farbami i nie używałam sztalugi.

– Notopowinnaś – wymamrotał i przycisnął futerał do piersi.

– A ty powinieneś więcej czasu poświęcać muzyce.

Byłam na siebie zła, że powiedziałam to takim tonem jak jedna z moich babć, i się zawstydziałam.

– To będzie teraz nasza mała tajemnica, dobrze?

Tym razem spojrzął na mnie nieco bojaźliwie.

– Co masz na myśli?

– No, to z dudukiem.

– Tajemnica?

– Tak, tylko ty o tym wiesz.

– Ale...

– Rati i chłopaki nie muszą o tym wiedzieć – powiedział surowym, lekko rozdrażnionym tonem.

Uznałam, że to absurdalne. Dlaczego ma ukrywać przed chłopakami to, co kocha? Czy nie są jego najlepszymi kumplami? Co to za przyjaźń, jeśli nie może być sobą, jeśli nie może podzielić się z nimi swoją pasją? Wyciągnął z kieszeni pogięte pudełko i zapalił papierosa. Z pokoju docierały do nas strzępy muzyki przemieszane z gwarem gości. Staliśmy na tym wąskim balkonie bardzo blisko siebie, dotykałam łokciem jego ręki. Nie śmiałam się ruszyć, poruszała się jedynie jego ręka, gdy co jakiś czas podnosił papierosa do ust. Potem pstryknął peta z balkonu, odwrócił się w moją stronę, aż poczułam jego oddech na skórze, i zapytał szeptem:

– Pokazać ci jeszcze coś?

Zafascynowana jego nieodpartą potrzebą wyjawiania tajemnic przytaknęłam jak grzeczne dziecko. Wziął mnie za rękę i wprowadził w ciemność sypialni. Na oświetlonym korytarzu wynurzyliśmy się z ciemności i poprowadził mnie dalej, przeszliśmy przez głośny salon pełen rozbawionych gości i weszliśmy do małego pokoju należącego do niego i Saby. Nie zapalał lampy, przez przeszkłone drzwi wpadało do pokoju tylko trochę światła z korytarza. Ściany były oklejone czarno-białymi wycinkami i plakatami z czasopisma „Film Zagraniczny”. Rozpoznałam Chucka Norrisa i Bruce’a Lee, nad jego łóżkiem wisiał plakat, którego zazdrościli mu wszyscy chłopcy z klasy: oryginalny poster do filmu *Dawno temu w Ameryce*. Mój brat i wielu jego kolegów wręcz ubóstwiali ten film.

Słyszę w głowie melodię Morricone, widzę kilka fragmentów filmu migających mi przed wewnętrznym okiem niczym plik szybko przewracanych karteczek i zadaję sobie pytanie, dlaczego akurat ten film, który wszedł do naszych kin

z pięcioletnim opóźnieniem, stał się dla pewnego pokolenia czymś w rodzaju Biblii. Wszyscy chłopcy bez wyjątku z mojego pokolenia zdawali się identyfikować z „Noodlesem” i jego bandą, mimo że akcja rozgrywała się w Nowym Jorku w latach dwudziestych dwudziestego wieku.

– Rati widział ten film chyba ze sto razy – powiedziałam do Lewana, bo nic lepszego nie przychodziło mi do głowy, a milczenie zaczynało mi już powoli przeszkadzać.

Kłęczał przy łóżku i czegoś szukał.

– Jasne. Jak my wszyscy. Co najmniej dwieście razy – powiedział i wyciągnął zakurzone pudełko po butach.

Dał znak ręką, żebym się pochyliła. Ostrożnie podniósł pokrywkę i kazał mi zajrzeć. Najpierw pomyślałam, że to jakaś zabawka, atrapa, nie za bardzo rozumiałam, co on mi tutaj pokazuje, ten przedmiot wydawał się jeszcze bardziej absurdalny, zważywszy, że przed chwilą wyjawiał mi swoją muzyczną tajemnicę. Nie potrafiłam znaleźć związku między tym, co widzę, a chłopakiem grającym na duduku.

– To prawdziwy makarow. Można też powiedzieć PM – wyjaśnił, a ja gapiłam się na ten ciężki, czarny i zimny metal.

Tak bardzo chciałabym teraz krzyknąć do siebie, tej Keto z tamtych czasów, żeby pokonała wstręt, wzięła pistolet do ręki i wybiegła z domu najszybciej, jak tylko potrafi, a potem na podwórko, na ulicę i dalej, w dół, do placu Lenina, stamtąd krętymi wąskimi ścieżkami do karawanseraju, następnie schodkami na brzeg rzeki Mtkwari i tam wyrzuciła ten ciężki przedmiot do mętnej zielonkawej wody w nadziei, że nikt nigdy go tam nie odnajdzie, że zardzewieje na dnie rzeki, że nigdy nie znajdzie zastosowania i nie odmieni życia nas wszystkich. Ale nie mogę tego zrobić. Więc stałam tam wtedy jak skamieniała, oszołomiona i skazana na to, by poddawać się ustalonemu już dawno biegowi historii.

– Do czego jest ci potrzebna broń?

– Należy do nas wszystkich. Do całej paczki. Ja ją przechowuję.

W jego głosie słychać było dumę, nie musiał się przełamywać, żeby pokazać mi tę rzecz, inaczej niż w przypadku cienkiego i eleganckiego duduka. Znałam do tej pory nóż Ratiego, lisiczkę, chował ją w przedpokoju nad szafką na buty, gdzie ani babudy, ani ojciec nie mogli go znaleźć, znałam victorinox, którego Sancho nosił zawsze przy sobie i wszyscy mu go zazdrościli, ale nie wiedziałam nic o prawdziwej broni, nie wiedziałam nic o makarowie, zwanym PM, leżącym pod wąskim łóżkiem Lewana Jaszwiłego, przykrytym wełnianym kocem w kratkę.

– Do czego jest wam potrzebna broń? – powtórzyłam pytanie, czując, że oddycham coraz szybciej i robię się czerwona na twarzy.

– Jaktodoczego? Przecieżtojasne. Jesteśmy bandą – dodał, śmiejąc się.

– Jaką bandą?

– Poprostujakwfilmie. – Zamknął pudełko i wskazał głową na plakat.

– A więc tego chcesz? Bandy?

– Jasne, że chcę. Wiesz, nie damy się już robić w konia. Zamierzamy robić swoje i nikt nam nie będzie mówił, co nam wolno, a czego nie. Wiesz, Keto, wszyscy myślą, że rodzina Koridze trzyma w garści całą dzielnicę, ale to się jeszcze okaże... Teraz nasza kolej, tak, nasza!

Zabrzmiało to tak, jakby wyrecytował mi jakiś wyuczony na pamięć tekst, w tych słowach usłyszałam swojego brata. I po raz pierwszy poczułam się przy nim źle, zapragnęłam jak najszybciej wrócić do pokoju, na imprezę, do światła, uciec od tych dziwnych gestów i grózb, i broni pod łóżkiem, chciałam wrócić do przyjaciół, do swojego świata. Jak najdalej od tej przerażającej wersji mojego brata.

Pierwszy raz dotarło do mnie, że coś się kończy. Bezpowrotnie. Chyba że – i nagle rozjaśniło mi się w głowie, jak błyskawica naszła mnie pewna myśl – tak samo jak Dinie udało się nakłonić Ratiego do ukończenia szkoły, tak samo uda się jej może uwolnić go od jego dziwnych tęsknot i sprowadzić go na ziemię. Z powrotem do nas. Muszę porozmawiać z Diną, muszę wykorzystać jej umiejętności, żeby odwieść brata od czegoś, czego nie umiem nazwać, co jednak jeszcze przed kilkoma sekundami czułam każdym nerwem.

Nie potrafię dokładnie powiedzieć, kiedy rozpoczęła się rywalizacja między moim bratem a Cotnem Koridze. Nigdy się nie lubili, ale początkowo tolerowali się i okazywali sobie nawzajem respekt, trzymali się niepisanych reguł ulicy i przestrzegali „zasad przyzwoitości”. Jednak z biegiem lat walka o dominację w dzielnicy się zaostrzyła. Obaj byli samcami alfa, obu napędzała chorobliwa ambicja, z pewnością ich motywy były zupełnie różne, ale obaj byli tak samo zaślepieni swoją tęsknotą za uznaniem ze strony innych i możliwością stanowienia o sobie samych. Już od dawna przeczuwałam, że między Cotnem i Ratim coś się kroi, ale nie wiedziałam, że to Rati dąży do tego z taką determinacją. Z tym że w przeciwieństwie do Cotnego Rati nie miał nad głową żadnej krysy, nikogo, kto zapewniłby mu przywileje i ochronę. Otwarta konfrontacja z Cotnem wpędziłaby go, a razem z nim jego kumpli, w kłopoty.

Chciałam od razu biec do salonu i do Diny, ostrzec ją i poprosić, żeby porozmawiała z Ratim, ale zanim obróciłam swoją myśl w czyn, poczułam na przegubie mocny uścisk Lewana. Przyciągnął mnie gwałtownie do siebie i przycisnął swoje usta do moich. Ten wstyd, ten niewinny wstyd wzbiera we mnie nawet dzisiaj, gdy próbuję zrekonstruować ten pocałunek. Myślałam, że od razu zauważy, że nie wiem, jak reaguje się na czyjś pocałunek, i mnie wyśmiej. Trwałam w tej niezręcznej pozycji, ale moje usta okazały się mądrzejsze ode mnie, jakby wiedziały coś, czego ja nie wiedziałam, i zareagowały tak, jak nigdy bym nie przypuszczała, że będą w stanie zareagować.

Gdy wróciliśmy do pokoju, niektórzy poszli już do domu. Ira wciąż siedziała w tym miejscu, w którym ją zostawiliśmy, i dojadała resztki tortu z mojego talerza. Po Dinie i Ratim nie było śladu, zniknęli też Cotne i Anna Tatiszwili wraz ze świtą. Saba siedział na sofie, tam, gdzie wcześniej siedziała Anna, i od czasu do czasu rzucał w kierunku Nene nieśmiałe spojrzenie. A Nene, najwyraźniej zadowolona z faktu, że zniknął jej anioł stróż, tańczyła bez skrępowania z kilkoma chłopakami ze szkoły. Wirowała w swojej wydekoltowanej sukience, roztaczając wokół siebie taki wielki głód, tak wielką żądzę, że aż robiło się niedobrze. Na jej twarzy malował się zaskakujący luz, uczucie wielkiego zadowolenia i ta swoboda miała

w sobie coś prowokującego i frywolnego. Guga wyraźnie za dużo wypił, siedział w kącie i coś tam bełkotał sam do siebie. Widok tego sflaczałego, wielkiego jak kolos tułowia budził litość.

Gdy Cotne wciąż się nie zjawiał, mimo że było już po północy, Nene skorzystała ze swojej wolności i wyszła z nami na chwilę do ogrodu na podwórku. Siedziałyśmy we trójkę na zardzewiałej równoważni, pomiędzy drzewami morwy i granatu, i rozkoszowałyśmy się pijanym szczęściem. Diny wciąż nigdzie nie było widać.

– Nawet sobie nie wyobrażacie, jaka jestem zakochana! – westchnęła Nene i obiema rękami objęła moje ramiona.

Nene i ja siedziałyśmy po jednej stronie huśtawki, która pod naszym ciężarem opadła na ziemię, a po drugiej stronie siedziała z ponurą miną Ira, machała nogami w powietrzu i patrzyła z pogardą na naszą głupią paplaninę.

– Co się stało, gadaj! – chciałam natychmiast wiedzieć, bo od kiedy wytoczyłyśmy się na podwórko, nie przestawała trąbić o swoim zauroczeniu.

– Pocałowałam go! – zawołała i wtuliła twarz w moją szyję.

– Ty pocałowałaś Sabę Jaszwiłego?

– Tak, on jest takim tchórzem, musiałabym czekać jeszcze całe lata, żeby wyszło coś od niego.

– Chcę na dół! – usłyszałyśmy głos Iry dobiegający z drugiej strony huśtawki.

– Jak ty to zrobiłaś? Gdzie to było?

Byłam strasznie ciekawa, poza tym wydawało mi się to szczególnie ekscytujące, bo przecież nie jej jedynej było dzisiaj dane zdobyć takie doświadczenie.

– Wyszliśmy na chwilę i on poszedł do łazienki, a ja poszłam po prostu za nim. Żebyś widziała, jak on tam stał, był w kompletnym szoku, nie wiedział, co robić, poczerwieniał jak burak, o rany, wyglądał tak słodko! A potem tylko na niego spojrzałam i poszło bardzo szybko, sama nie wiem, jak, stanęłam na palcach i go

pocałowałam. A nie mówiłam, że mu na mnie zależy, tylko jest nieśmiały, taki słodziak...

– Spuśćcie mnie w końcu na dół, do cholery! – usłyszałyśmy wściekły głos Iry dobiegający z ciemności.

– Podobało ci się? – drążyłam dalej.

– Było fantastycznie! On ma takie ładne usta. I w ogóle jest ładny! Moglibyśmy mieć ładne dzieci! – piszczała Nene. Całkowicie ignorowałyśmy zdenerwowany głos Iry.

– Co ty pleciesz?! – Zaśmiałam się. – Chyba trochę za wcześnie myśleć o dzieciach, nie sądzisz?

– Nie, trzeba myśleć o wszystkim... Nie mam zamiaru mieć brzydkich dzieci! I smakował lemoniadą estragonową!

– A ja pocałowałam Lewana – wypaliłam i byłam zaskoczona, ile dumy było w moim głosie.

– Poważnie? – Nene złapała mnie za ramiona i spojrzała mi w oczy.

– Poważnie.

– Ty mała lafiryndo, nie wierzę! Opowiadaj...

Nagle rozległo się głucho uderzenie i usłyszałyśmy jęk Iry. Doskoczyłyśmy do niej, leżała na ziemi i próbowała się podnieść.

– Odbiło ci?

Nene podała jej rękę.

– Boli cię?

– Nie, zostaw mnie w spokoju, po prostu chcę iść do domu, to idiotyczne...

Podniosła się i poprawiła ubranie, nie zwracając uwagi na wyciągniętą rękę Nene.

– Ira, co z tobą? Nie potrafisz cieszyć się razem z nami?

Tym razem stanęłam po stronie Nene. Ira zachowywała się egoistycznie, jej rozdrażnienie można było wytłumaczyć jedynie zazdrością o chłopaka. Ale tak bardzo się myliłam.

– Dzięki, Keto. W końcu niech któraś coś powie. – Nene westchnęła z przesadnym dramatyzmem. – Ona już od tygodni jest taka!

– Jesteście tak prymitywne... Po prostu nie mam ochoty... Dajcie mi w końcu... – W głosie Iry pobrzmiwało jakieś przerażające rozczarowanie, które wzbudziło moją czujność i kazało mi zastąpić jej drogę.

– Ira, proszę cię, powiedz, o co ci chodzi, co ci zrobiłyśmy – zaczęłam błagać ją o wyjaśnienie.

– Jak to co? Też chciałaby, żeby ją ktoś pocałował. Ale jak będzie dalej taka naburmuszona i spięta, to nigdy nie znajdzie chłopaka! – skomentowała Nene i jak to miała w zwyczaju, zaczęła się wygłupiać, żeby nadać swoim słowom jeszcze więcej ostrości.

Zaczęła tańczyć wokół Iry, zagradzać jej drogę i ją łaskotać. Ira broniła się zapamiętale i raz po raz odpychała ją od siebie.

– Dajcie mi wreszcie spokój!

Była już naprawdę niepokojąco rozdrażniona.

– Nene, zostaw ją.

Dotarło do mnie, że Ira traktuje to wszystko strasznie poważnie.

– Nie, nie, a więc nasza Irine też chciałaby zostać pocałowana, prawda, prawda, prawda... Mam ci pokazać, jak to się robi? Mogę cię nauczyć, bo robię to doskonale!

I nie czekając na odpowiedź, podeszła do Iry, stanęła na palcach, tak jak opisywała parę minut temu, i pocałowała swoją najlepszą przyjaciółkę. Całowała ją z oddaniem, namiętnie, całowała nieadekwatnie do swojego wieku. Wpatrywałam się w nie jak jakaś podglądaczka i sama nie wiedziałam, co fascynuje mnie bardziej: umiejętności Nene czy fakt, że demonstrowała te umiejętności na naszej przyjaciółce. Stałam tam w bezruchu, z szeroko otwartymi oczami, nie mogąc oderwać się od tego widoku: dwie zupełnie różne osoby dawały sobie coś i jednocześnie odbierały, jedna sprawiała drugiej chwilową przyjemność i jednocześnie infekowała ją czymś zgubnym, co natychmiast zapuściło korzenie.

Wraz z nami zmieniał się kraj, ludzie i słowa. To, czego w czasach naszego dzieciństwa nikt głośno nie wypowiadał, co skrywano, utrzymywano przed państwem w tajemnicy, nagle się ujawniło, jak gdyby ktoś odsunął zasłonę. Z każdym dniem było coraz trudniej ignorować czołgi i pojazdy wojskowe na ulicach, godzinę milicyjną i napiętą atmosferę wiszącą nad miastem niczym łożony czepiec. Z megafonów dochodziły niekończące się obwieszczenia i postulaty, przed uniwersytetem i budynkiem Komitetu Centralnego gromadziły się tłumy ludzi.

Tylko Nene zdawała się prawdziwie rozkwitać w tej ponurej rzeczywistości: im bardziej posępniejsze nastroje panowały dokoła, tym bardziej swawolna wydawała się Nene, im bardziej milczący i przygnębieni byli jej bliźni, tym głośniejszy stawał się jej śmiech, tym jaskrawsza była jej szminka. Całą uwagę poświęcała teraz Sabie Jaszwilemu. Nene ogarnęła jakaś dziwna obsesja, tak jakby nagromadziło się w niej tłumione dotychczas pożądanie i pociąg do tego chłopaka, jak gdyby chciała teraz w imię tej pierwszej miłości zbuntować się przeciw swojej złotej klatce.

Natomiast Ira coraz bardziej chowała się w swoim kokonie. Zdawała się bronić ze wszystkich sił przed następującymi wokół niej zmianami. Z demonstracyjnie okazywanym obrzydzeniem przyglądała się euforii Nene. Na długich przerwach chowała się w najodleglejszych zakamarkach podwórka i zajadała tam swoje ulubione ciastka kada, które przynosiła sobie z domu zawinięte w serwetki. O ile dawniej uczyła się dobrze, nie wkładając w to zbyt wiele wysiłku, o tyle w ostatnim roku szkolnym przemieniła się w zawziętą, chorobliwie ambitną osobę, która rezygnuje z wszelkich uciech życiowych, byleby tylko dostawać dobre oceny i zbierać pochwały od nauczycieli. A jeśli już spędzała z nami czas, ciągle się kłóciła i zarzucała nam brak zainteresowań politycznych i społecznych. Twierdziła, że jesteśmy nieodpowiedzialne i że nie obchodzi nas przyszłość kraju. Niezmordowanie prawiła nam kazania o odwadze cywilnej i obowiązkach obywatelskich, co skutkowało tym, że coraz częściej umawialiśmy się we trójkę za jej plecami i odsuwałyśmy od siebie wyrzuty sumienia, by móc do woli zaspokajać swoje niepolityczne potrzeby. Cierpiałam z tego powodu, bo trudno było nie

zauważyć, że stoickie dystansowanie się od naszego lekkiego podejścia do życia, o które z takim trudem walczyliśmy, skazywało ją na samotność, samotność, z której przecież kiedyś same ją wyciągnęliśmy, a potem zaoferowałyśmy jej pierwszą w życiu wspólnotę. Wciąż musiałam wybierać pomiędzy stanowczością i powagą Iry a beztruską i otwartością Nene. Trwałam w tym stanie jakby na wdechu i oczekiwałam czegoś wielkiego i przełomowego. Ira nie miała racji, zarzucając mi, że nie interesuję się tym, co mnie otacza. Zawsze, odkąd pamiętam, była to wręcz moja słabość, za bardzo przejmowałam się innymi. Martwił mnie dystans, jaki coraz częściej pojawiał się między mną a Diną, gdy tylko wycofywała się do swojego wyimaginowanego świata, który chciała dzielić wyłącznie z moim bratem. Z rosnącym napięciem obserwowałam burzliwe wyzwalać się Nene z rodzinnego gorsetu, jak gdyby zaklinała nieszczęście niczym arcykapłanka planująca bunt we własnej świątyni. Wyczuwałam rozdrażnienie panujące w szkole i na szkolnym boisku, napięcie i rozedrganie unoszące się nad wszystkimi i wszystkim jak warstwa piasku po burzy na skraju pustyni. Wciąż myślałam o Lewanie oraz jego duduku, a także o Lewanie i jego makarowie. Nie mogłam zmienić tego, co działo się wokół mnie, więc jedynym zajęciem, które pomagało mi to znosić, były moje rysunki. Rysowałam jak oszalała wszędzie: w autobusie, na szkolnym podwórku, na lekcjach. Rysowałam, bo mnie to uspokajało, jak gdyby zwykłe utrwalanie rzeczy mogło zatrzymać nadciągające zagrożenie. Nikt nie powiedział mi, jak mam dorośleć, nikt nie mówił, jak przeprowadzić ludzi, których się kocha, przez te wszystkie wątpliwości, które narzuca nam życie. Nikt mi nie wytłumaczył, jak lubić chłopaka i mu się podobać, jak rzucać mu przelotne i tęskne spojrzenia mimo odczuwanego przed nim lęku – przed nim, a także przed jego marzeniami i tajemnicami skrywanymi pod łóżkiem. Nikt mnie nie nauczył, jak ignorować wzburzone głosy w pokoju obok. Pewnie zakładano, że gramatyka i matematyka wystarczą, żeby przygotować człowieka do życia. Ale nie nauczyłam się nadążać za zawrotnymi przemianami w kraju, który przez siedemdziesiąt lat ukrywał pod maską swoją prawdziwą twarz.

– Co on ci takiego opowiada? – spytałam Dinę od niechcienia, gdy któregoś popołudnia pomagałyśmy Anano w ich ciemnym mieszkaniu przygotować się do jakiegoś występu w szkole, podczas którego miała recytować *List Nestan z Rycerza w tygrysiej skórze*.

– Jak to: co on mi opowiada? Co przez to rozumiesz?

Nienawidziłam jej skłonności do udawania, że czegoś nie rozumie, gdy chciała uniknąć odpowiedzi.

– Rati wraca teraz do domu tylko po to, żeby się przespać. Ojciec odchodzi od zmysłów. A poza tym Lewan wspominał, że chcą z kolegami zrobić bandzie Koridze konkurencję. Po prostu się martwię...

– Czy możemy kontynuować? – przerwała nam zdenerwowana Anano. Stała na środku pokoju i czekała, aż będzie mogła nam zaprezentować swój występ.

Widzę, jak tam stoi, w swojej długiej sukience – skąd ona wytrzasnęła tę długą aż do ziemi suknię? – i zaczynam się rozglądać, wypatruję tej sympatycznej i eleganckiej kobiety z dużymi kreolkami w uszach. Rozpoznaję ją z daleka, to niechybnie jej profil rozbłyska nagle w tłumie gości, z biegiem lat coraz bardziej upodabnia się do siostry. Słucha kogoś uważnie i nie zdaje sobie sprawy, że widzę ją teraz, jak stoi przede mną i Diną jako piętnasto- lub szesnastolatka i recytuje rozziewające serce błagania Nestan skierowane do ukochanego.

– Zaraz – mówi Dina bagatelizującym tonem. – Nie rozumiem, co chcesz ode mnie usłyszeć.

– O rany, Dina! – Nie mogłam już dłużej ukrywać swojego poirytowania. – Jesteś osobą, która jest z nim najbliższą.

– Masz z nami jakiś problem?

Nagle zmieniła ton, w jej głosie pojawiła się jakaś zaczepna agresja, brwi ściągnęły się w jedną cienką kreseczkę i przyjęła postawę atakującą. Czego się obawiała? Nigdy nie ukrywałyśmy niczego przed sobą, dzieliłyśmy się wszystkim i byłyśmy dumne z tego, że potrafimy tak otwarcie powierzać sobie pragnienia, marzenia i troski. W którym momencie zaczęła traktować mnie jak zagrożenie?

– Czy możemy wreszcie... – jęczała Anano.

– Hej, wyjdź na chwilę, zawołamy cię, jak będziesz mogła wrócić, przecież widzisz, że musimy teraz omówić coś ważnego! – upomniała siostrę.

Pragnąca harmonii Anano wyszła obrażona i krzyknęła coś do nas na odchodne, ale nie zwracaliśmy na to uwagi. W tym momencie pożałowałam, że w ogóle wszczęłam tę dyskusję.

– Zostaw ją, niech się dąsa, skoro nie wie, kiedy powinna wyjść z pokoju – stwierdziła Dina.

Do końca jej dni nie będę potrafiła przyzwycząić się do jej twardego charakteru i braku litości. Do surowości, z jaką traktowała zarówno siebie, jak i bliźnich. Do jej wygórowanych ambicji, które dla niewtajemniczonych były tak czy siak nieosiągalne. I do tego jeszcze ten jej przyprawiający o zawrót głowy osobowościowy rollercoaster.

– Posłuchaj, jesteś moją najlepszą przyjaciółką, a on jest moim bratem. Mój Boże, to chyba jasne, że się martwię...

– Martwisz się? O co? Że jesteśmy razem?

– Tak, o to też, nie powinnaś była mnie tak brutalnie wykluczać.

Broniłam się, ale jednocześnie zwątpiłam w siebie dokładnie w tym momencie, w którym zakwestionowała moje intencje. Czyżbym była zazdrosna? Żałowałam jej swojego narwanego brata czy nie chciałam się z nikim dzielić swoją najlepszą przyjaciółką?

– On mi się podoba taki, jaki jest. I nie zamierzam go powstrzymywać – powiedziała z naciskiem, jakby to była jej ostateczna odpowiedź, po czym wzięła jabłko ze stojącej na stole salaterki.

– Co masz na myśli, mówiąc: powstrzymywać? Przed czym?

– Chciałabyś, żebym przemówiła mu do rozsądku, żebym zrobiła to, czego chce wasz ojciec. Ale nie zrobię tego. On mi się podoba właśnie dlatego, że jest, jaki jest, a nie dlatego, że mógłby być taki, jakim wy chcielibyście go mieć.

– Wy, wy? – Zraniła mnie celowo. – Nie wiedziałam, że stałam się nagle dla ciebie jakimś „wy” – powiedziałam zdruzgotana.

– Nie to miałam na myśli, ale nie będę od niego oczekiwać, żeby robił to, czego nie chce. Nie jestem przecież szpiegiem i nie zamierzam ci przekazywać, co planuje i z kim – powiedziała nieco dramatycznie i opadła na krzesło.

Teraz to ona była nadąsana. Ugryzła jabłko i demonstracyjnie przewróciła oczami. Gdzieś z sąsiedniego pokoju zaczęła dobiegać muzyka. Lika odnawiała właśnie jakiś stary sekretarzyk, niedawno dwóch silnych mężczyzn przecisnęło go jakoś przez wąskie drzwi do sutereny. Podczas pracy słuchała zazwyczaj muzyki z gramofonu i nieraz słyszałam, jak nuci sobie coś pod nosem.

– Zrozum wreszcie, że może sobie narobić kłopotów. Czy naprawdę uważasz, że banda Koridze przyjmie to ot tak sobie, jeśli Rati i jego gangsterzy z bożej łaski pokrzyżują im jakieś interesy? Poza tym chyba nie zamierzasz patrzeć spokojnie, jak niszczy sobie życie?

– Mówisz jak prawdziwa burżujka!

– Przepraszam, jak kto?

– Jak burżujka.

– Przecież to jakiś absurd... – Czyżby to były słowa mojego brata? Właściwie kto tutaj znajdował się pod czyim wpływem? – To chyba nie jest droga, którą wybiera większość.

Nagle coś się w niej zapaliło, rozplómięła się i z typową dla siebie gorliwością zaczęła bronić Ratiego:

– Twój ojciec mówi, że powinien iść na studia i się uczyć. Ale popatrz, Keto, to przecież dzisiaj nie ma żadnej wartości. Sama przyznasz, że każdy idiota może pójść na uniwersytet i kupić sobie miejsce na studiach, a najlepiej od razu dyplom. Czy tak nie jest?! Ratiego nie interesują półśrodki, tak samo jak mnie. W każdym razie nie chce przykładać ręki do tej obłudy i zakłamania. Wszyscy dokoła dobrze wiedzą – tu wykonała dramatyczny gest ręką – że nasze życie i cały ten kraj to jedno wielkie kłamstwo. Chcemy wreszcie być wolni i decydować sami o sobie,

nie chcemy już dawać robić z siebie głupków. Ani klanowi Koridze, ani państwu. A tak w ogóle ja też nie zamierzam studiować!

– O Boże, Dina, mówisz już jak on! Po tobie spodziewałabym się trochę większej samodzielności – powiedziałam, świadomie ją raniąc. – To jest czcza gadanina. Co on może zrobić rodzinie Koridze? Chyba wiesz, kim jest Tapora i jaką ma władzę? Pół miasta do niego należy.

– Właśnie dokładnie o to chodzi. Albo trzeba płacić milicji, albo jakiemuś kryminaliście. Dlaczego? Ze strachu! To jest coś, co napędza nasze społeczeństwo: strach. Ale Rati się nie boi. Nikogo. Dlatego jest taki wyjątkowy – dodała z niemal matczyną dumą w głosie.

– Każdy się czegoś boi – powiedziałam bardziej do siebie niż do niej. – A jeśli nawet byłoby tak, jak mówisz, to czym on dysponuje? Przepraszam bardzo, jak on zamierza utrzymać nosa klanowi Koridze?

– On chce zaproponować ludziom ochronę. On i jego chłopaki. Ochronę przed Taporami i całą tą hołotą. Będzie ich bronił przed szantażystami. I oczekuje za to o wiele mniej niż te chciwe i skorumpowane świnię.

To było niepojęte. Rati zaraził ją swoimi zagmatwanymi i mglistymi przekonaniem. Jak może być tak zaślepiona? A może to ja się mylę. Może brakuje mi wyobraźni i odwagi, mam zbyt skostniałe i konserwatywne poglądy, jak mi przed chwilą zarzuciła?

– Naprawdę sądzisz, że Tapora i jego ludzie będą się temu tak po prostu przyglądać?

– Czasy się zmieniają – powiedziała, jak gdyby to był fakt.

Wykluczała mnie, ponieważ stanowiłam przeszkodę na drodze, którą, jej zdaniem, była zmuszona obrać razem z Ratim, ale sposób, w jaki to robiła, był dla mnie nie do zniesienia. Przychodziło jej to z taką łatwością, była w tym tak radykalna, tak zdecydowana, że aż zabrakło mi tchu.

– Jak możesz... – do oczu napłynęły mi łzy. – Myślałam, że my dwie, że my...

Przez chwilę widziałam w jej ciemnych oczach lekkie wahanie. Poczula się niezręcznie, zapędzona w kozi róg znów chciała się jakoś wykpić, wykręcić z tej sytuacji, jednak coś ją powstrzymywało. Nagle zerwała się z krzesła, objęła mnie i pocałowała w kark.

– Nie bądź głupia. Oczywiście, że jesteśmy razem!

– Ja tylko chcę, żeby wszystko było jak dawniej – wyjęczałam zła na siebie, że nie potrafię wściekać się na Dinę dłużej niż przez chwilę. Nigdy mi się to nie udawało i teraz też nie było sensu próbować. Poddałam się, objęłam ją i tak już pozostałam, z twarzą wtuloną w jej szyję.

– Chcemy we wrześnie wziąć ślub – powiedziała i uwolniła się z mojego uścisku.

– Co?! – wykrzyknęłam.

– Cha, cha, żartowałam! Bzdura! Nigdy nie wyjdę za mąż. Znasz mnie przecież. A teraz muszę poszukać młodej i trochę z nią poćwiczyć, możesz tutaj zostać, zaraz wrócimy.

I wyszła z pokoju.

Posiedziałam jeszcze przez chwilę w przestronnej jadalni z pięknym starym zlewem, wsłuchując się w tykanie ściennego zegara, po czym zaczęłam się zbierać do domu. Już trzymałam w ręku swój szkolny plecak, gdy nagle zauroczyła mnie muzyka dochodząca z tylnego pokoju, najładniejszego pomieszczenia tutaj, z oknami wychodzącymi na ulicę, przez które wpadała odrobina światła, poszłam więc w tamtym kierunku i zapukałam nieśmiało do drewnianych drzwi.

– Keto, to ty, wchodź, skarbie!

Lika uśmiechnęła się do mnie promiennie i po raz kolejny ujęła mnie całkowicie swoją otwartością. Z włosów sterczał jej ołówek, którym próbowała okiełznać kędzierzawe loki, miała na sobie ogrodniczki, w których wyglądała równie dobrze jak w eleganckiej sukni wieczorowej. Chodziła na bosaka, jak zwykle, gdy była w domu, a jej kształtne paznokcie u nóg były polakierowane na jaskrawoczerwony kolor.

- Gdzie są dziewczyny?
- Ćwiczą do szkolnego występu Anano.
- A tak, faktycznie. Poczekaj, ściszę muzykę, nie słychać własnego głosu.

Miałam ochotę ją powstrzymać i poprosić, by nie zwracała na mnie uwagi, żeby oddała się swoim codziennym czynnościom, chciałam tylko popatrzeć, być świadkiem jej czarów. Ale ściszyła muzykę i poprosiła, żebym usiadła na małym stołku naprzeciw niej.

To było pomieszczenie, w którym czas stał w miejscu, było jak portal do jakiegoś równoległego świata. Tutaj panowało wieczne poczucie bezpieczeństwa. Tutaj wszystko pachniało jak dawniej. Narzędzia, których nazw wtedy jeszcze nie znałam, leżały ciągle porozkładane na podłodze, zawsze stała jakaś filiżanka herbaty, a w popielniczce leżał czasem jakiś papieros. Tutaj nie docierał świat zewnętrzny, tego pomieszczenia nie obchodziło, dokąd zmierza świat za oknem. I po raz pierwszy zrozumiałam, dlaczego zawsze czułam się tutaj tak dobrze i bezpiecznie, jak w domu: bo tu świat ze swoimi narastającymi żądaniami nie mógł mi nic zrobić, tutaj nie docierały ani głosy z megafonów, ani egzaltowane komentarze z telewizora. Wszystko, co trafiało w ręce Liki, żyło już kiedyś i nie poddało się czasowi, ta czarodziejka z kędzierzawą grzywą uratowała to wszystko przed zniszczeniem i skazała na przetrwanie. Strasznie mną zawładnęło to nagłe odkrycie. Zapragnęłam zrosnąć się z tym pokojem, stać się częścią tego świata i zostać tu już na zawsze – to pragnienie było w tamtym momencie tak dojmujące, że zaczęłam odczuwać wręcz fizyczny ból. Do dziś pamiętam dokładnie, jak Lika pracowała tamtego dnia nad biedermeierowskim sekretarzykiem z roletą. Przypominam sobie panujący wokół tego mebla bałagan – papier ścierny, najprzeróżniejsze pędzle, klej, śrubokręt, młotek, wosk syntetyczny, zawiasy – który wyglądał w moich oczach jak przepiękna martwa natura. Wszystko to doskonale pamiętam, sztuczne światło lamp przemysłowych, lupę, której czasem używała, ślady jej czerwonej szminki na filiżance.

Wiele lat później, gdy w rzymskim Palazzo Massimo alle Terme stałam przed pewnym malowidłem ściennym datowanym na okres między 40 a 20 rokiem przed

Chrystusem, przypomniało mi się – do dziś nie umiem sobie wytłumaczyć dlaczego – tamto popołudnie, ten dzień, w którym po raz pierwszy przekroczyłam tajemniczy portal i straciłam dziewictwo. Stałam tam, w Rzymie, patrzyłam na drzewo iglaste namalowane na ścianie i wzruszyłam się do łez, niczego nie pragnęłam wtedy bardziej niż podzielić się z Liką tą chwilą. Niezwykła intensywność barw i jednocześnie pokrywająca je patyna czasu, niezliczone ludzkie losy, które przez wieki zetknęły się z tym drzewem – świadomość tego wszystkiego runęła na mnie, wyrwała z teraźniejszości i poniosła gdzieś poza przestrzeń i czas.

– Zdaje się, że jesteś tym wszystkim tutaj – powiodła wzrokiem dookoła – bardziej zainteresowana niż moje córki – powiedziała Lika i wypila łyk herbaty.

– Tak, bardzo lubię ten pokój... podoba mi się, że ratujesz coś, co wylądowałoby na śmietniku – dodałam niepewnie.

– Ładnie to ujęłaś – powiedziała i objęła mnie swoim uśmiechem.

Łaknęłam tego niezachwianego spokoju ducha, którym w majestatyczny sposób emanowała ta kobieta, i zrozumiałam, że całe to poczucie harmonii i bezpieczeństwa mają niewiele wspólnego z zapachem kleju do drewna czy martwą naturą z narzędzi na podłodze, lecz pochodzą z jej najgłębszego wnętrza.

– Dawniej, kiedy byłam w waszym wieku, chciałam zostać piosenkarką, wyobrażasz to sobie? – powiedziała cicho i zaczęła czyścić pędzel.

Wiedziałam o Lice tyle co nic, zawsze zdawała się żyć we własnym świecie. Kiedy z Diną i dziewczynami anektowałyśmy czasem jadalnię albo wygłupiałyśmy się na łóżku w sypialni, poruszała się między nami cichutko na palcach, jakby była w stanie nieważkości. Jedyne, czego nie znosiła, to brak uprzejmości. Nie lubiła, gdy Dina była oschła, sprawiała przykrość siostrze albo odpowiadała opryskliwie na pytania. Z czasem stałam się adwokatką Liki i traktowałam bez pardonu każdego, kto wypowiadał się o niej krytycznie. Jak na przykład babudy, które były zdania, że Dina i Anano mają za dużo swobody, a szczególnie Dinie przydałaby się czasem silniejsza ręka. Nawet w naszej szkole krążyły różnego rodzaju opowieści o wolnoduchostwie Liki. Stawałam po jej stronie, nierzadko zarzucałam jej

krytykom zazdrość, bo każdy – jestem o tym przekonana do dziś – kto czuł się zmuszony do wyrażenia negatywnej opinii na jej temat, w skrytości ducha zazdrościł jej wolności.

Jednak z biegiem lat spędzonych u boku Liki, w późniejszym okresie już jako jej uczennica, a nie tylko koleżanka córki, poznałam ją także z innej strony i oczywiście mój wyidealizowany obraz uległ pewnej modyfikacji. Dostrzegłam z czasem jej demony, obserwowałam nieraz jej samotną, dla większości niewidoczną walkę ze światem, na którym przyszło jej żyć, jej wściekłość na ten świat, na ludzi, którzy zostawili ją na lodzie, którzy ją zdradzili i wykorzystali. Lecz mimo to jeszcze dziś, studiując fotografie jej córki i przywołując w pamięci jej obraz, czuję to wszechogarniające ciepło, ten wręcz nienaturalny optymizm.

– No dobrze, w takim razie do roboty, weź ściereczkę i wyczyść pędzle – poprosiła mnie tamtego popołudnia zupełnie nieoczekiwanie i nie zdając sobie z tego sprawy, położyła tym samym podwaliny pod to wszystko, co miało nastąpić potem. – No co tak patrzysz na mnie zdziwiona? Chcesz mi pomóc czy nie? Doskonale, weź ściereczkę, tak, dokładnie tak, chwyć tutaj i ostrożnie wycieraj każdy włos z osobna. To jest specjalny chemiczny płyn do czyszczenia, dlatego najlepiej włóż rękawiczki, żebyś nie dostała jakiejś wysypki, leżą tam w kącie po lewej stronie. Tak, właśnie te.

Wykonywałam posłusznie wszystkie instrukcje, niezwykle wdzięczna, że zajęła się mną bez proszenia.

– No cóż, jak widzisz, nie zostałam piosenkarką. – Zaśmiała się pogardliwie. – A potem myślałam, że przynajmniej miłość mi to wynagrodzi. Ale to było naiwne z mojej strony. Jeszcze bardziej naiwne niż marzenie o karierze piosenkarki. Miłość obdarowała mnie prezentami, owszem, ale nie takimi, jakich oczekiwałam. – Znów się zaśmiała.

Ten rubaszny, chropawy śmiech, który wyrywał jej się od czasu do czasu, przypominał mi niepohamowany śmiech Diny. Po wyczyszczeniu pędzli miałam posortować śrubki i rozmieszać klej. Podeszła do okna, przez które widać było jedynie stopy przechodniów, i zapaliła papierosa. Ja byłam skoncentrowana na

nowych zadaniach, mogłabym tak godzinami, wręcz całymi dniami, wykonywać jej polecenia.

– Dawniej uważano, że podczas renowacji dzieła sztuki, zakładając, że zgadzamy się co do tego, iż każde dzieło sztuki jest wyjątkowym, jedynym w swoim rodzaju egzemplarzem, należy przywrócić mu jego pierwotny stan – powiedziała, stojąc w kłębach dymu odwrócona do mnie plecami. – Dopiero później, po drugiej wojnie światowej, przyjęło się, że renowacja polega w zasadzie na konserwacji. Przywrócenie pierwotnego stanu jeden do jednego jest po prostu niemożliwe, ponieważ nie wiemy, jak kiedyś tak naprawdę wyglądało dane dzieło, uznano więc, że należy zachować to, co ma się przed sobą. Żadnego historycznego wydarzenia, żadnej historycznej chwili, żadnych czasów nie da się powtórzyć i zgodnie z tym należy każdą renowację rozumieć jako zachowanie fragmentu teraźniejszości, który przechowuje w sobie przeszłość.

Nie byłam pewna, czy właściwie ją rozumiem, ale starałam się zapamiętać każde słowo, chciałam wchłonąć wszystko, co była gotowa mi dać.

– Keto, musisz to wszystko wyobrazić sobie w następujący sposób: na pewno znalazłaś kiedyś nad morzem jakiś wyjątkowo piękny kamień, gdzieś na plaży w Batumi albo Suchumi. O najpiękniejszych kamieniach mówi się, że są to żywe kamienie. Są kolorowe i mają chropowatą, nierówną powierzchnię. Bierze się to stąd, że mieszkają na nich jednokomórkowce i różne gatunki alg, koralowce, a czasem nawet drobne skorupiaki. I właśnie one sprawiają, że kamienie wydają się takie wyjątkowe i ciekawe. I tak jest też z tym, z czym my mamy tutaj do czynienia.

To „my” wprowadziło mnie w niespodziewaną euforię – czyżby miała na myśli mnie, czy to możliwe, że właśnie przyjęła mnie do swojego tajnego zakonu?

– Spróbujmy zakonserwować kawałek „teraz” zrośnięty z kawałkiem przeszłości. To wcale nie jest takie proste, uwierz mi... – Odchrząknęła i odwróciła się do mnie, gasząc do połowy wypalonego papierosa w jakiejś starej puszcze po konserwie. – Bierzmy się do pracy, wtedy zrozumiesz, o czym mówię.

Dopiero gdy obie babudy, jedna po drugiej, zadzwoniły zaniepokojone do Pirwelich i zapytały o mnie, Lika wysłała mnie do domu. Wbiegałam po schodach, przeskakując po kilka stopni naraz, i wymieniałam po drodze nazwy wszystkich narzędzi, które usłyszałam tego dnia po raz pierwszy.

Muszę zadzwonić do Liki, myślę. Muszę jej opowiedzieć, jak stałam wtedy w Rzymie, myślałam o niej i bezgłośnie płakałam. Muszę jej powiedzieć, że myślę teraz o tym wszystkim i jednocześnie stwierdzam, że jej córka w charakterystyczny dla siebie, niewymuszony i jedyny w swoim rodzaju sposób robiła dokładnie to samo, co my próbowałyśmy osiągnąć przez lata sumiennej pracy. Tak, ona też próbowała konserwować „teraz”, które było zrośnięte z kawałkiem przeszłości.

W następnych tygodniach chodziłam do Liki prawie codziennie i z przyjemnością zatapiałam się w jej świecie. Jeszcze nigdy moja żądza wiedzy nie była tak wielka, jeszcze nigdy nauka nie przychodziła mi z taką łatwością. Oddałam się ochoczo w ręce matki mojej przyjaciółki i pozwoliłam, by mnie prowadziła. W długim tunelu, do którego upodobniły się tamte miesiące mojego życia, wybrałam ją na swoją pochodnię.

Lika nie zadawała pytań, po prostu przyjmowała moją obecność, chwaliła mnie za zainteresowanie jej pracą i za zręczność, krytykowała, gdy byłam zdekoncentrowana albo zdarzyła mi się jakaś nieuwaga, upominała, że powinnam być zawsze czujna i niezwykle ostrożnie i starannie obchodzić się z narzędziami. Częstowała mnie sucharkami z cukrem pudrem albo owocami, gdy nasze popołudnie się przeciągało, robiła nam herbatę, co jakiś czas zapalała papierosa, zawsze odwracając się wtedy do mnie plecami, i wyglądała przez okno. A gdy zbliżał się wieczór, decydowała, kiedy jest „koniec na dzisiaj”. Tylko czasami, gdy pracy było niewiele albo trzeba było zająć się czymś, czego nie byłam w stanie samodzielnie wykonać, prosiła, żebym usiadła koło niej na niskim taborecie i sobie porysowała. Nie komentowała moich rysunków, nic nie mówiła, tylko czasem na jej twarzy pojawiał się ledwo zauważalny uśmiech albo zachęcające spojrzenie.

Raz zapytała mnie, czy nie chciałabym studiować malarstwa, wkrótce rozpoczynają się egzaminy końcowe i czy w związku z tym mam już jakieś plany na przyszłość. Po raz pierwszy w życiu powiedziałam otwarcie, co mnie niepokoi: strach przed odpowiedzialnością, strach przed tym, że trzeba stanąć przed pustym płótnem i coś namalować i że można temu nie sprostać. Strach przed kolorami i przed niemożnością uchwycenia całej złożoności świata. Wyznałam jej, że jest mi o wiele łatwiej spełniać polecenia, wykonywać dokładnie opisane zadania. Przy niej, w tej pracowni, czułam się bezpiecznie, miałam jasno określony plan działania, który mogłam realizować, a gdy czegoś nie wiedziałam, ona była u mego boku. Już sama myśl, że mogłabym zamienić blok rysunkowy na sztalugę i płótno, działała na mnie paralizująco.

– To wszystko możesz sprawdzić tylko wtedy, gdy tego spróbujesz – powiedziała zatopiona w jakiejś książce, w której czegoś szukała.

Nic nie odpowiedziałam, zostawiłam to tak, jak jest, i ona to zrozumiała. Zazwyczaj rozumiała ludzkie potrzeby bez słów. Powiedziała, że nie będzie mnie do niczego zmuszać, da mi czas, którego potrzebuję. Wiedziałam, że to miejsce będzie dla mnie schronieniem tak długo, jak długo będę tego potrzebować.

Dwudziestego szóstego maja 1991 roku, w dniu naszych egzaminów końcowych, Zwiad Gamsachurdia został pierwszym wybranym w wolnych wyborach prezydentem Gruzji. Ale to nas nie interesowało, woleliśmy świętować swoją wolność. Nawet jeśli ta wolność zbiegała się w czasie z wolnością naszego kraju, nie miało to dla nas większego znaczenia. Tego dnia szkolny dzwonek dzwonił wyjątkowo długo, specjalnie dla nas, tylko i wyłącznie dla nas, absolwentów. Nauczyciele składali nam gratulacje i wypisywali swoje nazwiska na naszych białych fartuszkach i koszulkach.

Po ostatniej lekcji, przeprowadzonej symbolicznie i w nieco sentymentalnym nastroju, podczas której nawet klasowe rozrabiaki siedziały cicho, zamyślane, wybiegliśmy tłumnie na korytarz, otwieraliśmy z impetem wszystkie drzwi, piszczeliśmy, śpiewaliśmy i cieszyliśmy się tym dniem, sobą i wszystkimi słodkimi

obietnicami, które świat trzymał dla nas w zanadru. Pachniało oszałamiająco bzem, jak zwykle w maju w naszym mieście. (Czy to miasto jest jeszcze moje? Czy mogę je jeszcze tak nazywać, mimo że przegapiłam tyle kwitnień bzu. W którym momencie coś przestaje być własnością? Gdzie leży granica, za którą to, co swojskie, staje się obce? Czy własne dzieciństwo może stać się nam obce?)

Zebraliśmy się na szkolnym podwórku, chłopcy pili wino z butelek po lemoniadzie, przyłączyło się do nich kilka dziewcząt. Nawet Ira, która spędziła ostatnie tygodnie jak zakonnica, powróciła do życia i promieniała radością. Wylegliśmy na ulicę, czując na sobie pełne podziwu spojrzenia młodszych uczniów, szli za nami z uczuciem zazdrości przemieszanej z tęsknotą. Chcieliśmy każdą chwilę tego szczególnego dnia mieć dla siebie, upajać się nią jak jakimś magicznym nektarem. Tego dnia wszystko wydawało się możliwe, każda droga była przed nami otwarta.

Trzymając się za ręce, przeszliśmy przez boisko, na którym odbywały się zazwyczaj lekcje wychowania fizycznego. Potem ruszyliśmy ulicą Engelsa w dół, zataczając się pijani ze szczęścia i wrzeszcząc tak, żeby wszyscy nas widzieli i słyszeli, bo przecież byliśmy wreszcie panami własnego losu. Byliśmy wreszcie królami we własnym królestwie. Jakże byliśmy naiwni...

Tego samego wieczoru leżałyśmy wszystkie cztery na szerokim łóżku w pokoju Nene i oddawałyśmy się marzeniom. Cotne wyjechał akurat z wujem do Rostowa w jakichś „interesach”, więc Nene mogła cieszyć się nieznaną dotąd wolnością. Podczas gdy Guga zdawał się usychać z miłości, Nene rozkwitała coraz bardziej i z coraz większą zuchwałością uciekała się do różnych sztuczek i kłamstw, które serwowała matce, żeby tylko móc spędzać z Sabą jak najwięcej czasu.

– Co zamierzasz robić, masz już jakiś pomysł, co będziesz studiować? – Ira zwróciła się nieoczekiwanie do mnie, stanęła wyprostowana jak świeca, oparła ręce na biodrach i stała w tej pozycji jak akrobatka.

– Keto jest taka nudna, sterczy ciągle w atelier matki i udaje wzorową uczennicę – próbowała mi dopiec Dina i coś w jej głosie mówiło mi, że nie jest z tego, o czym mówi, zadowolona.

Faktycznie relacje między nami stały się nieco bardziej napięte, od kiedy zaczęłam częściej przesiadywać w pracowni Liki. Nie miałam ochoty reagować na jej docinki, więc zachowywałam się tak, jakbym w ogóle nie zauważyła jej podenerwowania. Ale w pewnym momencie byłam zmuszona bezpośrednio skonfrontować się z jej wypowiedzią, po której odebrało mi mowę: „Ja zdobyłam twojego brata, a ty zdobyłaś moją matkę. I to jest fair, trzeba przyznać”.

– A co ty właściwie robisz u Liki? Czy to nie jest totalna nuda polerować jakieś stare meble? – skomentowała Nene i zaczęła przeciągać się na łóżku jak podstarzały kot.

– To wcale nie jest nudne! To wymaga niesamowicie dużo pracy i trzeba strasznie dużo umieć!

Z Diną było tak zawsze, ona mogła krytykować innych, natomiast pod jej adresem nie wolno było kierować absolutnie żadnych uwag, a jeszcze mniej pod adresem osób, które kochała.

– Źle mnie zrozumiałaś. Miałam tylko na myśli, że to jest nudne dla Keto – doprecyzowała Nene.

– Ludzie, dajcie się wypowiedzieć jej samej! – zdenerwowała się Ira i opadła z powrotem na łóżko. – Chciałabym w końcu usłyszeć jej zdanie.

– Jeszcze się zastanawiam, ale...

– Nad czym tu się zastanawiać? Przecież już od dawna wiesz, co chcesz robić. – Dina spojrzała mi nagle prosto w oczy.

– Ach, czyżby? A co to takiego jest, co wiem już od dawna? – odpowiedziałam poirytowana.

– Będiesz studiowała renowację zabytków. Uważasz, że to będzie dla ciebie najbezpieczniejsza opcja. Bo do malarstwa brakuje ci odwagi, o ile dobrze rozumiem.

Miałam ochotę ją spoliczkować za ten komentarz, ale w gruncie rzeczy miała rację. Już od dawna nosiłam się z tą myślą, ale nie miałam śmiałości mówić o tym

otwarcie. Zasięgnęłam już informacji na Akademii Sztuk Pięknych i nieustannie rozmyślałam o takim wyborze.

– To by było bardzo... nietypowe, ale dlaczego nie – stwierdziła Ira swoim charakterystycznym refleksyjnym głosem.

Na kilka chwil pograżyliśmy się wszystkie w wymownym milczeniu.

– Bardzo mi przykro, że muszę cię rozczarować i nie będziesz miała za przyjaciółkę wybitnej malarki – powiedziałam chłodno do Diny.

– Co ty pleciesz? Myślisz, że powiedziałam to ze względu na siebie?

Jej spojrzenie znów zrobiło się nagle przyjazne, pełne ciepła i czułości, więc zrobiło mi się przykro, że zachowałam się tak głupio.

– No to dlaczego tak się przy tym upierasz? – zapytałam i spuściłam wzrok. – Po prostu nie jestem artystką, jak ty... Przykro mi.

– To nie o to chodzi. Ołać nazwy. Jeśli chodzi o mnie, to mogłabyś być nawet śmieciarą, jeśli tylko czułabyś się szczęśliwa. Sądzę tylko, że powinnaś mieć odwagę być tym, kim jesteś. Moja matka nie miała wyboru, nie została konserwatorką mebli, bo bardzo tego chciała.

– O Boże, Dina, nie mam ani jednego obrazu, sądzisz, że przyjmą mnie z moimi głupimi rysunkami? Wiesz, ile osób chce studiować malarstwo?

– Tak, ale ilu jest nimi naprawdę, to znaczy malarzem lub malarką?

– Ale dlaczego z uporem twierdzisz, że ja nią jestem?

– Bo cię znam!

Coś w tej wypowiedzi wzruszyło mnie do łez i jednocześnie zapędziło w kozi róg. Najchętniej wstałabym natychmiast i wybiegła z pokoju prosto na ulicę Winorośli, a stamtąd kilka schodków w dół do sutereny Liki. Nie rozumiałam tej gwałtownej reakcji. Dlaczego tak zareagowałam? Dlaczego Dina wywierała na mnie swoimi oczekiwaniami taką presję? A mimo to nie mogłam w tym momencie odczuwać w stosunku do niej niczego innego niż wdzięczność. Postawiła przede mną wyzwanie, zresztą cała nasza przyjaźń polegała na takich wyzwaniach,

wspierała w ten sposób, nawet bezwiednie, mój rozwój, chociaż nieraz przeklinałam ją za to popychanie do przodu.

– Twoja matka jest szczęśliwa w swoim zawodzie, nie powinnaś mówić o nim niczego złego – powiedziałam i spojrzałam jej w oczy.

– Ja w ogóle nigdy nie mówię niczego złego – eksplodowała nagle. Pokój wypełniła lodowata cisza. – Ty nie masz o tym zielonego pojęcia! Czy ty zdajesz sobie sprawę, ile to kosztuje wyrzeczeń, jak trudno było mnie i Anano znieść to wszystko?

Zdziwiła mnie jej złość i pewna doza rozczulenia nad sobą, coś, czego u niej do tej pory nie znałam.

– Dina, przykro mi, ale odnoszę wrażenie, że mówisz jednak sama o sobie. Ty na pewno pójdziesz własną drogą, a Keto ma z pewnością swoje powody, dla których chce zostać konserwatorką – wtrąciła się Ira.

Byłam jej niezmiernie wdzięczna, że swoim rozważnym tonem uratowała sytuację.

– Ja w każdym razie zgłosiłam się już na egzaminy wstępne na uniwersytet – podsumowała rozmowę z dużą pewnością siebie i zeszła z miękkiego łóżka.

Dina siedziała odwrócona do nas plecami.

– Ira, na serio? Naprawdę idziesz na prawo? Wytrzymasz to?

Z ulgą przyjąłam zmianę tematu i podchwyciłam możliwość odwrócenia uwagi od siebie.

– Tak, wytrzymam, dam radę. Jesteśmy teraz niepodległym krajem, będziemy uchwałać nowe prawo, obmyślać nowe rzeczy i chcę w tym uczestniczyć, gdy przyjdzie nowe – dodała nieco patetycznie.

– Tak długo, jak będzie trwał stary system, nieważne, czy z niepodległością, czy bez, moja noga nie postanie na żadnym uniwersytecie!

Słyszałam, jak przez Dinę przemawia mój brat, i starałam się nie dać po sobie poznać, że mnie to denerwuje.

– Ale przecież musisz coś robić... – Ira drażyła temat.

– Przecież coś robię. Fotografuję. Albo pójde pracować w zoo. Jako opiekunka zwierząt. Zwierzęta są, moim zdaniem, lepsze od ludzi.

– Na serio? – zdziwiła się Nene.

Ciągle czepiała się Diny i za każdym razem to działało. Ale trzeba przyznać, że u Diny trudno było wyczuć wyraźną granicę między fantazją a rzeczywistością, jej świat to była zawsze jazda po bandzie, ona sama nigdy nie traktowała swoich fantazji jak kłamstwa, lecz święcie w nie wierzyła, dlatego były takie przekonujące.

– Nene, daj spokój... Nie będzie żadną opiekunką zwierząt! – skomentowałam markotnie.

– Przecież nie wiesz, tak samo jak my, co będzie jutro, więc nie możesz tego całkowicie wykluczyć – odparła Dina, nieco urażona.

W tym momencie Nene zeskoczyła z łóżka i obwieściła swoim jasnym, pogodnym głosem:

– A ja chciałabym po prostu zostać nieposiadającą się ze szczęścia panią Jaszwili!

Spojrzałyśmy na nią zdębiałe i wszystkie naraz parsknęłyśmy śmiechem.

KOCHANKOWIE Z TBILISI

Anano zjawia się nagle niespodziewanie koło mnie i uśmiecha się dobrotliwie, jak to ma w zwyczaju.

– Dobrze się bawisz, wszystko w porządku? Masz wszystko, co trzeba?

Spogląda na mój pusty kieliszek. Kiwam głową i próbuję się zmusić do optymistycznego uśmiechu. Wygląda na kogoś, komu bez większego wysiłku udaje się nad wszystkim panować. Zaczynamy rozmawiać o Lice mieszkającej od dwóch lat u Anano i jej rodziny. Wspominam czasy, gdy jeszcze co tydzień dzwoniłam do niej z Niemiec – jakże wielkim oparciem i ostoją, czymś stałym i niezmiennym była wówczas dla mnie. A trzeba dodać, że nie miałam wtedy zbyt wiele pieniędzy na strasznie drogie karty telefoniczne. Jednak stanowiła mój pomost, dawała mi pewność, że zawsze będę miała do kogo wrócić, gdyby coś poszło nie tak. Wstyd mi, że tak długo nie odzywałam się do niej i znów przypominają mi się łyzy w Rzymie.

– Opowiedz mi lepiej o sobie, opowiedz o swoim małym Ratim, chociaż pewnie nie jest już taki mały. Mama mówiła, że jesteś bardzo zajęta. Zawsze opowiada z zachwytem o twoim talencie i czuje się trochę dumna, jak gdyby twój sukces był po części też jej zasługą. – Anano puszcza do mnie oko. – Znasz ją...

– To jest wyłącznie jej zasługa, nie tylko po części.

– Mówiła, że specjalizujesz się w renesansie i masz zamówienia na najbliższych kilka lat.

– No cóż, rzeczywiście mam sporo zamówień i dużo podróżuję, to zaleta, ale jednocześnie wada tego zawodu. Z tym że od kiedy Rati wyprowadził się z domu, jest o wiele łatwiej. Musisz koniecznie odwiedzić mnie z mamą, mówiłam już o tym Lice tyle razy.

– No wiesz, ma już swoje lata, choć nie przyjmuje tego do wiadomości, jednak wiek robi swoje. Ale ja wybieram się następnej zimy tak czy siak do Niemiec. W sprawie galerii. Planujemy dużą wystawę młodych malarzy gruzińskich, Zachód coraz bardziej odkrywa ich dla siebie, a my chcemy im w tym pomóc.

– No to będzie okazja, żeby zrobić małą wycieczkę w bok.

– Słyszałam od mamy, że mieszkasz pośrodku lasu. I masz imponujący ogród.

– To jest stare gospodarstwo rolne, które kupiłam parę lat temu i doprowadziłam do porządku, cudownie ustronne miejsce, najlepsze, jakie tylko można sobie wymarzyć. A ogród to był, szczerze mówiąc, pomysł twojej matki: skoro masz tyle miejsca, to coś posadź, to niesamowicie uspokaja. I miała rację. Czy ta kobieta kiedykolwiek nie miała racji?

Śmiejemy się. Opowiadam dalej:

– Oczywiście Rati zaczął się z czasem nudzić, wyprowadził się do dużego miasta i prowadzi tam swoje szalone życie, też lubi podróżować, pod tym względem jesteśmy podobni. Interesuje się muzyką, ale takim gatunkiem, o którym nie mam bladego pojęcia. Muzyka elektroniczna w najszerszym tego słowa znaczeniu. No tak, my to już jesteśmy dinozaurami... Ty jeszcze nie, ale ja zdecydowanie tak.

Anano śmieje się i kręci głową.

– Nie gadaj bzdur...

Nie wiem, dlaczego to robię, właściwie nienawidzę podsuwać komuś pod nos smartfona z tysiącami zdjęć w wirtualnych albumach, ale to jest impuls i już pokazuję jej turkusowe jezioro i swój ogród, który wychwalam prawie jak dumna mamusia. Chce mi się śmiać z samej siebie.

Zastanawiam się, kiedy zaczęłam szukać odosobnienia. Ile to lat żyliśmy na walizkach? Jak długo po rozstaniu żyłam w skromnie urządzonej tymczasowych mieszkaniach? Może nie chciałam znaleźć ostatecznej przystani? Z dzisiejszej perspektywy trudno mi to zrozumieć, bo teraz nie wyobrażam sobie życia bez tego ogrodu i spokoju. Być może przyczyna leży zupełnie gdzie indziej. Bo jeszcze dziś

doskonale pamiętam owo przeświadczenie, które po przeprowadzce nie opuszczało mnie ani na chwilę, przeświadczenie, że wszystko jest tymczasowe, że jestem tu tylko przejazdem, że właściwy cel jest gdzie indziej. I mimo że nigdy nie powiedziałam tego otwarcie, byłam głęboko przekonana, że dla mnie istnieje tylko jeden cel: powrót. Powrót do Tbilisi.

Ale odłożyłam przeszłość na bok, musiałam iść do przodu, z żelazną dyscypliną jak żołnierz elitarnej jednostki. Zrobiłam to przede wszystkim dla swojego dziecka. A udało mi się głównie dzięki spokojnemu głosowi mojego ojca, do którego dzwoniłam co tydzień i rozmawiając z nim, starałam się wyczuć w jego głosie jakiś smutek albo załamanie, jakbym tylko czyhała na pretekst, żeby w końcu wrócić. Ale nie dawał mi do tego żadnego powodu, zachowywał swoje troski dla siebie, swoją nieznośną samotność, dalej słuchał Cole'a Portera, a złe duchy przechowywał zamknięte w butelce. Za wszelką cenę starał się trzymać mnie z dala od tego wszystkiego, z dala od piekła, z którego uciekliśmy.

Anano daje się sprowokować do kilku słów zachwyty nad moim ogrodem, a potem jej wzrok wędruje do właściwych eksponatów tego wieczoru. Zatrzymujemy się przy fotografii o romantycznie brzmiącym tytule *Kochankowie z Tbilisi*. Aktualność uchwyconej na niej chwili, jej żywotność jest nie do zniesienia: zastygły w wieczności moment zakochania, kawałek młodości i lekkości bytu, które, jak się teraz zdaje, były w momencie wykonywania tego zdjęcia niezniszczalne. Zastanawiam się, kiedy nadała ten tytuł. Gdy jeszcze kochała i wierzyła, że ta miłość jest w stanie znieść wszystko i wszystko pokonać? Czy może wtedy, gdy miłość już się skończyła, a ona stwierdziła, że ktoś, kto jest zakochany, jest ostatnią osobą, która potrafi docenić taki dar?

Przez pewien czas doskonaliła technikę robienia zdjęć z samowyzwalaczem. To ujęcie również pochodzi z tego okresu. (Później nie chciała już pokazywać się sama, wręcz przeciwnie, aparat fotograficzny stał się jej tarczą ochronną, za którą mogła się skryć i całkowicie rozpląnąć, a w jej zastępstwie przemawiały na zdjęciach wybrane przez nią motywy).

Kochankowie z Tbilisi... gdzie oni wszyscy się podzieli? Miasto mojego dzieciństwa i mojej młodości, takie, jakie widnieje na tych fotografiach, już nie istnieje. Zmieniło się, zrzuciło skórę, król metamorfozy, wywinęło się ponurym czasem i narzuciło na siebie nową szatę, kto mu zabroni, w końcu w taki sposób przetrwało tysiąc pięćset lat. Kochankowie z Tbilisi nie są już tacy wytrwali i dzielni. Tak, gdzież oni się podzieli? Czy kochają jeszcze, czy też ich miłość już dawno wygasła, wyparły ją te wszystkie nowe pary, nowoczesne, mniej dramatyczne, pogodne i nieskomplikowane?

Czy ja też jestem wśród nich? Czy mnie również zaliczyła do tych pokonanych świętych? Czy ci ludzie, którzy nas dzisiaj mijają, dostrzegają w nas tę miłość – tak ciężko wywalczoną i drogo okupioną? Czy widzą ten bezsensownie wystrzelany proch, ten ogień zamieniony w żarzący się popiół, te przedawnione pocałunki i rozpadające się objęcia? Czy inni widzą po nas, jak wiele chcieliśmy osiągnąć i jak historia bezlitośnie ukarała nas za to nienasycenie? A nawet gdyby ludzie, którzy przechodzą tu dzisiaj obok, wiedzieli to wszystko – czy rozpoznaliby w nas kochanków z Tbilisi?

Nie, nie rozpoznaliby. Żeby to było możliwe, życie musi najpierw człowieka przeżyć, przetrwać, a potem wypluć. Ktoś, komu życie pokazuje tylko swoją słoneczną stronę, nie jest w stanie nas rozpoznać. Znów myślę o Norinie, o jego przytłaczającej melancholii, o tym, że być może szukał mnie i znalazł tylko dlatego, że byłam personifikacją jego nieszczęścia, którego on osobiście nigdy nie zaznał, byłam kimś, kto ocalał i nigdy się nie skarży. Chciał się upewnić, że jego życie rozpieszczające go wyłącznie darami, które zresztą niezmiennie ignorował, jest właściwie całkiem wspaniałe, więc poczuł się w obowiązku podziękować bogom, w których tak naprawdę nie wierzył...

Nagle czuję, jak wzbiera we mnie złość, mam ochotę pozrywać ze ścian te zdjęcia i zabrać je do swojej bajecznej niemieckiej idylli, w to bezpieczne miejsce, gdzie mają dostęp tylko ci, których wypluło życie. Z jakiej racji wszyscy oglądają teraz tę miłość, ten pocałunek? Jej usta, usta mojego brata... Spuszczam wzrok,

patrzę na własne stopy. Anano poszła dalej, zostaję nagle sama – wśród niezliczonych gości.

I nagle przypomina mi się Rezo. Jakby wybuchł teraz płomień dawno wygasłej tęsknoty. Brakuje mi go, jego trzeźwego optymizmu i tego, że zna mnie lepiej niż ja samą siebie, jakbym była książką napisaną w jakimś obcym języku, którego ja nie znam, natomiast on opanował go doskonale. Chętnie zapytałabym go, czy jest szczęśliwy w swoim nowym życiu, ze swoją nową rodziną. Czy jest kochany tak, jak na to zasługuje. To dziwne, że przy słowie „miłość” właśnie on jako pierwszy przychodzi mi na myśl, mimo że spośród wszystkich mężczyzn, z którymi zetknął mnie los, w nim byłam w najmniejszym stopniu zakochana.

Chcę przejść dalej, ale stoję w miejscu i ponownie kieruję wzrok na zdjęcie. Całują się tak namiętnie, że aż kręci się w głowie. Zlewają się ze sobą jak dwa kolory farby, które miesza wielki mistrz i stwarza dotychczas nieznaną i oszałamiającą odcień. Stanowią jedno, łączy ich ten sam obieg powietrza, a jednak mimo całej swojej namiętności ten pocałunek nie ma w sobie nic niszczyielskiego, zawłaszczającego. Są wolni i w tym całym swoim pragnieniu są przecież jeszcze dziećmi, niczego nie wartościują, o nic nie pytają, po prostu są, i być może to stanowi o sile tego zdjęcia.

Teraz, gdy dokładniej mu się przyglądam, widzę, że mają na sobie mundurki szkolne. Wygląda na to, że specjalnie włożyli je do zdjęcia, ponieważ zostało ono z całą pewnością wykonane po zakończeniu roku szkolnego. Dlaczego to zrobiła? Nienawidziła tego mundurka, jak zresztą wszystkiego, co ograniczało jej indywidualizm. Czy to był jakiś ironiczny gest? To nie pasuje do bezwzględności tamtych lat, nie pasuje do jej wieku i jej szaleńczej miłości. Moje myśli wędrują do dnia, gdy na zawsze zdjęła mundurek i włożyła prostą sukienkę na ramiączkach, by w ten sposób móc swobodnie świętować swoją wolność i wszystko, co ona ze sobą niesie.

Pod koniec czerwca, tak, to musiało być pod koniec czerwca, wynajęliśmy specjalnie na nasz bal z okazji zakończenia szkoły salę bankietową położoną nad

rzeką Mtkwari i nie szczędziłyśmy na to środków: zebraliśmy składki, zestawiliśmy bogate menu, przytargaliśmy sprzęt i tygodniami łamaliśmy sobie głowy nad doborem odpowiedniej muzyki. Przygotowaliśmy ręcznie malowane zaproszenia i po bukietach kwiatów dla każdego nauczyciela. Całymi dniami rozmawialiśmy o strojach na tę uroczystość. Lika uszyła Dinie tę prostą sukienkę na ramiączkach, która przemieniła ją w królową. Na szyi miała przepiękny cienki złoty łańcuszek, a we włosach kwiaty rumianku. Tego lata skróciła włosy, dzięki czemu nowa fryzura okalała jej twarz w jeszcze bardziej spektakularny sposób. Promieniała w oczekiwaniu na bal, natomiast oczy Ratiego, który podwoził nas obie samochodem, zdradzały pewien niepokój z powodu tego strojnego wyglądu, który będzie wystawiony na niezliczone spojrzenia innych mężczyzn.

Na początku ja też starałam się wystroić, przewertowałam babcine katalogi „Burdy” w poszukiwaniu najlepszego kroju sukienki, babuda dwa poszła nawet ze mną do niedawno otwartej kooperatywy, w której można było kupić „artykuły z importu” po horrendalnie wysokich cenach, i tam spędziłyśmy cały dzień. Zabrała mnie do tak zwanych spekulantów w dzielnicy dworcowej, którzy już dawno przestali się tak nazywać i prowadzić nielegalne interesy. Miałyśmy nadzieję, że znajdziemy tam odpowiednią sukienkę, ale nic, co wzięłam do ręki, na mnie nie pasowało albo nie spełniało moich oczekiwań. Niestety, nie miałam, inaczej niż Dina, wystarczająco dużej samoświadomości i pewności siebie, żeby zadowolić się prostą sukienką, a tym bardziej brakowało mi teatralności i zmysłowości, które charakteryzowały Nene, by włożyć na siebie coś przesadnie pompatycznego, z odważnym dekoltem i wyglądać w tym jak Katarzyna Wielka. (Skrętnie korzystała z każdej nieobecności swojego wuja i brata). Ira, która zawsze od razu przewracała oczami, gdy rozmowa schodziła na ciuchy, włoży na pewno coś, czego nikt się nie spodziewa, byłam o tym przekonana, na pewno podkreśli swoją inność.

Na kilka dni przed balem dałam sobie spokój i zrozpaczona w ogóle nie chciałam brać udziału w tej uroczystości. Obie babudy kręciły głowami i próbowały mnie przekonywać, głaskały mnie po włosach, przygotowywały mi

ulubione potrawy, opowiadały na okrągło o moich zaletach, przez co czułam się jeszcze bardziej jak idiotka i było mi smutno. Szlochając, rzucałam się na łóżko i nie miałam ochoty wychodzić ze swojego pokoju. Sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej, gdy babudy przysłały do mnie ojca. Jego próby pocieszenia mnie były wręcz groteskowe, bo mówił rzeczy typu: „O Lise Meitner też raczej nikt nie mówił, że jest piękna, a popatrz, co to za kobieta, jaki genialny umysł, posiada dar boży...”, na co zaczynałam płakać w jeszcze bardziej niepohamowany sposób i głośno krzycząc, wypędzałam go z pokoju.

Pewnego razu późnym wieczorem, gdy w końcu straciłam siły i ze spuchniętymi od łez oczami, wycieńczona uzalaniem się nad sobą zasnęłam w ubraniu, obudziła mnie Oliko, dotykając delikatnie chłodną dłonią mojego czoła.

– Keto, obudź się, chcę ci coś pokazać.

Przetarłam oczy, ociągając się, usiadłam na łóżku i nadąsana burknęłam coś pod nosem.

– Nie zamierzam na siłę poprawiać ci humoru, ale mimo chorych oczu zadałam sobie dużo trudu i chcę, żebyś to koniecznie przymierzyła. Proszę, zrób to dla mnie.

Dopiero teraz zauważyłam, że ma na szyi zawieszony centymetr, a na nosie dwie pary okularów, włożone jedne na drugie, w których wygląda jak smutny klaun. W przeciwieństwie do Eter babuda dwa zawsze podążała za modą, przykładając dużą wagę do swojego wyglądu, przez lata zbierała katalogi „Burdy” i przechowywała je jak święte manuskrypty. Ale od kiedy popsuł jej się wzrok, stara maszyna do szycia Singer stała w kącie sypialnianego salonu przykryta drewnianym futerałem i zbierała kurz.

– Chodź, wstań na chwilę! – ponagliła mnie i podniosła się z łóżka, podpierając się ręką w okolicach krzyża.

Coś w jej wyglądzie mnie poruszyło. Starannie spięte, ufarbowane na brązowo włosy, w których połyskiwały pojedyncze siwe pasemka, jej lekko pochylona sylwetka, wąskie ramiona i szczupłe kostki u nóg, maleńkie haftowane czerwoną

nitką kapcie i czarna, przylegająca do ciała sukienka. W przeciwieństwie do Eter nigdy nie nosiła szlafroka, podomki ani fartucha. Nawet biżuterii nigdy nie zdejmowała, zawsze miała kilka prostych małych pierścionków i którąś parę z nieprzebranej palety kolczyków. Przypomina mi się, jak stoi przede mną, wyczuwam jej delikatność i życzliwość, wykonuję posłusznie polecenie i nie mogę oderwać wzroku od jej obolałego kręgosłupa, który zniósł w życiu tak wiele. Wciąż jest romantyczną matką mojej potwornej matki, wciąż jest tą panią, która kazała mnie, małej dziewczynce, recytować z pamięci wiersze Hugo, ruch niepodległościowy i prezydent nie przemieniły jej jeszcze w agresywną rewolucjonistkę, która wkrótce będzie chodziła na każdą demonstrację.

Oliko poprosiła mnie, żebym zapaliła małą lampkę stojącą w kuchni na stole, i kazała mi się rozebrać. Zniknęła na chwilę i wróciła ze zwiewnym miękkim materiałem, który niosła tak ostrożnie, jakby to było niemowlę. Dopiero gdy przyjrzałam się dokładniej, rozpoznałam piękną jasnoniebieską sukienkę z szyfonu przewiazaną pod biustem białą kokardą.

– Rękawy były zniszczone, więc je usunęłam, a tutaj powyżej talii mole ją trochę przeżarły, ale zdaje się, że udało mi się ją uratować, nic nie straciła ze swojego dawnego blasku. Przymierz!

I wręczyła mi tę cenną rzecz.

– Babuda, a co to za sukienka?

– To była ulubiona sukienka Esmi. Często ją wkładała, na każdą wyjątkową okazję. Zawsze mówiła, że przynosi jej szczęście. Leżała zapakowana u mnie w szafie. Powinna na ciebie pasować.

Gładziłam palcami miękki materiał i w końcu odważyłam się włożyć go na siebie. Drżąc z przejęcia, przygotowywałam się powoli na rozczarowanie – za mała, za duża, nieodpowiedni krój. Ale nawet nie musiałam przeglądać się w lustrze, żeby stwierdzić, że pasuje jak ulał i że czuję się w niej wspaniale. Próbowałam powstrzymać łzy i nie myśleć o tych wszystkich uroczystościach, na które moja matka już nigdy nie włoży tej pięknej sukienki.

– Co ci jest? – spytała Oliko zaniepokojona. – Nie podoba ci się?

– Dziękuję – powiedziałam cicho, wzięłam ją za rękę i przyciągnęłam do siebie.

Wiedziałam, ile wysiłku musiała włożyć, żeby znów tchnąć życie w tę starą sukienkę córki, ile czasu spędzić samotnie ze wspomnieniami, a wszystko po to, by zaspokoić moją próżność.

– Chodź, jesteś już wystarczająco dorosła, napijemy się łyk czerwonego wina, ojciec jednej z moich uczennic przywiózł mi je z Kachetii, ma boski smak. Wzniesiemy toast za nowy etap twojego życia!

Wyjęła dwa kieliszki z dębowej szafy, napełniła je krwistoczerwonym płynem, podała mi jeden z nich i przyjęła ode mnie obietnicę, że następnego dnia pójdę na bal.

Nagle poczułam zapach tych perfum, chyba zwariuję, kto w tej zatłoczonej sali używa tej samej wody po goleniu co mój brat przed... no tak, przed iloma to laty? Czy nagle wspomnienie może tak bardzo wyostrzyć zmysły, a nawet przywołać zapach? Wciągam tę ostrą, drzewną woń i widzę, jak na niego czekamy: Dina i ja, wymalowane jak dwie gotowe do zamążpójścia wiejskie panny. Stałyśmy na podwórku i słuchałyśmy dudnienia własnych serc. Rati miał być o szóstej, żeby przed balem przejechać się jeszcze z nami przez miasto.

Na podwórku pojawił się nasz ormiański szewc Artiom, szedł z blaszanym garnkiem do wiecznie ciekącego kranu po wodę. Od kiedy pamiętam, w jego mieszkaniu ciągle były problemy z dopływem wody. Jego chód miał w sobie coś ciężkiego, ołowianego, można było odnieść wrażenie, że Artiom ma ze sto lat, ale jego oczy płonęły żarem, a kąciki ust zawsze błyskawicznie unosiły się do góry, gdy ktoś wchodził z zepsutym obuwiem do jego małej pakamery przy ulicy Betlejemskiej. Nie było buta, którego nie uratowałyby przed ostatecznym rozpadem. Zwykł mówić, że nie ma złych stóp, są tylko źli szewcy.

– O, czy ktoś się żeni? Czyżbym coś przegapił? – spytał nas swoją śmieszoną mieszanką gruzińskiego i rosyjskiego, gdy zobaczył, jak stoimy wystrojone i na coś czekamy.

– Nie, wujku Artiomie, jedziemy na bal z okazji zakończenia roku! – odpowiedziałyśmy obie równocześnie, jak z jednych ust.

– Uważajcie, żeby was po drodze ktoś nie ukradł, tak ładnie wyglądacie! – krzyknął do nas, puszczając oko, i powędrował dalej do kranu.

Ponieważ mój brat się spóźnił, poszliśmy do ogrodu, w którym przed niespełna dziesięcioma laty rozpoczęła się nasza przyjaźń. Dina usiadła na zardzewiałej huśtawce, a ja zaczęłam ją bujać. Nagle usłyszałyśmy szelest, a potem zauważyłyśmy Tarika pod drzewem morwy. Klęczał tam z niezwykle skoncentrowanym wyrazem twarzy i wydawał śmieszny, świszczący odgłos. Nigdy nie dowiedziałyśmy się, dlaczego po dziewiątej klasie odszedł ze swojej rosyjskiej szkoły. Od tamtej pory zajmował się jeszcze intensywniej bezpiecznymi psami i kotami i zdawał się spędzać całe dni na podwórku albo na ulicy. Tylko czasami można było zobaczyć, jak pędzi gdzieś ze swoją ciężką skrzynką z narzędziami. Babudy mówiły, że Tarik to złota rączka i podejmuje się raz tu, raz tam jakichś robót naprawczych, żeby zarobić trochę pieniędzy, które zresztą wydawał na karmę dla psów i kotów.

Grzebał w ziemi i był tak pochłonięty swoją pracą, że nawet nas nie zauważył.

– Hej, Tarik! – krzyknęła do niego Dina.

Poderwał się ze strachu i zaskoczony zaczął się rozglądać. Sprawiał wrażenie, jakby ktoś nagle wyrwał go ze snu, zmrużył oczy tak, że zamieniły się w małe punkciki, a potem uśmiechnął się od ucha do ucha, jak zwykle, gdy nie wiedział, co ma ze sobą począć.

– Tu, tu, patrzcie tu, tutaj! – szepnął.

Podeszłyśmy bliżej, a on wskazał na małą szarą plamę tuż przy korzeniu. Dopiero gdy przyjrzałyśmy się bliżej, zauważyłyśmy świeżo wyklute ptasie pisklę z żółtym dziobem i szarobrązowym upierzeniem.

– Wypadł z gniazda – dodał z żalem.

– O nie, musimy ratować malucha! – To było typowe dla Diny, w ułamku sekundy zapalała się do czegoś kompletnie nowego i nieznanego. Musimy go

nakarmić i położyć w dobrze widocznym miejscu, żeby matka mogła go znaleźć – postanowiła natychmiast.

– Tak, tak, musimy go uratować! – Tarik zdawał się przeszczeniwy, że znalazł pokrewne dusze. – Bo jak nie, to zjedzą go kociaki.

Chciałam zaprotestować, ale było już za późno. Dina udzielała nam dokładnych instrukcji. Ja miałam przynieść watę i suchy chleb, Tarik jakiś stary ręcznik, a ona zajmie się gniazdem. Zorganizowaliśmy wszystko w okamgnieniu. Przyniosła pleciony koszyk, który przymocowaliśmy do najniższej gałęzi, włożyliśmy do niego watę, położyliśmy na niej pisklę i zaczęliśmy podstawiać mu pod dziób drobne kruszyny chleba. Nagle ratowanie ptaka stało się dla nas o wiele ważniejsze niż bal.

– A teraz weźmy się wszyscy za ręce i pomódlmy się za niego! – zaproponowała Dina jak pobożny apostoł i chwyciła nas za ręce.

I staliśmy tam wokół tego drobnego pisklęcia jak w jakimś małym okultystycznym kręgu: Dina tryskająca energią, z promienną twarzą jak gwiazda filmowa, ja w błękitnej sukience swojej zmarłej matki oraz Tarik w znoszonej koszuli w kratkę i nieco przykrótkich spodniach. Gdy zakończyła się minuta ciszy, Dina odwróciła się, rzuciła się Tarikowi na szyję i zapytała, czy chciałby pójść z nami na bal. Nadepnęłam jej lekko na stopę w nadziei, że uda mi się odwieść ją od tego absurdalnego pomysłu, ale na próżno.

– Przecież ja nie chodziłem do waszej szkoły! – odparł Tarik zupełnie logicznie, gdy już dotarło do niego, na co go zaproszono.

– To nie ma żadnego znaczenia! Jesteś bohaterem!

Dina znajdowała się właśnie w tym swoim dziwnym stanie, który nazywałam „skokiem wysokiego napięcia”, i była nie do powstrzymania. W takich chwilach zdawała się nie poznawać samej siebie, wypowiadała zupełnie sprzeczne opinie, można było odnieść wrażenie, że miota się między wszechogarniającą, bliżej nieokreśloną tęsknotą a jakimś przenikliwym strachem. Chciała wtedy zazwyczaj wszystkich obejmować i dodawać im otuchy, i w ogóle cały świat zmieniać na

lepszy. Ja z kolei zaczęłam się martwić, jak inni zareagują na Tarika, gdy zjawi się nagle w naszej eskorcie na balu. Poza tym nie miałam ochoty niańczyć go przez cały wieczór. Niewykluczone, że Dina bardzo szybko przejdzie ten nastrój i z takim samym oddaniem poświęci się czemuś lub komuś zupełnie innemu. Jednak Dina dopięła swego. Tarik pożyczył od ojca brązową marynarkę, koszula w kratkę została wymieniona na białą, tylko przykrótkie beżowe spodnie zostały bez zmian. Zaczesawszy przy użyciu ogromnych ilości żelu włosy do tyłu i skropiwszy się tanimi perfumami o gryzącym zapachu wsiadł z nami do lśniącego jodłowozielonego samochodu, w którym za kierownicą siedział mój brat. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu na tylnej kanapie dostrzegłam eleganckiego Lewana w czarnym garniturze, z czerwoną muchą pod szyją, w której wyglądał trochę jakby za strojnie. Obaj patrzyli na nas z niedowierzaniem, gdy wsadzałyśmy Tarika do samochodu, ale Dina, usadowiwszy się na fotelu obok kierowcy, szepnęła coś Ratiemu do ucha i tym samym temat został zakończony. Rati uruchomił samochód.

– Pierwszy raz siedzę w zachodnim samochodzie! – wykrzyknęła podekscytowana Dina i zaczęła oglądać auto.

– Skąd go wytrzasnęliście? – chciałam się dowiedzieć.

– Sztuka nówka. Mercedes, import prosto z Niemiec, drogie panie, idealnie pasuje do waszej urody! – obwieścił z dumą Rati.

– To twój? – Zatkąło mnie.

– Należy do nas wszystkich. Możesz nam pogratulować.

– Skąd wzięliście na to pieniądze? – spytałam z oburzeniem, lecz surowe spojrzenie Diny w lusterku wstecznym uświadomiło mi, że to nie jest odpowiedni moment.

Rati wyciągnął z kieszeni niebieską paczkę pall malli i poczęstował nimi swoją dziewczynę. Najwyraźniej chciał u niej zapunktować swoimi zachodnimi zdobyczami i zdaje się, że mu się to nawet udało. Obserwowałam tych dwoje, jak cieszą się sobą. Ciepły wiatr wpadał przez opuszczone szyby i owiewał nasze

twarze, więc zaczęliśmy je wystawiać jeszcze bardziej. Byłam zadowolona, że Tarik siedzi obok mnie i dzięki temu nie jestem tak beznadziejnie narażona na bliskość Lewana. Od jego urodzin widywaliśmy się dosyć często, ale wymienialiśmy tylko jakieś zdawkowe uwagi, zdarzało się to albo na naszych zawilgoconych szkolnych korytarzach, albo na ulicy czy na podwórku, a czasem też u nas w mieszkaniu, gdy odwiedzał Ratiego i w kłębach dymu papierosowego omawiali w konspiracji jakieś „interesy”. Przez cały czas szukałam jakiegoś potwierdzenia, że nasz pocałunek coś znaczył, że musi być jakaś kontynuacja, ale nie miałam odwagi poruszyć tego tematu i wydawałam się sobie przez to żałosna. Unikał spotkań w cztery oczy i nie wiedziałam, jak mam rozumieć tę strategię unikania. Dręczyło mnie dojmujące pragnienie, ta bliżej nieokreślona tęsknota. Wmawiałam sobie, że tajemnice, które mi powierzył, były przeznaczone wyłącznie dla mnie. Patrzyłam przez okno, Tarik bez przerwy coś paplał, a Lewan milczał i najwyraźniej bał się spojrzeć w moją stronę.

To był zapewne ostatni dzień, kiedy wszystko toczyło się jeszcze swoim starym, znajomym rytmem, ostatni dzień, zanim wszystko wokół mnie zaczęło się sypać, jak w jakiejś wyjątkowo przerażającej, przebiegającej w zwolnionym tempie apokaliptycznej choreografii. Ale był to także jeden z ostatnich dni, gdy moje miasto przypominało jeszcze siebie, zanim przywdziało zupełnie inną szatę, szatę splamioną krwią.

Podczas jazdy myślałam sobie, że kocham to miasto, pamiętam tęskne, sentymentalne uczucie, które ścisnęło mnie za serce, gdy przejeżdżaliśmy przez pagórkowate, wyłożone brukiem ulice i wysadzone platanami aleje. Dina i ja machaliśmy raz po raz do przechodniów i wygłupialiśmy się, wciągając ich niejako do zabawy i dzieląc się z nimi radością i ekscytacją. Nie wiedziałam, że wzięła ze sobą aparat fotograficzny, więc byłam niezłe zaskoczona, gdy nagle skierowała obiektyw na migające za oknem krajobrazy, budynki i porozdzierane plakaty wyborcze. Widziałam już kiedyś te zdjęcia na jej wystawie, na jednej z pierwszych, które odwiedziłam. Ich urok i melancholijny charakter już wtedy

napełniły mnie smutkiem, bo były tak naładowane sentymentalizmem, że aż trudno było wytrzymać.

W udekorowanej z przepychem sali z uroczyście nakrytymi i uginającymi się pod ciężarem potraw stołami udawaliśmy dorosłych. Jakie to było wzruszające patrzeć, jak ci wszyscy chłopcy wznoszą toasty, a dziewczęta powstrzymują chichot, jak kiwają znacząco głowami i sączą wino z kieliszków, jak grzebią w torebkach i wyciągają z nich szminki oraz małe lusterka, próbują rozmawiać z nauczycielami jak równy z równym, jakby zniknęła nagle między nimi niewidzialna bariera. Czuliśmy się doroślejsi od prawdziwych dorosłych, nauczyciele przymykali oko na wszelkie wygłupy, patrzyli ze spokojem, jak pod wpływem alkoholu wszyscy zaczynają zachowywać się coraz weselej i swobodniej, jak muzyka robi się coraz głośniejsza, jak dziewczyny zaczynają jedna po drugiej zdejmować buty na wysokich obcasach i z uniesionymi sukienkami podskakiwać na parkiecie.

Siedziałam między Irawą i Tarikiem, nieco dalej po lewej stronie usadowił się Lewan, a za nim Dina i Saba, którego Nene przemyciła w którymś momencie do sali. Oficjalnie nie wolno było zapraszać gości spoza klasy, ale wszyscy podchodzili do tego z przymrużeniem oka, a w szczególności do par zakochanych, więc to zrozumiałe, że Rati także znalazł się na balu. Saba zdawał się na początku czuć nieswojo, ale wraz z rosnącą konsumpcją alkoholu humor zaczął mu się poprawiać i nienadzorowany przez nikogo korzystał z możliwości spędzania czasu z wybranką. Przy całej swojej zmysłowości i serdeczności emanowali tego wieczoru również jakąś nerwowością i nienaturalnością. Nene, znajdująca się zazwyczaj pod stałą obserwacją, zachowywała się tak, jakby stała na scenie operowej, każdy gest, każde zwrócenie się do kogoś lub zapewnienie o czymś było nadmiarowe, przesadzone, posiadało ogromną wagę i było pełne melodramatyzmu. Dotykała lekko Saby, a zaraz potem rzucała mu się na szyję, zapominając o ciężko wytrenowanej przyzwoitości dziewczyny z dobrego domu. Natomiast Saba znosił jej eksplozje uczuć z takim samym stoickim spokojem, z jakim w ogóle szedł przez życie. Ona kochała go z impulsywnością pierwszej miłości, a on zamykał oczy

podczas każdego objęcia, jakby poddawał się jej woli. Natomiast Dina była tego wieczoru jak motyl. Nie usiedziała długo w miejscu, nie doprowadzała do końca rozpoczętych rozmów, nie tknęła prawie niczego z suto zastawionych stołów, fruwała po sali, przysiadła to tu, to tam na poręczy krzesła i głaskała kogoś po ramieniu, przez cały czas chichocząc, śmiejąc się i obdarowując wszystkich swoją serdecznością i urokiem osobistym.

Tymczasem Lewan usiadł obok mnie, więc nie ruszałam się z miejsca chyba całą wieczność w obawie, że najmniejszym gestem mogłabym coś nieodwołalnie zburzyć. Czasami czułam na sobie jego spojrzenie, spuszczałam wtedy wzrok albo udawałam, że tego nie widzę. Przy byle sposobności zwracałam się do Tarika i z zapalem gospodyni otaczałam go opieką. Nie byłam w stanie przełknąć niczego z tych wspaniałych dań, żołądek skurczył mi się z emocji, a odrobina wypitego wina natychmiast uderzyła do głowy.

W końcu, gdy Dina wyciągnęła Tarika na parkiet, odmawiając wcześniej tańca wielu chłopakom z naszej klasy, którzy mieli wielką ochotę skorzystać z okazji i z nią zatańczyć, bo uchodziła przecież w szkole za najlepszą tancerkę, wykorzystałam moment, wyszłam na zewnątrz i zaszyłam się wśród roślinności gęsto porastającej dziedziniec przed salą bankietową. Smukłe cyprysy sięgały ciemnego nieba, szum rzeki Mtkwari podziałał na mnie uspokajająco, prawie usypiająco. Zauważyłam ławkę z metalowym stołem, nad którym zwisały gałęzie obwieszane przejrzalymi już owocami morwy, zsunęłam z blatu kilka zgniłych owoców i usiadłam. Niestety nie lubiłam papierosów, ale byłby to odpowiedni moment, żeby zapalić. Głośna muzyka w tle zlała się z czasem w jakąś odległą mozaikę dźwięków. Skupiłam uwagę na rzece, na jadących wzdłuż brzegu samochodach, których reflektory raz po raz rzucały na powierzchnię stołu ostre światło. Czułam na barkach jakiś dziwny ciężar i byłam na siebie zła, że nie potrafię w pełni cieszyć się i korzystać z zabawy. Byłam niespokojna i jakby zablokowana. Nagle usłyszałam z tyłu kroki i obejrzałam się przestraszona.

– To ja, nic się nie bój!

Poznałam jego pogodny głos, staccato jego słów, szybkie tempo, jakby najzwyczajniej połykał niektóre niewygodne głoski.

– Co ty tutaj robisz? – spytał i usiadł obok mnie na ławce.

– Rozmyślam.

– O czym?

– O wszystkim, o czym się da. W końcu to trochę smutne, że szkoła się kończy.

– Ciesz się, że nie będziesz już musiała patrzeć codziennie na te gęby.

Ciągle zgrywał żartownisia, wesołego i niewzruszonego faceta.

– Idę na studia – powiedziałam nagle i sama byłam zdziwiona tym wyznaniem.

– Chcę się zapisać na konserwację zabytków – dodałam zaskakująco zdecydowanym tonem. Po raz pierwszy ogłosiłam to tak otwarcie.

– Serio? To ciekawe.

Milczał przez chwilę, potem wyjął papierosa zza ucha i zapalił zapalką. Miał w sobie coś dziecinnego, a jednocześnie emanował imponującą siłą woli, która nie pasowała do jego wieku.

– Na pewno będziesz w tym dobra.

Znów wymówił te słowa razem: napewnobędieszwtymdobra. Spojrzał na mnie z powagą. Odpowiedziałam takim samym spojrzeniem. Pochylił głowę i mnie pocałował.

– A ty? – Odwróciłam głowę. Żeby tylko nie zauważył, jak bardzo brakuje mi tchu.

– Co ja? – Przełknął ślinę i chrząknął.

– Wybierasz się na studia?

– Nie, na razie nie.

– Dlaczego? Pamiętasz, jak w piątej klasie napisałeś wiersz i nauczycielka nie mogła wyjść z zachwyty?

Zaśmiał się głośno i rubasznie. Jego reakcja zdradzała jakąś gorycz, a jednocześnie już dawno powzięte postanowienie, co mi się nie za bardzo podobało.

– Czemu się śmiejesz? Chcesz na poważnie całe życie spędzić z tymi osiłkami i zachowywać się jak jakiś gangster z Nowego Jorku?

Spojrzał na mnie poirytowany, takiego zdania wolałby z moich ust nie usłyszeć, w ogóle nie przyszedł tu za mną, żeby rozmawiać o swojej przyszłości. Czyżbym zburzyła właśnie naszą intymność?

– Keto, musisz spojrzeć na to w następujący sposób, cały czas powtarzam to swojemu bratu: jeśli naprawdę chcemy coś zmienić, nie możemy bać się pobrudzić sobie rąk.

– Co to dokładnie znaczy? Co wy właściwie robicie? I skąd wytrzasnęliście ten głupi samochód?

Nagle uzmysłowiłam sobie, że wszystko było już w toku, że te rzeczy działały się już od dawna, że to już dawno przestało być młodzieńczą paplaniną, że Rati i jego kumple już od dawna prowadzą takie życie.

– Już jedenaście spółdzielni jest pod naszą ochroną. A to oznacza, że Tapora i jego ludzie mają jedenaście źródeł dochodu mniej. Skorumpowane bydlaki straciły jedenaście biznesów.

– Ale wy przecież nie robicie niczego innego niż te skorumpowane bydlaki. Zdaje się, że wy też pobieracie prowizję za tę ochronę.

– Współpracujemy z tymi ludźmi, jesteśmy partnerami biznesowymi, a nie jakimiś wyzyskiwaczami, bierzemy od nich mniej, jesteśmy ich przyjaciółmi, a nie wrogami.

Nie miałam ochoty kontynuować tej rozmowy. To było przygnębiające, zapragnęłam uciec stamtąd, pójść do domu albo najlepiej do piwnicy Liki, zająć się czymś sensownym, dzięki czemu czułabym się pożyteczna.

– Pięknie dziś wyglądasz! – powiedział cicho, a ja nie miałam pojęcia, jak przyjąć ten komplement.

– Keto, czego ty się boisz?

Nie zrozumiałam, co znaczy to pytanie.

– Co masz na myśli? Jak to: czego się boję?

– To ja cię o to pytam.

– Nie boję się, jestem tylko zdezorientowana, bo nie wiem, czego ty ode mnie oczekujesz...

Udało mi się wyzwolić z jego objęć i zrobiłam kilka kroków do tyłu.

– Czego od ciebie oczekuję? – Wyglądał na zdziwionego.

– Tak, właśnie, czego ode mnie oczekujesz...

– Ja... Podobasz mi się. Lubię, kiedy jesteś przy mnie.

Jąkał się, szukał odpowiednich słów. W pewnym sensie mnie rozczarował, ale właściwie czego się spodziewałam, większego zdecydowania czy może jednoznacznego wyznania miłości? A może chciałam od niego usłyszeć, kiedy zamierza obwieścić mojemu bratu, że darzy mnie sympatią?

– Wracam do środka, okej?

– Ale o co chodzi? Powiedziałem coś nie tak? Keto...?!

Nie odwróciłam się, ruszyłam zdecydowanym krokiem przed siebie, wkroczyłam z impetem do sali i zatopiłam się w tańczącym tłumie. Rati tańczył mocno przytulony do Diny, Tarik zataczał się szczęśliwy po parkiecie, bełkocąc coś pod nosem, nauczyciele tańczyli z uczennicami, nawet Guga tu był, siedział w kącie ze świtą Anny Tatiszwili i spoglądał kątem oka na tańczącą Annę. Po Nene i Sabie słuch wszelki zaginął. Początkowo ich nieobecność zdawała się nikogo nie dziwić, ale impreza powoli dobiegała końca, kilka osób znajdowało się jeszcze na dziedzińcu, inni stali na tarasie, więc Guga zaczął coraz bardziej nerwowo rozglądać się za swoją siostrą. Cotne wyznaczył go na strażnika i mimo iż każdy wiedział, że się do tego nie nadaje, czuł się w obowiązku sprostać temu zadaniu. Zaniepokojony zaczął rozpytywać o siostrę.

– Człowieku, zostaw gołąbeczki w spokoju! – protestował jeden czy drugi.

W którymś momencie stanął przede mną i Iry, a jego głos brzmiał tak rozpaczliwie, że aż nam udzielił się jego niepokój.

– Nadal jej nie ma?

Napięcie Iry wzbudziło moją czujność.

– Co to znaczy: nadal? – spytałam, patrząc w bezradne oczy Gugi.

– Nie ma ich już prawie od dwóch godzin – powiedziała Ira surowym tonem, a ja wiedziałam, że skoro Ira się martwi, to sprawa jest poważna.

– Gdzie oni są? – dopytywał Guga i zdawał się błagać mnie wzrokiem o pomoc. Zwracał się do mnie, a nie do Iry, bo wydawała mu się dziwna, zresztą większość chłopaków w naszym wieku nie bardzo wiedziało, jak się wobec niej zachowywać.

– Nie mam pojęcia. – Ira wzruszyła ramionami.

– Pewnie chcieli skorzystać z okazji i pobyć trochę sami, na pewno wróci na czas, nic się nie martw. – Staralam się, by mój głos brzmiał pogodnie i optymistycznie. – Poczekamy jeszcze trochę, a ty przynieś sobie tymczasem kieliszek wina – dodałam trochę nieporadnie.

– A jeśli zwiali?

– O nie, proszę...

Ira wzdrygnęła się, najwyraźniej nie brała do tej pory tej opcji pod uwagę.

– To by była katastrofa, nie, na pewno tego nie zrobiła...

I podczas gdy Ira mamrotała w kółko te same zdania, ogarnęło mnie niejasne przeczucie, byłam wręcz pewna, że nieobecność wuja i brata Nene oraz jej bezgraniczna miłość do Saby sprawiły, że zrobiła coś nieprzemyślanego i spontanicznego. Wyobrażając sobie konsekwencje tej ucieczki, spostrzegłam, jak łzy napływają Irze do oczu. Po raz pierwszy widziałam, jak płacze, jednak co innego wprowadziło mnie w konsternację: stałam się świadkiem czegoś, co podejrzewałam już od dawna, nie, właściwie wiedziałam to, ale żadna z nas nie miała odwagi powiedzieć o tym otwarcie. Tak, to jasne, Ira kochała Nene, kochała ją inaczej, niż jest to dopuszczalne w przyjaźni. Przypomniał mi się jej pocałunek wtedy, w ciemnym ogrodzie pod drzewem granatu, wszystko nagle ułożyło się w jasny, czytelny obraz. Trochę mnie to przerastało, ale nie wiem, co było w tamtym momencie ważniejsze: ta nowa świadomość czy fakt, że Nene najprawdopodobniej uciekła z Sabą. Zaczęłam się zastanawiać, jak to możliwe, że

Ira skierowała wszystkie swoje nadzieje właśnie na Nene. Dlaczego zakochała się akurat w dziewczynie, która tak bardzo oceniała swoją wartość przez pryzmat mężczyzn? A jak to było z Nene? Czy w ogóle to zauważyła, czy kiedykolwiek dopuściłaby do siebie taką myśl? A co z Diną? Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, nigdy nie doprowadziłyśmy tej myśli do końca. Nie znałam odpowiednich słów, dorastałam w świecie, w którym kobiety i mężczyźni mieli jasno określone role, wszystko inne było nie do pomyślenia.

– Ira, tak mi przykro... – to było najlepsze, co w tamtym momencie przyszło mi do głowy. Spojrzałam jej prosto w oczy. Zdjęła okulary i opuściła głowę. – Jestem z tobą. To znaczy, jeśli chcesz porozmawiać.

Wstydziałam się swojej nieporadności, ale jednocześnie starałam się cały czas myśleć o Nene, rozważałam w głowie wszelkie możliwości, miejsca, w których mogli się zatrzymać. Zastanawiałam się, czy powinniśmy ruszyć na poszukiwania, czy też zostawić ich w spokoju? W końcu kim my byliśmy, żeby decydować o ich przyszłości? Było pewne, że wuj nigdy nie zaakceptuje tej decyzji, nigdy nie odda jej w ręce Saby Jaszwiłego, konsekwencje będą fatalne.

– Musiało się tak stać. To znaczy, niekoniecznie dzisiaj, ale kiedyś – powiedziała Ira i zaczęła czyścić okulary rąbkiem koszuli. Potem znów je włożyła, starała się zachować stosowny spokój. Ale tajemnica przestała być tajemnicą.

– Poszukam Diny, a potem spróbujemy coś wymyślić.

Wróciłam na salę i wyrwałam Dinę z ramion Ratiego. Wściekła wyszła ze mną na taras.

– Co w ciebie wstąpiło?

Czuć było od niej alkohol i papierosy.

– Wydaje nam się, że Nene i Saba zwiali.

Na szczęście oprócz naszej trójki nie było nikogo więcej na tarasie.

– Jak to: zwiali? – Dina spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– No wiesz...

Ira próbowała znaleźć odpowiednie słowa, a oczy Diny robiły się coraz większe. Kręciła głową i poprosiła kogoś, kto akurat przechodził obok, o papierosa.

– Musimy ich znaleźć, zanim Tapora i Cotne coś wywęszą.

– Przecież wyjechali.

– Jak sądzisz, ile czasu potrzebują, żeby wrócić, gdy dotrze do nich ta wiadomość? I to akurat z Sabą Jaszwilim, Tapora dostanie szau...

Dina zaczęła się zastanawiać. Chodziła tam i z powrotem, zaciągając się papierosem, a jej policzki rozpały się do czerwoności. Była tak piękna, przepelniało ją rozkwitające właśnie szczęście, wyglądała niczym tajemniczy ogród pełen niezliczonych roślin obsypanych kwieciem.

– Pójdę po Ratiego, weźmiemy samochód i objedziemy wszystkich kumpli, u których Saba mógł się zatrzymać. Zastanówcie się, kogo mogą znać, kto ma jakąś działkę albo daczę. W takiej sytuacji wszyscy raczej uciekają na wieś, prawda? – zastanawiała się głośno. – Może Lewan mógłby nam coś podpowiedzieć.

I nie czekając na moją odpowiedź, pomaszerowała z powrotem do sali.

Guga był zupełnie blady, a na czoło wystąpiły mu krople potu. Za którymś podejściem udało mi się wreszcie mu wytłumaczyć, jakie mamy podejrzenia. Powtarzał jak mantrę, że Cotne go zabije. W końcu Ira złapała go za rękaw i pociągnęła za sobą. Nie pożegnawszy się z resztą, zbiegliśmy po szerokich kamiennych schodkach do wyjścia.

Rozglądam się po sali w poszukiwaniu Nene i Iry, są tutaj moim oparciem i liczę na to, że pomogą mi przetrwać ten wieczór. Iry nigdzie nie widać, natomiast Nene prowadzi niedaleko mnie ożywioną dyskusję z dwoma dziewczynami z Gruzji, które najwyraźniej postanowiły zwrócić na siebie uwagę ubiorem i doskonale im się to udało. Nene też lubi wzbudzać zainteresowanie. Przyniesiony specjalnie dla niej kieliszek wódki podkreśla jej ekskluzywność. Jej drobna sylwetka emanuje niesamowitą siłą, wyczuwam ją niemal fizycznie. Zastanawiam się, która z nas trzech zmieniła się najbardziej. Może to wcale nie Ira, jak mi się wydawało, być może to ja straciłam najwięcej z tego, co mnie kiedyś wyróżniało.

Teraz Nene się śmieje, jej śmiech jest wciąż taki sam, tak samo dźwięczny, niekontrolowany, kokieterijny jak dawniej. Ciekawe, czy tamtego wieczoru, u boku Saby, w drodze ku rzekomej wolności, śmiała się w taki sam sposób, czy miała z nas wtedy niezły ubaw, że wywinęła nam taki numer? A może, pijana ze szczęścia i w poczuciu triumfu, zupełnie o nas zapomniała, w ogóle nie zaprzętała sobie nami głowy? Wtulona w swego kochanka marzyła o świetlanej przyszłości. Gdy teraz na nią patrzę, mam przed oczyma dziewczynę, która robi wokół siebie dużo szumu i wręcz wulgarnie cieszy się na balu swoją pierwszą miłością, na tym balu, który miał być bramą do nowego życia, a przyniósł jej tylko jeszcze większą niewolę.

Szukaliśmy ich przez całą noc i cały następny dzień, bez skutku. Udało nam się aż do południa zwodzić mamę Nene, serwowaliśmy jej różne wymówki, żeby tylko zyskać na czasie. Rati i Lewan obdzwaniali znajomych, których rodzice posiadali jakiś domek letniskowy, ale żaden z nich nie dawał Sabie klucza. Nene nie miała oprócz nas żadnych koleżanek, dlatego nie było sensu wypytywać naszych pijanych kolegów z klasy. Wszelki ślad po Sabie i Nene zagań, więc trzeba było powiadomić państwa Jaszwilich. Guga tak panikował, że z minuty na minutę zaczęło się nam to coraz bardziej udzielać.

– Musimy ich koniecznie znaleźć. Koniecznie! – powiedział drżącym głosem Rostom, ojciec Lewana i Saby, trzymając w suchych ustach papierosa bez filtra.

Zebrał nas wszystkich w pokoju dziennym Jaszwilich i przeprowadził swego rodzaju naradę kryzysową. W konspiracyjnej atmosferze wymieniliśmy wszelkie posiadane informacje i na zmianę pocieszaliśmy całkowicie załamane Guge, który siedział na sofie w kwiatki w czułych objęciach łagodnej Niny o rękach białych jak puder.

– Szukaliśmy wszędzie i dzwoniliśmy do każdego, nigdzie ani śladu – przyznał speszone Rati.

Lewan siedział do mnie bokiem i obgryzał paznokcie. Wszyscy byliśmy niewyspani i wyglądaliśmy jak karykatura brygady kryzysowej.

– Jeśli okaże się, że go kryjesz, to zabiję cię własnymi rękami! – krzyknął w którymś momencie Rostom w stronę Lewana.

Pierwszy raz w życiu słyszałam tego człowieka, jak podnosi głos. Ale cóż Lewan mógł o tym wiedzieć? Tych dwoje najprawdopodobniej w ogóle nie planowało ucieczki. Nene nie byłaby w stanie utrzymać tego w tajemnicy. A do podjęcia racjonalnej, trzeźwej decyzji zabrakłoby jej odwagi, za bardzo bałaby się konsekwencji. To z pewnością uroczysty nastrój, alkohol i rozbuchane gorące uczucie do ukochanego dodały jej odwagi i skłoniły do tak nieprzemyślanego działania.

– O rany, no i co z tego, pobiorą się, założą rodzinę, i już.

– Nie zapominaj, czyją ona jest siostrzenicą! – odparł oschle ojciec Saby.

– Nie jest bogiem, wyluzuj! – Lewan nie dawał za wygraną, choć nie przekonywała mnie jego udawana beztroska.

– Są jeszcze na to za młodzi! Najpierw muszą wydorosnąć, czegoś się nauczyć, a potem mogą się zastanawiać, czy chcą zakładać rodzinę! Twój brat nawet nie potrafi zrobić sobie jajeczniczy! – oburzała się Nina.

– Tapura ma dla Nene na pewno innego kandydata, o ile go znam – powiedział Rati spokojnym głosem, jakby sam do siebie. – Będzie chciał na Nene ubić jakiś interes, jak zresztą na wszystkim i na wszystkich.

Spojrzeliliśmy poirytowani w jego stronę. Zaległa przerażająca cisza, słychać było tylko tykanie ściennego zegara.

– Co masz na myśli? – dopytywała Ira. Prawie zapomniałam, że znajdowała się z nami w pokoju, nie odzywała się już całą wieczność, nieprzerwanie stała przy otwartym oknie i wpatrywała się w podwórze.

– No, to co się ogólnie mówi... – Rati poczuł się nieswojo, gdy wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę, spuścił wzrok i zaczął przyglądać się swoim butom.

– A co się ogólnie mówi? – Tym razem to Dina z malującym się na twarzy niejasnym przecuciem świdrowała mego brata wzrokiem.

– Nie no, nie chcę tutaj roznosić plotek...

Rati pożałował, że nie udało mu się utrzymać języka za zębami, więc gdy zadzwonił dzwonek do drzwi, było mu to bardzo na rękę i natychmiast pobiegł otworzyć.

Było południe, słońce stało w zenicie, gdy do pokoju wpadła ubrana jak zwykle na czarno Manana i wachlując się kolorowym wachlarzem, którym próbowała dostarczyć sobie więcej powietrza, rzuciła się z głośnym jękiem na Gugę i zaczęła wydzierać się na niego na całe gardło. Przesadnie uprzejma Nina była tak skonsternowana, że usunęła się na bok i stanęła jak słup soli. Guga zaczął szlochać jak małe dziecko.

– Ty cholerny idioto! Ty przeklęty debilu! – krzyczała wzburzona Manana, okładając go pięściami.

Guga zasłonił tylko twarz rękoma i dawał się bić matce gdzie popadnie.

– Jak mogłeś do tego dopuścić, po co cię tam posłałam?

Rostom usiłował ich rozdzielić i stanąć w obronie Gugi.

– Widzi pani, nikt się tego nie spodziewał, przecież Guga nic o tym nie wiedział, tak samo jak my wszyscy tutaj...

Głos Rostoma wyrwał ją z transu, z wściekłością w oczach zwróciła się teraz do niego:

– Mógłby pan lepiej wychować syna, na przyzwoitego człowieka, a nie na porywacza dziewcząt! Nene nigdy by tego nie zrobiła, znam swoją córkę, z szacunku dla swego zmarłego ojca i swego wuja nigdy by tak nie postąpiła. On ją uprowadził!

Teraz obudziła się także i Nina:

– Uprowadził? Mój Saba? Jak pani może mówić takie rzeczy? Jak miał ją uprowadzić? Nie żyjemy w średniowieczu, mój syn i pani córka po prostu się kochają i chcą być razem.

– Być razem?! Chyba pękne ze śmiechu! Kochają się! Przecież ona nie ma pojęcia, co to miłość!

– Proszę wybaczyć, ale mój brat to przyzwoity chłopak, po co miałby uprowadzać dziewczynę, którą kocha? – W głosie Lewana słyhać było oburzenie.

Byłam zdziwiona, że Rati jest taki spokojny, siedział nieruchomo przy stole i patrzył przed siebie, traktując nas jak powietrze. Zastanawiałam się, czy wiedział coś, czego my nie wiedzieliśmy? Co sprawiało, że był tak zobojętniały i przybity?

– Proszę mi ich odnaleźć! Nene musi jak najszybciej wrócić do domu, zanim wrócą mój szwagier i syn. I będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli o niczym się nie dowiedzą, bo inaczej... Nie, nawet nie chcę o tym myśleć. A wy, głupie gęsi? Pewnie jeszcze ją do tego namawialiście, tak?

Jej złość dosięgła także i nas, jej koleżanki. Patrzyłam, jak Dina przyjmuje postawę bojową, staje na szeroko rozstawionych nogach i szykuje się do ataku, pewnie zaraz eksploduje i dosłownie napluje zniewolonej kobiecie prosto w twarz. Położyłam jej rękę na ramieniu, mocno ją dociskając – to zdecydowanie nie był właściwy moment, nie powinnyśmy były dolewać oliwy do ognia.

– Ona nie jest towarem! – odezwała się zapomniana przez nas wszystkich Ira, przez cały czas stojąca przy oknie.

Wszyscy odwrócili głowy w jej stronę.

– Nie jest zabawką, z którą można robić, co się chce. Ma swoją własną wolę i powinna robić to, co uważa za słuszne! – Ira zaczęła odwracać się do nas jak w zwolnionym tempie. Miała napuchnięte oczy, zaczerwienioną twarz, zaplamione okulary i wyschnięte usta. Mimo to stała z godnością i ciskała nam w twarz prawdy, których do tej pory nikt nie miał odwagi wypowiedzieć. – Jest wolnym człowiekiem, czy wam się to podoba, czy nie, i skoro kocha Sabę i chce z nim być, ma do tego prawo – kontynuowała pewnym tonem. Można było odnieść wrażenie, że jest przezroczysta, jak gdyby prześwitywało przez nią jaskrawe słońce.

– Za takie słowa powinni ci wyrwać język! – krzyknęła Manana przeraźliwym głosem. – Za coś takiego dawniej dostałabyś lanie skórzanym pasem, Irine, i to słusznie, całkowicie słusznie, wtedy odechciałoby ci się wygadywać takie rzeczy. Ale ja powiem tylko jedno: znajdźcie ją, zanim mój szwagier i Cotne się o tym

dowiedzą. Bo jeśli Dito będzie zmuszony włączyć w to swoich ludzi – zawsze nazywała Taporę po imieniu – nie wyniknie z tego dla nas wszystkich nic dobrego, wierzcie mi.

Gdy Ira przemaszerowała obok Manany z podniesioną głową i wyszła z mieszkania, wykorzystałam okazję i poszłam za nią. Dina dołączyła do nas. Ostre słońce zmusiło nas do przymknięcia oczu. Stanęliśmy pod oknami wujka Giwiego. Dina dochodziła do siebie. Ira była wykończona, ale jej głos brzmiał spokojnie, chłodno i rzeczowo:

– Muszę się wyspać. Jestem tak strasznie zmęczona. Trudno, podjęła taką decyzję i miejmy nadzieję, że będzie szczęśliwa.

– Widziałas jej matkę, z tej strony na pewno nie dostanie wsparcia – wtrąciła Dina, wygładzając pomietą sukienkę.

– Musimy jej pomóc. Jeśli taka jest jej wola, to musimy jej pomóc – powiedziała Ira i ruszyła do domu.

Zaskoczyła mnie tym zdaniem.

– Dobrze to ujęłaś, jestem z ciebie dumna! – krzyknęła Dina za odchodzącą Iraw, gdy ta minęła już ogród i zmierzała do klatki schodowej.

– Ale to nie było zbyt mądre – powiedziałam i także zaczęłam zbierać się powoli do domu. – Nie powinniśmy jej do tego zachęcać, przecież w starciu z klanem Koridze nie ma szans.

– Wiesz co, Keto, ale z ciebie straszny tchórz.

Spojrzała na mnie z taką pogardą, że o mały włos nie wybuchłam płaczem.

– Próbuję być rozsądna! – broniłam się.

– Rozsądna, ty, jasne! Kogo chcesz tu nabrać?

– Jak ty to sobie wyobrażasz? Mamy każdego z Koridze pobić do nieprzytomności? Sama przecież powiedziałaś, że nigdy nie pozwolą na to, żeby Saba...

– Tak, owszem, ale to nie znaczy, że mamy się poddać bez walki!

Nie czekając na moją odpowiedź, zniknęła w swoim mieszkaniu.

Gdy po trzech dniach wciąż nie było śladu po siejącej zgorzeniu parze, Manana zdecydowała się wezwać do Tbilisi syna, niech się dzieje, co chce. Im dłużej Nene będzie poza domem, tym trudniej będzie zachować twarz i wątpliwy „honor rodziny”, dlatego zdecydowała się podjąć ryzyko eskalacji problemu. Wszystkie moje próby wyciągnięcia od Ratiego informacji, jakie rzekome plany Tapora ma wobec Nene, spełzły na niczym. Cotne przyleciał właśnie do Tbilisi, gdy Saba zadzwonił do domu i oznajmił, że Nene i on są zakwaterowani w pewnym pokoju w Batumi i zamierzają tam spędzić „miodowy miesiąc”. Cotne pojechał prosto z lotniska do Batumi. Rati także zaczął pospiesznie pakować torbę. Przeprowadzono mnóstwo rozmów telefonicznych i postanowiono, że Rostom Jaszwili powinien jeszcze tego samego wieczoru pojechać nocnym pociągiem do Batumi.

Nene została schwytana i zaciągnięta do samochodu, a Saba wrócił do Tbilisi z moim bratem, Lewanem i Rostomem. To była rzeczywiście spontaniczna decyzja, impuls, jak później przyznała Nene. Całowali się na tyłach sali balowej i nagle uznała, nie, oboje uznali, że nie chcą już żyć osobno i że nie ma na co czekać.

„Kocham ją. A ona kocha mnie. Jest moją żoną, a ja jestem jej mężem i nikt nie może tego zmienić” – oznajmił podobno Saba zdecydowanym tonem w drodze do domu gdzieś na wysokości Kutaisi.

Jak bardzo się wtedy mylił, jak bardzo.

Najpierw skazano Nene na wygnanie, musiała spędzić z matką cały gorący lipiec w Suchumi albo Picundzie, nie pamiętam. Do dziś dźwięczy mi w uszach jej szloch, gdy pakowała walizki, a my próbowaliśmy ją pocieszać. Dina i ja patrzyliśmy na nią całkowicie bezsilne i przytłoczone całą tą sytuacją. Ira po przymusowym powrocie Nene do domu trzymała się od nas z daleka.

– To potrwa tylko kilka tygodni, aż nastroje się uspokoją, zobaczysz. Pod koniec lata wszystko będzie wyglądało inaczej. A potem na pewno będziecie mogli być znowu razem...

Powinłam była się wstydzić tych naiwnych słów, ale cóż nam pozostało innego, mogliśmy ją tylko pocieszać i powstrzymywać się od mówienia prawdy. Jej rodzina nigdy nie zgodzi się na ślub z Sabą Jaszwilim, a taką perspektywą przyszłości trudno pocieszać. Dina siedziała obok nas i patrzyła pustym wzrokiem przed siebie, wszystko się w niej gotowało.

– Pomożemy wam. Będziemy oszczędzać i uzbieramy trochę pieniędzy. Będziecie mogli za to wyjechać na jakiś czas za granicę. Damy radę! – powiedziała nagle zdecydowanym głosem bojowniczką o wolność i w teatralnym geście zacisnęła pięści.

Nene w końcu podniosła wzrok i przestała płakać.

– Tak myślisz?

– Jasne, tak zrobimy!

Zdecydowany ton Diny dodał jej trochę odwagi, spojrzała na mnie z nadzieją.

– A ty, Keto, też w to wierzysz?

– Jasne, że tak. Wierzę.

Nawet jeśli daleko mi było do tej wiary, nie mogłam rozczarować swojej tak strasznie zakochanej przyjaciółki. Nie mogłam jej powiedzieć tego, co chodziło mi wtedy po głowie. Nie mogłam jej powiedzieć, że w naszym mieście nie wolno kochać tych, których naprawdę kochamy. Bo w naszym mieście ucieka się od swoich marzeń. W naszym mieście trzeba zaprzeczać swoim tęsknotom, żeby nie kusić losu. Człowiek uczy się, jak stać się sobie kimś obcym, i to jest najlepsza droga, żeby tu przetrwać. W naszym mieście miłość trwa krótko i rozplywa się jak poranna mgła wraz ze wschodem słońca. W naszym mieście dziewczyny są koloru pudrowego różu, są zwiewne i delikatne jak piórka, istnieją po to, by podbudowywać honor swoich mężczyzn i piec im ciepły chleb, istnieją po to, by stawać się czymś wyobrażeniem. W naszym mieście dziewczęta są jak złote rybki, a zadaniem chłopców jest budować akwaria dla swoich rybek. W naszym mieście dziewczęta są jak bezskrzydłe anioły na cienkich nitkach, pociągają za nie matki, ciotki i babki, którym kiedyś też nie pozwolono odlecieć. W naszym mieście

chłopcy są kopiami swoich ojców, wujów i dziadków, którym nigdy nie udaje się dograć swoich dziecięcych gier do końca, bo nagle muszą wydorosnąć, nabrać tężyzny i zapuścić brodę. W naszym mieście kochankowie są jak dzikie zwierzęta, a cała reszta to treserzy. W końcu dzikie zwierzęta dają się poskromić albo trafiają do klatek, w których wystawia się je jako odstraszaający przykład. Jak miałam powiedzieć Nene, że kochankowie z Tbilisi zawsze musieli uciekać.

– Nie zapominajcie o mnie i pozdrówcie Irę. Wiem, że jest na mnie wściekła. Ale powiedzcie jej, że za nią tęsknię – wołała za nami, gdy byliśmy już na dole klatki schodowej.

Następnego dnia pomaszerowałam na Akademię Sztuk Pięknych i zgłosiłam się na egzaminy wstępne na wydział restauracji i konserwacji dzieł sztuki. Cały czas odsuwałam to w czasie, ale wracając do domu rozgrzanymi od upału ulicami dzielnicy Sololaki, uzmysłowiłam sobie, jakie to było głupie z mojej strony: walczyć ze sobą i nie chcieć wykorzystać swojej szansy. Nie powiedziałam o tym nawet Lice, musiałam to udowodnić sama sobie. Jediną osobą, której wolno było towarzyszyć mi w drodze na jeden z egzaminów, była Ira, która z najwyższą liczbą punktów została już przyjęta na wydział prawa Tbiliskiego Uniwersytetu Państwowego. O nic nie pytała, jej obecność dawała mi poczucie spokoju, stabilności, łagodziła moje lęki i niepewność. Poczekwała cierpliwie, aż zdam ostatni ustny egzamin, a potem zeszła ze mną spacerkiem w dół po brukowanym zboczu przy Akademii aż do alei Szoty Rustawelego.

– Na szczęście znieśli w tym roku obowiązkowy egzamin z marksizmu, bo obie na pewno byśmy oblały – powiedziała żartobliwie i objęła mnie ramieniem.

Mijałyśmy kilka wyrastających ostatnio jak grzyby po deszczu „komisów”, ale nie zatrzymywałyśmy się przed wystawami, bo i tak nie stać nas było na sprzedawane tam towary. Chyba mniej więcej w tamtym czasie doświadczyłam po raz pierwszy w życiu kilkugodzinnej przerwy w dostawie prądu. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że nagle zapadająca ciemność stanie się stałym elementem naszej przyszłej codzienności, dlatego bawiło nas ogólne poruszenie na podwórku z tego

powodu. Sąsiedzi przychodzili ze świeczkami, niektórzy powyciągali stare lampy naftowe, ktoś krzychał na całe podwórko, że trzeba zacząć nie tylko gromadzić świece, lecz także zatroszczyć się o zapas wody, bo nigdy nic nie wiadomo.

Zamknięto większość fabryk i firm, do miast ciągnęły z dawnych kołchozów masy ludzi, by zarabiać tam na życie jako taksówkarze lub robotnicy budowlani. Babuda dwa zaczęła narzekać na brak zleceń na tłumaczenia książek, nikt nie miał głowy do Voltaire'a czy Zoli, brakowało też papieru na drukowanie nowych publikacji. Była więc zmuszona przyjąć jeszcze dwie uczennice na korepetycje z francuskiego. Nasze miasto nigdy nie było dobre w dotrzymywaniu tajemnicy i tak oto pewnego poranka ojciec zawołał mnie do siebie i popatrzył na mnie pytającym wzrokiem przez swoje okulary do czytania, które zawsze zsuwały mu się z nosa albo dyndały na piersi, zawieszzone na cienkim łańcuszku.

– Czy chciałabyś mi może o czymś opowiedzieć?

– Co masz na myśli?

– Konserwatorka? Restauracja lub konserwacja? Jak to? Dlaczego w ogóle i dlaczego w tajemnicy?

– Nie chciałam, żebyście próbowali mnie od tego odwozić, no i nie chciałam, żebyś mi pomagał.

– Pomagał? Nie mogę ci tutaj pomóc, to nie mój wydział.

– Wiesz, co mam na myśli: do kogoś zadzwonić, szepnąć dobre słówko na mój temat, wiesz, jak to wygląda.

– Muszę przyznać, że byłem lekko zszokowany, gdy zadzwonił do mnie Otar, mój stary szkolny kolega, który wykłada rzeźbę. Pewnie siedział w komisji i nie był pewien, czy kandydatka jest moją córką, i po prostu chciał się upewnić.

– O nie, błagam, nie mów, że mu powiedziałaś, nie chcę żadnej kryszy!

– Odpowiedziałem mu szczerze, że nie wiem i muszę cię zapytać.

Co jak co, ale tego mogłam być absolutnie pewna, że powiedział prawdę. Mój ojciec do dziś zasługuje na medal za to, że jest najbardziej nieudolnym kłamcą wszechczasów.

– Czy to ze względu na matkę Diny? To ona ci tak doradziła?

– O rany, sama tego chciałam! Sama podjęłam taką decyzję! Lika o niczym nie wie.

– W takim razie nie rozumiem... Dlaczego nie malarstwo? Przecież przez całe dzieciństwo rysowałaś nasze portrety.

– Czy mój kierunek wydaje się za mało elitarny jak na twoje potomstwo? – Sama byłam zdumiona ostrym tonem swojej wypowiedzi.

– O ile mi wiadomo, nigdy do niczego nie zmuszałem ani ciebie, ani twojego brata. – Czuł się urażony.

– Wydaje mi się, że rysunki to trochę za mało jak na malarstwo – powiedziałam i spuściłam wzrok.

– W porządku. To twoja decyzja. Podejdz bliżej, dlaczego stoisz tak w progu?

Podeszłam powoli do jego fotelowego krzesła z masywnymi ozdobnymi podłokietnikami i przysiadłam, jak często w dzieciństwie, na jednym z nich. Objął mnie ramieniem, co robił niezwykle rzadko, i siedzieliśmy tak przez chwilę, oboje nieporadni, ale chcący wytrwać w tej bliskości.

– Jestem z ciebie dumny, że zrobiłaś to w taki sposób. To było odważne z twojej strony i mam nadzieję, że jest tam jeszcze paru profesorów, którzy nie zapredali duszy i poznają się na twoim talencie, na twoich umiejętnościach, i dopuszczą cię do studiów bez ingerencji z góry.

Pogładził mnie po policzku. Jaki był nieporadny, gdy tylko opuszczał terytorium swoich fizycznych wzorów i teorii. Ale teraz dostrzegłam również odprężenie na jego twarzy, jakie zwykle pojawiało się, gdy słuchał Jimmy'ego Cobba albo Cannonballa Adderleya, i po raz pierwszy zrozumiałam, jak doszło do tego, że mama się w nim zakochała. Ponieważ w tym odprężeniu wyczuwało się tyle wolności, tyle jeszcze pozostawało w zawieszeniu, wciąż nieodkryte. Ten moment, ten mały przebłysk, malusieńka szczelina na twarzy mego wiecznie rozczarowanego ojca oznaczała obietnicę. Zwolnił mnie potem ze swego królestwa pełnego niezliczonych zeszytów i piętrzących się aż do sufitu książek, z zieloną

lampą biblioteczną na stole, dwoma trochę smutno wyglądającymi kaktusami, które jego matka, babuda jeden, wstawiła mu do pokoju – żałosna próba wprowadzenia „odrobiny życia do tego mauzoleum” – z dużym starym globusem, który ja i brat tak uwielbialiśmy w dzieciństwie i którym nieraz kręciliśmy jak szaleni, a potem wskazywaliśmy na ślepo palcem różne miejsca.

Nawet jeśli oceny Ratiego były jedną wielką katastrofą, to jeden przedmiot sprawiał mu wielką przyjemność: geografia. Wydawał się zafascynowany naszą planetą i za każdym razem, gdy graliśmy w państwa-miasta, był nie do pokonania, wygrywał wtedy nawet z naszym ojcem. Uwielbiał oglądać programy o dalekich krajach albo egzotycznych zwierzętach, lubił też wielką księgę, którą ojciec przywiózł nam z Moskwy, o prostym tytule *Nasza Ziemia*. Była tam lista wszystkich krajów świata, ich flagi i zwyczaje, flora i fauna oraz liczby mieszkańców. Już po krótkim czasie znał tę książkę na pamięć i miesiącami przechwalał się swoją wiedzą.

– Madagaskar! To Madagaskar! – woła do mnie brat zza zasłony czasu.

Pękałam z dumy, że mam takiego mądrego brata, który być może pewnego dnia przejedzie Saharę albo w Amazonii będzie poszukiwał jakiegoś wymarłego gatunku zwierząt...

Zostałam przyjęta na studia. Ktoś, kto „jeszcze nie zaprzedał duszy”, ulitował się nade mną. Wieczorem Rati, Dina, Ira, Lewan i ja pojechaliśmy do Mcchety. Jedliśmy pyszną fasolówkę i piliśmy niedobre wino. Rati gładził mnie po policzku i w kółko powtarzał, że zrobiłam to „sama”. Wracaliśmy do domu z pootwieranymi szybami, wrzeszczeliśmy i śpiewaliśmy, zakłócając nocną ciszę.

Na wiadomość o moich studiach Lice napłynęły łzy do oczu, wyciągnęła swój ulubiony ormiański koniak, którym po raz pierwszy poczęstowała wtedy także mnie, wzniosłyśmy toast i w nieco melodramatycznym geście padłyśmy sobie w ramiona. Była wykończona codziennymi kłótniami, które w ostatnich tygodniach prowadziła ze swoją starszą córką. Dina z uporem broniła się przed podjęciem studiów, twierdząc, że jest przecież fotografką i wszystkiego, czego jej do tego

potrzeba, może nauczyć się sama, a zamiast studiów odbędzie wkrótce praktykę w gazecie Rostoma Jaszwiłego. Lika cierpiała z powodu takiej decyzji, ale w przeciwieństwie do moich babć albo ojca chodziło jej nie tyle o prestiż czy zabezpieczenie na przyszłość, ile o osobistą zniewagę, ponieważ jej córka odrzuciła wszystko to, o co ona tak ciężko walczyła przez wiele lat i co starała się zapewnić swoim dzieciom. Ponieważ sama musiała drogo zapłacić za własne marzenia, chciała im tego zaoszczędzić i nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jej pierworodna córka, która jest mądrą dziewczyną, ignoruje jej poświęcenie i wszelkie starania. W którymś momencie Lika nie wytrzymała i postawiła Dinie ultimatum: skoro jest tak mądra i wszystko wie najlepiej, to powinna sama zatroszczyć się o własne utrzymanie. Byłam pewna, że Dina – mimo trudnej sytuacji – znajdzie na to sposób, chociażby po to, żeby udowodnić swojej matce i całemu światu, że poradzi sobie sama.

Nene przysłała nam kiczowatą pocztówkę, na której nie było nic prócz urlopowych frazesów, więc od razu domyśliliśmy się, że kontrolują jej korespondencję. Odpisaliśmy jej, stosując aluzje i szyfry, i zapewniliśmy ją, że Saba miewa się dobrze i że oczywiście czeka na nią z utęsknieniem. Byłam szczęśliwa, że nie musieliśmy kłamać w tej kwestii. Każdego dnia widzieliśmy Sabę, jak wychodzi ociężałym krokiem z podwórka i wygląda jak ktoś, kto stracił orientację. Rati i Lewan nie spuszczali go z oka. Owa nieustanna obserwacja dobijała go jeszcze bardziej, nawet jeśli miała służyć jego ochronie. Tamtego lata panował wszędzie jakiś przygaszony spokój, ale był on, jak oceniam z perspektywy czasu, swego rodzaju ostrzeżeniem. Zamknięte okiennice na ulicy Dzierżyńskiego też nie wróżyły niczego dobrego.

A potem nadszedł dzień, w którym Dina, waląc bez opamiętania do moich drzwi, krzyczała, z trudem łapiąc oddech:

– Nene wychodzi za mąż za Ottona Tatiszwilego, to niewiarygodne! Chcą ożenić naszą Nene z tym dręczycielem zwierząt! Nie możemy do tego dopuścić, musimy ją...

– Kto ci to powiedział?

– Rati właśnie się dowiedział. Od samego Ottona. Zawsze nienawidziłam tego sadysty. Tak samo jak jego pustej, lalkowatej siostry.

Patrzyłam na nią, trudno było nie zauważyć jej wielkiego oburzenia absurdalnością tej sytuacji. Przykucnęłam, bo ziemia zaczęła mi drżeć pod stopami. Akurat ten złośliwiec, ten morderca kotów, ta zimnooka kreatura z opadającymi na twarz jasnobrązowymi strąkami, które ustawicznie zdmuchiwał sobie z czoła, to właśnie on ma zostać mężem Nene. Czy oni mieli cokolwiek wspólnego, czy kiedykolwiek ze sobą rozmawiali? Nie, jedyny powód to wspólne interesy jego ojca i jej wuja. Czy takie okoliczności mogą uzasadniać jakiegokolwiek małżeństwo? Czy można było tak po prostu wygasić miłość Nene i Saby, wysyłając Nene do ołtarza z innym?

– Tak, musimy im pomóc. Muszą stąd wyjechać, może do Turcji? Wizy do Turcji dosyć łatwo zdobyć, a pieniądze jakoś uzbieramy.

– Nie mogę w to uwierzyć. Jak własna matka mogła zrobić jej coś takiego?

Dina była oburzona, brakowało jej słów, ponieważ zrozumiała, że dzieci mogą mieć również niewłaściwe matki, że miłość nie zawsze pomaga znaleźć jakieś rozwiązanie, że czułość nie zawsze chroni przed okropieństwami tego świata i że dla niektórych mężczyzn kobiety są towarem. Zaczęła się dławić od łez.

– Chodź, idziemy, musimy natychmiast porozmawiać z Nene, pewnie jest załamana... – myślałam głośno, ale wyraz twarzy Diny sprawił, że natychmiast się zatrzymałam i popatrzyłam na nią poirytowana. – Co jest?

– Już to zrobiłam. Zadzwoiłam do niej zaraz po tym, jak Rati mi o tym powiedział. Ale zareagowała jakoś dziwnie, powiedziała, że jest trochę zmęczona i odezwie się, jak będzie się czuła lepiej. Proszę cię, zmęczona? Keto, to do Nene niepodobne, nie, w ogóle.

– No tak, pewnie nie jest sama, najprawdopodobniej Tapora siedzi cały czas w mieszkaniu i jej pilnuje, ale to nieważne, idziemy do niej.

Dina ociągała się, więc trochę mnie to zbiło z tropu i zaczęłam się zastanawiać. Z jakiegoś powodu zwlekała.

– Dina, o co chodzi? Zresztą nieważne, idziemy do niej, natychmiast!

Dzwoniłyśmy do wysokich metalowych drzwi mieszkania Koridze jak na alarm. Nieustraszone i wściekłe postanowiłyśmy uwolnić przyjaciółkę ze szponów tych bandytów. Otworzyła nam Manana, jak zwykle w tym swoim czarnym ubraniu, i spojrzała na nas nieufnie.

– Nene źle się czuje, nie mówiła wam? – powiedziała, nie czekając na nasze „dzień dobry”, i przyglądała się nam, sztucznie się uśmiechając.

– Tak, ale strasznie dawno się widziałyśmy, nie zostaniemy długo – powiedziałam i mijając ją, pomknęłyśmy przez wypastowany parkiet wprost do pokoju jej córki.

Nene rzeczywiście leżała w łóżku. W filetowej koszuli nocnej haftowanej w kwiatki, która wyglądała jak suknia księżniczki, leżała z podkurczonymi nogami w pozycji embrionalnej. Rzuciłyśmy się na jej łóżko, zaczęłyśmy ją całować i obejmować.

– Wróciłaś! Nareszcie! – wyszeptała Dina i przytuliła ją do piersi jak małe dziecko.

Nene obejmowała nas opieszale, sprawiała wrażenie nieobecnej, a jej uśmiech był wymuszony.

– Co ci jest? – spytałam.

Manana otworzyła drzwi, omiotła nas kontrolnym spojrzeniem i postawiła przed nami dużą paterę z kawałkami soczystego arbuza i figami.

– Nic, miałam tylko... nie wiem, chyba jakąś infekcję. Tak mi się zdaje.

– Nie wyjdiesz za niego. Mamy pewien plan, obiecuję ci, wywieziemy was za granicę – mówiła cicho Dina i brzmiało to jak jakieś zaklęcie. – Turcja jest najbardziej realna. Granice są otwarte. Można bez problemu załatwić wizę i...

– Dina, hej, wszystko w porządku, nie zwracaj sobie tym głowy! – Nene usiadła na łóżku, odgarnęła z twarzy swoje długie włosy i popatrzyła na nas dobrotliwie. – Między mną i Sabą wszystko skończone.

W tym momencie poczułam wstręt, rozszedł się po ciele jak trucizna i sparaliżował wszystkie członki. Naszej przyjaciółce wyrwano z piersi tętniącą i żarliwą miłość.

– Co to znaczy: skończone? – Głos Diny zabrzmiał ostrzej.

– To koniec.

– Ale przecież od tamtej pory w ogóle się nie widzieliście. Co się stało?

– To nie ma sensu. Moja rodzina nigdy tego nie zaakceptuje, a ja nie chcę, nie mogę... Nie mogę tak żyć.

– Jak możesz tak mówić? To, że zabrali was z Batumi, nie oznacza, że znajdują was wszędzie!

Dina była zła, próbowała usilnie przekonać Nene, wygłosiła płomienną mowę w obronie jej miłości, odwagi, determinacji. Ale im dłużej przemawiała, tym bardziej nieobecna i rozdrażniona stawała się Nene. Zdaje się, że coś zostało w niej nieodwracalnie uszkodzone, nie miała już tej wiary w siebie, jedyne, czego jeszcze pragnęła, to pozbyć się męczarni, które przyniosła ta lekkomyślna miłość. Zaczęłam przyglądać się bliżej jej niemal przezroczystej skórze, zapadniętym oczom. Zazwyczaj pełne życia ciało Nene sprawiało wrażenie sflaczałego, w jakiś beznadziejny i wstrząsający sposób starego. Dała za wygraną.

– Naprawdę wyjdiesz za Ottona Tatiszwilego?

Odeszłam od łóżka, już dawno przestałam słuchać słów i argumentów Diny, odwróciłam się do nich plecami i wzięłam do ust kawałek arbuza, żeby wraz z nim przełknąć jakoś swoją odrazę.

– Tak, Keto, zrobię to.

To zdanie było jak strzał z pistoletu, niemalże z ulgą wypowiedziała w końcu to, co już dawno pojęła, i dodała przeproszającym tonem:

– Muszę teraz naprawdę się położyć, już nie mogę, bardzo was przepraszam, jestem taka słaba. Zadzwoń do was, jak tylko poczuje się lepiej, dobrze? Proszę, nie gniewajcie się...

Opadła plecami na swoją wielką poduszkę.

Dina nie odezwała się już ani słowem, jakby wszystko, co miała na końcu języka, przestało mieć w tej sytuacji jakiegokolwiek znaczenie. Nie czekając na mnie, otworzyła gwałtownie drzwi i wyszła z pokoju. Stałam jeszcze przez chwilę, a gdy wreszcie chwyciłam za klamkę, dobiegł mnie cichy głos Nene:

– Pewnie mnie nienawidzi.

Wiedziałam, że mówi o Irze. Nic nie odpowiedziałam i pobiegłam za Diną. Znalazłam ją na ławce przy fontannie przed budynkiem Komitetu Centralnego. Siedziała z twarzą schowaną w dłoniach i płakała. Usiadłam obok niej i położyłam głowę na jej ramieniu.

– Nie będzie szczęśliwa. Znienawidzi go, znienawidzi samą siebie. Co to będzie za życie? Kto robi coś takiego? To znaczy, kto sprzedaje własne dziecko?

Długo trwało, zanim się uspokoiła i w upalne duszne popołudnie jednego z ostatnich dni sierpnia ruszyliśmy w drogę do domu. Znajome ulice naszej dzielnicy zaczęły nagle wyglądać jakoś inaczej, jakby ktoś powymieniał nam oczy.

Wesele zaplanowano pośpiesznie na koniec września. Oczywiście miało być zorganizowane w iście królewskim stylu, oczywiście mieli być na nim wszyscy, którzy cieszą się w mieście stosowną pozycją i nazwiskiem, no i oczywiście miało być głośno o tej niezapomnianej uroczystości.

Dowiedziałam się od Ratiego, że rodzina Jaszwilich wysłała swego syna na wieś. Rati starał się zachować powściągliwość, nie dawał po sobie poznać, że jest wściekły, żeby nie zaognić jeszcze bardziej i tak już napiętej sytuacji w dzielnicy, ale w Lewanie, który w ostatnich dniach spędzał sporo czasu w pokoju Ratiego, widać było narastającą nienawiść. Zarzekał się, rozmawiając z Ratim, że nie daruje klanowi Koridze tego upokorzenia, mówił o „szacunku”, który mogą stracić „na

ulicy”, jeśli dalej będą się przyglądać wszystkiemu beczynn timer. Rati próbował go uspokoić:

– Bracie, jeśli dziewczyna mówi, że tego chce, to co my możemy zrobić? Wyjdzie za tego lachociąga, i już. Gdyby to było wbrew jej woli, to przerobiliśmy całą bandę Koridze na miazgę, ale tak? Daj im trochę czasu, przecież to małżeństwo to jakiś żart, na pewno nie potrwa długo, uwierz mi, ten Tatiszwili to na sto procent impotent, a wtedy...

Lewan przerwał mu wściekły:

– Chcesz przez to powiedzieć, że Saba będzie mógł sobie wtedy wziąć zdziurę po Ottonie Tatiszwilim?

– Jeśli jeszcze raz nazwiesz ją zdziurą, to wydrapię ci oczy! – Słuchałam ich obu przez cienką ścianę i gdy tylko usłyszałam te słowa, natychmiast pobiegłam do nich do pokoju.

Lewan popatrzył na mnie skonsternowany, a mój brat wykrzywił twarz.

– A ja myślałam, że jesteś lepszy niż ci idioci! – powiedziałam z odrazą i spojrzałam prosto w szeroko otwarte oczy Lewana.

Głowa Ratiego wędrowała z niedowierzaniem raz w tę, raz we w tę.

– Co właściwie jest między wami? – spytał nagle bez ogródek i coś w tym pytaniu przyniosło mi ulgę, jakby mnie ktoś uwolnił od ciężkiego jak kamień balastu.

– A co ma być?

Lewan poczuł się w tej sytuacji wyraźnie niezręcznie i unikając mego spojrzenia, zapalił papierosa. A ja wlepiłam w niego wzrok i pełna nadziei czekałam i czekałam, i czekałam. Odliczałam sekundy, które ciągnęły się jak lata, bardzo chciałam wierzyć, że skorzysta z okazji i powie Ratiemu prawdę. Chciałam zakończyć tę żalosalną zabawę w chowanego.

– Hej, lecisz na moją siostrę?

Rati przymrużył oczy, na jego twarzy zaczęła malować się burza z piorunami. I zanim Lewan zdążyłby po raz kolejny wyprzeć się mnie, wypaliłam bez

zastanowienia:

– Tak, ja na niego lecę.

Wewnętrznie zatriumfowałam, nawet jeśli ten triumf zostawił po sobie gorzki posmak, gdyż widziałam przed sobą całkowicie zaskoczoną twarz Lewana. Otworzył usta, chciał coś powiedzieć, ale natychmiast ponownie je zamknął. Rati wyglądał tak, jakby zjadł właśnie coś kwaśnego, jak zawsze, gdy nie wiedział, co ma robić.

Nagle poczułam piekielne pieczenie, wstyd zaczął pokrywać mi skórę jak jakaś żrąca wysypka.

– Żartujecie?

Rati nabrał głęboko powietrza, po czym je wypuścił. Zaczął nerwowo szukać papierosów, żeby zyskać na czasie. Ale przyszedł mu w sukurs:

– Rati, nie martw się. Raczej nic z tego nie wyjdzie – powiedziałam oschle i wyszłam z pokoju.

Usłyszałam za sobą głośne krzyki i kilka imponujących przekleństw. Ale już mnie to nie obchodziło, zesłam do piwnicy Liki. Praca fizyczna to była jedyna rzecz, która ratowała mnie przed samą sobą.

Nie pamiętam, jak nazywała się ta restauracja rozświetlona jak bożonarodzeniowa choinka, w której odbywała się wielka feta. Przypominają mi się tylko niekończące się rzędy stołów, nigdy do tej pory nie przypuszczałam, że na jedną uroczystość może przybyć tak wiele osób. Pamiętam też zespół złożony wyłącznie z mężczyzn we frakach i pewną kryminalną osobistość, nazywaną przez wszystkich „mnichem”, która podobno przyjechała z samej Moskwy, żeby pełnić funkcję tamady. Rati ze względu na solidarność z Sabą nie przyszedł na wesele, mimo że otrzymał zaproszenie. Dina musiała zostać świadkową Nene, ponieważ Ira zdecydowanie odrzuciła tę zaszczytną funkcję. A ja byłam szczęśliwa, że mnie o to nie poprosiła. Namówić Irę do tego, żeby w ogóle przyszła na przyjęcie, okazało się nie lada wyzwaniem. Gdy tylko dowiedziała się o planowanym weselu Nene, zaczęła zachowywać się tak, jakby złożyła przysięgę milczenia, nic nie mówiła, nie

komentowała, trzymała się od Nene z daleka, wymyślała różne wymówki i rzuciła się w wir nowo podjętych studiów.

Nene, zatopiona w morzu bieli, siedziała jak na tronie obok zadowolonego z siebie, uśmiechniętego Ottona wystrojonego w czarny garnitur. Jej sukienka wyglądała jak więzienie, więzienie z tiulu, warstwa na warstwie, a ona wydawała się w niej tak mała, niemal ginęła w tym kostiumie z przesadnie długim welonem. Księżniczka wydana za mąż dla osiągnięcia politycznych celów, zasiadła na tronie królestwa, którym nigdy nie będzie rządzić.

Wędruję wzrokiem przez zapełnioną salę wystawową. Widzę, jak stoi niedaleko mnie i rozbawiona rozmawia z przystojnym kelnerem. Podoba jej się to, że niemal pożera ją wzrokiem. Doskonale wie, ile dać mu przynęty, żeby jego głód wciąż pozostawał niezaspokojony. Imponuje mi jej pewność siebie. Przypatruję się dokładniej jej twarzy i widzę, że są na niej jeszcze rysy tamtego dziewczęcia w pompatycznej sukni cesarzowej siedzącego na końcu nieskończenie długiego stołu, ale równocześnie trudno mi uwierzyć, że ta pewna siebie i swobodnie flirtująca kobieta to ta sama osoba, która ukazuje mi się teraz w pamięci, gdy myślę o tamtej farsie, o uroczystości z pstrągami w sosie z granatów, pieczonym prosiakiem z rzodkwią w pysku, indykiem w sosie z orzechów włoskich i stosami zielonych i czerwonych pchali, miskami pełnymi kawioru obok pływającego w lodzie masła, i gdy uderza mnie w nozdrza zapach pieczarek z keci, a potem niekończącej się rzeki wina i wódki, a także obejmujących się pijanych mężczyzn na chwiejnych nogach, którzy zapewniają się o wzajemnej miłości. Obowiązkowy taniec młodej pary był tak niezgrabny i wymuszony, że nie dało się nie odczuwać na jego widok zażenowania. Mananę posadzono obok jej surowego, dobrze zbudowanego szwagra o czerwonej twarzy, z wytatuowanymi rękami i z obowiązkowym ręcznikiem na szyi, którym bez przerwy ocierał sobie pot z twarzy. Wyglądał na zadowolonego. Nie mogłam się powstrzymać i wciąż zadawałam sobie pytanie, dlaczego nie potrafiła lepiej chronić swojego dziecka. Nieco później, gdy większość gości była już pijana i okupowała parkiet, wymknęliśmy się we

cztery na małe wzgórze za restauracją, gdzie Dina i Nene mogły sobie zapalić w tajemnicy.

Nie było za bardzo o czym mówić. Ira stała w bezruchu i milczała. Nene zaciągała się łapczywie papierosem, który Dina wyczarowała ze swojej malutkiej torebki. A ja marzyłam o tym, żeby ta makabryczna uroczystość jak najszybciej dobiegła końca.

– Czy on jest dla ciebie miły? – Ira przerwała milczenie.

Nene wzruszyła ramionami, jak gdyby było jej całkiem obojętne, kogo bierze sobie za męża, skoro nie może to być Saba. Zastanawiałam się, czy istniała kiedykolwiek na świecie bardziej obojętna panna młoda.

– Gdzie będziecie mieszkać? – spytałam.

– Na początek wprowadzi się chyba do nas. Chciał mieć własne mieszkanie, ale uważam, że to absurd. Jak ja bym się czuła sama z nim w obcym mieszkaniu?

– Najlepiej rozwiedźcie się, to znaczy, za jakiś czas, jak sprawa przycichnie... – Dina najwyraźniej chwytiała się ostatniej iskiej nadziei.

Ale ostra odpowiedź Nene sprawiła, że wszystkie aż się wzdrygnęłyśmy:

– Po prostu zapomnij. Zapomnij o Sabie i o mnie, to jest definitywnie skończone. – Wcisnęła Dinie do ręki swojego niedopalonego papierosa. – Muszę wracać. Nie chcę, żeby brat albo Otto zaczęli mnie szukać i zobaczyli nas tutaj.

Ledwo się ruszała w tej swojej sukience, całkowicie się w niej chowała, a właściwie nie, raczej w niej tonęła. Odprowadzałyśmy ją wzrokiem, aż zniknęła nam z pola widzenia. Byłyśmy skazane na przyglądanie się temu wszystkiemu i nie mogliśmy nic zrobić, niczemu zapobiec.

– Mam złe przeczucia – Dina powiedziała coś całkowicie oczywistego i zaciągnęła się papierosem z jaskrawoczerwonym odciskiem ust Nene.

Ja też miałam złe przeczucia, ale powstrzymywałam się od wszelkich domysłów, bo do niczego nie prowadziły. Ta historia będzie miała swój ciąg dalszy. Napięcie między Cotnem i jego ludźmi z jednej strony a moim bratem i jego kliką z drugiej było wyczuwalne w całej okolicy. Już choćby ze względu na

przywództwo w dzielnicy mój brat był gotów prędzej czy później sprowokować jakąś kłótnię. Władza Cotnego, jego wpływy i możliwości były w porównaniu z Ratim niemal nieograniczone, ale mój brat miał pewną przewagę: podczas gdy Cotne jako „syn” był pod stałą opieką wuja, Rati starał się samodzielnie ugruntowywać swoją pozycję. To był wielki atut, gdyż nadchodziły czasy self-made menów.

Otto Tatiszwili wprowadził się do rodziny Koridze, a Nene obwarowała się w swoim pałacowym mieszkaniu. Ze strachu, że mogłaby spotkać Sabę, prawie w ogóle nie wychodziła z domu. Wstyd przykuł ją do tego miejsca, a we mnie aż się gotowało z powodu niesprawiedliwości, jaka ją spotkała. Unikała także nas, byliśmy dla niej jak lustro, w którym mogła zobaczyć swoją porażkę, nasza wolność była dla niej swego rodzaju napomnieniem, a nasza możliwość decydowania o sobie solą na jej rany. Ja z kolei zagłuszałam złość na Lewana, zanurzając się w swój nowy świat, w kreatywną i niewymuszoną, chaotyczną i równocześnie nieco przykurzoną atmosferę Akademii. Nawet jeśli oczekiwałam od profesorów poświęcenia większej uwagi współczesności, to i tak czułam się tam dobrze. Byłam dumna, że stałam się częścią tego tajemniczego, szczególnego świata.

Spędzałam wtedy dużo czasu z Iżą. Ją także wchłonęła uniwersytecka codzienność i choć spotkała tam ludzi myślących niekoniecznie tak samo jak ona, sprawiała wrażenie osoby wewnętrznie zrównoważonej, a nauka jak zwykle nie stanowiła dla niej problemu. Ponieważ mijała Akademię w drodze do domu, odbierała mnie po wykładach i razem szłyśmy potem w stronę ówczesnego placu Lenina, przemianowanego później na plac Wolności. Wiedziałam, że szuka i potrzebuje mojej bliskości, być może bardziej niż kiedykolwiek, ponieważ byłam wtajemniczona w coś, o czym poza mną nikt nie wiedział, i ta szczególna więź sprawiała, że nie musiała się kryć lub udawać. Wiedziałam, mimo że nie pisałam o Nene i jej małżeństwie ani słówkiem, że przez cały czas o niej myśli i że wszystkie te potworności dają jej się we znaki. Widać było, że mało je,

a zapadnięte policzki świadczyły o braku wytchnienia, zatroskaniu i tęsknocie za naszą w tak bezsensowny i okrutny sposób oddaną w ofierze przyjaciółką.

Rostom Jaszwili dotrzymał danego słowa. Wprawdzie nie przyjął Diny na praktykę w redakcji swojego chylącego się ku upadkowi periodyku, ale polecił ją w pewnym nowo otwartym czasopiśmie, które szczyliło się tym, że jest pierwszą niezależną gazetą w kraju. Dina wkrótce objęła tam stanowisko asystentki. Nie ustawała w zachwytach: „Gazeta Niedzielną”, krytyczny organ o politycznym zacięciu, miała się stać tubą niepodległej Gruzji, była wolna, ponadpartyjna i poruszała wszystkie społecznie ważne kwestie. Dina bardzo szybko się tam odnalazła, jej mentorem był nie kto inny jak sam Alek Pozner, znany w całym kraju i ceniony przez wszystkich fotograf, któremu udało się uchwycić wszystkie przełomy, wszystkie polityczne eksplozje, od Praskiej Wiosny po wojnę w Afganistanie, i za każdym razem był w stanie obejść jakimś cudem sowiecką cenzurę. Ten schludny rosyjskojęzyczny mężczyzna o trudnym do określenia wieku odegrał w życiu Diny rolę ojca. Wiele z tego, co dziś tu oglądam, wiąże się z nim bezpośrednio i mimo że nigdy go dobrze nie poznałam, odczuwam pewien żal, że nie może cieszyć się sukcesem swojej uczennicy, że nie może jej tu pochwalić, pokazać, jak bardzo jest dumny z jej umiejętności. Gdy pomyślę, że przeżył tyle przewrotów, wojen i przelewów krwi, to jego śmierć wydaje mi się czymś straszliwie makabrycznym. Ale właściwie dlaczego mnie to dziwi, przecież każdego może trafić jakaś zbłąkana kula – z tym że czasem nadlatuje z kierunku, z którego nikt by się nie spodziewał.

Ciepło wspominam małą, zagraconą i wypełnioną po brzegi papierami redakcję na tyłach podwórza przy alei Plechanowa. Myśl, że Dina znalazła tam na tyle lat swój dom, swoją oazę, wydaje mi się pocieszająca. To było jedyne miejsce w jej krótkim życiu, gdzie nie doświadczyła rozczarowania ani zdrady. Gdzie jej ambicje mogły sięgać wysoko, choć dla niej nigdy nie było to wystarczająco wysoko, gdzie jej oczekiwania nie znały żadnych granic i gdzie każdy z jej szalonych pomysłów i śmiałych planów trafiał na podatny grunt.

Każdego dnia Rati woził ją swoim nowym samochodem do pracy. Z jaką dumą przechodzili przez nasze podwórko, z jaką łatwością odpierali ciekawskie i częściowo szydercze spojrzenia sąsiadów, jakże byli szczęśliwi. Mimo że miałam wystarczająco dużo czasu, żeby przyzwycząić się do tego widoku, zawsze zatrzymywałam na nich wzrok, gdy tylko zauważyłam, że wyjeżdżają z podwórka, gdzie mój brat parkował swojego jodłowozielonego mercedesa, tarasując zresztą wjazd. Wtedy nie potrafiłam tego nazwać, ale dziś powiedziałabym, że mieli w sobie coś nienaruszalnego.

A potem wybuchła wojna. Z tym że dla mnie wojna w Tbilisi nie zaczęła się dopiero wtedy, gdy ludzie ruszyli na siebie z granatami ręcznymi i czołgami, nie, dla mnie zaczęła się już wcześniej, pewnego słonecznego dnia, który jak na październik, gdy wszystko zwykle tonie w kolorach ochry, był nieoczekiwanie ciepły i jasny. Pierwsza walka została stoczona na dzisiejszej ulicy Jerozolimskiej, wtedy ulicy Riszinaszwilego, a pierwsza ofiara była być może najokrutniejsza ze wszystkich, ponieważ padła w wyniku przypadkowej ruletki. Może już nigdy w życiu nie będziemy tak przerażeni jak wtedy, gdy po raz pierwszy spadliśmy ze szczytu niewinności. Potem padały kolejne niezliczone ofiary, ale przyzwyczailiśmy się do nich, czas ukoił żal, szok i niedowierzanie w obliczu niekończących się okrucieństw przygasty, tak, przerażenie można przygasić, ale nadzieja wciąż pozostaje, jest jak wielogłowy smok, któremu, gdy odciąć jedną z głów, za każdym razem wyrasta ze zrogowaciałego karku nowa.

Ponieważ Saba i ja studiowaliśmy na tej samej uczelni, nierzadko razem wychodziliśmy z ulicy Winorośli i szliśmy w kierunku alei Szoty Rustawelego. Nie mówiliśmy zbyt wiele, Saba był zamknięty w sobie, jakby błądził w labiryncie własnych myśli. Ale coś w jego sylwetce, w nieobecnyim spojrzeniu, w przerażająco lęklwym sposobie rozglądania się dokoła na każdy głośniejszy odgłos lub dźwięk klaksonu, mówiło mi, że nie jest tak, jak powinno być, i że jego twarz tylko w niewielkim stopniu pozwala się domyślać, jak głęboka jest otchłań, w którą spogląda każdego dnia.

Nikt nie wie, czego Saba Jaszwili szukał tamtego dnia na ulicy Riszinaszwilego i dlaczego siedział tam na ławce. Nawet jeśli z powodu studiów chciał wycofać się z „ulicznego życia”, jak opisywał mój ojciec, to jednak przy całej swojej wrażliwości i inteligencji był dzieckiem tego miasta i nie potrafił pogodzić się z upokorzeniem, jakiego doznał. Pewnie odbierał to jak swego rodzaju perfidię, że ma za plecami dwa bulterierzy szczerzące kły w postaci Ratiego i Lewana, ale i tak nie może z nich skorzystać. Na pewno jeszcze trudniej było mu żyć z hańbą, która ciążyła mu jak stukilowy odważnik. Ale najtrudniej było znosić milczenie, na które go skazano.

No więc widzę, jak siedzi tam, przystojny, samotny, przygnębiony młody mężczyzna, w pełnym miodowożółtym świetle słońca i przywołuje skinieniem ręki Tarika, który akurat przypadkiem przechodzi koło niego. I tylko dlatego, że jest to Tarik, jeszcze bardziej zagubiony i jeszcze bardziej samotny niż on, chce go mieć przy sobie. Każdego innego znajomego lub przyjaciela, który promienieje ze szczęścia albo odnosi sukces za sukcesem, nawet by nie zauważył. Ale na widok Tarika uśmiecha się, tego Tarika, który chodzi jak klaun i robi przesadnie duże kroki, jakby za każdym razem chciał przeskoczyć kałużę, Tarika, który go rozwesela, więc macha do niego i przywołuje do siebie, bo na jego widok robi mu się ciepło na sercu, a on chciałby swemu zranionemu sercu dać chwilę wytchnienia. I Tarik podchodzi do Saby z radością, lubi go od dziecka, bo Saba nigdy niczego nie rozkazuje, nigdzie go nie wysyła, Saba nigdy nie woła do niego: „Hej, Tarik, skocz po torebkę pestek słonecznika, resztę możesz zachować dla siebie”. Kroki Tarika robią się jeszcze dłuższe, jeszcze radośniejsze i w mgnieniu oka zajmuje miejsce obok Saby. Tak, w życiu Tarika zdarzają się czasem zaskakujące zwroty i on nigdy nie jest – całkowicie zgodnie ze swoją naturą – nieufny, przyjmuje tego typu propozycje z wdzięcznością, czy jest to zaproszenie na cudzy bal z okazji zakończenia roku szkolnego, czy skinienie Saby, żeby przysiadł się do niego na ławce. I z lemoniady gruszkowej, którą Saba do niego wyciąga, cieszy się w nie mniejszym stopniu. Lubi słodcze, zarówno w stałej, jak i płynnej formie.

„Wiesz co, Tarik, ty jesteś dobrym człowiekiem” – słyszę, jak Saba mówi do Tarika. Tarik nie do końca rozumie, co ma na myśli jego stary sąsiad i kolega z dzieciństwa, ale nie chce przerywać toku jego słów, widocznie Saba ma potrzebę wygadania się. Czy Saba mówi coś o obrzydliwej gębie naszego miasta, czy o niesprawiedliwościach tego świata, czy o zimnych sercach kobiet, Tarik tego nie wie, wie tylko, że trzeba słuchać, że to jest ważne, że Saba go potrzebuje, i Tarikowi jest z tym dobrze. Więc słucha Saby, poddaje się jego słowom, wsłuchuje się, jak wiele Saba musi znosić w życiu, potakuje od czasu do czasu, ponieważ inni zwykle też tak robią, aż tu nagle Saba zupełnie nieoczekiwanie zrywa się z miejsca i zaczyna krzyczeć. Tarik jest w szoku, zupełnie nie rozumie, dlaczego Saba wpada w szał i wydziera się wniebogłosey. Tarik nie zna tego chłopaka o anielskiej twarzy od tej strony, patrzy, jak Saba przebiega przez ulicę, nie zważając na samochody, rozlegają się klaksony, przekleństwa, wyzwiska, ale Saba zdaje się tego wszystkiego nie słyszeć, i dopiero teraz Tarik zauważa, że ulicą idą Cotne Koridze i jego towarzysze. Towarzysza Tarik zna tylko z widzenia, prawdziwego imienia nie kojarzy, ale jego pseudonim znają wszyscy w mieście, zawdzięcza go składanemu scyzorykowi zwanemu lisiczką, którym wywija na wszystkie strony jak ten cholerny Chuck Norris, eksponując przy tym swoje wytatuowane przedramiona. Tarik wie, że takie ramiona należą do facetów, którzy odsiedzieli co najmniej jeden wyrok.

Tarik chce ostrzec Sabę, chce zapobiec czemuś, czego sam do końca nie rozumie, chce coś powiedzieć, ale Saba rzuca się na tych dwóch. Lisiczka próbuje nie dopuścić go do Cotnego i obaj lądują na ziemi. Kilkoro przechodniów zatrzymuje się, jakaś starsza pani krzyczy, ktoś upuszcza siatkę z jabłkami, które toczą się po ulicy... (Dlaczego mam przed oczyma te czerwone soczyste jabłka? Czy ktoś mi o nich opowiadał, czy może ponosi mnie fantazja?) Z ust Saby wydobywają się potworne słowa, Tarik nigdy by się tego po nim nie spodziewał. Saba krzyczy i bije Lisiczkę, który wciąż ochrania Cotnego, właściwy cel Saby, i być może Tarik zadaje sobie w tym momencie pytanie, który Saba jest prawdziwy: ta melancholijna Królowna Śnieżka ze skórzaną teczką pod pachą, czy

ten, który bez opamiętania napiera na Cotnego i jego towarzysza. I wtedy pojawia się myśl: nóż, Lisiczka na pewno wyciągnie zaraz z kieszeni nóż. Tarik musi jakoś ochronić Sabę, musi coś zrobić, przechodzi więc przez ulicę, zamyka oczy, podrywa ręce do góry i wskakuje w tę kotłowaną ludźmi, bólu i przekleństw, które, jak sądzi, musi znieść jak wszystko inne w życiu. I zaczyna naśladować chłopaków z podwórka, oni na pewno broniliby przyjaciela w takiej sytuacji i walczyliby na pięści, więc zaczyna okładać wszystkich na oślep. Lecz nagle ktoś go popycha, Tarik upada na ziemię, ląduje na twardym asfalcie, robi mu się ciemno przed oczyma, świadomość go opuszcza, robi się wiotki, jeszcze bardziej wiotki, szybko to idzie... Później ludzie będą mówili, że dziesięciocentymetrowe ostrze przebiło komorę serca i nie miał żadnych szans.

KOGEL-MOGEL

Moja komórka zaczyna wibrować, wzdrygam się, jestem reliktem ubiegłego stulecia, nieważne, jak często używam tego sprzętu, nigdy nie stanie się dla mnie oczywistością. Zaczynam grzebać w torebce, wyciągam telefon i chcę odrzucić połączenie, ale zauważam, że to mój syn, więc szybko wychodzę na zewnątrz. Na schodach nabieram głęboko powietrza i odbieram telefon.

– Gdzie ty się podziewasz?

Jego głos brzmi pogodnie, zdaje się, że dobrze się miewa, więc oddycham z ulgą.

– Jestem w Brukseli. Na retrospektywie. Opowiadałam ci o niej, pamiętasz?

– A tak, tej od Diny. Nie pamiętałem, kiedy to miało być, sorry. I jak jest?

– Jest, no cóż, jestem trochę wstrząśnięta, ale... ale wystawa sama w sobie jest imponująca.

– A jest dużo starych znajomych?

Gdy przeprowadzał się do Berlina, myślałam, że potrzebuje tego dystansu i że będę musiała stale do niego wydzwaniać, ale nic z tych rzeczy, zdaje się, iż świadomość, że jest ktoś stały w jego życiu i że może z kimś porozmawiać, jest dla niego tak samo ważna jak dla mnie. I nie mam odwagi mu powiedzieć, że sama się dziwię, iż spotkało mnie takie szczęście, bo tak chętnie opowiada mi o swoim życiu. Przepenia mnie wręcz dziecięca duma, że wbrew oczekiwaniom i mimo wszystkich niedoskonałości i porażek mojego życia udało mi się być dla niego twierdzą, którą nie tak łatwo zdobyć i z której może wyruszać w świat.

– Jesteś w Berlinie? Zastanawiałeś się nad egzaminami na studia?

– Nie, przyjechałem do domu, właściwie to po to, żeby ci kogoś przedstawić.

– Jesteś u nas? Dlaczego mi nic nie powiedziałeś?

Mam wyrzuty sumienia.

– To miała być niespodzianka. Ale nic straconego, zostajemy na kilka dni. Chyba niedługo wracasz?

– Tak, prawdopodobnie jutrzejszym samolotem o osiemnastej. Zostawiłam samochód na lotnisku, więc powinnam być w domu około ósmej. A kogo chciałeś mi przedstawić?

– Beę.

– Kto to jest Bea?

– Jutro ją poznasz. Na pewno ją polubisz.

– A ty ją lubisz?

– Tak, bardzo.

– A ona ciebie?

– Mam nadzieję.

– W takim razie ja też ją polubię.

Uśmiecham się szeroko. On śmieje się powściągliwie, jak zwykle, to taki śmiech, podczas którego zawsze zdaje się panować nad sobą, jakby chciał zachować część radości dla siebie i nigdy nie otwierać się do końca. W zasadzie sporo zachowuje dla siebie, no ale dlaczego z jego życiem miałyby być inaczej? Czy aby w lodówce jest wystarczająco dużo jedzenia? Kiedy ostatni raz robiłam zakupy? Przecież nie może głodzić dziewczyny. Najwyżej pojedą do supermarketu. Przecież sobie poradzą. Jest już dorosły. Powinnam w końcu przestać. Czy kiedykolwiek można przestać?

Prawdopodobnie stoi teraz w naszej jadalni, centralnym punkcie domu, kazałam zburzyć ściany, żeby stworzyć tę wielką, wspaniałą przestrzeń, serce domowego organizmu. Pewnie drapie się z tyłu głowy albo obgryza paznokieć kciuka, gdybym stała teraz naprzeciw niego, odtrąciłabym mu rękę od ust, jak zawsze to robię, gdy zaczyna obgryzać paznokcie. Mamy swoje tajemnicze kody, język, którym mówimy tylko my, za pomocą brwi, kącików ust, zmarszczonego czoła, subtelnego szturchnięcia łokciem. Lubię nie musieć wypowiadać

wszystkiego. I podoba mi się, że odziedziczył po mnie wiele cech, że zamyka oczy, gdy się koncentruje, i przeklina po gruzińsku, gdy się denerwuje na korki w mieście. Podoba mi się jego łamany gruziński, który mój ojciec wypomina mi za każdym razem, gdy przyjeżdżamy do niego na wakacje.

Jeszcze nie zaczął szukać, ale kiedyś będzie chciał wrócić. Kiedyś odezwie się w nim jakaś jego część, jakaś jeszcze nieznana mu część siebie samego, i go zawoła. Są już tego pierwsze oznaki, próba nawiązania kontaktu z ojcem, chyba pisał do niego albo rozmawiał z nim przez telefon. Zastanawia mnie, dlaczego nic mi o tym nie mówi, może boi się mnie zranić swoim wyjściem przed szereg. Ale to przecież nic nie szkodzi. Szuka śladów przeszłości, która jest dla niego właściwie jeszcze zbyt mglista, podobnie jak przyszłość jest na razie jedynie pojęciem, ale tak właśnie powinno być. Teraz może cieszyć się taką terażniejszością, w jakiej warto żyć. A poza tym jest Bea, którą lubi i która, mam nadzieję, także go lubi, i którą ja też powinnam polubić.

– A co ze studiami? – zagajam ostrożnie, próbując usunąć z głosu wszelkie ślady presji.

– O tym też chciałem z tobą porozmawiać. Chyba jeszcze trochę poczekam. Nie chcę tego robić na łeb na szyję, wolalbym mieć większą pewność, czego chcę, no i mieć więcej czasu na muzykę. Mam dużo zamówień. Jest taki jeden zajebisty klub w Berlinie, zamówili u mnie na przyszły miesiąc cztery koncerty, wyjdę na swoje, o nie, znowu zaczynasz, nie, nie potrzebuję pieniędzy. Na pewno dam ci znać, zanim wyląduję pod mostem.

Kręcę głową, można odnieść wrażenie, że mnie widzi.

– Nie, deda, nie martw się, nie wyląduję pod mostem. Poza tym... poza tym zastanawiałem się...

– Tak?

– Daj mi skończyć. Zastanawiałem się, czy nie studiować przez jakiś czas w Tbilisi. Bea chciałaby wyjechać gdzieś za granicę jako wolontariuszka

i pomyślałem, że można by było to połączyć. Mieszkalibyśmy u dziadka i nie musiałybyś się wtedy ciągle o niego martwić.

– W Tbilisi?

A jednak nastąpiło to szybciej niż przypuszczałam.

– Tak, dlaczego nie?

Tak, dlaczego nie. Tbilisi nie jest już miastem świec i lamp naftowych, miastem walk na noże i kałasznikowy, miastem godziny milicyjnej, lodowatych mieszkań i bezsensownie przerwanych ludzkich losów. To jest teraz „hipsterskie” miasto, wszyscy chcą tam jechać, bo są tam alternatywne kluby i tętniąca życiem scena artystyczna, miasto, gdzie Zachód może zaspokoić swoją tęsknotę za „autentycznością”. Więc dlaczego nie? Mimo to jestem zaskoczona, a może to jest coś więcej niż zaskoczenie? Może to strach? Ale cóż mogłoby mu się tam stać? Miasto przyjęłoby go z otwartymi ramionami i może mógłby się tam pozbyć swojego obcego akcentu, mogliby razem z Beą, która, mam nadzieję, wystarczająco go lubi, trochę się tam rozejrzeć, może odkryć coś nowego. Przekładam te troski na jutro, kiedy już będę siedziała bezpiecznie w samolocie, z dala od tych wszystkich fotografii dookoła.

– Możemy o tym porozmawiać jutro, jak wrócę do domu?

– Coś ci jest?

– A co ma być?

– Twój głos. Nie podoba ci się mój plan?

– Nie, podoba mi się, tylko jestem trochę zaskoczona... Bo tak zachwycałeś się Berlinem i mówiłeś, że wydział kompozycji jest tam taki wspaniały i że są tacy otwarci na muzykę elektroniczną i eksperymentalną...

– W Tbilisi też są studia kompozycji – przerywa mi – wchodziłem na stronę konserwatorium i...

– Oczywiście, że są. Wszystko tam jest, ale... – Sama jestem przerażona gwałtownością swojej reakcji.

– Ale co?

– Porozmawiajmy o tym na spokojnie, kiedy wrócę, okej? Muszę teraz wracać. Właśnie rozpętało się tu piekło.

– Jak chcesz. W porządku.

Kończymy rozmowę. Jest urażony. Nienawidzi sytuacji, gdy nie doprowadzamy czegoś do końca, to wychowanie Reza. Nie da się zaprzeczyć jego wpływom. A może już z nim o tym rozmawiał? Ta myśl powoduje lekkie ukłucie. Ich męska więź zawsze wywoływała u mnie uczucie zazdrości. W porządku. Echo tych słów pobrzmiewa mi jeszcze w głowie przez jakiś czas. W porządku. Jakie to cudowne mieć w sobie taką wiarę w jutro, jakie to cudowne otulić się kołderką młodości i wiary w siebie, być zakochanym w dziewczynie i snuć z nią plany na przyszłość, których nikt nie roztrzaska kałasznikowem. Jest bezpieczny. Zapewniłam mu poczucie bezpieczeństwa. Spełniłam swoje zadanie. Berlin albo może Tbilisi – na te pomysły potrzebuję jednak jeszcze trochę czasu. No cóż, te wszystkie miasta i przeprowadzki nie zaszkodziły mu, w każdym razie nie w jakiś istotny sposób, niczego mu nie odebrały, a brak ojca po tym, jak Rezo zniknął z jego życia, co zresztą wisi nade mną jak niewypowiedziany zarzut, rekompensują mu wszystkie możliwości, jakie daje mu wolność, którą wydarłam losowi, dla niego. Trzymam się tego jak poręczy. Nabieram głęboko powietrza, chowam telefon do torebki i wracam – do przeszłości.

Jeśli wierzyć plotkom, Tapora zapłacił Lisiczce niezłą sumę, żeby z tym zdarzeniem, w którym zginął niewinny człowiek, nie wiązano nazwiska Cotnego Koridze. Cotne zniknął na kilka tygodni, a potem wrócił na ulice naszej dzielnicy, jakby nic się nie stało. Lisiczka odsiedział jakiś śmiesznie niski wyrok, który jeszcze bardziej uwydatnił bezsensowność śmierci Tarika.

Tarik nie żył, pozostanie martwy już na zawsze. Nie znaliśmy kurdyjskich zwyczajów, czuliśmy się zakłopotani i czekaliśmy, aż jego rodzice i inni członkowie rodziny dadzą ujście swojej rozpacz. Krzyk jego matki, gdy niesiono przez podwórko drewnianą trumnę z zawiniętym w białe płótno ciałem, to najstraszliwsza pieśń żałobna, jaką kiedykolwiek słyszałam. Złorzeczenia, jakie

wyrzucała z siebie, gdy niesiono jej martwego niewinnego syna na cmentarz, omdlenia, podczas których padała na kolana, to pierwsze prawdziwie przerażające obrazki z mojego dzieciństwa. Saba i mój brat, obaj niosący trumnę, chorobliwie zaciśnięte usta Lewana, wyciszony, krępy i niesamowicie owłosiony ojciec Tarika, który załamał się dopiero na cmentarzu, gdy zgodnie ze zwyczajem wyjęto syna z trumny i złożono w ziemi twarzą zwróconą w kierunku Mekki.

Śmierć Tarika była pierwszym sygnałem niewidocznej jeszcze wojny, czasów, w których ludzie z półświatka już dawno przestali być królami więziennych cel i ciemnych podwórek i rządili w świetle dnia, współtworzyli prawo, mieli swój udział w kształtowaniu przyszłości kraju, przeniknęli nawet do gmachu rządu. W ówczesnym gąszczu łatwo było wtopić się w otoczenie, nastąpiły czasy kameleonów, państwo było przecież zaledwie chwiejną konstrukcją, domkiem z kart, który mógł się rozpaść przy najmniejszym podmuchu wiatru. Prezydentowi, charyzmatycznemu dysydentowi ze skłonnością do ezoteryki, udało się błyskawicznie narobić sobie wrogów. A jego współpracownicy albo byli martwi, albo się od niego odwrócili.

Władza jednego z najbardziej wpływowych przedstawicieli półświatka, ubóstwianego przez kobiety i szanowanego przez mężczyzn wielkiego kryminalisty i dysydenta Dżaby (nikt nawet nie używał jego nazwiska, jakby na świecie istniał tylko ten jeden Dżaba), nabrała nieprawdopodobnego zasięgu. Dysponował prywatną armią, paramilitarną jednostką rebeliantów, młodych romantyków, bandytów brutalnie wymuszających haracze, młodzieńców bez celu w życiu, armią, która miała rzekomo gwarantować narodowi „ochronę” i która przyciągała coraz to więcej młodych mężczyzn. Każdy, kto wstąpił do Mchedrioni, nosił na szyi łańcuch z wizerunkiem Świętego Jerzego przedstawiającym świętego w momencie, gdy zabija wszechmocnego smoka, musiał także złożyć przysięgę na kraj, naród i Kościół. Jakie mi się to wszystko wydaje groteskowe, jakie brutalne i żałosne, kiedy o tym myślę i gdy przypominam sobie twarz tego łysielca, jakby to było

wczoraj, jego mundur, złoty krzyż zawieszony na byczej szyi, jego groźby i pokrzykiwania, w błocie, w zoo obok wybiegu dla małp...

Czas ciągnął mnie wtedy za sobą jak matka swoje niegrzeczne dziecko. Jesień rzuciła się na miasto jak wygłodniałe zwierzę, ludzie zaczęli zabezpieczać się na zimę, która nie zapowiadała niczego dobrego, ponieważ inflacja galopowała jak oszałała. Co nadeszło najpierw? Chłód czy strach, moi wierni towarzysze nadchodzących lat? Wraz z nadejściem chłódów nad całym miastem zaczął unosić się zapach nafty, centralne ogrzewanie już dawno przestało działać, a grzejniki wędrowały jeden po drugim do handlarzy złomem. Całe podwórko odetchnęło z ulgą, gdy zaczęto mówić, że Kurdowie się wyprowadzają; jedna z córek, która przeprowadziła się za mężem do Baku, postanowiła sprowadzić rodziców do siebie. Pogrążona w żałobie matka nie chciała już po śmierci Tarika zamiatać ulic w dzielnicy, która bez skrupułów uczyniła z jej syna ofiarę, a ojciec przestał chodzić do łaźni siarkowych, żeby nie musieć już nacierać pleców facetom, którzy nie ochronili jego syna. Pewnego dnia po prostu zniknęli, nikt nie powiedział im „do widzenia” i nie życzył przeprowadzającym się szczęścia. Wszyscy zachowywali się tak, jakby ich tu nigdy nie było, jakby na ulicy Winorośli nikt taki nigdy nie mieszkał. Wydawało się, że całe podwórko odetchnęło z ulgą, ponieważ nieustające lamentsy matki Tarika i zastygła, nieruchoma twarz jego ojca ciągle przypominały nam o tym, że zawiedliśmy, były rysą na naszej podtrzymywanej z takim trudem i wysiłkiem fasadzie normalności. Tylko na widok głodnych kotów i psów w naszej dzielnicy przez chwilę przeszywał nas dreszcz. Wszystkie te pozostawione zwierzaki wyglądały jak opuszczone sieroty, tworzyły chór żałobny, potępiający chłód ludzkich serc.

Z przeciwległego kąta dociera do mnie śmiech Nene. Jej spojrzenie jest pełne tajemnic, to prawdziwa skarbnica opowieści i wspomnień. Jestem jej wdzięczna, że upewnia się, czy nadal istnieje dawna więź między nami i czy podążam jej śladem, czy jestem blisko niej. Jednocześnie rozglądam się za naszym trzecim muszkietierem, szukam Iry, której początkowo nie mogę znaleźć w tym zgiełku. Ale

nie, jest tutaj, również czeka na moment, w którym wspólnie podniesiemy wieko tej zakurzonej skrzyni.

Nene otrzymuje właśnie kolejnego drinka, szarmancki kelner dał się złapać w jej sidła, nie będzie już w stanie niczego jej odmówić, a ja przypominam sobie tamten szary listopadowy dzień, gdy na schodach do stacji metra obok wielkiego, niegdyś bogato zaopatrzonego, a wtedy przygnębiająco pustego budynku domu towarowego Uniwersum przykuł moją uwagę jej jaskrawożółty płaszcz i zatopiona w myślach zaczęłam deptać jej po piętach. Na dworze było mokro, drzewa zdawały się wstydić swojej nagości, a pusty i szary plac Wolności rozpościerał się przed nami jak rozpakowany i niechciany podarunek. Ludzie o matowych twarzach spieszyli się do metra, ale jej postać na tle tego tłumu jaśniała blaskiem. Miała kunsztownie spięte grube pszeniczożółte włosy, a na nogach błyszczące kozaczki. Szłam za nią w milczeniu przez kilka minut, całkowicie zauroczona jej chodem, który był energiczny, ale jednocześnie swobodny i lekki jak piórko. Zdawała się płynąć. Zdziwiła mnie ta lekkość, której wcześniej u niej nie znałam. Czyżby była z Ottonem szczęśliwa? Czyżby jej małżeństwo nie było tak złe, jak się spodziewano? Czyżby pogodziła się z przeszłością i znalazła nowy początek?

– Nene! – zawołałam przez mżawkę.

Przystanęła i z przerażeniem zaczęła się rozglądać, jakby spodziewała się jakiegoś nieszczęścia.

– Keto?! – Wydawała się zaskoczona i jednocześnie uradowana. Spojrzała nerwowo przez ramię, jakby chciała sprawdzić, czy nikt nas nie widzi.

– Co ty tu robisz? – spytałam ją i rzuciłam się jej na szyję.

Nie widziałam już jej kilka tygodni. Po ślubie odwiedziłyśmy ją tylko raz, Dina i ja, bo Ira nie chciała z nami iść. To było strasznie sztuczne i krępujące spotkanie, ponieważ cała rodzina była przy tym obecna, nie dało się otwarcie rozmawiać, ponadto stałyśmy się mimo woli aktorkami kiepskiego przedstawienia. Manana zaprosiła nas na obiad, Otto i Cotne również usiedli do stołu, więc nie czułyśmy się swobodnie. Dopiero gdy podczas pożegnania zostałyśmy na chwilę same, Dina nie

mogła już się powstrzymać i zapytała Nene bez ogródek, jak zachowuje się jej niesympatyczny małżonek. Odpowiedziała, że prawie go nie widuje, ostatnio ciągle gdzieś podróżuje z jej bratem, robią podobno jakieś interesy, a więc „ma go z głowy”. „A w nocy? – dopytywała Dina. – No wiesz, o co mi chodzi”. „Na pewno mnie nie dostanie, nigdy nie wzbudzi we mnie pożądania, a całą resztę da się wytrzymać” – powiedziała bez cienia goryczy, bez jakiegokolwiek emocji. Cała ta sytuacja nas przerastała i zostawiłyśmy przyjaciółkę samą. Miałyśmy wyrzuty sumienia, ale jednocześnie nie chciałyśmy ciągle o tym myśleć.

Wtedy, na stacji metra, wszystko to poszło w niepamięć, miałam przed sobą swoją starą przyjaciółkę i mogłam się czuć swobodnie. Długo przytulałam ją do siebie, a potem zaczęłam się jej przyglądać. Tak, promieniała, trudno było nie zauważyć tego blasku, był wręcz oślepiający.

– Muszę iść do metra – powiedziała krótko i spojrzała na mnie lekko zakłopotana.

– Od kiedy ty jeździsz metrem?

– Kiedy Cotne i Otto są zajęci, mam czas dla siebie. I wtedy jeżdżę po prostu metrem! – Zaśmiała się w typowy dla siebie kokieteryjny sposób, odchylając głowę do tyłu.

– Wiesz co, odprowadzę cię, tak dawno się nie widziałyśmy, nic się nie stanie, jeśli opuszczę kilka pierwszych zajęć. Pewnie nawet nie zauważą, że mnie nie ma.

I nie czekając na odpowiedź, wzięłam ją pod rękę. Z jednej strony wyglądała na zadowoloną z naszego spotkania, z drugiej jednak czuła się zakłopotana, ponownie rozejrzała się, jakby miała coś do ukrycia.

– Czy nie będzie problemu, jeśli przyjdę z tobą do domu? – zapytałam, gdy stałyśmy już na ruchomych schodach. Dość powściągliwie przytaknęła. – Tak za tobą tęskniłam... Popatrz, prawie w ogóle się ostatnio nie widzimy.

– Przecież wszystkie jesteście zajęte. Ira nawet nie odbiera telefonu, kiedy do niej dzwonię – powiedziała z wyrzutem w głosie, a ja poczułam, jak

niespodziewanie wzbiera we mnie złość, złość na samą siebie, na swoje tchórzostwo i słabość. Miała oczywiście rację i zrobiło mi się wstyd.

– Wiesz, jak ona cię kocha. Nie daje sobie rady z tym wszystkim. Z nami też nie rozmawia, ucieka do swoich kodeksów prawnych.

W nozdrza uderzył mnie gryząco ciepły zapach metra.

– A wy? Jak to jest z wami?

To było nietypowe pytanie jak na Nene, ponieważ zwykle za wszelką cenę unikała nieprzyjemnych rozmów i potencjalnych konfliktów, ale tym razem oczekiwała ode mnie szczerzej odpowiedzi.

– Nie wiem, Nene. Tyle razy zamierzałyśmy cię odwiedzić, a potem... Wydaje mi się, że nie do końca wiemy, jak mamy do tego podchodzić, a ty też trochę się zamknęłaś, ostatnim razem, kiedy do ciebie przyszłyśmy, było jakoś inaczej... – Szukałam odpowiednich słów.

Na peronie było mnóstwo ludzi. Zaczęłyśmy się przepychać do przodu. Nene znów zaczęła się energicznie rozglądać, jakby kogoś szukała. Nie powiedziała już ani słowa i wcisnęłyśmy się do zatłoczonego pociągu. Benzyna była towarem deficytowym i coraz więcej ludzi jeździło metrem, dlatego ta jazda przypominała walkę o przetrwanie rodem z prehistorycznej epoki. Dwa przystanki przed dworcem kolejowym, tuż za stacją Rustaweli, wagonem nagle szarpnęło, pociąg zatrzymał się i zapadły totalne ciemności. Pasażerowie zaczęli krzyżeć: „Nie, to niemożliwe!”, „Ci cholerni idioci!”, „Na co komu w tym kraju niepodległość, skoro nie potrafią nawet zadbać o porządne dostawy prądu!”, „Pocałujcie mnie w dupę!”, „Muszę odebrać dziecko ze szkoły, co ja mam teraz robić?!”, „Trzeba ich zaskarżyć, sami jeżdżą zagranicznymi samochodami, a biedny naród musi cierpieć!”, „Ci na górze i ich rodziny powinni siedzieć w takich ciemnościach po wieczne czasy!”.

Tak brzmiały skargi i utyskiwania w tamtych czasach. Zazwyczaj strachliwa Nene zachowywała spokój i nagle, jakby liczyła się z taką sytuacją, wyciągnęła z torebki wąską latarkę.

– Wygląda na to, że jesteś przygotowana na wszystko – skomentowałam, patrząc na latarkę.

– Tak, to się zdarza. O tej porze często nie ma prądu.

Jej odpowiedź mnie zaskoczyła. Skoro wiedziała o tym, dlaczego jeździła metrem? W końcu jej rodzina nie była skazana na publiczne środki transportu. Kilkoro innych doświadczonych pasażerów również wyciągnęło latarki, siedzący obok siebie ludzie zaczęli nawiązywać rozmowy. Ktoś z sąsiedniego wagonu zaczął stukać w szybę i dawać ręką jakieś znaki. Pewnej starszej pani zrobiło się słabo i któryś ze współpasażerów podał jej gazetę do wachlowania.

– I co teraz? – spytałam.

– Wsiądziemy i pójdziemy pieszo do następnej stacji, bo prądu nie będzie jeszcze przez jakiś czas. Ale kierownik pociągu musi najpierw wydać na to zgodę.

– A jak on to zrobi bez mikrofonu?

– Ktoś z innego wagonu da nam znać.

Z niezachwianą pewnością jasnowidzki zaczęła opisywać mi kolejne kroki. Może traktowała to jako przygodę, a może to był jej sposób na zapewnienie sobie rozrywki w swoim małżeńskim życiu? Mieszła się wtedy z tłumem i przeżywała trudy codzienności jak inni zwykli śmiertelnicy. Ale to w ogóle nie pasowało do Nene, była za bardzo roztrzepana, zbyt marzycielska, również zbyt egocentryczna.

Rzeczywiście nie minęło wiele czasu i z przedniego wagonu nadeszła wiadomość, że do najbliższej stacji, Mardżaniszwili, trzeba przejść przez tunel. Gołymi rękami rozsunęto drzwi wagonu, najpierw wypuszczono kobiety i dzieci, potem wyszła reszta pasażerów i wszyscy jak posłuszna armia wkroczyli w ciemność. Wciągając brzuchy, przeciskaliśmy się między ścianą a masywnymi wagonami, aż w końcu znaleźliśmy się w wąskim, śmierdzącym i wilgotnym tunelu. Naszą kolumnę prowadziło kilku przewodników z latarkami, którzy w tej swego rodzaju akcji wyzwolenczej wykazywali się już pewną rutyną. Moja drobnej postury przyjaciółka dzielnie oświetlała mi drogę przez podziemny świat. Cała sytuacja wydawała mi się makabryczna, marsz ciągnął się w nieskończoność,

straciłam wszelkie poczucie czasu, aż tu nagle bez jakiegokolwiek ostrzeżenia Nene chwyciła mnie za nadgarstek i odciągnęła na stronę. Zanim się obejrzałam, znalazłam się w małym szybie zaopatrzeniowym znajdującym się za zardzewiałymi metalowymi drzwiami. Kapało z sufitu i obleciał mnie strach przed szczurami, ale uśmiechająca się z zadowoleniem Nene emanowała takim spokojem, że udało mi się uniknąć paniki.

– Co my tutaj robimy?

Zaczęłam się czuć nieswojo.

– Pobędę tutaj przez chwilę, możesz iść dalej, spotkajmy się za jakieś pół godziny na stacji Mardżaniszwili – powiedziała lekko zakłopotana i wyciągnęła z torebki papierosa. – Kolumna jest długa, ale niedługo będą tędy przechodzić ostatni pasażerowie, więc zabierzesz się z nimi, okej?

Potem Bóg raczy wiedzieć skąd wyciągnęła świeczkę umocowaną w pustej puszcze po konserwie i zapaliła ją. Żartuje sobie ze mnie czy co? Nic z tego nie rozumiałam.

– Nene, chyba nie zamierzasz tutaj zostawać?

I zanim wypowiedziałam to zdanie do końca, dotarło do mnie, o co tutaj chodzi. Jasne, to była kryjówka, to absurdalne miejsce zapewniało im niezbędną ochronę, mogła tu z nim pobyc. Spotykali się tutaj, właśnie w tym obrzydliwym, przerażającym szybie. Więc jednak nie pogodziła się tak łatwo ze swoim losem. Oczywiście znalazła jakiś sposób, żeby nadal spotykać się z Sabą. Tak, znów go kochała albo raczej nigdy nie przestała go kochać.

– O Boże, Nene! – Zakryłam usta ręką, żeby nie krzyknąć. Ta sytuacja miała w sobie równocześnie coś niezwykle komicznego, ale nie byłam pewna, czy śmiech był tutaj na miejscu. – To Saba, prawda? Znowu się spotykacie?

Uśmiechnęła się szeroko i z rozkoszą zaciągnęła się papierosem.

– Zobaczymy się na stacji Mardżaniszwili? Pośpiesz się, bo ludzie zaraz przejdą i zrobi się ciemniusieńko – powiedziała i pogładziła mnie po ramieniu. – Naprzeciwko teatru otworzyli nową kawiarnię, możemy tam usiąść i wypić mokkę.

Skinęłam głową, jej światowa pewność siebie mnie rozbawiła, wyraźnie podobała się sobie w roli zepsutej *femme fatale*. Wyskoczyłam przez drzwi i przyłączyłam się do ostatniej grupki w kolumnie. Przemierzaliśmy ciemności jak w jakimś katastroficznym filmie, my, nieliczni ocalańcy, ostatni ludzie na tej planecie. Odwróciłam się, żeby się upewnić, i rzeczywiście zobaczyłam, jak gęsta czupryna Saby znika za zardzewiałymi drzwiami.

Światło uderzyło mnie jak gniew żadnego zemsty boga. Po pokonaniu nieskończenie długich niedziałających schodów ruchomych ledwo łapałam oddech. Jakaś pani w mundurze kierowała ruchem, pomagając nam wydostać się z gruzińskiego podziemia. Potrzebowałam paru chwil, żeby znów przyzwyczaić się do światła, usiadłam na chodniku i zaczęłam płakać. Nawet nie wiedziałam, dlaczego płaczę. Czy dlatego, że jestem wściekła, bo tyle przeoczyłam, a właściwie nie rozumiałam, zignorowałam albo wyparłam ze świadomości, czy dlatego, że jestem wzruszona bezwarunkową odwagą tej pary. A może była to jakaś nie do końca świadoma, ale odczuwana każdą komórką ciała troska o tych dwoje, których miłość zepchnęła w dosłownym znaczeniu tego słowa do podziemia. Płakałam gorzko i długo. Niebo patrzyło na mnie z obojętnością i nikt z wychodzących ze stacji metra się nie zatrzymał, każdy gdzieś się spieszył, z wdzięcznością i ulgą, że wprawdzie nie dotarł do celu, ale wyszedł cało z ciemnego tunelu.

Pomyślałam o Lewanie, który po naszym starciu, gdy ośmieszyłam go przed swoim bratem, wyraźnie mnie unikał. Byłam na swój sposób dumna z własnej odwagi, ale jednocześnie odczuwałam smutek. Jego głupie ideały z jakiegoś amerykańskiego spaghetti westernu były najwyraźniej ważniejsze ode mnie. Bał się, że popadnie u Ratiego w niełaskę, więc nie pozostawało mi nic innego, jak tylko pogodzić się z tym. Ale jednocześnie tęskniłam za nim, za Lewanem z dudukiem, za jego pogodą ducha, jego ciekawością. Tęskniłam za jego spojrzeniem, które oznaczało akceptację, tęskniłam za jego błyskotliwymi komentarzami i za jego nieśmiałym i jednocześnie dwuznacznym puszczaniem oka.

Nene zjawiła się o umówionej godzinie. Zdaje się, że dostawy prądu w metrze określały rytm jej miłosnego związku. Szminka zniknęła z ust, a policzki płonęły

zdradliwie czerwienią. Usiadłyśmy w nowo otwartej kawiarni i zamówiłyśmy po mokce.

– Ale przygoda, no nie? – zawołała z euforią w głosie, jakbyśmy właśnie miały za sobą najbardziej emocjonujące wydarzenie życia.

– To, co robicie, jest trochę niebezpieczne.

Natychmiast rozzłościłam się na siebie za to idiotyczne zdanie. Ale co miałam powiedzieć? Jakie słowa byłyby odpowiednie? Miałam dodawać jej odwagi albo ją upominać? Jaką rolę odgrywałam w tym pełnym zwrotów scenariuszu?

– Płakałaś? – Zmierzyła mnie badawczo wzrokiem i znów zapaliła nerwowo papierosa. – Masz całkiem czerwone oczy.

– Musiałam się przyzwyczaić do światła dziennego – powiedziałam wymijająco. – Rany boskie, jak wyście wpadli na ten obrzydliwy szyb?

– Niezła jazda, prawda? – Klasnęła w dłonie. – To był przypadek. Jechaliśmy metrem, wtedy, podczas naszego pierwszego spotkania, kiedy jeszcze nie wiedzieliśmy, gdzie mamy się spotykać. Zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy przypadkiem znaleźli się w tym samym wagonie, i wtedy nagle zabrakło prądu... To było takie romantyczne i gdy potem szliśmy ciemnym tunelem, zaciągnął mnie do tego ukrytego kąta i pocałował mnie, myślałam, że zemdleję, to było takie piękne. Udało nam się w międzyczasie poznać wszystkie szyby między stacjami Wazlis Moedani i Samgori. Nazywamy je naszymi miłosnymi szybami. – Zaśmiała się głośno. – On potrafi tak niesamowicie całować. Keto, to się nazywa szczęście, mówię ci, prawdziwe szczęście!

Znów na nią spoglądam, stoi teraz odwrócona do mnie plecami, wyjątkowo z nikim nie rozmawia, zapatrzyła się na jakieś zdjęcie. Mijam jedną ze ścian z fotografiami, nie zatrzymuję się, bo zgromadziło się tam zbyt wiele osób, mimo to udaje mi się rzucić okiem na jedno zdjęcie. Ukazuje demonstrantów z namalowanymi własnoręcznie transparentami w dłoniach, stojących przed budynkiem parlamentu. Przeszłość natychmiast wskakuje w moją terażniejszość i znów mnie wciąga, błyskawicznie powraca nastrój tamtych dni: napięcie,

rozdrażnienie i uporczywe wypieranie strachu, który czaił się wszędzie jak wygłodniały drapieżnik.

Korzystałam wtedy z każdej okazji, żeby tylko uciec z domu, ponieważ byłam tam skazana na niekończące się sprzeczki między Eter i Oliko, w których ostatnio zaczął brać udział także mój ojciec. Oliko chodziła regularnie na demonstracje, by wesprzeć prezydenta, i kilka razy o mały włos zostałaby pobita. To skłoniło mojego ojca do opuszczenia swego baśniowego zamku zbudowanego z jazzu i wzorów fizycznych i włączenia się do domowych potyczek między matką a teściową. Nikt z nas nie potrafił zrozumieć, dlaczego Oliko stała się nagle taką zagorzałą fanatyczką. Widziała w prezydencie prawdziwego patriotę, który jest w stanie zdemaskować „pozostałych jeszcze opozycyjnych szakali” i wprowadzić w kraju wytęsknioną demokrację. Zdawała się przy tym nie dostrzegać coraz bardziej nacjonalistycznego charakteru jego przemówień i całkowitego oderwania od życia. „Założyliście teraz prawdziwą sektę i jesteście zwolennikami jedyne prawdziwego mesjasza, tak?” – zwykł sarkastycznie mawiać mój ojciec. Ale w oczach Oliko Gruzini byli najbardziej niewdzięcznym narodem na ziemi, a poza tym pewne ofiary były konieczne.

Fakt, że ojciec musiał dwa razy stawić się na posterunku milicji, żeby poddać się upokarzającemu przesłuchaniu w sprawie syna, powodował dodatkowe napięcia w domu. Za każdym razem brał po powrocie krople walerianowe, a babudy natychmiast zaczynały mierzyć mu ciśnienie. Do tej pory nigdy nie miał do czynienia ze stróżami prawa i niezbyt dobrze sobie z tym radził, ale Rati pozostawał niewzruszony. Twierdził, że nikt nie może mu niczego zarzucić i że gdyby mieli coś na niego, już dawno sami by się tu zjawili, po prostu zazdroszą mu pozycji i liczą na procenty od jego biznesu. Ojciec nie powinien dać się „tym pedałam” zastraszyć, za wszystkim stoi na pewno rodzina Koridze, to przecież, jego zdaniem, jasne jak słońce. Chcą go na pewno usunąć z drogi, „ale tu się nacięli, trafiła kosa na kamień”, stwierdzał triumfalnie mój brat.

Mimo że doskonale znałam przebieg takich dyskusji i ich zakończenie, za każdym razem wprawiały mnie w smutny nastrój. Współczułam ojcu, który po

prostu nie potrafił zrozumieć, że jego syn uznał tak odległą mu, niepojętą i groźną rzeczywistość za swój świat. Nawet dziś jeszcze odczuwam żal, gdy przypominam sobie te domowe sceny, ojca w wykrochmalonych koszulach, jego krzaczaste brwi, zamyślane oczy i jego nieumiejętność obchodzenia się z synem, jego brak zrozumienia dla drogi, którą obrał Rati.

Niestety przesłuchania na milicji były jedynie zapowiedzią tego, co miało nastąpić potem. Krótco przed puczem obudzili nas nocą trzej ciężko uzbrojeni mężczyźni w cywilnych ubraniach i przedstawili się jako wysocy rangą funkcjonariusze. Poinformowali, że mają nakaz przeszukania mieszkania i że będzie „przyjemniej” dla nas wszystkich, jeśli pozwolimy im spokojnie wykonać pracę i poczekamy na zewnątrz. Posłuszni jak dzieci narzuciliśmy płaszcze i wyszliśmy, ja także wytoczyłam się w półśnie na werandę, nikt z nas do końca nie rozumiał, czego ci ludzie szukają w naszym domu. Jedynie Rati odmówił współpracy i wciąż nas wzywał do powrotu do mieszkania, twierdząc, że powinni przeprowadzać przeszukanie w naszej obecności, bo inaczej „mogą mu podrzucić Bóg wie co”. W końcu ojcu udało się wypchnąć wzburzonego Ratiego na werandę, gdzie ogarnęła go taka wściekłość, że stracił panowanie nad sobą: „Te sukinsyny nie mają prawa, co oni tu robią, jeszcze tego pożąłują, jak tak można napadać na nas nocą, nakaz przeszukania to czysta kpina, kto z was go tak naprawdę widział? Pokazali go?”. W tym momencie milicjanci wyszli z mieszkania, a mój brat ryknął im prosto w twarz, że niech się pocałują w chuja, na co najniższy z nich uderzył Ratiego, a potem nie trzeba już było długo czekać, by pięści pozostałych również poszły w ruch. Patrzyłam, jak mój brat opada powoli, jakby w zwolnionym tempie, na podłogę. Jeszcze dziś doskonale pamiętam to wrażenie, jakbym była w jakimś filmie, jakby to wszystko było nieprawdą, krew Ratiego była jednie sztuczną krwią, a ja nie muszę się o nic martwić, mogę po prostu oprzeć się wygodnie w fotelu i patrzeć z odrazą i jednocześnie fascynacją na to, co dzieje się na ekranie. Może myślałam tak dlatego, że pierwszy raz zobaczyłam człowieka tak bezlitośnie zdanego na pastwę innych i satysfakcję na twarzach tych, którzy mają przewagę i czerpią przyjemność ze zniszczenia, którego dokonują.

Oczywiście zabrali go ze sobą. Gdy tylko zrobiło się jasno, ojciec i ja poszliśmy na posterunek. Minęła wieczność, zanim zrozumieliśmy, że Rati nie został zabrany ze względu na swoje nieposłuszeństwo, lecz z powodu dziesięciu gramów heroiny, które rzekomo przy nim znaleziono. Oczywiście kłamali. Wtedy jeszcze Ratiego dzieliły lata świetlne od wszelkiego rodzaju uciezek od rzeczywistości i stanów mgły mózgowej, ćwiczył się w roli przywódcy, uważał uzależnienie za słabość i gardził tym. Zresztą heroina była wtedy jeszcze w naszej słonecznej ojczyźnie czymś w rodzaju *terra incognita*, a ktoś taki jak Rati nie miał dostępu do tak rzadkich środków odurzających.

Mimo że ojciec był świadkiem brutalności państwa, wzbraniał się spojrzeć faktom w oczy i uznał winę syna. Krzyczałam na niego, ale tak naprawdę krzyczałam głównie z powodu własnej bezsilności. Oliko płakała, a Eter siedziała w kuchni sztywna jak słup soli i się nie odzywała. Ojciec chodził tam i z powrotem, przeklinał, złorzeczył i zastanawiał się głośno, z kim należy się skontaktować i jaki następny krok wykonać. Ja w tym czasie przygotowywałam kawę na turystycznej kuchence gazowej, której zaczęliśmy ostatnio używać, bo na centralne zaopatrzenie w gaz nie było co liczyć.

Wieczorem przyszli Lewan, Saba i Sancho. Oni też byli wściekli i twierdzili, że tamci chcą po prostu pozbyć się ich z dzielnicy.

– Ale skurwysyny się przeliczyły! Chomik z ulicy Kirowa mówił mi, że Cotne zjawił się niedawno u chłopaków, którzy grają tam w pokera, i powiedział, że nie wolno już grać za zamkniętymi drzwiami, bo oni zamierzają otworzyć salon bukmacherski. A teraz chcą jeszcze położyć łapę na salonach gier – opowiadał podenerwowany Sancho.

– Ten typ naprawdę nazywa się Chomik? – zapytałam.

Wszyscy spojrzeli na mnie poirytowani, nie mogłam się powstrzymać i wybuchłam głośnym śmiechem, bo wyobraziłam sobie pucołowatego typka z zębami gryzonia. Zeszło ze mnie całe napięcie, nie potrafiłam się opanować.

– Przestań już! – W głosie Lewana słychać było rozdrażnienie. Od początku, gdy zjawił się w naszym mieszkaniu, unikał mojego wzroku, ale teraz nie miał innego wyjścia i spojrzał na mnie, przywołując mnie do porządku.

Ale ja wciąż się śmiałam, śmiałam się i śmiałam, coraz głośniejsze, a mój śmiech rozchodził się w ciemnościach, w których nagle się pogrążyliśmy, ponieważ wyłączyli prąd. Ktoś zapalił zapalniczkę. Babuda dwa zapukała do drzwi i podała nam świeczkę.

– Te łąchudry znowu wyłączyły nam prąd! Nawet podczas wojny nie było czegoś takiego! – narzekała, mając na myśli drugą wojnę światową. – Chłopcy, chcecie się może czegoś napić?

– Nie, ciociu Oliko, dziękujemy, niczego nie potrzebujemy.

– Mamy co nieco w obszczaku – powiedział Sancho. – Możemy to zanieść temu lepskiemu adwokatowi, wiesz, Lewan, nie pamiętam, jak on się nazywa, ten gość, który wybronił Gagę, jego mam na myśli, on im może przyjebać!

– Hej, przystopuj, okej? – wtrącił się Saba. – Nie jesteśmy tutaj sami.

– Ja też uważam, że musimy zebrać jakieś pieniądze. A co z samochodem Ratiego? Moglibyście go sprzedać? Powinna być za to niezła sumka – zwróciłam się do całego towarzystwa.

Zarówno Sancho, jak i Lewan spuścili wzrok, co nie oznaczało niczego dobrego.

– No co z tym samochodem? – naciskałam.

– No tak, samochód. No więc, jak by to powiedzieć... – Sancho podrapał się po głowie. – To jest taki specjalny samochód, nie ma papierów, rozumiesz, co mam na myśli.

– Czy to znaczy, że samochód jest kradziony? – Moje oburzenie powróciło w ułamku sekundy.

– Nie, tak nie można powiedzieć, po prostu nie jest oficjalnie dopuszczony do użytku, więc nie da się go tak łatwo sprzedać – wyjaśnił Lewan, zapalając przy tym papierosa.

– No to pięknie. Wspaniale! W takim razie jak mamy zebrać te pieniądze? Zaraz, a może moglibyśmy sprzedać trochę biżuterii, choć podejrzewam, że to i tak nie wystarczy – zaczęłam się głośno zastanawiać. – On nie może tam za długo siedzieć.

– Uwolnimy go, a wtedy przypierdolimy im wszystkim! – syknął Lewan. – Keto, wybacz.

– Dobra, ale do tego czasu musicie siedzieć cicho, proszę was, żadnych awantur, żadnych pyskówek, nie możemy dopuścić, żeby oba fronty jeszcze bardziej się wzmocniły. Wiecie, że Tapora ma znajomości w prokuraturze – zwróciłam się do chłopaków, dziwiąc się sama sobie, z jaką łatwością przychodzi mi myślenie ich kategoriami, jaka jestem przy tym spokojna i rozważna, jakbym przez całe życie nie robiła niczego innego, tylko zarządzała bandą, jakbym była częścią tego podziemnego świata.

– Patrzcie no, Keto doskonale odnajduje się w ulicznym światku. Rati będzie z ciebie dumny! – Sancho zaśmiał się, jakby czytał w moich myślach, i opadł na podniszczony fotel, w którym mój brat zwykł oglądać swoje ulubione filmy albo niesamowicie skoncentrowany grał w *Super Mario* albo *Tetris*.

W pewnym momencie Lewan odprawił Sancho i Sabę i zostaliśmy sami przy świetle świecy w osieroconym przez mojego brata pokoju. Z niespodziewaną oczywistością przejął stery, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. Podczas nieobecności Ratiego to on decydował o wszystkim i dawał całej paczce instrukcje. Także on postanowił znaleźć adwokata. Po raz kolejny uświadomiłam sobie, że zgodnie z ich kodeksem wartości nie wolno mu mnie tknąć, ponieważ jest prawą ręką Ratiego, nie może kochać mnie tak, jak pragnęłam, żeby mnie kochał. Byłam skazana po wsze czasy na rolę młodszej siostry. Nienawidziłam tych idiotycznych reguł i tego niepisanego prawa, które dyktowali i ustanawiali mężczyźni. Przyglądając się Lewanowi w tym przytłumionym świetle świecy, nawet nie byłam wściekła, czułam tylko żal, dojmujący, gorzki żal, ponieważ jego decyzja wydawała mi się całkowicie bez sensu, patrzyłam na niego jak na kogoś, kto żyje w celibacie i z własnej woli wyrzeka się wszelkich ziemskich uciech.

– Unikasz mnie ostatnio – powiedział i odwrócił się do mnie plecami, patrzył przez okno na ulicę całkowicie pogrążoną w ciemnościach.

– Ja? Ja unikam? – Chyba się przesłyszałam.

– Tak, ty. Może nie? – Odwrócił się nagle.

– To ty od ostatniej naszej rozmowy z Ratim patrzysz na mnie jak na powietrze.

– Czego się spodziewałaś? Zrobiłaś ze mnie idiotę, faceta bez jaj.

– A czy nie miałam racji? – Celowo chciałam go zranić, chciałam, żeby doświadczył takiego samego odrzucenia jak ja.

– Keto Kipiani, to ty mi na to odpowiedz.

– Myślałam, że to, co jest między nami, coś dla ciebie znaczy... Ale teraz to nieważne. Teraz musimy się przede wszystkim postarać, żeby Rati wyszedł na wolność.

– Wiesz, że to coś dla mnie znaczy, nawet bardzo wiele. Przecież wiesz.

– To dlaczego nie dajesz mi tego odczuć?

– Jesteś najbardziej niezwykłą dziewczyną, jaką znam – powiedział cicho z rozdzierającym smutkiem w głosie.

Podszedł do mnie, a ja nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić, siedziałam speszona na brzegu łóżka i spuściłam wzrok.

– Zanim zasnę, wyobrażam sobie, jak jedziemy razem nad morze albo idziemy do kina, jak trzymam cię za rękę, jak robię ci szalik na drutach... Tak, nie śmiej się, bardzo dobrze robię na drutach, jako dziecko ciągle robiłam szaliki dla całej rodziny.

Zaczął się śmiać jak mały chłopak.

– A potem wyobrażam sobie, że mogę cię pocałować, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota.

Usiadł obok mnie i objął mnie ramieniem.

– A ja wyobrażam sobie, że przyglądam ci się, gdy rysujesz. I czasem myślę, że poznajesz teraz na tej swojej bufońskiej Akademii chłopaków, których już na samą

myśl o tym, że się do ciebie zbliżają, mam ochotę zabić. Tak, wyobrażam sobie najróżniejsze rzeczy, ale po prostu nie wiem, Keto, jak mam cię kochać właściwie...

Położył mi głowę na ramieniu. Siedziałam nieruchomo i wpatrywałam się w płomień świecy, bałam się, że z tego całego napięcia za chwilę zapomnę oddychać. Zamknęłam oczy, jakbym czekała na ułaskawienie lub egzekucję, jedno i drugie byłoby tak samo straszne, jedno i drugie byłoby tak samo piękne. Poczułam na szyi jego wilgotne usta. Zdawało się, że całe miasto razem ze mną wstrzymało oddech, było tak przerażająco cicho, gdzie się podziali wszyscy ludzie? Gdzie się podziały te wszystkie samochody na ulicach albo psy osierocone przez Tarika? W pokoju panowała obezwładniająco wszechobecna ciemność, świecił tylko mizerny płomień świecy, jakby był jedynym źródłem światła w całym uniwersum.

Całowaliśmy się, objęłam go za szyję, on objął mnie w talii, powoli osuwałam się na miękkie łóżko brata, a on razem ze mną. Dotknął moich piersi, ja chwyciłam go za gęste włosy, zaczęłam bawić się jego lokami. Byłam w siódmym niebie, jak w stanie nieważkości, a jednocześnie czułam się bezpiecznie, jak w jakiejś ciepłej i bezpiecznej jamie.

Słyszę te zapewnienia o miłości, które szeptał mi wtedy do ucha, przez ułamek sekundy wydaje mi się, że czuję go obok siebie, słyszę, jak mnie zapewnia, że jestem warta miłości, rozkoszuję się tym uczuciem, czuję, jak wciągam brzuch, poddaję się mu, dopasowuję się do niego, jak całe moje ciało się napina, i nagle rozglądam się jakby przyłapana na gorącym uczynku, jak gdybym przed tymi wszystkimi ludźmi odegrała właśnie akt miłosny.

Położył się na mnie, pod ciężarem naszych ciał zapadliśmy się w zagłębienie łóżka. Kochałam go, w tamtym momencie to rozumiałam, kochałam go strasznie rozpaczliwie, tak, jak może kochać tylko ktoś, kto kocha pierwszy raz. Chciałam go zatrzymać, mieć go przy sobie, cała reszta była kompletnie bez sensu, była niezgodna z naturalną kolejną rzeczy. Uciekłam gdzieś myślami, podczas gdy ciało wciąż ochoczo mierzyło się z trudnym zadaniem. Ja też byłabym gotowa zejść do

jakiegoś ciemnego szybu, byleby tylko być z nim. Powstrzymywanie się od tej bliskości nie miało sensu. Zaczął pomrukiwać, a ja spojrzałam na drzwi w obawie, że w każdej chwili może tu wejść bez ostrzeżenia któraś z babć. Czułam, jak jego ręka wędruje do moich rajstop, jak rozchyła mi uda, wtuliłam twarz w jego szyję i objęłam go kurczowo.

– Keto, kocham cię! – powiedział nagle, a ja zaczęłam płakać.

Płakałam bezgłośnie, nie widział moich łez, nie słyszał ich, płakałam, bo poczułam ulgę. Przesunęłam rękę w kierunku jego spodni, rozpięłam rozporek, obcość jego ciała wydała mi się niezwykle podniecająca, byłam niesamowicie ciekawa wszystkiego. Wysunęłam się spod niego, kazałam mu się przekreślić na plecy i usiadłam na nim, spojrzał na mnie skonsternowany zamglonymi oczyma, nie dowierzając w moją śmiałość. Nie chciałam już czekać, żywić nadziei, bać się, nie chciałam być zdana na jego łaskę i niełaskę, chciałam sama o wszystkim decydować i kierować nim, dokładnie tak, jak on kierował mną. Gdy zaczęłam zdejmować mu spodnie, zsunął mnie z siebie i zdumiony spojrzał mi w oczy.

– Co ty wyprawiasz?

Nie rozumiałam, o co mnie pyta.

– Dotykam cię – powiedziałam i od razu pożałowałam, że byłam tak niecierpliwa. Usiłowałam podążyć za tokiem jego myśli. Nie potrafił do niczego przyporządkować mojego zachowania, mojego pożądanego, wbito mu do głowy, że kobiety muszą być cierpliwe i się oddawać, że kobiety nie biorą, lecz wyłącznie dają. Znów poczułam, jak narasta we mnie zdumienie, jak wstępuje we mnie wściekłość, a zaraz potem bolesne rozgoryczenie.

– Nie musisz tego robić... – wyjąkał strasznie nieporadnie i bezradnie.

Nawet bez większego doświadczenia czułam, że namiętność natychmiast umiera, gdy tylko zostaje udomowiona. Dlaczego nie potrafi tego zrozumieć? Tkwi w ślepej uliczce idiotycznych założeń i niebezpiecznie mylnych wniosków.

– Ale ja chcę to robić – odparłam, wściekłość dodawała mi niezbędnej pewności siebie.

Potem go pocałowałam, gwałtownie, wyzywająco. Był tak zaskoczony, że poddał się bez oporów. Ponownie na nim usiadłam, ale zanim całkowicie się rozebrałam, wydał z siebie jakiś zwierzęcy odgłos, który zabrzmiał jak oburzenie, jak wydobywający się gdzieś z głębi protest, drgnął i opadł w zagłębienie łóżka.

Przez dłuższy czas nic nie mówiliśmy. Nie ruszaliśmy się. Nasze oddechy powoli wracały do normalnego rytmu. Nie miałam odwagi na niego spojrzeć. Nie miałam odwagi go dotknąć. Ktoś odkręcił w kuchni kran.

– Może nie wszystkie kobiety są takie, jak to sobie wyobrażasz.

To była nieśmiała próba nawiązania rozmowy na temat tego, co się wydarzyło, ale natychmiast się zaryglował.

– Muszę już iść – powiedział.

– Wiem.

– Zobaczymy się jutro.

– Tak.

– Wezmę samochód Ratiego i z samego rana pojedę do tego adwokata. Będę cię informował na bieżąco.

– Dobrze.

– Nie martw się. Uwolnimy go.

– Tak.

– Wszystko w porządku?

– Nie wiem.

– Jestem za ciebie odpowiedzialny. Nie mogę...

Musiałam się bardzo starać, żeby nie rozedrzeć się na całe gardło.

– Znajdę jakiś sposób, Keto, nic się nie martw, znajdę sposób, żeby móc być z tobą – powiedział, jakby mnie chciał pocieszyć, wcisnąć mi znowu do ręki kawałek nadziei.

– To jest takie śmieszne... – jęknęłam.

– To nie jest śmieszne. Każdy musi ponieść jakiś koszt.

– I w twoim przypadku to ja jestem tym kosztem, tak?

Nic nie odpowiedział. Pocałował mnie nieśmiało i zniknął za drzwiami.

Adwokat, wąsaty obleśny facet w za ciasnym szarym garniturze, nie przedstawił nam zbyt optymistycznego obrazu całej sytuacji. Opór wobec urzędników państwowych, poza tym posiadanie nielegalnych substancji, tak w każdym razie brzmiały tymczasowe zarzuty. Nasze słowo przeciw słowu milicji nie stanowiło zbyt dobrej sytuacji wyjściowej. Zrobi wszystko, co w jego mocy, ale najrozsądniejsze byłoby polubowne rozwiązanie sprawy, natomiast gdyby doszło do procesu, nie może niczego zagwarantować. Może mu grozić osiem lat. Dziesięć gramów to dziesięć gramów. Nielegalne posiadanie i handel narkotykami to nie jest drobne przewinienie. No cóż, istniałaby możliwość zredukowania tych dziesięciu gramów do dwóch, ale... sami rozumiemy, potrzebna byłaby większa suma.

– O jakiej konkretnie sumie rozmawiamy? – chciał się dowiedzieć ojciec.

– Nie jestem w stanie powiedzieć dokładnie, ale sądzę, że należałoby się liczyć z jakimiś pięcioma tysiącami dolarów.

– Iloma?!

Wszyscy krzyknęliśmy jednocześnie. To była wówczas astronomiczna kwota, za takie pieniądze można było w tamtych czasach, w środku katastrofalnej inflacji, kupić mieszkanie. Nigdy w życiu nie uciula się tylu pieniędzy wyłącznie ze sprzedaży biżuterii.

– To jest absurd, to niemożliwe... – mamrotał ojciec.

– Szef wydziału, prokurator, nadkomisarz i oczywiście trzech funkcjonariuszy, oni wszyscy muszą wyżywić swoje rodziny – dodał adwokat i wzruszył ramionami.

– Rozumiem pańską złość, także wściekłość, z taką niesprawiedliwością mam do czynienia na co dzień. Wie pan, dla mnie to też nie jest takie łatwe.

Spojrzałam na niego kątem oka i miałam ochotę krzyknąć, żeby stulił pysk. Był dokładnie tak samo częścią tego systemu i łańcucha pokarmowego jak wszyscy ci, których przed chwilą wymienił. I dokładnie tak samo jak oni oczekiwał swojej działki.

– Nie będziemy mogli zdobyć tylu pieniędzy – westchnął ojciec. – Od dwóch miesięcy nie wypłacają mi pensji, za całą biżuterię mojej matki nie dostaniemy nawet jednej dziesiątej tej sumy, a pożyczka... Zastanawiam się, od kogo moglibyśmy pożyczyć taką kwotę, nikt teraz nie ma pieniędzy, wszyscy oszczędzają i starają się jakoś przetrwać.

Przeprosiłam adwokata i wyciągnęłam ojca do kuchni.

– Chłopaki nam pomogą. Lewan wspominał coś o jakimś obszczaku. Idź na ten deal, nie mamy wyjścia, dla Ratiego każdy dzień za kratkami to zabójstwo.

– Jaki obszczak? Chcesz, żebym przyjął kradzione pieniądze? Zwariowałaś? Wtedy od razu wszyscy trafimy za kratki!

– Tato, zrozum to w końcu, w dzisiejszych czasach wszystkie pieniądze w tym kraju są w jakiś sposób kradzione. Musimy je przyjąć. Nie mamy innej możliwości!

– Nie, Keto, nie mogę tego zrobić! W żadnym razie! Możliwe, że dla większości prawo się nie liczy, możliwe, że większość ludzi nie ma już sumienia i że to nie jest już kraj, lecz jakiś... jakiś... – szukał odpowiednich słów – jakiś kogel-mogel. Ale są jeszcze ludzie honoru, z poczuciem własnej wartości. To, że inni postępują źle, nie oznacza, że my musimy robić to samo.

Coś w sposobie jego mówienia uzmysłowiło mi, że dalsza dyskusja nie ma sensu, że i tak nie zmieni zdania. Zwiesiłam głowę. Kogel-mogel. Skąd mu to przyszło na myśl? Kiedy to ja ostatnio jadłam kogel-mogel? Rati i ja bardzo lubiliśmy w dzieciństwie ten radziecki deser. Czuję w ustach jego smak, żółtko, cukier i kakao trzeba było ucierać tak długo, aż z kleistej, lepkiej mieszaniny powstanie brązowa, pieniąca się masa.

Usiłowałam dalej odgrywać rolę pośredniczki między adwokatem, Lewanem, ojcem i Ratim. Za pierwszym razem, gdy odwiedziliśmy Ratiego – w obecności gorylowatych strażników, którzy przez cały czas przyglądali nam się nieufnie – kosztowało mnie strasznie dużo wysiłku, żeby nie wybuchnąć płaczem. Sprawiał wrażenie strasznie zagubionego, kompletnie niepasującego do tego miejsca, był

zastraszony, chociaż starał się zgrywać chojraka. Jego twarz wciąż jeszcze była spuchnięta, a na rękach widać było liczne sińce. Ojciec starał się na niego nie patrzeć, widziałam, że tak samo jak ja robi wszystko, żeby nie wstać i stamtąd nie wybiec. Z trudem znosił upokorzenie, którym był dla niego widok Ratiego, a także to surowe betonowe pomieszczenie, te ściany i ci strażnicy.

– Chłopaki wam pomogą. – Rati próbował dodać nam odwagi.

– Nie chcę, żeby twoi koledzy kryminaliści mi pomagali! – Ojciec uderzył pięścią w stół. Śmieszny gest, który niczego nie przesądzał i nie przynosił żadnego skutku.

– A cóż to ma znaczyć? – syknął Rati. – Musicie dać sobie pomoc! – Spojrzał na mnie błagalnie.

– Tak, na pewno znajdziemy jakieś rozwiązanie, nic się nie martw. – Ja też, tak jak on, starałam się, by mój głos brzmiał beztrąsko.

– Keto, nie składaj obietnic, których nie będziesz mogła dotrzymać!

W tym momencie miałam ochotę go udusić.

– Chyba rozumiesz, że nic nie zrobiłem? Jestem niewinny, przecież wiesz, kto za tym stoi! Keto, mam nadzieję, że ktoś mu to wytłumaczył. Czy nie? – Rati podniósł głos, goryle rzucili w naszym kierunku ostrzegawcze spojrzenie.

– Proszę cię, uspokój się. Damy radę. Znasz go przecież...

– Nie mów o mnie tak, jakby mnie tu w ogóle nie było!

Ojciec był bliski załamania nerwowego. Nie umiałam stwierdzić, czy stan był bardziej alarmujący: Ratiego czy ojca.

– Nic nie zrobiłem, te sukinsyny podrzuciły mi to gówno, przecież sam przy tym byłeś, widziałeś na własne oczy, jak możesz w to wątpić, jak możesz pozwolić mi tutaj zdechnąć? – Rati tracił panowanie nad sobą.

– Ostatnie ostrzeżenie, towarzyszu Kipiani! – dobiegło nas z kąta.

– Nie jestem twoim towarzyszem, ty lizusie! – ryknął.

Wiedziałam, co nastąpi potem. Obaj strażnicy rzucili się na niego, podnieśli go z krzesła i wywlekli z pokoju. Ojciec odwrócił twarz i bez przerwy potrząsał

głową, jakby miał nadzieję, że w ten sposób strząśnie z siebie tę rzeczywistość.

Gdy w ten beznadziejny, szary dzień wyszliśmy na zewnątrz, zaczął padać śnieg. Nawet nie starałam się kryć oburzenia.

– Nie mogę pozwolić na to, żeby mój niewinny bratgnił przez osiem lat w więzieniu z powodu twojego ego!

– On nie jest niewinny! Sam się wpakował w te tarapaty, przez swój styl życia. Dlaczego nikt nie podrzucił narkotyków tobie albo mnie?

– Cholera, co z tobą?! Przecież jesteś jego ojcem!

– Tak i dlatego musi się nauczyć brać odpowiedzialność za swoje czyny.

– A więc chcesz mu dać nauczkę, tak? Ale on tam w środku niczego się nie nauczy, on tam zginie, będzie otoczony prawdziwymi przestępcami, tego chcesz? Dobrze wiesz, że nigdy w życiu nie miał takich narkotyków.

– Dlatego nie chodzi o to...

– Owszem, teraz dokładnie o to chodzi! Chodzi o te pieprzone dziesięć gramów heroiny! Nie możesz, niezależnie od tego, czym się kierujesz, tak po prostu decydować o jego życiu i przyszłości. Nie pozwolę na to – powiedziałam, zanim wsiedliśmy do trolejbusu, który przyjechał jakimś cudem dokładnie w momencie, gdy przyszliśmy na przystanek.

Tego dnia, kiedy zaczął się pucz, siedziałyśmy na diabelskim młynie smagane przez deszcz ze śniegiem. To był pomysł Nene, żeby jak za starych dobrych czasów w któreś szare grudniowe popołudnie pojechać kolejką szynową na wzgórze Mtacminda, pójść do parku rozrywki i pozwolić tam sobie na „odrobinę szaleństwa”. Obiecała załatwić coś „na rozgrzewkę”, a nas poprosiła o przyniesienie czegoś do jedzenia.

Kolejka jeździła w zależności od dostaw prądu, więc miałyśmy szczęście, że owiany złą sławą blok numer 9 akurat nie wysiadł i miasto nie było sparaliżowane. Przyjęłam propozycję Nene z wdzięcznością, po pierwsze dlatego, że chciałam oderwać się od ciągłego zamartwiania się o Ratiego i niekończących się dyskusji

z ojcem, a po drugie, miałam nadzieję, że Nene zdradzi wreszcie swoją tajemnicę, bo to moje jakby współsprawstwo zaczynało mi już trochę ciążyć.

Demonstranci oblegali prawie wszystkie centralne place w mieście, drogi były zabarykadowane, jak gdyby już sam brak środków transportu nie był wystarczającym utrudnieniem. Do codziennych przerw w dostawie prądu dochodził jeszcze brak opału – termofory i ciepłe skarpety to było za mało, żeby nie dać się zimie. Po benzynę trzeba było od jakiegoś czasu stać w długich kolejkach, artykuły spożywcze racjonowano, miasto przypominało labirynt pełen niebezpiecznych torów przeszkód.

Zgodnie z naszymi przewidywaniami w parku rozrywki prawie nie było ludzi. Większość karuzel stała unieruchomiona, a przy tych temperaturach szwendały się tylko tu i ówdzie pary zakochanych szukające odosobnienia. Natomiast diabelski młyn był, o dziwo, na chodzie. Nene miała lęk wysokości, mnie także przy takiej pogodzie nie uśmiechało się wjeżdżanie na taką wysokość, ale chcieliśmy koniecznie w pełni nacieszyć się tym dniem i rzadką sposobnością bycia razem, więc zgodziłyśmy się, gdy Dina zaproponowała przejażdżkę diabelskim młynem. Czułam ulgę, że Ira chciała się spotkać z Nene. Nene wytrzasnęła skądś butelkę koniaku, prawdopodobnie z niewyczerpanych zapasów alkoholu u Tapory, a oprócz tego każda z nas przyniosła coś do jedzenia. Dina była niepokojąco ożywiona. Opowiadała z zachwytem o swoim mentorze Poznerze i wychwalała wspaniałych kolegów z „Gazety Niedzielnej”, drukowanej na przemian raz na brązowym, raz na białym, raz na cienkim, a innym znów razem na grubym papierze, w zależności od tego, co redakcji udało się zdobyć. Opowiadała o pełnej przygód podróży kilku redaktorów do Turcji po jakieś działające generatory, których można byłoby używać w drukarni podczas przerw w dostawach prądu.

Słuchałam jej jak zaczarowana, mimo że znałam już większość tych opowieści, i marzyłam, żeby jej dobry nastrój chociaż częściowo przeszedł na mnie. Niestety nie było to takie proste. Myślami byłam przy Nene, która unikała mojego wzroku, więc nie potrafiłam się pozbyć napięcia, które nagromadziło się w ciągu ostatnich kilku tygodni. Brakowało mi spokoju chwil spędzonych w warsztacie Liki. Na

początku moich studiów poradziła mi, żebym zrobiła sobie przerwę od pracy, tak by móc całkowicie skupić się na nauce, a ja się na to zgodziłam. Ale w ostatnim czasie pojawił się jeszcze jeden powód, dlaczego przestałam do niej chodzić: nie miała zbyt wielu zamówień. Nawet jeśli nie mówiła o tym otwarcie, widziałam, że brakuje pieniędzy. Jej troski można było rozpoznać po drobnych zmarszczkach na czole i wiedziałam od Diny, że przyjmuje każde zlecenie, żeby związać jakoś koniec z końcem, podobno ostatnio przyniosła nawet do domu kilka robót krawieckich.

Wsiadłyśmy do rozklekotanej gondoli pachnącej wilgotną rdzą. Na środku znajdował się metalowy stolik, na którym położyłyśmy torebki. Jakaś młoda para wsiadła do następnej gondoli. Dziewczyna była opatulona w gruby płaszcz ze sztucznego futra i wtulała się w swojego dryblasowatego partnera, który miał na sobie jedynie cienką skórzaną kurtkę i najwyraźniej chciał udawać zahartowanego szarmanckiego wielbiciela. Dwie gondole dalej wsiadła starsza para w grubych wełnianych czapkach. Ruszyliśmy do góry, w stronę szarego nieba. Deszcz ze śniegiem zacinął coraz mocniej, świat pod nami zaczął się kurczyć, aż w pewnym momencie zlał się w jedną zielono-szarawą masę, a budynki przemieniły się w małe miniaturowe domki.

– Dlaczego ja to sobie robię? – rozpaczła Nene i zamknęła oczy.

– Przestań tchórzyć, masz, pij, to grzeje i dodaje odwagi!

Dina podała jej butelkę z koniakiem, z której Nene z obrzydzeniem na twarzy wypijała jeden łyk. Mimo że byłam przemarznięta i ledwo czułam stopy w przemoczonych kozakach, było mi dobrze, ciężar ostatnich dni zdawał się wraz z rosnącą wysokością tracić na wadze. Ira także wypijała z butelki łyk koniaku, a Dina podniosła się, rozpostarła ręce, nabrała głęboko powietrza i krzyknęła z gondoli:

– Tbilisi, spójrz na nas! Tutaj siedzi twoja najtwardsza banda! Wszyscy spójrzcie na nas!

Pary popatrzyły zdenerwowane w naszą stronę, a my pękałyśmy ze śmiechu. Każda z nas zaczęła opowiadać o swoim dniu codziennym, o aktualnych troskach i kłopotach, a ponieważ Nene wciąż o to dopytywała, zeszliśmy także na temat Ratiego.

– To wszystko przez twojego brata i twojego małżonka, chcą nam zamknąć usta. – Dina nie potrafiła się powstrzymać i wypowiadając ten kąśliwy komentarz, zmierzyła Nene pogardliwym wzrokiem.

– On nie jest moim małżonkiem! – Nene zachowywała spokój, miała opanowany głos.

– Jak to nie jest twoim małżonkiem? A kim jest w takim razie? – dopytywała Dina.

– Mam innego męża, którego kocham i który kocha mnie.

W zdaniu tym, jakkolwiek absurdalnie ono zabrzmiało, tkwiło niezachwiane głębokie przekonanie, niepodważalna pewność.

– O czym ty mówisz?

Ira spojrzała na nią kompletnie zaskoczona. Ale dokładnie w tym momencie poczułyśmy gwałtowne szarpnięcie i utknęłyśmy na górze.

– O Boże, co się stało? To niemożliwe! Co teraz z nami będzie, spadniemy w dół?

Nene zakryła twarz rękoma, a dziewczyna w sztucznym futrze zaczęła panicznie krzyczeć.

Spojrzałam do dołu, podczas drugiego okrążenia zatrzymałyśmy się mniej więcej w połowie wysokości, zauważyłam maszynistę, który dawał nam ręką jakieś znaki.

– Bądźcie cicho!

Ira wychyliła się z gondoli i również spojrzała na dół.

– On próbuje nam coś powiedzieć.

– Blok numer 9, to blok numer 9! Całkowita awaria prądu. Musimy uzbroić się w cierpliwość – tyle udało mi się wyczytać z ruchu jego rąk. Ta przeklęta cyfra

stała się już symbolem ciemności.

– O nie, to niemożliwe, zamroziemy tu na śmierć. Przecież to będzie trwało całą wieczność, powinni do kogoś zadzwonić... – Nene nie przestawała lamentować.

– Nic ci nie będzie, musimy po prostu przysunąć się do siebie i porządnie się napić, żeby nie zamrozić – powiedziałam i podniosłam butelkę do góry.

– No to już, wypijmy za nas!

– Powiedzcie mu, że zawsze będę go kochać! – oznajmiła Nene teatralnym głosem i z zamkniętymi oczami zrobiła znacznie odważniejszy łyk niż przedtem.

– A więc jednak Saba! Nadal się spotykacie, tak? – Ira chciała potwierdzić swoje przypuszczenia.

– Ale jak w takiej sytuacji? – Dina nadstawiła uszu.

Nene spojrzała na mnie. Wzruszyłam ramionami, pozostawiłam decyzję jej.

– Tak, widzimy się, potajemnie – powiedziała z pewną dozą dumy w głosie.

A potem rozwiązał jej się język, jakby cały czas czekała na tę okazję. Z przekonaniem o niezwykłej ekskluzywności tej sytuacji, tak typowej dla wszystkich zakochanych, zaczęła opowiadać o ich pierwszym przypadkowym spotkaniu po śmierci Tarika, o swojej pierwszej podróży metrem, o pierwszym szczęśliwym zrzędzeniu losu po awarii prądu, o pierwszych randkach w podziemnych szybach metra (słyszając ten szczegół, Dina aż klasnęła w dłonie, a Ira zrobiła wielkie oczy), a na koniec wspomniała o coraz większym ryzyku, na jakie narażają się z powodu swojej tęsknoty.

– Wow, najwidoczniej cię nie doceniałam, naprawdę, brak mi słów, to nie do wiary! Powiedzcie coś! Naprawdę uważam, że to fantastyczne!

Dina była wyraźnie pod wrażeniem, podekscytowana zapaliła papierosa. A reszta milczała.

W czasie, gdy słuchałyśmy rozdzierającego serce monologu Nene, poniżej nagich skał i gęsto porastających zbocza jodeł, torów kolejki szynowej, cerkwi

Ojca Dawita i Panteonu, wybrukowanych skarp wzgórza Mtacminda i poniżej dzielnicy Sololaki padł pierwszy strzał. Poprzedniego dnia w Ałma-Acie, dzisiejszym Ałmaty, zapadła decyzja o rozwiązaniu Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Gruzja, podobnie jak kraje nadbałtyckie, wzbraniała się przed przystąpieniem do utworzonej niedawno i kierowanej przez Rosję Wspólnoty Niepodległych Państw. „Rosja tak łatwo tego nie zostawi!” – komentował często mój ojciec, siedząc przed telewizorem, a jego matka wtórowała mu: „Mówię wam, ten dureń jest gotów dla własnego ego poświęcić cały kraj!”. To zdanie dotyczące gruzińskiego prezydenta odnosiło się oczywiście także do Oliko. „Cieszcie się, że go mamy, bo bez niego już dawno byłoby po nas!” – na ten komentarz siedzącej w pokoju obok babudy dwa nie trzeba było długo czekać. Prezydent pozbawił niedawno władzy wymykającą się spod jego kontroli Gwardię Narodową i zagroził jej rozwiązaniem. Natomiast mianowany wcześniej przez samego prezydenta przywódca Gwardii, salonowiec, przedstawiciel bohemy o wyglądzie mafioza, wymówił mu posłuszeństwo i z blisko piętnastoma tysiącami swoich żołnierzy wycofał się gdzieś w okolice Morza Tbiliskiego. Ogłosił, że przyłącza się do opozycji, i kazał ściągnąć z więzienia aresztowanego w międzyczasie przez prezydenta dramaturga Dżabę, który jako dowódca Mchedrioni wraz ze swoją silną i żądną czynów armią również przyłączył się do ruchu oporu. Oprócz niego wypuszczono z więzień jeszcze osiem tysięcy innych groźnych przestępców, którzy chwycili za broń i ruszyli na ulice, żeby wesprzeć opozycjonistów. Zaledwie dzień po rozwiązaniu „czerwonego imperium” ten duet oraz zwolennicy prezydenta w ciągu kilku godzin zamienili centrum Tbilisi w obszar działań wojennych. Poszły w ruch kałasznikowy, prezydenta przetransportowano do jakiegoś bunkra, zajęto wiele budynków i rozmieszczono na nich snajperów.

Ale my nie miałyśmy jeszcze o tym wszystkim zielonego pojęcia, siedziałyśmy w skrzypiącej gondoli w połowie drogi do nieba, piłyśmy koniak i starałyśmy się celebrować miłość Nene. Alkoholem tłumiłyśmy swoje lęki i dodawałyśmy sobie otuchy. Jadłyśmy przyniesiony przez Nene wysmienity słony gruziński chleb, który

stał się ostatnio towarem deficytowym, moje pieczone w piecu ziemniaki i zasponsorowane przez Irę ciasto na mleku w proszku, gdy tymczasem pod nami miasto drżało w posadach, a w alei Szoty Rustawelego ustawiały się czołgi – tak jak dwa lata temu, z tą tylko różnicą, że wtedy były to rosyjskie czołgi, a teraz to Gruzini ruszyli sami na siebie. Byli to ludzie, którzy twierdzili, że tak kochają swój kraj, że muszą chwycić za broń. Wybuchł pożar, a płomienie lizały swoimi wygłodniałymi jęzorami znajdujące się przy głównej ulicy reprezentacyjne budynki – parlament, Pierwszą Szkołę Klasyczną, niegdyś naprawdę majestatyczny hotel Majestic, który na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku przyjmował gości z całego świata, a potem jako pokazowy hotel socjalistyczny został przemianowany na Hotel Tbilisi, wszystkie te budynki pochłaniały płomienie. Ale my jeszcze nic o tym nie wiedziałyśmy, byliśmy wciąż zbyt blisko nieba.

– Jak to ma teraz być, jak długo zamierzacie trzymać to w tajemnicy? Wiesz, jak zareaguje twój brat albo mąż, kiedy tylko coś wywęszą? – to Ira przerwała tymi słowami krótkotrwałe milczenie.

– Nie dowiedzą się, ani jeden, ani drugi, to po prostu nie może się zdarzyć – powiedziała Nene zdecydowanym głosem.

– Ale musicie mieć plan B. Nie sądzę, żeby spotkania w jakichś szybach wystarczyły wam na dłuższą metę. – Ira nie odpuszczała.

– Może zwiejemy, tak, myślę, że tak by było najlepiej – odpowiedziała Nene pogrążona w myślach. Najwyraźniej nie miała żadnych konkretnych planów co do swojej przyszłości z Sabą. Kierowała się tęsknotą, poruszała się jak niewidoma na obcym terenie.

– Tam się unosi jakiś dym, coś się pali! – usłyszałyśmy krzyk dziewczyny z gondoli pod nami.

Podążyłyśmy wzrokiem za jej palcem wskazującym i rzeczywiście zobaczyłyśmy unoszący się dym.

Gdy znów pojawił się prąd, było już ciemno, a my byłyśmy całkiem przemarznięte. Zdenerwowany maszynista opowiedział nam, co wydarzyło się

tutaj, na ziemi, w czasie, gdy my przebywałyśmy w niebie.

– Aleja Rustawelego jest odcięta przez czołgi, strzelają, radzą ludziom zostać w domu...

Mówił bez tchu, minęło dobrych parę chwil, zanim pojęłyśmy, co ma na myśli. Najpierw przypuszczałam, że to Jelcyn, jak kiedyś prognozowała babuda jeden, dał upust swojemu niezadowoleniu, a więc że to znowu rosyjskie wojska próbują przejąć kontrolę nad miastem.

– To nasza pełna chwały junta wojskowa i zapowiadany pucz, Rosjanie wyjątkowo nie mają z tym piekłem tutaj nic wspólnego, sami sobie to zgotowaliśmy – wyjaśniło nam starsze małżeństwo z druzgocącym rozgoryczeniem w głosie.

– Chodźmy na skróty, przez skały. Macie solidne buty? Dobra wiadomość jest taka, że znajdujemy się po dobrej stronie rzeki i mniej więcej w swojej dzielnicy. – Dina chciała nam dodać odwagi.

Zanim ruszyłyśmy całą czwórką w drogę powrotną, Nene rzuciła filuternie w naszą stronę:

– Tym razem nie zamierzam nikomu pokazywać swoich cycków, teraz są przeznaczone wyłącznie dla Saby.

Ja spierałam się z ojcem, ojciec spierał się z Ratim, Rati słał z aresztu telegramy i listy, my wysyłaliśmy mu małe paczki z najpotrzebniejszymi rzeczami i pieniędzmi, które za kratkami były tak samo potrzebne jak na wolności. Usiłowałam zebrać jakoś za plecami ojca pięć tysięcy dolarów na adwokata. Lewan obiecał dać mi połowę ze swojej kasy, a babudy sprzedały oprócz swojej biżuterii także drogocenny serwis z porcelany.

Na ulicach leżały łuski po nabojach jak konfetti w noc sylwestrową, pociski trafiały rykoszetem niewinnych przechodniów, latały ręczne granaty, płonęły budynki. Nieustannie męczył nas kaszel, gęsty dym z alei Rustawelego docierał aż nad wzgórze Sololaki. Ludzie przemykali po cichu ulicami i z zapartym tchem ustawiali się w kolejce po chleb. Pewnych tras staraliśmy się unikać. Nie mieliśmy

odwagi nawet zbliżyć się do placu Wolności. Byliśmy zamknięci w swoich podwórkach i uliczkach. Tylko raz zdobyłam się na to, by razem z Diną wybrać się do Ratiego. Szliśmy aż trzy godziny na piechotę do więzienia w dzielnicy Gldani, nie minął nas wtedy ani jeden samochód, a metro nie działało. Od czasu do czasu słyhać było strzały i wtedy kuliłyśmy się instynktownie. Dina wzięła mnie za rękę. Oprócz nas nie było nikogo na całej nadbrzeżnej promenadzie, droga wzdłuż mętnej rzeki ciągnęła się w nieskończoność. Dina przez cały czas trzymała kurczowo aparat fotograficzny i co jakiś czas przyciskała wyzwalacz. Pstrykanie aparatu miało w sobie coś uspokajającego, na tle tych całkowicie obcych dotąd dźwięków była to jedyna znana rzecz, otaczały nas wtedy wyłącznie strzały i męskie głosy, jak gdyby wszystkie kobiety, wszystkie dzieciaki, wszystkie zwierzęta zapadły w głęboki sen. Żadnego nawoływania sprzedawców owoców i warzyw, przeklinania kierowców, plotek przez otwarte okna, żadnego szumu w koronach sosen i wśród cyprysowych gałęzi, żadnego szczekania psów, żadnych bawiących się dzieci – wszystko to zamilkło jak za dotknięciem jakiejś czarodziejskiej różdżki. Szliśmy przez apokaliptyczne miasto.

– Musisz się zachowywać tak, jakbyśmy byli w jakimś filmie – powiedziałam do niej, gdy wyczułam jej niepokój.

– Co masz na myśli? W jakim na przykład?

– Wymyślimy swój własny. Wyobraź sobie, że jesteśmy dwoma szpiegami w powojennym Berlinie. Miasto jest okupowane i podzielone na cztery części. Musimy się przedostać z jednego sektora do drugiego.

– To brzmi jak prawdziwy film, nie wymyśliłaś tego teraz! – Zachichotała. – Ale okej, idę na to. Jesteś kobietą czy mężczyzną?

– Wolę być mężczyzną. Wtedy będę mogła robić, co chcę – powiedziałam z przekorą w głosie.

– Bzdura, lepiej być kobietą, przynajmniej o nic cię nie podejrzewają i wszyscy myślą, że jesteś słaba i głupia. A ty możesz sobie wtedy szmuglować wszelką broń atomową, dokądkolwiek tylko zechcesz. A jak będziesz się nazywała?

– Nie chcę być sowieckim szpiegiem. To sami nudziarze i są zawsze beznadziejnie ubrani.

– No dobra, to bądźmy Amerykanami.

– Tak, w super ray-banach i we wranglerach.

– Keto, jesteśmy w latach czterdziestych.

– Chcę brzmieć jakoś po francusku. Chciałabym mieć francuskie imię!

I w ten oto sposób posuwałyśmy się do przodu, jak dwoje szpiegów przez powojenny Berlin, tuż przy ścianach, schylałyśmy się gwałtownie, gdy tylko usłyszałyśmy coś podejrzanego, przemykałyśmy pędem przez skrzyżowania, kryłyśmy się jedna za drugą i sięgałyśmy co jakiś czas do naszych małych eleganckich pistoletów, których rękojeści były zdobione masą perłową i doskonale pasowały do naszych eleganckich garniturów i trenczy. Byłyśmy niezniszczalne i w harmonijnie skonstruowanym układzie choreograficznym zmierzałyśmy do celu.

Zaczynam dziwnie drżeć z zimna, jakby w tej majestatycznej sali ktoś nagle pootwierał okna i zamiast ciepłego majowego powietrza wpadł do pomieszczenia arktyczny chłód. Obejmuję się rękoma, na pewno zaraz minie, to tylko wspomnienia, które ozywają na widok tych obrazów na ścianach, zbliżają się niebezpiecznie blisko do teraźniejszości, sprawiają, że „tu i teraz” blednie. Powinnam bronić się przed nimi, powstrzymać je, może ja też powinnam włączyć się w którąś z ozywionych dyskusji toczących się wokół mnie. Powinnam wysłać Ratiemu jakąś wiadomość, zapytać o niego i Beę, która, mam nadzieję, go lubi, tak bardzo, że jest gotowa pojechać za nim na południe, w góry. Ale tego nie robię. Zamiast tego pojawia mi się pewien obraz z przeszłości, symbol tamtego nieznośnego chłodu, obraz, który uświadamia mi skalę naszego żalosego położenia, naszego upadku, rozpacz i zwątpienia w tej krytycznej, upokarzającej, beznadziejnej i potwornie przygnębiającej sytuacji. To musiało być zaraz po puczu, gdy stery w państwie przejęła junta wojskowa, tuż przed ucieczką z kraju prezydenta, którego babuda dwa czciła jak półboga. Obchodziliśmy Nowy Rok i była to najsmutniejsza i najbardziej cicha impreza noworoczna w moim życiu.

Musieliśmy świętować bez Ratiego, wznieśliśmy toast tanim winem musującym, życzyliśmy sobie zdrowego i wesołego nowego roku, choć doskonale wiedzieliśmy, że dopiero co rozpoczęty rok niczego takiego nie zapowiada. O północy zesłam na dół do Diny, dołączyła do nas także Ira. Chrupaliśmy pyszne gozinaki przygotowane przez Giuli, a potem ruszyliśmy na podwórko w nadziei, że zobaczymy chociaż trochę fajerwerków, ale gdy wychodziłyśmy już z podwórka i chciałyśmy skręcić w ulicę, Natela Tatiszwili otworzyła okno i krzyknęła do nas panicznym głosem, że mamy natychmiast wracać. Coś rozpaczliwego w jej głosie sprawiło, że instynktownie jej posłuchałyśmy. Gdy byłyśmy jeszcze w zadaszonym przejściu na podwórko, usłyszałyśmy strzały i gdzieś w pobliżu pękły szyby.

– Wszystko w porządku? – krzyknął któryś z sąsiadów.

– Tak, nic nam nie jest – powiedziałam, ale w tym momencie poczułam, że kolana się pode mną uginają.

Mimo że tamtej nocy po prostu śmiertelnie się bałam, dopiero później dotarło do mnie w całej swej ponurej, czarnej jak sadza rozciągłości, jak bardzo jesteśmy zdani na pastwę losu. Widok pewnej małej dziewczynki kilka dni lub tygodni po tym makabrycznym Nowym Roku stanowił moment, po którym zrozumiałam, że nie ma już odwrotu. Chciałabym przypomnieć sobie jej imię, ponieważ od tamtej pory towarzyszy mi nieustannie, stała się kluczową postacią mojego życia. Ale zamiast imienia przypomina mi się jej twarz, ta twarz zapisała się na trwałe w mojej pamięci. Mogłabym ją od razu narysować, przelać bezbłędnie na papier jej rysy i drobną sylwetkę. Pamiętam, że zawsze nosiła kolorowe pulowerki i miała piskliwy głos, pamiętam nawet futro z karkułów należące do jej matki. Dziewczynka była wieloletnią uczennicą babudy jeden i od dziecka uczyła się niemieckiego. Eter wychwalała ją pod niebiosa i bardzo ceniła. Wydawała mi się przesadnie ambitna i czasem byłam dla niej trochę niemila, ale w głębi duszy byłam o nią zazdrosna, o tę wnusią ideał, która nie robi nic innego, tylko wkuwa na pamięć Goethego i Schillera i już w wieku ośmiu lat wie, że chce studiować germanistykę i wyjechać do Jeny albo do Lipska, żeby zrobić tam doktorat

z Hölderlina. Była niezwykle poważna jak na swój wiek, tak jakby już z chwilą przyjścia na świat miała jakąś przygnębiającą wiedzę, która zalega jej w ciele jak ciężar. Byłam pewna, że w wieku dwudziestu albo nawet i sześćdziesięciu lat będzie miała dokładnie taki sam wyraz twarzy – lekko zdziwiony i jednocześnie przenikliwy. Sprawiała wrażenie kogoś, kto ma już za sobą całe życie. Chodziła wyprostowana, utrzymywała wzorcową postawę, można było pomyśleć, że dorastała w jakiejś katolickiej pensji dla dziewcząt. Miała gładko zaczesane do tyłu włosy, splecione w staranny i związany kokardą warkocz, nosiła płaskie buty, spódnice w kratkę, no i wspomniane już pulowerki w różnych kolorach, których miała, jak się zdaje, pokaźne ilości. Mówiła słabym i niepewnym głosem, podczas rozmowy rzadko ośmielała się spojrzeć na rozmówcę. Rati i ja robiliśmy sobie z tego żarty i jeszcze bardziej ją zawstydzaliśmy, zachowując się niezwykle familiarnie, obejmowaliśmy ją na powitanie albo uderzaliśmy w kumplowski ton. Natychmiast się czerwieniła, szczególnie gdy w pobliżu zjawiał się mój brat.

Przez pewien czas nie mogłam chodzić na uczelnię, wykłady zostały odwołane, ponieważ aleja Rustawelego wciąż była zamknięta i ze względu na toczące się w okolicy walki zajęcia akademickie uznano za zbyt ryzykowne. Dlatego postanowiłam pojechać do dzielnicy Didi Digomi, bo ktoś opowiadał, że tam, na obrzeżach miasta, można kupić drewno. Babudy próbowały mnie od tego odwieść, ale nie mogłam ani też nie chciałam dłużej z tym zwlekać.

– Na jedno wychodzi, czy zamarznę tutaj na śmierć, czy zginę z rąk jakiegoś puczysty! – wykrzyknęłam bohatercko i zbiegłam po schodach na podwórko.

Lewan miał mnie podwieźć, nie pytałam, skąd wytrzasnął na to benzynę, byłam po prostu wdzięczna, że zaoferował się jako szofer. Bo zimno było nie do zniesienia. Zimno rozsadzało mi myśli. Nic już nie pomagało, ani koce, ani skarpety, ani termofory. A do blaszanego pieca, który ojciec skądś przywłókł do domu, potrzebny był opał. Po wykorzystaniu wszystkich szyszek, kawałków starego parkietu i stert gazet nie mieliśmy już nic do palenia. Zimno było największym wrogiem, tak mi się w każdym razie wydawało, nie pozwalało mi rysować, myśleć, czuć, że żyję. Moje ręce przypominały szpony, a nos był

czerwony jak u pijaka. Zimno było gorsze od ciemności, gorsze niż czołgi, gorsze niż wydzielane racje chleba, gorsze niż nieszczęsne chodzenie po mieście piechotą. Musiałam jechać z Lewanem objazdami, uważać, żeby nas nikt nie zatrzymał, starać się zdążyć przed godziną milicyjną, bo potem miasto przemieniało się w ludożercę. Pozbawieni wszelkich hamulców żołnierze Gwardii Narodowej albo oddziałów Mchedrioni patrolowali ulice w poszukiwaniu potencjalnej ofiary. Prywatna armia miała opinię ciężko uzbrojonej bandy przestępców, cieszyła się całkowitą swobodą i plądrowała oraz konfiskowała, co tylko wpadało jej w łapy.

W samochodzie Lewan wziął mnie za rękę i jechaliśmy tak w milczeniu w to pełne napięcia popołudnie. Gdy przebiliśmy się już przez dżunglę bloków z wielkiej płyty, na jednym z podwórek faktycznie znaleźliśmy ciężarówkę, z której sprzedawano drewno i przed którą utworzyła się długa kolejka. Dołączyliśmy do oczekujących. Przez cały czas Lewan nie wypuszczał mojej dłoni i pomyślałam wtedy, że mogłoby to już trwać wiecznie. Gdy w końcu przysłała nasza kolej, podałam handlarzowi wszystkie pieniądze, jakie miałam przy sobie, i dostałam w zamian dobre kilka kilogramów drewna, które musiały nam wystarczyć na jakiś czas.

– Zadbam o to, żebyś nie musiała już marznąć. Gdy tylko Rati wyjdzie na wolność, odbierzemy to, co do nas należy! – pocieszał mnie Lewan, a ja wzdrygnęłam się na te słowa.

Nic jednak nie powiedziałam i przełożyłam wszelkie myśli na potem.

Pomógł mi zanieść drewno na górę, a potem zniknął, tłumacząc się jakimiś konspiracyjnie brzmiącymi wymówkami. Trzymałam kilka polan w ręku i przytuliłam je do siebie jak najcenniejszy skarb. Pozwolał mi na jakiś czas zapomnieć o bezlitosnym chłodziu. Zaczęłam przeliczać w myślach, ile drewna mogłabym odstąpić Pirwelim, z ilu polan mogłabym zrezygnować, bo wiedziałam, że one były w jeszcze gorszej sytuacji. W ich i tak już zawilgoconej suterenie praktycznie nie dało się przebywać przez dłuższy czas bez ogrzewania.

– Patrzcie, co przyniosłam!

Dumna i przeszczęśliwa wparowałam do mieszkania, ale nikt mi nie odpowiedział. Usłyszałam w łazience szum wody, pewnie to któraś z babud. Loggia była pusta, ojciec jeszcze nie wrócił – od kilku tygodni spotykał się ze swoimi pracownikami w położonym niedaleko mieszkaniu jednego z kolegów z pracy, ponieważ droga do Akademii Nauk również była nieprzejezdna. Pomaszerowałam do pokoju babć, odwieszając po drodze płaszcz, i wtedy ją zobaczyłam.

Czasami, w rzadkich chwilach mojego dorosłego życia, gdy dopada mnie poczucie winy jak żarłoczne i pozbawione skrupułów zwierzę i zmusza mnie do skruchy, że sama niczego nie stworzyłam, że porzuciłam rysunek i możliwość uwieczniania świata, przypomina mi się ten obrazek i żałuję, że przegapiłam okazję i nie utrwaliałam go na papierze choćby w formie szkicu. Gdybym to wówczas zrobiła, pozwoliłabym sobie na odrobinę patosu i zatytułowałabym go „Gruzińska Madonna bez Dzieciątka”.

Dziewczynka, niczym godna adoracji ikona, z tym swoim starannie zaplecionym warkoczem, z poważnym wyrazem twarzy siedziała wyprostowana na środku pokoju, z tym że w miejscu przy stole, gdzie zazwyczaj uczyła się z babudą jeden, stała teraz drabina, a ona siedziała na najwyższym szczeblu jak na złotym tronie w jakimś zaczarowanym królestwie. Tym razem nie miała na sobie, jak zazwyczaj, kolorowego pulowerka, lecz podniszczony już kombinezon zimowy mojego brata, w który ubierano go w dzieciństwie, gdy nadchodziły mroźne dni. Siedziała więc tam z jakąś podartą książką na kolanach i była tak zaczytana, że nawet mnie nie zauważyła. To był na pewno pomysł ojca, nie miałam co do tego wątpliwości. Prawdopodobnie ogarnęło go współczucie dla tej niezwykle pilnej uczennicy jego matki i w związku z tym postanowił pomóc jej na swój niewyszukany naukowy sposób. Stojąc i wpatrując się w nią zafascynowana, usłyszałam w uszach jego głos: „Jak brzmi druga zasada termodynamiki? Czy wiedzą państwo, że energię mechaniczną, chemiczną lub elektryczną można w pełni zamienić na energię cieplną?”. Na pewno stał przed dziewczynką jak przed wyimaginowaną publicznością i z szeroko otwartymi oczami robił wykład o tym,

że ciepłe powietrze unosi się do góry, ponieważ ma mniejszą gęstość niż zimne. To wyobrażenie sprawiło, że serce mi zadrżało, bo być może był to najszlachetniejszy i najsensowniejszy czyn w całej jego naukowej karierze: ubrał dziewczynkę w najcieplejsze ubranie, jakie tylko miał pod ręką, kazał jej wejść na drabinę i w ten sposób ochronił ją przed niemiłosiernym chłodem po to, by mogła dalej studiować swoje strofy, które prawdopodobnie nadawały jej młodemu bezlitosnemu życiu jedyny sens i jedyne piękno. W tym widoku, w tym wyobrażeniu, było, nie, ciągle jest, coś nieznośnie wzruszającego.

Przyciskałam polana do piersi jak niemowlę i próbowałam powstrzymać łzy. Wtedy zauważyła mnie i pogrążona w myślach podniosła wzrok znad książki.

– O, przepraszam, nie słyszałam, jak wchodzisz – wyjąkała i natychmiast się zaczerwieniła.

To była dziwna sytuacja: ona na tronie, a ja u jej stóp ściskająca polana.

– W porządku, nic się nie stało – powiedziałam i przełknęłam całą gorycz, jaką poczułam w tamtym momencie.

Było to rozgoryczenie wolnością, która nie przyniosła niczego prócz zimna, i tą odrobiną drewna, które bardzo szybko zamieni się w popiół. Rozgoryczenie tym, że zakochałam się w chłopaku, który w obecności innych nigdy nie weźmie mnie za rękę. Stałam tam przed tą małą boginią, której mój ojciec urządził tron, i czułam się jak sparaliżowana. Zmarnowaliśmy swoją przyszłość, zanim się jeszcze zaczęła. Okradliśmy ją, okradliśmy tę małą Marię z przyszłości. Wszyscy ją oszukaliśmy. Pozwoliliśmy jej zakuwać Hölderlina, podczas gdy sami rzucaliśmy granatami, puszczając z dymem całe piękno, a ci, którzy powinni byli nas chronić, naciągali nas i sprzedawali wolność za pięć tysięcy dolarów. Wstydziałam się, nie mogłam znieść tego wystawienia na jej ufne i pytające spojrzenie.

Chciałabym wierzyć w to, że spełniła najskrytsze marzenie Eter i została czołową germanistką z dwoma doktoratami i profesurą na Uniwersytecie Państwowym, i że zaszczepia teraz innym zamiłowanie do Hölderlina – tak bardzo chciałabym wierzyć w to, że los nie pokrzyżował jej planów.

Prezydent uciekł najpierw do Azerbejdżanu, a potem do Armenii, a w kraju przejęło rządy odziane w wojskowe kurtki moro i obwieszone kałasznikowami trio opozycyjne złożone z dwóch przywódców wojskowych i jednego dawniej zacieklego komunisty, który wyrzekł się swojej partii. Niektórzy mówili, że w ciągu tych kilku tygodni zmarło dwieście, według niektórych tysiąc, a byli i tacy, którzy twierdzili, że dwa tysiące osób. Nie wiem tego do dziś. Nikt nie miał czasu liczyć zmarłych, w końcu każdy musiał pilnować, żeby samemu pozostać przy życiu. Ale lud był wzburzony, demonstracje nie ustawały. Kraj był podzielony, zwolennicy prezydenta, a wśród nich moja babka, żądali „sprawiedliwości” i okupowali ulice. Oliko wystawała w swoim wełnianym płaszczu z kołnierzem z norek, w czarnym berecie i sznurowanych kozaczkach ze szpiczastymi noskami przed budynkiem telewizji państwowej, przed osmalonym budynkiem parlamentu, przed Akademią Nauk i wykrzykiwała nazwisko swojego prezydenta. A tymczasem naga Nene prężyła się w świetle zachodzącego słońca jak rozbawiona kotka, mruczając lub ziewając, i przyzywała swojego kochanka do siebie.

Było to pierwsze łożo, pomijając nędzny pokój hotelowy w Batumi, które ze sobą dzielili, i byli niesamowicie dumni, że ciemne kryjówki mają już za sobą. Dawny kolega Saby, który wyemigrował z rodziną na Ukrainę, przekazał mu klucz do domku letniskowego w Ckneti. Więc w ostatnim czasie korzystali z każdej okazji, żeby uciec na północ od miasta, do tej małej idylli, do elitarnego letniska przedstawicieli byłej nomenklatury.

Myślę, że byli w tym domu szczęśliwi. Że ona była szczęśliwa, że chciała tego. Wszystkiego, co jej dawał.

ZOO

Zbliżam się teraz do jej być może najbardziej znanej fotografii, obrazu utożsamianego z jej nazwiskiem, tak jak utożsamia się *Le Violon d'Ingres* z Manem Rayem, *Pocałunek* z Cartier-Bressonem czy *Lojalistyczny milicjant w chwili śmierci* z Robertem Capą. To jest zdjęcie, które zdobi większość rozpraw naukowych i esejów poświęconych jej twórczości, albumów, które ukazały się w ostatnich latach w najbardziej renomowanych wydawnictwach artystycznych, zdjęcie, które pojawia się jako pierwsze, gdy wpisze się jej nazwisko w wyszukiwarce internetowej. Zdjęcie, którego nienawidzę tak bardzo, że nawet dzisiaj pozrywałabym je najchętniej ze wszystkich ścian, usunęła ze wszystkich książek i zniszczyła je raz na zawsze.

Ta fotografia wytrąca z równowagi, jest bezwzględna, sposób, w jaki wszystko obnaża, jest nie do zniesienia. Przedstawia najgorszy dzień zarówno w moim, jak i w jej życiu, stanowi cezurę pomiędzy tym wszystkim, co było, i tym, co nastąpi później, punkt, w którym jeszcze nie wiemy, że pod koniec dnia staniemy się zupełnie kimś innym. Pewna część mnie do dziś nie może pogodzić się z tym, że tę potworność, to piekło, które, jak się nam zdawało, zostawiłyśmy już za sobą, udostępniła całemu światu.

Nosi tytuł *Zoo* i większość ludzi wychodzi z założenia, że dotyczy demonstracji, które przekształciły się w zwierzęce ekscesy, oraz chwili, gdy ludzie porzucają wszelkie cywilizowane formy. Na temat tego obrazu napisano wiele tekstów, w których przyjmuje się, że krew ma związek z zamieszkami podczas demonstracji i że zdjęcie przedstawia mnie tuż po ucieczce w bezpieczne miejsce. Tylko trzy osoby w tej sali znają prawdziwy powód, dlaczego ta fotografia została tak zatytułowana. Ale nie będziemy niczego zdradzać. W tak uroczystych okolicznościach nie będziemy nikomu psuć nastroju. Będziemy łagodnie się

uśmiechać, świętować z wielką pompą i składać pośmiertny hołd naszej przyjaciółce.

Pamiętam, jaka byłam zszokowana, gdy w tamtym momencie wyciągnęła aparat fotograficzny i beznamytnie – w każdym razie tak mi się wydawało – skierowała obiektyw w moją stronę. To czarno-białe ujęcie wystawia mnie na widok publiczny w całkowicie bezlitosny sposób, eksponuje mnie z niezwykłą bezwzględnością, pokazuje mnie przepełnioną strachem, a mimo to tak silną, jak być może nigdy dotąd nie byłam. Wyczuwa się na nim źródło przerażenia, ale go nie widać, jest nienamacalne. I właśnie to, moim zdaniem, decyduje o klasie tego zdjęcia: wszystko, co trzeba wiedzieć, co można wiedzieć, odbija się w twarzy tej dziewczyny, którą kiedyś byłam, dziewczyny z grubym kucykiem i szeroko otwartymi oczami. Mimo że zdjęcie tak wiele obnaża, pozostaje prowokacyjne i tajemnicze – być może to jest powód, dlaczego właśnie ono osiągnęło na pewnej aukcji w Stanach Zjednoczonych horrendalną cenę i było tak często reprodukowane. Można odnieść wrażenie, że jest niemal pozowane, a jednocześnie tak naturalne, jak tylko naturalne może być życie w swoich najbardziej przerażających momentach. Klęczę na nim umazana krwią nad kałużą własnych wymiocin, pod jakąś latarnią, z wyrazem twarzy naznaczonym strachem, a mimo to pełnym waleczności, a w tle widać – i to fascynuje krytyków i historyków sztuki najbardziej – wybieg dla małp. Na jednym z pniaków siedzi samotna małpa, zwabiona pewnie wieczorną awanturą, przygląda mi się zdziwiona, siedzi prawie na tej samej wysokości co ja, rozdziela nas jedynie krata, jej oczy wyrażają zdumienie i jednocześnie współczucie, tak jakby miała ochotę mnie pocieszyć.

Czuję się niezręcznie, powoli nastawiam się psychicznie na szepty, które wkrótce rozlegną się w tych zatłoczonych salach, pełnych zapachu drogich perfum i ptifurek. Goście, pochylając głowy, będą szeptać sobie nawzajem do ucha: „Patrz, to ta ze zdjęcia z małpą...”. A ja będę zadawać sobie pytanie, czy to prawda – czy dziewczyna z tej czarno-białej fotografii ma jeszcze coś wspólnego z kobietą, która stoi właśnie przed nią i ją ogląda.

Tamtego poranka obudził mnie Lewan. Poinformował, że zebrał już z „chłopakami” brakującą kwotę i że powinnam jak najszybciej pójść do adwokata, że nie ma czasu do stracenia, niezależnie od tego, co mówi mój ojciec. Zaspana poczłapałam boso na zimną werandę, gdzie wręczył mi grubą, pomiętą i zaplamioną kopertę. Dołożyłam do tego pieniądze, które przechowywałam pod materacem, i zaczęłam się pospiesznie ubierać.

Dina była wtedy w redakcji, ale udało mi się poprosić ją do telefonu. Umówiliśmy się przy placu Mardżaniszwilego, żeby stamtąd pojechać razem do dzielnicy Saburtalo, gdzie adwokat miał swoją kancelarię. Dina zaczęła przez telefon płakać ze szczęścia, kilku kolegów z pracy – słyszałam to w tle – wydało okrzyk radości. Ojciec na szczęście wyszedł już z domu, a Eter czekała na uczennicę. Była akurat w łazience i czesała swoje siwo-czarne włosy, gdy ją tam zaskoczyłam i objęłam od tyłu.

– Och, bukaszko, czym sobie zasłużyłam na taki nagły przypływ miłości?

– Jest co świętować: zebraliśmy pieniądze, Rati wyjdzie wkrótce na wolność!

Babuda jeden, zazwyczaj nieskora do sentymentalnych wzruszeń, zapomniała o swoim opanowaniu, odwróciła się do mnie, chwyciła obiema rękami moją twarz i pocałowała w euforii w oba policzki.

– Och, wnusiu! Moja wspaniała bukaszko, nareszcie, nareszcie będziemy mogli wyciągnąć stamtąd chłopaka, jesteś wspaniałą siostrą, jestem taka szczęśliwa, taka szczęśliwa, nawet sobie nie wyobrażasz.

Nie mogła się uspokoić i od razu nastawiła kawę, bo wiedziała, że uwielbiam jej mokkę.

– Gdzie jest Oliko? Powinna świętować razem z nami! – spytałam, przyglądając się równocześnie, jak wsypuje drobno mielone ziarna do prastarego blaszanego tygielka.

– Ach, nawet mnie nie pytaj. Na dzisiaj jest zaplanowana wielka demonstracja, marsz przez pół miasta. Swój udział zapowiedziało pięćdziesiąt tysięcy zwolenników prezydenta z całego kraju. Spotykają się koło dworca i będą

demonstrować przeciwko Radzie Wojskowej i oddawać hołd swojemu mesjaszowi. Przykro mi, nic na to nie poradzę. Jeśli chce, może za nim jechać nawet do Armenii i przez całą drogę skandować jego imię – powiedziała, wzdychając, i nalała nam cudownie pachnącego czarnego jak smoła napoju.

Wyobraziłam sobie, jak babuda dwa w tym swoim czarnym paltociku, w kozaczkach ze spiczastymi noskami, ze swoim nienagannym kokiem, w eleganckim moherowym berecie i długich rękawiczkach wznosi gdzieś w Armenii plakat z podobizną wypędzonego prezydenta i wykrzykuje jego imię. Nie, to w ogóle nie pasowało do mojej elegijnie usposobionej babki z jej przekładami Rollanda i Zoli, z jej pobłażliwą łagodnością i miłością do całego świata.

– Każdego dnia modłę się do Boga, żeby nikt z naszych dawnych koleżanek i kolegów nie zobaczył jej na którejś z tych cholernych demonstracji. Wstyd mi, taka poważana językoznawczyni, niezrównana tłumaczka, a teraz okazuje się, że stoi tam z całym tym plebsem i krzyczy: „Zwiad, Zwiad!”, jakby był Bogiem we własnej osobie.

– Niezrównana tłumaczka – powtórzyłam – no, no, taki komplement w twoich ustach, muszę jej to powiedzieć!

– Nigdy nie kryłam, że doceniam jej literackie zasługi, ale to nie znaczy, że nie mam jej nic do zarzucenia jako człowiekowi...

– Muszę już iść.

Zerwałam się na nogi, pocałowałam ją w policzek i wybiegłam pospiesznie z kuchni.

– Tylko nie jedź metrem, z powodu tej przeklętej demonstracji mają być przerwy w dostawie prądu i blokady na ulicach – zawołała za mną.

Wciąż trwał stan wyjątkowy, rany miasta wciąż były otwarte. Brutalna wojna domowa odcięła Stare Miasto od reszty, tereny wzdłuż Starego Miasta stały się polem bitwy, ponieważ większość walk toczyła się w centrum. Przejście przez aleję Szoty Rustawelego było dużym wyzwaniem, wiele znanych budynków, wszystkie

te miejsca, z którymi wiązało się nasze dzieciństwo, leżały w gruzach. Szkielety domów, wysadzone lub spalone fasady były niczym zwęglone nadzieje, stare przestało istnieć, a nowe zostało zamordowane jeszcze w łonie matki.

Pośród tego nieszczęścia uskrzydlała mnie radość z pieniędzy tkwiących w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Podjechałam kawałek trolejbusem, który po pewnym czasie zatrzymał się z powodu blokady. Co jakiś czas widziałam mundurowych z Gwardii i członków Mchedrioni w tych swoich kurtkach moro, idiotycznych opaskach na czole, w ray-banach i pod bronią. Starłam się ich ignorować i koncentrowałam się na swoim celu. Nie rzucać się w oczy, nie zwracać na siebie uwagi – tylko to się liczyło. Zauważyłam, że od strony nabrzeża Elbakidze masy ludzkie napierają w kierunku mostu Were, który dziś nosi już inną nazwę, tak jakby chciał zmyć z siebie hańbę, której stał się świadkiem tamtego dnia. Ludzie skandowali imię prezydenta i domagali się jego powrotu. W uporządkowanym szyku, jak w wyćwiczonym tańcu, kierowali się w stronę mostu, emanowało z nich przygnębiające posłuszeństwo, instynktownie zaczęłam rozglądać się za babcią. Z jednej strony chciałam ją tam odnaleźć, z drugiej jednak bałam się tego. W ten lęk wmieszało się jeszcze jedno uczucie: wstyd. Sama nie wiem dlaczego, ale wstydziłam się, że ona może być częścią tego tłumu. Coś buntowało się we mnie przeciwko temu. Gdy zbliżałam się już do placu Mardżaniszwilego, uświadomiłam sobie, że będę musiała torować sobie drogę i przedzierać się przez ten tłum, żeby dotrzeć do Diny, ponieważ miejsce naszego spotkania leżało po drugiej stronie rzeki.

Zauważyłam, że w stronę placu Mardżaniszwilego suną w ślimaczym tempie dwa czołgi. Sprawdzając nerwowo co jakiś czas, czy pieniądze wciąż tkwią w kieszeni płaszcza, szłam zdecydowanym krokiem naprzód. Gdy doszłam do mostu Were, hałas się wzmógł. Otoczyło mnie morze ludzi, wchłonęło mnie i porwało ze sobą. Kobiety, w większości ubrane na czarno, przypominały płaczki żałobne z antycznej tragedii. „Zwiadi, Zwiadi!” – krzyczały niemal jednym głosem. Wydawało się, że nic i nikt nie jest w stanie ich zastraszyć, to morze złożone z tysięcy głów i rąk kontynuowało, niczym niezrażone, swój jednostajny

i rytmiczny ruch, pływy morskie były nie do zatrzymania. Pociłam się ze strachu, ale nie przyznawałam się do tego sama przed sobą, musiałam wypełnić misję, być może najsensowniejsze zadanie mego życia: wydostać brata z piekła, przywrócić mu przyszłość, przyszłość, która mu się należała, mimo że sam wzbraniał się przed normalnym życiem. Zaczęłam sobie wyobrażać, że jestem łososiem, który płynie pod prąd, płynęłam przez morze ludzi, nie zakłócając jego biegu.

Wkrótce po tym, jak zostawiłam za sobą most i zmierzałam w kierunku Teatru imienia Mardżaniszwilego, gdzie miałam się spotkać z Diną, gdzieś w oddali rozległ się pierwszy strzał. Wzdrygnęłam się, choć muszę przyznać, że w ostatnich miesiącach nauczyłam się oceniać stopień niebezpieczeństwa na podstawie siły dźwięku. Było to dostatecznie daleko, więc niczym niezrażona szłam dalej. Zaraz potem zobaczyłam Dinę i przyspieszyłam kroku. Biegła pędem prosto z redakcji, na ramieniu dyndała jej stara skórzana torba z aparatem fotograficznym w środku. Mimo napiętego wyrazu twarzy zdawała się lśnić na tle tego szarego smutku wokół. Miała na sobie niebieską kurtkę, do tego dosyć odważną krótką spódnicę w kratkę i znoszone ciemnobrązowe kozaki, jej niesforna grzywa okalała twarz niczym wojskowy hełm. Sprawiała wrażenie niesamowicie wolnej i całkowicie obcej pośrodku tego pola minowego, które kiedyś było naszym krajem.

Rzuciłam jej się na szyję i odetchnęłam z ulgą, ponieważ tym razem, wbrew swoim nawykom, nie spóźniła się na spotkanie.

– Musiałaś chyba przedzierać się przez sam środek manifestacji, prawda? To nic, teraz powinniśmy już bezpiecznie dotrzeć do Saburtalo, tam nie ma ani jednego z tych pomyleńców, przysięgam – powiedziała i mrugnęła do mnie okiem. – Te świny z Mchedrioni też będą się pewnie koncentrować po tamtej stronie rzeki, w redakcji mówili, że największa demonstracja jest w Didube, więc możemy iść śmiało do Saburtalo.

Pociągnęła mnie za rękę, jakbym była dzieckiem, a ona moją matką, ale chętnie poddałam się optymizmowi i zdecydowaniu, odrzuciłam wątpliwości na bok, chociaż po drodze do adwokata znajdował się budynek telewizji państwowej, przed którym również zapowiadano jakieś zgromadzenie.

Wejście do metra przy placu Mardżaniszwilego było zamknięte, wsiadłyśmy więc do minibusu, który akurat przejeżdżał koło nas i w ten sposób pokonałyśmy bez problemu aleję Plechanowa. Tylko przygnębione twarze pozostałych pasażerów nie wróżyły niczego dobrego. Gdy minąwszy studia filmowe, skręciliśmy w lewo, a minibus nie pojechał zjazdem w stronę rzeki, lecz zaczął jechać z powrotem w kierunku placu Mardżaniszwilego, doszłam do wniosku, że chyba lepiej było iść na piechotę. Minibus zahamował gwałtownie, kierowca, wzruszając ramionami, opuścił szybę i popatrzył bezradnie na swoich pasażerów, jakby czuł się osobiście dotknięty, że nie może ich dowieźć bezpiecznie do właściwego celu.

– I co teraz? Wracamy? – spytałam niezdecydowana.

– To w ogóle nie wchodzi w grę, a już na pewno nie przez tych bandytów! – zdecydowała Dina.

Ponownie wzięła mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Tym razem stawiałam nieco większy opór, ponieważ zauważyłam w oddali kilka kurtek moro, opasek na czołach, kałasznikowów i bagnistozielonych pojazdów wojskowych, a to wszystko razem nie wzbudzało zbytniego zaufania. Po raz kolejny sprawdziłam pieniądze w kieszeni płaszcza. Wokół nas panowała niepokojąca cisza.

– Przemkniemy szybko przez ten korytarz, a potem pobiegniemy dalej, musimy tylko jakoś ominąć ten przeklęty plac.

Głos jej się łamał, był wyższy niż zazwyczaj, mówiła tak zawsze, gdy była zdenerwowana. Zauważyłyśmy, że z drugiej strony nadjeżdża powoli kolumna wojskowa żołnierzy Mchedrioni, lufy karabinów maszynowych wystawały z opuszczonych okien jak znaki ostrzegawcze.

Co teraz będzie? Czyżbyśmy zostali otoczeni na tym rozległym placu, czy miałyśmy tam teraz tkwić, aż ostatni demonstranci wyprą się swojego prezydenta? Czy miałyśmy przysięgać, że już nigdy więcej nie będziemy zaspokajać swojego głodu demokracji, że będziemy posłuszne, oddane i wierne władzy. Czy zamierzają robić to samo, co zaledwie trzy lata temu robiła rosyjska armia? Czy tak jak oni

rzucą się z łopatami na uczniów i studentów, czy będą dodawać do gazu łzawiącego difenylochlooroarsynę, żeby nas unieszkodliwić?

Nagle ogarnęło mnie obezwładniające poczucie beznadziei i sprawiło, że nie byłam w stanie ruszyć się z miejsca, jakbym zapuściła tam korzenie. Jak mamy pokonać te przeszkody? Zaczęłam namawiać Dinę, żebyśmy natychmiast zawróciły, zeszły jak najszybciej schodami do budynku cyrku, w którym tak często bywałyśmy w dzieciństwie, w którym zajadałyśmy watę cukrową i kupowałyśmy od starszych pań ręcznie robione kolorowe piłeczki na gumce. Nagle tuż przy mnie padł strzał. Oddał go chłopak niewiele starszy od nas, ze śmiesznym meszkiem pod nosem, do dziś pamiętam jego twarz. Wycelowwał broń do góry, ponad tłum, po to tylko, żeby zademonstrować tę odrobinę władzy, jaką miał.

– Won do domu, sukinsyny, wynocha stąd! – ryknął, na co tłum zaczął grzmieć, ekstatyczne okrzyki i skandowanie imienia prezydenta stawały się coraz głośniejsze.

Dina zachowywała zdumiewający spokój, a ja zastanawiałam się, jak to możliwe, że w ekstremalnych sytuacjach – czy to bójk w szkole, czy nocnego zniknięcia Nene podczas balu na zakończenie szkoły – potrafi zachować spokój i opanowanie, tak jakby ekstrema były jej naturalnym stanem. Teraz też zachowywała kontrolę, chwyciła mnie za ramię, krzyknęła mi do ucha, że ma pewien plan i że mam robić to co ona, po czym przesunęła jakiegoś demonstranta z flagą w rękę na bok i ponownie zanurzyłyśmy się w tym morzu flag, ludzi, portretów prezydenta, kałasznikowów, zimnego potu i wzbierającej mocno spienionej fali przemocy.

Płynąć przez te masy było łatwo, lewe skrzydło nadawało rytm, a reszta się do niego dopasowywała, płynęłam, rozmyślając o tym, że stałam się częścią tego „ludu”, o którym tak często i z taką fascynacją mówiła babuda dwa. Znów rozległy się strzały, tym razem z nieokreślonej odległości, a zaraz potem kilka kolejnych, jeden za drugim, musiała to być zatem broń automatyczna. Morze błyskawicznie zaczęło się burzyć, równomierny takt został zakłócony, następnie, jakby ludzie tylko czekali na te strzały, rozległo się ze wszystkich stron: „Zwiad, Zwiad,

Zwiad!” i „Niech żyje wolna Gruzja!”. A potem fala ruszyła do przodu, robiła się coraz większa, gotowa, żeby zalać cały plac i pogrzebać wszystko pod sobą.

Ścisnęłam Dinę jeszcze mocniej za rękę. Pociągnęła mnie energicznie za sobą, wiedziała, co robi, jej plan wydał mi się teraz najmądrzejszym ruchem szachowym świata, gdy zrozumiałam, że zmierza w kierunku pobliskiego zoo, gdzie tłum nieco się przerzedzał, siedziało tam tylko kilka pojedynczych, wycieńczonych i przestraszonych osób. Ale nie zwracaliśmy na nie uwagi, tym razem to ja pociągnęłam Dinę za sobą, rzuciliśmy się do wejścia z kamiennymi lwami po bokach i z zardzewiałymi drzwiami obrotowymi.

Zoo było połączone od tyłu z parkiem Mziuri, między obydwojma miejscami wypoczynku leżał wąwóz porośnięty dziką roślinnością, którym płynęła Were, zawsze nazywana tylko „rzeczką”, jak gdyby chciano umniejszyć jej siłę. Zoo było ulubionym miejscem wycieczek podczas wagarów. Gdy chcieliśmy zaoszczędzić na biletach wstępu, zakradaliśmy się zazwyczaj od tyłu, przechodząc jak po linie po grubej zardzewiałej rurze zawieszanej na zawrotnej wysokości nad wąwozem i prowadzącej wprost do wybiegów dla zwierząt.

– Pobiegniemy w stronę wąwozu, a potem po rurze przedostaniemy się do parku. Tam już będziemy bezpieczni! – Tym razem to ja nakreśliłam naszą strategię przetrwania.

Zgodziła się na nią bez słowa i podążała za mną, stawiając ciężkie pospieszne kroki. Raz po raz przyciskała do siebie torbę z aparatem fotograficznym, żeby się upewnić, że z jej drogocennym sprzętem wszystko w porządku. Błyskawicznie wdrapałyśmy się na drzwi obrotowe i przedostałyśmy się do środka. Minęłyśmy zamknięte kasy, lwy i tygrysy, wielbłądy, w oddali wciąż było słychać strzały, przez kraty docierały do nas krzyki oraz oznaki paniki, udzieliły się one także zwierzętom, które zaczęły chodzić nerwowo po swoich klatkach. Strzały stawały się coraz cichsze, krzyk przekształcił się w jakieś obce, bliżej nieokreślone echo, połączone z odgłosami zwierząt – świat wściekłości i grózb, świat nienawiści oddalał się od nas. Dotarłyśmy do zbrocza, byliśmy już niedaleko dzikich zarośli, trudna do przekroczenia „rzeczka”, która miała być naszym ratunkiem, wyglądała

dość obiecująco. I wtedy to usłyszałyśmy: niedaleko wybiegu dla małą, gdzie przebywały zuchwałe szympansy i mądre orangutany, zabrzmiała niekończąca się melodia naszej młodości, groźby i wulgarne obelgi, jednoznaczny, uniwersalny język przemocy.

– Ty skurwysynu, porozwieszam twoje flaki na płocie, zdechniesz tu jak twój kumpel, pedale jeden, nie potrafisz dotrzymać słowa, ale naszą forszę to umiesz przepuścić, co?

Po czym nastąpiło głuche uderzenie, jakby kolbą karabinu, która trafia na kość. Potem skowyt, kopnięcie butem, ponowna groźba, przekleństwa i ten ohydny władczy ton.

Stanęłyśmy jak wryte, nie byłyśmy w stanie zrobić kroku ani w jedną, ani w drugą stronę. Stałyśmy pod jedyną jeszcze funkcjonującą latarnią i gapiliśmy się na dwóch mężczyzn w kurtkach moro, którzy trzymali w rękach wielkie obrzyny i okładali jakiegoś chłopaka w podartych i przesiąkniętych krwią jeansach. Obok leżała nieruchomo jakaś postać w kurtce z jagnięcej skóry z twarzą zanurzoną w błocie.

W tym momencie wstrząsnęła mną myśl, że już stąd nie uciekniemy. Byłyśmy uwięzione pomiędzy odległymi strzałami a wściekłym krzykiem, stałyśmy pod jedynym w całym mieście snopem światła, w kraju, który nie istnieje, już nie albo jeszcze nie, ponieważ nie istnieje też lepsza wersja nas samych, ponieważ jesteśmy tym, kim jesteśmy – ze swoją bronią, z uzbieranymi pieniędzmi w kieszeni płaszcza, ze swoim mesjaszem na piersi, ze swoją wolą przetrwania i strachem, by przyznać się przed samymi sobą, że zmarnowaliśmy tę wytęsknioną i tak drogo okupioną wolność, że zapomnieliśmy jej jak jakiegoś języka obcego, którym nie mówiło się przez kilkadziesiąt lat. Byliśmy uwięzieni w kręgu niekończących się powtórek.

Prowodyr z ogoloną na łyso głową, który dopiero co uderzył kolbą mężczyznę z krwawiącą nogą, odwrócił głowę w naszą stronę. Drugi z nich, sprawiający wrażenie trochę niepewnego i trzymający się kurczowo swojej potężnej broni,

bezwłocznie zrobił to samo. Tylko ta postać leżąca na ziemi, u której zauważyłam teraz jaskrawoczerwoną potylicę, niczego nie widziała.

– Czego tu szukacie? – zapytał łyсы, odwracając się całkowicie w naszą stronę.

– My... chcemy po prostu dostać się do domu, natknęliśmy się na demonstrację i... – wyjąkałam, czując jednocześnie, jak na widok wciąż nieruchomej postaci w kurtce z jagnięcej skóry zaczyna mi się robić niedobrze.

– Po prostu do domu, rozumiem. – Zbir podrapał się za uchem. – Ika, jak sądzisz, możemy je puścić? – zwrócił się do swojego partnera, który też się podrapał, z tym że z tyłu głowy, po czym wzruszył ramionami. – Pewnie opowiecie w domu o tym, co tutaj, jak wam się zdaje, zobaczyłyście, prawda?

Zaprzeczyłam energicznie głową. Dina stała w bezruchu. Byłam zdziwiona, że jest taka spokojna.

– Nie, niczego nie widziałyśmy... – Miałam ochotę zwymiotować, ponieważ coraz wyraźniej docierało do mnie, co tam zobaczyłyśmy i co wciąż widzimy. – Naprawdę chciałyśmy tylko przejść przez rzekę i... – powiedziałam, zacinając się, i spojrzałam kątem oka na Dinę, która stała jak w transie i patrzyła prosto przed siebie, jakby przenikała wszystko wzrokiem.

I wtedy zakrwawiony rudzielec zaczął nagle wrzeszczeć, jakby go ktoś policzkował:

– Wy bydlaki, co z nim zrobiliście, co z nim zrobiliście?!

W tym czasie, gdy jego dręczyciele byli zajęci czym innym, doczołgał się do leżącego nieruchomo przyjaciela i usiłował go odwrócić. Spojrzałam na Dinę, która otworzyła usta, nie wydając z gardła ani jednego dźwięku, i jak głodny kurczak próbowała złapać powietrze. I wtedy ja też to zobaczyłam. Zobaczyłam krwawą masę, która wycieka z czaszki i miesza się z błotem. Wstrzymałam oddech, ponieważ ta pewność spadła na mnie jak grom z jasnego nieba, pewność oszałamiająca i potworna: on nie żyje.

– Stul pysk! – Łyсы kopnął go w brzuch. – Hej, Ika, co robimy? Wypuszczamy dziewczyny?

Słyszę ich. Zamykam oczy, już mnie tam nie ma, jestem tutaj, jestem bezpieczna, nic mi się nie może stać, wszystko, co mogło się stać, już się wydarzyło, jestem teraz w pięknym i bezpiecznym miejscu, lata świetlne od tej krwawej orgii, mogę odetchnąć, ale nie, ta scena wciąż trwa, nigdy się nie skończyła, nigdy nie udało mi się uciec z tego potwornego miejsca. Robi mi się niedobrze, nie powinnam była pić tyle wina, kiedy ostatnio jadłam coś porządnego, nie licząc rozciapanej kanapki w samolocie? Szukam wzrokiem koleżanek, ich widok na pewno mnie uspokoi. Zauważam Irę, która stoi niedaleko mnie zapatrzona w jakiś obraz, zatopiona we własnych wspomnieniach. Oddycham głęboko – ja wciąż stoję przed samą sobą, a za mną mała w klatce, która mi współczuje, że jestem człowiekiem.

Czy słusznie mi się zdaje, że nerwowy Ika był wtedy zdecydowanie mniej zadowolony niż jego obrzydliwie pewny siebie szef, który miał już chyba niejaki doświadczenie w boju? Wiedział, że nadszedł właśnie jego czas, zarówno jemu, jak i jego ludziom wszystko było wolno, nie istniała już żadna instancja, która mogłaby im w czymkolwiek przeszkodzić. Byli teraz królewską armią, byli strażnikami, sędziami i katami w jednym, ich władza była nieograniczona, więc ostatecznie było mu wszystko jedno, czy Dina i ja rozpoznamy jego twarz, czy nie, czy doniesiemy na niego lub oskarżymy go, czy nie, gdyż wiedział, że i tak nie mamy żadnych szans – w starciu z nim i tysiącem innych, którzy stali za jego plecami. W jego oczach byliśmy po prostu przestraszonymi, głupimi dziewczynkami, z którymi mógł się trochę zabawić, które chciał trochę postraszyć i się z nimi podrażnić.

– A może chcecie zostać? Twoja koleżanka zdaje się zachwycona. No co, dziewczyno, lubisz broń i twardych facetów z bronią, co? – spytał i głośno się roześmiał. Potem znów zwrócił się do swojej ofiary, ponownie kopnął ją w bok i ryknął, aż ślina pryskała na wszystkie strony: – Muszę mieć pieniądze jeszcze dzisiaj! Mówiłem wam, mówiłem wam, zgadza się, ty pedale?! Muszę je mieć dzisiaj, nie jutro, nie pojutrze! Mówiłem to twojemu debilnemu kumplowi czy nie? To, że twój poroniony przyjaciel nie żyje, to wyłącznie twoja wina i jeśli

natychmiast mi nie powiesz, gdzie znajdę tę forszę, to skończysz tak samo jak on, ty cioto, zrozumiano?

Pochylił się nad nim i przycisnął mu lufę do policzka. Rudzielec się nie ruszał.

– Zabiłeś go, normalnie go zabiłeś, ty szczurze, zabiłeś... – mamrotał i zaczął z wielkim trudem się podnosić.

– No, dosyć, moja cierpliwość się skończyła. Gadaj, gdzie jest moja forsa, bo inaczej twoje flaki dołączą zaraz do przyjaciela.

– Nie mam tych pieniędzy. Nawet ich nie widziałem. Ja nawet nie gram. Zabiłeś go... czego ty jeszcze chcesz? I puść te dziewczyny, wypuść je. One nie mają z tym nic wspólnego.

Te słowa zmroziły mi krew w żyłach. Chwyciłam Dinę za rękę i zrobiłam niepewnie krok do przodu.

Nagle usłyszałam eksplozję, ostry gwizd rozszedł się w powietrzu. Ten wystrzał był inny niż pozostałe, wyczuwałam intuicyjnie, że nie był skierowany ot tak po prostu w powietrze, lecz był wymierzony w konkretny cel: w ludzkie życie. Dopiero z opóźnieniem zdałam sobie sprawę, że Dina krzyczy, jakby ją ktoś przypalał na ruszcie, a w jej głos wmieszał się inny, niższy, głos rudzielca, który dostał strzał w nogę i teraz zwijał się z bólu.

– Daję ci dokładnie piętnaście minut, masz mi powiedzieć, gdzie jest forsa, ty lachociągu, potem wypruję ci mózg!

Wszystko teraz się rozpada. To, co było, i to, co miało nadejść, wszystko zostaje wymazane. Znika. Nie ma nic. Słyszę bicie własnego serca, w głowie pulsuje mi tylko jedna myśl: musimy wywinąć się śmierci. I podejmuję decyzję, od której już nie ma odwrotu, oddalam się od siebie samej, od siebie takiej, jaką w swoim przekonaniu jestem. Opowiadam się za życiem Diny i swoim własnym, a także za przyszłością brata, którą trzymam w kieszeni płaszcza. Opowiadam się przeciwko rudzielcowi.

Lada chwila mogły zapaść ciemności i uniemożliwić nam ucieczkę po rurze zawieszanej wysoko nad wąwozem. Wzięłam Dinę za rękę i pociągnęłam ją za sobą, dziwiąc się sama sobie, że tak trzeźwo myślę, że udaje mi się nie zastanawiać nad martwym chłopakiem leżącym na ziemi, za to rozmyślałam o Ratim i jego uwolnieniu. Spodziewałam się w każdej chwili jakiegoś krzyku, obawiałam się, że nas zatrzymają, że zawloką nas z powrotem, ale nic podobnego się nie stało. Więc przyspieszałam kroku i coraz mocniej ścisnęłam rękę Diny. Słyszałam za sobą, jak dyszy, ale żadna głoska nie wydobywała się z jej ust i byłam jej wdzięczna za ten brak oporu i spokój.

Zapadał już zmrok, pędziłam w kierunku wąwozu, który miał być naszym ratunkiem, jak jakieś zwierzę drapieżne wabione jednostajnym, kojącym szmerem wody. Gnałam coraz szybciej, uciekałam, byłam przekonana, że uciekam przed śmiercią, ale dzisiaj sędzę, że była to przede wszystkim ucieczka przed koniecznością bycia naocznym świadkiem, która mnie przerastała.

Dlaczego zdradziłam samą siebie? Stawiałam sobie to pytanie już niezliczoną ilość razy, stawiam je nieustannie, z masochistyczną brutalnością, do dzisiaj, wciąż od nowa, analizuję szczegółowo ten moment. Czy byłam wtedy w stanie przewidzieć, że nagłą śmierć można ponieść nie tylko od broni? Także paralizujący strach może sprawić, że urządzimy w sobie jakieś wewnętrzne miejsce pamięci, w którym do końca życia będziemy opłakiwać siebie samych takich, jakimi byliśmy dawniej, zanim trzeba było przyzwycząić się do widoku mokrej lutowej ziemi, w którą wsiąka masa mózgowa. Czy mogłam wtedy przewidzieć, że decyzje i tak już dawno zapadły i że od tamtego wieczoru jakakolwiek próba pójścia własną drogą będzie tak czy owak prowadzić do zatracenia?

Niczym niezrażona szłam dalej, ciągnąc za sobą sparaliżowaną Dinę, nie zatrzymywałam się, nie oglądałam się za siebie. W pewnym momencie znów poczułam narastające mdłości, ale musiałam wytrzymać, będę mogła pozwolić sobie na załamanie dopiero wtedy, gdy już będzie po wszystkim. Przedtem

powinnam doprowadzić Dinę i siebie na drugą stronę, jak najdalej od strzałów, jak najdalej od trupów, jak najdalej od tego wszystkiego, na co brakuje słów. Dotarliśmy w końcu do rury, wieczór zapadł już na dobre, mimo to miałam nadzieję, że uda nam się jeszcze w porę przedostać na drugą stronę. Zaczęłam stawiać ostrożnie krok za krokiem, wciąż trzymając Dinę za rękę. Mniej więcej w połowie drogi poczułam szarpnięcie. Dina wyrwała nagle swoją dłoń i stanęła w miejscu. Odwróciłam się. Wyraz jej twarzy napędził mi strachu. Wszelki lęk i wszelki wstręt, wszelka niepewność nagle zniknęły. Przedemną znów stała połykaczka ognia, najwyraźniej powróciła prawdziwa, rzeczywista, najlepsza ze wszystkich i jednocześnie najbardziej nieobliczalna wersja Diny.

– Co to ma znaczyć? – zapytałam przestraszona.

– Musimy zawrócić – powiedziała zdecydowanym tonem. – Nie możemy teraz tak po prostu zwać. Wiesz, że go zabijają. Nie możemy teraz tak po prostu odejść, a potem z tym żyć.

Krzyki za naszymi plecami umilkły, nie wiedziałam, czy to był dobry, czy zły znak. Nienawidziłam tego, co powiedziała, chociaż wiedziałam, że ma rację i że zaraz zażąda ode mnie czegoś, co mnie przerosnie.

– Co mamy robić?

Zbędne pytanie, bo już dawno znałam odpowiedź.

– Keto, daj mi pieniądze – powiedziała i wyciągnęła do mnie drżącą ubrudzoną rękę.

Pociągnęła kilkakrotnie nosem i dopiero teraz zrozumiałam, że płacze, nieme łzy spływały jej bez skargi po policzkach.

– A co będzie z Ratim? – Głos uwiązł mi w gardle, ja także zaczęłam płakać.

– Wyciągnę Ratiego, obiecuję ci, wyciągnę go, ale teraz musimy wrócić, doskonale wiesz, że musimy.

Z tyłu rozległ się kolejny strzał, jak gdyby los chciał zaświadczyć, że Dina mówi prawdę. Struchlałyśmy. Nie byłam już w stanie powstrzymać łez, spazmy

zaczęły wstrząsać moim ciałem. W tym samym momencie usłyszałam krzyk, rudy wciąż żył.

– Damy im część, dobrze? Przecież nie możemy im oddać wszystkiego... Dina... Dina... – powiedziałam, zacinając się, wyjęłam kopertę i w ciemności zaczęłam segregować banknoty.

Z oddali znów dobiegł nas krzyk.

– Keto, daj mi pieniądze! – wrzasnęła. – Przestań już! Nie mamy czasu, szybko, daj mi kopertę. Tak czy inaczej nas przeszukają, jak zjawimy się nagle z tą forszą. Dawaj je tutaj!

– Ale... – Próbowałam uczeplić się jakiejś bezsensownej nadziei.

– Keto, do cholery!

Wyrwała mi pogniecioną kopertę z ręki i nie czekając na mnie, zaczęła wracać, rozpościerając dla równowagi ramiona. Zachybotalam się i przez moment bałam się, że spadnę, zrobiło się już naprawdę ciemno.

– Hej, poczekajcie! – usłyszałam opanowany, wyraźny głos Diny.

– A co ty tu znowu robisz? Ika, nie mówiłem, że ta mała leci na broń! Chcesz sobie puknąć? Co za to dostanę, jak pozwolę ci strzelić?

– Musicie go wypuścić! W tej chwili – usłyszałam ostry rozkaz Diny.

Potem rozległ się szyderczy śmiech.

– On i jego kolega są nam winni kupę kasy. Z tym że jego kolega już nam raczej jej nie zwróci... Bez pieniędzy nie będę mógł go niestety wypuścić, kwiatuszku. I zanim naprawdę się wścieknę, bierz nogi za pas. Twoja koleżanka była trochę mądrzejsza i zniknęła, więc ty też przestań zgrywać tu chojraczkę.

To zdanie było policzkiem, którego potrzebowałam. Otarłam łzy rękawem płaszcza i wróciłam do tego potwornego miejsca, gdzie toczył się dialog.

– Ile?

Słyszałam, jak wiele opanowania kosztowała Dinę ta rozmowa, wiedziałam też, że szybko mogła je stracić.

– Nie zniknęłam – powiedziałam spokojnie i spojrzałam na rudego, jego nogawka była całkowicie przesiąknięta krwią. W słabym świetle latarni można było zobaczyć alarmująco niezdrowy kolor jego skóry.

– Dużo. Dobra, a teraz znikajcie stąd, mamy tu coś do załatwienia.

Przeładował obrzyna i zrobił krok w kierunku rudego.

– Czy pięć tysięcy wystarczy? – zawołała Dina.

– Co ty powiedziałaś? – Głupi uśmiech zniknął z jego twarzy. Zaczął iść do niej z naładowanym półautomatem i zatrzymał się, dotykając niemal czubka jej nosa.

– Dolarów. Czy pięć tysięcy dolarów wystarczy?

– I ty zamierzasz je skądś wytrzasnąć? Ty? – Wyjął papierosa z za ucha i włożył sobie do ust.

– Tak – odpowiedziała Dina, słyszałam, jak przyspiesza jej oddech.

– Kiedy?

– Kiedy pozwolisz mu odejść.

– A skąd ty zamierzasz wziąć tyle pieniędzy, kwiatuszku?

– Przestań mnie tak nazywać, ty ciulu!

Wzdrygnęłam się, musi być ostrożna, nie powinna go zbyt prowokować. Zauważyłam jego szklane oczy. Takie oczy nie znają litości, są bezwzględne, nie znają granic.

– Przepraszam, siostró. – Prawdopodobnie był jeszcze na tyle rozbawiony, że zignorował wyzwisko.

– To już moja sprawa skąd. Wypuścisz go wtedy?

– Ależ oczywiście. Nie ma sprawy. Jeśli ta cipa jest dla ciebie tego warta, to proszę bardzo.

– Moja koleżanka podprowadzi go do wyjścia i jak będą już na zewnątrz, wtedy dostaniesz pieniądze. Ja zostanę tutaj jako zakładniczka, jeśli chcesz – powiedziała, nie cofając się ani na centymetr.

– No cóż, skoro tak mówisz. Ale wiesz, co się stanie, jeżeli nie dotrzymasz słowa? Nie będzie żadnych forów tylko dlatego, że jesteś dziewczyną, jasne? Dla

dziewczyny może być nawet gorzej niż dla tego degenerata, zdajesz chyba sobie z tego sprawę, tak? – I zaśmiał się w odrażająco dwuznaczny sposób.

– Tak, wyobrażam sobie – powiedziała Dina. – Pozwól im teraz odejść.

Spojrzałam na nią z przerażeniem, ale na szczęście łysy mnie ubiegł.

– Nie, nie, nie, tak to nie będzie, kwiatuszk. Twoja koleżaneczka odprowadzi waszego bohatera do wyjścia i wróci tutaj, chyba że chciałaby, żeby spotkało cię coś naprawdę nieprzyjemnego. Ale na pewno tego nie chce, jest taka milusia... Ika, spójrz tylko na nią. Wyprowadzi go i wróci tutaj. W końcu dwie to zdecydowanie lepsza gwarancja niż jedna.

– Nie ma mowy, przecież cię z nimi nie zostawię! – krzyknęłam.

– Keto, zrób, co mówi. I pospiesz się, bo chłopak straci za dużo krwi.

Nie znosiła sprzeciwu. Tak, to cała Dina, najlepsza Dina ze wszystkich swoich wersji, ta Dina, na którą zdałam się całkowicie już jako dziecko. Spojrzałam na krew i zrobiłam posłusznie to, co chciała. Nerwowy podwładny łysego ruszył w moją stronę, stanął na szeroko rozstawionych nogach i mimo że próba zastraszenia mnie jeszcze nie całkiem mu wyszła, to widać było, że na swój odrażający sposób się uczy.

– Ika, zostaw ją. – Łysy się roześmiał.

– Nie, nie mogę was tutaj zostawić samych, zostaję – odezwał się nagle rudy, za którego życie oddawałam właśnie los własnego brata.

– Zamknij się! – burknęła do niego Dina, a ja nie mogłam wyjść z podziwu dla niej, mimo że równocześnie nienawidziłam tego jej nieznośnego zdecydowania. – Nic nam nie będzie! – Rzuciła pogardliwe spojrzenie w kierunku łysego. – Pójdzie z tobą, pomoże ci. – Miała na myśli mnie.

Dina miała rację. Oczywiście chciwość była siłą napędową ich działania. Ika zaczął najpierw przeszukiwać mnie, kieszenie moich spodni, moją małą torebkę, moją portmonetkę, potem przeszedł do Diny i w końcu znalazł kopertę. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy, gdy otworzył kopertę i zaczął przeliczać pieniądze, a także tego widoku, gdy łysy oblizywał wargi i co chwila klepał swojego

niewolnika po ramieniu. Przepęłniało ich zdumienie połączone z niepojętym szczęściem, jakie ich spotkało.

Czuję twardą, zimną rękę na prawej piersi, wstrzymuję oddech, nie chcę dać po sobie poznać, że się boję, ale on boi się chyba jeszcze bardziej i to czyni go jeszcze bardziej nieobliczalnym, pewności dodają mu łysy i jego własny obrzyn, ale to jedyne, co jest pewne w jego życiu. Ciekawe, gdzie teraz jest, może nie żyje, może miał pecha podczas jednej ze swoich wypraw łupieżczych, trafił na kogoś jeszcze bardziej bezlitosnego, bardziej zdecydowanego niż on sam, albo łysy wymienił go pewnego dnia na jakiegoś bardziej pewnego siebie i sprytniejszego zabijakę. Czuję, jak jego ręka zaciska się na mojej piersi, czuję chropowatą, łuszczącą się od mrozu i metalu skórę, to ręka, która potrafi trzymać broń, ale nie potrafi dotykać kobiety, czuję bicie jego serca, chłodny oddech o zapachu nikotyny i złego zdrowia, chciałabym go odepchnąć, wyrwać mu broń z ręki, przyłożyć do skroni i nacisnąć... W każdym razie tak sobie myślę, tak to sobie w każdym razie wyobrażam. Takie fantazje to do dzisiaj jedyna rzecz, która daje mi ukojenie, coś, co przez te wszystkie lata było swego rodzaju krótkotrwałym zadośćuczynieniem, oddaję się im czasem jak jakiemuś bliskiemu kochankowi, który dobrze wie, czego potrzebuję. Teraz także nie bronię się przed nimi, upajam się nimi, podczas gdy jego ręka zaciska się na mojej piersi coraz mocniej i mocniej, aż muszę krzyknąć.

Ktoś się odwraca, pewien wysoki mężczyzna w granatowym garniturze, trudno powiedzieć, skąd pochodzi, to na pewno nie Gruzin.

– Wszystko w porządku? – pyta mnie nienaganną angielszczyzną.

– Tak, dziękuję, jak najbardziej.

– Wydawało mi się, że coś pani mówiła – nie odpuszcza. Pewnie jest z tych, którzy zawsze i bezwarunkowo chcą pomóc.

– Trochę za bardzo zatopiłam się w swoich myślach, przepraszam.

– Zaraz, zaraz, to przecież pani.

Patrzy na mnie czujnym okiem, potem spogląda na zdjęcie, które wisi przed nami i od którego od ilu to minut, nie, od ilu już lat, nie oddaliłam się ani na krok.

Przytakuje mu ledwo zauważalnie i przeklinam się za swój mimowolny okrzyk. Chciałabym, żeby zostawił mnie w spokoju, a jednocześnie jestem mu wdzięczna za to banalne, ale nieoczekiwane dobroczynne rozproszenie moich myśli.

– O mój Boże, to niesamowite, naprawdę. Jestem wielkim fanem Diny Pirweli, ogromnie ją podziwiam.

Jest nastawiony na rozmowę. Znam takie sytuacje aż za dobrze: wydają mi się interesująca, bo byłam z nią blisko, ponieważ posiadam tajemną wiedzę i dzięki temu mogę się cieszyć szczególną pozycją wśród zwiedzających. Ileż to razy ludzie próbowali zwrócić na siebie moją uwagę, oddając się przy tym iluzji, że w ten sposób mogą zbliżyć się chociaż trochę do Diny. Jakie to śmieszne i jednocześnie wzruszające. Nene i Ira też chyba to znają, zastanawiam się, czy Anano również to prześladuje, choć ona nie była nawet w przybliżeniu tak częstym motywem zdjęć Diny jak my, tak jakby Dina chciała chronić swoją młodszą siostrę.

Muszę go rozczarować i plotę coś o osobie towarzyszącej, że nie jestem tutaj sama. Pan jest dżentelmenem i ułatwia mi sprawę. Jednak podaje mi swoją wizytówkę, przedstawia się jako właściciel galerii z Kopenhagi i mówi, że planuje wkrótce w swojej ojczyźnie „małą ekskluzywną wystawę” dzieł Diny. Żegnam się z nim jakimś frazesem i wracam... do zoo.

– O nie, tak to nie będzie! – słyszę nagle wykrzykującą Dinę. – Koperta zostaje u mojej koleżanki. Ona odprowadzi go do wyjścia i dopiero gdy chłopak będzie na zewnątrz, wróci tu i wtedy dostaniecie pieniądze, jasne? Tak było ustalone, a jeśli złamiesz słowo, wyjdiesz z całą pewnością na tchórza, nawet w oczach dziewczyny.

Chciała go sprowokować, podpuszczała go w obecności słabego i bezwolnego Iki. Bała się – co zresztą i mnie przyszło na myśl – że teraz, gdy znaleźli pieniądze, mogą nas po prostu położyć w towarzystwie martwego chłopaka, zabrać pieniądze i zniknąć. A jednocześnie nie byliśmy dla nich żadnym poważnym zagrożeniem, czy nas zabiją, czy pozostawią przy życiu, i tak wychodziło na jedno i zależało tylko i wyłącznie od ich humoru. Gdyby łyś był sam, możliwe, że z miejsca by

nas załatwił, wziął forszę i przepadł. Ale wyglądało na to, że chodzi mu o co innego: chce odstawić show, odegrać twardego faceta, który respektuje honorowy kodeks przestępców, i dzięki temu jeszcze bardziej zademonstrować swoją wyższość. Dlatego wdał się w ten handel. Popatrzył zdenerwowany w naszą stronę, zmierzył mnie sceptycznie wzrokiem i rozkazał Ice oddać mi kopertę.

– Dobrze, jeśli chodzi o mnie, to nie ma sprawy.

To był jego wyrok, wyrok decydujący o naszej przyszłości.

Dopiero za trzecim podejściem udało mi się podnieść rannego. Uderzył mnie w nozdrza metaliczny, gryzący zapach krwi. Krew poplamiała mi płaszcz, spodnie, ręce. Wisiał ciężarem całego ciała na moim ramieniu, nigdy bym nie pomyślała, że człowiek może być aż tak ciężki, ale jakoś udawało mi się chwiejnie posuwać się krok za krokiem. Rudzielec ciągnął krwawiącą nogę po ziemi jak jakąś uciążliwą i bezużyteczną rzecz. Drżał i zdawał się nie rozumieć, że właśnie przydarzył mu się cud. Ale jednocześnie oglądał się co chwilę za siebie, jakby walczył sam ze sobą.

– Jazda! Zwiewajcie stąd wreszcie! – Dina krzyczała za nami, a jej głos brzmiał desperacko i alarmująco.

Minęła cała wieczność, zanim go doprowadziłam do bramy i postawiłam tam, opierając o mur. Zdawał się coraz bardziej słabnąć, wciąż krwawił. Podeszłam do metalowego ogrodzenia i wyrzłam na plac Bohaterów. Demonstranci zniknęli. Cały plac wydawał się opustoszały. Wszędzie leżały porzucane śmieci, części garderoby, nawet pojedyncze buty – żalosne dowody minionych wydarzeń. W oddali zauważyłam dwoje ludzi, którzy szukali czegoś na ziemi, czegoś, co prawdopodobnie zgubili podczas manifestacji, więc ich zawołałam. Zaczęli rozglądać się zdezorientowani, aż w końcu mnie zauważyli i szybkim krokiem ruszyli przez plac.

– Co się stało?

Gdy usłyszałam zatroskany głos kobiety, wiedziałam już, że rudzielec jest bezpieczny, więc zrobiłam szybko w tył zwrot i pobiegłam z powrotem.

– Jak się nazywasz? Hej, jak się nazywacie? – rudy wołał za mną ostatkiem siły.

Ale brakowało mi słów, żeby mu odpowiedzieć, a może nie miałam już imienia.

Przekazałam pieniądze za obcego mi rudzielca, pieniądze, które tak naprawdę miały przynieść wolność mojemu bratu. Kaci odeszli, porzucili zwłoki swojego młodego dłużnika jako dowód własnego zwycięstwa i bezwzględności, a Dina i ja zostałyśmy pod samotną latarnią, z potwornością nie do opisania i z rozdrażnionymi zwierzętami dookoła. Gdy pod wybiegiem dla małąp w końcu wszystko we mnie pękło, wyciągnęła aparat i zaczęła fotografować pole bitwy wraz ze mną na pierwszym planie. Fotografowała mój strach, obrzydzenie, szok, rozpacz, przerażenie, że opowiedziałam się przeciw ludzkiemu życiu i za ucieczką, za swoim bratem, fotografowała moją wściekłość na nią za to, że zawsze trzeba koniecznie postępować właściwie, moje przerażenie tym, co zobaczyłam, złość na ten kraj, w którym życie ludzkie jest warte pięć tysięcy dolarów, moją absolutną porażkę – fotografowała, jak wymiotuję tym wszystkim.

W ubraniu poplamionym krwią, przesiąknięta zapachem wymiocin, z zapuchniętymi oczami wtoczyłam się na nasze podwórko. W domu opowiedziałyśmy, że wplątałyśmy się w demonstrację i uciekłyśmy przed strzałami do zoo, tam natknęłyśmy się na postrzelonego chłopaka i zaniósłyśmy go do szpitala. Całą resztę przemilczałyśmy. Tego zażądała ode mnie Dina, mocno ściskając mnie za dłoń, gdy z drżącymi powiekami i na miękkich nogach wychodziłyśmy z zoo.

– Załatwię sprawę Ratiego, obiecałam ci to, daj mi tylko trochę czasu i bądź cicho, okej?

Nie odpowiedziałam, nie miałam już na nic sił.

– A co z babudą? Gdzie jest Oliko? – To była jedyna rzecz, jaką chciałam tego wieczora jeszcze wiedzieć.

– W domu. Miała szczęście. Reumatyzm dał się jej we znaki i w połowie drogi zawróciła.

Spałam długo, nie miałam żadnych snów. Gdy Dina obudziła mnie następnego dnia, potrzebowałam sporo czasu, żeby do siebie dojść. Wydarzenia z poprzedniego dnia natychmiast dopadły mnie z całą mocą.

– Która godzina?

– Pewnie zaraz będzie dziesiąta. Babudy mnie wpuściły. Daj mi dwa dni, dobrze?

– Dwa dni na co?

Podniosłam się na łóżku i zaczęłam przecierać oczy.

– Dwa dni, żeby załatwić sprawę. Tylko nie mów nic Lewanowi i chłopakom, dobrze?

– Dina, co ty zamierzasz zrobić? Jak mam tę sprawę zataić? Pieniądze zniknęły, a chłopaki wkrótce się dowiedzą, że nie byliśmy u adwokata.

– Idę do Cotnego, dzwoniłam już do Nene i zapytałam, gdzie teraz jest.

– Do Cotnego? Dlaczego akurat do Cotnego? I czego oczekujesz? Że zakopie topór wojenny? Proszę cię, nie bądź głupia.

– Zostaw ten problem mnie.

– Przecież nie przyzna się, że stoi za aresztowaniem Ratiego! – Obudziłam się teraz bardziej, niż chciałam.

– Keto, zaufaj mi.

– Poza tym Rati się wścieknie, gdy się dowie, że... – nie odpuszczałam.

– I dlatego ani on, ani żaden z jego kumpli nie mogą się o tym dowiedzieć.

– Ale... Dina... poczekaj.

Podniosła się i była już gotowa do wyjścia.

– Obiecałam ci wczoraj, że wyciągnę Ratiego, więc go wyciągnę.

– A dlaczego akurat Cotne miałby wyświadczyć ci tę przysługę?

– Bo mu się podobam.

Odjęło mi mowę.

Cmoknęła mnie w policzek i skierowała się do drzwi. Zanim opuściła mój pokój, odwróciła się jeszcze i powiedziała:

– Keto, postąpiłyśmy właściwie. To, co zrobiłyśmy, to była jedyna słuszna rzecz.

Począpałam do kuchni i nalałam sobie trochę mokki przyrządzonej przez Eter, która w pokoju udzielała właśnie korepetycji jednej z uczennic. Usiadłam w loggii i popijałam małymi łykami czarodziejski napój. Słysząc było, jak babuda opowiada z pasją o *Marszu Radetzky’ego* Josepha Rotha, ale starałam się wygaszać w sobie obrazy tej prelekcji, które zaczynały migotać mi przed oczyma jak błyskawice. Tylko zegar ścienny nad stołem w jadalni, który Oliko odziedziczyła po swojej babce, zaburzał panujący w moim wnętrzu przeraźliwy spokój. W nosie wciąż miałam gryzący rdzawy zapach, który było czuć od rudzielca, gdy prowadziłam go do bramy Zerwałam się w końcu z miejsca i pobiegłam do telefonu.

Odebrał Guga. Powiedział, że Nene wyjechała gdzieś z Ottonem. Poprosiłam, żeby oddzwoniła do mnie możliwie szybko. Następnie ubrałam się pośpiesznie i zbiegłam do Liki, która od tygodni próbowała się utrzymać z robót krawieckich. Dina już wyszła. Lika przygotowała mi bez słowa swoją ulubioną zieloną herbatę. Anano wróciła wcześniej ze szkoły, ponieważ odwołano lekcje z powodu braku opału i niemożliwości ogrzania budynku, i rozmawiała z kimś przez telefon w pokoju obok.

– Napędziłyście nam niezłego strachu – powiedziała Lika i uśmiechnęła się łagodnie i kojąco. Potem dosiadła się do mnie przy okrągłym stole i zmierzyła mnie przenikliwym wzrokiem. – Keto, wszystko w porządku? Czy powiedziałyście całą prawdę? Znasz mnie, niezbyt chętnie wierzę dziurę w brzuchu, ale widzę, że coś jest z wami nie tak.

Nie było mi łatwo okłamywać Liki, jednak trzymałam się ustaleń z Diną, tak było lepiej dla wszystkich. Chociaż tyle bym dała, żeby móc się od tego wszystkiego uwolnić, otrząsnąć się jak z jakiegoś straszliwego koszmaru. Ale tymczasem podążałam inną drogą. Zastanawiałam się, jak mam sformułować pytanie, żeby nie wzbudzić w Lice niepotrzebnej troski. „Bo mu się podobam” – kołatało mi w głowie, wieszcząc jakieś nieszczęście. Próbowałam sobie

odpowiedzieć na pytanie, na ile poważne, a na ile naiwne i brzemiennie w skutki mogło być to zdanie. Czyżby mi to rzeczywiście umknęło? Jeśli tak, to dlaczego zataiła to przede mną? I kiedy Cotne miał w ogóle sposobność wyznać jej, że ma do niej słabość. Jeśli sobie dobrze przypominam, on nigdy nie szukał naszego towarzystwa i nie okazywał zainteresowania koleżankami swojej siostry, wręcz przeciwnie, zawsze można było wyczuć u niego rozdrażnienie, gdy tylko znajdowałyśmy się w pobliżu, a jego niechęci do Iry wręcz trudno było nie zauważyć. Poza tym cieszył się podobno dużym powodzeniem i często spotykał się ze starszymi dziewczynami albo kobietami, ale nigdy nie doszło do jakiejś poważniejszej relacji. Byłam święcie przekonana, że zainteresowania Cotnego skupiały się wyłącznie na interesach wuja oraz na zdobytych dzięki nim władzy i pozycji. Nene ciągle opowiadała o napięciach między Cotnem a wujem, o tym, że Cotne podobno dosyć często przeciąga strunę, domaga się coraz więcej praw i swobód, że Tapora nawet mu zagroził, że wyśle go do Rosji, jeśli się nie uspokoi. Według opisu Nene Cotne był nieobliczalną, łatwopalną mieszanką wybuchową, zawsze nieustraszony i gotów posunąć się do ostateczności. Czego Dina od niego chciała? Żeby wszystko odszczekał i odprawił skorumpowanych gliniarzy? Żeby dał jej pieniądze? To przecież nie trzymało się kupy. Każdy w dzielnicy wiedział o rywalizacji pomiędzy Ratim i Cotnem. Dlaczego Cotne miałby chcieć pomóc Dinie, skoro on i jego wuj byli osobiście odpowiedzialni za to, że mój brat siedzi za kratkami?

– Keto, żyjemy w niebezpiecznych czasach. Jeśli w coś się wpakowałyście, musicie nam o tym opowiedzieć, to może mieć poważne konsekwencje, musimy razem poszukać jakiegoś rozwiązania. Myślę, że jesteście zmuszone odgrywać dorosłe, ale wcale nimi jeszcze nie jesteście – powiedziała Lika i zaczęła dmuchać na gorącą herbatę.

Milczałam.

– Wuj Giwi mówił, że wczoraj zginęły dwadzieścia trzy osoby... Nawet nie chcę sobie tego wyobrazić. – Zakryła twarz dłońmi.

– Czy mogłabym cię zapytać o coś zupełnie innego?

– Oczywiście.

– Czy był tutaj kiedyś Cotne Koridze? To znaczy czy odwiedził kiedyś Dinę albo, no nie wiem, podrywał ją?

– Jaki Cotne? A, masz na myśli brata Nene, tak?

– Właśnie.

– Nie, o ile sobie dobrze przypominam, to nie. Oczywiście ona nie mówi mi wszystkiego. Ale trudno mi to sobie wyobrazić, przecież to wyjątkowo nieprzyjemny typ.

– Podarował jej wypasiony pierścionek – usłyszałam w sąsiednim pokoju wysoki głos Anano.

Najwyraźniej zakończyła już telefoniczną pogawędkę i przysłuchiwała się naszej rozmowie. Ponieważ Dina i Anano dość często się kłóciły, Anano miała w zwyczaju mścić się za obraźliwe komentarze oraz przykrości i donosiła na siostrę. Teraz stanęła w drzwiach.

– Co proszę? – Lika spojrzała na córkę zdumiona.

– No tak, dał jej, wprawdzie próbowała mu go oddać, ale nie chciał przyjąć, więc go sprzedała, na dole, w Pirimse, poszłam wtedy z nią. Kupiła ci za to te drogie pędzle, a mnie dużą lalkę, pamiętasz? – Anano weszła do pokoju i zatarła ręce. – Mamy coś do jedzenia? Jestem strasznie głodna!

– Anano, kiedy to było? – Wstałam z krzesła i spojrzałam jej prosto w twarz.

– Ach, z rok, może dwa lata temu. Nie mam pojęcia. Deda, kiedy to było, pamiętasz?

– Powiedziała mi, że znalazła te pieniądze – powiedziała Lika i pokręciła głową. – Wiedziałam, że kłamie, ale tak się upierała przy swojej wersji, że w końcu prawie jej uwierzyłam. A ty o wszystkim wiedziałaś i nie powiedziałaś mi?

– No wiesz, chciałam zachować lalkę – powiedziała Anano i się zaśmiała.

– To ja już pójdę.

Lika odprowadziła mnie do drzwi. To też w niej lubiłam – nigdy nie próbowała nikogo zatrzymać.

– Mam nadzieję, że nie wpakowała się w jakieś kłopoty. – Spojrzała na mnie pytająco.

– Nie, coś tam tylko o tym wspomniała, więc chciałam się upewnić – skłamałam.

– Keto, powinnyście trzymać się z dala od tych spraw. Mężczyźni bawią się w wojnę, a chłopcy chcą im dorównać i któregoś dnia będą gotowi pójść dalej niż ich ojcowie. Wkrótce przejmą dowództwo i wtedy miasto będzie należało do nich, wtedy wszystko pogrzy się w chaosie jeszcze większym niż jest teraz – powiedziała refleksyjnym tonem i przycisnęła mnie do piersi. – Nie jedźcie same do adwokata, dobrze? Niech wam towarzyszy jakiś dorosły – poprosiła mnie na odchodne.

Nie patrząc jej w oczy, przytaknęłam i wybiegłam na podwórko. Miałam wrażenie, że utknęłam w jakimś niewłaściwym życiu. I wtedy po raz pierwszy zapukało do moich drzwi to niepodważalne uczucie, które od tej pory będzie mi wiernie towarzyszyć przez wiele, wiele lat: nienawiść idąca w parze z bezradnością.

Nieświadoma tego, co robię, jak w jakimś transie poszłam do domu, otworzyłam drzwi do łazienki, wzięłam nowe, jeszcze nieużywane żyletki mojego brata, wyjęłam z opakowania jedną z nich, usiadłam na brzegu wanny, zsunęłam spodnie i zrobiłam sobie dwa równe pionowe cięcia na udzie. Ból przyniósł mi natychmiastową ulgę.

MIASTO CHŁOPAKÓW

Wlewam w siebie resztkę wina. Wieczorny zmierzch przechodzi gładko w ciemność. Otaczają mnie ludzie, mimo to jestem sama. Ira mija mnie, puszczając oko, wygląda na to, że się spieszy, zmierza w stronę jakiegoś zdjęcia, szuka czegoś konkretnego. Odprowadzam ją wzrokiem, cieszę się, że nikt do mnie już nie zagaduje i mogę odwrócić uwagę od świeżo rozdartej rany, czyli od „zoo”. Zastanawiam się, kiedy przestałam rozmawiać z nią w myślach – ale czy kiedykolwiek przestałam? Pierwsze lata mojego drugiego życia, mój nowy początek w Niemczech, były niekończącym się dialogiem z Diną. Bez przerwy się sprzeczałyśmy, a te potyczki słowne dodawały mi niezbędnych sił, żeby się na nowo odnaleźć, na nowo zdefiniować. Utrzymywały mnie przy życiu, napędzały i prowadziły w nieznaną, co było całkowicie w jej stylu, całkowicie zgodne z jej wolą. Szukałam jej w każdym lustrzanym odbiciu i na każdym spotkaniu, szukałam jej śladów w każdym obrazie. Szukałam jej przez te wszystkie lata bez wytchnienia, bez nadziei, a jednak z uporem.

Jakby się zapadła pod ziemię. Nie pojawiła się także w redakcji, jak poinformowano mnie przez telefon, co było do niej zupełnie niepodobne. A ja z kolei unikałam Lewana. Gdy kiedyś do mnie zadzwonił, kazałam babciom skłamać, a sama wymknęłam się do Iry. Ale ona wyjechała z ojcem do Kodzori i tam zajmowała się owocami i warzywami, które w międzyczasie stały się bezcennym i godnym pozazdrosczenia towarem, za który większość miastowych była gotowa wiele dać. Pójść bezpośrednio do rodziny Koridze wydawało mi się niestosowne, bałam się bezpośredniego spotkania z Cotnem. Ale w sumie nie pozostawało mi nic innego. Obiecałam ojcu, że wrócę przed godziną milicyjną, i poszłam na ulicę Dzierżyńskiego.

Przed domem Nene zatrzymał się akurat czarny jeep i wysiedli z niego Otto i Nene. Od wesela prawie w ogóle nie widywałam ich razem – wiedząc o jej podziemnej miłości do Saby, nie potrafiłam brać udziału w tej farsie. Zatrzymałam się na chwilę, stałam niezauważona i przyglądałam się tej wymuszonej parze. Skupiłam się głównie na nim, rozpuszczonym, zimnokrwistym młodzieniaszku, który od niedawna nosił brodę, a włosy ostrzygł po żołniersku na długość milimetra. Wysoki, szeroki w barach mężczyzna, który zawsze wywoływał we mnie nieprzyjemne uczucia. Ciekawe, czy coś podejrzewał? To pytanie nasuwało się samo przez się. A może wierzył, że Nene z czasem go pokocha? Sprawiali wrażenie dwóch smutnych i obcych sobie osób, które nie mają sobie nic do powiedzenia. On nawet na nią nie patrzył, a gdy niemal mechanicznie przytrzymał jej drzwi auta, ona całkowicie zatopiona w myślach przemknęła obok niego. Rozpoznałam jej lekki chód, zapamiętałą, żarliwą, bezrozumną miłość widoczną w każdym jej ruchu, z tym że nie do niego, nie do tego brodatego mężczyzny, który kroczy teraz za nią i drapie się po głowie, jakby nie wiedział, co ma ze sobą począć.

Bez najmniejszego oporu, wręcz ochoczo, oddał się w bezlitosne ręce Tapory i wiódł teraz żywot człowieka bez charakteru, oślizgłego jak węgorz. Obojętność, jaką jej okazywał, była inna, jeszcze bardziej radykalna niż ta, którą Nene okazywała jemu. U Nene brak zainteresowania wynikał z miłości do innego mężczyzny, po prostu w jej głowie nie było już miejsca dla kogoś jeszcze. Ale jemu było zupełnie wszystko jedno, co Nene ma w głowie. Przypomniłam mi się kot Nadii Aleksandrownej, którego Otto kiedyś zabił tylko dlatego, że był ciekaw, jakie to uczucie, i dlatego, że kot był mu obojętny. To wspomnienie miało w sobie coś dewastującego, nie mogłam go dalej snuć, tym bardziej że teraz martwiłam się o kogo innego.

– Nene!

Zatrzymała się momentalnie. Miała na sobie płaszcz ze sztucznego futra w lamparci deseń, wielkie kreolki w uszach, karminowe usta i włosy splecione w warkocz dokoła głowy. Gdy zorientowała się, że to ja, twarz jej pojaśniała.

Rzuciła się w moją stronę, zaś Otto cmoknął mnie swoimi kamiennymi ustami w policzek.

– Jak tam, Kipiani, wszystko w porządku? – przywitał się jak zwykle nienaturalnym tonem.

– Czy mogłabym porozmawiać z tobą krótko na osobności? – Dosłownie wystrzeliłam te słowa. Przed moim wewnętrznym okiem znów pojawił się obraz martwego ciała leżącego w błocie, więc zaczęłam mrugać nerwowo oczami.

– Jasne, chodź z nami na górę – powiedziała Nene i przytuliła mnie do siebie. – Wszystko okej?

– Nie, nie chcę... to znaczy, najchętniej porozmawiałbym gdzieś na dworze. Czy mogłybyśmy po prostu zostać tutaj?

– Twoja matka będzie się stresować, wiesz o tym... – wtrącił się Otto, a mnie kusiło, żeby mu splunąć w twarz.

Na szczęście Nene szybko odpowiedziała:

– Dobrze. Idź na górę i powiedz, że siedzę z tyłu za domem na ławce. Nie czekajcie na mnie z obiadem.

– Jak uważasz – odpowiedział i ciężkim krokiem poszedł do domu. – To na razie, Kipiani.

Wzięłam Nene pod rękę, jednak nie poszłyśmy za dom, lecz krążyłyśmy po okolicy, aż w pewnym momencie dotarłyśmy do ruin jakiegoś domu przy ulicy Czajkowskiego.

– Co my tutaj robimy? – zdziwiłam się.

– Tutaj nikt nam nie będzie przeszkadzał. Spotykam się tu czasem z Sabą albo przychodzę na papierosa. Niedawno eksplodował tu jakiś ładunek wybuchowy. Dlatego dom wygląda teraz, jak wygląda... Siadaj. – Wskazała ręką na ciężki pustak jak na jakąś przytulną sofę.

Usiadłam i poczułam, że znów ogarnia mnie czarna, lepka panika, kolana mi miękną i wracają nudności z poprzedniego dnia.

– Keto, co się dzieje?

Pogładziła mnie po ramieniu i wyciągnęła z torebki paczkę marlboro.

– Musisz mi powiedzieć dwie rzeczy i przyrzeknij, że będziesz ze mną szczerą.

– Oczywiście, wszystko, co zechcesz – powiedziała i otworzyła szeroko swoje morskoniebieskie oczy.

– Czy to twój wuj kazał zamknąć Ratiego?

Zwlekała jakiś czas z odpowiedzią. Spuściła wzrok i zgasiła czubkiem buta dopiero co zapalonego papierosa.

– Tapora? Nie, nigdy w życiu. To jasne, że nie lubi Ratiego, sama dobrze o tym wiesz, że ma z nim pewien problem, ale nigdy w życiu nie poszedłby na współpracę z gliniarzami. Owszem, daje łapówki, ale nigdy nie wchodzi z nimi w bezpośredni kontakt. Ale za Cotnego... to znaczy, on jest moim bratem, ale za niego nie dam sobie ręki uciąć. Cotne próbuje właśnie piąć się do góry. Coś tam ostatnio kombinuje w biznesie bukmacherskim. Ale więcej naprawdę nic nie wiem.

Było mi przykro, że zmusiłam ją do mówienia o tym wszystkim. Wiem, jakie to było dla niej trudne. Do tej pory starałyśmy się omijać tematy związane z naszymi braćmi, z ich rywalizacją, planami, napięcia między Ratim i Cotnem zostawały na boku, jakby ich w ogóle nie było albo jakby w naszym świecie nie odgrywały żadnej roli. Byłam Nene wdzięczna za jej szczerą odpowiedź. Nie czułam do niej złości, jakże bym mogła, to w ogóle było nie do pomyślenia, żeby obarczać ją odpowiedzialnością za czyny jej brata. Często zastanawiałyśmy się, ile Nene rzeczywiście wie o machlojach klanu Koridze, na ile jest wtajemniczona w ich interesy. Grała niczego nieświadomą, to była jej strategia, trzymała się z dala od „męskich spraw”, jak się wyrażała. Ale Nene wcale nie była taka naiwna, za jaką się podawała, i co najmniej od czasu naszego spotkania w metrze patrzyłam na nią zupełnie innymi oczami.

– A drugie pytanie? – Spojrzała na mnie nieufnie.

– Czy Cotne wspominał kiedykolwiek coś o Dinie? Czy coś ich łączy?

– Że co? – Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem. – Cotne i Dina? To by było coś... przecież to jest... – Jej twarz znieruchomiła. – Do czego zmierzasz?

Wyjęła drugiego papierosa z paczki, spojrzała dla pewności w stronę ulicy, która była całkowicie pusta.

– Dina chce gadać z Cotnem, ma nadzieję, że jej pomoże w sprawie zwolnienia Ratiego. I powiedziała coś bardzo dziwnego, co mi nie daje spokoju.

– Uważasz że... – Wydawało się, że w dużym skupieniu szuka czegoś w pamięci.

– Nene, co jest? Czy coś kiedyś ci mówił, sugerował coś?

– Wiesz, to było wieki temu, ale znalazłam kiedyś w jego szufladzie zdjęcie Diny. Zachowywał się tak, jakby nie wiedział, jak znalazło się w jego szufladzie, ale mu nie uwierzyłam. To było któreś zdjęcie z tej serii znad Morza Tbiliskiego, pamiętasz? Twój ojciec pojechał tam wtedy razem z nami, pływaliśmy i są stamtąd zdjęcia naszej czwórki. Na jednym z nich Dina stoi na brzegu w stroju kąpielowym i patrzy bezczelnie w obiektyw.

– Tak, coś tam sobie przypominam.

– Strasznie mnie wtedy skrzyczał, bo jak śmiem grzebać w jego rzeczach. Ale że mój brat... nie, w ogóle nie mogę sobie tego wyobrazić.

Ja sama też w ostatnich godzinach nie robiłam niczego innego, tylko dziwiłam się tej tajemnicy. Czułam się w dziwny sposób oszukana i nie mogłam uwierzyć, że Dina przez tyle lat skrywała przede mną tak istotną i szokującą informację.

– Pomogę wam, obiecuję. Porozmawiam z nim albo naślę na niego Ottona, żeby cofnął rozkaz i kazał swoim sępom wypuścić Ratiego, a ty daj swemu bratu dobrą radę, żeby na przyszłość trzymał się od interesów Cotnego z daleka. W ten sposób może uda się zakopać ten idiotyczny topór wojenny. Daj radę, nie załamuj się, moja biedna mała Keto! – Pocieszając, przytuliła mnie do siebie. – W ostateczności porozmawiam z wujem. Powiem, że chcę go prosić o przysługę, nie będzie potrafił mi odmówić, przysięgam.

Jej głos, jej pewność w sposobie bycia tchnęły we mnie trochę optymizmu. Po raz pierwszy stanęła tak wyraźnie po czyjejs stronie, zmieniła się dzięki Sabie,

nabrała większej odwagi, może rzeczywiście jej się uda. Uścisnęłam ją na pożegnanie i w ostatnich promieniach słońca pobiegłam do domu.

Czekałam na Dinę do północy. Lika zaczęła się o nią martwić. Anano męczyło sumienie, wyrzucała sobie, że zdradziła siostrę. Dopiero tuż przed północą Dina pojawiła się na wjeździe na podwórko. Już z daleka poznałam, że coś musiało się stać, że już było za późno, że podjęła jakąś decyzję – za nas wszystkich. W jakiś dziwny sposób nie przypominała siebie, nigdy nie widziałam jej tak wystrojonej: krótka dzinsowa spódnica, białe kozaki matki, cienka skórzana kurtka, która była zdecydowanie za cienka jak na tę porę roku, i bluzka z dość dużym dekoltem. Włosy upięte w kok, no i makijaż, coś, czego nigdy nie robiła. Ale to, co najbardziej mnie przeraziło, to gorączkowy błysk w jej oczach, jakby odbłask jakiegoś odległego ognia. Czuć było od niej alkohol, a w kącikach ust można było zauważyć cyniczny uśmiech. Było już za późno, nie mogłam już niczego powstrzymać. Złożyła z siebie ofiarę, większą, niż byłam w stanie ogarnąć. Jej „właściwe postępowanie” nad rzeką Were, w połowie drogi do wolności, wywołało reakcję łańcuchową „niewłaściwych czynów”, a teraz zaczną upadać kolejne kostki domina.

Lika rzuciła się na nią, zaczęła ją wyzywać, aż w końcu, wykończona, zarzuciła jej ręce na szyję.

– Przepraszam, nie wiedziałam, która godzina, mieliśmy fajną imprezę w redakcji – kłamała Dina, spoglądając na mnie kątem oka. – Jestem strasznie zmęczona, pójdę od razu spać, dobrze? To był długi dzień – powiedziała i zniknęła w sypialni.

Poszłam za nią.

– Coś ty zrobiła?

Patrzyłam, jak się rozbiera, i zaczęłam się obawiać, że jej ciało zdradzi mi coś obrzydliwego.

– Nic. Wycofają oskarżenie. Powiedzą, że to było tylko na potrzeby własne. Wyjdzie, dostanie tylko karę grzywny, której nie będzie musiał płacić.

– Jak to? A kto ją zapłaci? Dina, proszę, rozmawiaj ze mną...

– Nie mogę. Umieram ze zmęczenia. Później, dobrze?

Już więcej o nic nie pytałam, ale wizja, że Cotne Koridze skorumpowanym urzędnikom, których wcześniej przekupił, żeby wsadzili mego brata za kratki, daje teraz „rekompensatę” za to, że wypuszczają Ratiego na wolność, miała w sobie coś niezwykle pokrętnego i przekraczała możliwości mojej wyobraźni. Miałam jednocześnie nadzieję, że Rati nigdy nie pozna prawdy o swoim uwolnieniu.

Mój brat wyszedł na wolność wraz z pierwszym słonecznym dniem wiosny, wraz z szaloną eksplozją kwiatów magnolii i wiśni okalających ulice i stanowiących groteskowy kontrast do naszego żalosego stanu, poczucia pustki i osamotnienia. Staliśmy w tym zagubionym gdzieś na obrzeżach miasta, surowym miejscu, przed samotnym, sterczącym pośrodku pustego pola, zapuszczonym budynkiem z zardzewiałymi prętami w oknach, otoczonym drutem kolczastym, i z bijącymi sercami czekaliśmy na niego – ojciec, Lewan, Dina i ja. (Od czasu gdy ojciec przeraził się demonstracją, w którą Dina i ja rzekomo się wplątałyśmy, przestał się bronić i przyszedł z nami bez zbędnych komentarzy).

Rati schudł i z ogoloną na łyso głową wyglądał jak sierota z powieści Dickensa. Miał łzy w oczach, gdy wziął Dinę w ramiona i gdy obracał nią na wszystkie strony. Lewan nieustannie poklepywał go po ramieniu i głaskał po głowie. Czekałam cierpliwie, aż przyjdzie moja kolej, i w końcu przytuliłam go tak mocno, aż strzyknęło mi w stawach.

– Jakie to szczęście, że znów jestem wolny! – krzyknął z radością, odkręcił szybę od strony pasażera i wystawił wewnętrzną część dłoni do słońca.

– Babudy nakryły do stołu i załatwiliśmy wino! – Staralam się brzmieć uroczyście, żeby zatuszować wewnętrzną niepokój, który nie opuszczał mnie od czasu tajnego układu z Cotnem Koridze.

Dina zmieniła się od tamtego wieczoru, gdy odwiedziła Cotnego. Zdawała się unikać mojego towarzystwa i była w jakiś niepojęty sposób rozkojarzona i nieobecna duchem. Kiedy poruszałam ten temat, mówiła, że w redakcji jest dużo

pracy, i złościła się, gdy jej zarzucałam, że najwyraźniej nie chce spędzać ze mną czasu. Nie dawało mi to spokoju i chciałam wiedzieć, co takiego zaszło między nią i Cotnem, że zdecydował się wypuścić Ratiego na wolność. Miotalam się pomiędzy troską, która mroziła mi krew w żyłach, a wściekłością, gdy tylko pomyślałam o jej handlu wymiennym. Noce, w których nawiedzały mnie obrazy z zoo, i tak już nadwyrężyły moją wrażliwość i zaczęłam mieć problemy ze snem. Nie potrafiłam ani skupić się na studiach, ani zająć się czymś innym. Stałam się niewolnicą samej siebie, a oprócz Diny nie miałam z kim porozmawiać o swoich uczuciach i lękach – ona była jedynym świadkiem tego koszmaru i fakt, że zachowywała się tak, jak gdyby nic się nie stało, wydawał mi się groźny.

Podczas tych bezsennych nocy, gdy przekręcałam się z boku na bok, usiłując wypędzić złe duchy ze swojego pokoju, wyobrażałam sobie, co Dina mogła zrobić, i zamierałam z przerażenia. Widziałam ją nagą w ramionach Cotnego i błyskawicznie, ciężko dysząc, siadałam na łóżku. Ten obraz był nie do zniesienia. Za dnia, gdy szłam aleją Rustawelego na uczelnię, mijając po drodze szkielety budynków, wmawiałam sobie, że to przecież niemożliwe, że nigdy nie dałaby Cotnemu do ręki takiego ataku.

Krótko przed zwolnieniem Ratiego nie wytrzymałam, złapałam ją przed wejściem do redakcji i zaciągnęłam do jakiegoś pustego i ogołoczonego ogródka przy alei Plechanowa, w którym widać było jeszcze pozostałości zimy.

– Musisz ze mną porozmawiać! – zażądałam.

– Keto, nie ma o czym. Po prostu zapomnijmy o wszystkim. Niedługo Rati wróci do nas i wszystko będzie dobrze.

– Gadasz bzdury i doskonale o tym wiesz. Musisz mi powiedzieć, co zaszło między tobą i Cotnem.

– Rati będzie wkrótce wolny, to najważniejsze.

– Owszem, ale jego wyjście na wolność nie usprawiedliwia każdej ceny, Dina...

– Nie? Naprawdę? To co powinniśmy były zrobić? Miałyśmy pozwolić, żeby go po prostu zastrzelili? Mogłabyś z tym żyć? Mogłabyś, Keto?

– Nie wiem...

Usiadłam na mokrej ławce w nadziei, że usiądzie obok mnie, ale została na miejscu i zapaliła papierosa.

– Ale ja wiem. Nie mogłabym i nie chciałabym.

– Tak, ale miałam raczej na myśli tę sprawę z Cotnem...

– Sprawa z Cotnem, jak to ładnie nazywasz, jest jedynie konsekwencją, czymś, czego nie można było uniknąć, jeśli tak wolisz, jest skutkiem naszej decyzji.

– Ale przecież Cotne wykorzysta to przeciwko Ratiemu, nie będzie trzymał języka za zębami. A tak w ogóle od kiedy uważasz Cotnego za człowieka honoru?

– To sprawa między nim a mną. To zawsze była sprawa tylko między nim a mną.

– To jakiś nonsens! Zaczynj wreszcie mówić tak, żebym cię mogła zrozumieć.

– Keto, nie chcę mówić, nie chcę cię tym obciążać. Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie, wierz mi. Rati wyjdzie na wolność, a chłopak z zoo przeżył. To jedyne, co się liczy.

– Dina, ale muszę to zrozumieć...

Spojrzała w niebo. Potem westchnęła.

– Już dawno to zauważyłam. Nie potrafię tego dokładnie opisać, wiesz, jaki on jest. Raz, na jakimś przyjęciu u rodziny Koridze, nawet go o to zapytałam, jednak oczywiście wszystkiego się wyparł. Ale ja wyczuwam, kiedy chłopaki coś do mnie czują.

Powiedziała to, wcale się nie przechwalając, wręcz przeciwnie, zabrzmiało to jak jakiś niesprawiedliwy wyrok, ciężki los, który przypadł jej w udziale.

– Ale co to dokładnie znaczy? Bo przecież to nie jest jakiś pierwszy lepszy chłopak, to jest Cotne Koridze.

– Fakt, że tak zdecydowanie temu zaprzeczał, był, moim zdaniem, dowodem, że mam rację. Jestem przeciwieństwem wszystkiego, co lubi i co uważa za

właściwe, jestem absolutnie tą niewłaściwą. Tym bardziej trudno byłoby mu znieść, gdybym go odrzuciła. Dlatego zdecydował się zachować to dla siebie, licząc, że któregoś dnia o tym zapomni.

– Ale nie zapomniał?

– Nie, nie zapomniał.

– Mój Boże, Dina, dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

Jej wzrok stał się nagle chłodny i zdystansowany, poczuła się zapędzona w kozi róg. Musiałam trochę odpuścić, żeby mi się nie wymknęła. Ale przemogła się, zmusiła się do dalszej opowieści:

– Zrobiłam to dla Ratiego. Poszłam do Cotnego...

Poczułam, jak coś staje mi w gardle, i spojrzałam na nią.

– Keto, nienawidzę, kiedy tak na mnie patrzysz! Zejdź z tych swoich wyżyn moralności! – ofuknęła mnie.

– Po prostu chcę, żeby ten cały horror się skończył – powiedziałam speszona.

– Ten horror jest teraz naszą codziennością, zrozum to wreszcie! To, co nas spotkało, nie jest jakimś wyjątkiem, takie rzeczy dzieją się dzień w dzień. To mógł być twój brat albo Lewan, równie dobrze to oni mogli leżeć w tym błocie. Nie możemy już sobie pozwolić na moralność, nikt w tym kraju nie zachowuje się już moralnie. Czego ode mnie oczekujesz: że pozwolę zgnić Ratiemu w więzieniu i będę zgrywała cnotliwą dziewczicę?

– Ale Rati dowie się o tym, Cotne nie zachowa tego dla siebie...

– Keto, nie jestem dla niego jakąś tam zdobyczą, ja... Ach, zapomnij o tym! – Zrezygnowana pokręciła głową.

Nie dawałam za wygraną, chociaż nie byłam pewna, czy prawda mnie przypadkiem nie przerośnie.

– Co on z tobą robił?

– Pieprzył się.

Spojrzała mi przy tym prosto w oczy, jakby delektowała się bezmiarem zniszczeń, jakich we mnie dokonała.

Odkrajaliśmy ten dzień plasterek po plasterku, jak salami, dozowaliśmy wszystko małymi porcjami, i Rati patrzył z niedowierzaniem na rozdziawione, ziejące pustką paszcze zburzonych domów i na czarną sadzę po ładunkach wybuchowych zdetonowanych podczas walk, które toczyły się w środku miasta. Odkrajaliśmy ten dzień plasterek po plasterku i Rati łapał co chwilę za kolano swoją ukochaną, która zaoferowała własne ciało niczym towar innemu, żeby go wykupić. Odkrajaliśmy ten dzień po plasterku, a ja wyobrażałam sobie, jak Nene odgrywa teraz panią domu w daczy nieobecnego kolegi Saby w Ckneti, jak omotuje swojego kochanka i go pieści. Odkrajaliśmy ten dzień po plasterku, a ja nieustannie zadawałam sobie pytanie, czy mam prawo potępiać tę podwójną decyzję Diny, czy ja sama miałabym wystarczająco dużo siły, żeby żyć z tą swoją połowiczną decyzją, którą dzięki przyjaciółce mogłam w ostatniej sekundzie zrewidować. Odkrajaliśmy dzień po plasterku i karmiliśmy się nawzajem radością, na nowo kiełkującą nadzieją. Zastanawiałam się, czy będą potrafili kochać się nawzajem, czy pożądanie i tęsknota skłonią Ratiego do porzucenia swoich niepisanych zasad, pewnych obwarowań, i w związku z tym poprosi Dinę, żeby z nim została. Zadawałam sobie to pytanie, ponieważ Rati, mimo iż właśnie wyszedł na wolność, był więźniem swojego świata i panujących w nim zasad, którym podporządkowane było także jego własne pożądanie. Prawdziwy związek z Diną byłby możliwy tylko po ślubie. Ale Dina, wieczna buntowniczka, połykaczka ognia, nie uznawała jego zasad. Malowała świat własnymi kolorami. I tak oto krok po kroku wywabiała go z tych jego ograniczeń, nakłaniała do łamania zasad, do oswobodzenia się z ciasno zasznurowanego gorsetu zakazów i do oddania się rozkoszy. Ale teraz podarowała swoje ciało innemu mężczyźnie, dla którego ten prezent był walutą. Odkrajaliśmy ten dzień po plasterku, a mnie przeszywał dreszcz na myśl, że mój brat może znaleźć na jej skórze ślady swojego znenawidzonego wroga.

Daliśmy się ponieść powierzchownej radości, poddawaliśmy się oszałamiającemu zapachowi magnolii, pozwoliliśmy sobie na chwilę zapomnienia

i lekkomyślność. Nie rozmawialiśmy ani o trupach, ani o wystrzałach, świętowaliśmy i piliśmy wino o bursztynowej barwie. Wokół stołu zgromadzili się także przyjaciele Ratiego, przyszli, żeby wznieść toast za jego wolność. Widziałam szczęście w oczach brata, gdy całował Dinę wzrokiem i gładził ją po włosach. Piliśmy bez opamiętania. Staraliśmy się po prostu być młodzi, lekkomyślni, nierozsądni i egoistyczni, upajaliśmy się sobą i przyszłością, która rozpościerała się przed nami jak owocodajna dolina. Chcieliśmy ponownie zacząć tam, gdzie, jak nam się wydawało, przerwaliśmy, gdy czasy obróciły się przeciwko nam jak źle wystrzelona strzała.

Najbardziej przygnębiająca na tym odgrywanym przyjęciu była samotność, na którą wszyscy byliśmy w taki czy inny sposób skazani. Jak miałam odczytywać to, co kryło się w oczach mojego brata? Co przeżywał w swojej więziennej celi? Jak miałam zrozumieć sytuację, w jakiej znajdował się Saba, sytuację bez wyjścia, jak pojąć nienawiść Nene do obcego mężczyzny w jej łóżku? Jak miałam zaakceptować rozdarcie Lewana i cierpienie Diny, które, jak sądziła, musi znosić dla mojego brata? I jak wytłumaczyć komuś uczucie ulgi, jakiego doznawałam, gdy tylko zaczynałam nacinać żyłką własną skórę?

Cotne znów towarzyszył wujowi w „podróży służbowej”, a Otto pojechał z ojcem do Raczy na polowanie – to była pasja Dawita Tatiszwilego, którą pielęgnował od dzieciństwa. Nene chwyciła wiatr w żagle i wykorzystała Irę jako alibi, powiedziała w domu, że jedzie z koleżanką na weekend do Kodzori.

Z bogato zaopatrzonej spiżarni domowej wykraść trochę jedzenia, kazała Sabie zdobyć słodkie wino kindzmarauli, które tak bardzo lubiła, i pojechali do Ckneti, by w wielkim pusto stojącym domu nieobecnego kolegi Saby spróbować życia w charakterze pary kochanków. W końcu mogli zasnąć i obudzić się obok siebie, mogli spędzać razem czas, nie zwracając uwagi na tykanie zegara. Ona mogła grać rolę pani domu, choć trzeba przyznać, że była marną gospodynią i jeszcze nigdy sama niczego nie ugotowała. Mimo to zabrała się ochoczo do przygotowania posiłku dla swego ukochanego. W całkowicie nieestosownej jak na

tę sytuację morelowej sukience oraz czółenkach na wysokim obcasie stała w obcej kuchni i z wykradzionych w domu produktów pichciła coś swojemu ukochanemu. Na pięknie nakrytym stole postawiła niedogotowane danie, bo niczego tak nie znosiła jak przypalonego jedzenia, a Saba dzielnie przełknął pierwszy kęs i udał zachwyconego. Ale Nene zorientowała się, że to jedzenie to katastrofa, i natychmiast przerwała całą ceremonię – świece zostały zgaszone, fartuszek ponownie przewiązany i druga próba rozpoczęta. O wpół do dziewiątej ponownie zasiedli do stołu i tym razem zapiekanka była wprawdzie nieco wodnista i nie tak mocno przyprawiona, jak robiła to jej matka, ale przynajmniej nie była surowa. Saba zapewnił, że jeszcze nigdy nie jadł tak dobrze. Uśmiechnęła się szeroko i dała się pocałować, całował ją po płatkach uszu, brodzie, czole, szyi, te miliony drobnych, czułych gestów były jak odznaczenia, nagroda za bezgraniczną miłość.

Popijając ciężkie kindzmarauli, które udało się zdobyć na czarnym rynku u handlarki Nani, Saba dał się ponieść i wygłosił długi monolog o pięknie architektury. Po raz pierwszy opowiadał jej tak szczerze o swoich wielkich marzeniach i swojej pasji. Słuchała go z zachwytem. Była zdumiona własnym szczęściem, że jest u boku tak wrażliwego, inteligentnego i uduchowionego mężczyzny, nie odrywała od niego wzroku, głos rozmył się gdzieś w oddali, a wraz z nim francusko brzmiące nazwisko Le Corbusier, którym był zafascynowany, ale jakie to miało znaczenie, o czym on mówi, skoro tak przyjemnie słucha się jego głosu, szczególnie gdy atmosferę podkreca wino, własna odwaga i świadomość, że ten wieczór jest perfekcyjny. Tak to sobie wyobrażam, tak pewnie musiało być i mimo że rozmyślając o tym, stoję teraz tutaj, mam to niezmierzone szczęście przed sobą, mogę go niemalże dotknąć. Jak cudowne jest to jego elektryzujące spojrzenie, ten cudowny błysk w oczach, które (często nam o tym mówiła) miały odziedziczyć po nim ich dzieci, patrzy na nią w sposób, który rozdziera serce, jest przepełniony tak wielkim szczęściem, jak gdyby cały świat cieszył się razem z nim, że zdobył taką kobietę. Dokładnie tego chciała. Ani mniej, ani więcej. Czy to takie złe, że nie oczekiwała od życia niczego więcej? Nie chciała zmieniać świata jak Ira lub Dina, chciała po prostu móc tak sobie siedzieć, przygotować ukochanemu coś

pysznego i wsłuchiwać się w jego fascynację w głosie, chciała być całowana po szyi i skroniach i wiedzieć, że całkowicie mu wystarcza.

Widzę ją przed sobą, Nene z tamtych czasów, i próbuję znaleźć wspólny mianownik z kobietą, która stoi niedaleko mnie, a jakiś wytatuowany kelner serwuje jej wódkę z martini, która śmieje się kokieteryjnie i wciąż jest wierna swoim marzeniom, choć doskonale wie, że już nigdy się nie ziszcza.

Ale tamtego wieczoru, gdy słuchała jego opowieści, święcie w nie wierzyła: weźmie po prostu biżuterię matki, odbierze Sabę z uczelni, prosto spod uczelni pojedą na lotnisko i odlecą – do jakiegoś obcego kraju, na inny kontynent, jak najdalej od wiecznie szukającego zwady brata i od wszechwładnego wuja, od przemocowego męża, o którym obrzydliwą prawdę czuła się w obowiązku przemilczać. Gdyby opowiedziała o swoich toczonych nocami walkach z Ottonem, przedostałoby się do świata coś obrzydliwego, zadałoby Sabie jeszcze większe cierpienie, a jej przyjaciółki poczułyby się jeszcze bardziej bezradne, niż były. Bała się, że straci nad wszystkim kontrolę.

A więc milczała, a my dowiedziałyśmy się, w jak rozpaczliwej była sytuacji, dopiero wtedy, gdy wszystko już dawno leżało w gruzach. O tym, jak ją zmuszał, by klęczała przed nim z zadartą sukienką, podczas gdy on się onanizował, ponieważ nie zgadzała się z nim sypiać. O tym, że stało się to jego obsesją. Jak jej wmawiał, że doprowadziła go do choroby, bo nie daje mu tego, co mu się należy. Jak przyprowadzał do domu prostytutkę i kazał Nene im się przyglądać. Jak któregoś dnia pobił ją pasem, a którejś nocy zgasił jej papierosa na plecach. Jak stawał się coraz bardziej agresywny, gdy nie zgadzała się na jego fanaberie. Jak policzkował ją i wrzeszczał, że jest winna jego „perwersji”. Jak znajdował coraz większą przyjemność w zadawaniu jej bólu jako kary za to, że nie wywiązuje się ze swoich małżeńskich obowiązków. Jak każdej nocy wchodziła do łóżka przepelniona strachem, spodziewając się, że dzisiaj ostatecznie straci panowanie nad sobą i weźmie ją przemocą, do czego, jak sądził, ma prawo. I jak niezmiennie trzymała się swego postanowienia i znosiła każdy ból – tylko po to, żeby nie dać mu satysfakcji, tylko po to, by nie musieć znosić jego ciała.

– Możesz się spotykać z innymi, nie przeszkadza mi to – zaproponowała mu tuż po weselu. – Nie musimy udawać, że się kochamy, jasne? Wystarczy, że nie będziemy sobie przeszkadzać.

To była oferta z jej strony, swego rodzaju traktat pokojowy, i miała nadzieję, że przyjmie ją z wdzięcznością. Ale on milczał, więc zinterpretowała to milczenie jako zgodę. Powinna była lepiej poznać swego wroga, wtedy być może przewidziałyby, że jej traktat pokojowy przerodzi się w drogę przez mękę. Ale cóż, już było za późno i nie wiedziała, jak wykręcić się z tej beznadziejnej sytuacji. Szukała intensywnie u swego znienawidzonego małżonka jakiejś pięty achillesowej, jednak na próżno. On zdawał się patrzeć niezmiennie z pogardliwą obojętnością na świat i ludzi.

Z biegiem lat stała się dobrą treserką, wiedziała, jak tresować takie drapieżniki, jak je poskramiać. Nauczyła się subtelnych gestów, które chłodziły nieco temperament Cotnego, opanowała język, którym potrafiła udobruchać swego wuja, ale wobec Ottona była bezsilna, ponieważ wyglądało na to, że jemu nie zależy na niczym, wszystko było tak samo bezwartościowe i tak samo nieciekawe. On sam był centrum własnego świata, a innych zauważał tylko wtedy, gdy oczekiwał od nich spełnienia jego życzeń. Dlatego jedyną bronią, jaka Nene pozostała, była jej emocjonalna nieobecność: nie pokazywała bólu, nie okazywała wściekłości, nigdy nie podnosiła głosu, nie skarżyła się, nawet nie wypowiadała żadnych gróźb. Jej najsilniejszą bronią przeciwko niemu było coś, czego miała dla niego aż w nadmiarze: pogarda. To była jej cicha rewolta, jej sposób walki, taka była jej zemsta.

Gdy później opowiadała nam, jakie przechodziła męki i ile wysiłku kosztowało ją znoszenie upokorzeń i bólu, wyznała, że najtrudniej było nie dać po sobie niczego poznać przed Sabą. Mieli taką niepisaną umowę, że nie rozmawiają o Ottonie, oboje wiedzieli, że to jedyna możliwość utrzymania ich miłości przy życiu. I trzymała się tej umowy aż to owego wieczoru, podczas którego wkładała do pieca potrawę przygotowaną według wykutego na pamięć przepisu swojej matki

i o władnęła nią jakaś nieznana dotychczas wiara w przyszłość. Tak, tego wieczoru wierzyła, że jest w stanie znieść wszystko, jeśli tylko on będzie przy niej, jeśli tylko nie pozbawi jej swojej miłości – wtedy zwycięży, pokona wszystkich złych mężów i wszystkie głowy rodzin, cały męski ród.

– O co chodzi? – zapytał, przyglądając się, jak zapala papierosa.

– Wydaje mi się, że naprawdę dam radę. Tym razem dam radę, Saba. Boję się, ale na pewno nam się uda.

– O czym ty mówisz?

– Porozmawiaj ze swoim znajomym. Kupmy wizę do Turcji. Nie wytrzymam już tego wszystkiego. Nie chcę już wracać do domu. Do niego.

– Nie zebrałem jeszcze pieniędzy – zastrzegł się natychmiast Saba.

– Wezmę biżuterię matki. Ma jej wystarczająco dużo. Na początek wystarczy. Poza tym znam w domu parę kryjówek, gdzie przechowują pieniądze.

– To w ogóle nie wchodzi w grę!

– Przynajmniej ty nie zaczynaj! Przecież to wszystko jedno, czyje pieniądze pomogą nam uciec i zacząć nowe życie. Moglibyśmy najpierw zatrzymać się w Stambule. Ty mógłbyś studiować, a ja będę się uczyła tureckiego i pracowała jako kucharka...

Spojrzał na nią i oboje wybuchnęli gromkim śmiechem. Potem powiedział ze zdecydowanym wyrazem twarzy:

– Nie, Nene, nie chcę popełnić tego samego błędu. Tym razem chcę wszystko dokładnie zaplanować. – Jego spojrzenie stało się mroczne i dodał poważnym tonem: – Jeśli stąd uciekniemy, to chcę być pewien, że nikt nas nie znajdzie. Że nikt nie zabierze cię z powrotem. Po raz kolejny nie wytrzymam tego piekła.

– Wiem, ale...

– Nie ma żadnego ale. Wspominałem ci o tym programie wymiany. Jeśli się postaram, to mnie przyjmą i będę mógł wyjechać do Europy. Wchodzi w grę kilka europejskich uniwersytetów. Francja, Niemcy, Szwajcaria. Termin jest do końca

czerwca, zacząłem już pracować nad angielskim. Pojadę wcześniej, urządzę się i cię sprowadzę. Tam będziemy bezpieczni.

– Nie wiem, czy tak długo wytrzymam – powiedziała i westchnęła. – A poza tym gdy wyjedziesz, to znaczy, kiedy cię tu nie będzie... – Schowała twarz w dłoniach, nie chciała, żeby zauważył łyzy oburzenia.

– Nestan, Nene, hej, spójrz na mnie.

Zaczął ją całować, najpierw ostrożnie, niepewnie, ale jej ciepło dodało mu odwagi, robił się coraz bardziej zuchwały, zachłanny. Całował ją, smakował jej słone łyzy, a ona mu się poddawała, jego zdecydowanie pozbawiało ją wszelkich zahamowań. I wtedy obudziło się to, co do tej chwili skrywała, co było przeznaczone tylko dla niego i co on tak bardzo kochał. Całkowicie zniknęła miękkość i poddańczość, czyli to, co zdawało się ją charakteryzować, a zamiast tego wychodziło na jaw coś władczego, jakaś paląca, nieokiełznana namiętność. Na początku ich znajomości bał się tego, miał wrażenie, że mogłaby go całego wchłonąć, nie zostawiając ani kawałka, gdyby tylko oddał się jej bez reszty, ale z czasem polubił jej głód i odczuwał jakąś irracjonalną dumę, że to właśnie on wznieca w niej ten żar, że to on jest adresatem tej namiętności. Wyjął jej z ręki papierosa i zgasił go, a ona zaczęła, szarpiąc, zdejmować mu ubrania, oplótła go silnymi udami i wciąż patrzyła na niego, jakby potrzebowała się upewnić, że jest tym właściwym i że chce właśnie jej, potem zaatakowała go swoimi pocałunkami i wprowadziła jego rękę między swoje nogi. (Przeszywa mnie dreszcz, gdy sobie przypomnę, w jakich okolicznościach i w jakim stanie opowiadała mi ze szczegółami o tym wieczorze, wyglądało to tak, jakby chciała ze wszelką cenę zarchiwizować swoje wspomnienia, najwyraźniej dawały jej oparcie, potrzebowała ich, żeby nie zwariować, a ja jej słuchałam, po prostu tylko jej słuchałam...)

Nie wiedział, że wszystko, czego odmawiała swojemu prawowitemu małżonkowi, zbierała dla swego ukochanego, dlatego musiała go kochać w tym bardziej niepohamowany i zapamiętały sposób, żeby zapomnieć o upokorzeniach i wstydzie, żeby obmyć tę miłość i pożądanie z obrzydzenia i pogardy. Musiała go kochać z tak przeraźliwie wielkim oddaniem, bo chciała

mieć pewność, że istnieje inny świat niż ten, którego była zakładniczką. Musiała włożyć w tę miłość całą swoją dotychczas tłumioną i źle skanalizowaną siłę, pokazać się wreszcie z tym wszystkim, co w niej tkwiło i z czego nawet sama nie zdawała sobie sprawy. Spojrzał jej prosto w twarz, pożądanie, które się na niej malowało, czyniło go słabym i uległym, podążał ścieżką, którą dla niego znaczyła. Krzyknęła, zakryła usta ręką i opadła mu na klatkę piersiową. Miała rozpalone policzki, drobne kropelki potu pokryły jej czoło. Ostrożnie cofnął rękę, objął ją i mocno przytulił.

Owczarek niemiecki sąsiadów zaczął głośno ujadać, potem coś spadło na ziemię. Hałas dobiegł z niewielkiej odległości. Nene się przestraszyła.

– Co to było? – spytała cicho, nie podnosząc głowy i wciąż ciężko oddychając.

W tym samym momencie usłyszeli szybkie kroki bezpośrednio przed domem, ktoś musiał się dostać do ogrodu. Saba zerwał się natychmiast, podbiegł do okna, ale na zewnątrz było zbyt ciemno, ogród tonął w mroku. Ktoś tam jednak chodził, co do tego nie było wątpliwości. Saba otworzył gwałtownie okno, chciał coś krzyknąć, lecz w tym samym momencie Nene zakryła mu usta, odciągnęła delikatnie do tyłu i przyłożyła palec wskazujący do swoich warg.

– Pst! – powtarzała cicho i zamknęła okno.

Kroki słyhać było teraz gdzieś w oddali.

– Dlaczego mnie powstrzymałaś? To mógł być ktoś ode mnie – powiedział Saba.

Zbladła, widać było, jak usiłuje nie ulegać strachowi.

– A może to był zwykły włamywacz. Moim zdaniem w okolicy szybko się orientują, że gospodarza nie ma przez dłuższy czas w domu. – Saba starał się mówić pogodnym tonem i ją uspokajać.

Zapaliła kolejnego papierosa, podszedł do niej i pomasaował jej kark, zaczęła powoli się rozluźniać. Ledwie wyczuwalne resztki strachu drgały wprawdzie jeszcze w powietrzu niczym cień na ścianach pokoju, ale poszli szybko do sypialni jakichś obcych rodziców, do łóżka z wilgotnym i zimnym prześcieradłem. Objęli

się, wtulili się w siebie, nie rozmawiali o teraźniejszości, trzymali się przyszłości, mieli nadzieję, że udało im się obłąskawić świat.

Gdy wkrótce potem ponownie zbudził ich hałas, nie potrzebowali wiele czasu, by obce odgłosy skojarzyć z krokami. Szarpanina, ktoś stukał do starych drzwi na werandzie, a więc musiał wejść przez żelazną bramę ogrodu, mimo że Saba ją porządnie zaryglował, chyba że ktoś ją przeskoczył.

– To na pewno Cotne, pewnie ktoś nas widział, wrócił wcześniej do domu albo w ogóle nigdzie nie wyjeżdżał, cholera... – szeptała Nene i gryzła pięść, żeby nie krzyknąć.

– Dobrze, widocznie tak musi być, w takim razie wyjaśnimy sprawę raz na zawsze.

Saba zaczął się pospiesznie ubierać.

– Nie, proszę, w żadnym razie, nie wolno ci otwierać drzwi! Musimy uciekać, przez jakieś tylne wyjście, i dostać się jakoś do Kodzori. Ira jest wtajemniczona, będzie mnie kryła.

Zazwyczaj w ekstremalnych sytuacjach nie można było liczyć na rozsądek Nene, ale tego wieczoru chyba przeczuwała nieszczęście, musiała przewidzieć jego bezmiar. Zagroziła Sabie drogę. Zdawał się wahać, widziała niepewność w jego oczach. Na szczęście właściciele domu byli przezorni i zamontowali metalowe kraty w oknach. Będą mogli na jakiś czas się zabarykadować, ale Cotne byłby zdolny do tego, żeby przywołać tu całą drużynę, żeby ich otoczyła jak na jakiejś cholernej wojnie. Nene rozważała wszystkie opcje, jakie mieli do dyspozycji, i zastanawiała się, do czego jej brat byłby w stanie się posunąć, ale stwierdziła, że brakuje jej pomysłów. I gdy trzymała ukochanego mocno pod ramię i powstrzymywała oddech, usłyszała nagle chropawy i tak bardzo znienawidzony głos:

– Otwieraj drzwi, ty dziwko, bo jak nie, to cię zabiję! Natychmiast, chyba że chcesz, żebym zwołał tu całą twoją rodzinę.

Głos był ochrypliwy od alkoholu. W pierwszej chwili Nene niemalże odetchnęła z ulgą, że to nie Cotne ani Tabora, a pojawienie się tutaj Ottona jako jej małżonka było na swój odrażający sposób uzasadnione.

– Otwieraj, ty kurwo! – rozległ się ponownie krzyk za drzwiami.

Saba zrobił krok, potknął się, złapał równowagę i rzucił się do drzwi. Próbowwała go powstrzymać, chwyciła za ramię, także się potknęła, wyrwał jej się z rąk i tym razem nie udało się jej go powstrzymać, odsunął zasuwę i otworzył drzwi. Najpierw nie wiedziała, co się dzieje, gdy Saba jak na zwolnionym filmie padał na podłogę, ponieważ dopiero, gdy zrobiła parę kroków do przodu, zobaczyła, że Otto celuje do niego z broni myśliwskiej. Saba podniósł się ociężale i na siedząco zaczął przesuwać się tyłem do wnętrza domu, zaś Otto z wycelowaną lufą napierał na niego.

– No co, odjęło ci mowę, ty szczurze? Gdzie twoja odwaga? – powiedział zadowolony z siebie. – A gdzie jest moja małżonka, ta goniąca się suka?

Nene zaczęła krzyczeć, ale Otto ignorował to, zmusił Sabę, żeby wstał i wszedł do salonu, a tam wskazał mu lufą miejsce przy stole.

– Jak śmiałeś?! – wydzierał się Otto i uderzył Sabę kolbą w twarz.

Krew trysnęła mu z nosa. Nene rzuciła się na Ottona, ale ten chwycił ją za włosy, przeciągnął po podłodze i posadził na krześle obok Saby. Zakrwawiony Saba podniósł się z żalnym zamiarem odebrania Ottonowi broni, ale potknął się i wpadł na niego, a Otto był dzielny żołnierzem, dobrym wojownikiem, w przeciwieństwie do Saby przemoc nigdy go nie odstraszała, od dawna potrafił dobrze przyłożyć i rzadko pudłował. Saba natomiast nie miał wprawy, od dziecka nie musiał używać pięści, jego brat i Rati zatroszczyli się o to, żeby podczas bójk mógł stać w drugim rzędzie, i być może w tym momencie tego żałował. Otto uderzył ponownie i na moment go unieszkodliwił.

– Jeśli spadnie nam chociaż włos, mój brat cię zabije, mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę, ty perwersyjna, impotentna świni.

To był niemal opanowany, pozbawiony emocji głos Nene, który z pewnością dałby Sabie do myślenia, o ile byłby przytomny. Ten głos powstrzymał Ottona na chwilę. Nene wyczuła jego niepewność, najwyraźniej był zaskoczony, że wzięła stery w swoje ręce, bo przecież to on był tym, który dyktuje zasady gry.

– Naprawdę sądzisz, że twój brat nie zrozumie tego, że straciłem panowanie nad sobą, bo to bydlę dosiada moją kobietę?

– Być może cię zrozumie, lecz mimo to cię zabije.

„Doznałam nagle jakiegoś wyzwalającego uczucia, jak gdyby runął cały ten domek z kart, jakby te wszystkie kłamstwa, te obrzydliwe półprawdy zostały wywleczone na światło dzienne, a ja stałam się wolna. Stałam się inną osobą – słyszę, jak Nene mówi do mnie te słowa zza zasłony czasu. – Keto, ten głos, który przemawiał moimi ustami, był mi zupełnie obcy, i wiesz, co było najbardziej absurdalne? Że już się nie bałam, po raz pierwszy w życiu się nie bałam – niczego ani nikogo. A najmniej tego sadysty”.

– No, nie wiem, czy to robi, jeśli mu powiem, że lizałaś mu fiuta jak parszywa suka. Może nie?

– Tak, owszem, i to z jaką przyjemnością, nawet sobie nie wyobrażasz.

– No to popatrz sobie na niego, swoją wielką miłość, jak teraz tutaj siedzi, słyszy nas w ogóle? Czy może padł zemdlny jak panienka. Hej, panienko, słyszysz nas?

– Możesz go sobie spokojnie nazywać panienką, ale za to potrafi pieprzyć się jak facet – powiedziała i najspokojniej w świecie zapaliła papierosa.

Jej głos, jej spokój, jej opanowanie zbiły go z tropu.

– A ja nie byłem dla ciebie wystarczająco męski, tak?

Jego obrona brzmiała marnie, z trudem znajdował odpowiednie słowa. Chwycił za karafkę z resztkami wina, opadł na krzesło i chciwie zrobił łyk, kładąc przy tym broń na kolanach tak czule jak chorego kota.

– Jesteś nie tylko niewystarczająco męski, ale w dodatku jesteś miękkim dydkiem. Odłóż lepiej swoją durną pukawkę na bok, jeśli masz dostatecznie dużo

odwagi – powiedziała i wypuściła dym w jego kierunku.

W końcu wziął się w garść, ale nie zareagował na jej słowa.

– Wiedziałem o tym od samego początku, a wiesz dlaczego? Bo zawsze czuć było od ciebie chłopem, kiedy leżałaś obok mnie.

– Myślałam, że jest panienką, więc jak mogłam pachnieć chłopem?

Patrzyła na niego nieprzerwanie. Kąciki ust mu drgnęły. Miała nadzieję, że zgubi go zaraz jego własne ego. Oparła się z zadowoleniem na krześle i po raz pierwszy od momentu, gdy zasiedli przy stole, rzuciła okiem na Sabę. Z przerażeniem uzmysłowiła sobie, że jego zakrwawiona twarz i napuchnięte oko będą ją prześladować przez całe życie, już nigdy nie będzie widziała w nim wyłącznie zdrowego i pięknego młodzieńca, to zbezczeszczenie, potworność tej sytuacji już na zawsze stopi się z nim i jego delikatnymi rysami twarzy.

– Pogadajmy. No, dawaj, ty i ja, mąż i żona. Zostaw Sabę, musi obejrzeć go lekarz. Powiedz mi w końcu, na czym polega twój problem, wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego ty jesteś taki nieszczęśliwy.

Saba odzyskał przytomność, rozejrzał się bezradnie i nerwowo, lewe oko było całkowicie zapuchnięte, z dolnej wargi sączyła się krew. Nene odwróciła wzrok i próbowała zachować miarowy oddech. Nie mogła teraz stracić panowania nad sobą, musiała pokonać męża sobie tylko znanymi metodami. Otto zaczął chodzić tam i z powrotem, jej spokój najwyraźniej wytrącał go z równowagi.

– O czym ty chcesz ze mną gadać, dziwko?

– O tym, że zawsze musisz kogoś upokorzyć, żeby dostać wzwodu. Nie sądzisz, że Cotne i wuj rozumieją, jeśli kiedyś w końcu poderżnę ci gardło w którejś z tych kanciap, do których mnie zaciągasz? – Miała nadzieję i modliła się o to, że gdy skończy się ten koszmar i uratuje Sabie życie, będzie mogła mu jakoś to wszystko wytłumaczyć. Mówiła dalej jednym tchem: – Od samego początku mówiłam ci, że nigdy cię nie pokocham, powinieneś być zostawić mnie w spokoju, żyć swoim życiem i trwonić do woli pieniądze mojej rodziny, odgrywać wielkiego gacha, chlać i zabawiać się w burdelach, bo wątpię, żeby któraś chciała się z tobą

zadawać z własnej woli... Tak, no co tak na mnie patrzysz? No, wyceluj broń we mnie, czy może brakuje ci odwagi? Tak bardzo się boisz Cotnego?

– Nene, przestań...

To był Saba. Jego błaganie też będzie brzmiało jej w uszach już przez całe życie, ta prośba i świadomość, że nie mogła spełnić jego życzenia, że musiała zniszczyć wszystko, co było między nimi błogie i święte.

– Zamknij się, ty szmato, wierz mi, nie masz na tyle znaczącej pozycji, żeby mi stawiać żądania, uwierz mi, wolałabyś nie wiedzieć, do czego jestem zdolny!

Nene zbliżyła się do swego dręczyciela. Przecież do niej nie strzeli. Nie należał do tych, którzy działają w afekcie. Był milczącym obserwatorem. Obserwator, to słowo dźwięczało jej w głowie, gdy okrążała go jak wygłodniały drapieżnik, wywoływała pot na jego czole. Obserwator... To było magiczne słowo, w nim tkwiło rozwiązanie! Mogła jakoś przeszmygłować stąd Sabę, mogła wyciągnąć go z tego bagna. Musi się stąd wydostać, musi stąd zniknąć, tylko to bez przerwy chodziło jej po głowie. Saba zwiślał na krześle jak marionetka z bezwładnymi rękami i nogami, opuściły go wszystkie siły i wszelka wiara, jakby nie istniało już nic, o co warto byłoby walczyć. Siedział tam jak załamany więzień i czekał na wykonanie wyroku. Poczula przypływ złości, choć wydawało się, że wszystko i tak pochłonęła już wściekłość na Ottona, tą można by było obdzielić nawet dziesięć osób, była tak wielka, że mogłyby ją odziedziczyć nawet jej wnuczeta. Saba był jednak człowiekiem, dla którego nie istniało nic bardziej obrzydliwego niż brzydota, i to, co się właśnie rozgrywało między nią a Ottonem, było czymś najbrzydszym, co kiedykolwiek widział. Znow zaczął ją ogarniać strach. A co, jeśli ten idiota naprawdę naciśnie spust? Czy mógłby się do tego posunąć? Chyba jednak trochę się rozzuchwaliła, poczuła jakąś miękkość w kolanach, jak długo jeszcze wytrzyma? Ale musiała teraz działać, natychmiast, szybko. Obserwator... Nie pozostawało jej nic innego. Była gotowa posunąć się do ostateczności.

Powoli, niemal tanecznym krokiem, zaczęła przesuwać się w stronę Saby.

– Co to ma być? Siadaj, ty pieprzona szmato! – usłyszała swojego małżonka, ale go zignorowała.

Przycisnęła swój tyłek do klatki piersiowej Saby. Odchylił się do tyłu, coś wymamrotał, nie był w stanie mówić, miał usta pełne krwi. Ale ona była nieustępliwa. Musiał zrozumieć, że realizuje właśnie pewien plan. Musiał z nią współpracować. Wydawało się, że jego ciało reaguje mechanicznie, na pewno podda się jej, musi się jej poddać, nie może odprawić jej z kwitkiem. Przyłgnęła do niego ciałem, wtulała się, ocierała o niego.

– Co ty robisz? Odbiło ci? – spytał Otto, a ona, nawet na niego nie patrząc, poznała po głosie, że jej czary zaczynają działać.

– Pomyślałam, że zrobię ci przysługę. I będziemy kwita, spakujesz rzeczy i znikniesz z mojego życia. Co powiesz na taki deal?

Ocierała się lubieżnie o ciało Saby, ignorując ucisk jego rąk, który poczuła na szyi.

– No co? Co tak na mnie patrzysz? Przecież to jest coś, co lubisz. Patrzeć. Przyglądać się, jak inni to robią. Czy może czegoś w naszym małżeństwie nie zrozumiałam, jak trzeba?

Zaległa taka cisza, że usłyszała nawet, jak kilka kropel krwi z ust Saby spada na ciemną drewnianą podłogę. Wkrótce zrobi się jasno, słońce wstanie, do tego czasu musi wyprowadzić stąd Sabę całego i zdrowego. Musi dopilnować, żeby dostał swoje stypendium i jeździł po Europie, żeby mógł podziwiać tamtejszą architekturę – być może będzie musiała nawet nauczyć się żyć bez niego. Pierwszy raz była gotowa pozwolić mu odejść, pierwszy raz ta opcja zdawała się nie oznaczać końca świata, ponieważ koniec świata nastąpił właśnie teraz. Saba musi się stąd wydostać, ta myśl brzmiała w jej głowie coraz głośniejsze, stawała się coraz pilniejsza, ta myśl napędzała ją do działania, sprawiała, że strach zamieniał się w małe, potulne zwierzątko. I za to była po raz pierwszy gotowa coś temu mężczyźnie podarować.

– Nene, proszę cię, przestań – usłyszała szept Saby, ale Saba był zbyt słaby, nie był w stanie przeciwstawić się jej niezłomnej woli, a ona pragnęła za wszelką cenę umożliwić mu zwiedzanie Wenecji i Paryża.

– Co to ma być?!

Głos Ottona brzmiał ochryple, jego uwaga wzmogła się już do granic, nie będzie potrafił się oprzeć, wywinąć się. Nie mogła teraz okazać słabości, nie wolno jej było zwątpić, nie uszanować Saby, musiała doprowadzić swój zamiar do końca, musiała pozbyć się wszelkiego wstydu, wszelkich zahamowań.

– Przecież tego chcesz! Czy to nie jest dokładnie to, czego chcesz?

Nene usiadła okrakiem na Sabie, plecami do niego, niebezpieczeństwo, że na niego spojrzy i odstąpi od swego planu, było zbyt duże.

– Wypuść go, a zrobię, co zechcesz. Możesz patrzeć na wszystko, możesz zapamiętać każdy szczegół. Ale wypuść go – powiedziała cicho.

Czuła krew Saby i jego osłabienie, czuła smak jego hańby w ustach, ale nie mogła się teraz zatrzymać, nie mogła się wahać, musiała zrealizować to, co zaplanowała. Byłby uratowany. Przed nią samą i przekleństwem, które na niej ciążyło.

– Postradałaś rozum! – wymamrotał Otto i opuścił broń, jego słowa miały świadczyć o jego rozsądku i kontroli nad sytuacją, ale głos zdradzał fascynację połączoną z uczuciem dyskomfortu.

Nagle odwróciła się, zaczęła z zamkniętymi oczami całować zakrwawione usta Saby, objęła jego ramiona, wiała się, wtulała w niego, lgnęła wiotkim ciałem do jego ciała, przez cały czas nie spuszczając z oczu swego dręczyciela. Saba prężył się z obrzydzenia, jakby nie mógł pojąć, co ona wyprawia, jakby do tej pory nie znał tej kobiety, która wypowiada takie zdania, zdawał się odczuwać wstręt, a mimo to poddawał się jej i chociaż było to jej na rękę, nienawidziła tego. Później często ją pytałam, czy nie sądzi, że byłoby lepiej, gdyby zaczął walczyć, gdyby coś odpowiedział, gdyby powstrzymał ją przed realizacją tego planu, ale nigdy nie odpowiedziała mi na to pytanie.

Czuła na skórze rozpalone spojrzenie Ottona. Niewiele brakowało, a zwymiotowałyby, ale wiedziała, że musi doprowadzić tę walkę do gorzkiego końca, że każdy środek do celu jest dobry i już dawno przestało jej zależeć na zachowaniu jakiegokolwiek formy czy wzniosłości. Saba wyszeptał jeszcze kilka razy słabe, ledwo słyszalne: „Przestań!”, ale jego ciało nie sprzeciwiało się, przeciwnie, odczuwał jakby ulgę, że zajęła się nim, tak jakby dawała mu krótkotrwałą iluzję powrotu do zdrowia. Podtrzymywała go, maściła jego rany, uśmierzała pulsujący ból. Robiła coś z jego ciałem, a on na to reagował, pragnął jej mimo tych absurdalnych okoliczności. Zdawał się nie mieć nad tym kontroli, ciało zdradzało go, a ona wykorzystywała to jako broń przeciwko ich wspólnemu wrogowi.

Jej wzrok wciąż spoczywał na Ottonie, w czasie gdy zawłaszczała ciało Saby, gdy spełniała jego najskrytsze marzenia, o których szeptał jej w tych wszystkich kryjówkach i tunelowych szybach podczas długich, ponurych miesięcy zapędzonej do podziemi miłości.

Otto przyglądał się im, nie potrafił inaczej, jego popęd był silniejszy niż rozum i tej nocy po raz pierwszy poczuła pewien rodzaju triumfu, zrozumiała, że jest na drodze ku wyzwoleniu. Nie będzie już miał nad nią władzy po tym, jak wyciągnęła na światło dzienne jego tajemnice, jego skrywane tęsknoty. I już nie zmienią tego ani ojcowska broń myśliwska, ani możliwość opowiedzenia o jej zdradzie Cotnemu. Powoli, jak ćma kuszona przez światło, podchodził do swojej żony, która w tym czasie rozpiniała spodnie innemu mężczyźnie. Gapił się na nich, nie mógł się powstrzymać, jak kleszcz potrzebował obcej krwi, żeby przeżyć. Miłość innych była tym, czego najbardziej pożył. Chciał wiedzieć, jakie to uczucie, chciał wiedzieć, jak to jest żyć, tak jakby on sam już od razu martwy przyszedł na świat. Może pragnął być na miejscu Saby, tego nie wiem.

I tak oto umożliwiła swojemu prawowitemu małżonkowi wgląd w coś, na czym naprawdę jej zależało, pozwoliła mu wejść do swoich kryjówek i tajemnych korytarzy. Przeciągnęła ręką po nagim torsie Saby, w migotliwym świetle świecy dostrzegła u Ottona drżenie powiek, wyczuwała jego chorobliwe, gorączkowe

pobudzenie. Ręka z bronią opadała coraz niżej, podszedł jeszcze bliżej do pary kochanków, milczał, słyszała tylko jego coraz bardziej przyspieszony oddech i narastające podniecenie.

W tym momencie po raz pierwszy spojrzała Sabie w oczy i dostrzegła w nich bezgraniczne przerażenie, całkowitą kapitulację w obliczu własnej niemocy, w obliczu tej sytuacji bez wyjścia, jednak przeblyskiwało tam coś jeszcze, coś, czego nigdy dotąd u niego nie widziała: pogarda. Natychmiast odwróciła wzrok, patrzyła w bok i przez ułamek sekundy pragnęła przerwać to wszystko, otworzyć drzwi, wybiec w noc i zapomnieć o wszystkim, zostawić wszystko i wszystkich za sobą.

Przejechała czubkiem języka po zakrwawionym uchu.

– Uklęknij! – usłyszała nagle z głębi pokoju.

Otto wycofał się w międzyczasie i stał oparty o ścianę, broń trzymał przy prawej nodze. Kierowany żądzą podjął swoją rolę w tej perfidnej grze. Ucieszyła się, wkrótce osiągnie swój cel, ta noc wreszcie się skończy. Ale wcześniej, zanim to nastąpi, musi jeszcze dobrze odczytać to, co kryje się w każdym, nawet najgłębszym i najbardziej perwersyjnym zwoju mózgowym Ottona. Wiedziała, że to potrafi, ponieważ wystarczająco długo żyła wśród drapieżników i sama stała się kimś takim.

Uklękła i zaczęła ściągać Sabie spodnie. Saba wzdrygnął się i chroniąc się, położył rękę między nogami.

– Przestań! – wymamrotał.

– Rób to samo co ja, siedź cicho i rób to, zaufaj mi... – syknęła.

– No, dawaj! – Otto ożywił się, robił się coraz agresywniejszy, wydawało się, że znów był w swoim żywiole.

Jednym ruchem ściągnęła Sabie dżinsy do kostek.

– Saba, proszę cię... – wyszeptała.

Ale w tym momencie coś się zakotłowało, zupełnie niespodziewanie nadciągnęła wiosenna burza. Saba oswobodził się z objęć Nene, pchnął ją z całej

siły na podłogę, jęcząc, poderwał się z krzesła, jednym ruchem ręki podciągnął spodnie i rzucił się na mężczyznę z rozżarzonymi oczami i opuszczoną bronią.

– Jesteście chorzy, oboje jesteście chorzy, zabiję cię, zabiję cię, ty podła, zboczona świnió!

Tego ostatniego zdania wypowiedzianego przez ukochanego, tej siły, z jaką rozbryzguje się ludzka krew, niczym czerwona ulewa, gdy człowiek zostanie trafiony z broni myśliwskiej z bliskiej odległości, tego wszystkiego Nene Koridze nie zapomni już nigdy. Jak również tej ciszy, gdy przebrzmi już wystrzał. I tego, jak o wschodzie słońca wygląda ostateczność.

KOLEJKI

Przed następnym zdjęciem ludzie czekają w kolejce. Cywilizowani Europejczycy stoją grzecznie i cierpliwie jeden za drugim, podczas gdy Gruzini zahartowani przez ostatnich trzydzieści lat w walce o przeżycie napierają ze wszystkich stron i w tym chaosie szukają dla siebie sprawiedliwości. Uśmiecham się pod nosem. Ale które to zdjęcie cieszy się taką popularnością? Chociaż... Czy to ma jakieś znaczenie? Czyż nie wszystkie jej zdjęcia są warte tego, żeby ustawiać się przed nimi w kolejce? Czy ja też powinnam ustawić się w tym ogonku i cierpliwie czekać, aż przyjdzie moja kolej i będę mogła rzucić okiem na własną przeszłość? Uznaję, że nie muszę tego robić. Czekałam już wystarczająco długo, i to jak długo, więc idę dalej...

Staliśmy wiecznie w koszmarnie długich kolejkach z nadzieją na twarde i pozbawiony smaku chleb z foremki, z nadzieją na lepsze jutro, z nadzieją na produkty spożywcze z USA, które wysyłano nam jako pomoc humanitarną i które później sprzedawano spod lady po wygórowanych cenach. Staliśmy w kolejkach z nadzieją na odrobinę litości. Staliśmy w kolejkach i słuchaliśmy plotek, kolejki były swego rodzaju agencją prasową, która funkcjonowała nawet bez prądu. Staliśmy w kolejkach także dlatego, że podczas wspólnego czekania i wspólnego marzenia było nam łatwiej i przyjemnie spędzało się czas. Chodziliśmy do pustych sklepów z opuszczonymi roletami, żeby na wiele godzin przed przewidywaną dostawą zająć miejsce w kolejce po chleb, po drewno, po fasolę, po amerykańskie mleko w proszku.

W kolejce docierały do nas informacje o ludzkich dramatach, w kolejce świętowaliśmy też różne okazje. Pamiętam, jak kiedyś w kolejce po chleb na ulicy Kirowa wznosiłam toast za narodziny dziecka. Pewien mężczyzna w radosnym

nastroju puścił w obieg kilka przyniesionych ze sobą blaszanych kieliszków i kanister domowego wina, ponieważ w czasie, gdy zastępował w kolejce swoją żonę w wysoko zaawansowanej ciąży, dowiedział się, że na świat przyszedł właśnie jego syn. Również stojąc kiedyś na ulicy Kirowa, zauważyłam Iry, jak z kamienną twarzą idzie wolnym krokiem w moją stronę. Nie wróżyło to niczego dobrego, dlatego napięłam mięśnie, spodziewając się kolejnego nieszczęścia. Wcześniej zajęłam sobie bardzo korzystne miejsce w kolejce, z którego szybko dotarłabym do szarej ciężarówki, gdy tylko ta nadjechałaby zza rogu, następnie rozłożono by ładę, ludzie zaczęli natychmiast tłoczyć się wokół niej, a obie korpulentne sprzedawczynie, przeklinając, puściłyby łokcie w ruch, żeby rozgonić zbiegowisko.

– Musisz pójść ze mną – powiedziała z wyrazem twarzy nieznoszącym sprzeciwu.

Było dość wcześnie rano, zamierzałam po zakupach pójść na Akademię, ponieważ od kiedy wiosna znów tchnęła w miasto trochę ciepła i zmusiła je do życia, wykłady znów odbywały się regularnie. Jedną z moich ulubionych profesorek opowiadała o planowanej podróży do Kachetii, zamierzała tam odnawiać kilka fresków w pewnym starym kościele i szukała odpowiednio zdolnych pomocników, więc postanowiłam dostać się do ścisłego grona kandydatów.

Widząc determinację, jaka biła od Iry, zrezygnowałam z ciężko wywalzonego miejsca i poszłam z nią bez wahania. Gdy znalazłyśmy się pod okazałym budynkiem banku centralnego, wypowiedziała trzy słowa, po każdym z nich stawiając kropkę, jakby broniła się przed każdym z nich z osobna.

– Saba. Nie. Żyje.

Świeciło słońce. Miasto pachniało bzem. Wszystko było stęsknione życia. Miało się ochotę zapomnieć już o długiej, ponurej zimie, a przyroda była najwyraźniej gotowa w tym pomóc. To zdanie nie pasowało do tego słonecznego dnia. Nie pasowało do tego poranka pełnego drobnych nadziei. Ale przede wszystkim to zdanie nie pasowało do Saby i jego pięknych zielonych oczu, nie

pasowało do jego marzeń, które miały go zaprowadzić do Europy. To zdanie nie pasowało do naszej głodnej życia Nene i jej miłości, dla której zeszła do podziemi. To zdanie nie pasowało do dwudziestotrzyletniego mężczyzny. To zdanie było niedorzeczne, wszystko w nim było niedorzeczne. Pamiętam, że w pierwszych sekundach uczepliłam się tej bzdurnej nadziei, że Irze coś się poplątało, że to jakaś pomyłka, ponury żart.

Pokręciłam głową, ale już wiedziałam, że ten dziecinny brak zgody przed niczym mnie nie uchroni, niczego nie cofnie. Piękny Saba i śmierć? Tego nie da się ująć w trzech słowach, to jest po prostu nie do pomyślenia, to jakiś koszmar.

– Jak to? Nie, to niemożliwe...

– To był Otto.

Spojrzałam na Irę, jej oczy schowane za grubymi szklami okularów zaczęły napęcznieć się łzami, a pode mną ugięły się kolana. Opadłam na twarde płyty chodnikowe u stóp posągu Atlasa, który wspólnie ze swoim bratem bliźniakiem po drugiej stronie wejścia do banku na swych umięśnionych barkach z oddaniem i bez słowa skargi podtrzymywał ciężar całego gmachu, całych dziejów tego świata. Ira nie mogła jeszcze wtedy wiedzieć, że jej słowa natychmiast przywołały mi w pamięci zwłoki w kurtce z jagnięcej skóry leżące bezwładnie w błocie i że poczułam natychmiastową potrzebę nacięcia własnego ciała, żeby nie zadławić się tym bezmiarem potworności i absurdu, których nie byłam w stanie znieść. Potrzebowałam zrobić kolejne głębokie i precyzyjne nacięcie obok wielu innych, które nagromadziły mi się na udach w ciągu ostatnich miesięcy. Ale nie mogłam stąd odejść, byłam skazana na tę wiadomość i na tych kamiennych tytanów.

– Keto, musimy się jakoś pozbierać. Dina już od jakiegoś czasu szuka Ratiego, a ty musisz powstrzymać Lewana, bo w przeciwnym razie popłynie jeszcze więcej krwi – wycedziła Ira przez zęby, chwyciła mnie za przegub i zaczęła podciągać do góry.

Udało mi się wstać dopiero za którymś podejściem, skurcz sparaliżował mi ciało, świat wokół mnie stanął w miejscu, nienawidziłam słońca, które z takim

samozadowoleniem miało czelność świecić jasno na niebie.

Gdzieś w oddali zaszczekały psy, już od dłuższego czasu biegały całymi sforami po mieście w poszukiwaniu jedzenia i napędzały wszystkim strachu, ponieważ mówiło się, że są chore na wściekliznę i w ogóle nie boją się ludzi.

Jak Nene będzie mogła dalej z tym żyć, jak wydostanie się na brzeg z tego czarnego jeziora lepkiej smoły? Jak miałabym powstrzymać Lewana? Jak go pocieszyć? Ramiona całego świata nie wystarczą, żeby utulić żal po tak nagłej śmierci. Szłam za Iry, nie pytając dokąd. Prawdopodobnie miała dla mnie jakieś zadanie, o którym za chwilę mi powie, i byłam jej wdzięczna, że przejęła za mnie myślenie. Nagle zatrzymała się na ulicy Macharadzego, dostała drgawek i zaczęła trząść się i skręcać z bólu.

– Ja dałam jej alibi! Keto, rozumiesz to, ja byłam jej wymówką! Postąpiłam wbrew sobie, odłożyłam własny egoizm na bok i zmusiłam się do tego, żeby cieszyć się razem z nią... Taka była szczęśliwa, że może spędzić z nim weekend w Ckneti, z dala od swojej nienormalnej rodziny. Chciałam być jej dobrą przyjaciółką, wiedziałam, że mnie potrzebuje, od wesela miała poczucie, że zostawiłam ją na lodzie, i w pewnym sensie miała rację. W ostatnich miesiącach unikałam jej, stąd uważała, że się na nią obraziłam, ale tak naprawdę było mi wstyd, bo strasznie za nią tęskniłam, strasznie... I ostatecznie postanowiłam ją kryć, to dlatego powiedziała rodzinie, że jedziemy razem do Kodzori. O Boże, o mój Boże, Keto... To mnie przerasta, jak to teraz przetrwać, to przecież nie jest życie, jakie powinno się prowadzić w naszym wieku!

Szlochała, drżały jej usta, jakby chodziła godzinami na mrozie. Wzięłam jej dłoń w swoje ręce. Jak mogłam ją uchronić przed upadkiem w otchłań? Jeszcze nigdy nie widziałam Iry w takim stanie, jeszcze nigdy nie była w takiej rozsypce. Mówiła długo jednym tchem, jakby ją ktoś gonił, po czym zrobiła przerwę.

– Całymi nocami zadawałam sobie pytanie, co ona musi czuć, jak musi przez niego cierpieć. Że musi robić tyle różnych rzeczy, którymi się brzydzi. Odwróciłam się do niej plecami, wszyscy się od niej odwróciliśmy i ja teraz chciałam to

naprawić. Kiedy dowiedziałam się, że znów spotyka się z Sabą, to nawet się ucieszyłam. On sprawiał, że była szczęśliwa.

Dygotała na całym ciele, stała przede mną naga, bezbronna i niepewna. Kochała Nene bez pamięci i pragnęła być przez nią akceptowana. Objęłam ją i mocno przytuliłam. Stałyśmy na ulicy Macharadzego z rękami splecionymi jak gałęzie wierzby płaczącej, wspierałyśmy się nawzajem i jednocześnie byłyśmy tak lekkie, że każdy podmuch wiatru mógł nas porwać ze sobą.

– Strzelił Sabie prosto w serce. Na oczach Nene.

Gdy tylko skręciłyśmy w ulicę Winorośli, usłyszałam rozdzierający serce głos oplakujący stratę. Zazwyczaj delikatna, cicha i wycofana Nina Jaszwili sprawiła, że świat całkowicie zamilkł. Oskarżała tę groteskową nieuchronność, całe podwórko było pełne ludzi, sąsiedzi kłębili się na środku jak mrówki, wszyscy byli wstrząśnięci, panowało wielkie poruszenie. Mężczyźni stali w rogu z opuszczonymi głowami, prychnęli i odchrząkiwali, co poniekąd wyjmowali raz po raz nakrochmaloną chusteczkę do nosa. Kobiety zatracaly się w bezsensownej krzątaninie, biegały zatroskane tam i z powrotem. Drzwi wciąż się otwierały albo zamykały. Tę dźwiękową kulisę rozdzierał co jakiś czas przeraźliwy lament matki Saby i mroził nam krew w żyłach. Eter miała spuchnięte oczy, ona również należała do grona żałobników. Zaczęłam rozglądać się za kimś jeszcze, szukałam wzrokiem kogoś z rodziny Tatiszwilich, ale nie było ich wśród sąsiadów. Rodzina mordercy nie miała odwagi wyjść na dwór. A być może nie wiedziała jeszcze o losie, na jaki skazał ich syn?

– Gdzie jest Rati? – spytałam babudę, a ona poruszyła lekko głową.

Zerwałam się biegiem w stronę mieszkania Pirwelich i zaczęłam łomotać do drzwi. Lika otworzyła mi po paru sekundach, jakby na mnie czekała.

– Och, Keto... – wyszeptała tylko i rzuciła mi się na szyję.

Ira stanęła za mną z opuszczoną głową. Wyglądało na to, że z chwilą wkroczenia na podwórko role się odwróciły, teraz to ona szła za mną i oczekiwała ode mnie instrukcji. Wtem usłyszałam jakiś głuchy hałas dobiegający z kuchni.

Rati uderzał zakrwawioną pięścią w ścianę, a Dina próbowała go powstrzymać, obejmując go od tyłu rękami.

– Zabiję go, zabiję – powtarzał, wciąż uderzając, aż ściana zaczęła się kruszyć.

– Saba nie ożyje od tego – usłyszałam, jak Lika próbuje przekonać Ratiego, żeby się uspokoił, ale to był język, którego nie rozumiał.

Trzeba było znaleźć jakiś inny sposób, żeby go powstrzymać od polowania na Ottona.

– To wszystko jej wina! – Odwrócił do nas rozpaloną z wściekłości twarz. Minęło kilka sekund, zanim zrozumiałam, kogo ma na myśli. – Obu facetów wpakowała w to szambo, to jej wina, że Saba nie żyje! – Nienawiść wykrzywiła mu twarz.

– Jak śmiesz?! Jesteście potworami, jesteście chorzy, wasz świat jest kompletnie chory, wszyscy utoniecie we własnym bagnie! Ona go kochała, ale potem potraktowano ją, wbrew jej woli, jak towar w handlu wymiennym, a ty teraz twierdzisz, że to jej wina?!

To była Ira, to ona podniosła głos na mojego brata.

– Ira... – zaczęła Dina, próbując owinać pięść Ratiego wilgotną chustką.

– Doskonale wiedziała, co spowoduje swoim zachowaniem – odpowiedział Rati, który po mowie obrończej Iry nieco się uspokoił, gdyż prawdopodobnie jeszcze nigdy nie słyszał jej przemawiającej tak długo.

– A on? On wiedział o tym tak samo jak ona! – ofuknęła go Ira.

Wszystko było pod kontrolą, Dina pilnowała Ratiego. Poprosiłam Irę, żeby ich nie odstępowała, a sama pobiegłam, mijając babudy, wujka Giwiego, który miał minę, jakby nie był w stanie pojąć tego wszystkiego, Nadię Aleksandrowną w kwiciastym szlafroku, która przytulała tygrysięgo kota i odmawiała pacierz po rosyjsku, minęłam dalej Tariela oraz jego przedsiębiorczą żonę, Artioma, któremu łzy spływały po pooranych zmarszczkami policzkach, i pognałam do domu z czerwonej cegły, wbiegłam na pierwsze piętro – do serca tej żałoby, gdzie nikt nie miał odwagi wejść i skąd dobiegały wstrząsające dźwięki.

Drzwi były otwarte na oścież, weszłam do środka. Chudy Rostom siedział w salonie w fotelu i patrzył tępo przed siebie. To tutaj dawniej się bawiliśmy. Wszyscy razem. To tutaj Nene dostała swój pierwszy pocałunek, tutaj przypieczętowała swoją miłość do Saby, a potem nam to dumnie obwieściła. Tutaj jego brat złożył także mnie swoją cichą obietnicę, a potem pokazał mi broń. Rostom siedział, nic nie mówił, nic nie robił ani nie płakał, jakby go tu w ogóle nie było, jak jakiś święty, który oderwał się od wszelkich ziemskich spraw tego świata. Nie zagadywałam do niego, bo cóż można powiedzieć w obliczu takiego zwątpienia? Przeszywający głos Niny ponownie wyrwał mnie z zamyślenia. Ta pełna rozpacz i zwątpienia pieśń dobiegająca z sypialni sprawiła, że znów stanęłam w miejscu. Ten głos mnie przerażał, zdawało się, że tkwi w nim jakiś fatalny urok. Gdy już byłam gotowa zawrócić, zobaczyłam go, jak wychodzi z sypialni. Z posępną twarzą i spuchniętymi powiekami wszedł do pokoju, zataczając się, jakby był pijany. Wzdrygnął się, nie spodziewał się mnie w tym miejscu, z pewnością czekał na mojego brata, na swoją armadę, z którą będzie mógł zaplanować kampanię zemsty, jedyne pocieszenie, którego się mocno uchwyci, tego byłam pewna. Podeszłam do niego. Brakowało mi słów. Spojrzał mi w oczy. Jego twarz wyglądała obco, nie potrafiłam z niej nic wyczytać.

– Tak mi przykro – wyszeptałam. – To nie powinno było się wydarzyć.

– Co o tym wiedziałaś? Wiedziałaś, że dalej się spotykają? – zaczął dociekać.

Milczałam.

– Powinnaś była mi powiedzieć.

– Oni się kochali.

– Ta miłość kosztowała go życie. – Mówił chłodnym, zdystansowanym tonem.

– Nie możecie zrobić teraz żadnego głupstwa...

– Nie mów mi, co mam robić, a czego nie. Chyba nie sądzisz, że morderca mojego brata może sobie teraz tak po prostu uciec?

Nie miałam żadnych kontrargumentów, rozumiałam jego ból, ale ta złość była ślepa. Ira miała rację, byliśmy skazane na wypowiedzianie ostrzeżeń, które

rozchodziły się po prostu w powietrzu. Byłyśmy jedynie pięknym dodatkiem. Wznoszono za nas toast i wychwalano naszą urodę, ale powinnyśmy trzymać język za zębami, być posłuszne i wypowiadać niewinne frazesy. Nawet nie mogłyśmy ochraniać siebie nawzajem, byłyśmy skazane na wzorce, zasady i niepisane prawo, a na domiar złego tak się temu wszystkiemu podporządkowałyśmy, jakbyśmy uwierzyły, że to dla naszego dobra i naszej ochrony. Dlaczego stałam tam przed nim, dlaczego w ogóle zadawałam sobie trud, dlaczego Dina opatrywała Ratiemu rękę, dlaczego Ira wygłosiła swoją mowę oskarżycielską, której nikt nie chciał słuchać? Tak, dlaczego Nene i Saba musieli zejść do podziemia jak ten nieszczęsny Orfeusz razem ze swoją Eurydyką? Tak, Ira miała rację. Zostawiłyśmy Nene samą.

Poczułam ołowiane zmęczenie. Bezwiednie zrobiłam krok do tyłu.

– Lewan, jestem tu ze względu na ciebie, chciałabym móc coś dla ciebie zrobić.

– Po prostu nie próbuj mnie przed niczym powstrzymywać, i to wszystko! – powiedział zwięźle z goryczą w głosie.

Z tyłu usłyszałam, jak budzący się z letargu Rostom mówi do swojego syna:

– Wyjmij ten granatowy garnitur. Ten, który miał na sobie na zakończenie roku. Będzie w nim dobrze wyglądał w trumnie.

Czy to jest w Kachetii? Ten stary klasztor? Tak, raczej tak. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widziała to zdjęcie. Musiała je zrobić wtedy, gdy tamtego lata przyjechała z Irą do mnie w odwiedziny. Pamiętam, że piłyśmy wtedy ciężkie wino i słuchałyśmy radia na baterie – jedyne go źródła łączności ze światem zewnętrznym. Z rozrzewnieniem wspominam owe tygodnie, które pomimo ciężkości tamtego roku toną w mojej pamięci w typowych dla tego regionu nasyconych kolorach jesieni. I od razu odlatuję, przypomina mi się uczucie nieważkości, które niczym liny unosi mnie do góry, czuję, jak z każdym centymetrem robię się coraz lżejsza, a z tyłu wyrastają mi skrzydła. Jestem lekka jak piórko, a wraz z nabieraniem wysokości znikają wszelkie myśli i troski. Odrzucam wszystko, co zbędne, i zostaję sam na sam z tym magicznym załamaniem światła, które tak brawurowo uchwyciła Dina, moja nieżyjąca

przyjaciółka – tęsknota za nią będzie najokrutniejszym wyzwaniem całego mojego życia. Patrzę na to zdjęcie, zanurzam się w nim, w tym bursztynowym świetle, które wpada z boku przez wąskie okno bez szyby.

Lubię ten stan zawieszenia w powietrzu, zawsze jestem wdzięczna i krzyczę z radości, gdy Maja, moja profesorka, pozwala mi opuścić rusztowanie i zjechać na linie z latarką na czole i z moją magiczną bronią, narzędziami.

„W ostatnim dziesięcioleciu pojawiły się w świecie nauki głosy opowiadające się zdecydowanie przeciwko stosowaniu chleba jako środka do suchego oczyszczania, ponieważ jego pozostałości stanowią pożywkę dla grzybów i innych mikroorganizmów. Ale Lagi czyścił freski Michelangela w kaplicy Sykstyńskiej też za pomocą lnianych szmat i chleba. Jestem wielką orędowniczką tej metody. Ernst Berger, powinnaś się nim zająć, Keto, radzi, by po oczyszczeniu z kurzu za pomocą pędzla szczecinowego usuwać warstwę sadzy na malowidłach ściennych niezbyt świeżym chlebem. Rezo, podciągnij ją do góry, wyżej, wyżej, Kipiani, mam nadzieję, że nie masz lęku wysokości?” – słyszę głos Mai, a zaraz potem rozlega się w kopule moje radosne i przeciągłe: „Nieeee!”. „Wspaniale, a więc Rezo, śmiało, możesz spokojnie podciągnąć ją wyżej!”

Cztery dni wcześniej rozbiliśmy „nasz obóz”, jak się wyraziła nasza pani profesor, Maja Sanikidze, dwa kilometry od Bodbe, w malutkiej wiosce z winnicami położonej na obrzeżach Sagaredzo. Nie posiadałam się ze szczęścia, gdy mnie poinformowała, że wybiera mnie na praktykantkę i zabiera na lato do Kachetii. Tak czy siak pojechałabym wszędzie za tą kobietą o miękkich, krągłych kształtach, imponująco symetrycznej twarzy i włosach ufarbowanych na ognistoczerwony kolor, ponieważ otworzyła przede mną skrzynię pełną skarbów, pełną potrzebnej i niepotrzebnej wiedzy. Poza tym odruch, żeby uciekać, który nosiłam w sobie po śmierci Saby, stał się dla mnie niemal fizyczną katorgą. Po jego śmierci znienawidziłam swoje znajome podwórko, bliskie mi ulice, a ospała normalność, z jaką życie toczyło się dalej, wydawała mi się szyderstwem.

Po pogrzebie wszystko popadło w jakąś dziwną apatię. Ludzie wokół jakby wstrzymali oddech w oczekiwaniu na potężną burzę, która po nieznośnych upałach powinna rozładować się nad naszymi głowami. Ale nic takiego się nie stało. Oczekiwano czegoś, co nie chciało nastąpić, a mimo to nikt nie odpuszczał.

Otto Tatiszwili, jak należało się spodziewać, zapadł się pod ziemię. Mówiło się, że Cotne na rozkaz Tapory pomógł mu w ucieczce, żeby uniknąć wojny gangów. Nawet Rati dał sobie w pewnym momencie spokój, nie było sensu go szukać. Bez wątplenia wywieźli go za granicę, a poza tym był pod ochroną teścia. Na pewno miał się uczyć pokory, trwać w ukryciu, czekać cierpliwie, aż wróg popełni błąd. Ten, który dłużej wytrzyma, będzie mógł skosztować słodkiego owocu zemsty. A dążenie do tego, by Cotne odpokutował za Ottona, było sprzeczne z ich kodeksem i nie brano tej opcji pod uwagę.

Lewan wciąż zachowywał się oziębło i pogardliwie, był zły i nieprzyjemny. Żaloba zatruwała jego organizm, nienawiść przenikała go aż do szpiku kości. Rati rzucił się w wir interesów, jakby chciał w ten sposób uśmierzyć swój ból. Ogarnęła go wręcz jakaś mania, działał jak nakręcony, wciąż obmyślał nowe modele biznesowe, od rana do wieczora włóczył się ze swoimi chłopakami po ulicach i stawał się coraz bardziej zuchwały, coraz bardziej prowokacyjny, coraz bardziej świadomy swojej władzy. Ojciec wycofał się całkowicie do świata swoich formułek. Warunki zewnętrzne, w jakich on i jego przyjaciele nadal niestrudzenie pracowali, były absurdalne: mimo wstrzymanych wypłat, mimo totalnej beznadziei, całkowitej zapaści wszelkiego życia naukowego w kraju chodzili dzień w dzień do nadpalonego budynku Akademii, by tam dalej pracować nad swoim leksykonem. Babudy także nadal udzielały korepetycji. Żaloba po Sabie wzmogła w nich na krótko gotowość do wzajemnego pojednania. Po tym, jak prezydent uciekł za granicę, a Rada Wojskowa przejęła rządy, dyskusje polityczne w kraju na jakiś czas ucichły, po to by ze zdwojoną siłą rozgorzeć na nowo, gdy ta sama Rada sprowadziła do stolicy Gruzina z eksportu, byłego ministra spraw zagranicznych Związku Radzieckiego, tego „białego lisa” Szewardnadzego, i osadziła go na stanowisku przewodniczącego parlamentu. Eter widziała w nim od dawna

wyczekiwanego „polityka rozsądku i umiaru”, Oliko nazywała go pozbawionym skrupułów „człowiekiem władzy”, któremu dobro kraju jest obojętne i który „niczym napuszony kogut” dawał się prosić, by zechciał „ratować” rzekomo „swoją ojczyznę”, choć tak naprawdę zależy mu wyłącznie na własnych korzyściach i ciężko wywalczoną niepodległość znów naraża na niebezpieczeństwo.

Ale to przede wszystkim Nene sprawiła, że chciałam uciekać, a także moja niemoc, niezdolność do tego, żeby złagodzić jej cierpienie. Po pierwszej wizycie, jaką Ira i ja złożyliśmy jej po pogrzebie Saby, wyszłam na ulicę Dzierżyńskiego z poczuciem bezradności i strasznym uciskiem w klatce piersiowej, tak że musiałam natychmiast przysiąc na krawężniku. Leżała w łóżku jak na katafalku, niczym anemiczna, blada księżniczka, której zostało już tylko kilka dni życia, biała, sięgająca do kostek koszula nocna podkreślała dodatkowo jej bladość. Miała rozpuszczone grube i długie aż do pasa włosy, a oczy lśniły niezdrowym blaskiem. Wzięła nas za ręce i wypowiedziała parę nieskładnych zdań. Tego dnia, gdy Maja Sanikidze potwierdziła mój udział w wyjeździe do byłego klasztoru żeńskiego Bodbe, by tam przywracać blask wyblakłym freskom, miały miejsce jeszcze dwa wydarzenia, które przekształciły mój wyjazd do Kachetii niemalże w akcję ratunkową.

Gdy w ciepły czerwcowy poranek wyszłam na podwórko, żeby ruszyć do Akademii, stałam się świadkiem pewnej bójki między osobami, których dawniej nigdy bym o to nie podejrzewała. Już szybciej spodziewałabym się tego po swoim ojcu. A jednak był to nie kto inny jak inteligentny i uduchowiony Rostom, który podczas dziecięcych przyjęć urodzinowych siedział zazwyczaj w kącie, łagodnie się uśmiechał i sporządzał nasze portrety, natomiast teraz okładał Dawita Tatiszwilego. Ten zaś leżał na ziemi w rozdartej koszuli i wcale się nie bronił, tak jakby akceptował zadawany mu ból, uznawał to za karę będącą logiczną konsekwencją tego, co jego syn zrobił synowi Rostoma, jak gdyby bez oporu

zdawał się na swój los. Rostom tłukł go z niesłychaną brutalnością i krzyczał: „Oddaj mi syna, ty morderco, oddaj mi syna!”.

O dziwo, podwórko było puste, nawet w oknach nie było żadnych ciekawskich, w przeciwnym razie już dawno ktoś wszcząłby alarm. W takiej sytuacji nie pozostawało mi nic innego jak samej się wmieszać i oderwać krzyżącego Rostoma od Dawita, co oczywiście mi się nie udało, aż w końcu zjawili się mechanik samochodowy Taniel oraz jego syn Beso i rozdzielili wściekłego fotografa oraz ledwo dyszącego Dawita, który pozostał w bezruchu na ziemi. Nie mogę tu zostać, natychmiast przemknęło mi przez głowę i nie zastanawiając się, jak wyglądam, nie przemywając twarzy i nie zmieniając brudnego ubrania, pobiegłam na uczelnię. Od tamtej tragedii w zoo znów dopadło mnie owo dławiące uczucie, że śmierć mnie prześladowa i muszę uciekać, by ratować życie.

Drugie zdarzenie miało miejsce tuż przed tym, gdy Maja zaprosiła mnie do Kachetii. Było to któregoś z tych skąpanych w letnim słońcu dni, gdy ciepło w Tbilisi jest niezwykle przyjemne i nie zamieniło się jeszcze w duszący skwar. Usłyszałam klakson i natychmiast się odwróciłam. Właśnie wychodziłam z Akademii i zamierzałam zejść wybrukowanym zboczem do alei Rustawelego. Zauważyłam Lewana, siedział w jakimś obcym czarnym aucie i wyraźnie na mnie czekał. Poczułam się nieswojo, jakbym wstydziła się, że musi czekać na mnie właśnie tutaj, bo przecież Akademia to także dawna alma mater Saby. Kiwnął do mnie ręką, wykrzyknął moje imię, a ja natychmiast wskoczyłam na siedzenie obok niego. W samochodzie unosił się zapach mocnej wody kolońskiej i papierosów. Jakiś czas temu Lewan zgolił włosy i babudy wołały na niego „Fantomas” – od bohatera filmu, którego grał ich ukochany Jean Marais. Wyglądał dzięki temu na większego twardziela, stał się dziwnie wyrazisty, jak zamarznięte jezioro. Od śmierci Saby prawie w ogóle nie widzieliśmy się w cztery oczy, muszę przyznać, że bałam się tej chwili. Pojawiła się między nami jakaś niewidzialna ściana. Poczułam w sercu skurcz, bo przypomniawszy mi się piękna twarz jego brata leżącego w trumnie. Nieodwracalność tej śmierci położyła się na nas cieniem, jak warstwa popiołu po strasliwym pożarze.

– Przejedziemy się, dobrze? – powiedział i wcisnął gaz, nie czekając na moją odpowiedź.

Było późne popołudnie, światło dnia miało przepiękny czerwony kolor, serce zaczęło mi szybciej bić.

– No i jak ci się podoba moja nowa fura? – zapytał od niechcienia.

– Elegancka. Nie znam się na samochodach, przecież wiesz.

– To prezent od twojego brata.

– Proszę? Czyli interes nieźle się kręci, tak?

– Nie potrzebuję twojego komentarza. Nie możesz się po prostu cieszyć razem ze mną?

Tak, to nie był dobry moment, żeby wypominać mu sposób życia. Przez ułamek sekundy byłam nawet zła, że Ratiemu udało się coś, co ja zawsze dusiłam w zarodku: sprawić mu przyjemność.

Samochód miał odtwarzacz stereo, który migał i błyskał jak dziecięca zabawka, co strasznie mnie irytowało. Lewan włożył z dumą kasetę z muzyką poważną. Już nie pamiętam, co to było, chociaż opowiadał wtedy o jakimś dyrygencie i wyrażał ogromny podziw dla tej muzyki. Wzruszyłam się, że najwyraźniej znów jest w stanie zauważać to piękno. Odwróciłam głowę w drugą stronę. Byłam mu wdzięczna, że podzielił się ze mną czymś, co miało dla niego tak duże znaczenie, to był taki prezent niespodzianka. Zastanawiałam się, kto jeszcze oprócz mnie zna go od tej szczególnej strony, i poczułam nagle pulsującą zazdrość. Nie chciałam z nikim się tym dzielić, ponieważ to była jedyna rzecz, którą przeznaczył tylko dla mnie, i przynajmniej do tego chciałam zachować prawo wyłączności.

Ciepły wiatr, który wpadał przez otwarte okno, targał mi włosy i smagał nasze twarze. Milczeliśmy przez chwilę. To także była nowość. Od kiedy pamiętam, Lewan zawsze mówił dużo i chętnie, czasem nawet paplał bez sensu, doprowadzając tym mnie i znajomych do szału. Teraz zdawał się całkowicie zatopiony w myślach, jakby istniał w nim równoległy świat bez słów, za to pełen bólu. Ukochana osoba, odchodząc, pozostawia po sobie brutalnie rozdarty krater –

nie sposób dać komuś zajrzeć do własnej bezdennej otchłani, tak żeby ujrzał tam człowieka oraz bezmiar dokonanych spustoszeń.

Zawsze byłam dobra w milczeniu, nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego ludzie mówią, że trzeba „wytrzymać ciszę”. Ale milczenie Lewana stanowiło coś nienaturalnego. Zawsze był pogodnym człowiekiem, rozbrykanym i ciekawskim, nie znosił stagnacji. Dawniej, gdy jego ojciec opowiadał o swoim młodszym synu, używał określenia „żywe srebro” i kręcił przy tym głową. Ale Lewan, który siedział teraz obok mnie, nie miał nic wspólnego z tym żywosrebrnym chłopakiem. Gdzie się podział awanturnik i wróg systemu, co się stało z jego zainteresowaniem mną, z jego gadatliwością, figlarnością i dużą atencją wobec kobiet? Rzadko widziałam mężczyznę, który by z takim szacunkiem odnosił się do płci przeciwnej i tak lubił jej towarzystwo. Przy tym nie chodziło mu o erotyczne przyciąganie, szukał ich towarzystwa niezależnie od wieku i stopnia atrakcyjności. Gdy obserwowało się go wyłącznie w damskim gronie, ujawniało się coś, co czyniło go w moich oczach jeszcze bardziej godnym miłości. Jeśli dostrzegał u kogoś coś, co różniło go od niego samego, był tym zdumiony, ale jednocześnie w pełni to akceptował. Jeszcze nigdy nie spotkałam czegoś takiego u żadnego innego mężczyzny. Tak jakby przeciwna płeć była mu obca i już choćby z tego względu godna uwagi, tak jakby każdy ruch, każde w jego odczuciu niejasne zachowanie, niezrozumiała emocjonalna reakcja czy nawet zarzut napełniały go wielką pokorą. W przeciwieństwie do mojego brata i jego kompanów nigdy nie sprawiał wrażenia, że traktuje swoją biologiczną płęć jako coś wyższego. Wprost przeciwnie, zdaje się, że kobiety mu imponowały. I zawsze, gdy patrzył na mnie w ten swój szczególny sposób, gdy widziałam tę jego lekko przekrzywioną głowę, lekko przymrużone oczy, gdy wiedziałam, że kieruje na mnie swoją uwagę, pragnęłam tylko nie ruszać się z miejsca, już na zawsze trwać w tej łasce, pod tą kopułą bezpieczeństwa i podziwu. Lubiłam też chwile, gdy flirtował na naszej werandzie z babudami, wywołując na ich twarzach rumieniec, mówiły wtedy o nim: „co za zuchwały młodzieniec”, albo inne tego typu staromodne powiedzonka. W takich chwilach marzyłam, by cały świat dowiedział się, że jesteśmy razem.

Ale śmierć Saby wszystko zmieniła. W to słoneczne popołudnie, gdy jechaliśmy zakurzonymi ulicami naszego okaleczonego miasta, a on swoim milczeniem trzymał mnie na dystans, po raz pierwszy doświadczyłam nieprzyjemnego uczucia, które zwykle wywołuje tego typu konstatacja.

– Długo jeszcze tak będziemy milczeć? Chętnie bym się dowiedziała, co u ciebie – odważyłam się w końcu odezwać, gdy cisza zaczęła być nieznośna.

– A jak sądzisz: co u mnie?

Trudno było nie usłyszeć zaczepnej agresji w jego głosie. Po co w ogóle przyjechał po mnie, skoro nie chce ze mną rozmawiać, skoro tak drażnią go moje słowa?

– Sądzę, że kiepsko z tobą.

– I co, twoim zdaniem, powinienem zrobić?

– Może porozmawiać ze mną?

– Nie, głupia gadanina mi nie pomaga. Jedyne, co mi pomoże, to trup Ottona Tatiszwilego leżący u moich stóp. Ale Rati ma rację, będę teraz najcierpliwszym człowiekiem na ziemi, będę czekał, ile będzie trzeba, aż w końcu go dorwę.

– Czyli na razie nie wiadomo, gdzie jest? – spytałam mechanicznie, mimo że znałam odpowiedź.

Może powinniśmy przestać się oszukiwać. Już dawno porzuciliśmy wszelkie pozory ucywilizowania i znaleźliśmy się ponownie w ciemnym lesie epoki kamienia łupanego, moralne paradygmaty były nam obce. Wystawiłam rękę przez otwarte okno na wiatr, starałam się wczuć w ostateczne konsekwencje tego, o czym pomyślałam, aż tu nagle przed moim wewnętrznym okiem ukazała się dziewczynka w kombinezonie siedząca na drabinie w pokoju babud i rozwiąła moją ponurą dystopię. Pomyślałam o profesorce, która każdego dnia opowiada nam niestrudzenie o pięknie sztuki i zachwyca się „magicznym złotem” niektórych ikon. Jeszcze byli tacy, jeszcze istnieli ludzie, którzy nie przemienili się w bestie. I to nie dlatego, że nie nadarzyła im się taka okazja, lecz dlatego, że tak właśnie postanowili i bronili tego postanowienia na wszelkie sposoby i na przekór

wszelkim przeciwnościom. Mieliśmy wybór, zawsze ma się wybór. Ale obawiam się, że bez takich ludzi, pozostawiona sama sobie, nie miałabym wystarczająco dużo siły, żeby podejmować właściwe decyzje. Czy już raz nie udowodniłam, że brakuje mi takiej zdolności?

– W każdym razie wzięliśmy już ludzi Cotnego w obroty. Otaczają go zdrajcy i sukinsyny, a on myśli, że są mu bezgranicznie oddani. Tak w głębi wszyscy są lojalni wobec Tapory wyłącznie ze strachu, przy pierwszej lepszej okazji wbiją mu nóż w plecy, mogę się założyć. Już my zmusimy tego czy tamtego, żeby puścił parę z gęby, a potem dorwiemy Ottona, to tylko kwestia czasu. – Zacisnął mocniej ręce na kierownicy i przesunął się nieco do przodu na siedzeniu.

– To jest też kwestia honoru, trzeba tylko się dowiedzieć, gdzie się ukrywa. Myślę, że jego siostra byłaby łatwym łupem...

To zdanie wprawiło mnie w osłupienie, ta uwaga była tak niesłychana, że aż zakręciło mi się w głowie. Nie miałam zbyt dobrego zdania o zarozumiałej Annie Tatiszwili, ale żadna siostra na świecie nie zasługuje na to, by ponosić karę za swojego brata...

– Chyba nie mówisz poważnie!

– Powiedziałem wyraźnie: to kwestia honoru. Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Nie wolno wam nawet o tym myśleć! To obrzydliwe! Co chcecie z nią zrobić? Tak długo ją tłuc, aż się wygada?

– Ach, są jeszcze inne metody.

Wyciągnął papierosa ze schowka i zapalił. Poczułam nagłą potrzebę, żeby wysiąść. Musiał zauważyć mój odruch, bo zmienił ton na bardziej miękki i pojednawczy:

– Uspokój się. Nikt jej nie tknie. Tak czy owak, ta chora rodzina zniknęła z naszego podwórka. Moja matka już nie musi patrzeć na te mordy.

– Naprawdę się wyprowadzili?

– Tak, już nie wrócą. Po tym, jak mój ojciec sprzął Dawita po pysku, chyba zrozumieli, co trzeba zrobić. Lepiej dla niego, bo inaczej sięgnąłbym po inne

środki.

Przypomniał mi się zdesperowany krzyk Rostoma podczas bójki z Dawitem. A także ból żeber po tym, jak zaślepiony wściekłością trafił mnie pięścią.

Jeździliśmy jakiś czas bez celu po mieście, po czym Lewan skręcił w kierunku Muzeum Etnograficznego i zaczął jechać krętą drogą przez górzysty teren.

– Pokazać ci, na co stać ten samochód?

Roześmiał się nagle od ucha do ucha i dodał gazu. Samochód natychmiast przyspieszył, zrobiło mi się niedobrze, więc krzyknęłam:

– Proszę cię, jedź wolniej!

Zignorował mnie jednak i przyspieszył jeszcze bardziej. Miasto w dole zrobiło się małe, malusieńkie, dzień chylił się już ku końcowi, znikał, przechodził w ciepły letni wieczór. Na szczęście nic nie jechało z naprzeciwka, wyglądało na to, że nikt więcej nie miał ochoty na wycieczkę na łono natury. Lewan śmiał się i co jakiś czas rzucał spojrzenie w moją stronę, tak jakby mój strach motywował go do jeszcze większej brawury. Czułam, że zaraz zwymiotuję, jeśli natychmiast się nie zatrzyma. Droga do Jeziora Żółwiego to niekończące się serpentyny, a on wchodził w każdy zakręt z taką prędkością, iż myślałam, że na pewno za chwilę wypadniemy z drogi i zaczniemy dachować. Tuż przed skrętem w piaszczystą boczną drogę prowadzącą do lasu poniżej jeziora zauważyłam nadjeżdżającą z naprzeciwka ciężarówkę i wstrzymałam oddech. Nie pamiętam już, czy coś powiedziałam, czy krzyknęłam na niego, czy może zastygłam w oczekiwaniu na śmierć, którą sami sprowokowaliśmy w tak bezsensowny, tak idiotyczny, absolutnie niewybaczalny i głupi sposób. Po raz pierwszy podczas tej szalonej jazdy zauważyłam, że po twarzy przemknęło mu coś w rodzaju strachu, zanim skręcił gwałtownie kierownicę i w tumanie kurzu, podskakując na wybojach, wyhamował na wąskiej leśnej dróżce. Kierowca ciężarówki zatrząbił nerwowo i zanim odjechał, rzucił kilka wyzwisk pod naszym adresem.

Otworzyłam natychmiast drzwi, wytoczyłam się z samochodu i padłam na ziemię. Słońce właśnie zachodziło, po obu stronach ścieżki rosły sosny, okolica

wyglądała bardzo obiecująco i zachęcała do wejścia w głąb. Lewan podał mi butelkę wody, którą przemyłam twarz. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć, strach i wściekłość odebrały mi mowę. Dopiero gdy napięcie nieco zelzało, zorientowałam się, że moje ciało całkowicie oklapło i siedziałam tak bezwładnie jeszcze przez jakiś czas.

Nieco wyżej, ponad lasem, znajdowało się Jezioro Żółwie. Ileż to razy pływaliśmy tam jako dzieci na rowerach wodnych, ileż było śmiechu, gdy bawiłam się tam z bratem. Poczułam się nagle strasznie stara, jakbym miała całe życie za sobą i już niczego od niego nie oczekiwała. Podniosłam się i przeszłam kawałek. Chciałam odzyskać kontrolę nad sobą.

Powietrze było wspaniałe, a cisza dokoła oszałamiająca. Usłyszałam, że Lewan otwiera bagażnik, potem włączył reflektory, które oświetliły piaszczystą drogę przede mną. Podeszedł do mnie, w rękę trzymał plastikowy kanister z jakimś ciemnym płynem.

– Przepraszam, nie wiem, co we mnie wstąpiło...

Sposób, w jaki wypowiedział to zdanie, tak od niechcienia, utwierdził mnie w przekonaniu, że już nie flirtował z życiem, jak to dawniej miał w zwyczaju, lecz od jakiegoś czasu flirtował ze śmiercią.

– Bardzo dobre wino. Rostom dostał w prezencie, prosto z Raczy, lubisz czerwone wino, prawda?

Dopiero teraz zauważyłam w drugiej ręce dwa plastikowe kubeczki. Wciąż jeszcze czułam się oszołomiona, niezdolna do tego, by cokolwiek powiedzieć, i patrzyłam na niego z niedowierzaniem. Byłam pod wrażeniem, że wszystko tak dokładnie zaplanował, to do niego niepodobne, poczułam się uspokojona, widząc, że zadał sobie tyle trudu i pomyślał o wszystkim, i że zabrał ze sobą nawet koc, który leżał teraz rozłożony na polance. Drzwi samochodu zostawił otwarte i podkręcił głośniej muzykę. Usiadłam i wzięłam do ręki jeden z kubeczków, wypićłam łąpczywie czerwony płyn, jakby to było lekarstwo, które miało mi przywrócić niezbędne panowanie nad sobą. Usiadł koło mnie i patrzyliśmy w dół,

na miasto, w którym pojawiało się już tu i ówdzie światło, widać było, że owiany złą sławą blok numer 9, główna linia energetyczna, działał bez zakłóceń. Przysunął się bliżej i objął mnie ramieniem.

– To było głupie z twojej strony – wyszeptałam.

– Daj spokój, nie bądź taka, zapomnij już o tym, okej? Chciałem po prostu trochę się popisać nowym samochodem, daj mi się trochę pocieszyć.

– Przecież mogłeś nas zabić.

– Keto, nie przesadzaj.

– Uważasz, że przesadzam, naprawdę? – Ponownie wzięłam do ręki napełniony wcześniej przez niego kubek. – Lepiej już pójdę, zanim mnie upijesz i sam pijany zaczniesz mnie odwozić do domu.

– Przykro mi, że mi nie ufasz.

– Mówisz o zaufaniu? Być może twój ból wszystko wyjaśnia, ale tego nie usprawiedliwia.

Przez jakiś czas nic nie mówił, palił papierosa i popijał wino. Tego dnia niewiele jadłam, a strach wciąż jeszcze siedział mi w kościach, poczułam, jak mocne wino uderza mi do głowy. Ale podziało także uspokajająco i cały niepokój uszedł. Odpłynęłam, poczułam się lekko, chciałam zatrzymać tę chwilę, chciałam trwać z nim w tym miejscu, nie miałam ochoty wracać do świata. Wściekłość zaczęła powoli opuszczać moje ciało, zmiękłam i nie pragnęłam już niczego innego jak tylko tej iluzji spokoju. Pragnęłam tego wina, bliskości Lewana i tego miasta pod nami.

W pewnym momencie położył mi rękę na kolanie. Wieczór już zapadł, ciemność i alkohol dodały mu odwagi. O ile jednak na mnie wino podziało raczej uspokajająco, o tyle on stał się nagle nerwowy i spięty, niespokojny, wręcz agresywny. Gryzł nerwowo zapałkę i drapał się za uchem. Wyciągnęłam się na kocu, nie chciałam wracać do zoo, do trumny z jego bratem, do nagiego ciała Diny w ramionach Cotnego Koridze.

Pogłaskał mnie, zaczął całować, ale te pocałunki były jakieś natarczywe i mechaniczne. Zastanawiałam się, o czym myśli, sprawiał wrażenie nieobecnego. Ale chwile, w których mogliśmy być razem, były tak rzadkie, że nie miałam odwagi mu przerywać. Miałam nadzieję, że moja łagodność przywróci mu spokój, sprawi, że znów będzie myślni przy mnie. Jednak ciągnęło go gdzieś w dał, jak do jakiejś odległej krainy, i nie interesowało go, czy będę miała ochotę udać się tam razem z nim. Oczywiście chciałam mu sprawić przyjemność, tak jak udało się to zrobić mojemu bratu, chciałam, żeby zobaczył, że jestem wystarczająco silna, żeby ukoić ten jego wszechogarniający żal. Pocałowałam go w skronie, objęłam ramionami, położył się na mnie, podciągając do góry moją plisowaną spódnice. Uchwyciłam się wspomnień, zapragnęłam, by powróciła ta namiętność, która ogarnęła nas wtedy w pokoju Ratiego przy świetle świecy. Ale zauważyłam, że coś się nie zgadza, że tak naprawdę nie myślni o mnie.

– Lewan, czekaj, czekaj, hej... – Usiłowałam dotrzeć do niego. Ale był daleko...

Rozpiął rozporek i rozszerzył mi nogi. Poczułam, jak wszystko się we mnie buntuje, jak napinam mięśnie w oczekiwaniu tego, co ma nastąpić. Nie tak sobie wyobrażałam swój pierwszy raz. Te wszystkie lata, gdy krążyliśmy wokół siebie, nieustannie szukaliśmy siebie nawzajem i odnajdywaliśmy, to wszystko nie powinno było zakończyć się pozbawioną uczuć seria mechanicznych ruchów. Stawiać mu opór wydawało mi się bez sensu, był o wiele silniejszy, a poza tym bolałoby jeszcze bardziej. Staralam się oswobodzić z jego objęć, zasygnalizować mu, że zadaje mi ból, że chcę zawrócić, że już nie chcę iść z nim do tej obcej i podstępnej krainy. Zaczęłam się dławić z bezsilności, poczułam, że jakaś cząstka mnie zaczyna go nienawidzić. Zapragnęłam, by poczuł się tak samo nieprzyjemnie jak ja, poczuł taki sam strach, taką samą odrazę, jaką on napawał mnie.

– Przestań! – wyrwał mi się nagle ten krzyk, odruchowo chwyciłam kubeczek i chlusnęłam mu winem w twarz.

Ale on wydał tylko gardłowy odgłos i jeszcze mocniej wbijał się we mnie.

– Nie chcę tego, nie chcę w ten sposób... Przestań natychmiast! – powtarzałam i usiłowałam przykryć swój strach odpowiednią intonacją głosu.

Jakoś w końcu udało mi się zepchnąć go z siebie, uwolnić się od niego i jego złowrogiego ciężaru. Klapnął w śmiesznej pozie na ziemię i leżał jak żuczek na plecach z nogami do góry. Podniecenie, jakie zdradzało jego ciało, wydało mi się dość osobliwe w zestawieniu z moim przygnębieniem. I wtedy się skulił, położył się w pozycji embrionalnej i wydał z siebie rozdzierający serce, przepełniony żądzą zejścia dźwięk, który brzmiał jak wycie przerażającego zwierza połączone z wołaniem o pomoc. Ten krzyk wrzynał mi się w skórę, bił po żebrach, trafiał mnie prosto we wnętrzości. To był dźwięk wyrażający zwątpienie w najczystszej postaci, chwycił mnie i cisnął o wyimaginowaną ścianę.

– Czego ty ode mnie chcesz?! – krzyczał.

Czuć było od niego winem, jego twarz była lepka od niego. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby zapiąć rozporek, wystający ze spodni penis zwisał mu luźno i wyglądał jak zbędne ciało obce. Czułam się żałośnie, natychmiast stanęłam na nogi, zaczęłam maniakalnie poprawiać ubranie, jakbym chciała za wszelką cenę usunąć ślady tej wstydlivej porażki. Tak bardzo chciałam go kochać, tego innego Lewana, istniejącego gdzieś w moich odległych wspomnieniach, w których żył jeszcze jego jasnoskóry, piękny brat, w których nie wymuszał jeszcze haraczy i nie chował pod łóżkiem makarowa. Ale ten zupełnie obcy mi Lewan, już nie dziecko i jeszcze nie mężczyzna, który klęczał teraz tak nędznie przede mną, wywoływał u mnie wyłącznie niesmak.

– Chciałabym, żebyś był znowu sobą! – powiedziałam ochrypłym głosem, który musiał ponownie przyzwyczaić się do normalnej tonacji.

Lewan zaczął powoli się podnosić, światło reflektorów oświetlało mu twarz, popatrzył na mnie przenikliwym wzrokiem.

– Nie jestem dla ciebie wystarczająco dobry?

Usłyszałam pogardę w jego głosie. Było mi niedobrze od wina i tych wszystkich trudnych wyzwań, jakie spotkały mnie tego dnia. Chciałam już tylko

wrócić do domu i o wszystkim zapomnieć.

– Wracajmy. To wszystko nie ma teraz sensu. – Dziwiłam się sama sobie, że jestem tak opanowana, ponieważ w środku byłam rozdarta na strzępy.

– Wracać... No cóż, w takim razie powinienem cię odwiedzić. A co, jeśli po drodze cię zabiję? Co wy sobie właściwie myślicie? Że mój brat umiera, a ja jestem taki jak przedtem? Że zabija się go jak zwierzyne, a ja to przyjmuję do wiadomości i żyję dalej, jakby nic się nie stało?

Miałam ochotę zapytać, kogo ma na myśli, mówiąc „wy”, ale się powstrzymałam. Podczas gdy nadal mówił coś bez ładu i składu, zaczęłam sobie wyobrażać, jak to by było, gdybyśmy się kochali w jakimś innym, równoległym świecie, i jaką bylibyśmy wtedy parą. Może taką, która planuje wspólną przyszłość, pracuje, każde w swoim zawodzie, i jest przeraźliwie normalna, a jej codzienność potwornie nudna. Ale nie ucieka nieustannie przed śmiercią, ich serca nie są podziurawione kraterami. A w nocy kochają się w małym, przytulnym mieszkaniu, które wspólnie urządzają, tak jak robią to cywilizowani ludzie w cywilizowanych krajach, z pełnym oddaniem i czułością. Nie muszą zadawać sobie nawzajem bólu, żeby siebie poczuć, zadawać gwałtu swoim ciałom, żeby móc o czymś zapomnieć. Są lepszą wersją samych siebie i wiele jest im oszczędzone.

Zebrałam niedopałki, podczas gdy on wciąż mówił, i wylałam resztki wina z kubeczków. Miałam nadzieję, że też zaczniesz sprzątać, ale on, wciąż siedząc, zapalił kolejnego papierosa.

– Jesteś dokładnie taka sama jak wszyscy – rzucił w moją stronę. – Wcale nie lepsza. Ty i te twoje cholerne wyobrażenia o miłości. Myślałem, że jesteś inna, ale nie jesteś, nie jesteś.

– Daj sobie spokój, jedźmy już. Sprawileś mi ból, więc nie wiem, czego się spodziewałeś.

– Nie możesz mi się ciągle oferować, wysyłać sygnałów, że jesteś gotowa, robić piękne oczy, a potem krzyczeć: „Oj, boli!”, i jeszcze się dziwić, że dobieram ci się do majtek...

– A więc tak to widzisz? Że ja ci się oferuję...

Tego już było za wiele. Chwyciłam torebkę, obróciłam się na pięcie i ruszyłam w kierunku głównej drogi. Pobiegł za mną.

– Keto, stój, przecież rozmawiamy!

– Ach tak? Nagle chcesz ze mną rozmawiać? Nie mam zamiaru tracić czasu na kogoś, kto myśli o mnie w ten sposób.

– Zatrzymaj się, do cholery!

Chwycił mnie za nadgarstek i mocno przytrzymał. Oczy błyszczały mu jak w gorączce.

– Zapnij przynajmniej, do jasnej cholery, spodnie! – prychnęłam. Chciałam uciekać, jak najdalej od niego.

Spojrzał krótko na dół, potem na mnie. W oczach zaiskrzyła mu złośliwa satysfakcja, koniecznie chciał, żeby wszystko zachwiało się w posadach, runęło, każde słowo i każde działanie zdawały się służyć tylko temu jednemu.

– Zostaw mnie, Lewan, po prostu mnie zostaw i pozwól mi teraz odejść.

– Dokąd chcesz iść? Jest ciemna noc i nikt tędy nie chodzi.

– Nieważne. Idę. W końcu nie jest tak daleko.

– Jak chcesz.

Nie sądziłam, że się na to zgodzi, ale z sekundy na sekundę jego nastrój znów zaczął się zmieniać. Rzeczywiście poczułam się trochę nieswojo na myśl, że będę musiała sama pokonać tę drogę w ciemności. Ale jeszcze gorsze wydawały mi się dalsze dyskusje i męczące chwile w samochodzie u jego boku. Nie chciałam już być zdana na niego, w żadnym razie.

Torowałam sobie drogę w ciemności, która rzeczywiście napędzała mi strachu. Idąc, czułam, jak rozluźnia się moje ciało i znikają skurcze, jak coś odpuszcza, a słone łzy spływają mi po policzkach. Płakałam bezgłośnie, jakbym musiała się pilnować, żeby nikt nie zwrócił na mnie uwagi, jakbym musiała pozostawać niema i niewidzialna do czasu, aż dojdę do światła. A światła miasta mieniły się przede mną na dole jak robaczki świętojańskie. Maszerowałam pewnym krokiem do celu,

stan odurzenia, w który wprowadziło mnie wino, zniknął, otrzeźwiałam i poczułam przypływ sił. Dam radę i na pewno dojdę do domu, przeżyłam już gorsze rzeczy.

Po niedługim czasie usłyszałam za sobą warkot silnika. Jeszcze zanim się odwróciłam, wiedziałam, że to Lewan, jechał teraz obok mnie powoli z opuszczoną szybą i znów patrzył na mnie z tym swoim tak znajomym mi uśmiechem.

– Strasznie mi przykro, proszę cię, wybacz mi – powiedział cicho.

Niczym niezrażona kontynuowałam marsz, nie dawałam wytrącić się z rytmu.

– Nie miałem niczego złego na myśli, przecież dobrze wiesz, Keto, przecież wiesz. To ja jestem tym, który za tobą lata, zawsze tak było. Zawsze byłem w tobie zakochany, nawet już nie pamiętam, kiedy zamieszkałaś w mojej głowie, i bez przerwy o tobie myślę.

– Przestań gadać głupoty. Po prostu jedź.

– Nigdy w życiu nie pozwolę ci iść po ciemku, mam nadzieję, że to wiesz?

– Przed chwilą robiłeś o wiele gorsze rzeczy, ale nie ma co o tym gadać.

– No dobrze, w takim razie będę jechał obok ciebie w tym wkurzającym tempie. Pewnie gdzieś na wysokości ulicy Barnowa ktoś mnie w końcu pobije, bo będę blokował ruch.

Nie mogłam się powstrzymać i uśmiechnęłam się pod nosem. Dobrze, że było ciemno i nie widział mojej twarzy.

– W porządku, to pozwól chociaż, że posłuchamy muzyki, okej?

Rozległ się ciepły, bardzo wysoki damski głos, usłyszałam pieśń, która skojarzyła mi się ze średniowiecznym zamkiem otoczonym mgłą.

– To Bedřich Smetana, znasz? Czeski kompozytor. Ta pieśń to kołysanka. Smetana był nieszczęśliwym człowiekiem i pod koniec życia został umieszczony w ośrodku dla psychicznie chorych. Przez cały czas słyszał w uszach wysoki, piskliwy ton, lecz komponował dalej, straszliwie cierpiąc...

Lewan opowiadał o nieszczęśliwym życiu Smetany, jakby chodziło o jego dobrego kolegę, mówił o jego wzlotach i upadkach, przez cały czas, aż do drogi prowadzącej do głównej ulicy. Słuchałam go w milczeniu. Kiedy nie stała

pomiędzy nami śmierć, było mi łatwo go kochać, ale tego, co się dzisiaj wydarzyło, nie sposób uznać za niebyłe, moje ciało wciąż zwijało się z bólu pod ciężarem jego szalu, bezwzględności i dążenia do destrukcji.

Na wysokości parku Wake wsiadłam w końcu do samochodu, byłam zmęczona i chciałam po prostu znaleźć się jak najszybciej w swoim łóżku, poza tym babudy i ojciec na pewno już się martwili, dlaczego nie wracam tak długo. Nie odzywałam się przez całą drogę, aż skręciliśmy w końcu w ulicę Winorośli i tam otworzył mi drzwi. Nie objęliśmy się na pożegnanie. Począł, aż zniknę w podwórku. „Odezwę się” – zawołał wreszcie na odchodne.

Cały ten czas to jedno wielkie stanie w kolejce: po lepszą siebie, po lepszy świat i po lepszego Lewana, ale zdaje się, że nigdy nie dotarłam do celu. Dlatego tamtej nocy po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, czy nie nadszedł już czas, żeby wyjść z tego ogonka.

– Legenda głosi, że klasztor Bodbe wybudowano w miejscu, gdzie zmarła Święta Nino. Czy ktoś może przypadkiem pamiętać, kiedy Święta Nino przyniosła Gruzji chrześcijaństwo? Oczywiście nie. Sprawdźcie to, dzieci socjalizmu, zajmijcie się swoim chrześcijańskim dziedzictwem, religia nie jest odpowiedzią na wszystko, ale w waszym zawodzie jest nieodzowna, w starych kościołach znajdziecie mnóstwo odpowiedzi. Zajmijcie się chrześcijańskim dziedzictwem i dziełami architektury, które chrześcijaństwo wydało na świat. Bodbe przeżywało rozkwit w okresie od jedenastego do piętnastego wieku, najpierw jako klasztor mnisi, potem jako klasztor żeński, poza tym mieściła się tam prawdopodobnie biblioteka z najcenniejszymi zbiorami literatury religijnej. Potem doszła jeszcze do tego żeńska szkoła rzemiosła artystycznego. W Bodbe koronowało się kilku królów, można powiedzieć, że był to prestiżowy ośrodek możnowładców. Ale to znacznie utrudnia nam zadanie, ponieważ bazylika główna była dotychczas wielokrotnie odnawiana. W 1811 roku gruziński Kościół prawosławny przestał być Kościołem autokefalicznym, a więc stracił swoją kościelnoprawną niezależność, a życie klasztorne upadło. Dopiero rosyjski car Aleksander II ponownie utworzył

tam klasztor żeński. Z tego okresu pochodzi większość zachowanych do dzisiaj fresków, znaczną ich część przypisuje się twórcy ikon, Sabininowi. Sowieci zamknęli klasztor w 1924 roku i przekształcili go w szpital wojskowy. A teraz Cerkiew od roku ponownie wydaje zlecenia na renowację. Chce, by bazylika została otwarta jak najszybciej, a my dołożymy do tego małą cegielkę. Gdy przystąpiono do czyszczenia ścian, ukazały się takie skarby jak freski przedstawiające patronkę klasztoru. Ale podejrzewam, że skrywają się tam jeszcze inne niespodzianki.

Słuchałam słów Mai, siedząc w wielkiej sali wykładowej i z góry zazdrościłam wybrankowi albo wybrance, którego miała przedstawić pod koniec wykładu. Właśnie zbierałam się, żeby wymknąć się niepostrzeżenie, gdy zawołała mnie do siebie i pochwaliła moją ostatnią pracę, którą u niej pisałam. Niemalże mimochodem poinformowała mnie, że jej wybór padł na mnie, i zaproponowała, żebym pojechała z nią w czasie wakacji do Bodbe. Rzuciłam się jej na szyję. Poirytowana moją gwałtowną reakcją odsunęła mnie elegancko na bok.

– Kipiani, nie jestem zwolenniczką sentymentalnych wzruszeń. Niech pani pakuje walizkę.

Wystawiam policzek i pozwalam tańczyć na nim promieniom słońca wpadającym przez boczne okno klasztoru. Zamykam oczy i grzeję twarz w wyimaginowanym ciepłe. Uciekłam od terażniejszości, która już dawno zamieniła się w pudrowoblada przeszłość, tak, tego lata ucieczka mi się udała. Z latarką na czole przybliżyłam się do Świętej Nino. Miała symetryczną i spokojną twarz, trochę dziewczęcą, jej wyblakłe fragmenty wystające spod wielu warstw farby, którymi przez stulecia malowano tutejsze ściany, trudno wręcz było rozpoznać, jednak to wystarczyło, żebym wzruszyła się jak dziecko. Wkrótce wydrzemy Nino jej tajemnice. Wkrótce przemówi do nas zza zasłony wieków.

– Dobrze, Kipiani, miejsce powinno się zgadzać. Proszę przyczepić tę kolorową wstążeczkę na ścianie, każę tam jutro przymocować podwieszane rusztowanie – usłyszałam na dole swoją panią profesor, którą podziwiałam i której jednocześnie

się bałam, gdy tymczasem ja byłam na górze i uczyłam się fruwać. – Najpierw trzeba określić datę powstania fresku, następnie należy usunąć warstwy farby z dziewiętnastego wieku. Szacuję, że został namalowany około jedenastego lub dwunastego wieku, ale będzie można to dokładniej ustalić dopiero na podstawie ekspertyzy. Jutro zabieramy się do pracy. O zaletach czyszczenia chlebem już mówiłam, elastyczna gumka kauczukowa i inne masy plastyczne są w tym wypadku zbyt niebezpieczne. Często zawierają substancje oleiste, które zostawiają ślady na czyszczonej powierzchni.

Wpatrywałam się w łagodne oczy świętej. Coś w tym miejscu, w tej sytuacji i na tej wysokości sprawiało, że czułam się szczęśliwa. Po raz pierwszy od wielu tygodni byłam wolna, wolna od zmartwień i przeczuć, nareszcie mogłam robić to, co kocham.

W ostatnich dniach uświadomiłam sobie, że od tamtego fatalnego lutowego popołudnia nie wzięłam ani razu ołówka do ręki. Nawet nie przyszło mi to na myśl. Gdy to do mnie dotarło, poczułam jakiś nieznany lęk, jakiś rodzaj irytacji, którego nijak nie potrafiłam zaklasyfikować. Jak to możliwe, że od miesięcy rezygnuję z czegoś, co pasjonowało mnie od dziecka, co określało moje życie? I jak to możliwe, że nie ma to już dla mnie nawet większego znaczenia? Czy od samego początku rysowanie było tylko jakimś tam wymysłem, dziecięcą zabawą, jak twierdziły babudy? Czy może ta nagła niedyspozycja ma związek z wydarzeniami ostatnich miesięcy, jest jak skutki przebytej choroby? A jeśli tak, to czy jest jeszcze szansa na wyzdrowienie?

Ponieważ nie mogłam z nikim o tym porozmawiać, bo wszyscy mieli własne zmartwienia, przepędzałam te zbyt trudne dla mnie pytania, licząc na to, że odpowiedzi nasuną się wkrótce same.

Jednak w Bodbe czas zdawał się stać w miejscu. Światło było nasycone i magiczne, słońce jaskrawe, a dziko rosnąca winorośl wszechobecna. Po ulicach biegały osły, a chłopcy pchali swoje wózki tam i z powrotem. Można było jeść, czym tylko gospodarstwo i kraj były bogate. Rano kawa sojowa z paczki pomocowej z napisem „USAID”, w południe przepyszna sałatka z dojrzewających na słońcu

pomidorów i ogórków posypana niebieską bazylią i skropiona aromatycznym olejem słonecznikowym, ziemniaki albo czasem potrawka z fasoli, a na specjalne okazje szaszłyk grillowany w ogrodzie bezpośrednio nad ogniem. Po miesiącach głodowania w mieście ta wieś wydawała mi się krainą szczęśliwości.

Cała nasza ekipa została zakwaterowana w domu jednego z właścicieli winnic. Mieszkaliśmy na górnym piętrze starego drewnianego domu z piękną werandą, spaliśmy w starych łózkach z metalową ramą i nieco przetartymi materacami, jednak od lat nie spałam tak dobrze i beztrosko jak tutaj, nigdzie nie udało mi się tak skutecznie pozbyć swoich koszmarów jak tu.

Maja mieszkała w największym pokoju, a średnie pomieszczenie dostał Rezo, specyficzny, wysoki, cyniczny mężczyzna, którego wieku nie byłam w stanie oszacować i którego Maja przedstawiła mi jako „najlepszego konserwatora fresków w całej Gruzji”. Jego funkcja w naszym małym zespole nie była na początku dla mnie do końca zrozumiała. Najmniejszy, narożny pokój z widokiem na zbocze winnicy został przydzielony mnie. Już pierwszego dnia pokochałam to miejsce, panujący tam monotonny spokój, naszą jazdę rozklekotaną ciężarówką drogą prowadzącą w dół, do klasztoru. Wszystkie strzępy wspomnień, które zazwyczaj wypełniały mi głowę i dręczyły mnie, wszystkie potworne obrazy z ostatnich miesięcy zdawały się podczas tej porannej jazdy zamieniać w pył, wszystko to nagle zniknęło, opadało ze mnie jak stara kapota, gdy tylko siadałam na pace starej ciężarówki i wystawiałam twarz do słońca. Jedyne, czego nie mogłam z siebie strząsnąć, to zżerająca tęsknota za Lewanem. Tęsknić za nim nie było sensu, a jednak tęskniłam. Nawet jeśli Saba by nie umarł, i tak nie było dla nas wspólnej drogi, no a gdy jego brat zginął od strzału prosto w serce, sprawa stała się już całkiem beznadziejna. Teraz tu, pod kopułą pełną mistycznego światła, uczyłam się latać i usiłowałam wybić sobie z głowy wszelkie nadzieje, ale to nie było takie proste, bo stały się one jakby tajemniczym organem wewnętrznym, nie mniej istotnym niż serce i płuca.

Spijałam słowa z ust profesorki, chłonełam wszystko, przyglądałam się jej czujnym, argusowym okiem, wciąż w obawie, że mogłoby mi umknąć coś

istotnego, ponieważ z każdym dniem byłam coraz bardziej pewna, że chcę właśnie tego – śledzić przeszłość, wdychać historię, nawet jeśli powodem miałyby być ucieczka od własnej teraźniejszości. Ale już dawno przestałam się zastanawiać nad przyczynami swojego wyboru, były nieistotne. Ta praca stanowiła jedyną rzecz, która mogła uchronić mnie przed samą sobą, przed sobą i czasami, w których przyszło mi żyć. Byłam dumna, że Maja chciała mi powierzyć tak poważne zadania.

Po kilku tygodniach ochronna warstwa z pokostu wokół aureoli Nino była gotowa. Któregoś dnia po śniadaniu Maja poinformowała mnie, iż podejrzewa, że na ścianach bazyliki jest jeszcze wiele innych fresków – co odebrałam niemal jako cud – i że wezwała już kilku ekspertów z Tbilisi, żeby to sprawdzili, ponieważ ona nie ma odwagi działać na własną rękę i sama usuwać wierzchnich warstw. Parafia złożyła wprawdzie u niej tylko to jedno zamówienie na renowację fresku Świętej Nino, ale Maja nie darowałaby sobie, gdyby możliwość odkrycia jeszcze innych malowideł ściennych przeszła jej koło nosa. Zapytała, czy byłabym skłonna przedłużyć swój pobyt. W tamtym momencie znów miałam ochotę ją wyściskać, ale przytaknęłam tylko bez słowa, zachowując poważny wyraz twarzy.

Miała rację: lewa strona bazyliki była pełna ukrytych skarbów, które jej przyjaciele, przybyli w konspiracji ze stolicy, odsłonili w operacji przeprowadzonej pod osłoną nocy. Rozgorzała ożywiona dyskusja pomiędzy nowo powołanym biskupem a grupą konserwatorów sztuki. Wyglądało na to, że Kościół prawosławny nie chce już inwestować w ten projekt więcej czasu, a przede wszystkim więcej pieniędzy, tylko pragnie jak najszybciej otworzyć bazylikę i zacząć przyjmować zwiedzających. Był to argument, którego Maja nie przyjmowała do wiadomości. Biskup przyjechał osobiście i musiał wysłuchać kontrargumentów Mai, że chodzi tu o zabytki kultury pierwszej klasy, mające ogromną wartość dla całej Gruzji, nie tylko dla jego przyszłej parafii, że są to cenne freski, które były wielokrotnie zamalowywane i kryją się teraz pod kilkoma warstwami farby. W końcu dostała zgodę na prowadzenie dalszych prac do połowy sierpnia i ani dnia dłużej. Kościół nie dysponuje przecież milionami, a państwo ma inne zmartwienia, jak nam

zapewne wiadomo. „To jest Gruzja – powiedziała później moja pani profesor – właśnie to jest od dawna naszym problemem. Nie doceniamy własnego dziedzictwa, a to, czym Rosjanie przed stu laty zasmarowali nasze freski z dwunastego wieku, ma prawo zostać. Mimo to mamy powód do radości. Każdy uratowany fresk to sukces!”. I jeszcze tego samego wieczoru pojechaliśmy z jej kolegami do Sighnaghi i uczciliśmy ten dzień w prostym lokalu, pod gołym niebem u podnóża Równiny Alazańskiej, piliśmy litrami wino koloru ochry i jedliśmy grillowane mięso. Wtedy po raz pierwszy zwróciłam uwagę na Reza, mimo że pracowaliśmy już ze sobą od kilku tygodni, i to, jak na moje oko, całkiem niezłe. Był dawnym uczniem Mai i specjalizował się w malarstwie ściennym, bardzo ceniła sobie jego talent i nieustająco wychwalała jego „niesłychanego nosa”, dzięki któremu otrzymywał zlecenia nawet z zagranicy.

Jakie to dziwne uczucie przewijać czas do tyłu i jednego z najbliższych mi mężczyzn wspominać jak obcą osobę. W jak niewielkim stopniu moje dawne wyobrażenia o nim pasują do tego, co widzę w nim dzisiaj, do tego, jakim znam go dzisiaj.

Od początku wydawał mi się niesympatyczny, mógł być przed trzydziestką, ale równie dobrze przed czterdziestką, uważałam, że jest strasznie drobiazgowy i wkurzająco pragmatyczny. Miał bystre oko i potrafił świetnie konfrontować przypuszczenia z rzeczywistością. Był wszystkim, tylko nie idealistą, i dlatego stanowił całkowite przeciwieństwo Mai. Ale ona ceniła właśnie tę jego pragmatyczną żyłkę. Owego wieczoru zobaczyłam pierwszy raz, jak się śmieje, i stwierdziłam, że ma poczucie humoru, subtelne, bardzo niezwykle, przebłyskujące od czasu do czasu zza bystrego intelektu.

W tamtym czasie rzadko chodziłam do sąsiedniego domu, żeby zadzwonić do którejś babudy albo do ojca. Z telefonu korzystało się tylko w nagłych wypadkach, bo kosztowało to pieniądze, których nikt z nas nie miał, a poza tym połączenia były bardzo słabe. Raz w tygodniu Ira albo Dina na zmianę dzwoniły o określonej porze do sąsiadów i opowiadały mi w przyspieszonym tempie, co u nich słyszą. Podczas tych rozmów unikałyśmy raczej bolesnych albo drażliwych tematów i było to tak,

jakbyśmy ślizgały się po zamrożonej tafli jeziora. Przez większość czasu żyłam zanurzona w roztworach żywicy, warstwach wapna, pokostach z oleju lnianego i spoiwach, zanurzałam się w *Chrzest Jezusa*, w błękit Jordanu, który odkryliśmy w lewym górnym rogu bazyliki. Szukałam pocieszenia u świętych, w ich dobrotliwych, emanujących spokojem, wszystko przebaczących twarzach, w ich niezachwianej wierze, że wszystko będzie dobrze, bo przecież ostatecznie czeka nas wszystkich zbawienie, musimy się tylko postarać, musimy się trochę wysilić.

Rezo denerwował mnie w jakiś osobliwy sposób. Był przemądrzały i zachowywał się nienaturalnie, zdawał się nigdy nie mieć wątpliwości, był tak pewny siebie, tak bardzo z siebie zadowolony, że wydawał mi się wręcz odczłowieczony. Czasami przypominał mi swoją prostolinijnością mego ojca, przy czym w przeciwieństwie do niego nie był tak oderwany od życia jak on i miał praktyczne usposobienie. Mimo mojej początkowej nieufności szybko mnie zaakceptował i chwalił od czasu do czasu, gdy oddałam się jakiemuś zadaniu z wyjątkowym zaangażowaniem. Któregoś dnia zapytał mnie, co spowodowało, że wybrałam ten zawód, i wtedy opowiedziałam mu o Lice i swoich rysunkach. „To może powinnaś spróbować pracować nad obrazami” – doradził mi. „Zobaczmy, może uda mi się znaleźć dla ciebie jakieś zlecenie, zawsze przydadzą się dobre ręce do pomocy” – powiedział z lekkim zadęciem po dwóch godzinach wspólnej pracy w całkowitym milczeniu. Uwielbiałam to milczenie.

To był, zdaje się, koniec lipca, gdy odwiedziły mnie Ira i Dina. Przyjechały starym minibusem, zjawily się z plecakami na plecach, zmęczone upałem i zdumiały się idyllą, którą tu zastały. Rzuciłyśmy się sobie w ramiona, dopiero to spotkanie uświadomiło mi, jak bardzo za nimi tęskniłam. Dina była pięknie opalona i promieniała radością, miała na sobie żółtą sukienkę i swoje ukochane espadryle, jej włosy były jak zwykle w nieładzie. Wyglądała kwitnąco i już na tym krótkim odcinku od przystanku autobusowego do gospodarstwa ściągała na siebie wszystkie spojrzenia. Całkiem inaczej niż Ira, która wyglądała na zmęczoną i wymizerowaną, szła lekko pochylona, jak zresztą zazwyczaj, zwiesiła ramiona

i widać było, że coś ją trapi. Miała sińce pod oczami i jak na tę porę roku była zdumiewająco blada. Zdawało się, że schudła, a ubranie – lniane spodnie w czarnym kolorze i luźna koszula – wyglądały na niej tak, jakby je pożyczyła od ojca. Poprosiłam Maję o wolny weekend, żebyśmy mogły swobodnie spędzić razem czas. Moja gospodyni dała mi do dyspozycji rozkładane łóżko i dodatkowy materac.

Siedziałyśmy we trzy przed domem, słońce już zachodziło, prąd był tu także rzadkim dobrem, ale tamtego wieczora miałyśmy szczęście i migocząca żarówka nad wejściem do domu oświetlała nam posiłek. Maja pojechała do Tbilisi, bo naszej małej konserwatorskiej drużynie zabrakło dosłownie wszystkiego, miała nadzieję, że za tę niewielką ilość pieniędzy, jaką jeszcze dysponowaliśmy, uda jej się zdobyć trochę materiałów. Rezo nie pokazywał nam się na oczy, co było mi bardzo na rękę, bo nikt nam nie przeszkadzał. Wyglądało na to, że cisza i spokój tego miejsca w ciągu kilku godzin wyrwały także Irę i Dinę z objęć miasta, dziewczyny uspokoiły się, ich ruchy spowolniały, oddychały świeżym powietrzem i delectowały się każdym wdechem.

– Keto, moja ty konserwatorco, nawet nie wiesz, jak za tobą tęskniłam! – krzyknęła Dina i cmoknęła mnie głośno w skroń.

Ira oparła wysoko nogi i sączyła domowe wino produkowane przez tutejszych gospodarzy.

– Mnie również was brakowało, ale pobyt tutaj dobrze mi robi. Mam wrażenie, że po raz pierwszy od wielu lat znalazłam wewnętrzny spokój.

– Nene jest w ciąży – oznajmiła niespodziewanie Ira i podała Dinie ogień, bo ta zamierzała właśnie zapalić papierosa.

– Co proszę?!

Ta informacja zburzyła cały z takim trudem zdobywany spokój i wywróciła wszystko do góry nogami. Na idyllicznym obrazie błyskawicznie pojawiła się rysa.

– Co? – Najwyraźniej Dina była tak samo zaskoczona jak ja.

– Tak, w ciąży.

– Z kim? – Dina starała się nie dać po sobie poznać, że jest przerażona.

– Mówi, że to dziecko Saby. Nie może być Ottona, bo oni nigdy... no wiecie.

– Nigdy co?

– Nigdy normalnie ze sobą nie spali. Zarzeka się, że to dziecko Saby, i ma wielkie poczucie triumfu.

– Triumfu?

– Tak, mówi, że to jej zwycięstwo nad wszystkimi, a przede wszystkim nad Ottonem.

– Jej rodzina już wie?

– Nie, chce im powiedzieć dopiero, gdy nie da się już niczego ukryć. Wtedy nic już nie będzie można zrobić.

– Masz na myśli... – Dina drażnyła temat, a źrenice rozszerzały jej się coraz bardziej.

– Tak, dokładnie, nie będzie można usunąć. Wkrótce matka jedzie z nią gdzieś na Krym, podobno do sanatorium. Wtedy zamierza zdetonować tę bombę. To znaczy prawdopodobnie będzie musiała ją zdetonować. Mówiła, że dosyć często wymiotuje i... – Ira westchnęła i potarła twarz rękami.

Dina zaciągnęła się papierosem, a ja obserwowałam ćmę, która usiadła na żarówce. Jej trzepot, jej walkę o światło. Odleciałam gdzieś myślami, wciąż przyglądając się ćmie, jak całuje swoje nieszczęście.

– Cholera.

To był komentarz Diny, paliła nerwowo papierosa i patrzyła w bezkresne ciemne morze wzgórz porośniętych winoroślą.

– Jej rodzina się wścieknie – powiedziałam. Już teraz zaczęłam sobie wyobrażać, jak to będzie.

– Co oni mogą jej zrobić? Jest nieustraszona jak nigdy dotąd. Mówi, że jeśli zajdzie taka potrzeba, to zniknie stąd. Ale wcześniej zamierza urodzić i będzie chciała rozwodu, jak tylko Otto... – Ira przerwała. – Ale tak szybko to on się zapewne nie pojawi.

– Też mi się tak wydaje.

Przypomniały mi iskry w oczach Lewana, gdy mówił o ćwiczeniu się w cierpliwości.

– A słyszałyście o tym? Abchazja ogłosiła wczoraj niepodległość. Teraz wszyscy boją się eskalacji. Nasza redakcja pracuje po godzinach, Pozner zastanawia się, czyby tam nie pojechać.

Głos Diny docierał do mnie jakby gdzieś z daleka.

– Co jest?

Byłam myślami z Nene i potrzebowałam chwili, żeby wrócić do terażniejszości. Oczywiście, że nic o tym nie słyszałam. Na szczęście. W domu, w którym mieszkałam, nie było telewizora, sąsiad, który udostępniał nam telefon, miał wprowadzić jakiś odbiornik, ale był ciągle okupowany przez kobiety ze wsi, które przychodziły do niego oglądać swoje południowoamerykańskie seriale. Było to ostatnimi czasy ulubione zajęcie wszystkich kobiet, niezależnie od warstwy społecznej i wieku.

– Teraz znowu będą się nawzajem ostrzeliwać. Podobno Rosjanie dostarczają Abchazom broń. Nie wygląda ta dobrze... – Głos Diny się zmienił, spoważniała i zamyśliła się, lekkość z pierwszych godzin po przybyciu jakby uleciała.

– Naprawdę myślisz, że może do tego dojść? – Byłam rozkojarzona, wino trochę mnie zamroczyło, poza tym moje myśli krążyły wokół Nene i jej problemu. Nie czekając na odpowiedź Diny, dodałam szybko: – Naprawdę nie chcę sobie zawracać głowy całym tym gównem. Jeśli chodzi o mnie, to mogą sobie powydrapywać oczy. Nie chcę z tym mieć nic wspólnego.

Dina spojrzała na mnie oburzona.

– Nie można tak po prostu zamknąć okiennic, gdy za oknem wszystko płonie, i liczyć na to, że cię to ominie! Co to za podejście, Keto?

– Czy nie zaczynasz mieć dosyć tego całego wariactwa?

– Żyjemy, niestety, w takich czasach. Połowa ludności w Abchazji to Gruzini. Oni na pewno nie powiedzą: no dobrze, to my sobie po prostu pójdziemy,

chowajcie te swoje ruskie pukawki i ogłaszajcie niepodległość – oburzała się Dina.

Zastanawiałam się, od kiedy jest taka zaangażowana politycznie, i zadawałam sobie pytanie, czy ma to związek z wydarzeniami w zoo, czy raczej z jej pracą z redakcji.

– A czy nie sądzisz, że my jesteśmy temu tak samo winni? – wtrąciła się Ira. – Moim zdaniem nasz prezydent nie robił niczego innego, tylko szermował hasłami typu „Gruzja dla Gruzinów!”. Powiedz: ile różnych grup etnicznych tu mieszka? Czy oni wszyscy nie są Gruzinami? Kto decyduje o tym, czy do nich należą, czy nie? Kto decyduje o twojej tożsamości?

– Zaraz, zaraz, Abchazja musi poczekać... Musimy zatroszczyć się o Nene! – Nie miałam ochoty na tę dyskusję i chciałam wrócić do tematu naszej przyjaciółki.

– Tak, masz rację – Dina, jak zwykle nieprawdopodobnie szybka w przeskakiwaniu z tematu na temat, przyznała mi rację. – Tym razem musimy dać jej odczuć, że może na nas liczyć. Że jesteśmy jej przyjaciółkami, które identyfikują się z jej decyzjami. A jeśli chce zwać, to musimy jej w tym pomóc. Powinniśmy były zrobić to już wcześniej, pomóc jej i Sabie...

Poczułam się nagle strasznie wyjąłowiona. Mój letni spokój był wcześniej jedynie kulisą. Znowu znalazłam się w epicentrum wydarzeń, porywały mnie ze sobą sytuacje przyprawiające o zawrót głowy. Westchnęłam i położyłam głowę na chłodnym metalowym blacie stołu. Dina pogłaskała mnie czule po włosach. Tak bardzo chciałabym cofnąć czas, wrócić do tego dnia, gdy włamałyśmy się do ogrodu botanicznego, żeby skoczyć tam z wysokiej skały do ciemnej wody. Jakie wtedy wszystko wydawało się proste, przyszłość leżała wtedy przed nami niczym księga zapisana tajnym pismem, które wystarczyło tylko nauczyć się rozszyfrowywać.

– O co chodzi? Nie zgadzasz się z nami? – Ira sprawiała wrażenie lekko poirytowanej, jakby skończyła jej się cierpliwość i nie zamierzała tolerować sprzeciwu czy innego zdania. Wpatrywała się we mnie.

– Oczywiście, że się zgadzam. Ale zastanawiam się, co możemy zrobić. To znaczy, co może przynieść naprawdę jakiś skutek – powiedziałam cicho, pokonując własne zmęczenie.

– Co to za pytanie?! Wszystko, co będzie konieczne.

Wyrzuty sumienia popychały Irę do radykalnego zachowania. Przypomniały mi się jej niepohamowane łyzy, gdy przyszła wyciągnąć mnie z kolejki. Odnosiłam wrażenie, iż liczy na to, że Nene znów – po tym, jak straciła ukochanego mężczyznę – będzie jej potrzebować jak dawniej. Wszelki sprzeciw przy użyciu logicznych argumentów wydał mi się bezcelowy. A poza tym może obie miały rację, może wcale nie chodziło o konkretne rozwiązania, lecz o to, żebyśmy po prostu przy niej były, gotowe na wszystko, co tylko Nene uzna za konieczne.

Nagle zgasło światło. Wyłączyli prąd. Pozostałyśmy na swoich miejscach, siedząc w ciemności. Żadna z nas się nie poruszyła.

Na niebie zajaśniały nagle niezliczone gwiazdy i sierpowaty księżyc. Dla kogoś z zewnątrz musiałyśmy wyglądać na szczęśliwe kobiety, które znalazły się w malowniczym miejscu. Byłyśmy razem, stanowiłyśmy jedność, a wszechświat zdawał się nam sprzyjać.

– Pojadę razem z nimi – powiedziała Ira. – Do tego sanatorium. Zaoszczędziłam trochę pieniędzy. Będę po prostu blisko niej, gdyby się okazało, że mnie potrzebuje. Nie popełnię drugi raz tego samego błędu – dodała z naciskiem. – Wynajmę mały pokój i pojadę tam autobusem, będzie taniej, to nic, że będę jechała całą wieczność.

Dina nie powiedziała ani słowa. Wydawała się zatopiona w swoich myślach.

– A co Nene na to?

– Jeszcze nic o tym nie wie. Ale to nie ma znaczenia. Nie zostawię jej drugi raz na lodzie – podkreśliła Ira z pewną dozą samozadowolenia. – Właściwie miałabym możliwość studiować od września dwa semestry za granicą. Ale już zrezygnowałam.

– Gdzie za granicą? – Dina błyskawicznie się ożywiła i odwróciła się do Iry.

– Zostałam zgłoszona do stypendium i mnie wybrali. Troje najlepszych studentów z naszego wydziału ma możliwość wyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Na Pennsylvania State University – powiedziała z amerykańskim akcentem, jakby chciała zademonstrować, że świetnie mówi po angielsku. – Pokrywają wszystkie koszty.

– Do Stanów? – upewniliśmy się Dina i ja równocześnie.

Stany Zjednoczone to była ziemia obiecana, odległy i wymarzony kraj znany z filmów, zakazany, słodki kontynent, do którego wszyscy tęskniliśmy. Czy aby na pewno dobrze zrozumieliśmy? Czyżby Ira rzeczywiście zamierzała zrezygnować z takiej szansy? To byłoby tak nierozsądne, tak głupie, że aż brakowało nam słów.

– Ira! – oburzyła się Dina po krótkiej chwili milczenia.

– Nie możesz tego zrobić! – ja także nie potrafiłam ukryć oburzenia.

– Nene jest teraz najważniejsza – powiedziała Ira z fanatycznym zdecydowaniem.

– Ale... – Zamilkłam, bo zorientowałam się, że nie ma sensu wywierać na nią nacisku. Dręczyło ją sumienie i było to silniejsze niż jakakolwiek tęsknota za dalekimi podróżami, silniejsze niż niezaspokojony głód wiedzy i pragnienie, by któregoś dnia dokonać dzięki tej wiedzy czegoś wielkiego.

Gdy chcieliśmy już wracać do środka, wynurzył się nagle jakby z niebytu Rezo. Małą latarką oświetlał sobie drogę w ciemnościach. Był mile widzianym gościem, ponieważ odwrócił uwagę od naszej rozmowy, która utknęła w ślepej uliczce, ucieszyliśmy się, gdy zapytał, czy może się przysiąść. Zaoferowałyśmy mu resztki kolacji.

– Ciągłe ci cholerni księża – powiedział i westchnął zmęczony. – Bojkotują naszą pracę. A przecież potrzebujemy więcej ludzi. Musimy zdjąć farbę ze wszystkich ścian i sufitów. To jest tak wykańczające i głupie.

Z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu Rezo od razu spodobał się Dinie, chciała wiedzieć o nim wciąż więcej i więcej, wypytywała go o wszystko, a on

chętnie udzielał jej odpowiedzi. Znałam siłę przyciągania Diny, ale fakt, że nawet ten pragmatyczny stoik uległ jej urokowi, zrobił na mnie ogromne wrażenie.

Szarym świtem Dina przyszła do mnie, położyła się obok na zardzewiałej i skrzypiącej polówce i oznajmiła głosem nieznoszącym sprzeciwu:

– Podobasz mu się.

Wszystkiego się spodziewałam, tylko nie tego.

– Nie gadaj bzdur! – odpowiedziałam, z trudem próbując otworzyć oczy.

– Tak, tak, uwierz mi, ja mam nosa do takich rzeczy.

– Mam wrażenie, że on podoba się tylko sam sobie. To dziwny facet.

– Jest po prostu inny. Ale to nie musi oznaczać niczego złego.

– Jak to inny? Inny niż kto?

W głębi pokoju słychać było miarowy oddech Iry.

– Inny niż faceci, których znasz.

– Chcesz powiedzieć: inny niż my?

– Tak, dokładnie to mam na myśli, inny niż my.

– Tak czy owak, gadasz bzdury!

– Wszystko, o czym opowiadał z zachwytem, dotyczyło ciebie. Uwierz mi.

– Ale przecież to wy cały czas rozmawialiście ze sobą, to jasne, że podoba mu się, gdy ktoś taki jak ty interesuje się jego sprawami.

– Co to ma znaczyć: ktoś taki jak ty?

– Doskonale wiesz. Ktoś taki jak ty zazwyczaj nie interesuje się pierwszym lepszym Rezem.

– Podobasz mu się i to dobry facet, uważam, że powinnaś dać mu szansę.

Całkiem się obudziłam i wkurzona usiadłam na łóżku. Dina, emocjonalny huragan, wiecznie nienasycona, w niezmordowanym wiecznym pędzie – poczułam się urażona, że wybrała mi na partnera takiego aroganckiego nudziarza, podczas gdy sama wiecznie gonila za jak najbardziej ekstremalnymi przygodami i szukała jak najbardziej niekonwencjonalnych rozwiązań.

– Zapomniałaś, że jest Lewan. Poza tym Rezo jest nie tylko inny... on jest jakby z innej planety.

– Niewykluczone. Ale może jest tak, że na naszej planecie nie da się już żyć. Może powinniśmy się zastanowić, czy nie należałoby wyruszyć gdzieś do nowego świata, ponieważ ten, w którym żyjemy, wkrótce przestanie istnieć.

Tak katastroficzne zdania rzadko wychodziły z ust Diny. Zdziwił mnie jej pesymizm, strach w jej cichym głosie.

– Dina, co z tobą?

– To wszystko będzie trwać, aż wszyscy nawzajem się powyrzynają. Rati... planuje ofensywę. Przejeli już kilka interesów, które były wcześniej pod kontrolą klanu Koridze. Spokój nie potrwa długo, to wszystko wymknie się wkrótce spod kontroli, przecież oni wszyscy mają broń. A Lewan, owszem, widziałam was razem. Ale on robi się coraz agresywniejszy, jeśli to wszystko wkrótce nie tępnie, to udusi się od własnej złości. Wiem, że coś między wami zaszło, nawet jeśli próbujesz to ukryć. Wycofałaś się tutaj jak ślimak do swojej muszli, ale kiedyś będziesz musiała wrócić, czy chcesz tego, czy nie. Kocham cię, poza tym wystarczy już tego, co przytrafiło się Nene, wystarczy, że Ira zamierza zaprzepaścić swoją przyszłość, że Saba nie żyje... – Przerwała.

Była odwrócona do mnie plecami, więc nie widziałam jej twarzy, mogłam sobie tylko wyobrażać, co się na niej maluje. W sposobie, w jaki ze mną rozmawiała, w tym, jak klarownie i rozważnie wypowiadała słowa, wyczułam coś przerażająco ostatecznego.

– A co z tobą? To znaczy, dlaczego nie spróbujemy razem wyruszyć do nowego świata, jak się wyraziłaś?

– Dobrze wiesz, że ja jestem stąd.

– A dlaczego uważasz, że ja nie jestem stąd?

– Bo jesteś inna. Możesz być inna.

– A ty nie?

Nie odpowiedziała. Poczekalam, czy powie coś jeszcze, a gdy nic nie padło, zebrałam się na odwagę i zadałam jej pytanie, które od jakiegoś czasu chodziło mi po głowie:

– Dina, chyba jest coś, co chciałabyś mi powiedzieć.

Nastąpiła krótka przerwa, jakby się zastanawiała, czy może być ze mną całkowicie szczerą, po czym podjęła decyzję:

– Cotne...

– Co z nim?

– Chce więcej... Cholera! – jęknęła.

– Co zrobisz?

– Będę się bronić. Dopóki będę mogła.

To dopowiedziane zdanie zaniepokoiło mnie jeszcze bardziej.

– Porozmawiam z Ratim, wezmę odpowiedzialność na siebie, powiem, że...

No tak, co? Co miałabym mu powiedzieć, oprócz prawdy, która tak czy owak będzie miała fatalne skutki. Rati nigdy nie zrozumie, dlaczego to zrobiła. Między Ratim i Cotnem iskrzyło, wybuch otwartej wojny między nimi był tylko kwestią czasu. A prawda na temat pięciu tysięcy dolarów, które miały mu przynieść wolność, mogła stanowić jedynie lont. Dina była dla Cotnego nie tylko kobietą, której pożądał w skrytości ducha, lecz także potężną bronią w walce z moim bratem. Niczym nie mógł bardziej upokorzyć Ratiego i pozbawić go gruntu pod nogami.

– Skrzywdził cię?

– Nie.

Nie byłam pewna, czy mam jej wierzyć. Nienawidziłam jej milczenia i jednocześnie bałam się chwili, w której zacznie opowiadać, co wydarzyło się tamtej nocy. Obrazy, które pojawiały mi się w głowie, gdy tylko zaczynałam o tym myśleć, napawały mnie obrzydzeniem.

– Śpijmy – powiedziała i naciągnęła cienkie prześcieradło aż po uszy.

Leżałam jeszcze przez jakiś czas, nie mogąc zasnąć. Oczywiście spokój moich ostatnich tygodni prysł jak bańka mydlana. Niedługo będę musiała wracać do domu i znów dopadnie mnie rzeczywistość, rzeczywistość odarta z marzeń, złożona z odłamków smutku, z nieprzetrawionych grud złości. A tak swoją drogą: dlaczego Dina uważa, że mogłabym bez trudu prześlizgnąć się do nowego życia, podczas gdy ona sama miałaby już na zawsze pozostać zakładniczką naszego świata? A co z Irą, która ma swoje ambicje i mogłaby, jak sądziłyśmy, osiągnąć wszystko, a która właśnie teraz zamierza podjąć decyzję przekreślającą najlepszy wariant swojej przyszłości tylko dlatego, że uważa, iż musi zrobić to, co właściwe. A czy ludzie tacy jak Rezo rzeczywiście nie są drogowskazami do innego życia, kimś, kto może wyprowadzić nas z ciasnego świata powiewającego na wietrze prania, popędliwych mężczyzn, wojen i zardzewiałych huštawek pod drzewami morwy? Czy mamy im deptać po piętach, bo mogą być naszą przyszłością, nowym światem bez pęknięć, bez furii, być światem światła? Ten nowy jasny świat napawał mnie takim samym strachem jak ten dobrze mi znany. Nie znałam obowiązujących w nim reguł gry, nie znałam pokojowego porządku, zasad prowadzenia kulturalnej konwersacji i eleganckich restauracji z wyszukаныmi daniami. To były obce mi, znane jedynie z filmów lub książek historie, w których traktowano się nawzajem z szacunkiem, spacerowano na bosaka po zielonych parkach, odwiedzano własnych rodziców jedynie na święta i spędzano urlopy w ciepłych krajach, jeżdżono ładnymi samochodami, w których dyndały drzewka zapachowe, za pomocą magnesików na lodówce uwieczniano te wszystkie miejsca, które się kiedyś odwiedziło, i za wielkie pieniądze kupowano misternie ułożone bukiety kwiatów, bez specjalnej okazji, jedynie po to, by nacieszyć oczy, i wstawiano je do wazonów w elegancko urządzonych mieszkaniach. To były baśnie ze świata, w którym młodzi ludzie mogą być długo młodzi i są w tej komfortowej sytuacji, że wolno im poszukiwać siebie samych i siebie odnajdywać. Znałam to wszystko równie mało jak ty, a jednak okazało się, że jak zwykle się nie myliłaś. Na wszystkich kluczowych rozstajach i skrzyżowaniach życiowych dróg racja była po twojej stronie. Do dziś nie mogę ci darować, że przepowiedziałaś mi przyszłość, ponieważ

wcale jej nie chciałam. Nigdy nie chciałam wyruszać bez ciebie w nowy świat. Nienawidzę tego, że swoją śmiercią zmusiłaś mnie do ucieczki i sprawiłaś, że stałam się tym, kim dzisiaj jestem. Nie dlatego, że ta wersja mnie samej jest zła, o nie, jest wiele rzeczy, za które jestem ci wdzięczna, ale dużo bym dała, żeby się dowiedzieć, co by było, gdybyś pozostała przy życiu. Jak to by było nie być ocaloną z kolosalnej katastrofy pewnego marzenia, jak to by było nie podziwiać cię na wystawach fotografii jako wizjonerki czy ikony i nie oddawać ci czci tak, jak czci się tylko umarłych. Chciałabym się dowiedzieć, jakie by to było uczucie żyć z tobą u swego boku, z tą niepowstrzymaną, żądającą od życia absolutnie wszystkiego, nienasyconą, okropną kobietą, która zna większość odpowiedzi na moje niekończące się pytania. Niczego ci nie wypominam, moja połykaczko ognia, rozumiem, zawsze cię rozumiałam, a jednak nie ma dnia, żebym nie kazała ci dalej żyć, żebym nie wplatała cię w swoje upływające lata. W ten sposób należysz do mnie, twoja przyszłość należy do mnie, mogę cię zalać szczęściem, mogę ci dać możliwość świętowania zwycięstw i nadrobienia wszystkiego, co nie było ci dane.

Ty już od dawna wiedziałaś, że to wszystko nadchodzi, podczas gdy ja wciąż błądziłam w nieświadomości. Ty pędziłaś już pasem szybkiego ruchu, a ja nie potrafiłam ci dotrzymać kroku. Tamtej nocy zaczęłaś ostrożnie rysować mi na piasku przyszłość, która miała się toczyć z dala od twojej. Nie zrozumiałam wtedy, co chcesz mi powiedzieć, ty jednak już tamtej nocy, nie zdając sobie z tego sprawy, przygotowałaś mnie na swoją śmierć, podsuwając mi do mego boku Reza, bezpiecznego przewoźnika, który, inaczej niż Charon, przewieźmie mnie ze świata umarłych do świata żywych.

Przez następne dwa dni unikałyśmy wszelkich przygnębiających tematów. Piłyśmy wino i zachowywałyśmy się jak beztroskie dzieci. Podróżowałyśmy autostopem i jadałyśmy za jakieś wygrzebane resztki pieniędzy w prostych knajpkach w Sighnaghi. Wylegiwałyśmy się pod grubopiennymi drzewami figowymi, jadłyśmy arbuzy sprzedawane na skraju dróg. Włączałyśmy radio na baterie, żeby posłuchać muzyki, która musiała być koniecznie ładna i pogodna.

Oddawałyśmy się wspomnieniom, opowiadając anegdoty z czasów szkolnych, aż zaczynałyśmy płakać ze śmiechu. Trzymałyśmy się za ręce, chichotałyśmy, bez przerwy rzucałyśmy się sobie na szyję i zachwycałyśmy się zachodami słońca, których za dnia, gdy z nieba lał się żar, wyczekiwałyśmy z utęsknieniem. Grałyśmy w pokera z czasem i prosiłyśmy go o zwłokę. Przymilałyśmy się umęczonemu, na pudrowo przykurzonemu niebu. Roztaczałyśmy wokół siebie radość i odwzorowywałyśmy dni dzieciństwa. Przelatywałyśmy ponad troskami, trzepocąc skrzydłami jak kolorowe motyle. Strząsałyśmy z siebie wszelki ból, jak przemoknięte psy otrząsają się z wody. Pokazywałyśmy losowi język. I nieustająco posyłałyśmy nieszczęściu pocałunki.

MORZE UMARŁYCH

Maja, Rezo i ja zostaliśmy w Kachetii do połowy sierpnia. Skończyły nam się pieniądze i przez ostatnie dni żyliśmy w niepewności, czy przed wyjazdem uda nam się całkowicie odsłonić *Chrzest Jezusa*. Ale ostatecznie Maja zdobyła niezbędne pigmenty, olej lniany, kazeinę i inne utwardzacze oraz spoiwa. Codziennie wyczekiwaliśmy rzekomo zaproszonych przez biskupstwo ekspertów ze stolicy, którzy mieli dokonać ostatecznej analizy.

Nie mogłam już dłużej uciekać przed samą sobą, Tbilisi wzywało mnie z powrotem do siebie, myśli o Nene, Lewanie, mojej rodzinie, o Dinie nie dawały mi w nocy zasnąć. W połowie sierpnia Maja dała za wygraną. Oznajmiła, że nie posiada już żadnych zasobów i rezerw. *Chrzest* pozostanie na razie naszym ostatnim dziełem. Wszystkie inne prace konserwatorskie zostały przesunięte przez Cerkiew na później, a więc nie mamy tam więcej nic do roboty.

Siedzieliśmy we trójkę przygnębieni w ogrodzie, zapadł wieczór, każdy zatopił się w swoich myślach, każdy miał w związku z powrotem do domu swoje własne zmartwienia. Rezo włączył radio na baterie, jedliśmy ser solankowy z chlebem, ogórkami i pomidorami, których zapach roznosił się po całym podwórku.

– Tak czy inaczej, *Nino* i *Chrzest* udało nam się uratować – powiedziała Maja, usiłując pogodnym tonem poprawić nam humor.

– Oni sobie nawet nie zdają sprawy, jaką im wyrządziliśmy przysługę, i to za tak głodową stawkę – odezwał się Rezo jak zwykle cynicznym tonem.

– Tak, możemy być z siebie dumni – dodała Maja.

Rezo oparł stopy o ścięty pień i zaczął wodzić wzrokiem dookoła. Był bardzo wysoki i swoją sprężystą, szczupłą sylwetką przypominał bociana. Wykonywał płynne i niezwykle ostrożne ruchy, poruszał się tak cicho, że za każdym razem, gdy nagle gdzieś się pojawiał, wywoływał przestraszonych, tak jakby wnikał do

pomieszczenia, a nie wchodził na dwóch nogach. Miał dziewczęco delikatne i regularne rysy twarzy, nie licząc lekko wydłużonej dolnej szczęki, która wpływała na jego sposób mówienia tak, jakby miał usta pełne wody. Jego ciemnobrązowe oczy w ogóle nie pasowały do zazwyczaj szelmowskiego wyrazu twarzy, były ufne i pełne ciepła. Nosił koszule z krótkim rękawem i spodnie z materiału, które nieraz były powodem krytycznych uwag ze strony personelu kościoła. „Przecież ostatecznie pracuję tu dla Boga. On chyba nie ma mi za złe, że czasami jest mi gorąco” – to był jego jedyny komentarz w tej sprawie. Była jeszcze jedna rzecz, która niezupełnie pasowała do jego zmanierowanego sposobu bycia, mianowicie imponująco gęste owłosienie. Czy to bardzo gęste brązowe strąki włosów na głowie, czy bokobrody odrastające zawsze w zawrotnym tempie, jednodniowy zarost czy owłosienie na nogach lub klatce piersiowej wyłaniające się od czasu do czasu spod koszuli, wszystko to wyglądało tak, jakby natura chciała zadrzeć z jego pedantycznego usposobienia. Moja początkowa niechęć do niego z czasem zniknęła, ale wciąż odczuwałam w jego obecności pewien dyskomfort. Mimo to w ostatnich tygodniach powstała między nami jakaś szczególna więź, którą wzmacniało przede wszystkim jego błyskotliwe poczucie humoru i nasze wspólne rozmowy. Lubiłam też, gdy mnie chwalił. Robił to bardzo rzadko i na swój niezwykle subtelny sposób, ale byłam mu za to wdzięczna, tym bardziej że z czasem zaczęłam doceniać jego umiejętności. Przewyższał mnie bogatym doświadczeniem, zazdrościłam mu fachowej wiedzy i odwagi, ponieważ często wybierał niekonwencjonalne rozwiązania. Imponował mi również spokój, którym emanował podczas prac konserwatorskich, to jego wewnętrzne skupienie, oddanie, które w momentach największej koncentracji zdradzały jego oczy i które za każdym razem przywoływało mi w pamięci Likę. Muszę przyznać, że Dina miała rację: najbardziej lubiłam w nim to, że jest inny niż mężczyźni, którzy otaczali mnie do tej pory, którzy wypełniali moje dotychczasowe uniwersum. On stanowił przeciwny biegun tych męskich światów, które znałam. Świat mojego ojca był dziwnie wyobcowany, tak przerażająco odrealniony, jak gdyby ojciec prowadził życie klasztorne z dala od wszelkich ziemskich spraw. O świecie chłopaków,

Ratiego czy Cotnego nawet nie chciało mi się myśleć. Rezo był dla mnie przedstawicielem jakiegoś nieznanego mi dotąd gatunku, jakąś inną kategorią gruzińskiego mężczyzny. Kimś, komu patriarchalna doktryna i męska etyka były całkowicie obojętne. W ogóle go to nie interesowało, co więcej, był kimś, kto bronił się przed wszelkimi społecznymi rolami, kto je nawet wyśmiewał. Zdawał się brzydzić każdą formą władzy i patriarchalnych przywilejów. Jedyne faktu, że nie potrafił usmażyć sobie nawet jajecznicy, zdradzał zakorzeniony gdzieś głęboko tradycyjny obraz kobiety. Miał prawdziwą awersję do wszelkich stereotypów i dogmatów, a w szczególności do męskiej dominacji.

Ciągle doprowadzał mnie do śmiechu. Jego złośliwe, czasami sarkastyczne poczucie humoru trafiało u mnie na żyzny grunt, nie mogłam się powstrzymać i wybuchałam zazwyczaj perlistym śmiechem. I nawet Maja, bardzo nieskomplikowany i otwarty człowiek, nie potrafiła tak do końca zrozumieć naszej płaszczyzny porozumienia. Stawało się coraz bardziej jasne, że Rezo osiąga w mojej obecności szczyt swojej formy, jedna błyskotliwa puenta goniła drugą, i mimo naszego skupienia na pracy nie przepuszczał żadnej okazji, żeby doprowadzić mnie do śmiechu. Mimo to byłam przekonana, że Rezo, niezależnie od tego ostrożnego zbliżenia między nami, pozostanie mi obcy i po zakończeniu pobytu w klasztorze prawdopodobnie już nigdy go nie zobaczę. Podczas jednego z naszych skromnych wspólnych śniadań we wczesnych godzinach porannych, gdy Maja poszła już do siebie, doszło do pewnej rozmowy, która w pierwszym momencie całkowicie mnie zaskoczyła i potem przez cały dzień chodziła mi po głowie.

– Wiesz co, Kipiani, mogłabyś naprawdę zostać kimś wielkim.

Jego konsekwentne zwracanie się do mnie po nazwisku stwarzało dziwny dystans między nami, wyznaczało granicę, która z kolei umożliwiała jakąś zupełnie inną, nową formę otwartości.

– Mam na myśli to, że w tym naszym specyficznym zawodzie nigdy nie zdobędziesz uznania, nie mówiąc już o sławie i zaszczytach, więc dobrze się zastanów. Ale gdybyś chciała to kontynuować i pozostać sobie wierna, to mogłabyś

być w tym naprawdę dobra, cholernie dobra. I wiesz, że nie mówię tego ot tak po prostu.

– Ja przecież dopiero zaczynam – wymamrotałam zawstydzona.

– Maja i ja jesteśmy na pewno dobrymi nauczycielami, ale musisz się z nami rozstać i odejść, to znaczy, pójść tam, gdzie naprawdę będą mogli cię nauczyć czegoś, co będzie dla ciebie wyzwaniem. To, co robimy tutaj, opanujesz bardzo szybko. W każdym razie, jeśli w międzyczasie nie wyjdiesz za mąż za jakiegoś idiotę i nie zrzucisz tego wszystkiego.

– Dlaczego uważasz, że mam taki zamiar?

– Jesteś zakochana, dosyć dobrze to po tobie widać.

Zaczęłam się zastanawiać, czy nas przypadkiem nie podsłuchiwał tego wieczoru, gdy Dina, Ira i ja siedziałyśmy w świetle żarówki w ogrodzie, a on potem do nas dołączył.

– Nie wiem, czy jestem.

Zdziwiłam się, że mu to powiedziałam. Jeszcze przed dwoma sekundami nie miałam najmniejszego zamiaru dzielić się z nim informacjami z prywatnego życia.

– Jesteś.

– Czyżbyś był także ekspertem od spraw miłosnych? Nie wyglądasz.

Pożałowałam tego komentatora już w momencie, gdy zaczęłam go wypowiadać. Odwrócił głowę w bok i popatrzył w dal.

– Przepraszam, nie chciałam cię urazić. To znaczy, wiesz, przecież cię wcale nie znam...

– Nie uraziłaś mnie – odpowiedział oschle. – Chciałem porozmawiać o twojej przyszłości, nie o facetach.

– Ale od tego zacząłeś – odparłam z przekąsem.

– Chciałbym, żebyś się rozwijała, to miałem na myśli, poruszając ten temat.

– On nie jest taki, jak myślisz.

Także i to wyznanie było nieplanowane, niezamierzone, nie chciałam rozmawiać z nim o Lewanie.

– Wszystkie tak mówią, a na koniec lądują, jak nasza tutejsza gospodyni, w kuchni przy garach.

– Zdaje się, że nie masz zbyt dobrego zdania o gruzińskich kobietach.

– Przede wszystkim nie mam zbyt dobrego zdania o gruzińskich mężczyznach. I zostaw swoje palce w spokoju, będziesz ich jeszcze potrzebowała.

Nie patrzył na mnie, mówił z odwróconą twarzą, popijając ostygłą w międzyczasie kawę. Zatopiona w myślach obgryzałam paznokieć kciuka.

– A więc ty nie wyobrażasz sobie swojej żony... w domu? – To pytanie wydało mi się trochę głupie, ale nie wiedziałam, jak to lepiej sformułować.

– Co za idiotyczne pytanie, gdzie my żyjemy, w średniowieczu?

– Mam na myśli... mam na myśli, że nie będziesz chciał mieć jej wyłącznie dla siebie? – To sformułowanie też było dosyć niezręczne, ale byłam trochę skrępowana i nie potrafiłam znaleźć na poczekaniu właściwych słów.

– Co przez to rozumiesz?

– Myślę, że gdy ktoś kogoś kocha, to nie chce dzielić się ukochanym człowiekiem z innymi...

– No jasne, znam ten odruch...

Zaskoczyła mnie ta odpowiedź.

– Ale to iluzja, że można całkowicie wystarczyć drugiemu człowiekowi, zastąpić mu cały świat. Niezależnie od tego, z jak wielkim oddaniem się kogoś kocha, trzeba zostawić partnerowi swobodę, powinien tęsknić sam z siebie. A jeśli nie tęskni, to po prostu nie ma co tego przedłużać. Wszyscy mamy tyle pragnień i tęsknot, jedna osoba nie jest w stanie tego wszystkiego zaspokoić. To byłoby nadmiernym obciążeniem.

– Niektórzy widzą to inaczej...

– To są głupie, romantyczno-kiczowate wyobrażenia. W zdrowym społeczeństwie, w stabilnym i naturalnie rozwijającym się kraju pragnienie miłości nigdy nie może pozostawać w sprzeczności z samorealizacją.

– Czyli nasz kraj nie rozwija się naturalnie?

Spojrzał na mnie zaskoczony, po czym uśmiechnął się na swój lekko szyderczy sposób, gdy dostrzegł wyraz ironii na mojej twarzy.

– Czasami sama nie wiem, czego chcę, i to jest tak męczące – powiedziałam z udawaną nonszalancją i rozprostowałam nogi.

– Jesteś jeszcze młoda, masz mnóstwo czasu, żeby się tego dowiedzieć, pod warunkiem że wcześniej nie popełnisz jakiegoś głupiego błędu.

– Bycie z człowiekiem, którego się kocha, jest, twoim zdaniem, głupim błędem?

Coś w wypowiedzianych przez niego zdaniach działało na mnie prowokująco, nawet jeśli wiedziałam, że ma dobre intencje i że tak naprawdę chce mi powiedzieć coś innego.

– Z człowiekiem, któremu jesteś uległa, tak.

Natychmiast poczerwieniałam. Co mnie zdradziło?

– Kipiani, obserwuję cię, to widać.

– Przeceniasz się.

– Jestem realistą.

– A jak mam to z kolei rozumieć?

– Z tego, co wiem, wnioskuję, że sprawa jest skomplikowana. A słowo „skomplikowany” oznacza w Gruzji zazwyczaj, że on chce czegoś innego niż ty i oczekuje poświęcenia. Czy może się mylę?

– Trudno powiedzieć... – Podałam się. – Okej, sprawa jest skomplikowana. Ale skomplikowana inaczej, niż ci się wydaje. Ja nawet nie wiem, czego dokładnie od niego oczekuję.

– Byleby nie tego, żeby poprzez męskie spojrzenie nauczyć się kochać samą siebie. Właśnie na tym polega błąd, który popełnia wiele kobiet...

Chciałam coś odpowiedzieć, ale Maja przywołała nas ręką. Wstaliśmy pospiesznie, zanieśliśmy naczynia i resztki jedzenia do domu i stanęliśmy gotowi do podróży.

W wieczór poprzedzający nasz ostatni dzień pracy siedzieliśmy otuleni łagodnym światłem zachodzącego słońca, słuchaliśmy radyjka i jedliśmy dojrzałe i zabójczo pachnące pomidory.

– Dobra robota, Kipiani – powiedział nagle, patrząc mi prosto w oczy, co robił niezwykle rzadko.

– Dziękuję, wielki mistrzu – odpowiedziałam po części żartobliwie i zanurzyłam resztki chleba w wyśmienitym oleju słonecznikowym.

– Mam po prostu cholernie dobrego nosa do ukrytych talentów – Maja puściła do nas oko i zapaliła papierosa bez filtra, na którego pozwalała sobie wyłącznie po wykonanej pracy.

– Czy będzie można cię zwerbować także do innych zadań? – spytał Rezo.

Trochę zaskoczył mnie tym pytaniem, bo z tego, co się zorientowałam, pracował zazwyczaj w pojedynkę, a do tego, jak się zdaje, dosyć często wyjeżdżał za granicę do sąsiednich krajów. Nie ufałam mu, nie wiedząc właściwie czemu. Od kiedy Dina dała mi zagwozdkę, twierdząc, że Rezo może być mną zainteresowany, robiłam wszystko, żeby udowodnić, że tak nie jest.

– Chętnie – odpowiedziałam z wahaniem. Jednocześnie poczułam, jak nieoczekiwanie zaczyna mnie rozpierać radość, odebrałam jego propozycję jak pocieszającą, słodką obietnicę, że nasza idylla będzie miała swój ciąg dalszy.

– Świetnie. Wspaniale. I tak ma być. – Mlasnął językiem. – W takim razie potrzebowałbym twojego numeru telefonu.

Przytaknęłam i zapisałam numer na skrawku jakiejś gazety. Popatrzył na mnie, mrugnął do mnie i powiedział w typowy dla siebie oschły sposób:

– Lubię cię, Kipiani. Naprawdę cię lubię. Mam nadzieję, że nie porzucisz swojego talentu dla któregoś z tych pożałuj Boże westernowych bohaterów.

Pomyślałam o dziewczynach z naszego sąsiedztwa albo ze szkoły, które chcąc zadośćuczynić swoim rodzinom, zostaną w domu po zaręczynach lub ślubie. Poczułam się urażona, że niejako zalicza mnie do tych kobiet. Czy zdecydowałabym się na taki krok dla Lewana? Czy on by mi wystarczył, czy byłby

w stanie zastąpić mi cały świat? Tak, byłam otoczona takimi dziewczynami, które uważały, że powinny poświęcić swoją wolność, że są to winne swoim mężczyznom. Te dziewczyny, wchodząc w okres dojrzewania, składały społeczeństwu takie przyrzeczenie: że nigdy nie zostaną paniami samych siebie. Nie wytrzymały tej presji, bo ciągle trzeba było bronić jakiegoś podejrzanego „honoru”. Jednocześnie były jak lunatyczki we mgle, histerycznie zakochane, gotowe poświęcić wszystko w imię swoich rozpalonych tęsknot i pragnień. Nie każda była tak silna jak Dina, rzadko która otrzymywała wolność w posagu.

– Nie zrobię tego – odparłam, choć mogłam to powiedzieć z nieco większym naciskiem. Zmusiłam się do uśmiechu.

– Nie myśl, że musisz złożyć siebie w ofierze. Ten, który przyjmie taką ofiarę, nie będzie potrafił jej docenić, a ta, która się poświęci, zostanie z pustymi rękami. Wierz mi, wiem, o czym mówię.

Po raz pierwszy, od kiedy się poznaliśmy, jego głos miał w sobie coś transparentnego, kruchego, sztuczne samozadowolenie nagle zniknęło. Irytował mnie jego dobór słów, ale nie przerywałam mu, czułam, że to dla niego ważne, że ta refleksja życiowa wywołuje w nim ból, że mówi na podstawie własnych doświadczeń. Zbieraliśmy się już do spania, Maja wyszła przed nami, ale ja nie chciałam kończyć rozmowy, chciałam w pełni, do końca, delektować się resztkami naszego spokoju. Spojrzałam na niego z zainteresowaniem i próbowałam dać mu do zrozumienia, że powinien mówić dalej.

– Zostałem wychowany przez taką matkę. A teraz jest smutną, zalęknioną, samotną kobietą. Ach, zostawmy to, Kipiani. Myślę, że nasz kraj jest pełen takich kobiet, tylko się rozejrzyj.

Z radia dobiegała jakaś ładna melodia. Świerszcze cykały, słońce dawno już zaszło, a my siedzieliśmy w ciemnościach, tylko nieopodal, nad drzwiami wejściowymi do domu, świeciła samotna żarówka. W takim momencie życie wydawało się łatwe, Rezo też zdawał się tak czuć.

– Przebiegniemy się? – spytał nagle, a ja musiałam zamrużyć parę razy oczami, żeby się przekonać, że mówi poważnie.

– Jak to: przebiegniemy?

– No, na wyścigi, jak dawniej, w dzieciństwie. Kipiani, nigdy nie biegałaś na wyścigi?

– Ty chcesz biec ze mną na wyścigi?

– Tak, chodzę też do toalety, chrapię przez sen i leci mi krew, gdy się skaleczę.

– Teraz, tak od razu?

Przytaknął, zerwał się z krzesła i zademonstrował sprinterską pozę.

– Do bramy gospodarstwa. Kto dobiegnie pierwszy, ten wygrywa! – zawołał rozbawiony.

Nie wiedziałam do końca, co mam sądzić o tym zwariowanym pomysle, ale byłam tak zaskoczona, że instynktownie poszłam za nim. Dramatycznym głosem zaczął odliczać do tyłu i wystartowaliśmy. Dobiegliśmy do zardzewiałej furtki niemal równocześnie i ciężko dysząc i śmiejąc się, rzuciliśmy się na suchą trawę. Nagle wziął moją dłoń, była trochę spocona i ciepła, zrobił to z takim samym zdecydowaniem i pewnością, z jaką używał narzędzi. Jeszcze nigdy nie byłam tak blisko niego. Pachniał zadziwiająco swojsko. Zastanawiałam się, jaką my tutaj, w tej chwili, w tym ogrodzie, stanowimy parę, dlaczego ścigamy się na śmierć i życie, dlaczego leżymy tu obok siebie i czy to nie wygląda przypadkiem śmiesznie? Jednak równocześnie byłam na siebie zła z powodu swojego skrępowania. Bo to było piękne czuć się tak lekko, być tylko tu i teraz, podczas gdy świerszcze biją nam brawo, a niebo jest usiane gwiazdami.

– No i kto wygrał? – wymamrotałam, odzyskawszy miarowy oddech.

Wzruszył tylko ramionami i spojrzał w niebo.

– Właściwie ile ty masz lat? – to pytanie wymknęło mi się zupełnie nieoczekiwanie.

– Moja droga, cóż to za niestosowne pytanie! – Zaśmiał się cicho, a jego głos zabrzmiał tak, jakby przyplłynął gdzieś z daleka.

Zamknął oczy, a ja zrobiłam to samo, tak było łatwiej. To była noc, której nie można dać tak łatwo odejść, noc, którą chce się objąć i zatrzymać.

– Mam trzydzieści dwa lata – powiedział i nagle się podniósł. – Dzięki za przebieżkę.

Ja także podniosłam się trochę niezgrabnie i stanęłam przed nim. Staliśmy naprzeciwko siebie nienaturalnie usztywnieni, w bezruchu, wyprostowani, rzadko kiedy stałam przed kimś tak długo i patrzyłam mu w oczy. Coś powstrzymywało mnie przed tym, żeby przerywać tę chwilę. Czułam się przy nim wolna, w jakiś szczególny sposób niezawstydzona, jakby było mi wszystko jedno, czy mnie polubi, czy nie. To było takie wyzwalające. Właśnie tak musi się czuć Dina, przyszło mi na myśl. I dalej: co ona zrobiłaby na moim miejscu? I w tym momencie, nie czekając, aż sama sobie odpowiem na to pytanie, stanęłam na palcach i pocałowałam Reza w wyschnięte usta. Nie odpowiedział na mój pocałunek, cofnął się lekko, jakby chciał mnie przed czymś powstrzymać, ale nie usłuchałam go, byłam odważna, byłam szalona, byłam Diną, chciałam udowodnić jemu i sobie, że nie jestem niewolnicą konwenansów, że stawiam opór światu swojego brata, że Lewan nie stanowi dla mnie żadnego zagrożenia, że mogę wznieść się ponad niego. Zrobiłam więc drugie podejście i jeszcze mocniej przywarłam do jego ust, na co rozchylił wargi i poczułam jego język.

– Kipiani, nie tak szybko, nie sądzę, żebyś tego chciała...

– Nie nazywaj mnie tak, mów do mnie Keto – zażądałam i zaczęłam go całować od nowa.

Tym razem odpowiedział mi bardziej zdecydowanie, przytulił mnie do siebie, przycisnął do swojej piersi. Podobało mi się, że po raz pierwszy w życiu nie miałam w obecności mężczyzny żadnych wątpliwości. Sama nie wiedziałam, co on ma w sobie takiego, co dodaje mi takiej śmiałości, ale w tamtym momencie było mi wszystko jedno. Podobałam się sobie taka, jak jestem, chciałam taka być i taka pozostać...

– Keto, naprawdę uważam, że nie chcesz tego – podjął jeszcze raz ostatnią próbę, żeby się ode mnie uwolnić.

Jego „Keto” przeszło mnie dreszczem, w jego ustach brzmiało tak intymnie, jak jakieś frywolne wyznanie.

– Nie wiesz, czego chcę – odpowiedziałam. – Idziemy?

Wskazałam głową na dom. Popatrzył na mnie sceptycznie. Zdawał się mieć wątpliwości, podążył jednak za mną spokojnym krokiem, weszliśmy do śpiącego, pogrążonego w ciszy domu i weszliśmy po szerokich kamiennych schodach na pierwsze piętro, gdzie obok siebie znajdowały się nasze sypialnie. Otworzyłam drzwi i weszłam do swojego pokoju. On stanął w progu.

– Wejdz – powiedziałam i włączyłam nocną lampkę. Było mi trochę smutno, że jest prąd, światło świecy byłoby bardziej odpowiednie, poza tym po ciemnościach na zewnątrz oczy musiały mi się przez jakiś czas przyzwyczajać do jasności.

– Kip... Keto, zostanemy na razie przyjaciółmi, zanim zepsuje się wszystko, co się dopiero rodzi. Chcę nadal z tobą pracować, nie chciałbym, żeby coś się między nami popsuło...

– Nie podobam ci się?

Usiadłam na skrzypiącym łóżku i spojrzałam mu prosto w oczy.

– Oczywiście, że mi się podobasz, i uwierz mi, moje wahanie nie oznacza, że nie chcę być z tobą blisko...

Byłam pod wrażeniem, jak potrafił jasno się wyrażać, jak dobrze dobierał słowa, nawet w takiej sytuacji.

– ... ale myślę, że poszukujesz czegoś innego. Akurat teraz to jest nastrój chwili i nic więcej, być może jutro będziesz tego żałować i będziesz...

– Jeśli dalej będziesz tak mówił, to na pewno będę tego żałować. Więc wchodzisz w końcu czy nie?

Poczułam, że jeśli nadal będzie zwlekał z dokończeniem tego, co się zaczęło w ogrodzie, pożyczona od Diny odwaga zaraz mnie opuści.

Nagle jakby się przemógł, wszedł do pokoju szybkim, zdecydowanym krokiem i usiadł obok mnie na łóżku. Potem sięgnął ręką do lampki i zgasił światło. Byłam mu wdzięczna, oboje byliśmy przyzwyczajeni do ciemności i dobrze się w niej odnajdywaliśmy. Nagle ogarnął mnie jakiś niepokój, zaczęłam drzeć, moja odwaga zniknęła z sekundy na sekundę. Zadawałam sobie pytanie, co ja tutaj robię, co zamierzam, co próbuję sobie udowodnić. Wziął moją dłoń i nagle znów wszystko wydało się proste. Ale nie zrobił tego, czego się spodziewałam. Położył się na łóżku i gdy zdjęłam T-shirt i rzuciłam go na podłogę, wziął mnie czule za nadgarstek i powstrzymał mnie. W tym momencie opuściły mnie siły, ogarnęło mnie wielowiekowe zmęczenie, opadłam na poduszkę i zaczęłam wsłuchiwać się w noc. Pogładził mnie po twarzy i ponownie stwierdziłam, że bardzo lubię jego zapach. Głaskał mnie po podbródku, wtulił twarz w szyję i pocałował mnie w skroń. Poczułam się jak dziecko i być może właśnie takiego rodzaju uczucie chciał mi dać. Głaskał mnie, ale jego owłosiona ręka nigdzie się nie zatrzymała.

– Wszystko będzie dobrze. Pójdiesz własną drogą. Nic się nie bój – szepnął mi do ucha.

Jego głos znów był jakoś dziwnie oddalony, ale uspokoił mnie, ukołysał do snu. Moje ciało się odprężyło, zniknął niepokój rąk i nóg, nie pragnęłam teraz niczego oprócz spokoju i snu. Miał prawdopodobnie rację, prawdopodobnie będę mu za to wdzięczna, że powstrzymał mnie przed chęcią bycia kimś innym...

Gdy obudziłam się następnego dnia, poprzedzający wieczór wydał mi się odległym snem.

Do domu wracaliśmy kamazem, już nie pamiętam, do kogo należała ta ciężarówka. Maja siedziała z przodu obok kierowcy, a Rezo i ja na drewnianej ławce zamontowanej prowizorycznie z tyłu na przyczepie. Było strasznie gorąco, a powietrze, które nas owiewało, nie przynosiło żadnej ulgi. Nie wspominaliśmy o naszym nocnym spotkaniu ani słowem. Był jak zawsze nieco arogancki i trochę mrukowaty, tylko od czasu do czasu puszczał do mnie oko albo szeroko się uśmiechał. Próbowałam robić wrażenie opanowanej i dorosłej.

Jechaliśmy wzdłuż niekończącego się rzędu cyprysów, gra promieni słonecznych, które raz pojawiały się, raz znikwały między drzewami, wydawała mi się magiczna i napędzała mi łzy do oczu. Wracałam do domu, a moje serce było przepełnione radością i troską w jednakowym stopniu. Po raz pierwszy od dłuższego czasu odczuwałam coś takiego jak zadowolenie, a nawet trochę dumy z samej siebie. Dałam radę, przywróciłam wielowiekowym oczom Nino blask i nie zawiodłam dwojga swoich mentorów.

Zawsze gdy myślę o tej scenie, o tej grze światła i cienia na naszych twarzach, o wietrze we włosach Reza, odczuwam tę trudną do opisaną bliskość z nim, doprawioną szczyptą żalu i jednocześnie wdzięczności za jego cierpliwość i zdolność wybaczenia. A zaraz potem myślę, że muszę do niego zadzwonić, zapytać, co u niego słychać, w nadziei, że czas zabrał ze sobą wszystkie rozczarowania i że mój głos sprawi mu radość. Myślę o tej przesyconej słońcem podróży, podczas której zrozumiałam, że pod fasadą wyniosłości może się kryć niewyobrażalna czułość.

Jadąc do miasta, zauważyliśmy po drodze kilka pojazdów wojskowych, a potem z każdym kilometrem stały coraz gęściej i coraz więcej uzbrojonych żołnierzy pałętało się na ulicach. W pobliżu lotniska stał czołg, wokół którego zebrała się mała grupa ludzi.

– Co tu, u diabła, się dzieje? – Rezo wychylił się z przyczepy i próbował zorientować się w sytuacji.

Nie mieliśmy o niczym pojęcia. Jakże to było piękne, że przez kilka następnych godzin, a może już tylko minut, mogliśmy jeszcze żyć w błogiej nieświadomości. Powinnam była wtedy krzyknąć do wszystkich: zaczekajcie jeszcze, zaczekajcie, nie jedźcie dalej, wysiadajcie, schowajcie się przed tym, co nadejdzie, schowajcie się przed tymi mężczyznami z bronią, schowajcie się przed tymi potworami pożerającymi dzieci i straszidłami zamieszkującymi czołgi, biegnijcie na wyścigi o własne życie... Ale było już za późno, pętla wokół nas już dawno się zacisnęła.

I tak oto słyszę, jak w 1992 roku Rezo woła: „Hej wy tam z przodu, możecie włączyć radio?”. Słyszę to tu i teraz, gdy po dwudziestu siedmiu latach zostawiam go, oddaję go jego własnemu zwątpieniu i bezradności, stoję tu, w tej uroczyście rozświetlonej sali, z całą swoją niemocą i nieumiejętnością bycia mu taką przyjaciółką, na jaką zasługuje, nieumiejętnością kochania go z tą jego lojalnością, oddaniem, wiernością i gotowością do pomocy. Przybliżam się nieco sama do siebie i przełykam smutek jak gorzkie, lecz konieczne lekarstwo, za chwilę ponownie, łagodnie i niewinnie, wślizgnę się jak na łyżwach w sam środek wojny, na przedmieścia, gdzie dociera do mnie niemal trzydziestoletnia odpowiedź z otwartego okna po stronie kierowcy: „Niestety, zepsute”.

Zanim w okolicach lotniska skręciliśmy w stronę centrum, zostaliśmy zatrzymani w najwyraźniej naprędcie zaimprovizowanym punkcie kontrolnym, przed nami stał już długi sznur samochodów. Czekaliśmy cierpliwie na swoją kolej. Panowie z Mchedrioni sprawdzali dokumenty przejeżdżających.

– Co się dzieje? – Maja i Rezo zapytali jednym głosem.

– Wkroczyliśmy do Abchazji. Już dawno trzeba było to zrobić – odpowiedział z wyraźną dumą w głosie jeden z posterunkowych. – Jest mobilizacja, dlatego mamy ręce pełne roboty – dodał jeszcze z samozadowoleniem – pokazywać papiery i za dużo nie gadać.

Przypominam sobie, że spojrzeliśmy po sobie, ale nie odezwaliśmy się ani słowem. Dopiero gdy minęła cała wieczność, Rezo powiedział: „A więc wojna”.

A więc wojna. Nasz kraj przemienił się w Kronosa, który właśnie zaczyna pożerać własne dzieci.

Wysiadłam w Sololaki jako pierwsza. Rezo zszedł razem ze mną z przyczepy i zapytał, czy zanieść mi torbę, ale zaprzeczyłam i podziękowałam mu. Wtedy podszedł do mnie i bardzo mocno mnie przytulił.

– Uważaj na siebie, Kipiani. I proszę, dzwoń do mnie, kiedy tylko zechcesz, masz mój numer, prawda? Byłoby miło, gdybyśmy mogli znowu się zobaczyć.

– Rezo, dziękuję ci za wszystko – powiedziałam trochę niezdarne.

Następnie pożegnałam się z Mają, która nienawidziła rozstań i szybko odprawiła mnie machnięciem ręki. W końcu wbiegłam do domu po schodach, przeskakując po kilka stopni.

Nene drepcze dokądś, mijając mnie, wyraźnie podchmielona. Widać, że jest w doskonałym humorze, ściąga na siebie spojrzenia i rozkoszuje się tym. Podziwiam jej doskonale dopasowaną sukienkę i makijaż. Odciąga moją uwagę od ściany zdjęć i skupia ją na sobie, tak jakby to ona była właściwym eksponatem tej wystawy.

– No, jak się trzymasz? – szepcze mi do ucha rozbawiona i macha do kogoś z tyłu sali.

– Może być, dziękuję. Za to ty, jak widzę, dajesz sobie doskonale radę.

Zastanawiam się, dlaczego mówię to takim uszczypliwym tonem. Wyczuwa ten niewypowiedziany zarzut i wbija mi szpilę:

– Nie każdy jest taki jak ty, Keto – mówi dwuznacznie, a ja patrzę na nią, uśmiechając się krzywo. Tak dobrze się znamy. To akurat nie zniknęło, nigdy nie zniknie.

– Czy dostajesz od swojego nowego wielbiciela dokładnie takie drinki, jakich sobie wieszujesz? – Puszczam do niej oko.

– To naprawdę fascynujące – rzuca mi na odchodne, zdaje się, że ktoś ją zawołał, ktoś do niej macha, nie widzę dokładnie, kto.

– A gdzie się podziała Ira? – chcę jeszcze dopytać, ale wzrusza tylko z demonstracyjną obojętnością ramionami.

Czy to się kiedyś skończy? Czy będzie potrafiła jej kiedyś wybaczyć? A właściwie po czyjej stronie ja stoję? Czy kiedykolwiek zajęłam jednoznaczne stanowisko? W każdym razie wydaje mi się – i podejrzewam, że w tym tkwi przyczyna upadku naszej pozostawionej przypadkowi przyjaźni – że Nene ma mi po cichu za złe, iż stanęłam po stronie Iry, a jej stanowiska nie broniłam dostatecznie mocno. Być może uważa, że ze względów osobistych z ulgą przyjąłam to, co stało się z jej bratem. Ale tak nie było. Chętnie bym jej to powiedziała, ale to

i tak chyba niczego by nie zmieniło. Pachnie wanilią i słodkim wermutem. Trudno patrzeć na nią i nie mieć lubieżnych myśli, doskonale rozumiem młodego Belga. Kołysząc biodrami, odchodzi tanecznym krokiem na swoich zabójczo wysokich obcasach.

Wspominam nasze spotkanie pod koniec tego pełnego napięcia lata, gdy zobaczyłam ją przy bramie do ogrodu botanicznego i nie wiedziałam, jak mam zareagować. Jej wygląd i sposób bycia niesamowicie mnie zaskoczył, do dziś wyczuwam tę nieziemską pewność siebie i spokój, jakimi wówczas emanowała. Nigdy wcześniej i nigdy potem nie biła od niej taka dostojna wiara w siebie jak wtedy, podczas pierwszej ciąży, miłość do jeszcze nienarodzonego dziecka i ożywająca na nowo łączność ze zmarłym ukochanym otaczały ją niczym mur ochronny. Nie widziałam jej od wielu tygodni i chciałam koniecznie z nią się spotkać, zanim wyjedzie z matką na Krym, ale gdy podeszła do mnie wtedy, przy bramie do ogrodu botanicznego, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Nie byłam w stanie przyjąć do wiadomości, że ta ekscentryczna i teatralnie prezentująca się osoba to moja przyjaciółka. Wprawdzie zawsze nosiła jaskrawe kolory, to fakt, ale jej obecny strój miał w sobie coś dziwnego, była przebrana, w najdosłowniejszym znaczeniu tego słowa, jakby zależało jej na tym, żeby stać się kimś innym. Mimo upałów miała na nogach wysokie kozaki, a do tego białoczerwoną sukienkę w grochy z tiulową halką przypominającą spódniczkę baletową. W uszach dyndały ogromne kolczyki, dekolty był tak odważny, że trudno było oderwać od niego wzrok, a jej przesadny makijaż natychmiast przywodził na myśl postacie z komedii dell'arte. Co ten kostium miał oznaczać? Zastanawiałam się, czy wypada mi ją o to zapytać, czy też powinnam zachowywać się jak gdyby nigdy nic.

Chwyciła mnie pod rękę, jakby nie było między nami ani śmierci, ani nowego życia, i pospacerowałyśmy zieloną oazą naszego dzieciństwa. Odczuwałam niepokój z powodu tej właściwej sprawy, z którą chciałam się do niej zwrócić, i nienawidziłam się za to, że muszę to robić. Ale myśl o Irze i jej zmarnowanej

szansie nie dawała mi spokoju. Ira musiała wyjechać do Stanów, nie mogła tutaj zostać. Dina i ja zamierzałyśmy zaopiekować się Nene, tym razem zamierzałyśmy to zrobić naprawdę, więc Ira nie powinna z taką łatwością odrzucać naszych nadziei. Ira musi studiować, będzie studiowała po drugiej stronie świata, jako jedna z wybranych, będzie mogła poznawać nowy świat będący zapowiedzią szczęścia i wielkiej przygody. Ira wyjedzie jako reprezentantka nas wszystkich. Będziemy niczym cień towarzyszyć jej w drodze przez ocean, za jej pośrednictwem także my wyruszymy na spotkanie z tą przygodą. Nene to zrozumie, byłam o tym przekonana, i odwiedzie Irę od pomysłu wyjazdu za nią na Krym.

Nene cieszyła się, że mnie widzi, ciągle mnie zapewniała, że brakuje jej naszego towarzystwa. Ani słowem nie wspomniała o mężczyznach, ani o swoich braciach, ani o moim. Wyglądało na to, że nie chce też mówić o Sabie ani o ciąży, którą ja też początkowo zostawiałam bez komentarza. Tak więc po złożeniu sprawozdania z pobytu w Kachetii przeszłam szybko do rzeczy:

– Ira ma zamiar jechać z tobą.

– Jak to? Dokąd? – Zdawała się poirytowana zmianą tematu.

– Na Krym. Mówiła, że wkrótce wybierasz się tam z matką na urlop.

– Nie na Krym, tylko do Soczi. A dlaczegoż to Ira miałaby tam jechać ze mną?

– No cóż, przecież wiesz... Chce być przy tobie, kiedy twoja matka się dowie.

Cieszę się twoim szczęściem, no i Saby, Nene... Myślę, że będziesz fantastyczną matką – powiedziałam, wstydząc się jednocześnie tak nieporadnego doboru słów.

– Doceniam oddanie Iry i wiem, że chciała dla mnie innego życia.

Sposób, w jaki to powiedziała, odebrałam jak cios w brzuch.

– Nie usunę tego dziecka. Niezależnie od tego, co powie moja matka i co zrobi wuj albo brat. Żeby mnie od tego odwieść, musieliby mnie zabić.

– Nie pleć głupstw...

– To nie głupoty. Powiedzą, że to hańba, a hańba jest dla nich gorsza niż śmierć.

Pomyślałam w tym momencie o Ratim, ale szybko wyparłam tę myśl, to nie był odpowiedni moment, żeby rozmawiać o naszych braciach.

– Prawdopodobnie będą cię zmuszać do mówienia, że to jest dziecko Ottona.

– Nigdy tego nie zrobię! Nigdy nie urodziłabym dziecka mordercy! Wystarczy, że mój własny wuj kryje mordercę mojego męża!

Zbliżaliśmy się do wodospadu. Nie było tam żadnych bawiących się dzieci, nikogo. Słysząc było tylko chór ptaków i cykanie świerszczy.

– Nie wiem, co bym zrobiła bez Iry, dodaje mi odwagi – powiedziała nagle.

Zebrałam się w sobie i zażądałam:

– Musisz wybić jej to z głowy.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że wymuszam na niej, by zrezygnowała z kogoś, kto prawdopodobnie w tamtym okresie był dla niej największą podporą.

– Dlaczego?

Opowiedziałam jej w skrócie o zaproszeniu do Pensylwanii.

– Cholera, nic mi o tym nie mówiła – wymamrotała, ocierając pot z czoła.

– Odrzuciła już to stypendium. W ogóle nie chce nas słuchać.

– Musi tam jechać. – Do głosu Nene wkradło się pewne zakłopotanie, pewność siebie zniknęła.

– Wiemy, że nie jesteśmy w stanie zastąpić ci Iry, ale będziemy przy tobie, chcę, żebyś to wiedziała. Już wcześniej powinnyśmy były lepiej cię chronić...

– Ach, bzdury, nikt nie mógł mnie ochronić, Keto. Kto jest w stanie ochronić kogokolwiek przed jego własną rodziną, powiedz mi?

Zaczęła grzebać w torebce i wyciągnęła paczkę papierosów. Potem rozejrzała się ostrożnie, sprawdzając sytuację, i zapaliła.

– Nie powinnaś... – odezwał się automatycznie. W zasadzie nie miałam pojęcia, co powinna, a czego nie, co my wszyscy powinniśmy, a czego nie.

– Tak, a Saba nie powinien być martwy i jego morderca nie powinien być na wolności. Dziecko powinno mieć ojca, a Bóg powinien cisnąć w moją rodzinę piorunem. Powinien był to zrobić, zanim Otto Tatiszwili włożył mi obrączkę na

palec. – Mówiła zupełnie spokojnie, monotonnym głosem. Przez tę przekorę w głosie przemawiała dziewczynka, zniknęła nagle przyszła matka, znów stała przede mną uparta, samolubna, nierozsądna dziewczyna, której nie dane było być sobą. – Na jak długo ma wyjechać? – Wyglądało, jakby otrząsnęła się z czegoś, i zaczęła iść zdecydowanym krokiem, zmieniając temat.

– Zdaje się, że na rok. A poza tym, wiesz, zna tak świetnie angielski, myślę...

– Tak, wiem. Właściwie potrafi wszystko oprócz...

– Oprócz czego?

Nie odpowiedziała, zamiast tego zaczęła przyglądać się starym, magicznym drzewom, które właśnie mijaliśmy. A ja pomyślałam o czymś, czego nigdy nie miałabym odwagi powiedzieć głośno, ale co od czasu wizyty Iry u mnie w Kachetii nie wychodziło mi z głowy. Obok zawodowej szansy widziałam w wyjeździe Iry szansę na jej osobiste wyzwolenie. Miałam nadzieję, że dzięki odległości przestanie tak bardzo potrzebować Nene. Życzyłam jej, żeby spotkała tam ludzi, którzy myślą i kochają tak jak ona i żeby miała tam możliwość bycia sobą.

– Porozmawiam z nią – powiedziała Nene, przerywając dość długą ciszę.

– Wiem, że to trudne, dla nas wszystkich jest to cholernie trudne, kazać jej odejść akurat teraz, ale...

– A ty kazałaś mu odejść? – spytała i spojrzała wprost na mnie swoimi wodnistoniebieskimi oczami.

Spuściłam wzrok. Wiedziałam, o kim mówi, jednak nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Od powrotu nie widziałam się z nim ani razu, podobno wyjechał z rodzicami na wieś, bo jego mama źle się czuje. I zawsze, gdy skręcałam w podwórko, spoglądałam w stronę jego mieszkania, żeby sprawdzić, czy okiennice są otwarte, i za każdym razem wzdychałam rozczarowana, gdy musiałam stwierdzić, że nikogo nie ma.

– Nene, on od tygodni nie daje żadnego znaku.

– Już nigdy nie wróci do zdrowia. Musisz być tego świadoma, Keto.

Zdziwiło mnie, że tak klarowne i głęboko pesymistyczne słowa wyszły z ust Nene, największej optymistki, jaką kiedykolwiek znałam. Nie oczekiwała ode mnie odpowiedzi, odwróciła się na pięcie i dała do zrozumienia, że chce wracać do domu, z powrotem na swoje pole bitwy.

Wraz z nadejściem łagodnej i urokliwej jesieni zaczął chylić się ku upadkowi domek z kart, jakim był nasz kraj. Mimo ustalonego na początku września zawieszenia broni morze wyrzucało w kolejnych tygodniach coraz więcej trupów. Ludzie, którzy wcześniej żyli jeden obok drugiego, stali się nagle wrogami. Uciekinierzy zaczęli masowo przemieszczać się w głąb kraju, pozbawieni jakiegokolwiek ochrony byli zdani na łaskę i niełaskę uzbrojonych Rosjan. Tak zwane gruzińskie siły zbrojne składały się z nieświadomych niczego ojców rodzin, z niepełnoletnich chłopaków, których zapakowano na ciężarówki prosto z ulicy, z kilku romantyzujących patriotów, którzy chcieli koniecznie udowodnić, że są bohaterami, z artystów, którzy wcześniej głosili pacyfistyczne hasła, a teraz, ogarnięci jakąś dziwną gorączką, poczuli zew do obrony własnej ojczyzny, no i ze zwolenników ugrupowania Mchedrioni, którzy kontynuowali swoją łupieżczą wyprawę. Ale także heroina, cudowny, magiczny środek, który pojawił się nagle znikąd, zaczęła kusić mężczyzn do udziału w wojnie. Nie znaliśmy jeszcze wtedy tej bezbarwnej i bezwonnej trucizny, nawet nie przypuszczaliśmy, jak silny czar w niej tkwił, jaką jest pozeraczką dusz, płynęła naszymi ulicami, groźniejsza niż wojna i rosyjskie kałasznikowy. Maja i jej niezniszczalny entuzjazm przywiodły mnie z powrotem na Akademię, gdzie mogłam trzymać się nieregularnej regularności swoich studiów. Często myślałam o Rezie, wiele razy wygrzebywałam z szuflady jego numer telefonu, ale ostatecznie dawałam sobie spokój. Cóż miałabym mu powiedzieć?

To było chyba na początku września, gdy ktoś zadzwonił do naszych drzwi, pamiętam, że zaczęły mi drzeć kolana i natychmiast zrobiło mi się sucho w ustach. Nie byłam w stanie nic powiedzieć. Lewan wziął mnie bez słowa w ramiona

i wyszeptał do ucha: „Tak mi przykro, tak strasznie mi przykro, proszę cię, wybacz mi, już nigdy nie chcę sprawiać ci bólu, kocham cię, Keto!”.

Nawet gdybym mu wtedy nie wierzyła, to potrzebowałam tych słów, łaknęłam ich i poczułam się w tamtym momencie tak, jakby mnie ktoś uwolnił z ciemnego pokoju bez okien, w którym od miesięcy byłam przetrzymywana wbrew swojej woli. Wszystko runęło i to runięcie było wspaniałe. Objęłam go i przez chwilę rzeczywiście wydawało mi się, że najgorsze za nami, że od teraz będziemy już tylko szczęśliwi, w nagrodę za to, co nas dotychczas spotkało.

Pamiętam, że wskoczyłam wtedy szybko w trampki i nie mówiąc nikomu, wyszłam z nim na wrześnie słońce. Szwendaliśmy się bez celu. Zgubiliśmy się, wywinęliśmy się miastu, świat odpadł od nas jak strup z zabliźnionej rany i w tamtych godzinach poczuliśmy się uzdrowieni, uleczyliśmy się nawzajem, samymi sobą.

Opowiadał o Sabie, nieustannie mówił o swoim bracie i pamiętał o nim tylko to, co najlepsze i najpiękniejsze. Słuchałam go, chłonełam każde jego słowo, jakbym już wtedy wiedziała, że nie będzie nam dane zbyt często spędzać razem takich chwil, postrzegałam ten wspólny czas jako pewną deklarację, przyznanie się do mnie, i cieszyłam się, że jest wreszcie tak, jak powinno być. Wzięłam go pod rękę, nasze bycie razem zdawało się takie oczywiste, takie naturalne. Był niezwykle czuły i uważny, oddał mi swoją dzinsową kurtkę, gdy zaszło słońce, na oczach wszystkich objął mnie ramieniem, jakże byłam mu wdzięczna za ten gest. A potem, w którymś momencie, musiało to być gdzieś w okolicy Pikris Gora, przyciągnął mnie do siebie i zaczął całować bez opamiętania. Także ten pocałunek wydawał się lekki, jakbyśmy od dzieciństwa nie robili niczego innego, tylko się całowali.

Z nim u boku znowu poczułam nagle coś w rodzaju miłości do naszego z maltretowanego, umęczonego i pogrążonego w chaosie miasta, które od momentu powstania przez półtora tysiąca lat zdawało się doznawać jedynie okupacji, wyzwolenia, krwi i łez, wojny i na powrót wojny. A gdzieś pomiędzy tym znajdowały się pojedyncze życia i pojedynczy ludzie, którzy wiek za wiekiem

walczyli o swoje małe porcje szczęścia, a o których losie i tak przesądzano gdzie indziej. My także stanowiliśmy teraz część tego miasta, w nas także płynęła krew tych wszystkich, którzy tu polegli i którzy je budowali i kochali, wszystkich, których aresztowano i deportowano, którzy nagle zniknęli i nie zostawili po sobie żadnych grobów, jedynie ślady prowadzące w nieskończoność. Także my byliśmy dziećmi czasu, byliśmy obiecany mi narzeczonymi. Czas trzymał nas mocno w objęciach, a jednak tego dnia chcieliśmy uciec od niego, chcieliśmy go przechytryć i spłatać mu figla, czuliśmy się niepokonani, bo byliśmy zakochani, a zakochani mają prawo domagać się, by świat zostawił ich w spokoju.

Jakiś kolega dał mu klucz do swojego mieszkania. Moglibyśmy tam pójść, jak twierdził, pod warunkiem że ja też tego chcę. Zawahałam się przez moment. Nasze ostatnie zbliżenie wciąż mocno tkwiło mi w pamięci. Ale strach minął w mgnieniu oka, gdy popatrzyłam na niego i spojrzałam w jego jasną twarz. „Dobrze, to chodźmy” – powiedziałam i wzięłam go za rękę. Sama byłam zdziwiona pewnością swojej decyzji. W okolicach uniwersytetu zatrzymałam się koło budki telefonicznej i zadzwoniłam do domu. Nie chciałam, żeby ojciec albo babudy wysłały mego brata na poszukiwania. Wymyśliłam jakieś wiarygodne usprawiedliwienie swojej nocnej nieobecności i odłożyłam słuchawkę.

To było długo niewietrzone i zagracone mieszkanie z dużą ilością kaktusów na parapetach. Lewan zdawał się znać te pomieszczenia i czuł się tam dość swobodnie. Zapalił lampę naftową, potem obrał kilka owoców kaki, tak ostrożnie, jak gdyby przeprowadzał operację chirurgiczną, i poczęstował mnie nimi. Słabe światło nadawało jego twarzy coś z charakteru świętych, ze swoimi włosami i charakterystycznymi kośćmi policzkowymi wyglądał jak męczennik. Od kiedy przekroczyliśmy próg tego obskurnego mieszkania, sprawiał wrażenie jakoś dziwnie rozgorączkowanego i podekscytowanego.

– Rozmawiałeś z Ratim? – wykorzystałam moment, żeby zadać mu to kluczowe dla mnie pytanie.

– Zrobię to, obiecuję.

– Nie jestem jakąś tajemnicą, której trzeba strzec, nie mam już ochoty na te kryjówki i robienie wszystkiego cichaczem. Nie mogę... – Chciałam, żeby patrzył na mnie i chwycił go za brodę. – Jeśli chcesz, możemy porozmawiać z nim razem. Nie boję się własnego brata – oznajmiłam i w tym momencie zadałam sobie pytanie, czy rzeczywiście tak jest, czy złość Ratiego, a byłam pewna, że się zezłości, naprawdę nie zrobi na mnie większego wrażenia.

– To w ogóle nie wchodzi w grę, sam muszę to załatwić.

Nie czekał już na moją odpowiedź. Zamiast tego podniósł się i zaczął mnie namiętnie całować. Podałam się mu, już nie chciałam niczego odkładać na później. Rozpiął mi bluzkę i chwycił mocno za rękę, gdy chciałam podciągnąć mu podkoszulek.

– Zostań tak. Zostań tak, jak jesteś – powiedział, a jego ręce zaczęły pełzać po mnie jak jaszczurki.

Rozbierał mnie powoli, a ja musiałam zebrać w sobie całą odwagę, by wytrzymać jego spojrzenie. W ostatnim momencie powstrzymałam go i nie pozwoliłam zdjąć sobie spodni. Ostatnie zasłony powinny spaść dopiero wtedy, gdy zgaśnie lampa i gdy ciemności zadbają o to, by nie zobaczył moich blizn. Robił wszystko z wprawą i był tak pewny siebie, że przez moment poczułam zazdrość i zaczęłam się zastanawiać, gdzie i z kim mógł się tego nauczyć. Te pewne chwytaki ręką, wyuczone pocałunki, które składał na moim całym ciele. Jego spojrzenie, takie bezwstydnie i bezpośrednie, jakby był już doświadczonym mężczyzną, a nie jedynie chłopakiem, który udaje przed swoim losem dorosłego. Był ostrożny, chciał mi sprawić przyjemność. Wyglądało na to, że ten Lewan z samochodu w lesie już zniknął. Miałam nadzieję, nie, wmawiałam sobie, że już na zawsze.

Przysunęłam się do niego z dziecięcą ciekawością, chciałam zbadać mapę jego ciała, chciałam zapamiętać go ze wszystkimi jego zadrapaniami i nierównościami, z jego ciepłem i jego niepokojem. Pozwalał na to, opadł na łóżko, a jednak gdy dotknęłam jego podbrzusza, podniósł mnie gwałtownym ruchem i rzucił na łóżko.

– Nie wolno ci tego robić.

Nie rozumiałam, o co mu chodzi. Nic nie powiedziałam, ale nie mogłam pojąć, dlaczego moje pragnienie, by kochać się z nim bez ograniczeń, napawa go taką odrazą. Przełknęłam poirytowanie, to wzbudzone na nowo nieprzyjemne uczucie.

Tej samej ciepłej wrześnieowej nocy, gdy ja, tak strasznie wygłodniała, kochałam się z Lewanem – w mojej wyobraźni jest to ta sama noc, choć wiem, że to niemożliwe, bo te wszystkie wydarzenia dzieliło co najmniej kilka dni, jeśli nie tygodni – moje przyjaciółki także zmieniały bieg dziejów, po części celowo, a po części nie zdając sobie sprawy z konsekwencji. W moich wspomnieniach te wydarzenia stopiły się ze sobą nierozzerwalnie na zawsze. Warunkują się nawzajem, zdają się nawzajem przenikać, są różnymi wątkami tej samej historii, nie sposób opowiadać o sobie, nie uwzględniając przy tym Diny, Nene i Iry, bez nich byłabym jedynie fragmentem całości.

Nene pakowała walizkę, która miała pojechać z nią nad Morze Czarne. A tak swoją drogą: nad to wybrzeże, gdzie morze nie będzie wyrzucać na brzeg martwych ciał. Zaprosiła do swego domowego królestwa najwierniejszą popieczniczkę. Od pewnego czasu trzymała je pod kluczem, jakby chciała chronić swoje nienarodzone dziecko przed każdym negatywnym wpływem, przed każdym złym słowem i nieprzyjaznym spojrzeniem rodziny. Było późno, matka spała, Cotne był jeszcze w podróży, a Guga jak zwykle w ostatnim czasie w klubie sportowym. Śmierć Saby także na nim odcisnęła swoje piętno, mimo że nigdy nie byli ze sobą blisko. Coraz bardziej wycofywał się z życia swojego wuja i brata i zaczął na nowo odkrywać własne pasje. Zawsze lubił sport, ale był raczej zapalonym widzem, a teraz po raz pierwszy odważył się na realizację swoich sportowych ambicji. Już dawno było po nim widać, że nie pasuje mu szemrane życie jego rodziny, że porusza się w nim jak po zamrożonym jeziorze, w ciągłym strachu, że tafla lodu kiedyś pęknie. Nigdy nie miał w sobie na tyle siły, żeby zbuntować się przeciwko wujowi lub bratu, ale ta wstrząsająca tragedia, w którą tak fatalnie została wciągnięta jego ukochana siostra, spowodowała diametralną zmianę, coś w nim wyzwoliła. Nene opowiadała o jego fascynacji zapasami w stylu wolnym, niegdyś popularną w Gruzji dyscypliną sportu, o której żadna z nas nie

miała pojęcia. Gdy kiedyś mijaliśmy się przypadkiem pod dawną siedzibą Komitetu Centralnego, prawie go nie poznałam. Musiałam się dobrze przyjrzeć, żeby się upewnić, że to rzeczywiście on, tak bardzo zmieniła się jego postawa, a przede wszystkim to jego galaretowate, niezgrabne ciało, które teraz zaczęło przypominać stalowy korpus atlety.

Ira wyciągnęła się na łóżku Nene i przyglądała się, jak Nene z niechęcią upycha wszystko jak leci. Nagle Nene znieruchomiała, jakby opuściły ją wszystkie siły, i padła na łóżko obok przyjaciółki. Przytuliła się do Iry, położyła głowę na jej płaskim biuście i zaciągnęła się jej zapachem.

– Nie pojedziesz ze mną. Pojedziesz do Ameryki. Zrobisz to dla mnie – powiedziała zdecydowanym głosem i odgarnęła jej z twarzy niesforny kosmyk włosów.

Irę przeszył dreszcz. Poczwała jej oddech, pachnący dojrzałymi czereśniami i rozkoszą, lecz zamiast zaoferować jej bezpieczną przystań, przegnała ją słowami:

– Kto ci o tym powiedział?

– To nie ma znaczenia. Pojedziesz do Stanów, w przeciwnym razie już nigdy się do ciebie nie odezwę.

Tonacja głosu Nene wskazywała na to, że nie zniesie żadnego sprzeciwu. Była oddalona od twarzy Iry zaledwie o kilka centymetrów i spojrzała jej prosto w oczy.

– Nie zostawię cię po raz kolejny na lodzie.

– Urodzę to dziecko. Tak czy siak. Nie musisz się o mnie martwić. Jedyne, co musisz, to iść własną drogą. Także dla mnie – powiedziała i pogłaskała ją po policzku.

Ira czuła, jak wszystko wymyka jej się z rąk. Czy gdyby Nene wiedziała, na jaką misję wysyła swoją przyjaciółkę i że Ira zupełnie inaczej zrozumie jej prośbę, odesłałaby ją mimo wszystko? Czy mimo to zmusiłaby ją do podążania za własną wolnością?

– Zrezygnowałam już z tego stypendium...

– Więc odwołasz to. Na pewno dasz radę.

– Nie mogę uwierzyć, że ci o tym powiedziały – mruknęła cicho pod nosem Ira, czując, jak czerwienieje ze złości.

– I tak bym się dowiedziała. Chcę, żebyś tam pojechała.

– Ale ja chcę zostać przy tobie – wyznała Ira i łza spłynęła jej po policzku. – Nene, tak mi przykro.

– Wiem, Irinka, przecież wiem.

– Mogę spróbować później jeszcze raz, to znaczy, w przyszłym roku też będzie taki program...

– Nie gadaj głupstw! Nikt nie wie, co będzie w przyszłym roku. Dlatego pójdziemy razem jutro rano na uniwersytet i zmienisz decyzję.

– Ale jest już koniec miesiąca. Kiedy wrócisz, już się nie zobaczymy.

Płakała. Tym razem płakała otwarcie, nie kryjąc łez.

– Przecież wrócisz. A ja zostanę tu i będę na ciebie czekać, wszystkie razem tutaj będziemy na ciebie czekać. No bo gdzież miałybyśmy się podziać?

Nene uśmiechnęła się, otwierając szeroko niebieskie oczy, Ira starała się znaleźć w nich tak typową dla Nene niepewność, ale znalazła tylko nieznaną dotąd, nieubłaganą stanowczość.

– To dużo czasu, w końcu to cały rok, tyle może się wydarzyć. U ciebie, u nas wszystkich, w tym popieprzonym kraju. A ja będę w tym czasie daleko stąd i na pewno będę miała za mało pieniędzy, żeby tak spontanicznie tu przyjechać, gdyby coś się stało. Może ty też mogłabyś...

– Przecież widzisz, że nie mogę się stąd ruszyć. Co miałabym gdzie indziej robić? Nic nie potrafię. Nie znam angielskiego ani francuskiego, ani w ogóle niczego eleganckiego. Jestem przykuta do tego miejsca jak Amirani do skał Kaukazu.

Zanim Nene wróciła do pakowania walizki, przytrzymała Irę za brodę i dała jej mocnego, wilgotnego, gorącego, wiele obiecującego i niczego niegwarantującego całusa i trwały tak przez kilka chwil. Ira nie mogła się powstrzymać, instynktownie objęła przyjaciółkę i odważyła się wtulić usta w jej szyję, szepcząc do ucha:

– Nene, chcę z tobą zostać.

– Wiem, Irinka. Wiem – odparła Nene spokojnym głosem, łagodnym ruchem wyzwoliła się z objęć Iry i ponownie zajęła się górą swoich ubrań.

Być może to był moment, gdy Ira zrozumiała, że musi iść.

Zawsze, gdy myślę o tym fatalnym pożegnaniu, widzę, jak Dina w tym samym czasie zatyka memu bratu usta. W mojej wyobraźni robi to w tym momencie, gdy do Iry dociera, że Nene nigdy nie da jej tego, czego swoją nienazwaną miłością z taką desperacją szuka, i w tym samym momencie, gdy Lewan zmusza mnie do tego, żebym okryła swoje pożądanie szatą przyzwoitości.

Tamtego wieczoru Rati był w dziwnie refleksyjnym nastroju. Odesłał swoich kolegów i bez swojej wiecznej świty odebrał Dinę z redakcji. Oboje szli jesiennymi ulicami, obserwowali spadające dokoła liście, trzymali się za ręce, całowali się pod zepsutą latarnią, potem w jakiejś pustej knajpce po prawej stronie rzeki zjedli lobio, wypili piwo, obejmowali się, zapewniali szeptem o miłości i pod osłoną rozłożystych platanów rosnących wzdłuż brzegu rzeki wrócili do domu. Gdy Dina już chciała schodzić po schodkach do swojej sutereny, Rati zatrzymał ją i poprosił, by weszła z nim na górę. Rodzina już powinna spać i nikt nie będzie im przeszkadzał.

W swoim pokoju nastawił płytę i tańczyli mocno przytuleni do siebie. Ciągłe odgarniał jej niesforne włosy z twarzy i patrzył na nią, jakby nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. To dziwne, ale nigdy nie chciałam wyobrazić sobie brata, jak się kocha, i zwykle nie wchodziłam do jego pokoju, ale ta scena, którą Dina opisała mi ze szczegółami, przesuwająca mi się przed oczyma jak film, w którym Rati gra główną rolę. W tym punkcie na osi czasu, w którym nasze życiorysy tak wyraźnie przecinają się w mojej wyobraźni i do którego od czasu naszej ucieczki z zoo nieuchronnie wszyscy zmierzaliśmy, muszę wspomnieć swojego brata. Przyglądam się jego twarzy, jakbym za wszelką cenę chciała tam coś odnaleźć, coś, co być może mi umknęło i co mogło mieć kluczowe znaczenie dla tego wszystkiego, co nastąpiło potem.

W moim filmie Rati rozpiął jej bluzkę, gwałtownym ruchem rozsunął zamek w jej ulubionych szarych dżinsach, usiłowała go powstrzymać, dać mu do zrozumienia, że to nie jest odpowiednie miejsce, gdzie można byłoby bez skrępowania oddać się miłości. Ale jego nieodparta żądza musiała być zaspokojona, to uczucie musiało być wypite do dna. W moim filmie dała się porwać, jak zawsze, gdy stawała się świadkiem bezkompromisowej, zachłannej namiętności, ona zawsze oddziaływała na nią swą magiczną siłą przyciągania. Kierując się jego pragnieniem, wyczekała odpowiedniego momentu – tak, nawet mimo tego braku hamulców z uporem pozostawała sobie wierna – i wyrwała mu z ręki ster. Posłuszeństwo było dla niej pojęciem obcym, dlatego to ona musiała go rozebrać i przykładając palec wskazujący do ust, przypominać mu, żeby był cicho, w przeciwnym razie zbudzi babudy. Wielu myliło brak wstydu u Diny z bezwstydnością. Była wolna w swoim myśleniu i odczuwaniu, dlaczego więc miałyby poskramiać swoje ciało? W tym sensie wciąż pozostawała dzieckiem, nie wartościowała i była ciekawa wszystkiego aż do granic. W moim filmie kochali się nieprzytomnie, zamykała mu usta pocałunkami. Byli w tej grze miłosnej bezwzględni, wymuszali na sobie nawzajem bezsłowne obietnice, ścierali rękoma ponure przeczucia, ich cienie ledwo nadążały za nimi w tym ekstatycznym tańcu, zastęgały na ścianach i na suficie i przyglądały się w zdumieniu temu, co wyprawiają. Byli tak bezwstydnie młodzi i nienasyчени, odurzeni sobą i tak aroganccy w tym byciu we dwoje, drobne pioruny uderzały ich w brzuchy, w żebra, w gardła. Nie chcieli nic wiedzieć o świecie wokół nich, po prostu o nim zapomnieli. Wszystko, czego potrzebowali, odnajdowali w sobie nawzajem. Siedziała na nim i poruszała się jak podczas jakiegoś pogańskiego rytuału, jakby chciała obłaskawić rozgniewanych bogów, od jego pożądania aż zaparowywały szyby. Byli jednością i nic nie było w stanie ich rozdzielić, nawet ledwo dyszące i zmierzające ku końcowi stulecie, nawet wojna i niepewność zwana przyszłością. Gdy byli razem, nic im nie mogło się stać. Trzymali się za ręce, tańczyli rytmiczny i perfekcyjnie opanowany taniec, choreografię tylko dla nich dwojga. Czułość skapywała jej z czoła, a on łapał ją ustami. Podziwiał ją, tę amazonkę, górującą nad

nim, jedyną, której pozwalał się pokonać, zachwycał się jej oświetlonymi skąpym światłem piersiami i elegancko wygiętą szyją, wystającymi żebrami, niezgłębioną otchłanią między jej udami i jej lekko zaokrąglonym, dziecięcym brzuchem, małym pępkiem, sprężystymi ramionami, mocnymi biodrami, burzą włosów, zmierzwionych i spoconych, żarem w oczach. Chciał pozostać w jej nieskończonym labiryncie tajemnic na zawsze.

– Powiedz, że to nieprawda – wyszeptał jej do ucha, objąwszy rękami jej twarz i przyciągnąwszy ją do siebie.

Lekko jęknęła, początkowo nie rozumiała, co do niej mówi.

– Powiedz mi! – powtórzył, tym razem rozkazującym tonem.

– O co ci chodzi? – Dyszała, starała się nie krzyknąć, nie wypuszczać z siebie tego wszystkiego, tej bolesnej czułości i bezmiernego pożądania.

– Naprawdę coś cię łączy z Cotnem?

Zastygła, przycisnął ją do siebie, nie ruszał się, jeszcze nie przerywał łączących ich więzów.

– Co ty gadasz... – Przeszedł ją dreszcz.

– On, on...

Nie mógł mówić dalej, coś nim owładnęło, wzdrygnął się, poczuł skurcz, zamknął oczy, chwycił ją i odepchnął, skapitulował, opadł na łóżko i zaczął krzyknąć.

Tym razem nie zakrywała mu ust, po prostu się przyglądała, ponieważ wiedziała, że to, czego nie da się opisać słowami, zostało właśnie wypowiedziane. Wzięła go za rękę i poprowadziła ją między swoje nogi.

– To samo wyprawiałaś z nim? – wymamrotał, ale nie wycofał ręki.

– Nic nie wiesz, lepiej się zamknij, po prostu się zamknij, kochaj się ze mną, kochaj się ze mną do końca – zażądała, a on jej posłuchał.

– Wiesz, co to dla nas oznacza, jeśli to prawda.

– Nic nie jest prawdą. Nic nie wiesz o prawdzie...

– No to mi wyjaśnij!

– Nie przestawaj.

– Mów!

– Co on ci powiedział?

– Nic.

– Więc o co ci chodzi... – Jej głos się załamał, a oddech przyspieszył.

– Nie powiedział nic oprócz: „Oddaj mi swoją dziewczynę, ona i tak była ze mnie bardziej zadowolona”. I że wtedy będę mógł przejąć całą dzielnicę i wszystkie jego interesy, bo on i tak planuje coś większego. To powiedział. Wyobraź sobie. Powiedział mi coś takiego na środku ulicy. Ona była ze mnie bardziej zadowolona!

– Nie przestawaj...

– Wiedziałem od samego początku, czym dla mnie będziesz: moim największym szczęściem albo nożem na gardle.

Chwyła poduszkę i przycisnęła ją sobie do twarzy. Potem leżała nieruchomo. Nie przestawał gładzić jej ciała. Próbowła nabrać powietrza, próbowała zyskać na czasie, musiała się zastanowić, jak przejąć z powrotem nad wszystkim kontrolę. I wtedy nastąpił ten jeden z charakterystycznych dla Diny momentów: zrobiła dokładne przeciwieństwo tego, o czym myślała jeszcze kilka minut temu, nastąpiła ta absurdalna zmiana decyzji, to radykalne odwrócenie sytuacji, coś, co potrafiła robić doskonale. Przejęła stery w swoje ręce i przystąpiła do konfrontacji. Nie było już odwrotu, tama pęknie tak czy owak. Chciała mieć pewność, że ta chwila największej intymności pomoże znieść to wyznanie. Że ich miłość wytrzyma tę próbę. Była przekonana, że Rati razem z nią poradzi sobie z tą katastrofą. Że jej spowiedź, jej wyznanie miłości zostaną przyjęte.

Zerwała się na nogi. Była naga, nie chciała się już osłaniać, nie chciała już dłużej znosić tego balastu, pragnęła zakończyć to zdanie na łaskę i niełaskę, chciała zniszczyć władzę Cotnego, pokonać go swoją miłością. Zaczęła opowiadać bez ustanku, bez kropek, bez tchu, wszystkie tłumione do tej pory słowa tryskały z jej ust. Spowiadała się, fakt, że nie musi już ukrywać przed nim tej tajemnicy,

przyniósł jej niemal takie samo zaspokojenie, jakie przed kilkoma minutami zaznało od niego jej ciało. Opowiadała o dniu, gdy demonstracja rozlała się na całe miasto i chwyciła je za gardło, opowiadała o zoo i krzyku osamotnionych zwierząt, opowiadała o szklanych oczach łysola, o rudzielcu i jego kumplu leżącym nieruchomo w błocie, który zostanie już tam na wieki, bezimienny, z niezidentyfikowaną twarzą w szlamie.

Mówiła i mówiła, dawał jej się wygadać, pozwalał się bronić, nie przerywał, palił papierosa za papierosem i na pewno na widok biegającej nago tam i z powrotem Diny znów nachodziła go ochota, ale to było przecież teraz niemożliwe, zdławił ją w zarodku. Mój obiektyw przesuwają się teraz na jego twarz, robię zbliżenie, zatrzymuję się na niej i na jego strachu, który próbuje ukryć na wszelkie sposoby. Bo tak samo, jak czuł się wolny w swojej miłości do Diny, w takim samym stopniu był niewolnikiem wybranego przez siebie świata. Niewolnikiem konsekwencji, niewolnikiem wybranej przez siebie tradycji, niewolnikiem samorozsadzającego się systemu. Być może wydawało się jej, że on jest silniejszy niż system, ale myliła się. W pewnym momencie przerwała, spojrzała na niego i powiedziała:

– Poszłam do niego, rozebrałam się i potem zrobiłam to, co zrobiłam. Do niczego mnie nie zmuszał, zrobiłam to, a następnie podałam cenę.

Na chwilę zaległa nad nimi cisza, która nie zapowiadała niczego, a jednak mówiła wszystko. To była toksyczna cisza, nie do zniesienia.

– Nie byłam gotowa na to, żeby stać się morderczynią. Nawet dla ciebie, Rati. Nie zrobiłam zresztą tego tylko dla ciebie. Zrobiłam to także dla siebie. Chciałam, żebyś do mnie wrócił. Bo nie potrafię i nie chcę żyć bez ciebie.

Tym zakończyła swoją spowiedź. Jej głos nagle znów się uspokoił, ostatnie zdania wypowiedziała z namysłem i opanowaniem. Siedział na brzegu łóżka z opuszczoną głową. Nie widziała jego oczu.

– Podobało ci się to? – zapytał i spojrzał na nią z obcym wyrazem twarzy. Jeszcze nigdy tak na nią nie patrzył: ze wstrętem.

– To pytanie jest poniżej twojej godności. – Zaczęła szukać swoich ubrań.

– Podobało ci się? Zrobił ci dobrze, tak?

– Chyba nie mówisz teraz poważnie?

– Ach, więc wahasz się z odpowiedzią? Do jasnej cholery, jak mogłaś to zrobić?!

Coś zachrząściło. Zamarła. To była ciężka kryształowa popielniczka, która rozpadła się na tysiąc kawałków po tym, gdy Rati rzucił nią o ścianę.

– Ratuna, wszystko w porządku? – z pokoju obok dobiegł zatroskany głos jednej z babud.

– Zostawcie mnie w spokoju! – ryknął w odpowiedzi.

Gdzieś zapaliło się światło. To jasne, że nie zostawią go w spokoju.

– Wolałbyś zgnić w więzieniu?

– Tak, wolałbym! Poza tym moje chłopaki...

– Nie, niczego by nie zrobili. Gdyby mogli coś wskórać, już dawno by cię stamtąd wyciągnęli. A może wolałbyś, żebym zostawiła tego chłopaka w zoo do odstrzału? Jak miałabym potem z tym żyć? Jak?

Łzy napłynęły jej do oczu, ale nie, zebrała się w sobie, zmusiła się do panowania nad sobą, z poczucia dumy. Była nienaturalnie silna... autodestrukcyjnie silna.

– Przecież nie o to chodzi. Mogliście te pieniądze...

– Nie mogliśmy. Rozejrzyj się! Ludzie głodują!

– Wszystko bym zwrócił! Mógłbym...

– Nie mam na ten temat nic więcej do powiedzenia. Pójdę już. Będziesz musiał wydać swój wyrok beze mnie.

– Zostań tu, do cholery!

– Nie będziesz mi nigdy więcej rozkazywał, słyszałeś?!

Ruszyła do drzwi. Skoczył na równe nogi i zagroził jej drogę. Wziął ją za nadgarstek, szarpnął, chwycił ją mocno i potrząsnął, stracił panowanie nad sobą, przestał być sobą, albo przeciwnie, właśnie był sobą. Popatrzyła na niego, to samo

ciało, które niedawno dało jej tyle przyjemności, tyle oszałamiającej rozkoszy, zadawało jej teraz ból. Zamachnęła się i z całej siły uderzyła go w twarz. Odepchnął ją, uderzyła o ścianę, zegar ścienny zsunął się z gwoźdźca i runął na podłogę, z pokoju obok dobiegło sapanie, to babudy pędziły już na ratunek. Rati wrzeszczał i przeklinał cały świat.

– Podobało ci się?! Tak, podobało ci się, ty dziwko?! – Zaczął szlochać. Płakał jak dziecko. – Zabiję go, a potem zabiję ciebie, tak, Dina, potem zabiję ciebie!

Babuda dwa otworzyła gwałtownie drzwi.

– Spadaj stąd, spadajcie stąd wszyscy! – krzyczał zdławionym głosem.

– Strasznie mi przykro, Rati, ale nie miałam innego wyboru. Seks z nim albo śmierć tamtego człowieka... Sam widzisz, na co się zdecydowałam. Teraz zależy wyłącznie od ciebie, jakie wyciągniesz z tego wnioski.

Minęła go, nie zatrzymywał jej, stał nieruchomo jak pomnik, musiała przejść obok babudy dwa, uśmiechnęła się do niej smutno, zatrzasnęła za sobą drzwi i zniknęła w ciemnościach. Zaledwie kilka minut później nocną ciszę przesyłało wycie nieco przestarzałej i niezbyt sprawnej syreny i na podwórko wjechała bez sygnału świetlnego rozklekotana karetka. Dwóch mężczyzn popędziło do dwupiętrowego budynku naprzeciw nas i wkrótce potem wyniosło stamtąd bezwładne ciało wujka Giwiego. Jego serce przestało bić. Gdzieś w tle snuła się jego ulubiona muzyka Szostakowicza, była to, jeśli się nie mylę, *IX Symfonia*.

Oczywiście nie wybaczył jej. Od razu to po nim widziałam, wszystko po nim widziałam. Zaraz następnego poranka, gdy weszłam do kuchni, zobaczyłam, jak siedzi przy stole w samych bokserkach, na bosaka i pali papierosa. Mimo że nie słyszałam, co zaszło w nocy, domyśliłam się, co się stało. Poszłam potem do łazienki i stwierdziłam, że wyłączyli wodę. Wściekła kopnęłam wannę i rezerwową wodą z wiadra przemyłam twarz i ręce. Potem nabrałam głęboko powietrza i wróciłam do kuchni. Czekał tam na mnie, miałam więc do stoczenia z nim taką samą bitwę, jaką, jak przypuszczałam, tej nocy stoczyła z nim Dina. Wstawiłam wodę na herbatę i usiadłam naprzeciw niego.

– Gdzie ty się ostatnio włóczysz? Prawie w ogóle cię nie ma w domu. – Patrzył na mnie z pogardliwym wyrazem twarzy, jakby mój widok napawał go obrzydzeniem. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, padło następne pytanie: – A może ty też masz jakiegoś tajemniczego kochanka, jak twoja koleżaneczka?

Znałam ten prowokacyjny sposób bycia Ratiego, znałam jego nieumiejętność powstrzymywania się od ekstremalnych zachowań. I jednocześnie wiedziałam, że nie jestem Diną, że nie potrafię bronić się przed tą agresją z takim samym opanowaniem jak ona. Musiałam stawić mu opór w inny sposób.

– Ona nie ma żadnego tajemniczego kochanka. Kocha ciebie.

– Ach, i dlatego bzyka się z Cotnem Koridze? Facetem, który wsadził mnie za kratki, pieprzy się ze szczurem? – Był ogarnięty atawistyczną żądzą zniszczenia, jakby chciał pociągnąć za sobą w otchłań cały świat. – A ty o wszystkim wiedziałaś i nic mi nie powiedziałaś, kryłaś ją. Ty, ciało z ciała mego i krew z krwi mojej!

– Zrobiła to, co konieczne. Nie miałyśmy wyboru. Gdybyśmy zwiały, ten bydlak z Mchedrioni zabiłby też drugiego chłopaka. Nie wiesz, jakie to uczucie... – Instynktownie przejechałam ręką po udzie.

– Owszem, wiem doskonale, jakie to uczucie. A teraz na dodatek wiem, jak smakuje najgorsza zdrada. Tak bardzo ją kochałem, cholera, miała zostać moją żoną!

Wstałam i skorzystałam z okazji, żeby sobie zrobić herbatę.

– Chciała cię ratować.

Moim słowom brakowało siły przebicia. Potrzebowałam innych argumentów, niepodważalnych, czegoś, co liczyło się w jego świecie.

– Jak miałyśmy zdobyć pięć tysięcy dolarów, które straciłyśmy?

– Mogłyście coś sprzedać albo pożyczyć pieniądze, oddałbym to później, jak myślisz, co ja przez cały czas robię? Zarabiam pieniądze dla nas, dla naszej rodziny, dla niej...

– Musisz jej wybaczyć. – Wiedziałam, że ta uwaga graniczyła dla niego z obrażą, ale musiałam go rozbroić, musiałam wyrwać go ze strefy komfortu

i wprawić w zakłopotanie, żeby zaczął mnie słuchać. – Zrobiła to, bo cię kocha. Nic nie może zaszkodzić Cotnemu bardziej niż fakt, że jej wybaczyłeś i z nią zostałeś. Tylko tak możesz go unieszkodliwić, prowadząc grę na własnych zasadach i wytrącając mu w ten sposób broń z ręki.

– I być jak kastrat, narazić się na pośmiewisko, tak? Chyba nie sądzisz, że zachowa to dla siebie?

– Owszem, zachowa.

Zamyślił się nad moją propozycją, od której włos jeżył mu się na głowie.

– A niby dlaczego miałyby to robić? Na pewno rozpowie o wszystkim, żeby mnie załatwić. Na jego miejscu też bym tak zrobił!

– Nie robi tego, bo ją kocha. – Wahałam się, czy to powiedzieć, tego zdania bałam się najbardziej.

– Co ty wygadujesz?

– Kocha ją. Wiem to na pewno. Kocha ją od lat. Nie wyciągnął cię z pudła dzięki tej jednej nocy, zrobił to ze względu na nią, zrobił to dla niej.

– Keto, zamknij dziób! – Uderzył płaską dłonią w stół, rozlewając nieco mojej herbaty, ale nie dałam się zbić z tropu.

– Nawet nie wiem, czy Dina o tym wie, ale ja wiem. Dlatego będzie trzymał język za zębami. A ty nadal będziesz z Diną i ożenisz się z nią, założysz rodzinę i co tam tylko jeszcze chcesz. Dina to twój atut, dzięki któremu raz na zawsze przepędzisz Cotnego ze swojego życia. Mógłbyś ze względu na Dinę, mamę, mnie wznieść się ponad to całe gówno i być wielki, prawdziwie...

– To jakieś totalne bzdury! Co ty wygadujesz?! Zaciągnął ją do łóżka, żeby mi dowalić! Przestań być naiwna i wierzyć w to, że on ją kocha!

– Ale to prawda! – Sama byłam zdziwiona siłą swojego głosu, jakbym naprawdę wierzyła w to stwierdzenie. – I w głębi serca wiesz, że zrobiłyśmy jedyną słuszną rzecz. Że ona była odważna. Ja nie byłam.

– Co to ma znowu znaczyć? Że nie byłaś odważna, bo z nikim nie polazłaś do łóżka?

– Nie byłam odważna, bo chciałam zwać i zostawić tego chłopaka.

Po raz pierwszy podczas naszej rozmowy spojrział mi prosto w oczy. Jego ładną twarz wykrzywiało ból, zdawało się, że zabrakło mu argumentów. Wpatrywałam się w jego ciemny pieprzyk nad górną wargą i czekałam. Na wyrok w nieistniejącym procesie.

– Ale przecież nie o to chodzi – odezwał się w końcu z namysłem. – Nie mam przecież nic przeciw temu, że chcieliście ratować tego typka. A swoją drogą sprawdzę to, znajdę tych bydlaków. Rozumiem was, przyznaję wam rację. Ale powinniście były ze mną porozmawiać albo z chłopakami poszukać jakiegoś rozwiązania, zdobyć pieniądze jakoś inaczej... Co za kanał, po prostu nie mogę w to uwierzyć!

– Ciekawe jak? Cholera, Rati, ciekawe jak? Miałyśmy mało czasu! A twoi koledzy nie daliby sami rady. Czy ty w ogóle wiesz, jakie to było dla nas trudne? Mógłbyś okazać trochę pokory!

– Pokory? Już całkiem ci odbiło?

– Nie. Pokory wobec faktu, że ludzie tak cię potrzebują i kochają, że są gotowi zrobić dla ciebie wszystko...

– Brak mi słów, naprawdę, doprowadzasz mnie do szału, teraz mam być jeszcze wdzięczny za to, że kobieta, którą ubóstwiałem, jest cholerną dziwką?

– Mówię ci po raz kolejny: nie nazywaj jej tak! – zbeształam go.

Poczułam nagle silną potrzebę wzięcia go w ramiona, ale bałam się odrzucenia. Coś w moim głosie musiało mu uzmysłwić, że posunął się za daleko. Bo jego agresywność nagle, jak się zdawało, uleciała, zapadł się w sobie, podparł głowę rękami i westchnął. To było westchnienie starego człowieka, oszukanego przez życie i opuszczonego przez ludzi, którzy byli dla niego ważni. Nie chciałam tak szybko dawać za wygraną.

– Czy mógłbyś się nad tym zastanowić, czy mógłbyś przynajmniej na minutę wziąć moje słowa na poważnie i przemyśleć mój plan?

– Plan? I ty to nazywasz planem? To, że się ośmieszę? Kto mi okaże respekt, kiedy zostanę szmatą, kompletnym idiotą i facetem bez jaj?

– Nikt nigdy o tym się nie dowie...

– Ale on mi to powiedział na środku ulicy, więc co to znaczy? I jak mógłbym jej znowu zaufać, jak patrzeć na nią i nie myśleć o tym, że on... – Znowu się nadał, ciało się naprężyło, wyprostował się i spojrzał na mnie pełen nienawiści.

– Dasz radę, bo ją kochasz. Dina to najlepsze, co cię spotkało w życiu, i bądź co bądź uratowała ci tyłek, zapomnij o Cotnem, zapomnij o całym świecie, weź ją za rękę i bądź z nią szczęśliwy! Już nigdy nie znajdziesz kogoś takiego jak ona.

– Twoja moralność jest zatrwajająca.

– Moralność? I ty mówisz mi o moralności? Popatrz na siebie. Wszystko, co robicie, jest niemoralne! Wszystko, co teraz się dzieje wokół nas, jest niemoralne!

Nagle zadźwięczały mi w uszach słowa Reza. Ostrzegał mnie i miał rację. Tak, nie chciałam się już poświęcać. Straciłam już do brata cierpliwość, i do Cotnego Koridze też, nie miałam jej już nawet dla Lewana. Jednak coś mnie powstrzymywało przed tym, żeby opowiedzieć mu o zoo i o tym, co się ze mną dzieje, od kiedy to się wydarzyło, i tak nic nie zrozumie, nie zrozumie moich blizn. Nie, rozmowa o tym nie miała sensu. Dopiero dużo później zastanawiałam się, czy powinnam mu była o tym opowiedzieć, o krwawych śladach wydarzenia w zoo. Czy mogłoby to czemukolwiek zapobiec, przed czymś go powstrzymać?

Podeszłam do okna i patrzyłam na opuszczone podwórko. Jak smutno i samotnie zaczął nagle wyglądać mały, obsadzony roślinami ogródek pośrodku podwórza i pusta huśtawka, dawne miejsce zabaw. Teraz powiewało tam tylko na wietrze kilka ubrań wiszących na sznurze.

– Mam już dość waszych zasad i zabawy w chowanego. Co wy sobie myślicie, że kim wy jesteście? Bogami? Nie, nie jesteście nimi. Nie macie o niczym pojęcia tak samo jak my wszyscy.

– Aha, zabawy w chowanego? No to dawaj, w takim razie mów, skoro już przy tym jesteśmy. Czy jeszcze coś mi umknęło?

– Kocham Lewana.

Nie mogłam wybrać gorszej chwili na to wyznanie, ale było mi już wszystko jedno.

– Mówisz o moim Lewanie?

– Tak, o twoim Lewanie.

– Jaja sobie ze mnie robisz? A on wie, jakie go spotkało szczęście?

– Tak, i odwzajemnia moje uczucia. Od czasu do czasu się spotykamy.

– Że co...?

– Tak, spotykamy się.

– Kiedy? I gdzie?

– O Boże, Rati, jakie to ma znaczenie?

Wyobrażałam sobie tę chwilę znacznie gorzej, w zasadzie teraz odczuwałam makabrycznie dziką satysfakcję, że wszystko się wali. Bezwzględność może być czasami wspaniałym uczuciem, stwierdziłam w tamtym momencie.

– Jak długo to trwa? – syknął.

– Już nie pamiętam, może od zawsze. On nie ma odwagi porozmawiać z tobą na ten temat otwarcie.

– I słusznie! Spiorę go na...

– Czy to jest naprawdę jedyna rzecz, jaka ci w tej chwili przychodzi do głowy? Czy w takim razie mnie też dasz za to w mordę? No to już, zrób to, uderz mnie, skoro tylko to potrafisz! Nie boję się, wcale się ciebie nie boję!

Zaczęła mu się trząść broda, znów popatrzyłam na jego perfekcyjny pieprzyk nad górną wargą, oczy mu zmętniały i zasepiły się, wyglądał na zagubionego. Zastanawiałam się, czy rzeczywiście go znam, czy tak naprawdę wiem, do czego jest zdolny.

– W takim razie pierdolcie się wszyscy! – krzyknął mi prosto w twarz i wybiegł z pokoju.

Sprawy się skomplikowały, słowa były jak ostrza noża, który wpadł w niewłaściwe ręce.

Ile niewłaściwych dróg trzeba przejść, żeby znaleźć w końcu tę właściwą? Ile obietnic bez pokrycia trzeba złożyć, żeby w końcu dotrzymać słowa? Ile razy trzeba wędrować z kraju do kraju, żeby w końcu znaleźć swój dom? Jak można zmienić swój los, skoro tkwi w nas jak wyuczony na pamięć wiersz? Ile godzin musiałabym odmierzyć, ile razy odwrócić klepsydrę, żeby powrócić do punktu, w którym zegary chodziły jeszcze jak należy?

Patrzę na twoje zdjęcia i wszędzie widzę twoje odpowiedzi, nawet jeśli nie zadaję już żadnych pytań. Dekapituję lata, które oddzielają mnie od ciebie, które oddzielają mnie od wszystkich twoich właściwych decyzji i złych ich realizacji, trzymam w ręku sierp i wymachuję nim, znikają dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem. A mimo to wciąż pozostajesz daleko. Twoje obrazy nie przynoszą pocieszenia, już dawno chciałam ci to powiedzieć, są bezlitosne...

Biorę do ręki kolejną lampkę wina i zastanawiam się, kim byłabym bez ciebie. Czy moje życie nie byłoby bardziej satysfakcjonujące, gdybyś nie prowadziła mnie ze sobą na strome szczyty swojej zuchwałości, gdybyśmy nie poszły wtedy do tego zoo, Dina? Kim byłabym, gdybyś tu teraz była, gdybyś była przy mnie? Czy mój brat byłby teraz z tobą?

Znów nachodzi mnie złość na całą tę uroczystość, bo celebrują tu twoją śmierć, Dina! Twoje zdjęcia cię przeżyły i pragnie ich cały świat. Ale mnie są one obojętne, bo nie są w stanie mi ciebie zastąpić, nigdy! Sztuka – olać ją, Dina, jeśli trzeba okupić ją własnym życiem! Ile razy mi zaprzeczałaś, ile razy opowiadałaś z entuzjazmem o swoich idolach, o wszystkich tych majestatycznych obrazach i fotografiach, i zawsze zdawałaś się gotowa oddać za nie wszystko, nawet uwiecznić swoje własne ślady. Ale czy to było tego warte? Tak, czy to jest tego warte? Tak chciałabym usłyszeć choćby twój śmiech, jakiś głośny okrzyk, jedno zdanie, niechby i wściekły zarzut, wszystko jedno, wystarczy, że dałabyś jakikolwiek znak życia, a byłabym gotowa puścić tę salę z dymem.

Rati zniknął na parę dni. Oczekiwanie na niego było jak tykanie bomby. Ira nie pojechała do Soczi. Nene poszła z nią na rozmowę do kierownika wydziału i przekonała go, żeby wycofał rezygnację Iry. Dina uczepliła się swojego aparatu fotograficznego, stał się jej kryjówką, jej domem. Rzeczywistość oglądana bez soczewki aparatu wydawała się jej nie do zniesienia. Zabroniła mi rozmawiać z nią o Ratim, a zamiast tego zaczęła jak opętana opowiadać o wojnie, o jej marzeniu, by z Poznerem pojechać do Abchazji i zagrać ze śmiercią w rosyjską ruletkę! Ten pomysł obezwładniał mnie i doprowadzał do wściekłości.

Pamiętam każde pojedyncze słowo, które powiedziałaś mi tamtego popołudnia w drodze do domu. Pamiętam, jak zaczęłaś niby od niechcienia, bardzo lapidarnie wspominać coś o wojnie, pociągała cię ostateczność, chciałaś uwiecznić bezmierne cierpienie, żeby zagłuszyć swoje własne, wmawiałaś sobie, że twój ból nie jest tego wart, żeby od niego zdychać, ale wojna, owszem, tak, to jest coś tak wielkiego i potwornego, coś tak niewyobrażalnego i jednocześnie tak zwyczajnego, że to dopiero ma znaczenie. Twoje małe, osobiste cierpienie nie, twój miłosny dramat późnego okresu dojrzewania nie, twoje prywatne szaleństwo nie mogło zakończyć twojego życia, o nie, ty chciałaś zginąć od czegoś naprawdę znaczącego.

Trudno było ci przyznać, że jego zdrada, bo tak określiłaś jego odtrącenie, zabolęła cię do szpiku kości, że to wyświechtane i nieszczęsne słowo „dziwka” obróciło twoją wiarę w popiół. Że na wojnie chciałaś odnaleźć spokój, chciałaś popijać herbatkę z trupami i liczyć łuski po nabojach, chciałaś złożyć swoje serce w okopach w nadziei, że w końcu przestaniesz cokolwiek czuć. W nadziei, że znajdziesz inną prawdę niż ta, którą niesie się na ramionach jak trumnę i składa do grobu w wyznaczonym wcześniej do tego miejscu. Liczyłaś na to, że strach obedrze cię żywcem z miłości.

Gruzińskie siły zbrojne były śmiesznym określeniem czegoś, co nie funkcjonowało jako coś takiego. Były to niezliczone ugrupowania, bandy lub formacje, a każde z nich miało swojego przywódcę. I nie istniał choćby w zarysie jakikolwiek plan strategiczny. Każdy walczył swoimi środkami, każdy posuwał się

na tyle daleko, na ile pozwalały mu jego odwaga, sumienie, względnie brak sumienia, czy też szczęście.

Układ pokojowy, który Szewardnadze podpisał w Moskwie na początku września z Jelcynem i Ardzinbą i który przewidywał zawieszenie wszelkich działań wojennych na terytorium Abchazji, miał się wkrótce okazać nic niewartym kawałkiem papieru. Dwudziestego szóstego września schwytano pod Gagrą abchaskiego żołnierza. Przesłuchanie wykazało, że strona abchaska planuje wielką ofensywę i chce przejąć kontrolę nad Gagrą. Nadciągała zima i jeśli granica z Rosją nadal będzie zablokowana, a góry staną się nie do przebycia, miasto nie przetrwa zimy.

Stacjonujące pod Gagrą gruzińskie oddziały w sile trzech tysięcy żołnierzy, podlegające pewnemu urzędnikowi ministerialnemu z Tbilisi, nawet w minimalnym stopniu nie były przygotowane do tego, co miało nastąpić, i na początku października zostały wyparte w ciągu kilku godzin. Wiodącą rolę w tej ofensywie odgrywał czeczeński batalion i ugrupowanie kozaków, grupa abchaskich najemników opłacanych rosyjskimi rublami. Szturm rozpoczął się nad ranem i w ciągu godziny zmiótł z powierzchni ziemi stu niczego nieświadomych chłopaków, którzy mieli strzec dróg dojazdowych do miasta oraz terytorium o powierzchni blisko czterech kilometrów kwadratowych. Zwłoki tych niczego nieświadomych żołnierzy usłały drogę prowadzącą wprost do serca miasta, a Abchazja wciągnęła na abchasko-rosyjskiej granicy swoją flagę na maszt. Rozpoczęła się kampania zemsty przeciwko gruzińskiej ludności cywilnej. Przystąpiono do „oczyszczania” miasta, płonęły domy, światła magiczno-wstrząsającego inferna sięgały aż po brzeg morza. Nie było tam nikogo, kto mógłby ratować mieszkańców. Czekając samotnie na cud, padali jeden za drugim na ziemię w takt muzyki z kałasznikowów. Morze przyjęło umarłych do siebie, obmyło ich rany, zlizowało krew i zapewniło im sen wieczny.

TRZY: HEROINA

Jakże okrutna, jak ciemna i bezsensowna

Jest nasza droga ku światłu!

Julij Kim

РАЗБОРКИ / RAZBORKI

Mimo że byłam przygotowana na to zdjęcie, to teraz, gdy przed nim stoję, czuję zaskoczenie. Jego rozmiar i wojerystyczny charakter szokują mnie na nowo. Fotografia przedstawia młodą, nieskazitelną twarz Cotnego Koridze. Jego niemal fosforyzujące oczy zdają się patrzeć prosto na mnie. Doskonale znam ten jego bezczelny, nieprzenikniony, lekko cyniczny wyraz twarzy i jednocześnie tak bardzo go nienawidzę. Znam tę pociągająco-bezlitosną twarz, która przykuwała tak wiele kobiecych spojrzeń, kształtny nos i pełną dolną wargę, wysokie czoło, jasnoniebieskie oczy, takie same jak u reszty rodzeństwa i u wszechwładnego wuja, oraz bliznę rozdzielającą na pół lewą brew, no i obowiązkowy, a jakże, trzydniowy zarost. Siedzi w swoim samochodzie. Szyba opuszczona, lewa ręka zwisa przez okno. Patrzy na fotografkę wyzywająco, nie spuszcza z niej wzroku, nie przeszkadza mu, że wdziera się obiektywem w jego duszę, raczej znajduje w tym przyjemność, wręcz ją do tego prowokuje.

Trudno mi znieść to spojrzenie, dla mnie te przejrzyste jak woda oczy zawsze, odkąd sięgam pamięcią, zapowiadały wielkie nieszczęście. Ta jego twarz pięknisia, który doskonale wie, jak działa na innych, i potrafi to wykorzystać. Gardzę tą całą pewnością siebie, tym zuchwałym wyrazem twarzy. Ale istnieje jeszcze inny powód, dla którego mam ochotę zdjąć ten obraz ze ściany i wymazać go z pamięci. Gdy przed laty zobaczyłam to zdjęcie po raz pierwszy, przeraziłam się, ponieważ oprócz rzeczy oczywistych dostrzegłam w tej twarzy coś jeszcze, co napędziło mi strachu. Odczułam wtedy nawet coś na kształt współczucia, bo gdy przyjrzałam się dokładniej, pod pozą władcy i wiecznego zwycięzcy odkryłam tam również człowieka, który kocha. Kocha z pełnym oddaniem i stanowczością mężczyzny na wskroś odpowiedzialnego, który zdaje sobie sprawę z mankamentów tego uczucia niebezpieczeństw z nim związanych i z jego śmiertelnych otchłani. Ten młody

człowiek jest zakochany w sposób zupełnie niepasujący do jego wieku, uczucie do dziewczyny, na którą patrzy, nie jest radosne i beztroskie, lecz ciężkie i obarczone brzemieniami skutkami, których jest świadom. Jeśli przyjrzymy się tej fotografii nieco dłużej, wówczas ten zadowolony z siebie chłopak o prowokacyjnym spojrzeniu przemienia się w kogoś, kto ma swoje potrzeby i pragnienia, kogo bardzo łatwo zranić i kto ucieka przed samym sobą, kto w przerażająco oczywisty sposób akceptuje swój los i jest gotów zapłacić za swoje uczucie wysoką cenę.

Cotne był od dziecka przygotowywany do swojej kariery. Wiedział, że któregoś dnia zostanie spadkobiercą Tapory. Milcząco, lojalnie i z wielkim oddaniem pełnił swoją służbę, płacił łapówki różnym funkcjonariuszom milicji i co miesiąc zbierał haracze od cechowików objętych ochroną Tapory. Od czasu do czasu pobił jakiegoś krnąbrnego „podopiecznego” lub przyłożył mu obrzyna do skroni. Stopniowo przejmował coraz więcej interesów wuja. Ukoronowaniem jego kryminalnej kariery były wyjazdy wraz z Taporą do Rosji, na owiane złą sławą schodki, czyli spotkania różnych bratw, bractw złodziei, na których miał okazję poznać grube ryby z grupy izmajłowskiej. Ale mniej więcej od czasu, gdy Cotne zaczął być widywany z członkami ugrupowania Mchedrioni, jego konflikt z wujem był tylko kwestią czasu, ponieważ wuj odbierał to jako afront. Ugrupowanie Mchedrioni podlegało innemu autorytetowi, pięknoduchowi i dramaturgowi Ioselianemu, i nawet jeśli Cotne jedynie w symboliczny sposób zbliżył się do tego człowieka, to wystarczyło, żeby podważyć w oczach wuja swoją lojalność. Innym punktem spornym był mój brat. Ze względu na osobisty konflikt z Ratim Cotne uruchomił kontakty ze skorumpowanymi stróżami prawa po to, by przy ich pomocy wyeliminować Ratiego, co było naruszeniem honorowego kodeksu przestępcy. Również śmierć Saby, skandal, w który była zamieszana siostra Cotnego, Nene, a tym samym cały klan Koridze, stanowiła plamę na honorze Tapory. Odpowiedzialnością za taki stan rzeczy Tapora obarczał swojego bratanka. Podczas ostatniej podróży do Rosji Cotne nawiązał pewne kontakty w Rostowie, trochę się tam rozejrzał i, jak twierdził, odkrył nowy lukratywny biznes. Od czasu sowieckiej

inwazji na Afganistan do Rosji i dawnych sowieckich republik płynęła strumieniem heroina. Rozpad imperium i wynikająca z tego tytułu zmiana granic, które nie były w żaden sposób zabezpieczone, ba, nawet nie zostały prawnie wytyczone i zatwierdzone, otworzył drzwi dla nielegalnego handlu. Przemysł surowego opium, przetwarzanie go na morfinę i w końcu produkcja heroiny okazały się kopalnią złota i pociągnęły za sobą jeszcze więcej haraczy, rabunków, prostytucji oraz gier hazardowych i wymagały zorganizowanych struktur. Istniał tylko jeden haczyk: kodeks honorowy worów w zakonie zakazywał zarówno handlu narkotykami, jak i prostytucji, ponieważ te dwa obszary interesów uchodziły za nieczyste. Ale czasy szybko się zmieniały i Cotne dostrzegł w tym swoją szansę. Znalazł się we właściwym miejscu we właściwym czasie. Podczas gdy całe państwa zżerała gangrena, a honor zdawał się pojęciem z minionego stulecia, gdy wiele krajów dokonywało samorozwiązania i każdy próbował zgarnąć dla siebie to, co było do zgarnięcia, Cotne postanowił nie przepuścić nadarzającej się okazji. Nawiązał kontakt z pewnym młodym człowiekiem z Rostowa, znanym wszystkim pod pseudonimem Begemot, czyli Hipopotam, który szukał jakiegoś partnera biznesowego w związku z planowaną ekspansją na południe. Wznieśli toast drogimi drinkami, po czym udali się do ustronnych nastrojowo urządzonych pomieszczeń, gdzie dali się zaspokoić młodziutkim blondynkom – to taka „drobna przysługa” ze strony Begemota dla przyszłego, jak miał nadzieję, partnera biznesowego.

Cotne musiał się poczuć jak mafiozo z *Ojca chrzestnego*, a przede wszystkim szedł z duchem czasu. Era wuja i jego kolegów już minęła, wyjaśniał Cotnemu Begemot podczas późniejszej wystawnej kolacji. Nadchodzi czas nowych struktur i nowych idei, nowych sojuszy i sposobów myślenia. Doskonale wyobrażam sobie tę scenę, gdy niski Begemot z wypiekami na twarzy i żarzącą się cygaretką między zębami obejmuje Cotnego i kontynuuje swój wywód:

– Szanuję twego wuja, bracie, chcę, żebyś o tym wiedział! To wielki człowiek, trzeba mu to przyznać. I doskonały wzór, bracie, co prawda, to prawda. Nie jest taki jak ci frajerzy, którzy się tu kręcą i twierdzą, że żyją zgodnie ze starymi

zasadami. On naprawdę je uosabia! Ale zgodzisz się chyba ze mną, że świat się zmienił. Wyglądasz na niegłupiego chłopaka, wydaje mi się, że dobrze się rozumiemy. Przejdę więc do rzeczy: mam dobrych ludzi w Tadżykistanie. Stamtąd pochodzi teraz najlepszy towar, jaki w ogóle można dostać na rynku, sam wiesz. Najczystszy. Lepszy niż z Afganistanu. Tadżykistan jest najczystszy. Tam jest przyszłość!

Być może wziął w tym momencie serwetkę i nabazgrał na niej złoty szlak. Być może...

– Więc tak. Spójrz, bracie. Duszanbe, to jest stolica. Tutaj, popatrz, stąd szlak prowadzi dalej do Uzbekistanu. Tamtejsza straż graniczna to kpiny, mówię ci. Potem mamy kawałek Kazachstanu, im jest wszystko jedno, dasz kilka dolarów i wszyscy będą zadowoleni. Wszędzie mam już swoich ludzi. Żadnych pociągów, mówię ci, samochody. Same samochody. Dobre zachodnie fury. A z Kazachstanu jest już tylko rzut beretem do Morza Kaspijskiego, ale tam nam nie pasuje, oni tam mają wojnę, granica między Armenią i Azerbejdżanem jest dla mnie zbyt ryzykowna, pojedziemy nieco okrężną drogą, ominiemy ten region i wjedziemy do Rosji bezpośrednio z góry, pojedziemy przez Piatigorsk i zorganizujemy tam punkt przerzutowy, tam rozdzielimy towar, wiesz, co mam na myśli. Władykaukaz byłby dobrą alternatywą, ale wy macie tam swoje problemy z Osetyjczykami, a ja nie mam ochoty na kłopoty z wojskiem i te wieczne łapówki, w końcu interes musi przynosić prawdziwą kasę, o nie, niech pieprzą sami siebie, my nie pozwolimy się pieprzyć. Piatigorsk jest w porządku, znam tam paru fajnych chłopaków, pomogą nam, tam nasz transport się rozdzieli: część przyjedzie do mnie, do Rostowa, a druga część pojedzie do Tbilisi. Będziemy jechać od północy, przez góry, potem dalej przez Megrelię, mam nadzieję, że tam będzie nadal spokojnie, jak myślisz, czy może Megreloom też zechce się niepodległości, jak Abchazom?

Być może w tym miejscu Begemot zaśmiał się głośno, a ślina prysnęła mu z ust.

– No jak, bracie, co o tym sądzisz? Jak ci się podoba ten plan? Brzmi dobrze, co?

– Tak, chyba tak.

– Co tak niepewnie, bracie? Boisz się wuja? Myślałem, że nie brakuje ci odwagi. Idź do niego, pogadaj. Powiedz mu, że to twoja jedyna i niepowtarzalna szansa i że drugi raz nie zaproponuję ci niczego takiego, znajdę innych obrotnych Gruzinów, którzy nie dadzą się dwa razy prosić. Jesteś człowiekiem przyszłości, bracie, powinieneś wiedzieć, co trzeba zrobić.

I Cotne wiedział.

Begemot dał mu miesiąc na zastanowienie się. W tym czasie Cotne Koridze miał albo przekonać swego wpływowego wuja do tego, by mu się podporządkował, albo musiał wypowiedzieć mu wojnę.

Tapora oczywiście odrzucił propozycję. Żadnych narkotyków, żadnych dziwek, w tej kwestii nic się u niego nie zmieniło. Cotne Koridze zaczął więc za plecami wuja rozbudowywać niezbędną siatkę znajomości, nawiązywał kontakty ze strażą graniczną, przymilał się i smarował, komu trzeba. Podczas tej zakrojonej na szeroką skalę ofensywy nic nie miało prawa stanąć mu na przeszkodzie. Pojechał do Zugdidi i podjął tam rozmowy z grubymi rybami we władzach prowincji, noc w noc wyliczał, komu należy się jaki procent i łapówka za milczenie.

Wojny w Osetii, a teraz też w Abchazji, były mu na rękę, ponieważ popyt na jego towar był tak duży jak na broń. Z kilkoma najbardziej zaufanymi wspólnikami pojechał na początku października w ścisłej tajemnicy do Piatigorska, spotkał się tam z Begemotem i pośrednikami, obejrzał magazyny i wziął pierwszą dawkę heroiny. „Porządny towar” z Duszanbe. Biały proszek został przytrzymany w łyżeczce nad niewielkim płomieniem, zmienił kolor, zrobił się brązowawy, przemienił w płyn, został wciągnięty do strzykawki, a następnie wstrzyknięty bezpośrednio do żyły.

Próbuję sobie wyobrazić, jak ta pierwsza dawka mogła na niego podziałać, na takiego człowieka jak on. Jak to było, gdy stracił z heroiną swoje dziewictwo – czy odpłynął w spokojne, medytacyjne obszary, czy też jego ego rozdęło się jak balon? Z czasem nauczyłam się rozpoznawać działanie narkotyków po oczach

narkomanów, poznałam także skutki odwyku. Było wiadomo, który z nich będzie kradł, który będzie skłonny do agresji, a który będzie beczał żałośnie jak małe dziecko. Pozwolę sobie przyjrzeć się jego „rozdziwieniu” z perspektywy mojej zmarłej przyjaciółki.

Nagle świat ucichł. Ostre kandy nieco się wygładziły, wszystko kwadratowe i twarde zaczęło się rozplýwać i zamieniło w prószący śnieg, świat stał się łagodny i wtedy zniknęła złość, jego odwieczny towarzysz, jego najwierniejszy kompan od wczesnych dni dzieciństwa. Od śmierci ojca nigdy nie miał bardziej oddanego przyjaciela niż ta wciąż paląca i nienasycona złość. Padł na kwiecistą sofę w udostępnionym mu przez Begemota przestronnym mieszkaniu z lustrami w złoconych ramach, ciężkimi aksamitnymi zasłonami i sztucznymi kwiatami w kryształowych wazonach. Jego małżowiny uszne wypełniły się szumem morza, jak gdyby ktoś wlał mu ocean do głowy. Stałe jego życia rozpadły się i na krótką chwilę odnalazł spokój. Objął się rękami. Wściekłość ustała. Prawdopodobnie właśnie w ten sposób, tak, niewątpliwie tak, wyglądała jego pierwsza noc z heroiną. Ale wraz ze złością ustało także coś jeszcze, coś znacznie bardziej istotnego: strach, który dotychczas sznurował mu gardło, strach przed tym, że zawiedzie, że nie sprosta oczekiwaniom, że nie poradzi sobie w świecie Tapory i jemu podobnym. Prawdopodobnie zniknęła także gorycz, rozgoryczenie matką, ją bowiem obarczał odpowiedzialnością za to, że tron w ich królestwie tak łatwo przeszedł na Taporę, że zbyt szybko ugięła się przed władcym bratem swojego zmarłego małżonka, ona, zimnokrwista Gertruda, i on, opętany władzą, lubieżny Klaudiusz. Nie potrafił inaczej, obwinał matkę za to, że nie uchroniła swoich pociech przed tym mężczyzną.

Z wielkim trudem przychodzi mi myśleć o miłości Cotnego, nawet dzisiaj. Jego miłość konkuruje bowiem z miłością mojego brata, a poza tym, no cóż, jestem na tyle drobiazgową, że nie odpuszczam nawet zmarłym, rozliczam, wyrównuję, ważę. Nagle uzmysławiam sobie, że to zdjęcie jest skierowane do mnie, wyłącznie do mnie, jak gdyby chciała zmusić mnie do spojrzenia mu w twarz, w jego czarne serce. Ale także... tak, być może także zagubione serce. Ona tak właśnie patrzyła

na niego, takim go widziała. A więc ja też tak muszę. Teraz moja kolej nauczyć się łaski, którą odebrały mi moje czasy. Bo moje czasy nigdy nie były dla mnie łaskawe.

To ciekawe, że Dina i Cotne do momentu, gdy zaczęli wchodzić w okres dojrzewania, nie zamienili ze sobą ani jednego składnego zdania. Nigdy nie spotkali się w cztery oczy. Ona nawet nie ukrywała, że Cotne jej się nie podoba. A mimo to przez te wszystkie lata studiował jej ruchy, sposób, w jaki odgarnia włosy z twarzy, jej charakterystyczne potrząsanie głową, skupienie, z jakim słucha innych, obejmowanie rękami podciągniętych kolan, gdy jest jej źle. Z biegiem lat stał się mistrzem w potajemnym zgłębianiu jej osobliwości.

Czasami myślę, że między mną a Diną istniała różnica zdań co do pewnej kwestii. W moim przekonaniu Cotne szukał dostępu do niej inną drogą niż Rati, ćwiczył się w nieskończonej cierpliwości, chciał się stać dla niej nieodzowny, i uważam, że ostatecznie mu się to udało. Ale ona zawsze mi zaprzeczała. Po wielu latach, które minęły od jej śmierci, mogę powiedzieć, że miałam rację.

Jego strach zniknął i w to miejsce co innego zaczęło wypełniać mu serce, owo bolesne uczucie, od którego przez tak wiele lat próbował się uwolnić. Może przypomniały mu dziewiętnaste czy dwudzieste urodziny Gugi, ten dzień, do którego wciąż wracał myślami i który przeklinał, ponieważ wtedy nie zdusił w zarodku swoich obaw i nie oddał się jej bezwarunkowo. W przeciwnym razie być może sprawy potoczyłyby się od tamtego dnia zupełnie inaczej, jak sobie roił, zupełnie inaczej...

Na urodziny Gugi przyszli jak zwykle znajomi Cotnego i Nene, ponieważ sam Guga nie mógł wykazać się zbyt dużym gronem przyjaciół. Cotne wylądował przy stole razem z Diną, siedział z nią po sąsiedzku, ten fakt przyprawił go o mdłości i zawrót głowy. Będzie tego wieczoru blisko niej, będzie wdychał jej zapach i chłonał jej śmiech. Będzie musiał z nią rozmawiać i jej usługiwać. Było ciepło, miała na sobie prostą czerwoną sukienkę, a jej gołe ręce i nogi dotykały go przelotnie podczas beztrosko-radosnej zabawy. Nie była tak pachnąca i wyperfumowana jak większość dziewcząt, które znał, pachniała sobą, wyłącznie

sobą, jak gdyby nie miała potrzeby robić się na słodsza, niż jest, specjalnie dla kogoś.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, odwróciła się do niego i zapytała:

– Cofne, czemu ciągle mi się tak przyglądasz?

– Co proszę? – Jego głos był opanowany, zdystansowany, a jednak serce mu zabiło mocniej i przestraszył się, że całe towarzystwo przy stole usłyszy to dudnienie.

– Wydaje mi się, że wiesz, o czym mówię.

– Przepraszam bardzo, a niby kiedy ja ci się przyglądałem? I dlaczego miałbym się przyglądać tobie?

Nienawidził siebie za ten wyniosły ton, za obojętny wyraz twarzy, który przybierał jako maskę, za swoje lekko przymrużone powieki, ponieważ sposób, w jaki Dina zadała to pytanie, nie miał w sobie nic z zarzutu, jej pytanie było całkowicie otwarte, jak rozstaje dróg z licznymi odgałęzieniami, mógł pójść każdym z nich, poznać każde z nich. A jednak zamiast tego pozostał na bezpiecznym terytorium.

– No właśnie nie wiem, dlatego pytam ciebie. Przecież nie jestem ślepa. Nie udawaj...

Próbowała dotrzeć do niego serdecznym śmiechem, chciała nim niejako złagodzić swoje pytanie, ale pozostawał nieugięty.

– Bzdury. Jakby coś było, tobym ci powiedział.

Tonacją głosu podkreślił swoją wrogość, czuła to, jej twarz ściągnęła się, jakby zaczęła się tam zbierać nawałnica.

– O, nie wątpię. Zawsze dostajesz to, czego chcesz, prawda?

To pytanie go zaskoczyło. W jej oczach rozbłysła elektryzująca wściekłość.

– Na to wygląda. – Zawstydził się tej odpowiedzi.

– W takim razie coś mi się pomyliło.

– No chyba tak – odpowiedział i odwrócił się od niej.

Była zbyt blisko, tak blisko, że przez cały czas musiał się powstrzymywać, żeby nie wyciągnąć ręki w jej stronę i nie zabrać jej stąd, gdzieś daleko od wszystkich.

Wkrótce potem poczuł, że jej nagie kolano dotyka jego uda. Zaczęło przylegać coraz mocniej i mocniej, niemożliwe, żeby robiła to bezwiednie, ale w tym geście nie było niczego nieprzyzwoitego ani uwodzicielskiego, wprost przeciwnie, była nastawiona bojowo. Rzucała mu wyzwanie, chciała wiedzieć, jak zareaguje. Wzdrygnął się, poczuł, jak pot pokrywa mu czoło, momentalnie przemienił się w małego chłopca, którym był dawniej i którego od pewnego czasu znał jedynie ze zdjęć, na przykład takich jak to, na którym siedzi w krótkich spodenkach u ojca na kolanach i szeroko się uśmiecha. Był nieśmiałym, raczej introwertycznym dzieckiem, które wypędził z siebie własnymi rękami, gdy został posłusznym żołnierzem własnego wuja.

Ignorował jej prowokację tak długo, jak mógł, aż w końcu stał się na powrót twardzielem. Znalazł w sobie siłę, żeby odwrócić się do niej i spojrzeć jej prosto w twarz.

– Co to ma znaczyć?

– Nienawidzę, jak ktoś mnie okłamuje.

– Dziewczyno, chyba ci odbiło – odpowiedział, starając się, by zabrzmiało to jakby od niechcienia.

Wytrzymała jego spojrzenie.

Później, dużo później, wyznał jej, że tamtej nocy nie mógł zasnąć i pijany chodził po swoim wielkim, pogrążonym w ciszy mieszkaniu. Znalazł wtedy jej zdjęcie zrobione nad Morzem Tbiliskim i schował je do szuflady. Leżało tam do czasu, aż Nene natknęła się na nie przypadkiem i od razu nabrała podejrzeń. Zapłonął w nim wieczny ogień. Ta niedająca spokoju, pobudzająca do działania, bolesna tęsknota pulsowała w nim jak niegojąca się rana na ciele.

Narkotyki rozwijał swoją siłę, jego możliwości zdawały się nieograniczone. Poddawał mu się bez oporu i próbował wrócić myślami do punktu, w którym stracił wypracowywaną latami kontrolę na sobą i podarował jej ten pierścionek. Powody, dlaczego to zrobił, wydawały się proste, a jednak niewystarczające. No cóż, Cotne, może w miłości nie ma odpowiedzi, są tylko pytania. Tak, być może tak właśnie jest.

Wypił wtedy za dużo i myśli o niej stały się tak bolesne, że pierwszy raz w życiu zadzwonił do niej. Gdy ku jego zdumieniu odebrała telefon, poprosił, żeby wyszła na skrzyżowanie, bo ma coś dla niej. Dzień wcześniej, a o tym też dowiedziałam się od Diny dużo później, Tapora wysłał go po haracze na bazar, gdzie handluje się złotem i Cotne z jakiegoś powodu zatrzymał się przy jednym ze stoisk i wziął do ręki filigranowy pierścionek z diamentem. Zatopiony w myślach zapłacił za niego i dopiero w drodze do domu uzmysłowił sobie, dla kogo go kupił.

Był jej dozgonnie wdzięczny, że nie zareagowała zdziwieniem i wyraziła zgodę na spotkanie, tak jakby od lat czekała na ten telefon. O nic nie pytając, wsiadła do samochodu na przednie siedzenie i spojrzała na niego przyjaźnie. Kurtka przerzucona przez ramię i włosy w nieładzie czyniły ją w jego oczach jeszcze bardziej atrakcyjną. Podobało mu się, że nie usiłuje się upiększać, że nigdy nie miała potrzeby komuś się podobać. Wymacał w kieszeni niewielki pakunek. Jąkał się, zacinał, był zawstydzony, czuł we krwi alkohol, który wbrew oczekiwaniom wcale nie dodawał mu odwagi. Wyjął wreszcie czerwone aksamitne pudełeczko, otworzył je spoconymi dłońmi i wyciągnął rękę z prezentem w jej kierunku. Spojrzała zaskoczona, widać było, że mocno się zastanawia, jaki jest związek między nim, tym pierścionkiem i nią, szukała w pamięci jakiegoś wydarzenia, które naprowadziłoby ją na jakieś wyjaśnienie. W końcu zaśmiała się w typowy dla siebie niepohamowany sposób i położyła rękę na jego dłoni.

– Cotne, o co chodzi? Co ma znaczyć ten pierścionek?

– Po prostu prezent, nic nadzwyczajnego... – wyjąkał ponownie i wyjrzał przez szybę.

– Ale to jest coś nadzwyczajnego, halo! – wykrzyknęła w teatralny sposób. A potem spytała, czy może się zaciągnąć jego papierosem. Wtedy jeszcze paliła, potajemnie, w szkolnych toaletach i na pustych klatkach schodowych.

– Mogę ci dać nowego...

Sięgnął do kieszeni.

– Nie, daj mi swojego, nie chcę nowego.

Podał jej swojego papierosa i modlił się, żeby nie zauważyła, że drżą mu ręce. Obserwował, jak wkłada na wpół wypalonego papierosa do ust i się zaciąga. Wszystko, co robiła, było tak niezrównanie oczywiste i naturalne, że wywoływało to w nim wręcz fizyczny dyskomfort.

– Skąd ty to wzięłeś? – spytała, po czym wyjęła pierścionek z pudełka, ustawiła pod światło i wydała opinię:

– Ładny. Bardzo delikatny, nie spodziewałam się tego po tobie.

– Kupiłem go specjalnie dla ciebie.

– Dlaczego?

Właściwie znała odpowiedź, znała ją od dawna. A on, w każdym razie jakaś jego cząstka, odczuwał ulgę, że ona wie, choć on uparcie wmawiał sobie coś przeciwnego.

– Chcę, żebyś wiedziała, że jestem przy tobie. I... jeśli ktoś ci podpadnie, wystarczy, że powiesz tylko słowo.

– Nie potrzebuję ochrony, nikt mi nie zagraża, wyluzuj.

Spojrzał jej prosto w oczy. Nie wiadomo, dlaczego nagle się na to odważył. Spuściła wzrok. Wyrzuciła niedopałek papierosa przez okno, zamknęła pudełko i ponownie spojrzała lekko do góry. Wtedy nachylił się i ją pocałował, zadając sobie jednocześnie pytanie, z iloma przed nim już się całowała. Co by wtedy czuł, gdyby się dowiedział, że to był jej pierwszy pocałunek? Poddała się mu, najpierw z wahaniem, niepewnie, nie broniła się, czuła się zniewolona własną ciekawością i nieoczekiwanym zwrotem akcji tego dnia. Potrafił dobrze całować, ale przy niej, przy tej żywiołowej dziewczynie jego dotychczasowe doświadczenia były

bezużyteczne. Przy niej nawet nie miał złudzeń co do tego, że cokolwiek kontroluje, przy niej to on był całkowicie zdany na nią.

Spojrzałam na czarno-białe zdjęcie i wyobraziłam sobie pierwszy pocałunek Diny jako huśtawkę zawieszoną na cienkich linach nad przepaścią. Wzniesli się wysoko do góry, do najwyższego punktu, ale nie runęli w dół, wtedy jeszcze nie. Powinnam była wiedzieć, że tylko ona, własnymi rękami, mogła spowodować upadek. Wzniosła się do góry, nie patrząc w dół, miała wzrok skierowany ku niebu. Dlatego ją kochał, tak, pewnie dlatego, że względu na jej nieustraszoną i fakt, że nawet na skraju najbardziej niebezpiecznej przepaści nie dostawała zawrotów głowy. Słone łzy zaczęły spływać mu po policzkach, nie mógł tego powstrzymać, a ona udawała, że tego nie widzi, o nic nie pytała.

Po tym jak kilkakrotnie próbowała zwrócić mu pierścionek, a on niesamowicie się tym oburzał, wysiadła bez słowa z samochodu i poszła z powrotem na ulicę Winorośli, nie odwracając się ani razu. Tak, prawdopodobnie i tę scenę przypomniał sobie Cotne Koridze po zaaplikowaniu sobie pierwszej działki w życiu.

Ile to już czasu minęło od dnia, w którym świat mu się zawalił, w którym wydało mu się, że jeszcze nigdy nikogo tak bardzo nienawidził jak jej? Od dnia, gdy dowiedział się, że Dina i Rati są parą.

Dlaczego akurat Rati, ten rebeliant z bożej łaski, arogancki, zaczepny, usiłujący udowodnić coś sobie i światu *self-made* gangster, dlaczego on, dlaczego właśnie on? To pytanie spędzało mu sen z powiek. Co ma tamten, czego nie ma on? Czy Rati może jej zaoferować coś, czego on nie może jej dać? Gdyby zakochała się w przystojnym studencie medycyny, w jakimś skrzypku z okularami na nosie, w jakimś wiecznie podchmielonym salonowcu, w introwertycznym archeologu, każda jej decyzja napawałaby go obrzydzeniem, każda rozdzierałaby mu serce, ale potrafiłby to zrozumieć. Pogodziłby się, że nie potrafi zdecydować się na życie z nim. Ale w Ratim widział marną kopię samego siebie, mdły odbłask własnych ambicji, przecież on pochodził z tego samego świata karkołomnych wyborów.

Cotne nigdy nie próbował jej zdobyć, ochraniał ją, oszczędzając jej swojej miłości. Aż tu nagle zdecydowała się na kiepską imitację jego samego.

Oczywiście pławił się w morzu rozkoszy, gdy za plecami Tapory udało mu się dać Ratiemu nauczkę. Chciał ukrócić jego władzę, rzucić go na kolana, upokorzyć go, pokazać, że na swoim terytorium wyrwie każdego buntownika z korzeniami, lecz przede wszystkim cieszył się, że może wreszcie spać spokojnie, bo ma pewność, że Rati jest teraz daleko od niej. Jednak zwrot akcji, jaki ta decyzja pociągnęła za sobą, przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Nigdy by nie przypuszczał, że pewnego deszczowego dnia w jego drzwiach stanie Dina we własnej osobie, wyfryzowana i umalowana, ubrana w krótką dżinsową spódnicę oraz białe kozaczki i od razu w progu wprost go zapyta:

– Wciąż masz na mnie ochotę?

Serce mu zakołatało, gdy usłyszał to pytanie, poczuł wzruszenie i radość, ale jednocześnie odrazę. Myśl, że doprowadził ją do takiego stanu, do takiego poniżenia, był jak policzek wymierzony samemu sobie.

Zaprosił ją do środka. Na szczęście byli sami, na szczęście nie było żadnego kumpla, na szczęście Tapora był w Moskwie. Zamknął drzwi na klucz i poprowadził ją do pełnego przepychu mieszkania wuja, które już nieraz służyło mu za ustronne miejsce. Usiadła na ciężkiej obitej aksamitem sofie, nad którą wisiała ogromna złocona ikona Maryi, nie zdejmowała kurtki, była podenerwowana, nie chciała niczego się napić, chciała mieć to wszystko jak najszybciej za sobą.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie! – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Była wściekła, nienawidziła go, wyczuwał te emocje, przecież sam wystarczająco długo czuł w stosunku do niej, jak mu się zdawało, to samo.

– Uspokój się. Chcesz się czegoś napić? Mam piwo w lodówce.

– Nie, nic nie chcę!

Nagle zabrakło jej głosu. Zakryła twarz rękami, potarła ją, jakby chciała przegonić ołowiane zmęczenie. Pachniała deszczem, wszystkimi

niewykorzystanymi możliwościami, tym wszystkim, co mu do tej pory umykało, jemu i jego nadętej jak kolcobrzuch miłości, tej miłości, na którą nie było odtrutki.

Nie zważając na jej odpowiedź, poszedł do kuchni i przyniósł dwie butelki czechosłowackiego piwa, regularnie dostarczanego wujowi całymi skrzynkami. Podał jej jedną butelkę. Dopiero gdy podszedł bliżej, wyczuł od niej wypity wcześniej alkohol, najwidoczniej odwaga także i jej płała czasem figla.

– No powiedz: nadal masz na mnie ochotę?

Milczał, szukał jakiegoś ratunku w zimnej butelce z piwem, ścisnął ją tak mocno, że aż zbieleły mu palce.

– Przecież wiesz – wyszeptał.

– Dobrze. To postaraj się, żeby wyszedł z więzienia, wtedy dostaniesz to, czego chcesz, i będziemy kwita.

Sposób, w jaki prowadziła z nim rozmowę, jak z nim pertraktowała, był niczym cios w plecy. Jak można w miłości być kwita?

– Przestań tak mówić, przecież taka nie jesteś.

– Owszem, jestem taka, podobnie jak ty, jesteś tym, który wsadził Ratiego za kratki.

Spojrzał w kierunku okna z zaciągniętymi kotarami. Jak każdy człowiek półświatka wuj nienawidził nadmiaru światła. W tym mieszkaniu zawsze panował półmrok, niezależnie od pory dnia. Opowiadała później, że była mu wdzięczna, iż niczego się nie wypierał i nie naraził jej na jeszcze większe poniżenie.

– Zresztą to nie ma teraz żadnego znaczenia. Zrobiłeś, co zrobiłeś, i ja też zrobię teraz, co muszę.

– Co masz na myśli?

Poczuł się rozdrażniony, ogarnął go niepokój wywołujący mdłości. Tak często o tym marzył, o bliskości, dotyku, niewyobrażalnym spełnieniu swoich najskrytszych pragnień, ale przecież nie takim, nie tutaj, nie na takich warunkach.

– Weź sobie, co chcesz. A potem dopilnujesz, żeby wypuścili Ratiego.

Zrobił się agresywny, znów zaschły mu usta, jak gdyby pokryły się piachem, tak jak wtedy w samochodzie, gdy podarował jej ten głupi pierścionek, którego nigdy nie nosiła, oczywiście, że nie. Już od tak dawna tęsknił do niej, że przyzwyczał się do tej swojej wymyślonej Diny. Niemal w każdej życiowej sytuacji wyobrażał sobie, co ona uznałaby za stosowne lub nie, na co zezwoliłaby, a czego by zabroniła, jednak to, co działo się teraz, w najokrutniejszy sposób rozsadziło jego wyimaginowaną dziewczynę i rozerwało na kawałki, nie mógł tego znieść, jak mogła pozbawić go tej iluzji.

– Dina, wiesz, ile dla mnie znaczysz. Przestań, nie chcę, żebyś poniżała się z mojego powodu.

– Zwolnienie Ratiego jest dla mnie warte każdego poniżenia. Poza tym...

– Co poza tym?

Podniosła się z krzesła. Stała przed nim. Była blada. Miała włosy upięte w kok, co w ogóle nie było do niej podobne, zazwyczaj opadały jej na twarz, zwykle zdmuchiwała sobie niesforny kosmyk z czoła, szczególnie gdy wpadała w furję. Podeszła do niego niebezpiecznie blisko. Wiedział, że nie będzie mógł się oprzeć, jeśli będzie nalegała, a jednocześnie nie mógł w to uwierzyć, wciąż nie mógł tego pojąć, że faktycznie chce to zrobić, właśnie tak, w taki sposób. A może powinien potraktować to jak jakąś iskierkę nadziei? Czy powinien, wbrew własnej intuicji, wyczytać w jej oczach coś innego niż wściekłość i pogardę?

– Poza tym to nie jest takie poniżające przespać się z kimś, kto kocha – wyszeptała.

Zaczęła powoli zdejmować kurtkę i położyła ją ostrożnie na podłodze. Miał ochotę się rozpłakać, ale obawiał się, że łzy całkowicie go rozbiją, rozsada go na tysiąc drobnych kawałków.

Zdjęła buty i odstawiła je równiutko na bok. Drżała. Nie miał śmiałości, żeby ją ogrzać. Nie chciał jej dotykać. Gapił się na swoją butelkę. Czuł jej rozpaloną słońcem, smagłą skórę, tak jakby w jej świecie zawsze panowało lato.

– Dina, proszę cię, przestań! Po prostu wyjdź stąd – wyszeptał.

Ale ona zdjęła swoją niebieską bluzkę z bufkami, złożyła ją starannie w kostkę i położyła obok kurtki. Potem przysła kolej na spódnice. Usiłował odwracać wzrok. Stała przed nim w bieliźnie. Teraz spojrzał na nią. Jej uda były grubsze, niż mu się wcześniej wydawało, talia węższa, piersi bardziej jędrne, jeszcze piękniejsze niż w jego wyobraźni, ramiona bardziej dziecięce, pępek bardziej skromny i zawstydzony, stopy dłuższe i delikatniejsze niż w jego myślach, kostki bardziej wysmukłe, a obojczyki i nadgarstki powabniejsze. Wstał. Potem ujął jej twarz w dłonie. Nie było już odwrotu, teraz już wszystko jedno, weźmie to, co mu zaoferowała, bez względu na konsekwencje. Pogładził ją po policzku, zatrzymując rękę na brodzie, a potem ją pocałował, z całą swoją nagromadzoną przez lata tęsknotą, niecierpliwością, natarczywością, głodem i strachem.

Opisała mi tę scenę znacznie później, za późno, dopiero wtedy, gdy wszystko zaczynało się już rozpadać. Na zawsze zapamiętałam jej zalaną łzami twarz, jej pytania będą mi towarzyszyć już do końca życia, a teraz, stojąc tu, przed jej zdjęciami, jestem jej wdzięczna za tę spuściznę, która jest jednocześnie wielkim wyzwaniem, jestem wdzięczna za ten ból, za te obnażające obrazy i za wezwanie do tego, by samodzielnie szukać odpowiedzi na własne pytania. Jestem wdzięczna za tę jej żelazną siłę, która wprawdzie rozszarpuje od środka, lecz nigdy nie pozwala się ugiąć ani zdeformować. Jestem pewna, że także Cotne będzie strzegł jej dziedzictwa, że będzie wciąż od nowa wracał do niego we wspomnieniach. Niewykluczone, że wspomnienia te będą raz kołem ratunkowym, a innym razem czerwoną płachtą, ale zawsze będą budziły w nim coś w rodzaju rauszu, wiecznego tańca radości, wzmacnianego pewnością, że podobało jej się, że swoją czułością dał jej tak potrzebne, a tak rzadko doznawane przez nią pocieszenie. Na pewno będzie myślał o jej początkowym spięciu, które stopniowo ustępuje, o jej zaciśniętych ustach, które dopiero pod naporem żądzzy zaczynają się powoli otwierać, o jej delikatnych plecach, wystających kręgach, o jedwabistości jej ciała. Być może przypomni sobie, że się broniła, udawała obojętną, i pomyśli o jej przyspieszonym oddechu nieco później, wbitych w jego ciało paznokciach, nogach

oplatających jego biodra. Przypomni sobie jej krzyk, na sam koniec, gdy jego twarz zniknie między jej udami, gdy pozwoli sobie na zniesienie jej niemego zakazu. Tak, będzie to często wspominał i za każdym razem przeszyje go dreszcz radości, bo będzie wiedział, że czuła się szczęśliwa, tak, niechcący poczuła się szczęśliwa.

W tym czasie, gdy on będzie ją wspominał, ja będę miała przed oczyma jej twarz zalaną łzami, w jej małej ciemnej kryjówce, w tym opuszczonym budynku, który w ostatnich latach naszej przyjaźni stał się jedynym schronieniem przed bezlitosnym światem. Będę wiedziała, że gdzieś obok jest mój nieobecny duchem brat i w żałosny sposób próbuje przywrócić do życia ich dawną miłość, walczy o swoją ostatnią nadzieję, o Dinę. Będę wiedziała, jak niebezpieczna może się stać dla niej ta zła nadzieja, jeśli tylko zbliży się do niej zanadto. A ja nie będę mogła niczemu zapobiec.

Jeszcze w pierwszych tygodniach po tym kolosalnym i nieoczekiwanym zwrocie akcji Cotne był absolutnie pewien, że nie powie o tym nikomu i będzie milczał aż po grób. Istniała między nimi taka niepisana umowa. I mimo że język go świerzbiał, żeby wyjawić światu tę tajemnicę, to wiedział, że jeśli nie chce stracić Diny na zawsze, nigdy nie będzie mógł użyć tej podstępnej broni przeciwko Ratiemu. To była sprawa wyłącznie między nią i nim. Ale potem stało się inaczej.

Gdy po wieczornym obchodzie po dzielnicy skręcił ze swoimi chłopakami w ulicę Kirowa, zauważył, że Rati i jego kumple dyskutują z właścicielem jednego ze sklepików. Rati rozzuchwiał się po wyjściu z więzienia i zapuszczał się w coraz dalsze rejony jego terytorium, do którego należała również ulica Kirowa. Cotne zatrzymał się, wysiadł z samochodu i ruszył prosto na swojego znienawidzonego przeciwnika, którego zresztą własnoręcznie wyciągnął z więzienia. Chłopaki Cotnego, jeszcze siedząc w samochodzie, ucieszyły się na zaległą od dawna bijatykę z Ratim i jego bandą. Także dla Cotnego ta myśl, żeby z miejsca zdemolować Ratiemu twarz, kopnąć go ciężkim buciorem w brzuch i pogruchotać mu palce, wydawała się bardziej niż kusząca, ale zarzucił ją i przywołał się do porządku, ze względu na nią, na jej ostrożną, trochę niepewną i niedostrzegalną okiem bliskość, którą, jak mu się zdawało, poczuł tamtego wieczoru. Nie, nie

połamie mu żeber, nie napuści swoich wygłodniałych psów na jego ekipę, zachowa kontrolę, klasyczna razborka będzie musiała poczekać.

Właściciel sklepu zrobił wielkie oczy ze strachu, gdy zobaczył, że Cotne idzie w jego kierunku. Ale on rozkazał tylko temu niskiemu, przysadzistemu mężczyźnie wracać do swojego blaszaka, bo cała sprawa go nie dotyczy i nie ma się czego bać. Bez słowa, jak gdyby na komendę, cały pułk, Rati i Cotne wraz ze swoimi oddziałami, pomaszerował w ciemną boczną ulicę i natychmiast utworzyły się dwa fronty, dwunastu młodych mężczyzn stanęło naprzeciwko siebie.

– Kipiani, chyba wiesz, że nie masz tu czego szukać, czy nie? – Cotne zwrócił się bezpośrednio do Ratiego. – To, że oddałem ci ulice Lermontowa i Gogebaszwiliego, nie oznacza, że możesz sobie tutaj rekrutować, kogo chcesz. – Mówiąc to, przez cały czas wpatrywał mu się w oczy.

Rati oczywiście się nie ugiął.

– Żyjemy w wolnym kraju, Koridze, właściciele sklepów mogą sami decydować, którą krysę wybierają.

Zarówno chłopaki Ratiego, jak i Cotnego zaczęły już szurać kopytami, gotowe do walki. Jedni i drudzy byli żądni rozróby i wręcz palili się do wyczekiwanej od dawna konfrontacji. Ale Cotne odgwizdał swoich żołnierzy, bez słowa dał Ratiemu do zrozumienia, że ma zrobić to samo i załatwić tę sprawę w cztery oczy. Zostali sami, twarzą w twarz, w tej ciemnej ślepej uliczce. Przyglądając się Ratiemu z bliska, Cotne nie mógł nie pomyśleć o ciele Diny, o pulsującej w jego głowie tajemnicy. Myśl o tym, że otworzył temu człowiekowi bramy do wolności i tym samym umożliwił mu dotykanie jej każdego dnia, była dla niego druzgocąca. Zapragnął odebrać mu tę jego narcystyczną pewność siebie, ten pełen samozadowolenia szeroki uśmiech, to dumne spojrzenie księcia, który jest pewien swojego tronu. Rozmowa się przeciągała, żaden nie chciał ustąpić, wściekłość, która gromadziła się w Ratim od lat, od śmierci Saby i swojego aresztowania, gotowała się w nim i musiała znaleźć w końcu swoje ujście.

– Kipiani, zostawiasz ulicę Kirowa w spokoju. To moje ostatnie słowo!

– Nie ty będziesz o tym decydował, Koridze!

– Gdy włączy się do tego starszyzna, to wiesz, jak ta razborka się skończy. Stracie nie tylko sklepy, ale i birże.

– Ty cioto, brakuje ci odwagi, żeby załatwić tę sprawę ze mną sam na sam, w cztery oczy? Dlaczego podpierasz się ciągle strachówką wuja?

Wiedział, że Rati lubi rozgrywać tą kartą, to było jego jedyne atuty. Ale to już nie potrwa długo, pomyślał, już niedługo wyjdzie z cienia swego wuja...

– Ciotą to zostaje się chyba tylko w pierdlu – odparł Cotne chłodno i przystąpił do Ratiego tak blisko, że poczuł jego oddech.

– A wiesz, co w pierdlu robi się z milicyjną kurwą? Wiesz, jak nazywa się takich typków? Wiesz, Koridze?

No i wtedy to się stało. Nienawiść do Ratiego zawsze kładła się cieniem na życiu Cotnego i teraz zrodziła się w nim nieodczuwana dotąd potrzeba wyrównania rachunków, chciał zniszczyć tego człowieka, pozbawić go gruntu pod nogami. Jedyne, o czym w tamtym momencie był w stanie myśleć, to ona. Ona i jej orzechowe oczy, zaskoczone własnym pożądaniem. Nie po to chronił ją przez te wszystkie lata przed własną miłością, żeby ten arogancki idiota wziął ją sobie jak jakieś trofeum i zdołał się nią, obracał ją w tańcu na wszystkich imprezach jak jakiś cholerny Fred Astaire.

– Inaczej to sobie wymyśliłem. Wiesz co, zmieniłem zdanie. Zostawię ci Kirowa, nawet ten salon gier na rogu. Jeśli chodzi o mnie, możesz sobie zgrywać króla Sololaki... – Przerwał. Jakąż musiał poczuć wtedy rozkosz, jak słodkie musiało być to poczucie władzy...

– A gdzie leży haczyk? – Rati, którego wręcz rozsadały od środka napięcie i wstręt, wziął papierosa do ust i dmuchnął Cotnemu prosto w twarz.

– Oddaj mi swoją dziewczynę, ona i tak była ze mnie bardziej zadowolona.

Wyraz twarzy Ratiego w tamtym momencie Cotne Koridze będzie pamiętał prawdopodobnie do końca swoich dni. Tę mieszaną niedowierzania i szoku z powodu zuchwałości swojego przeciwnika, a następnie nagły strach, że może coś

jest na rzeczy. Powracający powoli rozsądek podpowiadał Ratiemu, że to może być po prostu zwykła prowokacja. Cotne już na zawsze zapamięta to uczucie triumfu, ten niewiarygodnie upojny nastrój. Rati na pewno rzuci się za chwilę do bójki, jego pięść wyląduje na twarzy przeciwnika, ale on nie będzie robił uniku, ponieważ ból może zamienić jego furję w prawdziwe piekło, tak jak benzyna ogień.

Ale w tym momencie usłyszeli wołanie chłopaków i potrzebowali chwili, żeby zrozumieć sens docierających do nich słów i zmusić się do działania.

– Przyjechały OPsy, zwiewamy, szybko, do samochodu! – krzyknął któryś.

W tym wypadku oddziały specjalne milicji wyjątkowo okazały się ratunkiem. W okamgnieniu wszyscy zniknęli w samochodach i błyskawicznie odjechali. Jestem pewna, że w tej ciemnej uliczce Rati straciłby cierpliwość. Rati nigdy nie był dobrym strategiem, natomiast Cotne tak.

Cotne, co do tego nie ma wątpliwości, nie chciał posiadać czegoś, co mogłoby któregoś dnia rozpaść się w pył. Formował sam siebie jak rzeźbiarz, mierząc miarą swego wuja, zgodnie z oczekiwaniami jego świata. Z zaciętością bulteriera walczył, by osiągnąć swoje cele. Było mu wszystko jedno, czy ludzie go lubią, czy nie, oczekiwał od nich jedynie szacunku. A można było to osiągnąć tylko wówczas – taką lekcję wyciągnął w dzieciństwie – gdy miało się wystarczająco dużo władzy. Natomiast Rati chciał być za wszelką cenę kochany, za swoje śmiałe czyny oczekiwał uznania i akceptacji. Cotne, ten mężczyzna na czarno-białej fotografii, przed którą wciąż stoję, w okrutny sposób zafascynowana jak jakimś miejscem wypadku, dążył jedynie do zdobycia władzy. Podczas gdy Rati przez całe życie chciał zostać kimś, kim w istocie nie był, ale kim w swoim przekonaniu powinien być zostać, Cotne od dziecka przebywał w świecie przemocy i zastraszania, a brak skrupułów, do którego Rati musiał się przemóc i z dużym wysiłkiem go wytrenować, Cotne miał po prostu we krwi od zawsze. Ale od kiedy Dina odwiedziła go w mieszkaniu wuja, od kiedy połączyła ich ta słodka tajemnica, gdy zakiełkowała w nim ta mała niebezpieczna nadzieja i gdy zrodziło się przecucie, że oprócz zastraszania, demonstrowania siły, przemocy, zbierania haraczy

i rozkazywania jest zdolny także do czegoś innego, wtedy ujawniły się w nim nieograniczone pokłady cierpliwości, był gotów czekać na nią jeszcze wiele kolejnych lat, bo wiedział, że potrafiłby uczynić ją szczęśliwą.

Manana, której nigdy nie nazywał dedą, lecz zawsze zwracał się do niej po imieniu, oraz jego siostra wróciły z Soczi pewnego nadzwyczaj upalnego wrześniowego dnia. Nene miała piękną opaleniznę i jakby prowokacyjnie sterczący brzuch, od śmierci Saby zamieniła się w jakieś osobliwe zjawisko, to była przemiana, wobec której nawet jej wszechmogący wuj zdawał się bezradny. Cotne miał nadzieję, że letni wyjazd dobrze jej zrobi, a morze przywróci jej niezbędne siły witalne. Zaraz po tym, jak odebrał je z lotniska, zauważył coś, czego nie potrafił dokładnie nazwać, lecz to coś go zastanowiło: jej ciało tryskało jakąś nieznaną dotąd siłą i samozadowoleniem, jakby odnalazła własny sposób na pogodzenie się ze światem.

Cotne nie spodziewał się, że jako mężatka będzie nadal spotykała się z tym piękno duchem Sabą, i ta informacja mocno nim wstrząsnęła. Mimo że wewnętrznie sprzeciwiał się decyzji Tapory, żeby wydać Nene za Ottona, ostatecznie pogodził się z nią, jak zresztą wszyscy w rodzinie. Dobro rodziny zawsze było ważniejsze niż osobiste szczęście. Później zresztą można było wyczytać z jego twarzy poczucie winy. To była wina biernego uczestnika, kogoś, kto o wszystkim wiedział, wina zaniechania, uczucie znacznie bardziej złożone niż świadomość winy u sprawcy, który zazwyczaj ma własne przekonania i powody, dla których dokonuje swoich czynów.

Manana przygotowała powitalny obiad, do jej naczyń spłynęło jak zwykle wszystko to, czego nie mogła powiedzieć, i wmieszało się w ciasto. Guga, który rzadko pił, otworzył z tej okazji butelkę szampana i wszyscy zasiedli do dużego dębowego stołu w salonie. Rozmawiano o banalnych sprawach. Do momentu, gdy padło to zdanie.

– Co ty powiedziałaś?

– Powiedziałam, że termin już minął i nie możecie mnie zmusić do usunięcia tej ciąży.

– A czyje to dziecko? – spytał Cotne.

– Co za pytanie! Oczywiście, że Saby – odpowiedziała zadowolona z siebie, jak gdyby znalazła receptę na swoje troski i nikt nie mógł jej już niczego zrobić.

Manana uderzyła obiema rękami o kant stołu, aż cały się zatrzęsł. Nene jadła najspokojniej w świecie dalej.

– Ona jest w ciąży, wspaniale... – Guga próbował jak zwykle załagodzić sytuację, ale przez to jeszcze bardziej podsycił konflikt.

– Co ty pleciesz? Odbiło ci? Im dłużej trenujesz, tym robisz się głupszy! – naskoczył na niego Cotne i w tym samym momencie tego pożałował. – Jak mogłaś przez cały czas ukrywać to przede mną? Stawiasz nas teraz w beznadziejnej sytuacji! Wszyscy mamy krew tego chłopaka na rękach, bo nie miałaś za grosz wstydu ani honoru, jak jakaś zdzira z rynsztoka...

– Kochałam go, a on mnie. Nigdy nie chciałam wychodzić za mąż za tego pasożyta – powiedziała, krojąc swoją pierś drobiową na kawałeczki, niemalże w radosnym nastroju, jakby jej ulżyło, że prawda wyszła wreszcie na jaw. – Zmusiliście mnie, żebym wyszła za tego człowieka, nienawidzę go, jest sadystycznym bydlakiem. Wszystko mi jedno, co ze mną zrobicie, jeśli chodzi o mnie, to możecie mnie wydziedziczyć albo wygonić z domu, wtedy będę mogła w końcu żyć własnym życiem i wychowywać dziecko tak, jak będę chciała.

– A jak mam to, twoim zdaniem, wytłumaczyć twojemu wujowi? Skalałaś naszą rodzinę, ściągnęłaś na nas hańbę...

– Deda, daj spokój. Możemy powiedzieć, że to jest dziecko Ottona – powiedział Guga, szukając najprostszego drogi, takiego rozwiązania, które nikogo nie zabol.

– Nigdy w życiu! Nie zamierzam urodzić dziecka mordercy – oburzyła się Nene.

Wszyscy przestali jeść, oprócz Nene, która właśnie brała dokładkę, zdaje się, że nic nie było w stanie zepsuć jej apetytu. Manana wybiegła z pokoju roztrzęsiona.

– Nene, Tatora tego nie zaakceptuje. Dobrze o tym wiesz – Cotne przerwał milczenie.

Wzruszyła ramionami.

– Może przyjąć mu do głowy zły pomysł – Guga myślał głośno. – Musimy kryć Nene – doszedł do wniosku, grzebiąc widelcem w talerzu.

Cotnego zdumiała stanowczość w głosie starszego i, jego zdaniem, od zawsze słabszego brata.

– Nie możemy uwolnić jej od własnego losu, dlaczego nie potrafisz tego zrozumieć? – powiedział rozdrażniony Cotne.

– Możemy ją wywieźć z miasta, przynajmniej do czasu, aż dziecko...

– Guga, wydorósłej wreszcie!

– A czy robienie wszystkiego, czego żąda Tatora, świadczy, twoim zdaniem, o dorosłości?

– Potrzebujemy więcej czasu. Mam pewne plany... Kiedy już stanę na własnych nogach, wtedy, jeśli o mnie chodzi, będzie mogła sobie robić, co chce, poszukać sobie kogoś, wyjść ponownie za mąż czy co tam jeszcze. Ale to jeszcze trochę potrwa. Na razie nie mam wystarczająco dużo zaufanych ludzi.

– Czy to z tego powodu Tatora ostatnio naskoczył na ciebie?

– Możliwe – odparł Cotne wymijająco. Zdziwiło go, że brat tak nagle się tym zainteresował, chociaż zwykle trzymał się z dala od wszelkich rodzinnych interesów.

– Co ty planujesz?

– Nie mogę ci powiedzieć. To ryzykowna sprawa. Ale jeśli ja tego nie zrobię, zrobi to jakiś inny skurwysyn. Tak czy siak.

– Czy to coś... niebezpiecznego?

– A czemu nagle tak cię zainteresowało, co ja robię? Przecież zawsze guzik cię to obchodziło.

– Trochę się zmieniło. Będziemy mieć siostrzenicę albo siostrzeńca.

Cotne nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć. Ckliwość brata zawsze wydawała mu się zupełnie nie na miejscu.

– Trochę się zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że mógłbym się do czegoś przydać...

– Do czego zmierzasz?

– Musisz jej pomóc. Ciotka Natalia mieszka w Odessie i na pewno ucieszyłaby się, gdyby Nene zamieszkała u niej. Uwolnij ją od Tapory. Daj jej pieniądze. Dedy w to nie mieszajmy. Nie powinna o niczym wiedzieć. To jest mój warunek.

– Warunek czego? – Cotne nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Pod takim warunkiem będę mógł ci pomóc. Zatrudnię się u ciebie. Będę robił, co tylko zechcesz. A, i jeszcze jedno, jest jeszcze taka sprawa...

– Guga, zapomnij, nie jesteś stworzony do takiego życia.

– Wszystko mi jedno. Możesz mnie nauczyć. A poza tym potrzebujesz lojalnych pomocników, sam mówiłeś.

– A co jest jeszcze, co to za sprawa, o której przed chwilą mówiłeś?

Guga spuścił wzrok i zamilkł. Gapił się na swoje złożone, oparte na kolanach ręce. Wyglądał jak olbrzym w domku dla lalek, jego wygląd śmieszył i wzruszał Cotnego równocześnie.

– Musisz mi wyświadczyć pewną przysługę.

– Jaką przysługę? – Mimo najszczerzych chęci Cotne nie mógł się domyślić, co Guga ma na myśli.

– Anna Tatiszwili...

– Co z nią?

– Ja... ja...

– O nie! Myślałem, że już dawno przeszły ci te żalosne westchnienia!

– Kocham ją. Naprawdę ją kocham. Chciałbym, żeby za mnie wyszła.

Cotne westchnął, pokręcił głową i zgasił papierosa na środku talerza.

– O rany, Guga...

– Zmieniłem się. Wyglądam teraz o wiele lepiej niż dawniej, jestem bardziej pewny siebie, mogę jej zapewnić dobre życie.

– A czego dokładnie ode mnie oczekujesz?

– Chciałbym, żeby mi po prostu dała szansę. Ciebie posłucha. Jedno *rendez-vous* – dodał nieśmiało.

– No dobrze. Zobaczą, co da się zrobić – odpowiedział Cotne, wyraźnie rozbawiony. *Rendez-vous!* Kto dzisiaj używa jeszcze takich słów?!

Cotne wstał i wyszedł szybkim krokiem z pokoju. Musiał to wszystko przemyśleć, musiał opracować jakiś plan. Bał się narażać Gugę na takie niebezpieczeństwo. No ale potrzebował ludzi, którym mógłby ślepo ufać. Decyzja o przyjęciu propozycji Begemota oznaczała niechybnie wojnę z wujem. Trudno było znaleźć współpracowników, bo nie mógł to być nikt z otoczenia Tapory, a większość członków jego gangu, nie miał co do tego złudzeń, szukała kontaktu z nim ze względu na wuja.

Tapora został powiadomiony o ciąży podczas rodzinnego obiadu. Zjadł bez słowa swój posiłek do końca, mlaskając przy tym głośno, jak miał w zwyczaju, tak jakby nie obowiązywały go żadne maniery przy stole, bo był ponad to, następnie wypił łączywie wino i dopiero na koniec omiół wszystkich spojrzeniem. Potem odchrząknął i niewzruszony ogłosił wyrok:

– Dobrze, jeśli chcesz zachować tego bękarta, będzie nowy ślub. Znajdziemy jakiegoś kandydata. Osobiście się tym zajmę, bo twój brat – spojrzał w kierunku Cotnego – nawet nie potrafił powstrzymać tego bezmózgiego lachociąga.

Wszystkiego się spodziewali, wściekłości, krzyku, ale nie takiego wyroku. Znow przechodzić przez to piekło, znow wychodzić za mąż za kogoś, do kogo będzie czuła wstręt... Nene zaczęła się śmiać. To był zatrwajający śmiech, niósł się echem po całym mieszkaniu.

– Przestań natychmiast! – Manana obsztorcowała córkę.

Ale Nene nie potrafiła się już uspokoić, śmiała się i śmiała, śmiała się coraz bardziej histerycznie, aż w końcu musiała sobie obetrzeć łzy z policzków. Potężna

pięść Tapory uderzyła o kant stołu, aż zatrzęsała się zbierana latami miśnieńska porcelana Manany.

– Dosyć tego! – ryknął. – Skończ z tym chorobliwym śmiechem, ty głupia lafiryndo!

Tapora jeszcze nigdy nie obraził Nene, jeszcze nigdy nie użył w stosunku do niej wulgarnych słów. Większość zakazów lub zasad, które dotyczyły Nene, przekazywał przez swoją szwagierkę lub bratanków, jakby nie chciał popaść u niej w niełaskę. Nene natychmiast przestała się śmiać i wstała od stołu. Nieco somnambulicznym krokiem, jakim w ostatnim czasie się przemieszczała, opuściła pokój.

Cotne zrozumiał, że nadszedł czas, żeby działać. Nie mógł już sobie pozwolić, żeby się dłużej zastanawiać. Guga musiał ponieść ofiarę za swoją siostrę.

Trzy dni później stał w kuchni pięknej Anny Tatiszwili, dawnej szkolnej księżniczki, która teraz była na najlepszej drodze, żeby przez swojego brata stać się popadłą w niełaskę, bojaźliwą i zgorzkniałą kobietą. Jej rodziców nie było w domu, ze wstydu, że ich syn został mordercą, wyjechali na całe lato do swojej wiejskiej posiadłości na południu Gruzji. Anna uczyła się do egzaminów.

Wyobrażam ją sobie w jednym z niepozornych mieszkań jakiegoś wieżowca gdzieś w Saburtalo, widzę jej jasnoniebieskie oczy i nadęte usta, jasną skórę, duży biust i wąską talię, jak zawsze ufryzowane włosy i nienaganny strój, jak gdyby spodziewała się, że los w każdej chwili może złożyć jej propozycję, której nie chciałaby odrzucić. Już nie pamiętam, co studiowała. Pasowałoby do niej coś ambitnego. Może nawet medycyna. Ale po tragedii z Ottonem musiała ograniczyć swoje aspiracje. Mieszkała teraz w tym nowo wybudowanym wieżowcu, na dziesiątym piętrze, za metalowymi drzwiami zabezpieczonymi wieloma zamkami, już na zawsze z piętnem siostry mordercy, na zawsze w strachu, że jej zbiegły brat może zostać odnaleziony.

Anna była kobietą, która powinna mieć za męża lekarza w czystych wykrochmalonych koszulach albo jakiegoś profesora i prowadzić porządne, dość

elitarnie życie, która powinna mieszkać w dużym, stylowo urządzonej mieszkaniu, posiadać daczę w Ckneti i wychowywać gromadkę dzieci. Byłaby dobrą panią domu, serdeczną matką i żoną, nieco arogancką, lekko snobistyczną, jak wiele tbiliskich dziewczyn z wyższych sfer. Z czasem trochę by zgorzkniała, myślałaby, że los czegoś jej poskąpił, może trochę spuściłaby z tonu, może trochę by docisnęła, żeby nadrobić to, co, jak sądziła, przegapiła w życiu. Ale na pewno nie zasługiwała na to, by ponosić współodpowiedzialność za chore i pełne nienawiści egzekwowanie swoich praw przez brata.

Być może dawniej Cotne nie miałby nic przeciwko jakiemuś przelotnemu romansowi z Anną, kilka prezentów, kilka zaproszeń do restauracji, kilka pocałunków w jakimś ciemnym zaułku, ale po pierwsze Anna nie była dziewczyną, z którą można byłoby robić coś takiego, a po drugie miał w pamięci zakochane oczy Gugi, więc natychmiast zarzucił ten pomysł.

Anna zdawała się zaskoczona, wręcz zszokowana, gdy otworzyła drzwi. Jednak uprzejmie, tak jak została wychowana, zaprosiła go do środka i postawiła na stole jakiś drobny poczęstunek.

Prawdopodobnie wyglądała bardzo ładnie, jak zawsze, może miała na sobie jakąś letnią sukienkę, jej skóra miała morelowy odcień, tak, na pewno, włosy upięte do góry i ukryte pod czarnym turbanem, tak jak lubiła, niczym afrykańska królowa o alabastrowej skórze. Ożywiona chęcią, żeby się spodobać, zaproponowała mu także coś do picia, być może uderzała nerwowo palcami o blat stołu. Paplała coś o swoich studiach, problemach w instytucie i stale odwoływanych wykładach. A on pozwolił jej się wygadać, nie przerywał, może chciał odwlec w czasie swoją odpowiedzialność za jej nieszczęście. W pewnym momencie wstała, żeby pokroić arbuza, i niechcący musnęła ręką jego ramię. Odwrócona do niego plecami stanęła jak wryta, tak jakby ktoś rzucił na nią klątwę. Wiedział, że za chwilę złamie jej serce, zabije jej naiwną, trwającą od tak dawna miłość.

– Cotne – zaczęła, ale zabrakło jej głosu.

– Anna, muszę z tobą porozmawiać.

Odwróciła się błyskawicznie i spojrzała na niego wyczekująco. Miała nadzieję. Oczywiście, że miała nadzieję. Za chwilę, już za chwilę, mam to teraz przed oczyma, wszystko się zawali, jej miłość zamieni się w odrazę i konsternację. Ale musiał myśleć o zaokrąglonym brzuchu swojej siostry.

– Nie, poczekaj, ja też muszę ci coś powiedzieć i jeśli nie zrobię tego teraz, już nigdy się nie odważę.

– Anna, to nie jest dobry pomysł...

Wciąż stała odwrócona plecami do niego.

– Cofne, być może podejrzewasz to już od dłuższego czasu, ale ta sprawa z moim bratem... Po tym wszystkim nie byłam w stanie z tobą rozmawiać, ale... bardzo cię lubię, Cofne, i...

– Anna, proszę, usiądź z powrotem przy stole.

Później, gdy wybiegł szybko na ulicę, ponoć sam nie potrafił sobie wytłumaczyć, jak to się stało, że tak szybko i zwinnie wylądowała na jego kolanach i przycisnęła swoje pełne, smakujące słodkim likierem, niewprawne usta do jego ust. Całowała dokładnie tak, jak to sobie wyobrażał – z oddaniem, lecz pasywnie, w oczekiwaniu, że to on przejmie inicjatywę, jak w tradycyjnym gruzińskim tańcu. I na krótką chwilę rzeczywiście przejął inicjatywę, objął ją w tali i poczuł, jak jej szybko falujący biust przyciska się do jego torsu. Wtedy wywinął się z jej uścisku.

– Anna, musisz dać szansę Gudze – powiedział.

Spodziewała się wszystkiego, tylko nie takiego zdania. Wstała, jej twarz okryła się wstydem i skamieniała. Być może wstrzymała oddech, na pewno poczerwieniała, z pewnością zaczęły niekontrolowanie drgać jej kąciki ust.

– Guga cię ubóstwia. Wiesz o tym. Od kiedy pamiętam, ciągle do ciebie wzdycha w nadziei, że kiedyś dasz mu szansę. To dobry chłopak, nigdy cię nie zrani, będzie dla ciebie dobrym mężem. Takim, jakim ja nigdy bym dla ciebie nie mógł być.

– O czym ty mówisz? – wyjąkała, a jej oburzenie mieszało się z konsternacją.

– Chciałbym, żebyś zrobiła to dla mnie, i dała mu szansę. Tylko jedną szansę, o więcej nie proszę.

– Ale... ja przecież nie chcę Gugi, chcę...

Nie chciał tego słyszeć, nie chciał widzieć jej jeszcze bardziej zranionej, czuł się nieswojo, chciał jak najszybciej uciec z tej kuchni i z tego mieszkania wypełnionego błogim zapachem pieczonych ziemniaków i arbuza, który tylko pogarszał sprawę.

– Wiem. Ale nie mogę. Uwierz mi, nie znasz mnie, zasługujesz na kogoś lepszego niż ja. – Przyszła mu do głowy tylko ta oklepana śpiewka, a jego głos obniżył się przy tym o oktawę, jak zawsze, gdy złość brała górę.

– Co proszę? – Lekko się cofnęła, zniknęło oburzenie, a zamiast tego ujawniła się zwykła wściekłość. – Lubię twego brata, owszem, ale Guga jest tylko dobrym kolegą, nic więcej, i tak pozostanie.

– Obawiam się, Anno, że nie – powiedział zatrważająco cicho i wstał z krzesła.

– Cofne, co to ma znaczyć? Myślę, że będzie lepiej, jeśli już sobie pójdziesz. – Walczyła, by nie stracić panowania nad sobą, a mimo to łzy napłynęły jej do oczu.

– Będziesz musiała dać Gudze szansę...

– A kim ty jesteś? Wielkim dyktatorem?

– Nie jest mi łatwo, wierz mi, i gdybym miał wybór... ale tu chodzi o znacznie więcej niż o ciebie czy mnie. Chodzi o przyszłość naszych rodzin, dlatego potrzebuję od ciebie tej przysługi.

– Przysługi?! – krzyknęła zdesperowana. – Nazywasz to przysługą?

– Będziesz musiała dać szansę Gudze, jeśli chcesz, by twój brat nie został odnaleziony – powiedział na zakończenie i ruszył w kierunku drzwi. – Dzięki za pyszne jedzenie i zostań, proszę, nie musisz mnie odprowadzać.

MIŁOŚCIWIE NAM PANUJĄCY

Oto jej autoportret, który tak bardzo lubię. Robię parę kroków do tyłu, żeby móc lepiej go obejrzeć. To najbliższa mojemu sercu podobizna, którą doskonaliła przez wiele lat, uprawiając przy tym bezlitosną wiwisekcję. Pamiętam doskonale, że gdy po raz pierwszy zobaczyłam tę fotografię, wstrząsnęła mną aż do szpiku kości. Stałam wtedy w swojej kuchni, oparta o ścianę i oglądałam ten elegancki, wydany w Niemczech album z jej fotografiami, w którym znajdowało się między innymi to zdjęcie. Osunęłam się powoli po ścianie na podłogę. Natychmiast pomyślałam o tamtej ponurej lutowej nocy, gdy zobaczyłam ją w takim stanie na zimnym szpitalnym korytarzu.

Także teraz, gdy patrzę na to zdjęcie, na jej bezlitosne spojrzenie na samą siebie, jak siedzi w podartych rajstopach i dziurawej dżinsowej spódnicy, jakby pogryzł ją wściekły pies, a potem słyszę, jak złorzeczy na miłość i depcze swoje marzenia. Słyszę, jak kieruje do mnie to straszne ultimatum: „... to ty też, proszę bardzo, możesz trzymać się ode mnie z daleka i poszukać sobie lepszej przyjaciółki...”.

Zdjęcie zostało opublikowane dopiero po jej śmierci. Być może nie chciała go upubliczniać albo nie było wcześniej po temu okazji. Istniało wówczas większe zainteresowanie perspektywą zewnętrzną, wszędzie panowało spustoszenie. Spojrzenie w głąb nabrało znaczenia dopiero po latach, jak gdyby późniejsze pokolenie chciało zrozumieć, jak udało nam się przetrwać w tamtych czasach.

Dina trzyma w ręku samowyzwalacz, którego długi kabel wije się u jej stóp jak wąż. Jej wzrok jest skierowany wprost w obiektyw. Włosy są w nieładzie, powyciągany sweter zsunął się lekko z lewego ramienia, na umięśnionych, nieco atletycznych nogach widać dziurawe rajstopy i sznurowane buty z cholewami. Duże sińce pod oczami, blada, ziemista skóra, tysiącletnie zmęczenie na twarzy –

wygląda na tym zdjęciu jak wojownik tuż po decydującej bitwie, która jednak i tak jest jedną z wielu mających nastąpić później. Pentezylea, która wkrótce podejmie brzemienną w skutki walkę z Achillesem.

Siedzi na tle neutralnej białej ściany, obiektyw jest skierowany na jej zmęczoną twarz i oczy, z których można wyczytać, że właśnie coś straciła, coś niezwykle cennego.

Robi mi się gorąco. Zastanawiam się, czy to nie przez wino, może powinnam wyjść na świeże powietrze, ale to zdjęcie mnie nie puszcza, trzyma mnie przy sobie. Musiała je zrobić tuż po tej nocy, może wtedy, gdy wróciła o świcie do domu. Po tym, jak przebiegła całą drogę ze szpitala do swojego mieszkania. Pewnie potrzebowała trochę czasu. Pewnie dużo myślała podczas tego maratonu przez miasto chłodną nocą.

Tytuł zdjęcia brzmi trochę zaskakująco. Pamiętam, że wprowadził mnie w osłupienie, gdy przeczytałam go w albumie po raz pierwszy. Nie potrafiłam znaleźć żadnego związku między zdjęciem a tym głupim tytułem *Miłośniczynie nam panujący*. Do czego się odnosił? Jakich „panujących” miała na myśli? Początkowo wyszłam z założenia, że był to sarkastyczny atak na patriariat. Potem, gdy zrekonstruowałam wydarzenia tamtej nocy, doszłam do wniosku, że ten tytuł odnosi się do dramatycznego spotkania z Ratim, że piętnowała męską płęć jako taką, męczyzn, którzy pchnęli cały nasz kraj w otchłań. Później czytałam na jakimś blogu esej na temat tego zdjęcia. Pewna historyczka sztuki wypowiadała się o feministycznej i progresywnej sile tej fotografii i utwierdziła mnie w moim przekonaniu. Pisała, że Dina tym tytułem poddała krytyce toksyczność zmaskulinizowanych struktur. Jednak z czasem ta teoria wzbudziła moje wątpliwości, ponieważ Dina odznaczała się zbyt wielką ostrością umysłu i wyobraźnią, żeby wysuwać tak bezpośrednie i w jej oczach z pewnością zbyt płaskie oskarżenia. Zawsze wkładała palec w jęczącą się ranę, we własną i cudzą, jej krytyka pojawiała się raczej w nieoczekiwanych miejscach, nigdy nie rzucała się od razu w oczy, nikogo nie oskarżała wprost. Była bardziej subtelna, dopadała człowieka zupełnie nieoczekiwanie.

Może ze dwa lub trzy lata od zakupu tego albumu zrozumiałam wreszcie, o co chodzi. To było w nocy, leżałam w łóżku i się zaśmiewałam. No tak, tak mnie to odkrycie rozbawiło, że nie mogłam się powstrzymać i roześmiałam się w głos, ale jednocześnie przeszył mnie dreszcz, ponieważ uzmysłowiłam sobie z przerażeniem, że już nigdy nie będę mogła podzielić się z nią radością z tego, że wreszcie ją rozszyfrowałam. W każdym razie znalazłam to, czego szukałam. Nie, nie pozwolę jej, nawet po śmierci, mieć przede mną jakichkolwiek tajemnic.

Rozwiązałam więc tę zagadkę dopiero po latach, leżąc zziębnięta w hotelowym pokoju, to było chyba w Madrycie, już nie pamiętam, nad jakim obrazem wtedy pracowaliśmy, natomiast bardzo dobrze przypominam sobie gorączkę i przyjemne uczucie z dzieciństwa, do którego zawsze powracam, gdy złapię jakieś przeziębienie. I właśnie to uczucie naprowadziło mnie na wyjaśnienie owego dziwnego tytułu. Leżałam w łóżu małżeńskim z białą pościelą, w jakimś anonimowym pokoju i wspominałam, jak w wieku sześciu lat zachorowałam na odrę. Wszystkie choroby dziecięce, które nawiedzały mnie i mojego brata, były nazywane przez babudy „miłościwie nam panującymi”. Tym „panującym” przypisywały różne właściwości, byli kapryśni albo władczy, żądali określonych ofiar i wymagali przestrzegania pewnych rytuałów. Mimo że ojciec nieustannie krytykował te brednie, ponieważ nie mógł pojąć, iż jego własna matka oraz własna teściowa, obie z akademickim wykształceniem, z wybitnymi umysłami, wyprawiają takie cuda, to jednak „panującym” nadal okazywano respekt po to, by jak najszybciej opuścili nasz dom.

Najpierw trzeba było zmyć podłogę na mokro, potem oblec wykrochmaloną pościel i położyć dziecko na takim drapiącym prześcieradle. Następnie zaczynał się właściwy ceremoniał: obie babudy, wspierane przez Nadię Aleksandrowną, która również miała słabość do takich teatralnych rytuałów, chodziły ubrane w jaskrawe sukienki wokół mojego łóżka i potrzasały orzechami włoskimi nawleczonymi wcześniej ze znawstwem na nitki, mamrocząc jakby w obcym języku przebłagalne zaklęcia. Po wielokrotnym przeprowadzeniu z największą powagą tego rytuału stawały przy łóżku i rozmawiały ze sobą szeptem. Ponieważ „panujący” lubili, gdy

z ich powodu ktoś nie spał całą noc. Rozmawiały o tym i owym, o wydarzeniach z młodości, o książkach, które czytały, o dawnych przyjaciółkach, z których większość już odeszła. W pewnym momencie zasypiałam spokojnie i spałam najgłębszym i najbardziej odprężającym snem w życiu. Czułam się bezpiecznie, a złe czerwone krosty na ciele nie mogły mi już w żaden sposób zagrozić, bo przecież babudy i Nadia Aleksandrowna czuwały nade mną niczym zastępy aniołów.

Jeśli „miłościwie nam panujący” zatrzymali się u nas mimo wszystko na dłużej, niżby sobie tego życzyły babudy, jak to było w przypadku odry, babcie uciekały się do bardziej drastycznych metod, kupowały na bazarku czerwono prążkowanego koguta i przynosiły go z wielkim namaszczeniem do domu. Ojciec był wtedy bliski załamania nerwowego. Za nic nie mógł zrozumieć, że obie kobiety posuwały się do tego i targały do domu żywego koguta, żeby udobruchać „panujących”. Z zamkniętymi oczami i podrapanymi rękoma podnosiły koguta do góry i wrzucały do mego pokoju, wypowiadając przy tym swoje modły. Kogut, gdacząc, zaczynał skakać jak oszalały, wskakiwał na oparcie sofy, zeskakiwał ponownie na podłogę i biegał po pokoju, wydając z siebie dodatkowo inne, dotychczas nieznanne nam dźwięki. Ojciec, nie mogąc już znieść tej absurdalnej sytuacji, włączał Dizzy Gillespiego na cały regulator, natomiast ja z fascynacją w oczach przyglądałam się zdezorientowanemu zwierzęciu, które znalazło się w moim pokoju. Następnego dnia „panujący” opuszczali nasz dom, a moje zadawane tygodniami pytania o miejsce pobytu koguta pozostawały bez odpowiedzi.

Gdy leżąc w madryckim pokoju hotelowym, przypomiinałam sobie te sceny, wróciło także wspomnienie zimnego łóżka. To był przedostatni dzień roku, roku, który przyniósł ze sobą wyłącznie przerażenie i rozlew krwi. Strasznie marzłam, miałam zgrabiłe palce i mimo wszelkich starań nijak nie mogłam ich ogrzać. Wtedy o niczym bardziej nie marzyłam niż o tym, by znów mieć sześć lat, by „miłościwie nam panujący” znów przyszli z wizytą, a babudy i Nadia Aleksandrowna zgromadziły się koło mnie w kolorowych sukienkach i wypowiadając heretyckie zaklęcia, czuwały nade mną, żeby znów wrzuciły mi do

pokoju koguta, który wszystko naprawi, przepędzi wszystkie złe duchy i zażegna wszelkie niebezpieczeństwa. Chciałam być znów zdrowa. Chciałam się obudzić z tej głuchoty i permanentnego niepokoju, wyrwać się z tego braku przyszłości i ponownie znaleźć w sobie siłę do tego, by w coś wierzyć.

Nienawidziłam tego poczucia zagubienia od czasu, gdy Rati odciął się od Diny, amputował ją jak rękę i od kiedy Dina zabarykadowała się w swoim milczeniu i poświęciła bez reszty fotografii. Od kiedy Nene została wysłana do ciotki z Odessy – „dla jej własnego dobra”, jak stwierdzono – od kiedy cała dzielnica zaczęła mówić o napiętych relacjach pomiędzy Cotnem i Ratim i o ekspansywnych działaniach Ratiego, ale nikt nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego Cotne, a co za tym idzie, Tabora, przyglądali się temu beczynnienie. Od czasu, gdy Ira nie myślała już o niczym innym, lecz jak szalona przygotowywała się do wyjazdu, szlifowała angielski, czytała o podstawowych prawach obywatelskich w Stanach Zjednoczonych. A także od kiedy Lewan wyraźnie dał mi do zrozumienia, że to nie jest dobry czas, żeby podawać informację o naszym związku do wiadomości publicznej, ponieważ on nie powinien się teraz „wychylać”, gdyż sytuacja w dzielnicy jest skomplikowana i on nie może sobie teraz pozwolić na wewnętrzny konflikt z Ratim.

Ostatni raz spotkaliśmy się w pewnej ciemnej uliczce. Jak dwaj złodzieje po wyprawie łupieżczej siedzieliśmy w jego samochodzie i próbowaliśmy się ogrzać.

– Powiedz mi, gdzie jest napisane, że nie wolno spotykać się z siostrą swojego najlepszego przyjaciela. A poza tym kim on w ogóle jest? Bogiem? To się bierze stąd, że sam rozstał się z Diną, jest po prostu rozgoryczony i zazdrości innym tego, czego sam nie może mieć! – protestowałam z oburzeniem.

– Keto, dobrze wiesz, że wcześniej też tego nie tolerował – wymamrotał i położył mi rękę na ramieniu. – Coś wymyślę. Jak sprawa trochę przycichnie i konflikt między nim a klanem Koridze trochę się uspokoi, będę mógł jeszcze raz z nim porozmawiać...

– Ach, Lewan, to wszystko jest takie męczące...

Uwolniłam się z jego objęć. Ta pozorna bliskość wydawała mi się nie do zniesienia. Nie chciałam już dłużej być utrzymywana w tajemnicy. Wszystko we mnie wołało o jakąś zmianę, zapragnęłam wyrwać się stąd i nie wiem dlaczego pomyślałam wtedy o Rezie, o jego słowach, ciepłym wieczornym świetle i naszych rozbrykanych dziecięcych wyścigach.

– Keto, kocham cię, przecież wiesz, że nie marzę o niczym innym, chciałbym z tobą...

– Bzdury! Gdyby tak było, nie musielibyśmy spotykać się w tym samochodzie jak dwoje złoczyńców!

– Bez Ratiego nie mam szans na to, żeby dorwać Ottona Tatiszwilego, zrozum wreszcie.

No jasne, powinnam była się domyślić, przecież chodziło mu tylko o to. Jego zapiekłość nie minie, dopóki nie dostanie tego, czego chce. To oczywiste, głupotą z mojej strony było sądzić, że nasz związek może okazać się silniejszy niż żądza absolutnej, bezlitosnej zemsty.

Wysiadłam bez słowa z samochodu i pobiegłam do domu.

Na pierwszy rzut oka wyglądało tak, jakby Rati zaakceptował propozycję Cotnego i przejął jego interesy, ponieważ widać było coraz wyraźniej, że Cotne wycofuje się z ulicznego życia dzielnicy. Teraz miał „coś większego” do roboty, ale nikt nie potrafił powiedzieć o tym niczego bliższego, dlatego krążyło na ten temat wiele różnych domysłów. Wiedziałam, że obawa paraliżuje Dinę tak samo jak mnie, z tym że w odmienny sposób sobie z nią radziłyśmy. Ale obie żyłyśmy na wdechu, obie wiedziałyśmy, że pozory mylą. Nie ufałyśmy tej zaczadzonej idylli, każdy w dzielnicy podejrzewał, że coś się za nią kryje, przy czym każdy widział w tym jakiś inny powód, wietrzył jakąś inną przepaść. Żyliśmy w oczekiwaniu na trzęsienie ziemi. Jak to możliwe, że po bezczelnej propozycji Cotnego dotyczącej handlu wymiennego nie nastąpiły żadne działania odwetowe, wręcz przeciwnie, wiele wskazywało na to, że Rati pojednał się z Cotnem? Jak to możliwe, że Rati z taką na pozór wielką łatwością znosił upokorzenie, tę ciężką zniewagę? Byłam

pewna, że niezależnie od tego, jakie przywileje Cotne przyznał Ratiemu, ten deal stanowił jedynie pozorne zawieszenie broni, oznaczał ciszę przed burzą.

Rozmawiać o tym z Diną było nie sposób. Nie chciała słyszeć ani o Ratim, ani o Cotnem. W rysy jej twarzy wpisało się na stałe ciężkie rozczarowanie, było w nich coś surowego, zdystansowanego. Wprawdzie nadal odgrywała beztroską dziewczynę, także przed nami, swoimi przyjaciółkami, ale widać było, ile ją kosztuje, żeby nie załamać się pod ciężarem konsekwencji swojego działania. Za tę jej decyzję, za coś, co zrobiła wyłącznie dla niego, wyłącznie po to, żeby mógł przeżyć, Rati ukarał ją niewyobrażalnie brutalną pogardą. Znałam ją zbyt dobrze, żeby nie dostrzec w niej ogromnego spustoszenia, tej rosnącej z dnia na dzień zięjącej otchłani, w którą mogła runąć w każdej chwili. „Pomyliłam się co do niego. Jest słaby. Nie mogę zadawać się ze słabym człowiekiem” – brzmiał jej zwięzły wyrok tuż po rozstaniu. Jej spokój napawał mnie lękiem.

To musiało być pod koniec listopada, ziemia była rozmiękniona, a niebo szare, gdy Rati wrócił do domu pijany w sztok. Lewan odstawił go w korytarzu i poprosił naszego ojca, żeby nie zostawiał go samego, bo nie jest „w dobrym nastroju” i grozi, że pójdzie do Diny i ją „załatwi”. Babudy już spały, wytoczyłam się zaspana na ciemny korytarz, ubrana w swój najgrubszy sweter zrobiony na drutach, w którym spałam, od kiedy nadeszły chłody, w rękę trzymałam małą latarkę na baterię słoneczną, którą skonstruował mi ojciec, i patrzyłam na nadciągające nieszczęście. Głośno przeklinając, Rati wymachiwał pięściami na ślepo wokół siebie i próbował wyzwolić się z rąk Lewana.

– Zabiję ją, zostaw mnie...

Podeszłam do niego i usiłowałam spojrzeć mu w oczy, żeby znaleźć tam coś w rodzaju sumienia, do którego chciałam zaapelować. Ale w tym momencie wyrwał się Lewanowi i zaczął zbiegać na bosaka po schodach. Lewan i ojciec rzucili się za nim.

– Rati, opamiętaj się, wpakujesz nas wszystkich w niewyobrażalne kłopoty!

Ojciec nieustannie przywoływał go do rozsądku. Na podwórku udało mi się schwycić go za rękaw i chciałam zaciągnąć go z powrotem na klatkę schodową, ale był oczywiście silniejszy.

– Dina, do jasnej cholery, Dina, chodź tutaj! – ryczał na całe podwórko.

U Jaszwilich zapaliła się mała lampka, także Nadia Aleksandrowna zapaliła świeczkę. Drzwi do sutereny nagle się otworzyły i stanęła w nich Dina ubrana w męską koszulę w kratę, grube skarpetki i kozuch z jagnięcej skóry należący do jej matki. Mimo powolnych ruchów poznałam po sylwetce, że jest gotowa do walki. W jej twarzy można było wyczytać pewien rodzaj ulgi, jak gdyby przez cały czas czekała na to, żeby wreszcie przystąpić do ostatecznej rozgrywki ze swoim ukochanym. Nawet ojciec zdawał się przestraszony jej widokiem i zatrzymał się w pół kroku, natomiast Lewan westchnął cicho i zakrył twarz rękami.

– Słucham, Kipiani, o co chodzi? Cała zamieniam się w słuch, dawaj, oto jestem. Słyszę, że chcesz mnie zabić – fuknęła mu prosto w twarz i podeszła do niego tak blisko, że pomyślałam, że zaraz przegryzie mu aortę.

Zrobiłam krok w jej kierunku, ale odpędziła mnie:

– Spadaj, Keto, to jest sprawa między nim a mną!

– Zabiję was, obie was...! – zaczął wykrzykiwać, ale nagle coś się z nim stało, zmienił mu się wyraz twarzy, jej bliskość go rozbroiła, jej twarz tuż przy jego twarzy, jej ciepły, nocny zapach zmiękczył go i być może zrozumiał w tej sekundzie, że nigdy nie wygra z nią wojny.

– Czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia? To wszystko, na co cię stać? – spytała niższym niż zwykle głosem i w tym momencie na podwórko wyszły Lika i Anano.

Zdezorientowane spojrzały na nas z niedowierzaniem.

– Co tu się dzieje? – chciała wiedzieć Lika. – Dina, wszystko w porządku?

– Wracajcie do domu, wszystko w najlepszym porządku! – odpowiedziała Dina, nie odwracając wzroku od Ratiego.

– Przepraszam, ciociu Liko – powiedział nagle Rati, odwrócił się na pięcie i pospieszył z powrotem do mieszkania.

Staliśmy jak wryci. Ojciec i Lewan poszli za nim, przeprosiwszy wcześniej wielokrotnie Likę i Anano. Zostałam z Diną i odprowadziłam ją do mieszkania.

– Dina, porozmawiaj ze mną, przecież musisz się komuś zwierzyć...

– Wszystko jest w porządku, wszystko w porządku, idź już spać, Ketunia, jest późna noc – wymamrotała, pocałowała mnie mocno w policzek i zniknęła za drzwiami.

Robiło się coraz chłodniej, nadeszły pierwsze przymrozki, a napływające strumienie uchodźców z Abchazji zdawały się nie mieć końca. Przybyszów kwaterowano w biedniejszych domostwach i podupadających hotelach, widzieliśmy ich szeroko otwarte ze strachu oczy i zwątpienie. Kolejki po chleb robiły się coraz dłuższe, oczekujący okupowali całe ulice i aleje. Ściany domów pokrywały się sadzą od wypalanej nafty oświetleniowej i zaimprovizowanych pieców węglowych. Kotlety mielone robiono z chleba i osolonej wody, a dziurawe buty wykładano papierem. Nie było gdzie się porządnie ogrzać, zmęczenie brało górę, ponieważ każdego dnia trzeba było gdzieś pędzić, na przykład tam, gdzie rzucili papier toaletowy czy pastę do zębów, po czym przełknąć upokarzające rozczarowanie, bo przybyło się za późno i towar, niestety, już się skończył. Wszędzie panowała niekończąca się ciemność – więc nie pozostawało nic innego jak tylko gdzieś uciec i zamknąć się we własnym świecie. Pod koniec grudnia skapitulowałam, podporządkowałam się istniejącemu stanowi rzeczy, bo nie miałam już siły. Bardzo łatwo było zaakceptować u siebie obojętność, gdy raz otworzyło się jej drzwi. Nie miałam już ochoty myśleć o jutrze, o jakiejś poprawie, uldze, o kolejnej nadziei, urządziłam się jakoś w tej obezwładniającej sytuacji bez wyjścia.

Oliko weszła bez pukania do mojego pokoju, w jednej ręce trzymała świecę, a w drugiej jakiś ciężki przedmiot, którego początkowo nie rozpoznałam.

– Babuda, co to jest? – spytałam i odsunęłam nieco kołdrę. Od kilku godzin próbowałam się rozgrzać, prawdopodobnie mój organizm walczył też z jakimś przeziębieniem, w związku z tym byłam już bliska płaczu. Rzadko kiedy czułam się tak marnie, świat wokół mnie zdawał się kruszyć kawałek po kawałku jak tynk z popękanej fasady.

– To jest żeliwne żelazko mojej matki. Dostałam je w spadku – dodała z szelmowskim uśmiechem. – Wszystko inne nam przecież zabrali. Została ta rzecz i nigdy w życiu bym nie przypuszczała, że w dzisiejszych czasach okaże się cenna jak złoto.

– Co chcesz z tym zrobić?

– Wtedy nie było jeszcze prądu, to żelazko trzeba po prostu nagrzać na piecu albo grzejniku naftowym i twoje łóżko w mig zamienia się w małą, ciepłą oazę. No, już, przesunij się trochę.

Z lekkim przerażeniem przesunęłam się w kąt, a Oliko zaczęła prasować mi łóżko.

– Zobaczysz, zaraz będzie ci ciepło, bardzo ciepło...

Miałam ochotę rozplakać się z wdzięczności i poczucia ulgi, ale poczekałam jeszcze cierpliwie, aż cud się ziści. Prześcieradło wchłonęło ciepło żelazka. Byłam zbawiona.

– Babuda, dziękuję. Dziękuję ci – wyszeptałam. Odrobina ciepła wystarczyła, abym stała się potulna jak baranek.

Oliko siadła u wezgłowia. Pogładziła mnie swoją ciepłą, upstrzoną starczymi plamami dłonią po głowie. Zapragnęłam zapaść w niekończący się sen zimowy i poprosić ją, by obudziła mnie dopiero wtedy, gdy skończy się ten koszmar.

– Pojutrze kończy się ten rok i będziemy mogli od nowa liczyć na lepsze czasy. Nasz prezydent wróci i...

Nie mogłam w to uwierzyć, że znowu zaczyna. Długo już nie wspominała tego jeszcze nie tak dawno wszechobecnego nazwiska i wszyscy mieliśmy nadzieję, że jej obsesja przeszła wreszcie do historii.

– Wszystko będzie dobrze, bukaszko. Wiem, że nie chcecie nic o tym słyszeć, jego ucieczka to hańba dla całego naszego kraju, ale wkrótce znów nabierze sił, z pomocą swoich ludzi wróci do kraju i wyprowadzi to państwo z ciemności.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Naturalnie, że wierzę.

Spojrzała na mnie zdenerwowana. W tym momencie wydało mi się, że rozpoznaję w niej swoją matkę. Być może właśnie z tego powodu nie potrafiłam jej nigdy niczego odmówić i wybaczałam jej wszystko o wiele łatwiej niż innym członkom rodziny. Chwytałam się tej odrobiny mojej matki, jaka w niej tkwiła, chwytałam się Oliko, która ją urodziła, wychowała, która obdarowała ją odwagą i poczuciem wolności, nie przypuszczając, że właśnie te cechy staną się jej przekleństwem.

– No jasne, a ja wierzę w Dziadka Mroza.

– Jako dziecko wierzyłaś w niego, i to dosyć długo – odparła lekko urażona.

– Jako dziecko, owszem. Oliko, każde dziecko to robi, ale ja nie jestem już dzieckiem. – Wyprostowałam ręce i nogi. Powoli uwalniałam swoje ciało z niewoli chłodu.

– I tak powinno być. Ja i Eter zadałyśmy sobie sporo trudu, żebyście ty i twój brat mogli długo żyć w tym przekonaniu.

– Później, gdy już wiedzieliśmy, że Dziadek Mróz nie istnieje, tylko tak udawaliśmy.

– Naprawdę?

Zdawała się zastanawiać, szukała w pamięci tych wszystkich wieczorów sylwestrowych, gdy w tajemnicy i z wielką ostrożnością układała pod choinką zapakowane prezenty. Prawdopodobnie zachowała w pamięci tylko to, jak biegamy podeksytowani dokoła drzewka. Rozmarzyła się. Zaraz potem zaczęła mówić dalej:

– Ostatnio rozmawiałam z małą Sofią z podwórka naprzeciwko, wiesz, tą dziewczynką z loczkami. Oboje rodzice nie mają pracy i ledwo wiążą koniec

z końcem. Matka Sofii skarżyła się, że w tym roku muszą zrezygnować z obchodzenia sylwestra, bo nie stać jej na prezenty dla dzieci. I wtedy przyszło mi do głowy pewne rozwiązanie. Powiedziałam małej Sofii, że Dziadek Mróz w tym roku nie przyjedzie do Gruzji, więc nie powinna się smucić, bo żadne dziecko nie dostanie prezentu, ale za to w przyszłym roku będzie ich dwa razy tyle.

– A nie zapytała, dlaczego Dziadek Mróz nie przyjdzie?

– Oczywiście, że zapytała.

– I co jej powiedziałaś? – Mimo najszczerzej chęci nie mogłam domyślić się żadnego przekonującego wyjaśnienia, więc wpatrywałam się w nią z ciekawością.

– No cóż, powiedziałam, że Dziadek Mróz nie może dojechać do nas swoimi saniami, bo u nas jest ciągle ciemno. Nie może znaleźć kraju, w którym co rusz brakuje prądu i który ciągle tonie w ciemnościach.

Potrzebowałam chwili, żeby to do mnie dotarło, aż wreszcie wybuchłam gromkim śmiechem. Śmiałam się i śmiałam, nie mogłam się powstrzymać, w końcu ona też przyłączyła się do mnie i obu nam ze śmiechu popłynęły łzy po policzkach. Eter zwabiona śmiechem przyszła do mojego pokoju i przyglądała się nam zdumiona. Dałam jej znak ręką, żeby usiadła na końcu łóżka, co, ociągając się, uczyniła.

Może, pomyślałam wtedy, może istnieje jednak jakaś nadzieja, są przecież tutaj, czuwają nade mną, przyciągnęłam je do siebie swoim poczuciem zagubienia i już ich nie wypuszczę z pokoju, tak jak wtedy, gdy odwiedzali nas „miłościwie nam panujący”.

– Babudy... – zaczęłam cicho.

– Tak? – zapytały unisono, a ja poczułam się, jakbym przeniosła się w czasy dzieciństwa.

– Możecie u mnie trochę zostać? To znaczy, do czasu, aż zasnę.

– Bukaszko, chyba nie jesteś chora? – spytała babuda jeden.

– Nie, tylko było mi strasznie zimno, przez cały czas było mi tak strasznie zimno... A teraz jest ciepło. Jest mi tak dobrze.

Sposób, w jaki sformułowałam swoją prośbę, musiał je skłonić do tego, żeby zostały, siedząc jedna u wezgłowia, a druga na końcu łóżka.

– Dawniej zawsze recytowałyście wiersze, francuskie albo niemieckie...

Nie dały się długo prosić. Oliko zaczęła od Éluarda, a ja po raz kolejny jęknęłam z zachwytu nad jej imponującą zdolnością zapamiętywania tak wielu wersów, tak jakby starzało się wyłącznie jej ciało, ale nie pamięć. Mój dobry niemiecki i słaby francuski od dawna był powodem jej wielkiego smutku, ale za to słuchałam Oliko chętniej niż Eter, której wiersze nigdy nie miały takiej samej melodyczności i elegancji. Ale akurat tamtej nocy *Dzień jesienny* Rilkego też sprawił mi dużą przyjemność.

Uduchowiona i dobrze strzeżona odpłynęłam do bezpiecznej krainy snu. Moje ostatnie myśli dotyczyły tych dwóch czarodziejek oraz tego, że może zdołają, o ile nie skończą się im elegijne strofy, utrzymać z dala ode mnie wszelkich nieproszonych „panujących”.

Obchodziliśmy sylwestra wprawdzie bez Dziadka Mroza, ale za to z prosiakiem na różnie zdobytym gdzieś przez mojego narwanego brata. Prąd pojawił się po południu i był aż do trzeciej nad ranem. Byliśmy za to uniżenie wdzięczni, o północy policzyliśmy od dziesięciu wstecz i wznieśliśmy toast krymskim szampanem. Życzyliśmy sobie dużo zdrowia, siły, a także wiary w to, że nadejdą lepsze czasy. Mój ojciec puścił Cole’a Portera i zachowywaliśmy się tak, jakby na tę jedną noc został zakopany topór wojenny, traktowaliśmy siebie nawzajem z serdecznością i szacunkiem. Upiłam się, ponieważ był to jeden ze sposobów na to, żeby się rozgrzać, ale także poradzić sobie z poczuciem zagubienia. Babudy przytulały nas do siebie i prześcigały się w gorliwości i staraniach, by stworzyć dobry nastrój i otulić nas ciepłą kołderką iluzji. Podziwialiśmy skromne fajerwerki na niebie i odetchnęliśmy z ulgą, że to nie były wystrzały. Nadia Aleksandrowna, ta chorobliwie uprzejma i staromodna pani, dołączyła do nas jak zawsze w noc sylwestrową i zapominając o swoich nienaganych manierach, zabrała się do jedzenia z taką łapczywością, że aż zrobiło mi się niedobrze. Potem przyszli

jeszcze Lewan oraz Sancho i wzniesli z nami toast. Ja upijałam się dalej i nie uczestniczyłam w rozmowie. W pewnym momencie wstałam, narzuciłam bez słowa płaszcz i zeszłam na dół. Podwórko było rozświetlone, co stanowiło niezwykle rzadki widok. Wszyscy byli w domu, wszyscy świętowali tak, jak mogli i czym mogli. Nie każdy miał brata, który w tych trudnych czasach mógł załatwić prosię i krymskiego szampana. Ale wszyscy sobie pomagali, dzielili się tym, co mieli, ludzie byli hojni i serdeczni – to był przecież sylwester, chcieliśmy dobrze nastawić do siebie nowy rok i obłaskawić los.

Drzwi otworzyła Anano. Miała na sobie odświętną sukienkę, była ufryzowana i wyperfumowana, jakby wybierała się na randkę. Przywitała mnie i mocno uściskała. Lika i jej starsza siostra siedziały przy okrągłym stole w kuchni służącej jednocześnie za jadalnię. Nie miały wprawdzie prosiaka ani krymskiego szampana, było za to czerwone wino i chlebek kukurydziany. Leciała głośna muzyka, do której Anano przez cały czas podrygiwała. Alkohol przepędził moje uczucie chłodu i zagubienia, tak że już nigdy nie chciałam być trzeźwa. Nalałam sobie wina i zatańczyłam jakiś kawałek z Anano. Objęłam Likę, potem objęłam Dinę, ku mojemu zdumieniu najbardziej spokojną i najbardziej zamyśloną z całego naszego towarzystwa.

Gdy podeszła do okna, żeby zapalić, poszłam za nią i usiadłam na parapecie tuż obok, ramię w ramię. Wdychałam jej zapach, tak mi znajomy. Mimo naszej bliskości doskwierała mi tęsknota za nią. Opadł ze mnie cały ciężar, chciałam znowu poczuć siebie samą, chciałam znów czuć, że jestem częścią tego świata, mimo że stał się w naszych czasach tak okrutny i niegościnnie. Zawsze wszystko najlepiej udawało mi się z Diną u boku. Wtuliłam twarz w jej szyję i trwałam w tej pozycji przez jakiś czas. Objęła mnie ramieniem. Chciałam, żeby zostało tak już na zawsze, nie chciałam już nigdy wracać do domu, nie chciałam już nigdy widzieć Ratiego ani Lewana, musieć cierpieć z ich powodu. Pragnęłam ją chronić, już nigdy nie pozwolić nikomu jej zranić.

– Tęsknię za tobą. Jest mi ciągle zimno, nie mogę w nocy zasnąć i myślę o tobie, zastanawiam się, jak się czujesz, i jednocześnie wiem, że nie jest ci łatwo.

Nikt nie jest wart tego, żebyś się tak zmieniała, nikt nie powinien mieć nad nami takiej władzy. Nie chcę siebie zatracić, nie chcę nas zatracić, znaczymy o wiele więcej niż ten jeden dzień w zoo, niż te wszystkie potworności. Przecież mnie uczyłaś, że zawsze trzeba mieć oczy otwarte, niezależnie od tego, co się widzi...

Mówiłam bez przerwy, jakby te słowa stały do tej pory w mojej głowie w korku i kolumna właśnie ruszyła. Dina nie przerywała mi, zauważyłam, że coś w postawie jej ciała zaczyna się zmieniać, że odczuwa ulgę, mięknie, dopuszcza naszą bliskość. I nagle, gdy podniosłam wzrok, spostrzegłam, jak kąci jej ust zaczynają drgać, a czoło się marszczy. W tym niemym bólu kryło się tyle bezgranicznego smutku.

– Tak mi przykro, Dina, tak mi strasznie przykro.

– Miałaś rację, Keto. Powinnam była się domyślić, że on mnie nigdy nie zrozumie, że nie będzie mógł z tym żyć. Byłam taka głupia. I być może faktycznie powinniśmy były wtedy, w tym cholernym zoo, iść dalej...

– Nie, nie – przestraszyłam się – Nie wolno ci tak myśleć, nie miałyśmy wyboru, to by nas zniszczyło.

– A czy nie zniszczyło nas tak czy siak?

– Niewykluczone, niewykluczone, że tak się stało, ale wciąż możemy patrzeć sobie w oczy. A to już coś, to znaczy bardzo wiele.

– Nie wiem, Keto. Nie mogę już tego znieść, tego kraju, tych ludzi, nie tak to sobie wyobrażałam...

Była kimś, kto mimo przeciwności losu widział w życiu same superlatywy, kto stawiał mu czoła. A teraz uszła z niej cała energia, życie polegało jedynie na przetrwaniu, a ona głoduje, obojętnie, jakby to była jej ostatnia deska ratunku.

– A wiesz, co jest najgorsze? Ja... Jak on mógł, jak może... – Urwała, spojrzała kątem oka na Likę i Anano, jakby chciała się upewnić, że jej nie słyszą. – Rati wymienił mnie jak towar. – Zdawała się dławić, wypowiadając te słowa, ale znów się opanowała. – Nie mogę w to uwierzyć, że naprawdę na to poszedł. Ale tylko się rozejrzyj, Cotne odstąpił mi całą dzielnicę, wszyscy w Sololaki to wiedzą...

A więc ona też o tym słyszała i wierzyła w to, o czym mówiło się w dzielnicy. Ale ja wciąż nie mogłam w to uwierzyć, byłam pewna, że mój brat ją kocha. A co – tę myśl dopuściłam do siebie po raz pierwszy – jeśli czuje się tak bardzo rozczarowany, że postanowił się na niej zemścić, zrobić coś niewybaczalnego, bo tylko w ten sposób może się od tego wszystkiego uwolnić? Że musi zbeczczyć to, co najświętsze – w imię iluzji wyzwolenia. Ale nie, to przecież do mojego brata niepodobne, to w gorącej wodzie kąpany, uparty, brutalny, dziarski, narcystyczny i kochający władzę dupek, nie jest potworem, ma własny kodeks wartości i wyobrażenie, czym jest moralność, nigdy nie zakatrupiłby z zimną krwią kogoś, z kim się kiedyś zadawał. Podjęłam próbę przekonania o tym Diny. Nie chciała o tym słyszeć i powtarzała w kółko, że mężczyzna, którego, jak jej się wydawało, bardzo dobrze zna i z którym chciała być, nigdy nie poszedłby na tak obrzydliwy układ, nie chodziłby teraz dumny jak paw, jakby był królem Sololaki. Spytałam, czy rozmawiała o tym z Cotnem, czując jednocześnie, jak narasta we mnie tłumiona dotychczas wściekłość na niego. Powiedziała, że tak, że ją przeprosił i że podobno w rozmowie z Ratim po prostu mu się wymknęło.

Zastanowiło mnie, dlaczego tak łagodnie odebrała przeprosiny Cotnego. Ale przemilczałam to. Rozumiałam jej złość na Ratiego, ale czułam jednocześnie jakąś niejasną obawę, że Cotne może zająć teraz puste miejsce w jej sercu.

– Chce być z tobą? – spytałam sarkastycznym tonem.

Wzruszyła ramionami i zignorowała moją dociekliwość. Powiedziała tylko, że często dzwoni i przysyła jej prezenty, ostatnio nowusieńki F2.

– Co to jest F2? – spytałam natychmiast.

– Nikon, klasyk wśród aparatów fotograficznych, nawet Pozner zbladł z zazdrości – wyjaśniła.

Zaczęłam się zastanawiać, czy to możliwe, że Cotne Koridze ze swoimi nieograniczonymi możliwościami osiągnął u niej to, czego chciał. A może chciała zranić Ratiego w tak samo obrzydliwy sposób, jaki zarzucała jemu? Czyżby chciała zaognić sytuację, dopuszczając Cotnego tak blisko do siebie?

Zacząłam martwić się o naszą kruchą, budowaną od nowa relację, o nasze ostrożne zbliżenie. Za bardzo pragnęłam Diny i tęskniłam za jej bezkompromisowością, żeby teraz podkopywać naszą bliskość natarczywymi pytaniami. Dałam nam chwilę oddechu i pozwoliłam sobie na krótki pobyt w całkowicie osobistej oazie pośrodku postapokaliptycznej pustyni. Nowy rok miał w końcu zaledwie kilka minut.

Objęła mnie ramieniem i patrzyłyśmy na brudny uliczny asfalt. Z okna sutereny można było oglądać to, na co zwykle nie zwracało się uwagi: małe kwiaty, które jako pierwsze wyłaniały się z ziemi, gdy nadciągała wiosna, gruchające gołębie podczas gry miłosnej, koty przeciągające się w słońcu i małe stopy wskakujące z impetem do kałuży. Po butach przechodniów dało się rozpoznać, jaka jest pogoda, po siatkach z zakupami zorientować się, co akurat rzucili do sklepu, po rękach trzymających się nawzajem odgadnąć, ile jest jeszcze wiary w ludziach.

– Myślę o tym, żeby stąd wyjechać.

– To zabierz mnie ze sobą.

Tak czy siak zamierzałam wyjechać z miasta na parę dni, może w góry. Puściłam do niej oko, obserwując jednocześnie, jak gasi papierosa w pustej puszcze po konserwie. Nagle odwróciła się do mnie i spojrzała mi prosto w oczy.

– Nie sądzę, żebyś chciała pojechać tam ze mną, Keto.

Przełknęłam ślinę. Domyśliłam się, co za chwilę mi powie, i nie chciałam tego słuchać.

– Nie, Dina, zapomnij, w żadnym razie!

– Keto, jestem fotografką, to moje zadanie. Chcę się rozwijać, w życiu, w zawodzie. Masz rację, zamykanie oczu to połowiczna śmierć.

– Na wojnie nie można się rozwijać. Dina, to najbardziej idiotyczny i egoistyczny pomysł, jaki kiedykolwiek przyszedł ci do głowy! – Miałam poczucie, że to jakiś horror. Musiałam chronić przyjaciółkę przed jej własnym szaleństwem. – Nigdy, przenigdy nie pozwolę ci jechać na tę obrzydliwą wojnę! I to w dodatku dobrowolnie!

– Posłuchaj, Pozner już od dawna zastanawia się, czy jechać do Abchazji. Mamy tam na miejscu swoich ludzi, to bezpieczne, dziennikarze zorganizowali w jednym z sanatoriów swoje centrum informacyjne. Pozner wie, co robi. Jeśli ja nie pojedę, pojedzie z nim ktoś inny. Nie mam już ochoty fotografować tych pustych twarzy i zdewastowanych ulic, poza tym muszę się stąd wyrwać, muszę uciec od niego...

Nowy rok zaczął się od kolejnej kłótni. Obudził mnie przeraźliwy hałas i błyskawicznie podniosłam się na łóżku. Zajęło mi chwilę, zanim rozpoznałam ten głos. To była babuda dwa, usłyszałam coś pomiędzy pieśnią żałobną a odgłosami psa szczerzącego kły.

Począpałam na bosaka w kierunku loggii. Ojciec i Eter stali przy Oliko, Eter mierzyła ciśnienie, a ojciec przykładał jej mokry ręcznik do czoła.

– Co się dzieje? – Przestraszona zatrzymałam się na progu.

– Pss! – upomniał mnie ojciec. – Wracaj do pokoju, bo zaraz znowu się zdenerwuje i skoczy jej ciśnienie.

Poczułam się jak niesforne dziecko, któremu udzielono reprimendy.

– Bukaszko, moja mała bukaszko, wszystko zmierza ku zagładzie, wszelkie nadzieje stracone. O Boże, dlaczego tak bezlitośnie nas doświadczasz... – biadoliła Oliko, a jej klatka piersiowa unosiła się tak wysoko, że istniało niebezpieczeństwo, iż babuda za chwilę straci przytomność.

Byłam zbyt senna, żeby wyczytać z jej słów coś sensownego, poza tym czułam jeszcze we krwi resztki alkoholu i walczyłam z nudnościami.

– Najbardziej zaufane źródło informacji Oliko obwieściło, że prezydent nie zamierza wracać do kraju – wyjaśniła Eter w typowy dla siebie sarkastyczny sposób i to, jej zdaniem, było powodem załamania nerwowego babudy dwa.

Oliko złorzeczyła, przeklinała, jęczała, to podnosiła się z krzesła, to znów na nie opadała, by po chwili ponownie rozpocząć swoją jeremiadę.

– Pewnego dnia to do was dotrze, kiedyś zrozumiecie i wspomnicie moje słowa... Jeszcze gorzko zapłaczesz, że wpuściłaś do kraju tego zdrajcę

Szewardnadzego...

– Nikogo nie „wpuszczalam do kraju”! – poprawila ją Eter, odbijając piłeczkę.

– Deda, proszę cię, to naprawdę nie jest odpowiedni moment – zaczął ją uspokajać ojciec.

– Co się stało?

– Zorientowała się, że jej ukochany prezydent jednak nie jest mesjaszem, lecz zwykłym tchórzem, i to w dodatku zbiegłym. Tak po prostu – objaśniła mi Eter bez najmniejszych emocji.

Co było wielkim błędem, bo Oliko znów zaczęła krzyczeć, jakby ją przypalali na ruszcie.

– Jak śmiesz rozpowszechniać takie kłamstwa? Powinniśmy oddawać mu cześć, to biedny człowiek, który jako jedyny próbował bronić kraj przed tymi wszystkimi wyzyskiwaczami. I jeśli nie wróci i nie uchroni swojego narodu przed zgubą...

– Pozwolisz, że ci przypomnę, że on sam doprowadził swój naród do tej zguby

– Eter nie odpuszczała.

– Natychmiast przestańcie, natychmiast! – zainterweniował ojciec, ale szloch Oliko nie ustawał.

To było wzruszające i makabryczne zarazem. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Wstawiłam wodę na herbatę, ciesząc się jednocześnie, że Rati załatwił tyle jedzenia, iż nie muszę po raz drugi lub trzeci zalewać torebek pozbawionej jakiegokolwiek smaku herbaty Lipton.

Wreszcie ojcu udało się odprowadzić Oliko do pokoju, wcisnąć jej do ręki lekarstwo i namówić ją, żeby się uspokoiła i odpoczęła.

Eter i ja zostałyśmy przy stole. Spojrzałam na puste podwórko, na wiecznie ciekący kiedyś kran, z którego teraz prawie w ogóle nic nie kapało, bo bardzo często wyłączali wodę. Przypomniała mi się nocna rozmowa z Diną i znów ogarnęło mnie przerażenie na myśl o planowanej przez nią podróży.

– To naprawdę jakieś wariactwo – powiedziałam, żeby przestać myśleć o Dinie, i spojrzałam na Eter, która w okularach na nosie wpatrywała się w jakiś zeszyt szkolny. – Mam na myśli tę sprawę z Oliko.

– Wiem, bukaszko, wiem. Ale nic na to nie można poradzić. Teraz muszę się przygotowywać. Mam w zastępstwie wygłosić kilka wykładów. Dzięki temu trochę się oderwę i zajmę myśli czymś innym – powiedziała zdecydowanym głosem i ponownie utkwiała wzrok w swoim zeszycie.

– Z powodu Oliko?

– Nie tylko. Dzisiaj rano pokłóciłam się z twoim bratem. Jeśli tak dalej pójdzie, bardzo szybko wpędzi mnie do grobu.

– Co znowu przeszkrobał?

– Podczas zamykania znalazłam w jego pokoju broń. Prawdziwą broń, wyobrażasz to sobie?!

Przypomniało mi się pudełko po butach pod łóżkiem Lewana. Schowałam twarz w dłoniach i zamknęłam oczy.

Ira dotyka lekko mojego ramienia. Nie zauważyłam, że nadchodzi. Ma rozpalone policzki, prawdopodobnie także ona liczy na to, że obficie serwowane wino zapewni jej niezbędny luz. Wygląda, jakby coś ją poruszyło, wręcz poraziło. Mówi o jakimś zdjęciu, ale za bardzo pochłonęły mnie własne obrazy i nie rozumiem, o co jej chodzi. Daję jej do zrozumienia, że doskonale znam jej rozgorączkowanie. Ściskam ją za rękę i czuję nagle oszałamiającą bliskość, jakiej nie doznałam od lat. Jest jak jakiś irracjonalny impuls, jak odległe echo dobiegające z przeszłości, jednak na tyle mocne, by uderzyć niczym błyskawica. Nie słucham jej, obserwuję tylko jej wargi i myślę o dniu, gdy po raz pierwszy wypowiedziała swoją „groźbę”, której wtedy nie rozpoznałam jako takiej i dlatego nie wzięłam jej poważnie. W pierwszych dniach nowego roku, który rozpoczął się od tęsknoty Diny za wojną i załamania nerwowego Oliko...

Drzwi otworzyła mi Giuli. Była jak zwykle zabiegana i można było odnieść wrażenie, że właśnie przerwano jej coś niezwykle ważnego. W mieszkaniu czuć było specyficzny, dobrze znany mi rodzaj sterylności oraz brak gościnności. Środki czystości były wyczuwalne tak mocno, jak gdyby gospodyni nie uznawała żadnego innego zapachu. W każdym kącie stały kwiaty, a meble odznaczały się wręcz przerażającą funkcjonalnością i wyglądały jak atrapy. W pokoju stołowym stała mała choinka z nielicznymi ozdobami, wyglądała wręcz niestosownie w tym aseptycznym otoczeniu. To miejsce zawsze działało na mnie jakoś dziwnie deprymująco i nigdy nie byłam pewna, jak mam się zachować w obecności matki Iry. Giuli wymamrotała coś o „ważnej rozmowie telefonicznej” i przebiegła pędem obok mnie. Odetchnęłam z ulgą i zapukałam do pokoju Iry.

Wciąż mam przed oczyma ten zawsze posprzątany, ciemny pokój, widzę go tak dokładnie, jakbym wyszła stamtąd zaledwie kilka godzin temu. Idealnie posłane łóżko, mała komoda, na której nigdy nie było widać ani odrobiny kurzu, na biurku lampka biblioteczna z zielonym kloszem i pootwierane książki, ciężka szafa, jej posag, jak Ira często podkreślała. Na łóżku ani na krzesłach nigdy nie było porozkładanych w nieładzie ubrań. Przy biurku stało krzesło obrotowe, na którym lubiliśmy się kręcić, w kącie duży globus, nad łóżkiem śmieszny obraz, postarzana martwa natura, która bardziej pasowałaby do mieszkania Nadii Aleksandrownej niż do pokoju studentki, oprócz tego dwie fotografie w ramach, na jednej z nich Ira jako dziecko, które właśnie uczy się chodzić i wydaje się zaskoczone swoimi umiejętnościami, a na drugiej nasza czwórka w wiejskim domu jej ojca w Kodzori, do którego zabrał nas w któryś letni weekend, dawno temu, w jakimś innym życiu, w innym stuleciu, jak mi się zdawało. Ira siedziała z podwiniętymi nogami na krześle obrotowym, zatopiona w książkach. Przestraszyła się, gdy weszłam do pokoju, natychmiast się poderwała, poprawiła okulary, które przesunęły jej się na nosie, i objęła mnie.

- Szczęśliwego nowego, Keto.
- Szczęśliwego nowego, Ira.

Usiadłam na łóżku i pomyślałam, że gdy wyjdę z pokoju, na pewno od razu poprawi i wygładzi to miejsce, na którym teraz siedzę.

– Cieszysz się?

– Z czego?

– No, z podróży.

– Jeszcze nie wiem.

– Mnie też jej brakuje – powiedziałam, patrząc na zdjęcie naszej czwórki i wiedząc, że przez swoją decyzję Nene jest teraz daleko stąd.

– Dzwoniłam do Gugi. Zapewniał mnie, że Nene czuje się dobrze – powiedziała i odłożyła otwarte książki na bok. Westchnęła, a na jej twarzy pojawił się zmęczony uśmiech.

– Ira, musisz mi pomóc...

Łzy napłynęły mi gwałtownie do oczu. Nie mogłam ich powstrzymać. Usiadła obok mnie na brzegu łóżka.

– Keto, co się dzieje?

Zaczęłam chaotycznie opowiadać o zoo, o martwym ciele w błocie, o wybiegu dla małą, mówiłam o tym, że nie umiem żyć z tymi obrazami w głowie i o tym, że Dina poszła do Cotnego po prośbie, że Rati strasznie się zezłościł i że czuję się taka bezsilna, aż w końcu przeszłam do sedna:

– A teraz Dina wybiera się do Abchazji, chce jechać na wojnę. – Nagle ucichłam. Oczy strasznie mi napuchły, ledwo mogłam je otworzyć.

Ira wpatrywała się we mnie, zamruwała kilka razy, potem otworzyła usta, znów je zamknęła i pokręciła głową.

– Keto, dlaczego to przemilczałyście? Dlaczego opowiadasz mi o tym wszystkim dopiero teraz?

– Ira, a co by to zmieniło?

– Muszę to przemyśleć, daj mi trochę czasu. Za dużo tego wszystkiego naraz, ale posłuchaj – powiedziała i zastygła w bezruchu.

To była długa, męcząca pauza. Z posępną twarzą Ira usiłowała coś wymyślić, w końcu podjęła jakąś decyzję, tylko jeszcze nie wiedziałam jaką.

– Posłuchaj, Keto. Coś ci obiecuję, ale ty też musisz mi coś obiecać. Obiecuję, że wrócę i wtedy zakończę całe to gówno. A ty musisz mi obiecać, że wytrzymasz, że będziesz pilnować, żeby do mojego powrotu wszystko tu się jakoś kręciło. Wiem, że mogę na ciebie liczyć. Zakończę to piekło raz na zawsze.

Spojrzała na mnie przez okulary tym swoim przenikliwym wzrokiem. Nie rozumiałam, o czym mówi, ale jej wypowiedź była tak klarowna, tak zdecydowana, że tchnęło to we mnie trochę optymizmu. I pragnęłam trzymać się tego optymizmu, a także jej siły, którą w tamtym momencie emanowała. Ciekawe, jak bym wtedy postąpiła, gdybym zdawała sobie sprawę, że swoją obietnicę traktuje niezwykle poważnie? Ileż to razy wracałam do tej rozmowy, żeby zadać sobie właśnie to pytanie. Czy wówczas bym milczała? Czyżbym swoją opowieścią sprawiła, że ziarno zaczęło kiełkować? Czy jeszcze bardziej wzbudziłam w niej i tak już silne poczucie sprawiedliwości i pragnienie odwetu. Czy to, co Ira miała później z taką konsekwencją, wręcz manią, wcielać w życie i w imię czego wyruszyła na najbardziej zaciętą walkę swego życia, było właściwe? Z jej punktu widzenia na pewno tak, ponieważ działała zgodnie z własnym rozumieniem tego, co jest dobre, a co złe. Ale nasz świat już dawno przestał funkcjonować według tych kryteriów, słowa „właściwy” i „niewłaściwy” stały się pojęciami zamiennymi, a przede wszystkim parametrami bardzo nietrwałymi.

Wypowiedziałam ostrożne „tak”. Jej stanowczość działała na mnie uspokajająco, Ira była tak pewna swego celu, że wydawało mi się, iż wystarczy tylko robić to, co mówi, i po prostu jej słuchać.

– Nie, musisz mi to obiecać, powiedz to. Będziesz dla mnie mostem, mostem prowadzącym do domu. Będę z tobą przez cały czas w kontakcie. Dasz radę!

– Tak, dam radę. – Byłam zdumiona zdecydowaniem w swoim głosie.

– Bardzo dobrze. Musisz czuwać tutaj nad wszystkim. Nie możesz dopuścić do tego, żeby Dinie przepaliły się bezpieczniki, a Nene nie może przydarzyć się

kolejny poważny błąd, to są dwie rzeczy, które powinnaś mieć na uwadze, rozumiesz mnie?

Czy ja ją zrozumiałam? Równie dobrze mogłam wtedy położyć się do łóżka i nigdy więcej nie wstać. Mogłam zamienić się w słup soli. Mogłam przykryć twarz chustą jak dziecko i liczyć na to, że jestem niewidzialna. Rozmowa z Diną w sylwestrową noc przywróciła mi na krótką chwilę siły, ale jej ostatnie zdania znów mnie jej pozbawiły. A teraz ta ziejąca pustka znów chciała mnie pochłonać. Musiałam powstrzymać Dinę, to był teraz jedyny cel, jaki miałam przed oczami.

– Dobrze, dobrze, obiecuję ci, będę wszystkiego pilnowała, będę uważała, ale Ira, jak mam powstrzymać Dinę? – spytałam ją pełna przerażenia.

– Pozwól, niech jedzie, sama zacznie szukać drogi do nas, gdy tylko do tego dojrzeje – powiedziała, a ja potrzebuję teraz chwili, żeby zorientować się, gdzie jestem, w którym roku, w którym wieku, w którym życiu.

„Pozwól, niech jedzie” – powiedziała mi w innym, dawno minionym życiu. Znienawidziłam ją wtedy za to i nienawidzę jej także teraz, bo pozostawia mnie tu, w tej sali, mojemu własnemu losowi. Jestem agresywna, a ona nie rozumie, co we mnie wstąpiło, ja sama tego nie rozumiem.

– Mam na myśli Nene, mówiłaś chyba przed chwilą o Nene? – pyta mnie Ives-Saint-Laurent-Ira, senior partner z Chicago, która lubi drinki dobrze zmieszane i uwodzi kobiety, a robi to po to, żeby uciec od tej Iry, która siedzi w słabym świetle lampki nocnej w swoim pokoju obok mnie na brzegu łóżka i ma tyle wściekłości w płucach, że aż jej zaparowują okulary.

– A co ja takiego powiedziałam? Chyba jestem trochę rozkojarzona...

– Mówiłaś, że Nene fruwa tu jak jakiś motyl i odnosisz wrażenie, że nigdzie nie ustoi w miejscu, bo nie chce wdawać się w rozmowy, które mogą od niej zbyt wiele wymagać.

– Ja tak powiedziałam?

– Tak, tak właśnie powiedziałaś. Co się dzieje? Za dużo wypijaś? – Śmieje się, pokazuje swoje wybielone amerykańskie zęby.

„Jak możesz mówić, że mam jej pozwolić jechać? Przecież tu chodzi o wojnę!” – słyszę siebie krzyżącą na tę dawną Irę, która tkwi w jakimś najodleglejszym zakamarku kobiety stojącej teraz naprzeciw mnie. „Potrzebuje obcej wojny, żeby zakończyć własną. Ale wróci” – mówi Ira w innym czasie, a ja przestaję płakać.

– Nene przyjdzie do nas, jak już do tego dojrzeje – mówi mi Ira w drogim garniturze w prążki.

Rodzice Iry, Dina i ja towarzyszyliśmy wtedy Irze w drodze na lotnisko. Miasto było pogrążone w całkowitych ciemnościach, a nieliczne źródła światła na lotnisku zasilane przez generatory dawały podróżnym przeciwieństwo poczucia bezpieczeństwa. Pamiętam, że jedyne oświetlenie w hali odlotów pochodziło z podświetlanej reklamy papierosów. Rozkoszująca się dymem papierosowym para, oślepiąca słońcem, z zieloną łąką w tle, a nad nimi motywujący slogan reklamowy: „*Live light*”. Nasze zielone łąki zajeżdżały czołgi, nasze rozświetlone słońcem błękitne niebo podziurawiały kule karabinów, a promienne uśmiechy zamieniono na wykrzywione strachem grymasy i ponure, nieufne spojrzenia. A poza tym już od dawna żyliśmy „*light*”, tak „*light*”, że ludzkie życie stało się warte jedynie kilka kuponów, tych nowych, dodrukowanych na tanim papierze pieniędzy, które wyglądały jak banknoty do zabawy i które wprowadzono na rynek z powodu inflacji.

Staliśmy na tym lotnisku w nieskończoność. Na lot do Moskwy czekało około trzydziestu osób. Mały, niebudzący zaufania samolot turbośmigłowy miał wylecieć o szóstej wieczorem, ale z powodu braku paliwa doszło do wielogodzinnego opóźnienia. Ludzie z walizami i torbami rozłożyli się w nieprzystosowanej do tego hali. W końcu usłyszeliśmy komunikat, że nie udało się zdobyć kerozyny, w związku z tym lot musi być zawieszony na czas nieokreślony. Giuli i Tamaz zaczęli się martwić, Ira nie dawała tego po sobie poznać, ale napięcie było coraz bardziej wyczuwalne: uniwersytet na pewno nie opłaci jej drugiego potwornie drogiego biletu tylko dlatego, że jej kraj jest uwikłany w wojny domowe oraz konflikty interesów i zmierza do ruiny. Pierwsi pasażerowie zaczęli wyrażać swoje

oburzenie, halę wypełniał coraz głośniejszy gwar, słychać było podniesione głosy i protesty. Personel lotniska próbował udobruchać wzburzony tłum, zapewniając, że wina nie leży po stronie przewoźnika, lecz jest efektem ogólnej sytuacji w kraju. Ale spokój nie nastąpił. W końcu na czoło wysunął się pewien wysoki, młodzieżowo wyglądający mężczyzna i nieco zarozumiałym tonem zwrócił się do personelu:

– Podajcie sumę, jaką możecie przeznaczyć na zakup kerozyny. I dajcie mi jakiś sprawny telefon. Załatwię tę sprawę.

Żuł gumę strasznie głośno, aż robiło się od tego niedobrze, i śmierdział wodą kolońską. Wszystko w nim zdradzało jakiś protektorat, jasno wskazywało na status syna albo zięcia kogoś, kto posiada wystarczająco dużo władzy, żeby faktycznie rozwiązać ten problem. Współpasażerowie spojrzeli na niego ze zdziwieniem, co mu się wyraźnie spodobało. Personel zabrał go niezwłocznie do biura, gdzie mógł wykonać swój telefon.

Dina zaczęła chichotać i zapaliła papierosa.

– Wszystko będzie dobrze. Na szczęście masz dosyć dużo czasu na przesiadkę w Moskwie, na pewno zdążysz, zobaczysz, ten ulizany maminsynek wszystko załatwi – podtrzymała Iry na duchu i objęła ją ramieniem.

Miała rację. Około północy na płytę lotniska wjechała cysterna i już po krótkim czasie samolot był gotowy do startu. Przez dłuższy czas stałyśmy we trójkę same, trzymałyśmy się pod ręce, Dina i ja jak dwie tarcze wokół nieporadnego ciała Iry. Modliłyśmy się, żeby jej się udało, żeby mogła zostawić to wszystko za sobą, wszystkich tych śmierdzących synalków możnowładców, opustoszałe hale lotnisk, tę całą beznadzieję, a nawet nas. Ostatnie spojrzenie Iry, zanim ruszyła po płycie lotniska do samolotu, zapamiętam do końca życia: tę chorobliwą stanowczość połączoną z druzgocącym zatroskaniem.

Rodzice Iry odwieźli nas swoim rozklekotanym samochodem do miasta, stałyśmy potem jeszcze chwilę niezdecydowane przy wjeździe na podwórko, nie

miałyśmy ochoty się rozstawać. Patrzyłyśmy na ulicę, na której oprócz kilku wałęsających się psów nie było nikogo.

– Nene wraca w przyszłym tygodniu – oznajmiła mi.

– Skąd wiesz?

– Keto, o co ci chodzi? Czy od teraz już zawsze będziesz odgrywała strażniczkę sumienia?

– Nikogo nie odgrywam, to było zwykłe pytanie.

– Nie kłóćmy się teraz, i tak wszystko jest dostatecznie przygnębiające, prawda?

– Spotykasz się z nim?

– Czeka na mnie od czasu do czasu pod redakcją. Rozmawiamy. Czasem gdzieś mnie podwozi, jeśli się spieszę. Wszystko po staremu.

– Wierzysz w to?

– Keto, naprawdę nie mam ochoty na twoje ciągłe oceny. To jest po prostu nie w porządku.

Nie czekając na moją odpowiedź, popędziła do domu. Weszłam po schodach na górę, wślizgnęłam się do zimnego mieszkania, poszłam do łazienki, zapaliłam świece, usiadłam na brzegu wanny i zsunęłam spodnie. Wzięłam żyletkę i zrobiłam małe, precyzyjne nacięcia na prawym udzie. Byłam w tym coraz lepsza, coraz dokładniejsza, jak doświadczony lekarz ze skalpelem. Natychmiast poczułam wytęsknioną ulgę połączoną z palącym bólem. Patrzyłam, jak czerwona niczym wino krew ścieka mi po nogach i odetchnęłam z ulgą.

Ira była w chmurach, samolot już dawno opuścił gruzińską przestrzeń powietrzną, była bezpieczna, była w drodze ku przyszłości. Chociaż tyle, pomyślałam. Zakleiłam ranę i położyłam się do lodowatego łóżka.

Nene wróciła z piękną, lśniącą opalenizną i wielkim brzuchem, który nosiła przed sobą jak jakieś trofeum. Ja nadal łąziłam na uczelnię. Zorganizowaliśmy „dyżury grzewcze”, my, studenci, i docenci byliśmy na zmianę odpowiedzialni za

olej opałowy i drewno. Do pokoju, w którym mieliśmy zajęcia, wstawiono prosty blaszany piec, od którego z czasem poczerniały wprawdzie ściany, ale dzięki niemu przebywanie tam było w ogóle możliwe.

Lewan odbierał mnie regularnie swoim samochodem spod Akademii i jeździł ze mną po okolicy. Dawał mi w prezencie czekoladki, a raz przywiózł mi nawet francuskie perfumy, co wydało mi się idiotycznie i całkowicie nie na miejscu. Taki prezent był mi kompletnie obcy i nawet jeśli wiedziałam, że nie ma złych intencji, odebrałam to jako kpinę. Podziękowałam uprzejmie, a potem przekazałam prezent babudom. Chciałam zakończyć ten cyrk, wysiąść i powiedzieć mu, żeby znalazł sobie inną dziewczynę, taką, która będzie lepiej nadawała się do jego zabawy w chowanego, taką, której nie będzie przeszkadzało, że może dotyczyć mężczyzny, którego pożąda, wyłącznie według określonych zasad. Ale zabrakło mi na to siły, czułam się z tym beznadziejnie i wstydziłam się swojej słabości. Za każdym razem, gdy mnie obejmował i zwodził obietnicami, że wkrótce nadejdzie „odpowiedni moment”, kiełkowałam we mnie nadzieja. Ale gdy wysadzał mnie pod domem, zachowując oczywiście bezpieczną odległość, tak żeby ani Rati, ani jego kumple go nie zobaczyli, i gdy dawał mi pospiesznie całusa, udowodniał mi tylko, że wszelkie nadzieje są iluzją. Mimo to następnym razem znów wsadałam do samochodu i ponownie dawałam się odwieźć do domu. Chodziłam z nim do dziwnych, podejrzanых mieszkań jego przyjaciół lub znajomych i tam kładliśmy się do obcych łóżek. To była nerwowa, pospieszna miłość dwojga przestępców.

Któregoś popołudnia, gdy siedzieliśmy w samochodzie, zadał mi pytanie, na które czekałam od tygodni. Czy to prawda, że ojcem dziecka Nene jest Saba. A gdy to potwierdziłam, był bardzo zadowolony, ba, ucieszył się jak małe dziecko, szczerze i z głębi serca.

– Matka będzie taka szczęśliwa, nareszcie! O Boże, oszaleje z radości, gdy usłyszy, że będzie miała wnuczátko – obwieścił z dumą, a następnie dodał: – I w ten sposób załatwimy rodzinę Koridze raz na zawsze!

Po bardzo długim czasie oczekiwania dostałam wreszcie list od Iry. W kopercie była także pocztówka przedstawiająca jej kampus, czyli sielankową łąkę z mnóstwem ludzi i wiktoriańskimi domami w tle. Opisała mi z najdrobniejszymi szczegółami swój pokój w akademiku, który dzieliła z Jane, a także swój typowy dzień na uniwersytecie. Wyglądało na to, że wszystko dokoła ją dziwi. Pytała o Nene i Dinę, dodawała mi odwagi i przypomniała o naszej ostatniej rozmowie. Akurat gdy czytałam jej relację, zaczął padać śnieg. To dopiero była sensacja, bo wszyscy byliśmy strasznie brudni, a jaskrawa biel jeszcze bardziej podkreślała naszą nędzę. Ogarnęła mnie złość, bo jak mogłam obiecać jej coś tak skrajnie głupiego? Niby jak miałabym tego dokonać?

Robiłam precyzyjne nacięcia na skórze. Kolekcjonowałam blizny. Łapałam płatki śniegu na język. Czekałam cierpliwie. Przeczytałam całą naszą bibliotekę, książki, które mnie interesowały, i takie, które mnie nie interesowały. Zabijałam czas. Moje oczy przyzwyczyły się do światła świecy, tak jakby nigdy nie znały żadnego innego. Grałam w karty z babudami i milczałam z ojcem przy stole. Oglądałam zdjęcia z dzieciństwa, swoje i Ratiego, i za każdym razem studiowałam dokładnie twarz naszej matki, której nie pamiętam. Ubierałam się i rozbierałam, przestałam cokolwiek czuć i czegokolwiek chcieć. Czasami upijałam się razem z Diną, gdy wracała późnym wieczorem z redakcji do domu. W takie wieczory nie pytałam o Cotnego ani o wojnę.

Na początku lutego usłyszałam w słuchawce dobrze znajomy i niemal zapomniany, lekko kpiący głos:

– Hej, Kipiani, żyjesz jeszcze?

Poczułam taką ulgę, gdy go usłyszałam, że gdyby był w pobliżu, na pewno pobieglabym pędem do niego.

– Rezo! Jak dobrze słyszeć twój głos.

– No tak, chyba jednak nie tak dobrze, bo w przeciwnym razie już dawno byś do mnie zadzwoniła.

– Myślałam, że należy dać mężczyznom pierwszeństwo, żeby nie czuli się urażeni.

– Prawdziwa z ciebie reakcjonistka mimo tak młodego wieku.

– Co u ciebie słyhać? Gdzie się teraz podziewasz? Często pytałam Maję o ciebie i...

– Jestem w Stambule i pracuję w pewnej cerkwi, ciekawe i wymagające zlecenie. I dlatego między innymi do ciebie dzwonię. Czy zechciałabyś poświęcić odrobinę swojego cennego czasu i wspomóc mnie tutaj?

Słyszałam, jak się uśmiecha. Totalnie mnie zaskoczył. Stambuł. Rezo. Zlecenie. Nie byłam w stanie połączyć tych trzech rzeczy. Rozejrzałam się. Otwarta gazeta ojca. Tykający zegar ścienny. Puste podwórko na dole. Milczący podwórkowy kran. Moje pulsujące blizny na udach. Zalana po raz drugi torebka herbaty w kubku, zimne stopy. Stambuł. Rezo. Zlecenie. Ucieczka. Czasowe wybawienie od naszej bezgranicznej beznadziei.

– Jesteś tam? Hej, Kipiani? Płacę tu za rozmowę majątek, więc szybko się zastanów. Masz czas do środy. Zadzwoń wtedy jeszcze raz. Honorarium nie jest wprawdzie najwyższe, ale jak na trzy miesiące to całkiem w porządku. Mamy dobrą kwaterę, ładną, w centrum, w porównaniu z obecną sytuacją w Gruzji to prawdziwy luksus. Poza tym zmiana miejsca na pewno ci nie zaszkodzi, no, co o tym sądzisz?

– Ja... dziękuję. Tak... chętnie bym...

– W porządku. Jak mówiłem, potrzebuję odpowiedzi do środy.

– Rezo, dziękuję ci – wymamrotałam i odłożyłam słuchawkę.

Gdy już się jako tako uspokoiłam, bo z radości i podniecenia odjęło mi mowę, przypomniała mi się obietnica, którą dałam Irze i która napominała mnie coraz głośniej jak nadciągająca syrena. Pomyślałam o wojnie Diny i o dziecku Nene i odruchowo zakryłam twarz rękami. Czy mogłam sobie na to pozwolić, żeby wymknąć się ze swojego życia na trzy miesiące? Trzy miesiące, trzy cholerne miesiące! Czy wolno mi było przeszmuगlować dla siebie trochę szczęścia? Ira

poleciała sobie na cały rok za Atlantyk. Czy teraz i ja miałam prawo skorzystać z takiej niepowtarzalnej szansy? Kiedy drugi raz będę miała taką możliwość? Moje koleżanki ze studiów byłyby gotowe zabić, żeby tylko dostać jakieś zlecenie, nawet Maja nie miała zamówień. Nie, nie mogłam powiedzieć „nie”, musiałam tam pojechać.

Dina wyszła z podwórka, przy którym mieściła się redakcja „Gazety Niedzielnej”, i przeszła na drugą stronę alei Plechanowa, przy której stały stare, rozpadające się klasycystyczne kamienice. Padał śnieg, grube płatki osiadały na jej jodłowozielonym płaszczu i na luźnej czerwonej czapce, którą w przypływie euforii sama zrobiła na drutach i w której było jej bardzo do twarzy, jak zresztą we wszystkim, co do niej należało. Torba z aparatem fotograficznym dyndała jej na ramieniu, szła na sesję zdjęciową ze swoim mentorem.

Rati wyrósł nagle przed nią jak spod ziemi, ubrany w ulubioną skórzaną kurtkę, której mimo mrozów w ogóle z siebie nie zdejmował. Miał ciemną cerę, dokładnie ogoloną brodę, tajemniczy pieprzyk, gęste rzęsy jak u orientalnej księżniczki, nieco grubszy nos, który nadawał jego twarzy trochę brutalności, uniesione ramiona, jakby zawsze było mu zimno, i ten dobrze jej znany chód. Ów zaskakujący widok musiał ją na chwilę zbić z tropu. Zupełnie niespodziewanie ogarnęła ją tęsknota i dźgnęła jak nożem. Zezłościła się na swoje ciało, które tak bez ogródek obnażyło jej euforię. Nie widzieli się już od dłuższego czasu, jedno i drugie bardzo uważało, żeby nie wychodzić z podwórka ani nie wracać o tej samej porze.

A teraz oto stał przed nią, z nieodzownym papierosem w zębach, z ciemnymi i zmętniałymi oczami, jakby pokrywała je cienka warstwa oliwy.

– Możemy porozmawiać? – spytał jakby od niechcienia.

Skinęła głową, czując, że głos ją zawodzi. Zrobiła parę kroków do przodu, on poszedł za nią. To było przerażające, że ich miłość jest wciąż, niezmiennie, wygłodniała i że nigdy nie będzie można jej zaspokoić. Nocami, gdy nie mogąc zasnąć, chodziła tam i z powrotem po całym mieszkaniu, czuła do niego nienawiść, wtedy najbardziej dochodziła do głosu i była tak donośna, iż sądziła, że on, siedząc

parę mieszkań dalej, na pewno ją usłyszy i jej odpowie, gwałtowną serią przekleństw czy niepohamowanym wybuchem emocji, ale niestety pozostawała ze swoją furią sama.

Zaprowadził ją do auta, wsiedli bez słowa, włączył silnik i odjechali. Jej ciało wariowało, nie była w stanie go opanować, ale nie mogła nawet o tym powiedzieć, bo każde słowo zdawało się grzęznąć w gardle.

– Jeśli nie masz nic przeciw temu, zapraszam cię na obiad – powiedział z nonszalancją, jakby byli dwójką znajomych, którzy przez przypadek ponownie pogodzeni chcieli przywrócić do życia stare dobre czasy.

Znów skinęła głową jak grzeczne dziecko. Pojechał w kierunku Starego Miasta, a stamtąd na wzgórze Awlabari. Wyglądało na to, że zmierza do konkretnego celu, podjechał pod hotel Sheraton, jedyny hotel w ówczesnej Gruzji działający według zachodnich standardów. Został później gruntownie odnowiony i wyposażony we wszelkie luksusy, przeszklona winda stała się symbolem zachodniego dobrobytu, zatrzymywali się w nim wszyscy zagraniczni goście, dziennikarze i głowy państw, był budynkiem, w którym miejscowi zwykli śmiertelnicy nie mieli czego szukać.

Rati zaparkował przed hotelem i wszedł dumnym krokiem do środka, tak jakby był stałym gościem w tej świątyni luksusu. Nie zadawała żadnych pytań, wciąż nie czuła się zbyt pewnie i sama nie wiedziała, dlaczego w ogóle godziła się na to wszystko. Ukryła zdziwienie, gdy zobaczyła jasno oświetlony i ogrzany hol. Kilku obcokrajowców siedziało w skórzanych fotelach i czytało prasę, odebrała to jak jakiś surrealistyczny obraz, jakby nagle znalazła się na planie filmowym, jak mi później opowiadała. W recepcji powitały ją dwie serdecznie uśmiechnięte młode panie w krwistoczerwonych liberiach, wyglądające, jakby były co najmniej szefami państw. Rati dostał do ręki klucz i wjechali windą na górę. Dina zastanawiała się, kiedy ostatni raz jechała windą. Te dawniej tak przydatne rzeczy stały się w ostatnim czasie całkowicie bezużyteczne albo gdy miało się pecha, bo akurat nastąpiła przerwa w dostawie prądu, zamieniały się w ciemne klatki, w których trzeba było czekać cierpliwie godzinami.

Otworzył drzwi i weszli do ciepłego, jasnego pokoju. Na idealnie posłanym łóżku leżały dwa białe szlafroki frotté i zafoliowane frotowe kapcie. Ich widok rozładował w niej całe napięcie i wybuchła gromkim śmiechem. On usiadł w skórzanym fotelu przy stoliku i wziął do ręki słuchawkę telefonu. Wkrótce potem ktoś zapukał do drzwi. Na wózku cateringowym wjechały różne potrawy, a do tego zagraniczne wina. Na środku stał wazonik z czerwoną różą. Dina usiadła naprzeciwko Ratiego i patrzyła oszołomiona na te wszystkie egzotycznie wyglądające i wybornie pachnące dania, które kelner w liberii przygotowywał do zaserwowania. Następnie życzył im „smacznego” i opuścił pokój. Poprosiła Ratiego, żeby otworzył wino, musiała się czegoś napić, żeby to wszystko, co się tam działo, jakoś przetrwać. Odkorkował francuskie wino i napełnił kieliszki aż po brzeg, tak że trudno było z nich pić, nie rozlewając kosztownego trunku.

– Co my tutaj robimy? – spytała i pochyliła się nad kieliszkiem.

– Najpierw zjedz. Zamówiłem różne rzeczy, nie wiedziałem, na co będziesz miała ochotę. Mam nadzieję, że będzie ci smakowało.

Nie mogła niczego tknąć, jej ciało buntowało się na samą myśl, że będzie musiała przełknąć choćby kawałek. Jednocześnie miała poczucie, że byłoby wielce niesprawiedliwe pozwolić, by te pyszności się zmarnowały, podczas gdy gdzieś tam za oknem głodowało tylu ludzi. Jednak na razie wyłącznie piła, coraz szybciej i coraz łapczywiej. Opróżniła kieliszek kilkoma łykami i natychmiast dołała sobie jeszcze. Tymczasem on zaczął jeść. Skłamała, mówiąc, że nie jest głodna. On z kolei pochłaniał jedną małą porcję za drugą, popijając obficie francuskim winem. Ona wzięła do ręki pilota i zaczęła przełączać kanały telewizyjne, dziwiąc się, że są tam zagraniczne programy, a nawet MTV. Jak zaczarowana wpatrywała się w jakiś teledysk, po którym zaraz następował kolejny. Jakieś rytmiczne, szybkie bity. Wino dało o sobie znać, świat zewnętrzny zsunął się z niej jak jedwabny szal, rozpostarła ręce, zamknęła oczy i zaczęła tańczyć. Jej ciało było stworzone do rytmu, poruszała się miękko jak kot, jak gdyby godzinami ćwiczyła te ruchy przed lustrem.

Wkrótce potem podniósł się także Rati i stanął za nią. Jeszcze nie miał śmiałości jej dotknąć, nie, rana wciąż była jeszcze za bardzo otwarta. Ale szukał jej

bliskości, dopasowywał się do jej ruchów. Byli dwójką aktorów odgrywających jakieś obce, cudze życie, tańczyli, nie dotykając się, aż w końcu ona odwróciła się do niego i spojrzała mu w twarz.

– Co my tutaj robimy? – spytała, chwyciła wino i wypła resztę prosto z butelki.

Na jaw wyszła jej prawdziwa natura, jej prawdziwa twarz, spocona i lekko podpita. Nie było sensu dalej udawać i silić się na elegancję. Zauważył zmianę i odebrał to jako zachętę, zapomniał o powściągliwości, pocałował ją gwałtownie i napał na nią całym ciałem, całym swoim pożądaniem. Osunęła się na podłogę, pociągnęła go za pasek, ściągnęła go do siebie na dół, pusta butelka turlała się tam i z powrotem jak na pokładzie statku pokonującego wysokie fale. Jedną rękę położyła mu na twarzy i zasłoniła mu oczy. Podobał mu się jej głód, poddał się jej, chciał ją nasycić. Oboje wiedzieli, że nigdy nie znajdą innych ciał, które w jednakowym stopniu byłyby w stanie zaspokoić ich niepohamowane pragnienie. Uczyli się miłości na sobie i ze sobą. Kochać kogoś innego było jak mówić jakimś obcym językiem. Potrzebował jej, potrzebował jej ciała, żeby na kilka godzin porzucić wszystkie narzucone samemu sobie nakazy i zasady. A ona potrzebowała jego, żeby jej wola została uszanowana, wola, która kogo innego mogłaby przerastać, krępować albo co najmniej prowadzić do fałszywych wniosków.

– Jesteś moja, słyszysz, tylko moja! – krzyknął głośno, zanim zerwał z niej, w najdosłowniejszym sensie tego słowa, ubranie.

Pójdzie później w porwanych rajstopach do szpitala. Podobało jej się, dokładnie tak, nie inaczej, jej ciało chciało być kochane. Nie doszli do łóżka, idealnie posłane łoże pozostało nienaruszone, także kapcie frotté i białe szlafroki, jakby na potwierdzenie, że oboje byli niewłaściwymi osobami w tym miejscu, że ich właściwym miejscem była podłoga, zimna i goła podłoga.

Ale niewłaściwe było także i to, że w ogóle z nim tutaj przyszła. Ponieważ gdy tam leżeli, jego wzrok pociemniał nagle, tak, musiał zrealizować swój scenariusz, a wyuczone na pamięć słowa musiały zostać wypowiedziane.

– Pieprzysz się z nim, prawda? Czy to prawda, że teraz z nim chodzisz? Czy on też zabiera cię do takich eleganckich hoteli, ten twój bogaty bariga? Robi ci dobrze?

– Przestań... – upomniała go.

– Powiedz to, przyznaj się!

Przywarł do niej, otarł twarz o jej policzek. Skulił się, jak gdyby chciał się pod nią schronić, jak gdyby chciał, by go uratowała. Przede wszystkim przed nim samym.

– Cicho, już dobrze, wszystko będzie dobrze... Wiem, kim jesteś, znam cię. A ty znasz mnie. Wiesz wszystko, co powinieneś wiedzieć, możemy znów stać się sobą, więc proszę, skończ z tym. Zdradziłeś mnie, jak mogłeś tak nisko upaść, Rati...

– Ja cię zdradziłem? – Błyskawicznie usiadł. – Co on ci powiedział? Czyżby ten lachociąg na poważnie twierdził, że przyjąłem jego propozycję?

– A nie zrobiłeś tego? To dlaczego zachowujesz się tak, jakbyś był królem dzielnicy?

– To nie do wiary... Poważnie sądzisz, że ja... – Zamilkł i wstał, zostawił ją nagą na podłodze, z niewidocznymi na jej bladym ciele śladami niedoprowadzonej do końca miłości. – Spieprzył z dzielnicy, bo jego wielce ważny wuj już go nie ochrania, kapujesz? I dlatego, że jest pierdolonym barigą, dlatego nikt nie chce mieć z nim nic wspólnego.

– Nonsens. Myślisz, że ci uwierzę, że Cotne tak po prostu, ni z tego, ni z owego, odstąpił ci cały teren?

– Cotne, a więc teraz nazywasz go Cotne, Cotniko, pewnie tak do niego mówisz, kiedy cię posuwa, nie?

Uderzyła go z niespodziewaną siłą w twarz. Spojrzał na nią zdenerwowany, jakby nie mógł uwierzyć, że naprawdę to zrobiła, wtedy sięgnął do spodni i wyciągnął z kieszeni składany nóż.

– Zapłaci mi za wszystko. Możesz mu to przekazać. A jeśli się dowiem, że dalej się z nim spotykasz, wtedy cię zabiję, Dina, słyszysz? Nie pozwolę, żebyś bezcześciła moje imię.

Przyłożył jej ostrze noża do gardła. Znowu zaczęła się śmiać, jak wtedy na widok płaszczy kąpielowych i kapci frotté, śmiała mu się w twarz, prowokując go swoim nieokrytym ciałem.

– Nie jestem towarem wymiennym. Zrozum to wreszcie. Ja to ja, jestem tą, z powodu której odstawiłeś ten cały cyrk – powiedziała, przez cały czas patrząc mu w oczy.

Wstała. Zatoczyła się, zrobiło jej się niedobrze. Miała ochotę wykrztusić z siebie całe to okropieństwo. Chciała go pocałować, chciała jego bliskości, chciała zasnąć w jego ramionach i zapomnieć o wszystkim, chciała odnaleźć spokój, chciała nosić ładne zwiewne sukienki i tańczyć z nim jak szalona. Najchętniej cofnęłaby czas, zaczęła wszystko od nowa, mimo że tak naprawdę nic się jeszcze na dobre nie zaczęło, nie chciała, żeby już teraz wszystko się zakończyło, przebrzmiało. Nie chciała, by mężczyzna, którego kocha, przykładął jej nóż do gardła. Zapragnęła uciec z tego pokoju, a jednocześnie nie chciała wracać do swojej zimnej, ciemnej sutereny, w której można było jedynie się schować, nic więcej. Prowokowała go swoją nagością. Czuła, że znów wzbiera w nim wściekłość. Pomyślała, że musi zniszczyć to wszystko, co boli, w przeciwnym razie szczepną od swojej miłości, miłość zabije ich niczym choroba. Myślała o tym wszystkim, podczas gdy ja, niczego nie przeczuwając, trzymałam się kurczowo nadziei, która nęciła mnie nad Bosfor, i podczas gdy Nene po odejściu wód płodowych jechała z Gugą do szpitala.

Ich miłość okazała się niewystarczająca. Ta miłość, jak twierdziła jeszcze tego samego wieczoru, siedząc na szpitalnym korytarzu w zimnym świetle gołej żarówki zasilanej z generatora i rzucając mi słowa prosto w twarz. Tak, ta miłość nie może niczego uleczyć i jest gównem warta. Jest pułapką, więzieniem otoczonym drutem kolczastym, zakłamaną dziwką, sadystką, rozkoszującą się upadkiem i porażką swoich ofiar. I już nigdy więcej nie chce wdepnąć w taką pułpkę, już

wolałaby wydrzeć sobie serce żywcem, już wolałaby zdechnąć. Potrzeby ciała można zaspokoić także i bez miłości, winem, tańcem, obcymi, nic nieznaczącymi, bezimiennymi rękoma i ustami.

Ale to wszystko powiedziała mi dopiero później, gdy coś już w niej pękło, a teraz podszedł do niej i ją pocałował. Poczowała się beznadziejnie. Było jej zimno, nagle miała wrażenie, że przenika ją jakiś niepojęty chłód, ale musi jeszcze trochę wytrzymać, nie wolno jej się poddać, jeszcze nie teraz. Musi mieć oczy otwarte, musi zachować przytomność. Jednak przy całej świadomości, że nie da się wyjść z tej sytuacji cało, najgorsze wydało jej się to, że już nigdy nie będzie mogła go dotknąć. Całował ją chciwie, miała wrażenie, że trwa to w nieskończoność, lecz nagle przerwał, by ponownie przyłożyć jej nóż do gardła. Nie, chociaż jeszcze trochę, chciała móc kochać się z nim do końca... Tym razem wyładowali na skórzanym fotelu, ona na jego kolanach, w jego objęciach, nóż leżał u ich stóp.

– Mówię poważnie, zabiję cię, jeśli... – powtarzał szeptem, gdy wyczerpani, bez tchu, wpadli sobie w ramiona.

– Bądź znowu sobą. Proszę cię. Wróć do mnie – szeptała mu do ucha.

– Nie mogę. Przecież wiesz.

– Dlaczego?

– Czy chociaż przez chwilę pomyślałaś o tym, co by to znaczyło dla mojej reputacji, gdybym chodził z kurwą?

Na to wstała najspokojniej w świecie, wzięła z podłogi rozłożony nóż i wbiła mu prosto w udo.

Tapora, właśnie ten Tapora, który ponosił winę za całe nieszczęście Nene i przed którym przez pięć miesięcy ukrywano nienarodzone dziecko, okazał się ostatecznie osobą, która uratowała życie jej synowi. Po siedemnastu godzinach nieprzerwanych bólów porodowych i ze względu na niekorzystne ułożenie dziecka w łonie matki zdecydowano się na cesarskie cięcie. Jednak akurat skończyła się narkoza, jak oznajmił pobladły anestezjolog, więc wybuchła panika. Manana poczuła się w obowiązku zadzwonić do Tapory, któremu w ciągu dosłownie kilku

minut udało się załatwić innego anestezjologa, łącznie z anestetykami, który wpadł zły potem na porodówkę i błyskawicznie zabrał się do pracy. Gdy Tapora wziął zdrowego i kształtnego chłopczyka na ręce, wszelka nadzieja na to, że ojcem nie jest Saba Jaszwili, okazała się po prostu płonna. Noworodek był niczym skóra zdjęta z Saby.

Dina i ja też znalazłyśmy się tej nocy w szpitalu, z tym że po drugiej stronie miasta. Błada, w dziurawych rajstopach i podartej spódnicy, z aparatem fotograficznym na kolanach, siedziała w pustym, surowym korytarzu i patrzyła przeze mnie jak przez powietrze, po tym jak już wyrzekła się swojej miłości i nie była w stanie znieść powtarzanego przeze mnie w kółko pytania: „Dlaczego?“, i gdy zwyzywała mnie od „tchórzy”. Odjęło mi mowę. Milczałam i czekałam, nie wiedząc, na co.

Lika i mój ojciec rozmawiali, stojąc na zewnątrz pod drzwiami. O dziwo, tuż nad głównym wejściem paliła się jedna latarnia. Lika miała zaczerwienione oczy, na pewno płakała, a ojciec wyglądał dziwnie blado, jego skóra zdawała się przezroczysta, widać było wyraźnie, że odetchnął z ulgą, gdy nieco później zmęczony lekarz oznajmił, że rana nie jest groźna, tętnica nie została uszkodzona i wkrótce będzie można wypisać Ratiego do domu.

– Chcę, żebyś mu przekazała, że nie jest mi przykro – powiedziała Dina i wstała z krzesła.

W poczekalni było nieznośnie zimno. Wszystko było takie groteskowe, początkowo nie rozumiałam, o co chodzi z tą raną kłutą, gdy ojciec odebrał telefon i zaczął wrzeszczeć do słuchawki, by następnie w końcu mi wytłumaczyć, że moja najlepsza przyjaciółka zraniła mego brata nożem i musimy jechać do szpitala. Dina zraniła mego brata. To słowo dźwięczało mi w uszach przez całą drogę.

– Jak mogłaś dźgnąć go nożem?

– Jeśli do tej pory tego nie zrozumiałaś, to już chyba nigdy nie zrozumiesz. – Zaczęła zapinać pospiesznie płaszcz. – Powiedz mu, żeby trzymał się ode mnie z daleka. I przekaż jeszcze, że owszem, chodzę z Cotnem Koridze. Powiedz mu, że

chodzę z każdym, kto mi się podoba. Bo jestem wolnym człowiekiem i mogę robić to, co chcę, i pozwalać na to, na co chcę. Powiedz mu, że mam dość tego całego gówna. A jeśli nadal zamierzasz obwiniać mnie o to wszystko, co się stało, to ty też, proszę bardzo, możesz trzymać się ode mnie z daleka i poszukać sobie lepszej przyjaciółki, która będzie potrafiła lepiej sprostać twoim moralnym wymaganiom!

Nie czekając na moją odpowiedź, wyszła szybkim krokiem na zewnątrz, przemaszerowała obok swojej matki, zignorowała jej wołanie i zniknęła w ciemnościach. Jej ostatnie zdanie wytrąciło mnie z równowagi. Minął rok od tego koszmaru w zoo i od tamtej pory żyłam w ciągłym strachu o nią i o Ratiego, stanęłam po jej stronie, a brat nie zamienił ze mną od tamtego czasu ani jednego pełnego zdania. Jak mogła powiedzieć coś takiego, to było wielce niesprawiedliwe i wołało o pomstę do nieba. Dobrze, będę się trzymała od niej z daleka. W takim razie ona też powinna poszukać sobie lepszej przyjaciółki, takiej, która będzie tolerowała jej kaprysy i huśtawkę nastrojów, która nie będzie jej miała za złe, że atakuje nożem jej własnego brata i że zadaje się z najbardziej bezwzględny typem w mieście, jeszcze bardziej rozniecając w ten sposób tłący się konflikt, taką przyjaciółkę, która nie będzie jej powstrzymywać, gdy w przyływie przesadnej wiary w swoje możliwości wyruszy na wojnę. Kilka godzin później zadzwoni do mnie Rezo.

Następnego dnia poda mi adres biura podróży, w którym będą czekały na mnie wiza i bilet autobusowy do Stambułu.

Gdyby nie zdarzyła się ta sytuacja z Diną, być może nie uciekłabym w to tymczasowe zapomnienie? I wtedy może nie musiałabym spowiadać się Irze z naszego koszmaru? Te pytania będą mnie już zawsze prześladować, będą się pojawiały w najmniej odpowiednich momentach mojego życia, zupełnie niespodziewanie, bez jakiegokolwiek ostrzeżenia. Zazwyczaj będę się im przeciwstawiać, ponieważ z biegiem lat nauczę się obłaskawiać swoje demony, spadając długo i głęboko w dół. Gdy wypadnę z życia, gdy opuszczę „tu i teraz” i będę spadać coraz głębiej w przeszłość, to będę życzyła sobie już nigdy nie

dotrzeć na ziemię, będę chciała pozostać u tych wszystkich, którym się nie powiodło, którzy nie przeżyli takiego spadania, którzy nie mają „tu i teraz”, lecz wyłącznie „dawniej”.

SURB SARKIS

Ta ściana zdjęć nosi nieco egzotycznie wyglądający i dziwnie brzmiący tytuł *Surb Sarkis*, choć wszyscy widzą, że jest poświęcona zmarłym i okaleczonym, zhańbionym i wypędzonym. Małe tabliczki osłonięte szybką umieszczone poniżej zdjęć mają za zadanie łagodzić irytację i przyczyniać się do rozjaśnienia pewnych spraw.

Ale zanim przejdziemy do tych potworności, jeszcze mała chwila wytchnienia, lubię ją, lubię tę serię, jedyne oryginalne zdjęcie Diny, które wisi u mnie w domu na ścianie i które oglądam każdego dnia, pochodzi właśnie z tej serii, którą potajemnie nazywam „Czarodziejską Górą”. Są to zdjęcia z sanatorium dla chorych na gruźlicę, w którym została zakwaterowana na początku swojej wojennej wyprawy, w tej absurdalnej idylli leżącej pośród zgliszczy, otoczonej palmami i odgradzonej morzem. Jestem zła, że ta seria wisi razem z obrzydliwymi zdjęciami przedstawiającymi przemoc. Tej serii należy się osobny występ. Te zdjęcia to osobista „Czarodziejska Góra” Diny, mogłam jako pierwsza podziwiać je tuż po ich wywołaniu. Pełne przepychu, opuszczone pomieszczenia zdobione sztukaterią, w których tu i ówdzie widać kałasznikowa albo skrzynię pełną granatów ręcznych. Marmurowe tarasy z przełomu wieków, raj pośrodku piekła. Schronienie i przystań dla zmęczonych życiem. Byłam pełna podziwu dla jej decyzji, by pozostawić te motywy bez obecności ludzi. Żeby poświęcić się całkowicie przestrzeniom i poprzez tę pustkę uchwycić nadciągające niebezpieczeństwo. Wzbudzające niepokój elementy, jak broń, telefon satelitarny, para żołnierskich butów, są zapowiedzią zagrożenia, które wdziera się w tę idyllę i wkrótce weźmie ją w swoje władanie. Kuratorzy zebrali razem wszystkie zdjęcia z Abchazji i opatrzyli je tytułem jednego ze zdjęć, *Surb Sarkis*, co pierwotnie oznaczało ormiański wiatr, ten bezlitosny lutowy żywioł, który szaleje całymi dniami w Kaukazie, wygina drzewa

i chłoszcząc, przepędza ludzi i z którym wiąże się pewien osobliwy ormiański zwyczaj. Tablice informują o narodowym patronie ormiańskiego Kościoła, Świętym Sarkisie, który był ponoć generałem rzymskich legionów i jednocześnie chrześcijańskim kaznodzieją. Został wysłany do Kapadocji, by zlikwidować tamtejszy pogański kult bogów i zamiast tego wprowadzić słowem i mieczem chrześcijaństwo. W późniejszym czasie służył szachowi Persji Szapurowi II. Ze względu na generalską sławę Sarkisa szach postanowił mianować go dowódcą swojej armii, postawił jednak warunek, by ten wziął udział w zoroastriańskim rytuale i wyparł się swojego chrześcijańskiego Boga. Gdy Sarkis odmówił, szach ścinał na jego oczach głowę synowi i czternastu wojownikom, a następnie pozbawił głowy także i jego.

To, o czym tablica nie informuje, a co może być istotniejsze dla zrozumienia prezentowanej tu kolekcji zdjęć, to fakt, że Kościół gruziński, który już choćby dla samej zasady nieufnie podchodził do ormiańskiego świętego, nie zdołał zapobiec rozpowszechnieniu się w Gruzji pewnego zabobonu wynikającego z ormiańskiej tradycji. I tak oto w wietrzne lutowe wieczory Gruzinki piekły słone chlebki, kładły je pod swoje poduszki i prosiły Świętego Sarkisa o zmiłowanie, by pozwolił im wyśnić tej nocy swojego wybranka. W Sololaki, dzielnicy z wysokim odsetkiem Ormian, to święto i związany z nim wieczorny rytuał były dla nas, dziewcząt, ekscytującym wydarzeniem. Nie obchodzili nas ani gruzińscy, ani ormiańscy święci, najbardziej interesowała nas ich rzekoma profetyczna moc. Uwielbiałyśmy piec zwykłe chlebki z wody, mąki i soli, a następnego poranka, tłumiąc wszelki zdroworozsądkowy sceptycyzm, zachęcałyśmy się nawzajem do opowieści (często zmyślonych) o tym, co nam się przyśniło. Bo żadna z nas nie chciała się przyznać, że w tę świętą noc nikogo sobie nie wyśniła.

Ten dziecienny zwyczaj i to wietrzne święto nie mają na pierwszy rzut oka nic wspólnego z tym, co widać na tych strasznych zdjęciach. Ale ja wiem, jakie wiatry zagnały Dinę tam, gdzie było jeszcze straszniej: nad morze, gdzie Gruzini, Abchazowie i jacyś opętani wojną czeczeńscy czy ormiańscy *bad boys*, płatni najemnicy z rosyjską bronią w ręku, wymordowywali się nawzajem. Tak, to był

osobliwy *Surb Sarkis* ze swoim przenikającym aż do głębi duszy wiatrem i niewłaściwymi przepowiedniami, ponieważ jej wybranek okazał się tym niewłaściwym. Gdy oglądałam jej abchaskie zdjęcia, przypomina mi się Sztambuł, granatowe wody Bosforu, bułki z rybą na promenadzie poniżej wieży Galata, słońce i spokój. Podczas gdy ja zwiedzałam konserwatywną dzielnicę Fatih i liberalne Beyoğlu, ona tkwiła w samym centrum zniszczenia i śmierci. Podczas gdy ja wraz z Rezem spędzałam błogie, jednostajne godziny i w Hagia Kyriaki nadawałam nowy blask młodzieńczo wyglądającemu Jerzemu, ona uciekała gdzieś nad rzeką Gumista przed ostrzałem artyleryjskim. Podczas gdy ja zaglądałam w oczy ziejącemu ogniem smokowi, ona schodziła do piekieł zamieszkanym nie przez demony, lecz przez ludzi.

Spakowałam rzeczy i uporządkowałam myśli: wszystko, co budziło obawy, umieściłam w najodleglejszym zakątku głowy. Ucałowałam babudy i dałam się im pobłogosławić na drogę. Martwiłam się szczególnie o Oliko, jej stan zdrowia znacznie się pogorszył w ostatnim czasie. Przestała tłumaczyć, oczy dawały jej się we znaki, bolały ją stawy, cierpiała na cukrzycę wieku starczego, nadciśnienie, ale przede wszystkim cierpiała z powodu utraty złudzeń. Po Nowym Roku straciła wszelką wolę życia i nawet odwieczne spory z Eter nie sprawiały już jej przyjemności. Ta, która dawniej przykładała tak wielką wagę do wyglądu, zaczęła nosić się w dziwny sposób, wskazujący na jakiś wsteczny rozwój, jak gdyby młodziła z dnia na dzień i powracała do dzieciństwa. Zaplatała sobie dwa warkoczyki, które opadały jej na ramiona jak dwie samotne dżdżownice, na nogach miała zazwyczaj podkolanówki w kolorowe paski, a na koszulę nocną wykończoną czerwoną koronką narzucała dziurawy szlafrok, który ojciec przeznaczył już do wyrzucenia.

Jeśli akurat nie oglądała jakiegoś ogłupiającego programu w telewizji, ale pod żadnym pozorem wiadomości, ponieważ od czasu swojego załamania nerwowego zdawała się nie widzieć powodu, do uczestniczenia w życiu zewnętrznym, to zagłębiała się w literaturę dziecięcą, którą czytała mnie i bratu na dobranoc, gdy

byliśmy jeszcze mali. Od Charles'a Perraulta po Saint-Exupéry'ego, wygrzebywała wszystko, co pomagało jej cofnąć czas.

Wieczorem, zanim następnego dnia wsiadłam do autobusu i odjechałam do Stambułu, poszłam jeszcze do pokoju i jednocześnie gabinetu babud, w którym całe pokolenia uczniów wkuwały niemiecki i francuski i oddawały się dziełom Goethego i Baudelaire'a, Kafki i Prousta. Usiadłam na brzegu łóżka Oliko. Poszła spać trochę wcześniej, uskarżając się na bóle stawów. Staralam się być cicho, ale od razu zauważyłam, że nie śpi, i wyczułam, że cieszy się z mojej wizyty. Usiadła, a ja spojrzałam w jej umęczoną twarz. Nie potrzebowałyśmy zbyt wielu słów. Wyraźnie osłabiona, uśmiechnęła się do mnie łagodnie i wzięła mnie za rękę – zawsze miała ciepłe ręce, niezależnie od tego, jak bardzo była zmarznięta.

– Będiesz na siebie uważać, bukaszko, prawda? – spytała.

– Oczywiście. Ale właściwie chciałam prosić ciebie o to samo. I błagam, nie kłóćcie się tak, Eter i ty...

– Ach, na pewno nie będziemy bardziej niż do tej pory, obiecuję. Stambuł... Dawniej nazywał się Konstantynopol i ta nazwa zawsze brzmiała dla mnie tak magicznie. A teraz jedziesz tam i wszystko zobaczysz na własne oczy!

– Jestem bardzo podekscytowana.

– Czy to dobry człowiek?

Początkowo nie zrozumiałam, o kim mówi.

– Ten mężczyzna, który zaprosił cię do Stambułu.

– Rezo?

Musiałam chwilę się zastanowić. Czy był dobrym człowiekiem? Co to właściwie znaczy „dobry człowiek”? Czy ja jestem dobra? Czy postępowałam właściwie, zostawiając wszystko jak stoi i wyjeżdżając stąd?

– Myślę, że tak. Jest zabawny i bardzo dobry w tym, co robi, mogę się od niego wiele nauczyć.

– Nie o to pytałam.

– Nie jestem w nim zakochana, jeśli to chcesz wiedzieć.

Oliko zawsze chętnie słuchała czegoś o miłości, a jej pytania zazwyczaj miały coś wspólnego z romantycznością i nadzieją na dobre zakończenie.

– Wiesz, co chodziło mi dziś cały dzień po głowie? – Właściwie nie oczekiwała ode mnie odpowiedzi.

– Co takiego?

– Wiersz, który tak bardzo lubiłaś. „Jutro...” Victora Hugo. Jako dziewczynka recytowałam go z wielkim oddaniem. Pamiętasz go jeszcze?

Oczywiście, że pamiętałam. To jeden z wierszy, którego nauczyłam się po francusku, żeby sprawić Oliko przyjemność. Czytała mi go na głos, gdy miałam sześć albo siedem lat, i wzruszała się przy tym do łez, robiło to na mnie z jakiegoś niejasnego powodu tak wielkie wrażenie, że także pragnęłam odczuwać takie wzruszenie.

– Tak, wydaje mi się, że tak. Chcesz, żebym go teraz wyrecytowała?

– Zrobiłabyś to dla mnie?

– No jasne, poczekaj.

Wzięłam krzesło, jak dawniej podczas swoich występów, żeby przypadkiem nikt mnie nie przeoczył, i na nie wskoczyłam. Potem uniosłam obie ręce, wyciągnęłam szyję, przybrałam śmiertelnie poważny wyraz twarzy i zaczęłam deklamować w teatralny sposób:

Jutro, kiedy wioska w blasku wschodu zbieleje,

Wyruszę. Widzisz, wiem, że ty na mnie czekasz.

Pójdę przez góry, pójdę przez gęste knieje,

Bo nie mogę już dłużej żyć od ciebie z daleka.

Będę szedł, w myślach swoich zanurzony,

Nic nie widząc dokoła, nie słysząc niczego.

Z dłońmi splecionymi, obcy, samotny, zgarbiony.

Smutny, niczym w noc czarną pośród dnia białego.*

Z jakiegoś powodu utknęłam w tym miejscu, wszystko, co następowało potem, jakby uleciało mi z pamięci. Wiedziałam, że dopiero trzecia zwrotka zawierała nieoczekiwany, tragiczny zwrot akcji, który przyprawiłby mnie o szybsze bicie serca, ale moja głowa była pusta. Za nic nie mogłam sobie przypomnieć, jak to szło dalej.

– W porządku, nic się nie stało. Wspaniale to zrobiłaś, bukaszko – powiedziała, pokiwała głową i pogłaskała mnie po rękę. – Przypomni ci się w odpowiednim czasie. A teraz leć, zacznij się pakować. A o nas się nie martw!

Pocałowała mnie mocno w policzek.

Tej samej nocy zbudził mnie ojciec. Powiedział, że ktoś rzuca kamieniami w okno i że mam zejść na dół. To był Lewan, nie miał odwagi wejść na górę. Poszliśmy do Ogrodu Stelli i usiedliśmy na ławce. Było ponuro i mokro. Zapalił papierosa.

– Słyszałem, że jedziesz do jakiegoś typka do Stambułu?

Czuć było od niego alkohol i od razu pożałowałam, że w ogóle zeszłam na dół.

– To nie jest jakiś typek. Pracowałam już z nim w Kachetii. Jest kolegą z pracy i moim mentorem, skoro już o to pytasz, poza tym był tak miły i załatwił mi fuchę.

– Potrzebujesz pieniędzy?

Popatrzyłam na niego skonsternowana.

– Nie o to chodzi, ale owszem, pieniędzy też potrzebuję.

– Twój brat bardzo dobrze zarabia, chyba niczego ci nie brakuje. Ja też mogę ci dać tyle, ile potrzebujesz...

– Nie chcę ani jego, ani twoich pieniędzy. Dziękuję.

– Czyli będziesz miesiącami przesiadywać w Stambule z jakąś intelektualną ciotą, tak? A ja mam tutaj czekać na ciebie jak dziewczica?

Prowokował mnie. Chciał, żebym go zraniła i żeby racja była po jego stronie. Czułam, jak wściekłość zaczyna łaskotać mnie od środka.

– Nie musisz na mnie czekać. Nie masz żadnych zobowiązań. Przecież ja nie jestem twoją dziewczyną – powiedziałam spokojnie, ziewając.

– Ach tak, to dla mnie nowość.

– Czy to się nazywa chodzić z dziewczyną, skoro trzeba o drugiej w nocy wyciągać ją na ten zasyfiony skwer, żeby z nią pogadać? Albo całować się z nią po kryjomu w samochodzie, żeby tylko nikt nie zobaczył. I ukrywać ją przed wszystkimi. To nie jest normalny związek, ja jestem co najwyżej twoją tajną kochanką, konkubina lub czym tam jeszcze.

– Co ty za głupoty opowiadasz... Przecież ci mówiłem, że to tymczasowe, musisz mi dać trochę czasu, a nie po prostu zwiewać.

– Czego ty ode mnie oczekujesz? Że będę wiecznie na ciebie czekała? Lewan, muszę żyć własnym życiem, muszę iść jakoś do przodu. Chcę się czegoś uczyć, rozwijać się. Ta cała sprawa z nami... – Zwalczałam w sobie pragnienie, by rzucić mu się na szyję, całować jego zmęczoną twarz, ale jednocześnie wiedziałam, że wtedy rozstanie będzie jeszcze bardziej bolesne.

– Okej, skoro tak uważasz. – Powiedział to chłodnym i wyniosłym tonem.

Wstałam i zrobiłam krok, chcąc wracać. Gdzieś zaskowytał pies.

– Tak po prostu sobie idziesz, odchodzisz ode mnie?

– Nie mogę od ciebie odchodzić, skoro nigdy z tobą nie byłam.

Spojrzał na mnie poirytowany, jakby niczego nie zrozumiał, i pokręcił tylko głową. Cisnął niedopałek na ziemię.

– Jak uważasz.

Odwróciłam się i pobiegłam w nadziei, że mnie dogoni i będzie próbował zatrzymać. Ale nie zrobił tego.

Jechałam brzegiem morza. Ciemny kolor wody podziałał na mnie usypiająco. Niebo było zachmurzone, ale przez ciemne chmury przebijał się jasny błękit. Obserwowałam nieskończone pasmo morza, horyzont, zróżnicowane światło i pożałowałam, że już nie rysuję. Nie pożegnałam się z Diną. Nie widziałam się

z nią od czasu, gdy natknęłyśmy się na siebie w szpitalu. Do Nene napisałam list. Po ciężkim porodzie nabawiła się jakiejś infekcji i musiała zostać w szpitalu. Guga, któremu przekazałam list, powiedział mi, że wykapany Saba nazywa się Luka.

Z każdym przejechanym kilometrem czułam się coraz lżej, mogłam znów swobodnie oddychać. Zaraz za Sarpi dotarliśmy do przejścia granicznego i po męczącej i ciągnącej się w nieskończoność kontroli granicznej zostawiliśmy wreszcie Gruzję za sobą i ruszyliśmy w dalszą drogę brzegiem morza do Konstantynopola.

Na zakurzonej i zatłoczonej dworcu autobusowym czekał na mnie Rezo. Uśmiechnęłam się szeroko, gdy tylko zobaczyłam jego szczupłą sylwetkę i gęstą czuprynę. Miał na sobie dziurawe džinsy i oliwkową kurtkę, która zwisała mu z ramion, jakby była o trzy rozmiary za duża. Objęliśmy się, to było serdeczne powitanie, jak to miło znów stać naprzeciwko niego. Od razu poczułam się pewniej, miałam jasną sytuację i motywację do działania, dzięki niemu dostałam konkretne zadanie, które mnie cieszyło. Wziął ode mnie moją starą brązową walizkę, która należała do ojca i już od dawna nie była używana, i poprowadził mnie do małego zielonego samochodu.

– Jest własnością parafii, podczas pobytu tutaj możemy z niego korzystać. Nastaw się na nieskończenie długie jazdy i korki – ostrzegł i poklepał mnie po ramieniu. – Cieszę się, że cię widzę, Kipiani – dodał jeszcze, zanim wcisnął pedał gazu.

Mieszkaliśmy w Ortaköy, dzielnicy położonej bezpośrednio nad Bosforem, w prostym, wąskim drewnianym domu z jasnymi, czystymi mieszkaniami, leżącymi bezpośrednio jeden nad drugim, Rezo był na trzecim, a ja na drugim piętrze. Każde mieszkanie składało się z dużego pokoju z aneksem kuchennym, małego balkonu i malutkiej łazienki. Ku mojej radości było tam także ogrzewanie, które działało bez zarzutu i wprowadziło mnie w taki zachwyt, że przesiedziałam przytulona do grzejnika pół wieczności.

Zostawił mnie samą, chciał wrócić za mniej więcej godzinę z jakimś jedzeniem, a potem mieliśmy jechać do cerkwi i omówić dalsze plany. Otworzyłam wszystkie

okna i patrzyłam na słoneczny dzień. Z mojego balkonu nie można było wprawdzie zobaczyć nieskończonego błękitu Bosforu, ciasna zabudowa przesłaniała mi widok, ale słychać było sygnały promów i statków, krzyk mew, a tętniąca życiem ulica pod moim balkonem zapowiadała wiele pokus i nowych odkryć. Cieszyłam się jak małe dziecko. Po raz pierwszy w życiu znalazłam się w innym kraju i miałam możliwość poznać nowy świat – świat bez przerw w dostawie prądu i niedoborów żywności, bez kałasznikowów i dziur po pociskach w ścianach. Nadchodzące trzy miesiące, wspomnienia, które tutaj uzbieram jak pieniądze w skarbonce, będą musiały osładzać mi jeszcze przez długi czas zimne i ciemne wieczory pełne gniewu i poczucia beznadziei. Nie miałam wyboru, musiałam być szczęśliwa.

Nuciłam coś pod nosem, sprawdziłam szafy, wypakowałam swoje rzeczy, co chwilę wychodziłam na balkon i obserwowałam ożywiony ruch na brukowanej pagórkowatej ulicy, i uśmiechałam się od ucha do ucha. Rezo wrócił po niedługim czasie i przyniósł cudownie pachnące szaszłyki drobiowe oraz sałatkę z pomidorów, wszystko zapakowane w małe, czyste plastikowe pojemniki, które od razu dały mi poczucie stabilizacji i normalności. Jedliśmy, mlaskając, i popijaliśmy ajranem, od którego robiły nam się białe obwódki wokół ust. Rezo opowiadał o dzielnicy, w której mieszkaliśmy, o licznych restauracjach i klubach, zwariowanym ruchu ulicznym i serdeczności tutejszych mieszkańców, o greckiej parafii i o cerkwi, w której mieliśmy pracować. Wszystko, o czym mówił, było jak balsam na moje uszy, działało na mnie kojąco i nawet gdyby mi obwieścił, że przez następnych kilka tygodni będziemy pracować w zagrzebionych katakumbach, to też napełniłoby mnie radością, ponieważ katakumby byłyby daleko od tego, co zostawiłam za sobą.

Posuwając się powoli do przodu w popołudniowym korku, przejechaliśmy przez wiszący w chmurach, jak mi się wydawało, most, na którego widok wstrzymałam oddech. Tyle życia i tyle piękna, to było jak sen, że tu jestem, że z przygnębiającej szarości trafiłam nagle w tę kolorową różnorodność, zanurzyłam się w tym beztroskim chaosie, w tym radosnym mieście. Z dość niepozornej ulicy w dzielnicy Kumkapı przeszliśmy przez szarą żelazną bramę i znaleźliśmy się

w innym stuleciu. W porównaniu z gruzińskimi cerkwiami szesnastowieczna Hagia Kyriaki, gdzie mieliśmy pracować nad wielkopowierzchniowym freskiem Świętego Jerzego, nie robiła ani spartańskiego, ani pompatycznego wrażenia. Gdyby nie krzyż na niewielkiej kopule, można by sądzić, że to przytulna, funkcjonalna willa jakiegoś filantropa. Miała piękne rzeźbione i pomalowane na biało drzwi oraz płaskie marmurowe schody prowadzące do wejścia. Wewnątrz wydawała się znacznie większa niż z zewnątrz, nie było tam ławek ani krzeseł, podobnie jak w gruzińskich cerkwiach, i była przesycona takim samym zapachem świec i wypełniona takim samym światłem w kolorze ochry. W tylnej części zauważyłam prowizoryczne ogrodzenie i dosyć wysokie rusztowanie z kilkoma reflektorami. Było to miejsce pracy Reza.

– Zaczniemy jutro, wczesnym rankiem, bo po południu jest tu za duży ruch, a poza tym odbywają się nabożeństwa. Ale od siódmej do drugiej to miejsce należy do nas – instruował mnie, podczas gdy ja stałam pod rusztowaniem i przyglądałam się freskowi, który mieliśmy ocalić od zapomnienia.

Był to zajmujący całą ścianę Święty Jerzy, który od czterystu lat próbował wbić swój oszczep przebiegłemu smokowi w ziejący ogniem pysk. Kolory były delikatnie pudrowe, dominował ciepły błękit. Tutejszy Jerzy wydawał się młody i jakby nieprzyzwyczajony do swojej aureoli, był inny niż święci, których znałam, zadziorny i pewny siebie. Podzieliłam się z Rezem swoją obserwacją, na co głośno się zaśmiał. Nagle przypomniałam sobie, jak łatwo przychodziło mi dawniej śmianie się razem z nim, i uzmysłowiłam sobie, że bardzo brakowało mi tego beztroskiego śmiechu. Miałam wrażenie, że po powrocie z letniego pobytu w Kachetii wszelki śmiech uwiązał mi w gardle.

– Tu są dobre warunki do pracy. Materiału jest wystarczająco dużo, nie musimy u nikogo żebrać jak ostatnio. Chyba dobrze nam tu będzie, Kipiani, jak sądzisz?

– Jestem pewna, Rezo.

To było proste zdanie, które znaczyło o wiele więcej. Było obietnicą, którą w tym momencie dałam sama sobie i której w najbliższych tygodniach, mimo wszystkich zmartwień i przeczuć, będę próbowała dotrzymać.

Rezo poprowadził mnie wąskimi uliczkami Beyoğlu, jadł ze mną świeżą rybę pod jednym z tysiąca mostów w tym mieście, przepłynął ze mną promem, przyglądał się, jak przez opuszczoną szybę samochodu wystawiam twarz do wiatru i jak podziwiam eleganckie wille. Przegonił mnie przez Wielki Bazar z obwieszonymi złotem stoiskami i pił ze mną rakı, za którym nie przepadałam, a mimo to piłam je, ponieważ uznałam, że w ten sposób muszę okazać temu miejscu szacunek. Zatrzymaliśmy się co chwilę i zachwycaliśmy się zapierającymi dech widokami cieśniny Bosfor, roztaczającymi się z licznych wzgórz tego miasta.

Nene wróciła do domu z dzieckiem na ręku, niezaprzeczną spuścizną swojego zmarłego kochanka. Obiecała dziecku być matką, jakiej sama nie miała: kochającą bezwarunkowo, nieustraszoną, wolną i niezależniącą swojego oddania od żadnych obwarowań.

Cotne i Guga weszli w biznesową rosyjską ruletkę, było tajemnicą poliszynela, że robili to za plecami swojego wszechwładnego wuja i w każdej chwili można było się spodziewać wypowiedzenia wojny z jego strony. Anna Tatiszwili spotykała się z Guga, chodziła z nim na spacer do parku Wake, jadła wate cukrową i śmiała się z jego dowcipów, których on uczył się wcześniej na pamięć podczas bezsennych nocy. Przynosił jej róże i nie zauważał, że patrzy przez niego jak przez powietrze, jak gdyby rozglądała się za kimś innym. Anna zadowolala się na razie tym, że to Guga oferuje jej swoje ramię i odprowadza do domu, na razie musiało jej to wystarczyć. Brat Gugi dotrzymał słowa – jak i dlaczego to zrobił, nie miało teraz żadnego znaczenia, Guga jeszcze kiedyś zdobędzie jej przychyłność i przekona ją o tym, że podjęła słuszną decyzję.

Ratiego obwołano uroczyście nowym bossem dzielnicy, nowym rozjemcą, nowym protektorem. Haracze płynęły do jego kieszeni strumieniami, a salony gier przynosiły pokaźne zyski. Lewan i Sancho byli jego „adiutantami”, jak nieco sarkastycznie zwykł mawiać mój ojciec. Ich wysiłki zdawały się opłacać, a długie oczekiwanie na swoje pięć minut przynosiło owoce. Wszystko zaczęło się układać.

No może poza tym, że w dzielnicy zaczęto szeptać, iż Dinę Pirweli coraz częściej widuje się z Cotnem Koridze.

Z początkiem marca Dina wyruszyła razem z Poznerem i dwoma innym dziennikarzami „Gazety Niedzielnej” do Abchazji. Niewielkim śmigłowcem polecieli do Babuszary. Po zajęciu Gagry, po natowskich próbach pośredniczenia w rozmowach pokojowych i różnorodnych układach o zawieszeniu broni wydawało się, że działania wojenne ustały i gdzieś tam powróciła słodka, choć wypaczona i prowizoryczna normalność. Dina i jej towarzysze prześlizgnęli się przez ten korytarz zbudowany z kłamstw i nadziei, pełen strumieni uchodźców i uśpionych karabinów maszynowych i znaleźli się na zaminowanych polach walki, które przez swój złowieszczy spokój emanowały jakąś toksyczną siłą przyciągania i na których nafaszerowani heroiną chłopcy odgrywali żołnierzy. To był postapokaliptyczny świat z podziurawionymi od pocisków domami, wygłodniałymi psami, wódką i czaczą, zapuchniętymi i wyczekującymi w gotowości żołnierzami, z zardzewiałym, zanurzonym do połowy w morzu diabelskim młynem, z przekształconymi w składy broni i sztaby wojskowe luksusowymi sanatoriami, w których dawniej spędzały urlopy i kurowały się sowieckie elity. W jednym z takich sanatoriów dla chorych na gruźlicę, położonym na skraju Suchumi, rozbili swoje obozowisko Dina i jej koledzy. Owo sanatorium było swego rodzaju obozem przejściowym dla gruzińskich i kilkorga zagranicznych dziennikarzy. Gruzjińskie siły zbrojne przydzieliły im dwa zdewastowane, a dawniej okazałe i urządzone z przepychem pokoje z oszłamiającym widokiem oraz skromnymi łózkami polowymi i poinformowały ich, gdzie i kiedy mogą odebrać swoje racje żywnościowe. Zwrócono im uwagę na różnego rodzaju pozwolenia oraz zakazy i przydzielono chłopaka, który ciągle przeżuwał pestki słonecznika i miał towarzyszyć ich ruchliwej czwórce w charakterze szofera.

Dopiero gdy zapoznałam się z tą serią zdjęć, zaczęłam szukać informacji na temat tego miejsca i dowiedziałam się, że sanatorium zostało wybudowane w 1905 roku na polecenie wielkiego rosyjskiego fabrykanta o nazwisku Smeckoj dla jego chorej na gruźlicę żony i było dawniej imponującym kompleksem białych willi

otoczonych parkiem, w którym rosły palmy, drzewa eukaliptusowe i akacje, połączonym promenadą z morzem. Dzięki zdjęciom Diny mogłam wędrować przez puste korytarze i opuszczone ogrody tego fascynująco przerażającego miejsca z okresu *fin de siècle*'u, przez ów raj skazany na ruinę. Te opuszczone korytarze przemawiają do nas swoją ciszą. Kierowała obiektyw na rannych i obandażowanych żołnierzy z takim samym masochistycznym zaangażowaniem, z jakim dawniej fotografowała siebie. Gdy oglądam jej potworne i bezlitosne zdjęcia z późniejszego okresu, przedstawiające całkowitą porażkę ludzkości, obrazy zmarłych i okaleczonych, wyczuwam tam przerażającą, zimną ciszę, jak gdyby ten potworny świat był światem niemych. Rzuciła nam te fotografie pod nogi, żeby pokazać to, czego nie chcieliśmy widzieć. To, co tam zobaczyła, sprawiło, że stała się innym człowiekiem. Jej gest nie był jedynie próbą wywołania współczucia, wzbudzenia empatii. Wiedziała, że nikt, kto sam tam nie był, nie będzie w stanie jej zrozumieć.

Nigdy jej tego nie mówiłam, nawet wtedy, gdy wyruszała na wojnę po raz drugi, ale po naszym spotkaniu zrozumiałam, że się okrutnie i chorobliwie uzależniła, było to fatalne uzależnienie od życia w pobliżu śmierci.

Szukałam zapomnienia w spokojnej pracy, dającej mi ukojenie i równowagę. Uwielbiałam wstawać o wschodzie słońca, otwierać szeroko okna i wdychać słonawe morskie powietrze. Uwielbiałam siorbać na śniadanie jogurt i czekać, aż Rezo zapuka jednostajnie i delikatnie do drzwi, następnie wsiadać z nim do małego samochodu, jechać przez pełne obietnic miasto i za każdym razem odkrywać jakieś wcześniej niedostrzegane zaułki albo ciekawe budowle, patrzeć z rozbawieniem na śmiesznego handlarza, który prezentuje nam przez otwarte szyby swoje zabawne towary. Uwielbiałam radiową muzykę, Rezo włączał często przypadkowe stacje, uwielbiałam też fakt, że nie musimy ze sobą rozmawiać, że tak wspaniale możemy ze sobą milczeć. Uwielbiałam jego spokój, jego odmienność, uwielbiałam, jak mnie nabierał, jak się ze mną drażnił, zawsze sobie żartował z moich komentarzy i pomysłów, a potem nagle robił się poważny, profesjonalny, gdy zajmowałam miejsce obok niego na rusztowaniu i na tej prawdziwie sakralnej wysokości

wykonywałam jego polecenia. Nigdy nie sprawdzał tego, co robię, nigdy mnie nie kontrolował, wychodził z założenia, że poradzę sobie z powierzonym mi zadaniem, niezależnie od tego, jak bardzo było wymagające. I nigdy nie zagadnął o incydent w Kachetii, to, co się wtedy wydarzyło, nie rzucało się cieniem na nasze relacje, nie tkwiło między nami. Byłam zdumiona, że bez najmniejszego trudu udało mi się strząsnąć z siebie Tbilisi i wszelkie troski. Tutaj z łatwością przychodziło mi zapominać się i zagłuszać własne sumienie.

Napisałam do Iry długi list, w którym w rzeczowy sposób przedstawiłam jej powody swojego wyjazdu, opisałam swoją ustabilizowaną, acz fascynującą codzienność i wyraziłam zachwyt różnorodnością Sztambułu. Podzieliłam się też odrobiną informacji, jakie miałam na temat Nene i Diny. Zależało mi na tym, by uzyskać ogólnie pozytywny obraz. Raz na tydzień Rezo przynosił mi kartę telefoniczną z nieskończone długą sekwencją cyfr, karta wystarczała mi dokładnie na piętnaście minut rozmowy. Rozmawiałam z ojcem albo babudami, słuchałam ich relacji o panującej niezmiennie biedzie i ciągłym braku nadziei. Podczas jednej z rozmów wspomnieli o tym, że martwią się o Dinę, która od dwóch tygodni jest w Abchazji.

Odłożyłam słuchawkę drżącą ręką. Kopnęłam nogę od stołu i poczułam tępy ból w palcu. Otworzyłam gwałtownie okna, musiałam zaczerpnąć powietrza. Postanowiłam spakować rzeczy, podeszłam do szafy i uzmysłowiłam sobie śmieszność swojego zamiaru. Odczuwałam wściekłość, ale przede wszystkim strach, egzystencjalny nagi i paraliżujący strach. Zastygłam w bezruchu, trzymając w ręku lniane spodnie, które chciałam spakować do walizki, miałam nadzieję, że ktoś przyjdzie i przywróci mnie ponownie do życia.

Była sobota wieczór, niedziele mieliśmy wolne, dlatego w sobotnie wieczory zwykle gdzieś wychodziliśmy. Pewnie zaraz zjawi się Rezo i pójdziemy razem badać nocny puls miasta, które nigdy nie śpi. Było mi źle, czułam się winna, mała i nieważna. Nie powstrzymałam Diny, zostawiłam ją na lodzie, robiłam jej wyrzuty, mimo iż było jasne, że racja leży po jej stronie, ponieważ mój brat upokorzył ją i wykorzystał do swoich celów. W gruncie rzeczy podziwiałam ją właśnie za tę jej

bezkompromisowość – dla niej nigdy nie istniało nic pomiędzy. I po raz kolejny przeklinałam dzień, który zapędził nas do zoo.

Odłożyłam spodnie z powrotem do szafy, poszłam zdecydowanym krokiem do swojej łazieneczki, gdzie nieustająco była ciepła woda i gdzie mogłam w nieskończoność stać pod prysznicem i trzymać głowę pod ciepłym strumieniem. Usiadłam na podłodze wyłożonej terakotą, wyjęłam z kosmetyczki żyletkę, zdjęłam spodnie, rozłożyłam ręcznik, wykonałam wszystkie niezbędne czynności i przyłożyłam żyletkę do lewej nogi, nieco powyżej niemal pobielających już blizn. Ulga nastąpiła momentalnie, nadeszła wraz z palącym bólem i sprawiła, że opadłam z sił. Od kiedy tu przyjechałam, w ogóle nie odczuwałam potrzeby, żeby ulżyć sobie w ten masochistyczny i bolesny sposób. Ale teraz potrzeba znów się pojawiła, a ja znałam tylko jedno wyjście, zawsze ten sam, najwyraźniej niezamierzający opuścić mnie ból, który od tamtego lutowego dnia sprzed roku był ze mną zrośnięty na zawsze, stał się częścią mego ciała, jak blizny na nogach.

Nie usłyszałam, jak wszedł, a ponieważ drzwi do łazienki były otwarte, stanął nade mną ze skamieniałym wyrazem twarzy. Chwyciłam natychmiast ręcznik i chciałam zakryć nogę, ale było za późno, stał się świadkiem mojej żalosalnej porażki.

– Co ty robisz? – Jego głos zdradzał troskę, ale wyraźnie starał się ją ukryć. – Pokaż tę ranę, może trzeba pojechać do szpitala.

Zrobił nieśmiały krok w moim kierunku, ale dałam mu znak ręką, żeby został na miejscu.

– Wszystko jest pod kontrolą. Proszę cię, wyjdź. Zostanę dzisiaj w domu.

– Wydaje mi się, że nic nie jest pod kontrolą, Keto. Zupełnie nic. – Twarz mu poczerwieniała, wyglądał na zmartwionego, wszedł do ciasnej łazienki i usiadł koło mnie. Westchnął. – Dlaczego, Keto? Dlaczego? – Mówił cichym, nieco zachrypniętym głosem.

– Dina pojechała do Abchazji. Od wczoraj toczą się tam znowu walki – powiedziałam jednostajnym tonem. Po nacięciu nogi opanowała mnie jakaś dziwna

głucha pustka.

– To jedna z tych koleżanek, które przyjechały cię wtedy odwiedzić?

– Tak, moja najlepsza przyjaciółka.

Przez chwilę milczeliśmy razem. Potem wstał, znalazł moją kosmetyczkę, a w niej trochę waty i coś do dezynfekcji. Krzyknęłam głośno, ale zignorował to. Potem wyszedł i po kilku minutach wrócił z apteki z bandażem, którym owinął mi udo. Następnie podniósł zakrwawioną żyłkę i wyrzucił do kosza. Dałam mu robić, co chce, jak potulne dziecko oddałam się w jego ręce, pozwoliłam, żeby się mną zaopiekował, by mnie pielęgnował. Ponownie zszedł na dół i wrócił z szaszłykiem drobiowym i pikantną sałatką z pomidorów, która w ostatnim czasie stała się moją ulubioną potrawą, przyniósł też butelkę wina i z wprawą ją odkorkował. Napełnił kieliszki.

– Napij się czegoś, wydaje mi się, że tego potrzebujesz.

Podał mi kieliszek. Usiadłam na wąskim tapczanie pod oknem. Przysiadł się do mnie. Piliśmy i jedliśmy w milczeniu. Włożyłam wcześniej spódnice, ale krew przesiąkła przez bandaż i na materiale zrobiła się plama.

– Od kiedy to robisz? – spytał.

Wzruszyłam ramionami.

– Proszę, nie okłamuj mnie – nalegał. – Wiesz, że nie znoszę kłamstw.

– Coś się wydarzyło, jakiś rok temu... a potem to się zaczęło. – Poczułam ulgę, że nie muszę już niczego zatajać, niczego ukrywać.

– Co się wydarzyło?

Dotychczas z nikim nie mogłam o tym porozmawiać. Nawet z Diną wydawało się to niemożliwe. A Irze podałam tylko suche fakty, lecz nigdy nie mówiłam jej o swoich odczuciach. Ale tutaj, z dala od zoo i tego dnia, z dala od tych facetów, a także z dala od Diny, z tym łagodnym i samowystarczalnym człowiekiem u boku, wydało mi się wręcz egzystencjalną koniecznością wyrazić słowami to, co się kiedyś stało. Zacinając się, zaczęłam opowiadać. Opisywałam wydarzenia tamtego popołudnia. Słuchał mnie spokojnie, jego twarz nie zdradzała niczego, tylko od

czasu do czasu popijał wino. Nie przerywał mi, niczego nie oceniał, spadł ze mnie ciężar wielki niczym zbroja. To było uzdrawiające, nieoczekiwane uspokajające, tak samo jak wcześniej, gdy opatrywał mi ranę w łazience, to było miłe uczucie móc sobie na to pozwolić i odpuścić, odsunąć od siebie wszelką odpowiedzialność.

Gdy umilkłam, położył mi rękę na kolanie, pogładził ostrożnie dłonią po czerwonej plamie na spódnicy. Znów ogarnęło mnie to palące uczucie, ta wszechogarniająca żądza zapomnienia, najchętniej zerwałabym się na równe nogi i pobiegła z nim na wyścigi. Ale byłam zbyt wyczerpana, zbyt pusta, wraz z krwią wszystko ze mnie wypłynęło, każda troska, ale także każda ambicja.

– To nie jest świat, w którym powinnaś żyć, Kipiani. Nie powinno być ci się to przydarzyć. Nikt nie powinien stawać przed takim wyborem, nikogo nie można zmuszać do tego, by decydował o czyimś życiu. – Zapadł się w siebie, po głosie można było poznać, że jest przejęty i smutny. Niedawno zapaścił brodę, dzięki której wyglądał trochę sympatyczniej i która niwelowała jego bociani wygląd.

Spojrzałam na niego, jego ciemne oczy się zaszklily. Wypiłam wino do dna.

– Nasz kraj nie jest dla ciebie łaskawy, teraz dla nikogo nie jest łaskawy, ale w twoim przypadku to wręcz tragiczne. Masz przed sobą przyszłość, Kipiani, musisz o nią walczyć. Nie jesteś w stanie nikogo uratować. Ani swojego brata, ani przyjaciół. Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni wyłącznie za samych siebie. Nikomu nie pomożesz, poświęcając się. Już ci mówiłem: poświęcanie się niczego nie daje, pociąga tylko za sobą kolejne poświęcenia, nic poza tym. Powinnaś myśleć o sobie i o wszystkim, czego chcesz się nauczyć lub co chcesz zrobić. Możesz mieć dobre życie.

– Skąd masz taką pewność?

– Zaufaj mi, skoro nie ufasz sama sobie.

– Wszystko wydaje się takie bezsensowne...

– Sens sam w sobie nie istnieje, nigdzie, w niczym. Dopiero człowiek nadaje sens, sobie i temu, co robi. Człowiek nadaje sens temu, kogo kocha.

Zdziwiło mnie to zdanie. Rezo był taki niesentymalny, powstrzymywał się od wszelkich romantycznych nastrojów, nigdy nie wypowiadał się choćby słowem o swoich związkach, nie opowiadał prywatnych historii. Jediną kobietą, o której kiedyś wspomniał, była jego matka, melancholijna osoba, do której dzwonił regularnie i która zdawała się przytłaczać go w równym stopniu co on sam siebie, zamartwiając się o nią. Odwróciłam się do niego.

– Rezo, byłeś kiedykolwiek zakochany? Mam na myśli... czy kochałeś kiedyś tak prawdziwie, to znaczy tak, że zdawało ci się, iż wszystko jest nieważne i zbędne, jeśli nie możesz być z tą osobą. – Nie miałam pojęcia, dlaczego o to pytam. Nawet nie wiedziałam, kogo mam na myśli, wypowiadając te słowa.

Spojrzał na mnie z uśmiechem, a potem pokręcił głową.

– Kipiani, jesteś niepoprawną romantyczką i to jest powód, dla którego wszystko jest takie cholernie trudne.

Zaśmiał się i sięgnął po butelkę, żeby napełnić nasze kieliszki. W tym momencie położyłam głowę na jego ramieniu i zamknęłam oczy. Pachniał terpentyną i czymś starym, znajomym, jak ubranie, którego długo się nie nosiło, a które wciąż kryje w sobie wspomnienie jakiegoś wspaniałego wieczoru. Początkowo wydawał się tym gestem speszony. Poczułam, że się spiął. Ale z czasem napięcie zaczęło powoli ustępować i wtedy objął mnie ramieniem.

– Pomogę ci, Kipiani. Jeśli na to pozwolisz, pomogę ci. Potem będziesz mogła pójść swoją drogą, studiować dalej i zostawić to całe gówno za sobą.

– Nie wiem, czy potrafię, Rezo. Mimo że czasami tak nienawidzę tego życia, to jednak wiem, gdzie jest mój dom i gdzie przynależę. Tam są ludzie, których kocham i których potrzebuję.

– Będziesz mogła nadal ich kochać i potrzebować. Gdybym nie czuł się odpowiedzialny za swoją chorą matkę, nic by mnie tam nie trzymało, wyjechałbym, nie oglądając się za siebie.

– Jesteś inny – powiedziałam i sama sobie zadałam pytanie, na czym właściwie polega jego odmienność. – Jesteś taki jakiś mało gruziński.

Widziałam, że uśmiechnął się pod nosem.

– Ach tak? Czyli jaki?

Wzruszyłam ramionami.

– Jesteś wolny.

– Wolny? Ja? – Sprawiał wrażenie zdziwionego.

– Tak, tak uważam. Myślisz, nie kierując się żadnymi kategoriami, i jesteś niedogmatyczny. Nie obchodzi cię, co inni o tobie powiedzą. Robisz swoje. Dlatego czuję się przy tobie tak dobrze.

Patrzyliśmy długo na siebie. Jego twarz nie wyrażała niczego. Oczy lśniły niespokojnie, ale twarz była nieporuszona, usta całkowicie statyczne. Podniosłam głowę i pocałowałam go. Wzdrygnął się, nie odpowiedział na mój pocałunek.

– Dlaczego to robisz, Kipiani? – Odsunął się.

– Przepraszam, pomyślałam, że ty może też tego chcesz. Lubię cię. Z tobą czuję się wolna...

Dopiero gdy wypowiedziałam tę myśl, stał się dla mnie prawdziwie namacalny. Być może to był powód, dla którego szukałam jego bliskości. Podobał mi się ten stan: czuć się wolną u jego boku, nie być tą Keto, którą, jak mi się zdawało, powinnam być. Mogłam się od siebie uwolnić. On widział mnie taką, jaką ja sama chciałam się widzieć. Jego szorstka odmowa dotknęła mnie znacznie bardziej, niż mogłabym się spodziewać, więc ja też odsunęłam się od niego. Zamierzał wstać, ale chwyciłam go za rękę. To wszystko było zbyt piękne i kojące, nie chciałam, żeby już sobie poszedł i zostawił mnie samą z moją plamą krwi, moją bezradnością i moją wściekłością. Tak, czego ja właściwie chciałam?

Nagle jednak wszystko w nim jakby się zmieniło, podjął jakąś decyzję. Ukląkł przede mną, objął mnie w talii i wtulił twarz w mój brzuch.

– Ja też cię lubię... ja też cię lubię, Keto – wyszeptał. – Tak, owszem, kochałem kogoś. Wyszła za mąż za innego. Raczej nie jestem donżuanem, może jestem za szczyry, kobiety tego nie lubią, żadna tego nie lubi. Ty jesteś wyjątkiem.

Pocałował mnie w nadgarstki, potem podniósł mi spódnice i płaską dłonią ostrożnie pogładził zakrwawiony bandaż. Jego dotyk był niezwykle delikatny, nie było w nim niczego ponaglącego, gwałtownego czy roszczeniowego. Musiałam się najpierw do tego przyzwyczaić, że dotyka mnie w taki poufały sposób, jego pożądanie było inne niż pożądanie mężczyzn, których dotychczas znałam, nastawione na sprawianie mi przyjemności. Musiałam się dopiero nauczyć to przyjmować. Nagle nasza mnie ochota na te wszystkie rzeczy, których nie wolno mi było robić z Lewanem, na to, przed czym Lewan ciągle mnie powstrzymywał, miałam ochotę zerwać łańcuchy, którymi spętał naszą miłość. Rezo, ten chudy mężczyzna o bladym, wątłym ciele, nie stawiał żadnych warunków, nie rozgraniczał tego, co dozwolone i niedozwolone, jego bliskość ani nie wymagała ustępstw, ani nie narzucała żadnych zobowiązań. Zdawał się przez krótką chwilę poirytowany, gdy zaczęłam rozpinać mu rozporek, usiadłam mu na kolanach i zajęłam się jego ciałem. Ale ostatecznie pozwolił na to i w pewnym momencie na jego usta powrócił zadziorny uśmiech. Pozwalał mi robić, co chcę, pozwolił na przejęcie inicjatywy, pozwalał mi decydować i z każdym ruchem, z coraz dalszym zawłaszczaniem jego ciała odkładałam krok po kroku swoje wątpliwości na bok. Nasze pożądanie nie było płomienne, pełne cierpienia, lecz lekkie, rozigrane, zmienne i urozmaicone. Nie wyzwalało we mnie tej pochłaniającej wszystko namiętności, którą znałam ze spotkań z Lewanem i o której sądziłam, że jest jedyną możliwą formą miłości. To dziwne, ale pożądanie było przy Rezie żartobliwe i pozbawione jakiegokolwiek spięcia. Byłam naga, a jednak nie miałam żadnych oporów, nie zastanawiałam się, czy jestem wystarczająco ładna ani czy mój wygląd jest zadowalający. Nie martwiłam się o to, czy mu się podobam.

– Zostaniesz dziś u mnie? – poprosiłam.

– Jeśli tego chcesz.

Uświadomiłam sobie, że jeszcze nigdy nie spałam u boku Lewana, nie licząc tej jednej jedynej nocy, którą spędziliśmy w zatęchłym i zastawionym roślinami doniczkowymi mieszkaniu.

Opuszczam „Czarodziejską Górę” i sanatorium, z ciężkim sercem zostawiam je za sobą, idę dalej, do następnej ściany, podchodzę do kontynuacji tej serii, mam odwagę wejść do wnętrza piekła. Piekła stanowiącego kontrast do piękna natury, który rozbłyska na tych zdjęciach: dumne palmy i wschodzące kwiaty, nieskończona tafla morza, akacje i drzewa migdałowe. Wyobrażam sobie, jak jedzie ciężarówką na front, do małej wsi o nazwie Achadara, zaledwie sześć kilometrów od Suchumi, gdzie toczyły się walki o most kolejowy, węzeł komunikacyjny i główną arterię miasta. Zdjęcie, które właśnie oglądam, przedstawia zerwany do połowy most nad dziką rzeką o kamienistym brzegu. Ze zbombardowanego betonu wystają stalowe pręty przywodzące na myśl koronę cierniową. Widać długi rząd pojazdów wojskowych. Na kilku samochodach siedzą żołnierze, patrzą rozbawieni w obiektyw. Prawdopodobnie bawi ich rzadki widok kobiety za obiektywem aparatu, są pogodni, pewien młody żołnierz z odstającymi uszami, w kaszkiecie na głowie pokazuje Dinie znak zwycięstwa.

Na innym zdjęciu widać, jak jej mentor Pozner i dwaj pozostali koledzy szybko dokąds pędzą. Później, gdy poszukałam trochę informacji, żeby lepiej zrozumieć tę fotografię, dowiedziałam się, jaka była przyczyna tej ucieczki. Abchazowie dotarli już do obrzeży Suchumi, obawiano się wzięcia w kocioł, ale gruzińskie samouki, które musiały na własną rękę nauczyć się strzelania i zabijania, miały tego dnia szczęście, udało im się odeprzeć brygady złożone ze zwerbowanych najemników oraz Abchazów.

Kolejne zdjęcia: żołnierz z bronią w ręku przypominającą raketę coś wykrzykuje. Siwobrody dowódca wydaje rozkazy niewielkiemu oddziałowi żołnierzy. Psia mama i cztery małe szczeniátka obok skrzyni pełnej granatów ręcznych, dziecięce zimowe buty porzucone na wąskiej ścieżce. A pośród tego wszystkiego widać opuszczone domy, samotne kwiaty, jasne niebo, zakurzone drogi, drewniane płoty, krowy na łące, ostrzelane okna jakiegoś pustego domu.

Oglądając te zdjęcia, można odnieść wrażenie, że czuje się w nosie zapach potu zmieszanego z zapachem śmierci. A ja, ja czuję ją, rozczarowaną, głodną, skompromitowaną i oszukaną przez swoją miłość, pustą i wyczerpaną Dinę, która

chce jedynie funkcjonować i to też robi wspaniale, jak szwajcarski zegarek. Odczuwam także tęsknotę za nią, to coś niewypowiedzianego między nami, co wzięło swój początek nieopodal wybiegu dla małp w tbiliskim zoo. Ogarnia mnie przerażenie nie tyle w obliczu śmierci, wszechobecnej na tych zdjęciach, ile raczej w obliczu życia z tymi jego wszystkimi nieprzewidywalnymi, bezlitosnymi, wstrząsającymi zwrotami akcji.

A potem wpada mi w oko zdjęcie, na które nie byłam przygotowana, zarówno teraz, jak i wcześniej, gdy zobaczyłam je po raz pierwszy. Przedstawia rudzielca z zoo. Ta fotografia znalazła się tu w tym szeregu i to mnie irytuje, wyprowadza mnie z równowagi. Odczuwam nagły impuls, żeby natychmiast zdjąć ją z tej ściany i przenieść w inne miejsce, do zdjęcia przedstawiającego mnie, mój nagi strach i małpę. Tam powinna wisieć, tuż obok. Ale nie, zdjęcie rudowłosego wisi gdzie indziej, zostało zrobione w innym miejscu, w którym ja nigdy nie byłam. Stoję przed nim z mieszaniną wściekłości i poruszenia: a więc spotkała go ponownie. Tego mężczyznę, którego życie kosztowało pięć tysięcy dolarów i którego do tamtej pory w ogóle nie znałyśmy.

To było w tej wsi, w Achadarze, tego dnia, gdy zrobiła te wszystkie fotki i nadała tej wojnie twarz. Natknęła się na niego i tym razem uwieczniła go na kliszy, niepodważalny dowód na to, że rzeczywiście istniał. Że wciąż żyje. Zgłosił się dobrowolnie do batalionu artylerii nad rzeką Gumista i tego dnia cudem przeżył po raz drugi.

Jej uwagę przykuły lśniące rude włosy. Dina i jej towarzysze oszańcowali się gdzieś w jakimś opustoszałym domu, gdy nagle zjawił się z karabinem automatycznym i krzyknął coś do swoich kompanów, zanim kilka metrów dalej wybuchł granat. Wszystko przebiegało niczym w zwolnionym tempie, jak mi później opowiadała, było w tym coś osobliwie pięknego. Widać to na tym zdjęciu, wyczuwa się w nim jakąś rozmarzoną czułość.

Rudy patrzy w obiektyw, brązowe oczy są przyjazne, ale ciało zdradza objawy wyczerpania, lekki strach – wygląda jak aktor, którego źle obsadzono w sztuce. Jest po prostu za młody na tę rolę, na wybuchające granaty i broń automatyczną. Tej

swojej chłopięcości nie pozbył się także i później – zawsze gdy mu się przyglądałam, byłam tym zdumiona, bo dla mnie zawsze był młodociany, jak gdyby na stałe utknął w tym wieku, w którym był, gdy wtedy w zoo spotkałam go po raz pierwszy.

Dina wspomniała jedynie ogólnie o tym spotkaniu, ale jedną rzecz zapamiętałam bardzo dobrze. Na jej uwagę, że nie po to ryzykowała swoim życiem i szczęściem, żeby on teraz wyruszał na wojnę, zaśmiał się tylko i powiedział, że jest po prostu dzieckiem szczęścia i nic mu się nie stanie. I obiecał jej, że jakby co, to wyprowadzi ją stamtąd całą i zdrową, bo teraz przyszła jego kolej.

Przyglądam się jego twarzy. Ta mimika, te rysy, które z przerażeniem odnajduję niczym kopie w twarzy swojego syna, jak gdyby jakiś mistrz wykonał falsyfikat. Od pewnego czasu znów mają ze sobą kontakt, zresztą z inicjatywy Ratiego. Okłamuje mnie, wydaje mu się, że mnie ochroni, pozostawiając mnie w nieświadomości. Nie wyprowadzam go z błędu i gram w tę grę. Zastanawiam się, czy on sam wie, dlaczego nagle zaczął potrzebować ojca, którego nie było przez osiemnaście lat.

Chciałam nadać temu wszystkiemu sens, po prostu nie mogłam zaakceptować, że wszystko, co wydarzyło się tamtego popołudnia w zoo i później, to był jedynie jakiś groteskowy przypadek. Nie mogłam pogodzić się z tym, że los tak z nas zadrwił. W tym popołudniu i wszystkim, co od tamtego momentu zaczęło się psuć, chciałam odnaleźć jakieś znaczenie. I to właśnie on miał mi je dać, klucz do całości, którego jednak, jak się okazało, nie posiadał. Był po prostu młodym lekkomyślnym człowiekiem, który chciał żyć, bawić się i oddawać się beztrosce. Był kimś, kto potrafił zostawić przeszłość za sobą i strzepnąć z siebie wojnę jak uciążliwą muchę, gdy tylko poczuł pewny grunt pod stopami. Miał taki talent. Ja nie.

Ale to właśnie jego, jego jedyne chciałam mieć po pogrzebie u swego boku. To jemu wolno było rozpraszać moje myśli, coś, na co nie pozwoliłam nikomu innemu, jemu wolno było mnie upijać, zabierać na jakieś studenckie imprezy w nie wiadomo jakich mieszkaniach, zagłuszać mój ból nieporadnymi próbami

pocieszenia i banalnymi frazesami. Jego wyjątkowa zdolność nieoglądania się za siebie była jak tajemny lek, jedyny, jak mi się wydawało, który mógł mnie uleczyć. I gdy któregoś wietrznego kwietniowego dnia pijany zaproponował, żeby pójść do pierwszej lepszej cerkwi i wziąć ślub, odebrałam to jako znak, którego nie mogę odrzucić.

Mój syn nigdy się nie dowie, jak jego ojciec zareagował na wiadomość o ciąży. Nigdy nie opowiem mu o tej nocy, podczas której byłam najbardziej samotnym człowiekiem na całej kuli ziemskiej. Nie chcę współczucia. Przyrzekłam to sobie.

Natychmiast pojawia mi się przed oczyma ta bezkresna droga: wybiegam z jednego z wieżowców na Nutsubidze Plato, w którym imprezowaliśmy tego wieczora z jego przyjaciółmi, i biegnę aż do ulicy Winorośli. Jeszcze nigdy nie byłam tak silna i tak słaba równocześnie. Tak, istnieją w naszym życiu takie noce, nieliczne, po których już nie jesteśmy tacy jak przedtem. Nawet jeśli nas w pierwszej chwili przerażają i nie wiemy, co dalej, zmuszają nas do tego, by przejść samych siebie.

Nigdy mu nie powiem, że zwątpiłam i zadawałam sobie pytanie, czy będę w stanie być dla swojego dziecka taką matką, na jaką zasługuje. Nigdy mu nie powiem, co jego ojciec powiedział mi tamtej nocy, zanim samotnie wyruszyłam w drogę do domu: „Czego ty ode mnie chcesz? Nie rozumiem, czego ty ode mnie chcesz. Nie lubisz tego, co ja lubię, nie interesuje cię to, co mnie interesuje, uważasz moich kumpli za nudziarzy, moje tematy do rozmowy są twoim zdaniem jałowe, a mimo to jesteś ze mną? Idziesz ze mną do cerkwi, ale nie chcesz, żebyśmy zamieszkali razem. Co to ma znaczyć? Czego ty ode mnie oczekujesz? Że odpokutuję? Czy mam paść przed tobą na kolana i prosić cię o wybaczenie, że pozostałam przy życiu, podczas... Zarzucasz mi, że żyję? Czy tak? A teraz przychodzisz i mówisz mi, że jesteś w ciąży, i chcesz, żebym zdjął z ciebie tę odpowiedzialność i żebyś na koniec mogła powiedzieć: widzisz, to też twoja wina! Nie prosiłem cię o ratunek, nie prosiłem cię wtedy w zoo, żebyś wróciła, i nie prosiłem cię, żebyś ze mną chodziła, była ze mną, jestem po prostu facetem, który cieszy się, że miał szczęście, i chce żyć swoim życiem. Skończ z tym wreszcie!

Przestań coś sobie obiecywać! Ja mogę być wyłącznie twoim rozczarowaniem. Zacznesz mnie powoli nienawidzić, czasami odnoszę wrażenie, że już teraz tak jest. Nie powinno się mieć dzieci z kimś, kogo się nienawidzi!”.

Nic więcej nie powiedziałam. Po prostu wybiegłam. Biegłam, nie zatrzymując się.

A swoją drogą Gio dotrzymał obietnicy. Dina opuściła Abchazję w połowie kwietnia, z setką krótkich przystanków pełnych strachu, nadziei, krwi, rozterek, poczucia beznadziei, odwagi i obaw. Tylko w ciągu dwudziestu czterech godzin z szesnastego na siedemnastego kwietnia zginęło w Abchazji ponad tysiąc osób.

A ja w tym czasie kołysałam się w ramionach Reza.

Na trzy dni przed moim wyjazdem ze Stambułu w drodze z Hagia Kyriaki w kierunku morza przypomniała mi się ostatnia zwrotka wiersza, którą stojąc na krześle, chciałam wyrecytować Oliko przed wyjazdem. Szłam ulicą Çapariz, gdy nagle ni stąd, ni z owąd przyszyły mi do głowy te słowa, jak gdyby ktoś nagle podniósł do góry ciężką kurtynę:

Nie spojrzę na wieczoru złotem lśniąca zorzę

Ni na żagle do portu w Harfleur wpływające.

A gdy wreszcie dotrę, na twym grobie złożę

*Bukiet ostrokrzewu i wrzosa kwitnące**.*

Ogarnął mnie jakiś dziwny niepokój. Powtarzałam ciągle w myślach te wersy, idąc do małej rybnej knajpy na końcu ulicy, gdzie miałam się spotkać na kolacji z Rezem i kilkoma jego znajomymi, których poznał podczas wcześniejszych pobytów w Turcji. W kółko wypowiadałam bezgłośnie słowa tej zwrotki. Czy to był wiersz pożegnalny, czy babuda chciała się ze mną pożegnać? Ale przecież nie była chora, nawet jeśli walczyła z przeciwnościami wieku i była wyczerpana i słaba, od kiedy okazało się, że Ruch Narodowy, w który zainwestowała całą swoją pasję i energię, nie był w stanie uratować jej świata.

W lokalu zachowywałam się tak, jakbym uczestniczyła w ożywionych rozmowach, jadłam owoce morza i piłam schłodzone białe wino. Uśmiechałam się miło, gdy ktoś na mnie spojrzał, i uprzejmie odpowiadałam na pytania o naszą zakończoną sukcesem pracę. Ale w myślach wciąż wracałam do słabo oświetlonego pokoju moich babć i siadałam na skraju łóżka Oliko, czując w ręce ciepło jej dłoni.

Wracaliśmy do domu na piechotę, wzięłam Reza pod rękę, opowiadał o czymś, ale go nie słuchałam, myślami byłam przy babudzie, strofy Victora Hugo po prostu nie chciały mi wyjść z głowy.

– Muszę zadzwonić do domu – powiedziałam, gdy doszliśmy do mieszkania.

– W porządku. Daj znać, jeśli będziesz mnie potrzebowała – odpowiedział jak zawsze z wyrozumiałością, gdy chciałam zostać sama.

Tym razem wyjątkowo odebrał Rati. Mówił ciężkim głosem, jakby miał zachrypnięte gardło.

– Mogę rozmawiać z Oliko? – zapytałam od razu.

Nastąpiła nienaturalnie długa cisza, po czym usłyszałam, że Rati czyści sobie nos i oczyma wyobraźni zobaczyłam łzy w jego oczach, które usiłował przede mną zataić. I już wszystko wiedziałam, zanim się odezwał.

– Już jej z nami nie ma, Keto, odeszła od nas miesiąc temu. Nagły udar, to się stało wieczorem w loggii... Ja... przepraszam, nie chcieliśmy ci od razu mówić. Ojciec i Eter uważali, że już i tak nic nie możesz zrobić, a twój pobyt w Stambule...

Nic nie odpowiedziałam. Zamiast tego moje usta wypowiedziały bezgłośnie te wersy, które prześladowały mnie przez cały dzień:

*A gdy wreszcie dotrę, na twym grobie złożę
Bukiet ostrokrzewu i wrzosy kwitnące****.*

Victor Hugo poświęcił ten wiersz przedwcześnie zmarłej córce. Oliko wraz z wiekiem powróciła do swego dzieciństwa. Pożegnała się ze mną, zamieniła role,

a ja tego nie rozumiałam. Nie rozumiałam jej pożegnania. W ogóle niczego nie rozumiałam.

Gdy Rezo nieco później stanął w moich drzwiach z odkorkowaną butelką białego wina i zaproponował, żebyśmy spędzili ten wieczór razem na balkonie, powiedziałam mu, że popełniłam błąd, szukając jego bliskości i wykorzystując jego ciało do poczucia własnej wolności, że tak naprawdę mnie nie zna i że ja nic mu nie mogę dać, że jestem mu wdzięczna za wszystko, czego mnie nauczył i co mi umożliwił, ale że nigdy nie powinnam była przyjeżdżać do niego do Stambułu. Potem zatrzęsłam mu drzwi przed nosem.

* Tłum. Eliza Kasprzak-Kozikowska (przyp. red.).

** Tłum. Eliza Kasprzak-Kozikowska (przyp. red.).

*** Tłum. Eliza Kasprzak-Kozikowska (przyp. red.).

NASZA IMPREZA

Guga w szpitalu. To zdjęcie, którego nie znam. Dina musiała go tam pewnie odwiedzić. Jego zmalretowana twarz, opuchlizna, zniekształcenia, ślady przemocy, bandaże wokół głowy, gips. Tylko jego spojrzenie, przejrzyste jak woda oczy zdają się nienaruszone, niezmienione. W tych oczach wciąż tkwi takie samo zdumienie, z jakim zawsze patrzył na świat, ale wkrada się w nie odrobina konsternacji, jakby nie mógł zrozumieć, co go spotkało. Akurat w tym momencie, gdy po wielu latach starań zaczął przemieniać się w niepokonanego olbrzyma, pokonał swoje lęki i nauczył się nad nimi panować, przyłączył się do swego pozbawionego skrupułów brata, nareszcie mógł roić sobie, że kobieta, do której tak długo wzdychał, jest u jego boku, akurat właśnie teraz, gdy wydawało mu się, że stoi na szczycie, a jego brat, samozwańczy król, ma na swojej liście płac całe bataliony mężów stanu, lokalnych polityków, policjantów i pośredników i dzięki temu może bez przeszkód przemycać do kraju piekielne środki odurzające, po tym jak wszystkie przeszkody zostały przezwyciężone i nawet wszechwładny niegdyś wuj został pokonany – akurat w tym momencie został zmasakrowany na miazgę przez dwa zamaskowane szczury. Jego oczy lśnią i patrzą z lekkim zakłopotaniem w obiektyw, jak gdyby sam ponosił winę za swój oplakany stan. Jak gdyby nie sprostali oczekiwaniom tego cholernie twardego świata, jak gdyby jego twarde mięśnie były jedynie atrapami. W obiektywie Diny widać to, czego nie mógł ukryć.

Walczę z gulą w gardle, rozglądam się za Nene, intuicyjnie chcę ją ostrzec przed tym widokiem, ale zaraz tu będzie, rozpozna swojego brata, jego cierpienie znów po raz setny ożyje, będzie patrzyła mu w oczy, w jego zdziwione, dziecinne oczy, które do samego końca nie były w stanie pojąć, dlaczego świat nie jest dla niego łaskawszy.

Nene podchodzi i staje obok mnie przed ścianą zdjęć, słyszę, jak oddycha. Sala zaczyna pustoszeć, może niektórzy już sobie poszli, uciekli przed obrazami, które wymagają od człowieka zbyt wiele, szczególnie przed jakąś zaplanowaną kolacją w piękny ciepły majowy wieczór. A może zeszli już do ogrodów, gdzie odbywa się przyjęcie. Bezwiednie kieruję rękę w kierunku Nene i chwytam ją za ciepłą, lekko wilgotną dłoń. Patrzy na nasze splecione palce, na nasz niespodziewany pakt, i godzi się na to, nie cofa ręki. Zgromadzone tu zdjęcia opowiadają nasze dzieje, jesteśmy protagonistkami i obserwatorkami jednocześnie. Zaakceptowałyśmy swoją historię, stawiliśmy się przed zmarłymi, jesteśmy gotowe oddać im należny hołd.

– Był taki ładny – mówię.

To krępujące wypowiadać te słowa akurat przed tym zdjęciem, na którym jest tak zniekształcony, że prawie w ogóle nie przypomina siebie.

– Tak, był – odpowiada.

Wie, że patrzę na pięknego, lekko nieprzystającego do tego świata Gugę, jednego z najniewinniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałam w życiu, któremu świat nie wybaczył jego talentu do niewinności. Nie odwraca wzroku, stoi z podniesioną twarzą, patrzy w jego oczy, dzielnie znosi wspomnienia. Ściskam mocniej jej dłoń.

– Muszę zapalić – mówi nagle, uwalnia rękę z mojej dłoni i wybiega szybko na zewnątrz.

Idę za nią. Nie mogę zostawić jej samej. Łądujemy w zarośniętym zielenią ogrodzie, gdzie stoją porozstawiane białe stoliki barowe i pulpit didżeja. Kelnerzy biegają pospiesznie raz na górę, raz na dół. Nene wyjmuję z torebki cienkiego damskiego papierosa i zapala go. Wciąż pali w tak samo nerwowy sposób jak dawniej, jak gdyby do dziś bała się, że matka lub wuj wyjdą nagle zza rogu i ją przyłapią.

– Bałam się, że nie przyjdiesz – mówię i żałuję, że nie mam w ręku lampki wina.

– Dlaczego? – pyta już nieco spokojniej, pierwsze zaciągnięcie się papierosem najwyraźniej ją uspokoiło.

– Może z powodu Iry. A może też z mojego powodu.

– Nigdy cię źle nie oceniałam, Keto. Dobrze wiesz. W pewnym momencie po prostu zniknęłaś z mojego życia. Tak to jest – mówi, lekki sarkazm w jej głosie zdaje się naleciałością z dorosłego już życia i trochę mnie zasmuca.

– Wiem. Ale w pewnym momencie nie mogłam dłużej pośredniczyć, byłam rozdarta, a każdy kolejny krok byłby opowiedzeniem się po stronie jednej z was...

– I dlatego po prostu przymknęłaś na wszystko oczy i zniknęłaś. Czy to chciałaś mi powiedzieć? Tak, zawsze byłaś gołąbkim pokoju, który chciał, żeby wszystko było dobrze, prawda?

Zwalczam w sobie chęć powrotu do środka i odwrócenia się do niej plecami. Trudno mi nie czuć się urażoną. Jej broń jest ostra.

– Nie jesteśmy wyłącznie jednym albo wyłącznie drugim, prawda? – mówię.

Refleksja w jej spojrzeniu jest też dla mnie czymś nowym. Temperament, spontaniczność, drażliwość nagle jakby zostały wymazane z jej charakteru.

– Tak, jeśli o to chodzi, masz rację. To ty byłaś osobą, która utrzymywała równowagę, byłaś tą, która najbardziej o wszystkich się martwiła, łamała sobie głowę, za wszystkich czuła się odpowiedzialna. Wiem, jak było ci ciężko.

Spuszczam wzrok, nie mogę sobie teraz pozwolić na żaden sentymentalizm.

– Dziękuję – mówię cicho i patrzę na jej perfekcyjnie umalowane krwistoczerwone usta, w których tkwi elegancki cienki żarzący się papieros.

– To mi się wydaje takie bezsensowne, że tak długo byłam daleko od was – zagajam ostrożnie. – Nawet już nie pamiętam, dlaczego tak się stało...

– Ach, kilka powodów by się znalazło, żeby nie było.

Znów popada w ten swój cyniczny ton, znowu patrzy na mnie nieco szyderczo. Ciekawe, czy tak jak my choć odrobinę tęskniła za nami?

– Chciała cię ratować. Nie zapominaj o tym. Być może to był jej największy błąd.

– Mnie ratować? Co ty powiesz... Proszę cię, nie próbuj jej bronić, naprawdę, to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuję.

– Pomyśl o tym, ile dla niej znaczyłaś.

– Ona ma obsesję. Zawsze miała. To jest patologiczne i nie ma ze mną nic wspólnego – mówi. – Zniszczyła życie mnie i mojej rodzinie. Tu nie chodzi o miłość, to nie jest żadna troska. To jest wyłącznie jej ego, chodzi o to, że zawsze chce dopiąć swego i się wykazać, i zawsze chce mieć rację. Ale w życiu nie jest tak łatwo, nigdy, i ty powinnaś o tym wiedzieć najlepiej, prawda?

Patrzy na mnie prowokacyjnie, jej oczy iskrzą niebezpiecznie. Ma na myśli Ratiego i wiele punktów stycznych naszych biografii. I znów brakuje mi kontrargumentów.

– Nie sędzę, żeby tego chciała, myślę, że miała zupełnie inne zamiary – znów próbuję delikatnie wziąć stronę Iry.

Kręci zdecydowanie głową.

– Nigdy nie uda ci się mnie przekonać, że było inaczej. Nigdy nie zgodzę się na taką teorię. To był akt czystego egoizmu. Ma obsesję, tylko spójrz na nią. Stała się tym, kim chciała zostać, a kto to jest, widać gołym okiem.

Chcę jej zaprzeczyć, chcę, żeby zmieniła punkt widzenia i darowała sobie wściekłość, żebyśmy dotarły do sedna konfliktu, o którym nigdy nie mówiła, do którego nigdy się nie przyznała. Do źródła tej całej tragedii, która rozegrała się między tymi dwiema kobietami.

– Nazywaj to, jak chcesz, ale przecież wiedziałaś, przez te wszystkie lata doskonale wiedziałaś, co ona do ciebie czuje. – Mój głos staje się bardziej zdystansowany, widzę, że dawna, zablizniona uraza znów pęka.

– Tak, tylko że jej miłość była chora!

Wycofuję się, wyczuwa to, patrzy na mnie przepraszająco, lecz mówi dalej:

– Chora czy nie, to mnie do niczego nie zobowiązuje. Nic na to nie poradzę, że ma takie skłonności! Czy to cokolwiek usprawiedliwia? Że wmówiła sobie, że wie,

co byłoby dla mnie, co byłoby dla nas, lepsze? Komu to pomogło? Poza tym że przyniosło jej swego rodzaju sławę.

– Nie powinna była o niczym decydować za twoimi plecami, wtrącała się w nieswoje sprawy, to nie powinno było jej obchodzić. Nie kwestionuję tego, Nene, wtedy też tego nie robiłam. Mówię tylko, że powody jej działania były inne niż te, które jej zarzucasz. Jej nie chodziło wtedy o własne korzyści.

Oczywiście przypomniał mi się w tym momencie ponury, zdecydowany wzrok Iry, wtedy, na krótko przed wyjazdem do Ameryki. Wzrok, który oznajmiał decyzję powziętą po wysłuchaniu mojej spowiedzi...

Nene nie odpowiada. W milczeniu przyglądamy się przez chwilę ładnej kelnerce manewrującej zgrabnie kieliszkami.

– Jej uczucia od dawna były dla mnie pewnym wyzwaniem. Była dla mnie jak starsza siostra, której nigdy nie miałam. Oczywiście, że wyczuwałam, jak czasami na mnie patrzy. Nie jestem przecież ślepa. Tylko powiedz: co ty byś zrobiła na moim miejscu? Dina, owszem, Dinie starczyłoby odwagi i znalazłaby sposób, jak sobie z tym poradzić. Ale ja nie jestem Diną. W moim świecie to było po prostu coś, na co nie było nawet nazwy, coś, co nie wróżyło niczego dobrego. Bałam się ją odtrącić, nie chciałam jej sprawić przykrości, ale nie odwzajemniałam jej uczuć.

Jestem jej wdzięczna za te słowa, uśmiecham się do niej.

– Wiem, Nene – mówię cicho.

I przypomina mi się, jak wtedy, po moim powrocie ze Stambułu, wyszła do mnie z małym szarookim Luką na ręku, który wtedy jeszcze prawdopodobnie nie podjął decyzji co do koloru oczu, jeszcze nie wiedział, który kolor chce wybrać, po którym z rodziców. Jak bardzo byłam jej wtedy wdzięczna, że mnie potrzebuje, biegałam do niej prawie codziennie, żeby godzinami kołysać dziecko w ich wielkim pokoju przy otwartym oknie, przez które widać było, jak łagodna tbiliska wiosna wyciąga do nas ręce.

Luka był słodkim grubaskiem, spokojnym, uważnym i bacznie obserwującym niemowlakiem z dużymi oczami o niezdecydowanym kolorze, z gęstymi rzęsami

i kruczoczarnymi włosami. Patrząc na niego, nie można było nie pomyśleć o Sabie i jego w tak groteskowy sposób zakończonym życiu. Nene radziła sobie ze swoją rolą z imponującą cierpliwością. Macierzyństwo mimo braku snu, na który wciąż narzekała, pozwoliło jej odzyskać spokój. A pełna godności i spokoju duma, którą emanowała już w czasie ciąży, stała się nieodłącznym elementem jej charakteru. Zniknął pośpiech, a nieodparta potrzeba, żeby się podobać, także zeszła na dalszy plan. I mimo że nadal nosiła idealny makijaż i ekstrawaganckie ciuchy, jej dawny ekscentryczny wygląd nie był już tak wulgarny i nie miał w sobie nic prowokacyjnego.

Nene oraz jej duży, jasny pokój pachnący spokojem i mlekiem – to było dla mnie w pierwszych tygodniach po powrocie ze Stambułu schronienie i oaza jednocześnie. Wpadłam po uszy, z maleństwem na ręku zapomniałam o swoich problemach, o swoim niezadowoleniu. Wciągnęłam się w jej codzienność, wysłuchiwałam pełnych niepokoju uwag o ciągłym apetycie niemowlaka, jego kolkach albo zbyt płytkim śnie. Opowiadała o Gudze, jego świeżej miłości i o tym, jak jest szczęśliwy z Anną Tatiszwili. Opowiadała o niezwykle napiętej sytuacji między wujem a jej braćmi, o rozterkach Manany, które ją strasznie wykańczały. Zauważyłam, że z dumą mówi o swoich braciach, o tym, jak ją ochraniaли i pomogli wyjechać z kraju, jak bronili jej przed niezłomną wolą wuja i na jaką presję musieli być od tamtej pory narażeni. Skarżyła się, że Manana nie potrafi uznać dziecka za swojego wnuka i go pokochać. Wprawdzie wspierała córkę, gotowała jej i zaopatrywała we wszystko, tak że niczego jej nie brakowało, ale nie budowała żadnej więzi z dzieckiem. Gdy któregoś dnia Nina Jaszwili stanęła w drzwiach i chciała zobaczyć swojego wnuka, Manana wpadła w furję i zaczęła krzyczeć, że to dziecko Ottona, że co też jej przychodzi do głowy i jak śmie zjawiać się tu w progu mieszkania rodziny Koridze. Na to Nene wzięła Lukę na ręce, poszła w tajemnicy na ulicę Winorośli i zadzwoniła do drzwi Jaszwilich. Od tamtej pory regularnie odwiedzała swoich nieoficjalnych teściów i cieszyła się, ponieważ dziadkowie oszaleli na punkcie wnuka.

To było chyba w połowie maja, gdy w nocy zadzwonił telefon. Nene ryczała do słuchawki i nie mogła się uspokoić. Trwało dobrą chwilę, zanim zrozumiałam, co chciała mi powiedzieć. Dwaj mężczyźni napadli Gugę w drodze do domu, na ulicy Dzierżyńskiego, i brutalnie go pobili. Mieli ponoć na twarzach maski, bili go kolbami karabinów, powalili na ziemię, kopali buciorami, nie oszczędzając ani głowy, ani rąk, połamali mu kości. Dopiero o świcie zadzwonił ktoś ze szpitala i przekazał tę kluczową informację, że jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

Tej nocy Nene była naprawdę rozhisteryzowana, siedziałam przy niej i nie wiedziałam, o kogo powinnam bardziej się martwić: o nią czy o jej brata. Czułam, że to pobicie jest jakimś ostrzeżeniem, pytanie tylko, z czyjej strony, i modliłam się, żeby mój brat nie miał z tym nic wspólnego. Wkrótce potem ktoś zadzwonił do drzwi. Byłyśmy z Luką same. Miałam złe przeczucia, podeszłam do drzwi, żeby sprawdzić, kto to, ale na szczęście była to Dina. Od mojego powrotu w ogóle się nie widziałyśmy. Dzwoniłam do niej, odwiedzałam Likę, ale nigdy jej nie spotkałam, a ona też się do mnie nie odzywała. A teraz zupełnie niespodziewanie stała naprzeciwko mnie, a ja nie wiedziałam, co mam robić: czy obcałować ją na powitanie, czy zatrzaskać jej drzwi przed nosem. Miała aparat przewieszony przez ramię, włosy ścięte na krótko, była ubrana w postrzępione džinsy i żółty cienki T-shirt. Była rozpromieniona jak zawsze, żadna wojna nie była w stanie, jak się zdaje, stłumić na dobre jej nieokiełznanej energii.

– Idę prosto ze szpitala. Czuje się dobrze – powiedziała zamiast powitania i mijając mnie, weszła do mieszkania.

Potrzebowałam chwili, żeby dojść do siebie, stałam w drzwiach z trzęsącymi się kolanami. Potem siedziałyśmy w dużej kuchni pośród puszek z przyprawami, słoików z dżemem oraz różnych przyborów kuchennych i snułyśmy przypuszczenia na temat możliwych powodów brutalnej napaści na Gugę. Kto mógł za tym stać i jakie mogły być tego konsekwencje? Przez cały ten czas zastanawiałam się, czy Dina znowu spotyka się z Cotnem i czy używa aparatu, który od niego dostała. Przeklęłam go w duchu.

– Nie, to nie był Tapora. To by było za mocne. Obawiam się, że stoi za tym raczej twój brat – powiedziała Dina z kamiennym spojrzeniem w moją stronę i wyciągnęła z torby czerwone opakowanie papierosów Magna.

Nene trochę się uspokoiła i poszła do łazienki, żeby zmyć rozmazaną szminkę. Zostałyśmy same, siedząc twarzą w twarz. Luka spał spokojnie w łóżeczku.

– Byłam u was kilka razy, dzwoniłam też do ciebie, ale nigdy nie oddzwoniłaś – palnęłam.

– Przykro mi, dużo roboty.

– Unikasz mnie.

– Twoje stanowisko było jasne, wtedy w szpitalu.

– Dobrze wiesz, że to głupie. Byłam wtedy spanikowana, martwiłam się o ciebie...

– O mnie? Martwić to ty się martwiłaś o swojego brata. A mnie obciążałaś winą, już zapomniiałaś?

Poczułam, że łzy napływają mi do oczu. Robiła wrażenie niezwykle pewnej siebie i zuchwałej. Usiłowałam rozpoznać w jej twarzy jakieś oznaki, ślady wojny, dla mnie czegoś niepojętego. Ale niczego nie zauważyłam.

Nene wróciła, znów zaczęłyśmy rozmawiać o Gudze i prawdopodobnych straszliwych konsekwencjach tego ataku.

– Musimy dla bezpieczeństwa zaproponować swego rodzaju układ pokojowy. Podejść jakoś Taporę. Pewnie tego od nas oczekuje.

– Jaki układ pokojowy? – chciałam wiedzieć.

– Nie wiem. Moja matka cały czas błaga mnie na kolanach. Mówi, że jestem jedyną osobą, która może zmiękczyć jego serce. Jest bliska załamania. Coś wisi w powietrzu, a teraz jeszcze ta sprawa z Gugą... Prawdopodobnie Tapora chce, żebym wyszła za mąż. Chciał już tego od dawna. Podobno to jedyny sposób, żeby zachować twarz, a przecież o to tutaj zawsze chodzi, tylko o to.

– To by była perwersja – przerwała jej Dina. – Za nic w świecie nie możesz teraz wyjść za mąż za jakiegoś kompletnego idiotę.

– Witaj w moim życiu – powiedziała zrezygnowana Nene. – To raczej niemożliwe. Po prostu wyjdę znowu za mąż, wtedy moi bracia pozostaną, mam nadzieję, przy życiu.

Obie spojrzałyśmy na nią skonsternowane. Odebrało nam całkowicie mowę. Jak mogła brać w ogóle coś takiego pod uwagę?

– Tylko się zastanów: to niemożliwe, żeby za tym wszystkim stał Tapor! Niezależnie od tego, jak bardzo jest wściekły, nie może przecież kazać zabijać teraz swoich siostrzeńców – powiedziałam podniesionym głosem.

– W żadnym razie nie możesz pozwolić na to, żeby znowu zmusili cię do małżeństwa!

Obie spojrzałyśmy przerażone w stronę Diny.

– To całe gówno nie może się w kółko powtarzać.

Dina miała karcący, bezlitosny wzrok, to było coś nowego – a więc to tu nastąpiła zmiana, tu znajdowały się ślady ostatnich miesięcy, których szukałam.

– Dina ma rację, nie jesteś jagniątkiem, które dobrowolnie idzie na rzeź, gdy sprawy źle się mają, w nadziei, że Bóg ześle dobrą pogodę.

Nie potrafiłam zrozumieć, jak mogła w ogóle dopuścić do siebie tę autodestrukcyjną myśl. Po tym wszystkim, przez co musiała przejść. Ale nie powiedziała już nic więcej, temat był dla niej zakończony. Gdy Manana wróciła z kamienną twarzą ze szpitala, zostawiłyśmy matkę i córkę samym sobie i wyszłyśmy na ulicę.

Jeszcze na klatce schodowej Dina zapaliła papierosa. To był słoneczny, ciepły dzień, taki, który chciałoby się objąć i uściskać. Szłyśmy w kierunku placu Wolności. Nagle Dina zatrzymała się, odwróciła się w moją stronę i przytuliła mnie.

– Keto, tak bardzo za tobą tęskniłam! – wykrzyknęła i mocno mnie objęła.

– Ja też strasznie za tobą tęskniłam!

Wzięła moją dłoń i pociągnęła mnie za sobą, jak dawniej często bywało, niczym nieomylna przewodniczka po tym poplątanym i niejasnym życiu. Poczułam

ogromną ulgę, byłam szczęśliwa, byłam wdzięczna za jej impulsywność, za jej, no cóż, łaskę i za jej imponującą umiejętność gładkiego przechodzenia z jednego nastroju w drugi, jak kolejka wysokogórska, która spada z maksymalnej wysokości na dół, by za chwilę ponownie wznieść się do góry. Pojechałyśmy marszrutką do dzielnicy Wake i weszłyśmy do bloku, w którym unosił się zapach wilgoci i trutki na myszy. To był dawniej jakiś budynek publiczny – archiwum albo urząd, już nie pamiętam – a teraz bezużyteczny i opuszczony zdawał się popadać w ruinę. Na trzecim piętrze, na końcu ciemnego korytarza, Dina odryglowała wygłuszone, tapicerowane drzwi i weszłyśmy do częściowo zaciemnionego pokoju, w którym z kolei czuć było chemią i plastikiem. W pomieszczeniu obok znajdował się swego rodzaju magazyn na reflektory, leżało tam także kilka zrolowanych ekranów i stos parasoli fotograficznych.

– Pozner mi to zostawił, świetne, co nie? – oznajmiła z dumą, jakby chodziło o laboratorium fotograficzne wyposażone w najnowocześniejszą technikę, a nie o tę rudere.

– Wspaniale! – wykrzyknęłam z zachwytem, zachęcona jej radością.

Dla niej nie było istotne, jak to pomieszczenie wygląda, najważniejsze, że miała własny kąt, gdzie mogła oddawać się swojej pasji.

Resztę popołudnia spędziłyśmy, milcząc w ciemności. Przyglądałam się jej podczas pracy i czułam, jak z każdą sekundą powracam i zbliżam się coraz bardziej do rzeczywistości, do „teraz”. Ona przeżyła Abchazję, ja wróciłam ze Stambułu. Więcej nie trzeba. Byłam u jej boku i znów przekopywałam tunel do jej serca.

Właśnie tamtego dnia zobaczyłam po raz pierwszy zdjęcia, które zrobiła w tej wsi, w Achadarze, czarno-białe ujęcia wojny, których nie komentowała. I pośród tych zdjęć rozwieszonych na sznurze do prania odkryłam między innymi twarz rudzielca i zapało mi dech.

– Dina, spotkałaś go? I nic mi o tym nie powiedziałaś?

– Tak, ma na imię Gio – powiedziała prawie od niechcienia, gdy zobaczyła, że stoję przed jego fotografią. – Spotkaliśmy się przypadkiem. No i on też już wrócił,

jemu też udało się wyjść cało z tej wojny. Co ty ode mnie chcesz?

Czy ja czegoś od niej chciałam? Może jakiegoś wyjaśnienia? Właściwie dlaczego sądziłam, że jest mi to winna, że powinna opowiedzieć mi o przypadkowym spotkaniu z rudowłosym chłopakiem? Dlatego że ja też go uratowałam, ponieważ uważałam, że jest nam obu coś winien? W drodze do domu, mniej więcej na wysokości parku Mziuri, ogarnęło mnie tak głębokie zwątpienie, że stanęłam na środku drogi, usiadłam na chodniku i się rozpłakałam. Na szczęście o tej porze dnia ulica była niemal całkowicie pusta, mimo ładnej pogody prawie w ogóle nie było ludzi. Przysiadła się do mnie.

– Chcesz go poznać? Jest miły. Studiuje inżynierię czy coś w tym rodzaju. W każdym razie myślę, Keto, że będzie lepiej, jeśli trochę odpuścisz. Robisz błąd, ciągle wracając do przeszłości. A poza tym, jeśli chcesz wiedzieć, to tak, owszem, ja też zadaję sobie pytanie, co by było gdyby. Tylko że w końcu okazuje się, że to są bezsensowne pytania, które nikomu nie służą. Po prostu wtedy podjęłyśmy taką, a nie inną decyzję.

– To była twoja decyzja, Dina. Twoja.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ja go wtedy tam zostawiłam leżącego na ziemi. Pozwoliłabym mu umrzeć.

Znów zapaliła papierosa i mnie objęła. Położyłam głowę na jej ramieniu.

– Ty też byś wróciła, znam cię. Może nieco później, może dopiero wtedy, gdy byłybyśmy już za rzeką, ale wróciłybyś.

– Nie zrobiłam tego. Pobiełam dalej.

– Tak czy owak nie zostawiłyśmy go tam. Przeżył. Poszedł wtedy tylko do towarzystwa z kolegą, który chciał poprosić o przedłużenie terminu spłaty jakiegoś hazardowego długu. I z tej wojny też się wywinął. Miewa się dobrze, żyje. I tylko to się liczy. Nikomu nie pomożesz swoimi wątpliwościami i samooskarżeniami. Skończ z tym – dodała prawie błagalnym tonem.

Jak dobrze było znów czuć jej opiekuńcze ramię, które mnie otula. Właściwie zawsze miałam wrażenie, że moim prawdziwym przeznaczeniem jest żyć w jej

cieniu, jakbym była ceniolubną rośliną, która tylko w takich warunkach rozkwita.

– Dlaczego pojechałaś do Abchazji? Nie bałaś się, że zginiesz? – To pytanie niezmiennie paliło mnie od środka.

Milczała przez chwilę, zaciągnęła się papierosem, wypuściła kłęb dymu, a potem powiedziała spokojnie:

– Czułam się tam potrzebna.

To zdanie mnie przeraziło, ale pozostawiłam je bez komentarza. Musiałam je zaakceptować, musiałam nauczyć się żyć z jej bólem.

– Chciałabym, żebyś mnie sfotografowała.

To był pierwszy i ostatni raz, gdy ją o to poprosiłam. Z nagłej i palącej potrzeby, żeby się przed nią otworzyć, pokazać jej wszystkie swoje lęki. Musiała zrozumieć, że ja odczuwałam nie mniejszy ból niż ona. Chciałam, żeby zobaczyła, co próbowałam ukryć przed wszystkimi i że nie jestem osobą, przed którą musi się zamykać. Że wciąż jestem gotowa dzielić z nią wszystko: wewnętrzną i zewnętrzną wojnę.

– To dziwne, wydawało mi się, że tego nienawidzisz – powiedziała. – Ale dobrze, zrobmy to, nawet bardzo chętnie. Zapytam Poznera, czy możemy skorzystać z jego atelier, albo zrobimy to jutro gdzieś na zewnątrz, w świetle.

– Teraz.

– Jak teraz?

– Zrobmy to teraz.

– Teraz jest za ciemno, a poza tym jestem bardzo zmęczona.

– Proszę.

Coś w moich oczach musiało jej uświadomić, że mówię poważnie. Zwlekała jeszcze przez chwilę, aż w końcu wstała, stękając.

– Dobrze. Daj mi chwilę, muszę się zastanowić. Ale ostrzegam, nic z tego nie będzie, teraz nie wyjdą dobre zdjęcia.

– Mimo to spróbujmy. Wróćmy do twojego atelier. Masz tam reflektory.

– Keto, daj spokój, to nie jest ładne miejsce.

– Proszę, zaufaj mi.

Dała za wygraną. Powlekliśmy się w kierunku parku Wake. Po drodze zauważyłam jakiś otwarty kiosk i za pieniądze, które zostały mi jeszcze ze Stambułu, kupiłam parę butelek lemoniady i butelkę wódki po znacznie zawyżonej cenie. Małą kieszonkową latarką oświetliliśmy sobie drogę przez ciemny korytarz, potem odryglowała tapicerowane drzwi i znów znaleźliśmy się tam, gdzie kilka godzin temu wywoływała swoje zdjęcia. W pomieszczeniu obok zapaliła gołą żarówkę.

– Cudowne w tym budynku jest to, że tu prawie zawsze jest prąd. Podłączyli się nielegalnie do jakiejś rządowej instalacji, dlatego Pozner urządził sobie tutaj kiedyś siedzibę.

W kącie zauważyłam magnetofon kasetowy i od razu go włączyłam. Z taśmy popłynął jakiś bluesowy damski głos, Dina lubiła ciemne dźwięki, zdarty, podniszczony głos.

– Czuj się jak u siebie w domu, ustawię tu trochę światła. Ale nie mów mi później, że cię nie ostrzegałam, tylko się rozejrzyj...

Wypiłam duży łyk wódki prosto z butelki i podeszłam do okna zasłoniętego jakimś poplamionym materiałem. Chciała mi zaoferować coś wyjątkowego, skoro już zdecydowałam się stanąć przed jej obiektywem, ale ja czułam się tam na właściwym miejscu, to był właściwy moment. Moje życzenie było kruche i jutro mogłoby się rozpuścić w powietrzu. Popijałam, dodając sobie animuszu. Ona także zrobiła w międzyczasie kilka łyków, zaczęliśmy się lekko kołysać do aksamitnego i nieco wulgarnego bluesowego głosu. Dinie udało się w końcu zamontować na statywach dwa małe reflektory i usiadła na podłodze z aparatem na kolanach, gotowa do pracy. Dalej popijałyśmy z jednej butelki i słuchałyśmy muzyki. Pamiętam, że miałam wtedy na sobie kupiony w Stambule lniany komplet ze spodniami, który zaczęłam z siebie zdejmować. Patrzyła na mnie zdziwiona. Uważała dotąd, że jestem pruderyjna, i nierzadko podśmiewała się ze mnie z tego powodu.

– Keto, co to ma być? Czyżbym o czymś nie wiedziała? – powiedziała, uśmiechając się od ucha do ucha, i wykrzywiła twarz, wypiwszy łyk ciepłej wódki.

– Po prostu chcę, żebyś na mnie popatrzyła.

Odwróciłam się do niej plecami, położyłam spodnie na zakurzonej podłodze, upuściłam koszulę z krótkim rękawem, rozpięłam stanik, zdjęłam majtki i powoli zaczęłam odwracać się do niej przodem, pokazałam jej swoje ciało, moje pokryte bliznami uda, swój cały krajobraz zwątpienia.

– Keto... – wyszeptała tylko. Przyłożyła rękę do ust i wpatrywała się w moje blizny, jakby chciała zapamiętać każdą z nich z osobna. Nie odwróciła wzroku, nigdy nie odwracała wzroku. – Dlaczego? – To było jedyne pytanie, jakie mi zadała.

– Myślę, że wiesz dlaczego – odpowiedziałam i sięgnęłam po butelkę. – No, dawaj, rób szybko zdjęcie, bo zaraz się rozmyślę.

Wcisnęła wyzwalacz, chcąc udokumentować moją porażkę w całej okazałości. A ja zaczęłam się rozpląwać: w muzyce, w gorzkiej wódce, w jej twardej, wiele ode mnie wymagającej, a jednak jedynie słusznej miłości.

Później, znacznie później, dowiedziałam się, jak zatytułowała to zdjęcie. Ten tytuł to dla mnie policzek, tak jak zdjęcie z zoo. *Nasza impreza* – tak nazwała nasz rytuał wypędzania demonów. I na swój ponury, makabryczny sposób miała rację, że tak zatytułowała to zdjęcie, na którym widać, jak tańczę nago w bezlitosnym świetle ze swoimi znakami ostrzegawczymi pokrywającymi gęsto moje uda. Tak, imprezowałyśmy, to była prawdziwa impreza, oszałamiające święto zniszczenia i wyzwolenia. Jakie to szczęście wypędzić z siebie ostatnią nadzieję – a któż, jeśli nie ta czarodziejka, mógłby lepiej dzielić ze mną to szczęście?

Otrząsam się, mijam jakąś kobietę, Gruzinkę, w każdym razie rozmawia po gruzińsku z pewnym przysadzystym mężczyzną. Padają takie słowa jak „straszne” i „tragiczne”, jestem pewna, że rozmawiają na temat zdjęcia przedstawiającego moją porażkę, o wpisanych w moje ciało polach walki, które przed chwilą podziwiali w sali wystawowej. Nie chcę tego słuchać, nie interesują mnie żadne

oceny, nie obchodzi mnie to. Szukam Iry, potrzebuję teraz jej pewności siebie, jej wyrazistości. Nagle czuję ten znajomy i kochany zapach bzu. Ten zapach katapultuje mnie w ciągu kilku sekund na nasze podwórko, na galerię, na którą wyszłam kilka dni po powrocie ze Stambułu podczas krótkiej chwili wytchnienia, jaką zapewniła nam wspaniała wiosna tuż przed kolejną katastrofą. Wdychałam ten intensywny zapach, który przyprawił mnie na moment o zawrót głowy, zaczęłam się rozglądać, ale wciąż nie mogłam zrozumieć, skąd pochodzi, znad jakiego morza kwiatów napływa, ale już po chwili zauważyłam, że wszędzie leżą porozkładane gałązki bzu. Któż to miał je przygarnąć i dać im wody? Nigdy nie mieliśmy wystarczającej liczby wazonów, pomyślałam, poza tym zawstydziłam się na myśl, że będę musiała objąć je wszystkie i zanieść do domu. Wtedy minęło zaledwie kilka tygodni od śmierci Oliko, tak strasznie mi jej brakowało, nie powinnam była kąpać się w tym morzu przyjemności. Kilka chwil potem usłyszałam kroki i zobaczyłam go, jak wchodzi po kręconych schodach, cały uśmiechnięty, z długimi lokami, ze swoją beztroską w oczach, i serce zaczęło mi kołatać.

– Podobają ci się? – spytał i zatrzymał się na ostatnim stopniu.

– Tak, są przepiękne – odpowiedziałam ledwo słyszalnym głosem.

– Witaj z powrotem – powiedział, a ja poczułam się winna z powodu tego, co robiłam z ciałem Reza, i z powodu tego, co kiedyś pragnęłam móc zrobić z jego ciałem.

– Dziękuję.

– Pomogę ci je wstawić do wazonu – powiedział i wszedł na galerię.

– Ale mój brat...

– Wszystko jedno. To wszystko jedno. Twój brat będzie musiał się z tym pogodzić – powiedział i uśmiechnął się.

Wydawało mi się, że za chwilę zemdleję z poczucia ulgi.

Zebraлиśmy kwiaty i wnieśliśmy je do mieszkania. Pomyślałam wtedy, że teraz wszystko już będzie dobrze, że on wrócił, ten mężczyzna, który tą feerią liliowych fajerwerków złożył mi wreszcie u stóp swoją miłość.

Wszystko to dzieje się teraz, w tej chwili wnoszę z nim ten przyprawiający o zawrót głowy bukiet obietnic do domu, śmieję się razem z nim, jednocześnie odwracam się plecami do ściany ze zdjęciem swojego pokrytego bliznami ciała, i obejmuję własną samotność.

Gdy Ira zadzwoniła do mnie, było już późno. Nie mogłam już nic zrobić i nacięłam sobie tamtej nocy kolejne bruzdy na skórze. Nene znów dała się poprowadzić na rzeź. Zgodziła się wyjść za mąż za biznesowego wspólnika swojego wuja.

Nigdy nie zidentyfikowano zamaskowanych mężczyzn, którzy pobili Gugę, ale wszyscy w rodzinie zdawali się potajemnie potwierdzać teorię Nene: to był strzał ostrzegawczy. Manana na klęczkach błagała swoje dzieci, by ułożyły się jakoś ze swoim wujem, w przeciwnym razie kolejne kłopoty będą nieuniknione. Cotne, któremu zaczęły coraz obficiej napływać pieniądze z nowo otwartych źródeł, nie chciał nawet o tym słyszeć. To zrozumiałe, że przez to, co przytrafiło się Gudze, Cotne znienawidził Taporę jeszcze bardziej. W związku z tym Manana naciskała na Nene, żeby wzięła na siebie rolę rozjemczyni i nie sprzeciwiała się wujowi.

W tym czasie zdrowie Manany pogarszało się z dnia na dzień, coraz częściej i z coraz większą intensywnością dopadała ją migrena, nie była w stanie sprostać codziennym obowiązkom. Nene musiała zajmować się nie tylko swoim dzieckiem, lecz także matką, która nie mogła już opuszczać swojego zaciemnionego pokoju. Gdy w czerwcu zdiagnozowano u Manany zakrzep krwi, który na szczęście udało się w porę usunąć, Nene odebrała to jako znak. Usiadła na brzegu łóżka swojej matki i zapytała, co ma robić.

Ktoś walił do drzwi. Tylko nieliczni wiedzieli o tym miejscu. Dina przestraszyła się, zamknęła ciemnię i przechodząc przez magazyn, podeszła do drzwi wychodzących na ciemny korytarz.

– Kto tam?

– To ja, Cotne.

Jego głos zapowiadał nieszczęście. Zdziwiła się, jak udało mu się ją znaleźć, ale on wiedział o wszystkim, to oczywiste, że wiedział wszystko, co musiał o niej wiedzieć. Otworzyła gwałtownie drzwi. Miał zaczerwienione oczy. Zadała sobie pytanie, czy kiedykolwiek widziała go, jak płacze, i przypomniała sobie spotkanie w samochodzie, gdy podarował jej ten przesadnie drogi pierścionek z diamentem, wtedy zobaczyła błysk jego załzawionych oczu. Tym razem rzucił się jej po prostu w ramiona.

– Wszystko na próżno, ona naprawdę to zrobi, nie da się z nią w ogóle gadać, ciągle tylko powtarza, że musi to zrobić dla nas wszystkich. A ode mnie Tapora wymaga, żebym wyrzekł się rodziny. Dopiero wtedy da mi spokój. Przestałem być dla niego bratankiem. A Nene... kurwa, co ja mam robić, kropnąć własnego wuja?

Popatrzyła na niego i zrozumiała, że bitwa została przegrana. Pozwoliła mu na tę słabość, podtrzymywała go, dała ujść jego zwątpieniu.

Nie wiem, jak długo tak stali. W końcu wyzwoliła się z objęć, chwyciła bez słowa za metalową sztangę, której używała do podtrzymywania ekranu, wyszła na korytarz, oświetlony światłem z magazynu, i zaczęła uderzać w ściany, w drzwi pustych pomieszczeń biurowych, w stare szafy na akta i stoły, rozbijała wszystko, co napotkała na drodze. On zaczął robić to samo, nawet nie próbował powstrzymać jej furii. Gdy skończyła, wziął ją ostrożnie na ręce i zaniósł do magazynu, w którym nie tak dawno fotografowała swoją bezsilność. Potem ją pocałował, czule, jakby to był ostatni pocałunek, który udało mu się jeszcze wydrzeć śmierci.

Kote Bukia. Tak, to krótkie i niewinnie brzmiące imię i nazwisko pojawia się nagle w mojej pamięci. Ile to już czasu nawet o nim nie pomyślałam. Widziałam go zaledwie kilka razy, a jednak wciąż jest obecny. Był współnikiem Tapory w Moskwie, osiemnaście lat starszym od Nene, działał w branży materiałów budowlanych, a może miał fabrykę granitu? Pewne jest w każdym razie, że swój kapitał początkowy otrzymał dzięki Taporze i z powodu – a może pomimo – sukcesu czuł się wobec niego zobowiązany. Kote rozwiódł się, ponieważ, jak się mówiło, jego żona nie mogła mieć dzieci, a on nie pragnął niczego bardziej niż

potomstwa. Mam go teraz przed oczyma, wypacykowany i oślizgły jak węgorz, prototyp kapitalistycznego karierowicza, który w tamtych czasach we wschodniej strefie był jeszcze rzadkością, taki rodzaj biznesmena, którego z jednej strony można było podziwiać, ponieważ miał na tyle sprytu, żeby rozpoznać początek nowej ery i przejście do gospodarki rynkowej potrafił mądrze i umiejętnie wykorzystać do własnych celów, z drugiej jednak strony ze względu na te same właściwości patrzyło się na niego podejrzliwie i z pogardą. Kote Bukia mógł równie dobrze być niepozornym agentem ubezpieczeniowym, schludny mężczyzna z lekką łysiną i zatroskanym wyrazem twarzy, gdyby tylko nie ten zapach drogich perfum, ciężki zegarek na nadgarstku i garnitur szyty na miarę. A mimo to nie można było pozbyć się wrażenia, że jego elegancki sposób bycia jest tylko doskonale wytrenowany na pokaz. Gdy został mi przedstawiony, musiałam się powstrzymać, żeby nie parsknąć śmiechem, ponieważ widok tego mdłego faceta ulepionego z typowych atrybutów bogactwa, stojącego u boku ekscentrycznej i buzującej namiętności Nene, wydał mi się potwornie absurdalny – to jakby postawić chomika obok tygrysa.

Manana zaprosiła nas na nieoficjalną uroczystość zaręczynową. W najbliższych dniach przyszła młoda para miała lecieć do Moskwy. Cote trzymał się od tej uroczystości z daleka. Guga dwoił się i troił, próbując w mało przekonujący sposób odgrywać rolę pośrednika między nowym narzeczonym siostry a bratem, którego wiernym towarzyszem chciał pozostać. Nene jak zwykle chowała się za maską bez troski. Ileż musiała mieć w sobie siły, zawsze mnie to zdumiewało. Kote zdawał się przychylnie usposobiony do Luki, ciągle go głaskał, jak gdyby, myśląc przyszłościowo, chciał zademonstrować swoją miłość do dzieci. Od rozwlekłych i niekończących się toastów Tapory na cześć nowej pary robiło mi się niedobrze. To była obłudna ostatnia wieczerza przed egzekucją, a my byliśmy jej marnymi aktorami.

„ZNIECZUL MNIE”

Wracam do sali, nie zauważając, że Nene idzie za mną i staje obok. Pachnie morelami i młodością, zadaję sobie pytanie, jak to możliwe. Z trudem powstrzymuję się, żeby jej nie dotknąć. Jestem już lekko wstawiona i robię się sentymentalna, powinnam obchodzić szerokim łukiem kelnerów, którzy się tu kręcą i tak hojnie oferują mi trunki. Nene korzysta ze swego przywileju i popija małymi łykami wódkę z martini z dużą ilością cytryny, tak jak lubi. Zwykli śmiertelnicy piją wino, natomiast madame Koridze cieszy się swoją szczególną pozycją nawet tutaj. Ciekawe, na co ten młody kelner liczy? A jeszcze bardziej chciałabym wiedzieć, czy jego zaloty zakończą się dzisiejszego wieczoru sukcesem? Bawi mnie ten nierówny, bezsłowny związek, w który tych dwoje weszło zaledwie na parę godzin – z trudnym do przewidzenia skutkiem. Ale przecież Nene zamierza ponownie wyjść za mąż, Nene jest zakochana, chce jeszcze raz się przekonać, czym jest miłość, nigdy nie spocznie, nie przestanie szukać. Denerwuje mnie ta jej naiwność. Już dawno powinna była ją przewyciężyć, dostrzec jej śmieszność, zadać jej kłam własnym życiem. Ale Nene chce na siłę pielęgnować w sobie dziewczynkę, którą kiedyś była, zachować ten kawałek dzieciństwa, który przypomina jej o dawnym nieskalanym szczęściu. Nawet w wieku osiemdziesięciu lat będzie pachniała morelami i młodością, podczas gdy my obie, Ira i ja, już od dawna będziemy zgrzybiałymi, zasuszonymi staruszkami, które odrzucają wszelką łagodność i rozkoszują się właściwą dla swojego wieku bezpardonowością. Mimo to kocham ją za to, wszyscy ją za to kochamy, zawsze ją kochaliśmy, choć jednocześnie kręcimy z niedowierzaniem głową. Tak jak ja tego wieczoru, podczas którego flirtuje z co najmniej o dwadzieścia lat młodszym kelnerem. Do jej kolejnego wesela może się jeszcze wiele wydarzyć, całe życie można jeszcze

przepuścić przez maszynkę do mięsa, czasy znów mogą się nagle zmienić – ktoś, jeśli nie ona, powinien to wiedzieć lepiej?

Nene i ja stoimy pod jedną ze ścian i patrzymy na autoportret Diny. Nie lubię tego zdjęcia. Wydaje mi się zbyt brutalne, takie ordynarne, nawet nie wiem, jakim słowem najlepiej opisać uczucie, które towarzyszy mi podczas oglądania tej fotografii. Jak ja nienawidziłam tego okresu, pierwszych miesięcy, które Nene spędziła w Moskwie. Właściwie nie jestem pewna, czy to zdjęcie zostało zrobione właśnie wtedy.

Patrzymy na nie, a także na kolejny mylący tytuł. Dina stoi na nim rozebrana do połowy. Tylko nieliczni rozumieją sens, jaki kryje się za tą zaskakującą kompozycją i za jej tytułem. Ale ja rozumiem go aż nadto: ten obraz to jeden wielki zarzut, a tytuł to jej ostatnia wola skierowana do mnie. I muszę przyznać, że przez te wszystkie lata po śmierci Diny realizowałam owo wezwanie niemalże po mistrzowsku.

Ira dołącza do nas i natychmiast wyczuwam jakieś napięcie, natychmiast wkrada się jakieś wewnętrzne rozdarcie. Czuję presję, że muszę się zdecydować na jedną z nich.

– Okropne zdjęcie – mówi Ira, jakby odgadując nasze myśli, i teraz oczekuję kąśliwego komentarza Nene.

– Nienawidzi siebie i nienawidzi nas, tych, które oglądają teraz to zdjęcie – podsumowuje Nene, a ja widzę, że stojąca obok mnie Ira oddycha w tym momencie z ulgą, widzę, jak drgają jej kąciki ust, jak nabiera głęboko powietrza, jakby po raz pierwszy mogła porządnie odetchnąć.

– No tak, bo nikt jej nie pomaga, bo wszyscy akceptują to, co się wydarzyło, zanim powstało to zdjęcie – uzupełniam.

– A czy to nie było po tamtej koszmarnej imprezie? – pyta Nene.

– Ja chyba byłam wtedy jeszcze w Pensylwanii, prawda? – upewnia się Ira.

– Tak, jedno i drugie się zgadza.

Kto jak kto, ale ja muszę to wiedzieć, jestem kartografką, prowadzę dziennik pokładowy, muszę pamiętać o wszystkim za całą naszą trójkę, urządziłam w swojej głowie archiwum, w którym każde świadectwo czasu leży gotowe do wzięcia. To jest chyba jakaś kara, którą nałożyłam sama na siebie. Żadna katastrofa, żadna tragedia nie została wymazana z mojej pamięci, żadne załamanie nie popadło w zapomnienie.

Ira i Nene spoglądają na siebie. Z mojego powodu, ze względu na moją rolę w tej bezimiennej konstelacji, w jakiej ustawiły nas przeszłość i prezentowane tu zdjęcia, sprzymierzają się ze sobą na moment i uśmiechają pod nosem, jakby chciały powiedzieć: no tak, pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– Czy to nie po tej imprezie rozstałaś się z Lewanem? – chce wiedzieć Nene.

– Pytanie, które rozstanie masz na myśli – komentuje nieco zjadliwie Ira, a gdy Nene spogląda na nią karcąco, dodaje: – No co? Przecież tak było. Ile razy Keto mi pisała: „Nie, teraz to już koniec, to już naprawdę koniec, to nie ma sensu”, żeby zaraz w następnym liście znów wygłaszać peany na jego cześć.

Uśmiecha się wyniośle, a Nene kręci głową, ale jest to raczej teatralny gest, echo dawnych dni, jak wtedy, gdy z lubością oburzała się na Irę.

– Niezupełnie, muszę sprostować te fakty...

– Powiedziałabym raczej, że to był początek końca.

– Pewnie tamtej nocy zabiłaby tego bydlaka, gdyby nie...

Obie słuchają mnie uważnie. Dina patrzy na nas z wielkoformatowego zdjęcia, na jej nagich, ciężkich piersiach widać napis „Znieczył mnie” narysowany kredką do oczu. Wpatruje się w nas tą swoją pokiereszowaną twarzą, z ogromną wściekłością w oczach, ogromną konsternacją i jednocześnie ogromną siłą, że aż człowiekowi robi się dziwnie. W lewej ręce trzyma nogę od krzesła, brzuch przykrywa jej jakiś kawałek materiału przywodzący na myśl gruzińską flagę. W tle wisi na ścianie obramowany wycinek z gazety, na którym widać w zarysie parę młodych ludzi w tradycyjnych strojach wykonujących klasyczny taniec gruziński, on ubrany na czarno, ona na biało, ona sunie przed nim, jakby unosząc się lekko tuż

nad ziemią, on za nią, z wyciągniętą ręką, niejako ją chroniąc. Czytam w kółko słowa wypisane na jej piersiach z bladymi brodawkami. I myślę o jej pieśni żałobnej, którą skierowała do mnie na nieoświetlonej drodze do domu.

Podchodzi do nas para starszych ludzi w nienarzucających się, ale drogich ubraniach oraz obłoku szlachetnych perfum. Ona jest Gruzinką i zwraca się bezpośrednio do nas, ale jej gruziński nabrał już obcego akcentu, słychać francuską naleciałość. Wita każdą z nas, zwracając się do nas po imieniu, jakby była starą znajomą. Potem przedstawia nam swojego belgijskiego małżonka. Są kolekcjonerami, posiadają już kilka „Pirwelich”, jak mówi. Mam ochotę splunąć jej w twarz, ponieważ dla niej te zdjęcia to jedynie lokata kapitału, a dla nas to namacalny dowód naszego poturbowanego życia. Trajkocze coś o tym nieszczęsnym zdjęciu, opowiada o wyraźnie widocznym feministycznym podejściu, a ja myślę sobie: tak, Dina miała feministyczne podejście, tamtego wieczoru zresztą szczególnie, a jej feministyczne podejście, ta teoretyczna nadbudowa, to scyzoryk i noga od krzesła. Ale wątpię, by ta kobieta potrafiła to właściwie zrozumieć, więc milczę i tylko udaję, że jej słucham. Jej mąż przyłącza się do rozmowy, używając dyplomatycznej angielszczyzny, i powtarza kilka razy, że to coś nadzwyczajnego móc spotkać tutaj całą naszą trójkę. Zastanawiam się, czy my też w jego oczach nadajemy się na obiekt inwestycyjny, czy my też – w oryginale lub tylko w formie czarno-białej – mogłybyśmy posłużyć za dzieła sztuki, może jako żywe instalacje. W pewnym momencie zwraca się do mnie i mówi z wyniosłym uśmiechem:

– Bardzo lubię to zdjęcie z panią, to z bliznami. To jest naprawdę genialne dzieło sztuki.

– Ja go nie lubię. I szczerze mówiąc, uważam że to zdjęcie jest do dupy.

Nie wiem, co teraz wyraża jego twarz. Odwracam się do niego plecami.

Nastała lipcowa spiekota i bez wahania oddałam się, wygłodniała, swemu karkołomnemu wakacyjnemu szczęściu, którego zapowiedź nadeszła już nieco wcześniej, wraz z morzem bzu. Lewan był nie do poznania. Po tym, jak przyznał

się memu bratu, że się ze mną spotyka, Rati postanowił trzymać go za karę z dala od swoich interesów i w ogóle z nim nie rozmawiał, ale ta sytuacja, podobnie jak fakt, że wciąż nie może znaleźć Ottona, zdawały się nie za bardzo go martwić.

Wygłupiał się, zachowywał jak dziecko, ciągle był skory do żartów, jeździliśmy jego samochodem przez spływające potem miasto, słuchaliśmy głośnej muzyki, całowaliśmy się bez opamiętania na każdym skrzyżowaniu, jeździliśmy nad okoliczne jeziora i korzystaliśmy z każdej okazji, żeby być razem. Nie rozmawialiśmy już o przeszłości i przysięgaliśmy sobie miłość, zawarliśmy z nią pewien pakt. Gdy go odwiedzałam, zaszywaliśmy się w jego pokoju, zamykaliśmy drzwi i wtedy grał mi coś na swoim duduku, za każdym razem, gdy to robił, zakochiwałam się w nim od nowa. Oboje byliśmy dziećmi lata, które wciąż, nieustająco, mają coś do nadrobienia. Często podkreślał, że mój wyjazd mocno nim wstrząsnął, że oprzytomniał, a moja nieobecność pokazała mu wyraźnie, co może stracić.

Bardzo mi to odpowiadało, wszystko mi odpowiadało, poza tym jednym – że narzucał naszym ciałom obcy mi język, którego nie rozumiałam. Przywoływał moje ręce do porządku, powstrzymywał mnie przed utratą kontroli, przed zapomnieniem, nie pozwalał, żebym to ja nadawała rytm naszym gorącym wakacyjnym chwilom, nie dopuszczał do odkrywania nowych kontynentów. Pewne sprawy podlegały niepisanemu tabu, określone gesty lub określone preferencje uznawał za dopuszczalne, inne zaś uchodziły za coś nie do pomyślenia. Peszyły mnie te reguły, których dobrze nie znałam i przeciwko którym buntowało się moje ciało, ponieważ ograniczały mnie i obrażały. Ze strachu, że mogłabym zrobić coś nie tak, nie miałam wręcz odwagi okazywać pożądania, zdradzać swoich pragnień i ciągle tylko czekałam na sygnał od niego, by potem odpowiednio zareagować. Inne wyzwanie tego lata stanowiło ukrywanie blizn. Byłam opętana tą myślą. Teraz, gdy wszystko się naprawiło, sprawy zaczęły się jakby układać, nie mogłam narażać tego delikatnego szczęścia na niebezpieczeństwo. Moje autodestrukcyjne skłonności były czymś, co nie pasowało do tych błogich chwil, czymś, co mogłoby

wystawić naszą miłość na próbę, a ja, w przeciwieństwie do Diny i Reza, nie czułam się gotowa, będąc u jego boku, podejmować takiego ryzyka.

Moje dziwactwo, żeby nigdy całkowicie się nie rozbierać, przypisywał dziewczęcej nieśmiałości. I nawet jeśli jakaś cząstka mnie miała nadzieję, że zechce jednak głębiej spojrzeć w moje otchłanie, on zadowalał się tym, co jest, i tylko drażnił się ze mną z tego powodu. Wtedy jeszcze nie rozumiałam, że dziewczyna, która się go wstydzi, po prostu pasuje do jego świata. Ale ja tam nie pasowałam i im częściej spędzaliśmy czas ze sobą i im bardziej próbowałam wślizgnąć się do tego świata tylnymi drzwiami, tym bardziej alarmujące stawały się różnice między nami.

Podczas imprezy urodzinowej w Bakuriani, na którą pojechałam razem z nim i Diną, uświadomiłam sobie z tragiczną w skutkach wyrazistością: nasz związek przez cały czas stał na glinianych nogach, już dawno powinnam była właściwie odczytać sygnały ostrzegawcze, że prędzej czy później nasza relacja zacznie się chwiać.

Impreza przebiegała w pogodnym nastroju, wszyscy bawili się doskonale. Wyruszyliśmy w góry na kilka samochodów. Jubilat był wspólnym znajomym Ratiego i Lewana, ale ja i Lewan zdecydowaliśmy się tam pojechać dopiero wtedy, gdy okazało się, że Rati nie będzie mógł się wybrać z powodów biznesowych. Dina miała w ten weekend akurat wolne i potwierdziła swój udział, co bardzo mnie ucieszyło, ponieważ w tym czasie cierpiała z powodu strasznej huśtawki nastrojów, za którą nie zawsze nadążałam i której nie potrafiłam do niczego przyporządkować. Raz była zdołowana, apatyczna i chodziła jak śnięta, a kiedy indziej tryskała energią, wciąż wymyślała coś nowego i zalewała mnie swoją miłością i czułością. Tego wieczoru zdawała się mieć zwyżkę nastroju. Od kiedy do uszu Lewana dotarły plotki, że Dina zadaje się z Cotnem, odnosił się do niej z pewnym dystansem. Gdy był ze mną, starał się unikać tego tematu.

Ucieczka od tbiliskiej spiekoty była dobrodziejstwem, świeże górskie powietrze wprowadziło nas w stan euforii, na szerokim tarasie rozstawiono stoły, w ogrodzie stał

grill, a pod wieczór zapalono lampy naftowe. Kilku kolegów grało na gitarach i śpiewało gruzińskie piosenki. Przytuliłam się do Lewana i cieszyłam się normalnością, cieszyłam się, że mogę tu być z nim jako jego oficjalna dziewczyna, delektowałam się każdym jego drobnym czułym gestem.

Jak można było się tego spodziewać, Dina znajdowała się tego wieczoru w centrum zainteresowania. Z tym że inaczej niż Nene, która natychmiast ściągала na siebie męskie spojrzenia, gdy tylko przekroczyła próg pokoju, Dina była człowiekiem, który nierzadko wprawiał ludzi w osłupienie. Jednak ci, którzy znali i cenili jej osobliwy charakter, byli wręcz żądni jej uwagi. Poza tym zainteresowanie obecnością Nene bardzo szybko spadało, natomiast w przypadku Diny było dokładnie odwrotnie: dopiero z czasem w pełni uwalniał się cały jej urok i charakterystyczna energia, którymi oczarowywała ludzi.

Ja jednak tego wieczoru prawie w ogóle nie mogłam pić, nie mogłam pozbyć się nieprzyjemnego uczucia, że Dina swoją nadmierną żywiołowością wystawia się tym wszystkim mężczyznom na pożarcie. Ich zaciekawienie nią kontrastowało z niewielkim zainteresowaniem, jakie ona okazywała im, i ta sprzeczność niechybnie musiała w końcu gdzieś się rozładować, czułam wręcz fizycznie, jak narasta napięcie. Panowie, rozochoceni licznymi kieliszkami wódki własnej produkcji, wyrobu rodziców jubilata, robili się coraz bardziej frywolni, języki im się rozwiązywały, rywalizacja o względy Diny przybierała coraz bardziej wyrafinowane formy. Tylko Lewan stawał się coraz cichszy i bardziej milczący, jego wzrok był skierowany do wewnątrz, a niezadowolenie zdawało odbijać się na mnie. Wyglądało to tak, jakby chciał mnie ukarać za zbyt swobodne zachowanie przyjaciółki, która tańczyła jak szalona do muzyki płynącej z magnetofonu kasetowego na baterie. Mężczyźni zaczęli się kłębić wokół niej, co stanowiło dość groteskowy obraz. No i wtedy stało się: jeden z nich chwycił Dinę za biust i zobaczyłam, niczym w zwolnionym filmie, jak Dina odpycha tego brodatego niedźwiedzia, a on leci na balustradę. Gdy czuła się zagrożona, potrafiła błyskawicznie zebrać w sobie dużo siły, dlatego mężczyzna przewrócił się, runął na

drewnianą barierkę i wydał z siebie głośne przekleństwo, aż wszystko dokoła zadudniło.

– Ty świnió! – syknęła Dina i można było odnieść wrażenie, że chce przejść do ataku.

Coś w twarzy brodacza mówiło mi, że nie należy do uprzejmych i dobrze wychowanych i że jakoś zareaguje na tę kompromitację i publiczne upokorzenie.

Lewan i ja odskoczyliśmy od stołu, ja pobiegłam do Diny i ochraniałam ją przed napastnikiem. Brodacz podniósł się i jednym susem doskoczył do niej, złapał ją za włosy, przeciągnął przez taras, wykrzykując przy tym obsceniczne słowa. Byłam tak zszokowana jego słowami, że tylko stałam i przypatrywałam się wszystkiemu skonsternowana i skamieniała. Liczyłam na reakcję innych. Dziewczyny puciekały do kątów i patrzyły w naszą stronę przerażone, ale jednocześnie z poczuciem złośliwej satysfakcji, kilku mężczyzn próbowało bezskutecznie udobruchać brodacza.

Na gruzińskich przyjęciach jest niewiele rzeczy, na których można polegać, ale jednego zawsze byłam pewna: mężczyzna nigdy nie podniesie ręki na kobietę, w każdym razie nigdy na forum publicznym. A jeśli już, to inni mężczyźni szybko przywołają go do porządku. To, że w tej odległej górskiej wioseczce nasze niepisane gruzińskie prawo zostało z taką łatwością unieważnione, zszokowało mnie tak samo jak dobór słów tego cuchnącego alkoholem faceta, który za nic nie chciał się uspokoić.

Mimo nieśmiałych prób oderwania go od Diny dalej ciągnął ją po podłodze. Dina przeklinała, ale nie była w stanie uwolnić się z jego uchwytu. Dlaczego nikt nic nie robił? Dlaczego nikt nie pobił go do nieprzytomności, dlaczego nikt go nie powstrzymywał i nie przerywał tego kiepskiego przedstawienia?

Parę chwil później usłyszałam, jak z tyłu za mną Lewan zaczyna się oburzać. Podbiegł do brodacza i podniósł pięść, ale ten uderzył go w twarz i Lewan runął na podłogę, zaraz potem inny chłopak dostał cios i padł na kolana. Słyszałam, jak kobiety krzyczą, widziałam, jak jubilat ucieka, zobaczyłam także siebie z zewnątrz

niczym przez soczewkę aparatu fotograficznego, jak obejmuję Dinę w talii, żeby uwolnić ją ze szponów tego potwora. Poczułam, jak padam na ziemię, i na krótko wszystko robi się czarne. Gdy ponownie otworzyłam oczy, zobaczyłam kolosa, który zdawał się jeszcze bardziej rozjuszony, słyszałam jego przekleństwa i nagle nabrałam pewności, że za chwilę wszystkich nas pozabija.

– Przestań, Paata, przestań! – usłyszałam głos jubilata. – Przecież to tylko dziewczyna, zostaw ją, zostaw, do jasnej cholery...

Wydawało mi się, że Lewan znowu coś krzyczy, ale nic nie pomagało, dociągnął ją już prawie do podestu w pobliżu ogrodu – czy ona była w ogóle przytomna? – ale nagle zobaczyłam, jak Dina chwyta jakieś krzesło i uderza nim brodacza w łydkę. Zaryczał tak głośno, że pomyślałam, iż zaraz pękną mi bębunki, puścił ją i pochylił się, posyłając w jej kierunku kolejną wiązkę nieprzyzwoitych epitetów.

Dina stanęła w okamgnieniu na nogi, lecz zamiast skorzystać z okazji i uciec jak najdalej, chwyciła mocniej krzesło i roztrzaskała je o podłogę. Uzbrojona w nogę od krzesła ruszyła w stronę bezwzględnego bydlaka, który zwijał się z bólu na podeście. Dopiero wtedy zauważyłam, że z nosa i ust leci jej krew. Ale zanim zdążyłam cokolwiek pomyśleć lub poczuć, zamachnęła się z całej siły i zaczęła raz po raz uderzać drewnianą nogą w jego skulone ciało. Robiła to tak bezlitośnie, że aż krew zastygła mi w żyłach. Więc to są, pomyślałam, ślady jej wypraw nad morze, nad morze umarłych. Czy też są to ślady tego, co miało swój początek pewnego mokrego lutowego popołudnia? Skąd ona się brała, ta brutalność, ta ślepa furia? Czy to była jakaś rewolta, powstanie przeciw temu wszystkiemu, co od lat działo się wokół nas, co wyrywało wszystko z korzeniami i niczym huragan niszczyło to, co kiedyś było nam tak drogie?

W pewnym momencie znalazłam się, nie wiem jak i kiedy, w ogrodzie pogrążonym w ciemnościach nocy. Stała, dysząc, przede mną, krwawiła i z trudem łapała oddech. Wściekłość minęła, ale Dina wciąż ścisnęła w ręku nogę od krzesła

i już jej nie wypuściła, przez całą drogę do Tbilisi trzymała ją na pamiątkę, jako swego rodzaju memento, może wręcz przestrożę dla samej siebie.

Lewan przyszedł do nas do ogrodu w podartym swetrze i z krwawiącym nosem. Przyszedł także gospodarz przyjęcia. Nad nami rozlał się ocean gwiazd, a ja zaczęłam się zastanawiać, kiedy ostatni raz widziałam tak zachwycające nagromadzenie ciał niebieskich, i nie byłam w stanie przypomnieć sobie niczego podobnego. Któryś z chłopaków miał przy sobie latarkę, która rzucała na ziemię bezsensowny krąg światła. Z góry dobiegał nerwowy gwar, ale brutalnie nie było już słychać.

– Dina, do cholery! – odezwał się Lewan i pochylił się nad nią, opierając dłonie na kolanach, jak maratończyk, któremu tuż przed metą zabrakło tchu.

– Kim, do diabła, jest ta świnia? – chciałam się dowiedzieć i spojrzałam jubilatowi w oczy. Całe ciało zaczęło mi drżeć, jakbym miała gorączkę, z trudem wypowiadałam pojedyncze słowa.

– To Paata Gagua, jego ojciec jest w parlamencie – wyjaśnił mi jubilat, jak gdyby ta informacja o gościu miała zasadnicze znaczenie. Przesłanie było jasne: w walce z Goliatem nie mieliśmy żadnych szans.

– Kurczę, zachowywaliście się jak jacyś nienormalni! To nas wszystkich wpakuje w kłopoty. – Lewan trwał w tej samej pozycji, zwieszając nisko głowę.

Nie mogłam w to uwierzyć.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytałam groźnym tonem.

– Tylko mi teraz nie mówcie, że ona niczemu nie jest winna. – Wyprostował się błyskawicznie, chuchając mi w twarz.

– Winna? My mamy ci czegoś nie mówić? Przecież ten gość jest chory, kompletnie chory! – Z oburzenia ledwo mogłam mówić. – Mógł ją zabić...

Byłam załamana, że Lewan najwyraźniej chciał nas obarczyć odpowiedzialnością za ten wybuch przemocy.

– Skoro zachowuje się jak jakaś...

Tym razem oburzyła się Dina:

– No, powiedz to: jak lafirynda. To masz na myśli? A więc tak mnie postrzegasz, Lewanie Jaszwili, tak?

To bezpośrednie pytanie wyraźnie przerosło Lewana. Zdawał się obawiać możliwych konsekwencji, dosłownie czułam to. Ale było coś jeszcze.

– Mało ci tego, co zrobiłaś Ratiemu?

– A co takiego, twoim zdaniem, mu zrobiłam? – Jej spokojny głos nie wróżył niczego dobrego.

– Dina, daj spokój, chodź, idziemy, to teraz nie ma sensu – podjęłam próbę.

– Rozłożyłaś nogi dla jego najgorszego wroga, czegoś gorszego już chyba nie można było zrobić komuś takiemu jak Rati, nie sądzisz?

Byłoby lepiej, gdyby nie posunął się tak daleko. Wyglądało na to, że tamtego wieczoru została przekroczona pewna granica i nie było już odwrotu. Nagle Dina zaczęła się śmiać, śmiała mu się prosto w twarz.

– Lewanie Jaszwili, nie masz o niczym pojęcia, nigdy niczego nie rozumiałeś! Jesteście tacy bezradni w tym swoim wyczekiwaniu na coś, co i tak jest skazane na wymarcie. Nie potraficie wyluzować, trzymacie się kurczowo swoich martwych planów i manifestów, swoich zgniłych zasad, jesteście tylko mdłym odbłaskiem czegoś, co już dawno przeszło do historii. Nie potraficie odpuścić, ponieważ boicie się, że bez waszego martwego świata przestaniecie cokolwiek znaczyć. Szkoda mi was.

Staliśmy w trójkącie naprzeciwko siebie i milczeliśmy.

– Pójdę po samochód. Po prostu wsiądźcie i się nie odzywajcie, odwiozę was do domu – powiedział na koniec Lewan, odwrócił się na pięcie i zniknął w ciemnościach.

Nie zwlekając, wzięłam Dinę za rękę i pociągnęłam za sobą na stromą drogę prowadzącą w stronę doliny, gdzie przebiegała główna ulica. Wolałabym raczej umrzeć niż wsiadać teraz do samochodu Lewana. Czułam, że Dina jest mi wdzięczna za taką stanowczość, i dodawało mi to odwagi. Jakoś dostaniemy się do Tbilisi mimo ciemności i chłodu, mimo dużej odległości i naszego stanu.

Nie szłyśmy zbyt szybko, ponieważ Dina kulała. Podpierałam ją i stopniowo jej chód się stabilizował. Zmierzałyśmy zdecydowanie do celu, nie rozglądając się dokoła, na krótko zgubiłyśmy się pośród domków wczasowych i schronisk narciarskich, aż w końcu dotarłyśmy do właściwej drogi, spowitej ciemnością jak reszta świata. Na szczęście gwiazdy dawały trochę światła, a nasze oburzenie było wystarczającym drogowskazem. Przestałam drzeć, uszedł też ze mnie cały strach, czułam się uodporniona na wszelkie niebezpieczeństwo.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówiłyśmy. Gdzieś z tyłu, za nami, słychać było dźwięk silnika, prawdopodobnie Lewan czekał na nas w swoim samochodzie, ale nie wydałyśmy z siebie żadnego dźwięku, zdawałyśmy sobie sprawę, bez zbędnych słów, że nie ma już odwrotu.

– Przepraszam, że narobiłam ci kłopotu – powiedziała w którymś momencie i zapaliła papierosa.

Było nam zimno, miałyśmy na sobie tylko cienkie kurtki, ciepłe rzeczy zostały w małej torbie sportowej, w którą spakowałyśmy się przed wyjazdem. Trzymałyśmy się blisko siebie, wzięłam Dinę pod rękę. Wciąż trzymała nogę od krzesła niczym miecz po legendarnym zwycięstwie.

– Masz na myśli Lewana?

– Tak, wiem, że go kochasz.

– Jak mogę kochać człowieka, z którym nic mnie nie łączy – powiedziałam w nadziei, że gdy to wypowiem, będzie mi łatwiej się uspokoić.

– A mimo to go kochasz. Zastanawiam się, jak można z tym żyć, gdy ktoś, kto był ci kiedyś bliski, w jednej sekundzie staje się nagle kimś obcym. Jak sobie z tym poradzić? Taka miłość nie znika ot tak po prostu, ona zostaje, tylko człowiek, którego kochasz, okazuje się nagle kimś obcym. A może sama sobie stajesz się obca, nie wiem. W każdym razie kochasz dalej, a człowiek, którego darzysz tą miłością, znika. I co, do cholery, masz począć z tą miłością? – Zaciągnęła się głęboko papierosem i zatrzymała się na chwilę.

– Udało ci się jakoś z tym sobie poradzić? – zapytałam nieśmiało, pozwoliwszy wcześniej jej się wygadać.

– Co dokładnie masz na myśli?

– Mam na myśli Cotnego. Udało ci się zastąpić nim Ratiego?

Czy ja sama nie zrobiłam czegoś takiego w Stambule, wykorzystując ciało Reza do zaspokojenia własnych pragnień i ślepych prób uwolnienia się od Lewana?

– Nie wiem. On mi zastępuje tylko... ach, Keto, przecież ja to wszystko widzę. Ale jest coś między nami, jakaś cicha nić porozumienia, coś bardzo spokojnego i trwałego. On nie próbuje mnie zmieniać. Nigdy nie ucieka. Dostrzega mnie. Nie boi się. – Przystanęła. Starła się zagłuszyć ból, jednak ten zmusił ją do zatrzymania się. Potem mówiła dalej: – Wtedy, gdy poszłam z Ratim do hotelu, wiedziałam, że zrobił to dlatego, że mnie potrzebował. Ale zbyt późno zrozumiałam, że potrzebował mnie z innego powodu niż ja jego. Musiał wszystko tak długo deptać, żeby na koniec móc sobie powiedzieć, że racja była po jego stronie. – Jej słowa rozchodziły się dokoła w ciemnościach, pośród dostojnych gór, naszych świadków, naszych strażniczek i płaczek żałobnych zarazem. – Cotne i ja nigdy nie będziemy razem. Nie mogę żyć jego życiem, a on nie może żyć moim. On zawsze będzie zajmował się tym, czym się zajmuje, ale nie chcę go oceniać. Nie chcę też oceniać Ratiego. Obaj są echem naszych czasów.

– Ale przecież nasi rodzice dawali nam zupełnie inny przykład! Nie jest tak, że dorastaliśmy bez alternatywy. Nie rozumiem, jak możesz mówić, że wszystko jest całkowicie logiczne – zaprotestowałam. – Przecież nie dorastaliśmy bez innych wzorców!

– O rany, Keto, nasi rodzice nie zrobili nic, żeby temu wszystkiemu zapobiec. Przyglądali się tylko, jak inni zarzynają się nawzajem. Byli zbyt słabi, gdy to wszystko się zaczęło. Już wcześniej byli jedynie marionetkami, a gdy nagle usłyszeli: no, ruszcie się, zróbcie coś z własnym krajem, okazało się, że to ich przerasta, nie mieli w ogóle żadnego planu, żadnego celu. Po prostu chcieli, żeby ktoś przyszedł i powiedział im, co mają robić. I wtedy pojawili się oni, te typki

z giwerami i inni tacy jak Paata, więc nasi rodzice nagle ucichli, zapomnieli o tym, że to oni sami ich na siebie ściągnęli. A twój brat czy Lewan zaczęli ich po prostu naśladować.

Wszystko we mnie buntowało się przeciwko jej słowom. A jednak nasza mnie straszliwa myśl i aż przystanąłam. Ja też nie mogłam przed tym uciec i żadna wyprawa nad Bosfor nie stanowiła ratunku, ponieważ to było nasze życie, to były nasze czasy, innych nie dostaniemy, musieliśmy żyć swoim życiem bez tylnych drzwi. Być może droga, którą obrała Dina, była najwłaściwsza. Głupotą było myśleć, że można uciec przed własną rzeczywistością, że ona nie zastawia na nas sideł i że mogę śmiało realizować tę wersję siebie, którą kiedyś sobie wymarzyłam jako przyszłe ja. Jednak już od dawna tkwiłam w tej pułapce i już dawno przestałam być takim człowiekiem, jakim byłam niegdyś, zanim spadła na nas ta bezgraniczna ciemność.

Dina i ja podjęłyśmy swego czasu określoną decyzję i wszystko, co nastąpiło potem, stanowiło jej cenę. Ceną było to, że Rati nazwał ją dziwką, a Cotne czekał na nią cierpliwie w cieniu, że pojechała na wojnę, a Nene podążyła za jakimś obcym facetem do Moskwy, ceną było to, że tak długo ukrywałam siebie i swoje ciało przed Lewanem, że aż zaczął w końcu widzieć we mnie kogoś innego, niż byłam. Rozmyślałam o tym wszystkim, gdy stałyśmy pod tym gwiazdzistym niebem, zmarznięte i usmarowane krwią, a jednak zdecydowane uciekać. I tamtej nocy u boku Diny, która mimo zmasakrowanego ciała oraz bólu dumnie i z poczuciem wolności kroczyła w dół krętą drogą, wydało mi się nagle bardzo proste wybaczyć samej sobie, ponieważ ona była przy mnie, znów stanowiłyśmy jedność i zniknęło wszystko, co mogłoby napędzać mi strachu, zniknęła nawet nienawiść do samej siebie. Z każdym krokiem pęczniałam niczym balon, jakaś zapomniana dawno siła wypełniła mi płuca. Po raz pierwszy od wielu miesięcy poczułam się znowu właściwie.

Już nie pamiętam, jak długo wtedy szłyśmy, godzinę czy cztery godziny, w tym czasie nie wyprzedził nas żaden samochód, nie minął nas żaden miejscowy

przechodzień. Dina usiadła nagle na wychłodzonej ziemi. Nie była w stanie iść dalej. Wszystko ją bolało. Musiała odpocząć.

Usiadłam obok niej i wsunęłam swoją dłoń w jej dłoń.

– Czasem nienawidzę być sobą – powiedziała nagle i ścisnęła mnie za rękę. Była lodowata. – Czasami chciałabym tylko spać i niczego nie odczuwać. Gdyby można było wstrzyknąć swemu życiu jakiś środek znieczulający... To mogłoby się dalej toczyć, a człowiek niczego by nie odczuwał, mógłby dalej oddychać, jeść, mówić, chodzić, być... Keto, mogłabyś to zrobić? Mogłabyś mnie znieczulić?

Popatrzyłam na nią z niedowierzaniem. Jej umęczone, sfatygowane piękno w zaskakujący sposób poruszyło mnie w tym szarym świetle księżyca.

– Nie gadaj głupot. Wstawaj, nie możemy tu wiecznie siedzieć, bo jeszcze dostaniemy wilka...

– Nie, mówię poważnie. Znieczul mnie. Znasz mnie, będziesz wiedziała, jaki środek na mnie podziała, naprawdę chcę tego, już dłużej nie mogę, znieczul mnie!

Ścisnęła mi strasznie mocno rękę, myślałam, że połamię mi palce. Ale nie cofałam dłoni, wytrzymałam ten ból.

– Nie chciałabyś tak żyć ani minuty, uwierz mi.

– Wielu ludzi tak żyje. Wielu daje radę. Więc dlaczego ja miałabym nie móc?

– Ty chcesz być taka jak inni? – Nawet już nie miałam siły się oburzać. Zaschło mi w ustach, jakby mi ktoś wsypał szufłę piasku. Dina nigdy się nie oszczędzała. Inni ludzie tak robią. Ja też tak robiłam i robię. W ten sposób udaje im się przetrwać. Ale Dina nigdy nie chciała po prostu tylko przetrwać, ona zawsze chciała żyć. Biła się z innymi i dźgała nożem, pojechała na wojnę, co będzie następne, co dalej musi się wydarzyć, żeby wciąż mogła być wierna sobie? Czy można życiu wstrzyknąć narkozę, znieczulić je? Wolną ręką pogłaskałam ją po twarzy. – Dobrze wiesz, że to nie jest dla ciebie żadna opcja.

– Dlaczego nie? Proszę, znieczul mnie! – powtarzała z uporem jak dziecko.

– Wtedy przestaniesz być sobą, a jeśli ty nie będziesz sobą, to ja też nie będę wiedziała, kim jestem. Rozumiem siebie tylko w zestawieniu z tobą.

To spontaniczne wyznanie zmusiło ją do delikatnego uśmiechu.

– Zawsze miałaś przesadnie dobre zdanie o mnie. Masz wypaczony obraz mnie, przedstawia mnie lepszą, niż jestem w rzeczywistości.

Zignorowałam jej uwagi i mówiłam dalej:

– Poza tym nie mogłabyś już robić tak wspaniałych zdjęć. Nie potrafiłabyś kochać tak, jak kochasz teraz. Nie byłabyś tak dobrą przyjaciółką, poza tym nie siedziłybyśmy teraz na tym lodowatym chłodzie pośrodku gór na zimnym asfalcie, nie wiedząc, co z sobą począć.

W końcu jej twarz zaczęła się powoli rozchmurzać. Pogrzebała w kieszeni kurtki w poszukiwaniu papierosów. Po krótkiej chwili milczenia, podczas której obie obserwowałyśmy niebo, które wyglądało tak, jakby ktoś rozerwał kilometrowy naszyjnik z pereł, powiedziała:

– To, co kocham, i to, jak kocham, prowadzi do tych stłuczek, prowadzi w tak idiotyczne miejsca jak to, w którym teraz utknęłyśmy. Ta miłość pcha mnie do Abchazji i także ona prowadzi mnie do Cotnego. Jestem taka żałosna, jestem tak żałosna i tak nienasycona, tak haniebnie nienasycona, że jestem gotowa zlizywać z podłogi każdą resztkę miłości, nie ma niczego, czego nie byłabym gotowa zrobić, dlatego poszłam wtedy z twoim bratem do hotelu, dlatego otwieram Cotnemu drzwi za każdym razem, gdy tylko do mnie przychodzi, dlatego idę nawet na front, bo szukam tego uczucia w tym, co najbardziej niemożliwe, najbrzydsze, najgorsze, być może przede wszystkim tam, dlatego zesłabym do samych piekieł, gdybym tylko wiedziała, że je tam znajdę. A największą ironią losu jest to, że potrzebuję i poszukuję go nie po to, jak większość ludzi, żeby być szczęśliwa, lecz żeby wystawić się na próbę, żeby zrzucić z siebie kolejną warstwę skóry, bo tylko w ten sposób mogę naprawdę zobaczyć... siebie i wszystko dookoła. Rozumiesz?

– Jesteś dokładnym przeciwieństwem żalosności i braku godności... Przestań!

– Nic nie rozumiesz. A tak by mi na tym zależało, żebyś chociaż ty mnie rozumiała.

Dlaczego tego nie rozumiałam? Dlaczego musiało minąć wiele lat – podczas których musiałam nauczyć się żyć z tym kraterem, który pozostawiła po sobie jej śmierć – żebym zrozumiała, co chciała mi tamtej nocy powiedzieć? Czy chciała, żebym ją chroniła? Chroniła przed nią samą, przed innymi, przed niemiłością, brakiem spełnienia? Czy powinnam była ją znieczulić, tak jak żąda tego na tym zdjęciu, którego Nene tak nienawidzi, a Ira uważa za bezlitosne? Czy powinnam była pogodzić się z tym, że przestałyby być sobą – ale za to pozostałyby przy życiu?

Nagle nadjechał znikąd czarny samochód i z piskiem opon zahamował tuż przed nami. To była dwójka gości z imprezy. Para, na którą zwróciłam uwagę raczej ze względu na jej powściągliwe zachowanie. Gdy miało miejsce to zajście, kobieta o krótkich ufarbowanych na platynowy blond włosach wtuliła twarz w ramię swojego przyjaciela.

– Dzięki Bogu, szukam was już całą wieczność! – powiedział z ulgą jej barczysty partner, wysiadając z samochodu.

Miałam pustkę w głowie, ani jednej jasnej myśli, byłam tylko wdzięczna, że mogę schować się do ciepłego samochodu.

– Lewan wysłał mnie za wami, zniknęłyście, jakbyście się zapadły pod ziemię.

– Jak mogłyście pójść tak daleko w tych ciemnościach? – zapytała tym razem platynowa blondyna. – I to w dodatku w twoim stanie. – Słowo „stan” wypowiedziała z uczuciem lekkiego obrzydzenia, jakby miała coś ohydneho w ustach.

Wsiadłyśmy do samochodu bez słowa i zajęłyśmy miejsca na tylnym siedzeniu.

– W każdym razie dobrze, że was znaleźliśmy – powiedział mężczyzna i odwrócił się w naszą stronę po to, by się upewnić, że z nami wszystko w porządku.

W samochodowym świetle można było zobaczyć przerażająco zmasakrowaną twarz Diny. Nie dawałam po sobie poznać, że jestem przerażona, ale postanowiłam

zaraz po powrocie poprosić ojca Iry, żeby ją obejrzał. Dina odwróciła twarz i z zamkniętymi oczami przyłgnęła czołem do szyby.

Przez całą drogę nie wypuszczałam jej ręki, drugą ręką wciąż ścisnęłam nogę od krzesła i w ten sposób przemierzaliśmy ciemności kilometr za kilometrem.

Głośny śmiech wyrywa mnie z zamyślenia. W salach są już tylko nieliczni zwiedzający, z ogrodu dobiega muzyka. Już wystarczająco dużo sztuki obejrzano, już dosyć konfrontowania się z trudnymi tematami. Teraz ciągnie wszystkich do lekkich i przyjemnych small talków wieczorową porą, z lampką wina w ręku, w przepięknie udekorowanym ogrodzie tej świątyni sztuki. Obok mnie stoją trzy kobiety i głośno się śmieją. W tym samym momencie spostrzegam Anano, idzie w moim kierunku z wypiekami na twarzy, a wielkie kreolki dyndają zawieszane na jej małych uszach. Wygląda na zatroskaną.

– Keto, chodź, obawiam się, że Ira i Nene o coś się kłóć.

Chce, żebym zapobiegła nadciągającym tarapatom, żebym nie dopuściła do tego, by coś zakłóciło jak dotychczas pomyślnie przebiegające otwarcie wystawy.

– Gdzie one są? O co chodzi?

Wodzę wzrokiem po sali w poszukiwaniu tych dwóch, ale zdaje się, że wybrały ogród na swoją arenę, która już od lat czeka na ich przybycie. Od dawna zapowiadany dramat doczekał się w końcu realizacji na scenie.

– Keto, muszę tutaj pilnować porządku, one są na dole, czy mogłabyś... – Spojrzenie Anano jest tak samo błagalne, tak samo trwożliwe jak przed laty.

– Tak, oczywiście, już tam schodzę.

Klepię ją lekko po ramieniu i spieszę w kierunku wyjścia. W ogrodzie panuje ciemność. Wieczór jest ciepły, mimo że słońce już zaszło, upał jest wyczuwalny nawet w nocy. Przeciskam się między roześmianymi i gawędzącymi wesoło na schodach ludźmi i zmierzam w stronę płytkiej, pozbawionej wyrazu muzyki. Kelnerzy meandrują z elegancją wśród gości i nieustająco oferują swoje dary, w międzyczasie pojawiły się także szklanki z long drinkami. Czuję, jak błyskawicznie trzeźwieję, moje ciało się napina, chcę zatrzymać coś

nieuchronnego, coś, co powinno było nastąpić już wiele lat temu. Ale dzisiaj to rzeczywiście nie jest odpowiedni dzień, odpowiednie ramy. Muszę uratować wieczór Anano, nie możemy dostarczyć temu żadnemu sensacji pułkowi gości jeszcze więcej pożywki.

W końcu je znajduję, stoją nieco z boku pod jakimś gęstym krzewem białych róż. Nene pali i mówi coś z furją, Ira stoi naprzeciwko niej z założonymi rękami. Okrążam kilku panów w czarnych garniturach, niemal potykam się o jakiegoś białego pieska pokojowego z zieloną obrózką, przepraszam właścicielkę w podeszłym wieku i podchodzę do obu dziewczyn.

– Czy nie sądzicie, że to naprawdę jest nieodpowiedni moment... – wyduszam z siebie niemal bez tchu. Nie wiem, jakie słowa padły już do tej pory, nie wiem, co obie zamierzają. Wyraz twarzy Nene nie wróży niczego dobrego.

– No jasne, tego można było się spodziewać, że pani arbiter nadejdzie! – mówi Nene przesadnie głośno, a ja czuję, że kilka osób odwraca się w naszym kierunku. Jest podpita, a mimo to nie zapomniała poprawić szminki na ustach.

– Przestań już! – syczę na nią.

– Dlaczego? Tak bardzo ci zależy, żeby zrobić na tym eleganckim towarzystwie dobre wrażenie?

Jest agresywna, rozochocona dodatkowo wódką z martini, znam ten stan, wyłom z zazwyczaj łagodnego, harmonijnego nastroju, jak gdyby pod tą miłą, sentymentalną, niepozorną powierzchnią kryło się coś niesłychanie szorstkiego, coś, co dąży do destrukcji.

– Czy ty poważnie sądzisz, że teraz jest odpowiedni moment, żeby wałkować to, co już dawno minęło? – pytam ją nieco poirytowana.

– To, co minęło? Nic nie minęło, grubo się mylisz, Keto. To jest moje obecne życie, moja rzeczywistość. Żyję konsekwencjami tego minionego dzień w dzień. – Dmucha mi dymem prosto w twarz i patrzy prowokacyjnie w oczy, chce mnie wytrącić z równowagi, potrzebuje się wyżyć.

– Mimo to z szacunku dla Diny nie powinniśmy wykorzystywać dzisiejszego wieczoru do tego, żeby wykrzyczeć sobie wszystko w twarz. – Staram się zachować pojednawczy ton, mimo że nie przychodzi mi to łatwo, mimo że i we mnie zaczyna wzbierać złość.

– Z szacunku dla Diny, z szacunku dla Diny... Nie rozśmieszaj mnie! Z szacunku do Diny mogłyście obie trochę bardziej się wysilić i uszanować to, co zostało z naszej przyjaźni.

Patrzy na Irę. Ira spuszcza wzrok. Nene wciąż ma nad nią jakąś niewytłumaczalną władzę i jest tego świadoma.

– Chciałam przywrócić ci wolność, chciałam, żebyś była wolna, kiedy w końcu to zrozumiesz? – mówi Ira i od razu wyczuwam, że byłoby lepiej, gdyby trzymała język za zębami i pozwoliła przejść całej tej burzy bokiem.

– Przywrócić wolność, przywrócić wolność, słyszałaś to? Keto, czy ty to słyszałaś? Chciała mi przywrócić wolność! Zniszczyła mi rodzinę i wsadziła mego brata za kratki! Szpiegowała nas jak jakiś szpicel z KGB i przekazywała dalej prywatne informacje, które powierzałam jej w zaufaniu. I teraz nazywa to wolnością!

– Przykro mi – mówi błagalnym głosem Ira – ile razy mam to jeszcze powtarzać? Robiłam wszystko w przekonaniu, że to jedyna możliwość. To wszystko musiało odbywać się za twoimi plecami, żeby nie narażać cię na niebezpieczeństwo. Nie chcesz tego zrozumieć, ale bez mojej pomocy nigdy nie wyrwałabyś się z tego błędnego koła. – Głos jej się łamie, wydaje się, że uleciała z niej cała pewność siebie.

– A to, że być może wcale nie chciałam się z niego wyrwać, jakoś nigdy nie przyszło ci do głowy? – Nene wciąż mówi ostrym tonem, nie zamierza robić kroku w tył, nie okazuje wyrozumiałości, jest pełna złości, odrazy i podoba jej się, że nie musi się hamować.

– Ach, więc to była twoja wolna wola, żeby nie być z Sabą, nie dawać Luce nazwiska ojca, tylko jakiegoś lokaja twojego wuja? Nie chciałaś sama decydować,

z kim spędzasz czas i z kim idziesz do łóżka? Nie chciałaś także studiować, podróżować, spróbować różnych rzeczy?

– Jeżeli ceną za to wszystko jest ruina mojej rodziny, to nie – mówi zdecydowanym tonem i opróżnia duszką kieliszek.

– A jednak spotykałaś się potajemnie z Sabą, a Luce zmieniałaś później nazwisko na Jaszwili. Dlaczego zadawałaś się potem z całą armią kochanków, jeśli nie chciałaś tego?

– Gównu cię to obchodzi, Irine Żordania!

Wie, jak bardzo Ira nienawidzi, gdy mówi się do niej „Irine”, że zrobiła wszystko, by Irine należała już do przeszłości. Ale widocznie na próżno się trudziła, bo najwyraźniej gdzieś na drugim brzegu, niewidocznym dla większości ludzi, wciąż stoi mała Irine w okularach i w swoim ciemnobrązowym mundurku szkolnym, z gładko zaczesanymi do tyłu włosami i smutna macha niestrudzenie ręką ponad tymi dziesiątkami minionych lat do odnoszącej sukcesy adwokatki i aktywistki.

– Nie miałaś prawa wykorzystywać mojego zaufania, nie miałaś prawa oszukiwać mnie za plecami, nie miałaś prawa nas szpiegować, zwracać się do tych pieprzonych mediów, zdradziłaś mnie i zniszczyłaś mi rodzinę! – Z każdym słowem Nene robi się coraz głośniejsza, czuję na sobie poirytowane spojrzenia stojących dookoła gości, które palą niczym jaskrawe reflektory.

– Jaką rodzinę? Rodzinę, która sprzedawała cię zupełnie obcym mężczyznom jak jakąś szkapę, tak? Nie miałaś własnego życia, wszystko ci zabrano, nie wolno ci było kochać...

– Ale ciebie i tak nigdy bym nie pokochała, nie na twój sposób, niezależnie od tego, jak bardzo byłabym wolna! To jest coś, co musisz zrozumieć! Nie mam odmiennych skłonności, wolę fiuty, rozumiano?

Zamilkłyśmy. Jej zdania skapują na nas jak śmierdząca smoła, wszystko się lepi, nie możemy się ruszać, czujemy tylko na sobie tony ciężkiej, lepkiej masy. Chciałabym objąć Irę i ją przytulić, ukołysać w ramionach, zakryć jej oczy i uszy.

Nigdy nie kwestionowałam motywów jej działania, zawsze rozumiałam, dlaczego tak nieustraszenie toczyła ten bój. Nie zasługuje na to, by patrzeć na maskę, którą Nene nam właśnie pokazuje. Widzę, że broda Iry zaczyna drżeć, otwiera usta, chce coś powiedzieć, ale z gardła nie wydobywa się żaden dźwięk. Osąd, który Nene wydała, jest zbyt okrutny, zbyt definitywny. Nie potrafi się bronić, ciągle jeszcze nie potrafi powiedzieć, że żałuje tego dnia, w którym poznała Nene Koridze. Bo to by oznaczało, że musiałyby wyrzec się części siebie, być może tej najprawdziwszej.

– Masz rację – mówi nagle ściszym głosem, w który za chwilę wmieszają się łzy. – Zawsze uważałam cię za człowieka, który zasługuje na wszelką miłość, jaka tylko istnieje na tym świecie. Ale myliłam się, nie jesteś tego warta, Nene. Nigdy nie byłaś warta, żebym poświęcała ci swoje życie. Za to chciałabym ci szczerze przeprosić. Tak naprawdę myślałam, że to ja jestem tą, z którą coś jest nie w porządku, i zupełnie nie zauważyłam, że to z ciebie rodzina zrobiła kogoś odmiennego.

Odwraca się gwałtownie i znika wśród stojących dokoła ludzi. Nie ma sensu biec za nią, musi wziąć ten wyrok na własne barki. Nie opuści imprezy, spędzi ten wieczór, tę noc razem z nami do końca, obiecała mi to. I w przeciwieństwie do mnie ona zawsze dotrzymuje słowa.

Twarz Nene zdradza tymczasowe poczucie triumfu, uważa się za zwyciężczynię tej rundy, ale to zwycięstwo wkrótce straci swoją słodycz, okaże się kolosalną pomyłką.

– Kiedy stałaś się taką wstrętną małpą? – pytam ją i patrzę twardo w jej turkusowe oczy.

– Po tym, jak ta szcurzyca zniszczyła mi rodzinę, i po tym, jak ty zniknęłaś – odpowiada najspokojniej na świecie.

Czuję, że za chwilę stracę panowanie nad sobą, impuls, żeby jej przyłożyć, jest tak silny, że instynktownie się cofam.

– Przestań mówić coś, czego tak naprawdę nie myślisz. Przestań obrzucać nas wszystkich błotem – szepczę i przygryzam dolną wargę, żeby zdławić krzyk rosnący mi w gardle.

– A czego się spodziewałaś, do jasnej cholery, czego się spodziewałyście? Że zapomnę o wszystkim i dalej będę zgrywała słodką Nene, która was będzie bawić, gdy przyjdzie wam na to chęć?

– Nigdy mnie nie bawiłaś. Przez większość czasu, od kiedy cię znam, martwiłam się o ciebie. Wszyscy się o ciebie martwiliśmy.

Mam ochotę przegonić wszystkich tych pogodnych ludzi dokoła, chciałabym zostać sam na sam z tymi dwiema zniszczonymi kobietami, które zarzucają sobie coś niewybacznego, chcę doprowadzić tę bitwę do końca. Chcę, żebyśmy wszystkie przegrały, ponieważ to jest jedyne logiczne wyjście. Chcę, żeby potem nastał wreszcie spokój, który nie jest nam dany od dziesiętków lat.

– Ale potem pożałowaliście tej troski, co? Każdy kiedyś w końcu sam musi zacząć szukać własnego szczęścia, prawda?

Nigdy nie dała niczego po sobie poznać, gdy nasze drogi się rozeszły. Zawsze dodawała nam odwagi. Jacy byliśmy naiwni, wierząc, że jej radość z naszego szczęścia jest niczym niezmacona. Jakaż ona była samotna w tym swoim hermetycznym świecie, który znaliśmy tylko z zewnątrz, pod tym kloszem z pancernej szkła, o który nasza troska i nasze starania rozbijały się jak krople deszczu. Nie mieliśmy o niczym pojęcia, zakładając, że swoimi trikami i unikami świetnie sobie z tym wszystkim radzi, jak na przykład wtedy, gdy pojechała do Moskwy, żeby ratować swoją rodzinę przed dalszą katastrofą. Myślę o nienawiści, którą musiała przez te wszystkie lata w sobie gromadzić, gdy leżała w łóżku obok mężczyzn, do których czuła wstręt, myślę o jej cichych, potajemnych rewoltach, ponieważ oszukiwała tylko po to, żeby oszukać. Jak smutna jest ta twarz, która teraz na mnie patrzy, twarz dziecka, które ubrano w strój kobiety, nigdy nie dając mi możliwości nią w istocie zostać.

Moja złość i moja furia rozsypują się w pył na widok jej jasnych oczu. Zbliżam się do niej, cofa się, ale jestem szybsza. Obejmuję ją tak mocno, że nie pozostaje jej nic innego, tylko się poddać, trwa to dosyć długo, ale w końcu kapituluje. Spada na nas przeszłość i grzebie nas pod sobą. Nene wbija wypielegnowane, pomalowane na czerwono paznokcie w moją koszulkę, wiotczeje, podtrzymuję ją, wiem dokładnie, jak to jest nie nadążać za własnym życiem. Nie mówi już nic. Nagle, jakby wybudzona ze snu, oswabadza się z moich objęć, wyprostowuje, ociera twarz chusteczką, przeprasza i pędzi z powrotem do budynku.

Stoję w miejscu, rozglądam się z zakłopotaniem, sięgam po pierwszą lepszą lampkę wina. Czuję się, jakby mnie przyłapano na gorącym uczynku, czuję się osamotniona. Ja także wracam na wystawę, wśród zdjęć znowu wiem, po co tutaj jestem. Znalazłszy się znów w sali wystawowej, oddycham głęboko i delektuję się spokojem w niemal opustoszałych pomieszczeniach, teraz mam te fotografie wyłącznie dla siebie. Nie muszę już kierować się chronologią, nie muszę razem z innymi podążać za historią zgodnie ze wskazówkami zegara, mogę ustawić własną rachubę czasu.

Zatrzymuję się przy portrecie swojego brata. Wrażenie jest tak silne, że czuję, jakbym dostała w twarz. Znam to zdjęcie, ale już dawno o nim zapomniałam. Nie jest to żadna z jej wizytówek, żadne sztandarowe zdjęcie. To raczej spokojny obraz, na pierwszy rzut oka niepozorny, jego przyciągające działanie nie następuje od razu. Fotografia została zrobiona z bardzo bliska, Rati leży w łóżku, widać jego nagi tors. Nie znam tego miejsca, nie wiem, do czyjego mieszkania się zakradli, by móc swobodnie się kochać. Leży wyciągnięty na pomiętym prześcieradle, na dworze musiało być wtedy ciepło, ponieważ nie widać nigdzie kołdry. Ale być może jej nie potrzebowali, być może pożądanie grzało ich dostatecznie mocno. Oczy mu lśnią, robi wrażenie bardzo zadowolonego, jest taki młody, taki silny. Na jego ustach igra szelmowski uśmieszek, pieprzyk to jedyny przejaw niewinności na jego twarzy. Wyciąga rękę, zdaje się, że przywołuje ją do siebie, nie powinna zakłócać ich bliskości klikaniem aparatu fotograficznego, chce być z nią niczym nieniepokoiony, nieobserwowany.

Gdyby wówczas przypuszczał, że któregoś dnia setki ludzi rzucą się na resztki ich pogańskiej uczty miłosnej, któregoś słonecznego majowego dnia w środku Europy, w pompatycznej sali, że przyjdzie tyle osób, tylko nie on i nie autorka zdjęć we własnej osobie. Tak, co by wtedy sobie pomyślał? Co by wtedy zrobił, gdyby wiedział, że ci wszyscy odświętnie ubrani ludzie będą oddawać cześć tej czarodziejce za obiektywem aparatu fotograficznego, z którą on przed chwileczką kochał się bez pamięci, i że akurat ich dwojga nie będzie już wtedy na świecie?

JUDASZOWE SREBRNIKI LUB ŁZY JEZUSA

Labirynt wspomnień jest zdumiewający. Dziwne, dlaczego gdy stoję przed tym zdjęciem, przypomina mi się pewna charakterystyczna roślina w chińskim wazonie zdobiąca pokój dzienny u rodziny Koridze. Gdy byłam dzieckiem, zawsze fascynował mnie ten dziwny twór, ale dopiero wiele lat później, kiedy sama zakładałam ogród, dowiedziałam się, że roślina ta należy do gatunku *Lunaria* i ma wiele nazw, jednak w zachodniej Europie jest zazwyczaj nazywana miesięcznicą. Kwiaty tej rośliny ozdobnej mają jaskrawofioletowy kolor, a gdy opadną z niej owocolistki, na łodygach pozostają przezroczyste, mieniące się srebrzyście tak zwane fałszywe przegrody, które wyglądają dość surrealistycznie. W języku gruzińskim roślina nosi oryginalną nazwę „łzy Jezusa”. Zawsze zastanawiało mnie to określenie. Dlatego tym bardziej byłam zdziwiona, gdy dowiedziałam się, że niemiecka nazwa tej rośliny to akurat „judaszowe srebrniki”. Nigdy nie mogłam się zdecydować, czy wolę gruzińską, czy niemiecką wersję. Czy chodzi tu bardziej o łzy przelane przez Jezusa, kiedy dowiedział się o przepowiadanej przez niego zdradzie jednego z uczniów, czy też raczej o zdradzieckie srebrniki tegoż ucznia? Którą historię bardziej warto opowiedzieć: zdradzonego czy zdrajcy?

Gdy któregoś dnia siedziałam w swoim ogrodzie i podziwiałam przepych kwitnących kwiatów, pomyślałam, że w gruncie rzeczy to jest ta sama historia, którą poznajemy z dwóch przeciwległych krańców. Od tamtej pory zawsze podaję obie nazwy, ponieważ dopiero obie perspektywy ujęte w całość czynią według mnie tę historię kompletną. Także i naszą historię można opowiedzieć tylko wtedy, gdy patrzy się na nią z różnych stron. Gdy Nene zarzuca Irze, że zniszczyła jej życie, ma rację i jednocześnie jej nie ma. Gdy Ira twierdzi, że chciała przywrócić swojej przyjaciółce wolność, to jest prawda, a jednocześnie pewna przesada. Patrzę na szczęśliwą twarz swojego brata i przypomina mi się pełna odrazy twarz Diny

idącej w moim kierunku pustym korytarzem szpitalnym. Gdy patrzę na zdjęcie tych dwojga, na to bezwstydnie szczęście, to nie mogę się powstrzymać, żeby nie pomyśleć o Gudze, tym niewinnym olbrzymie, który telefonuje nocą i wyrzywa mnie ze snu. Od tamtej pory już nigdy nie widziałam w cudzych oczach tak wielkiego przerażenia. A winę za to przerażenie ponosili zarówno jego młodszy, jak i mój starszy brat. Wszyscy przyczyniliśmy się do tego przerażenia, wszyscy byliśmy różnymi stronami tej samej historii, byliśmy zdrajcami i zdradzonymi jednocześnie.

Zaspany i rozzłoszczony głos Eter wyrwał mnie ze snu. Zmusiłam się, żeby wyjść z łóżka, i poczłapałam na galerię, gdzie w swojej długiej do ziemi koszuli nocnej stała oparta o ścianę i wyciągała do mnie rękę ze słuchawką telefonu.

– Kto to? Która godzina?

– To brat Nene. Chce z tobą rozmawiać. A poza tym, owszem, jest już późno, cholernie późno! – powiedziała i opuściła galerię.

Nie miewała się zbyt dobrze od śmierci Oliko, czuła się osamotniona, żadne inne słowo nie opisuje lepiej stanu, w którym się znajdowała. Gdy na nią patrzyłam, wyczuwałam pustkę, jaką Oliko pozostawiła po sobie. Nie powiedziała mi, o którego z braci chodzi. Zaalarmowana późnym telefonem, który na pewno nie zapowiadał niczego dobrego, rzuciłam pełne strachu: „Tak?”, do słuchawki. Byłam pewna, że coś się stało z Nene, że pokłóciła się ze swoim bogatym moskiewskim małżonkiem i zrobiła coś niepokojącego.

To był Guga.

– Co się stało? Co z Nene, gdzie ona jest?

– Nie chodzi o Nene. Mogłabyś do nas przyjść?

– Teraz?

– Nie prosiłbym cię o to, gdyby nie chodziło o coś poważnego.

Sprawił wrażenie załamane i całkowicie zgaszonego. Próbowałam wyciągnąć z niego jakąkolwiek przydatną informację, ale gdy się zorientowałam, że to bezcelowe, obiecałam przyjść najszybciej, jak to tylko możliwe.

Ubrałam się pośpiesznie po ciemku, w ostatnim czasie nabrałam wprawy w wyszukiwaniu ubrań w szafie tylko na podstawie ich kroju i właściwości, żeby nie być zależną od źródła światła, spięłam włosy i zostawiłam na stole karteczkę dla Eter i ojca. Kuchenny zegar wskazywał w pół do drugiej w nocy.

Wkrótce potem wbiegłam po marmurowych schodach, ledwo łapiąc oddech, i zapukałam cicho do wielkich metalowych drzwi. Już po kilku chwilach otworzył mi Guga. Miał zaczerwienione oczy, natomiast z jego twarzy zeszła, jak mi się zdawało, wszelka barwa. Wszędzie paliło się światło, więc domyśliłam się, że Manany nie ma w domu i mogę poruszać się i rozmawiać swobodnie. W salonie zauważyłam zabłocone buty na wysokich obcasach i rozejrzałam się zdenerwowana. Słysząc było, że w tylnej części mieszkania ktoś bierze prysznic. Byłam skonsternowana, trwało to chwilę, zanim zrozumiałam, że buty należą do Anny Tatiszwili. Nigdy nie potrafiłam sobie wyobrazić tych dwojga jako pary. Jakoś nie miałam zaufania do nagłej zmiany uczuć Anny, przecież wszyscy w dzielnicy wiedzieli, że od lat była zakochana w drugim z braci Koridze. Ale cieszyłam się szczęściem Gugi, ponieważ doskonale znałam jego oddanie i lojalność.

– Czy to Anna jest w łazience? – spytałam nieśmiało.

Przytaknął i dał znak ręką, żebyśmy usiedli. Zajęliśmy miejsce na szerokim zestawie wypoczynkowym, a obok nas stał jeden z tych wazonów z imponującym bukietem łez Jezusa. Guga schował twarz w dłoniach i zaczął gwałtownie kręcić głową.

– Nie wiem, co mam robić, z nią jest coś nie tak. To ja wysłałem ją przed chwilą pod prysznic. Nie chciałem w tej sprawie kontaktować się z Cotnem, bo jest teraz w Zugdidi. Poza tym na pewno nie byłoby wskazane, gdyby Tapora i Manana natknęli się tutaj na niego, gdy wrócą do domu. Pojechali na wieś, na pogrzeb jakiegoś krewnego. Po prostu nie wiedziałem, do kogo mógłbym jeszcze zadzwonić.

– Przecież nie ma sprawy, Guga, daj spokój, powiedz mi w końcu, co się stało. Czy coś się stało Annie?

I podczas gdy ta myśl zaczęła przybierać w mojej głowie ostateczny kształt, już wiedziałam, że stało się najgorsze.

– Jest w rozsypce i nie rozmawia ze mną. Zadzwoiła do mnie o północy z jakiejś budki telefonicznej, niedaleko tej opuszczonej fabryki przy wyjeździe z miasta...

Z jakiegoś powodu było to dla niego ważne, żeby unaocznic mi, gdzie znalazł Annę, więc kiwnęłam głową na znak, że rozumiem.

– Odebrałem ją stamtąd, była całkowicie ubłocona, jakby tarzała się po ziemi, wyglądała strasznie i ta sukienka, ta sukienka... W ogóle nie słuchała moich pytań i tylko gadała coś od rzeczy, jak jakaś pomyłona.

Sprawiał wrażenie całkowicie bezradnego, jak gdyby naprawdę nie zdawał sobie sprawy, co mogło się przydarzyć kobiecie o północy pod jakimś opuszczonym budynkiem fabrycznym. Zaczęłam się gorączkowo zastanawiać, co należało w tej sytuacji zrobić. Postanowiłam porozmawiać z Anną, nawet jeśli nie byłyśmy przyjaciółkami, musiałam dokładnie wiedzieć, co ją spotkało i przede wszystkim przez kogo to się stało, żeby mieć pewność, że ani mój brat, ani, nie daj Boże, Lewan nie mają z tym nic wspólnego.

W tym momencie do pokoju weszła Anna. Była golusienka i trzeba przyznać, że nawet w tej całkowicie absurdalnej sytuacji trudno było nie zauważyć jej urody: grube, ociekające wodą włosy, które wiły się po plecach jak przebiegłe żmije, ciało w kolorze białego marmuru, z pełnymi udami i delikatnymi kostkami u nóg, pełne piersi i nienagannie długa szyja przywołały w moich myślach *Narodziny Wenus* Botticellego. Ale gdy weszła pod światło, zauważyłam na jej udach i brzuchu liczne sińce i ogromne krwiaki. Zerwałam się na równe nogi, pobiegłam do łazienki po ręcznik i położyłam go jej na ramionach. Nie wydawała się zbyt zdziwiona, że mnie widzi. Przywitała się ze mną z przesadną serdecznością, nawet pocałowała w policzek. Musiało ją bardzo boleć, ale starała się to ukryć, znałam się na tym. Cokolwiek wydarzyło się tam, na skraju miasta, najważniejsze, że przeżyła i teraz nie pragnęła niczego innego, tylko jak najszybciej o tym zapomnieć.

– Macie coś do jedzenia? Umieram z głodu – powiedziała i zatarła ręce.

Ręcznik opadł na podłogę, ale nawet nie próbowała przykryć swojej nagości. Najwyraźniej była jeszcze w szoku, musiałam więc coś z tym zrobić.

– Guga, pójdz i sprawdź, co tam macie.

Chciałam porozmawiać z nią bez męskiego towarzystwa, chciałam ją wybudzić z tego koszmaru, nawiązać z nią bliższy, siostrzany kontakt i dowiedzieć się, kto jest odpowiedzialny za to wszystko. Nagle nabrało to dla mnie egzystencjalnego znaczenia, jak gdyby od tego zależał mój własny los. Jeśli ta zmasakrowana piękność wyjdzie z tego, to mnie też uda się nie pójść na dno.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli coś na siebie włożysz. – Starłam się zabrzmieć pogodnie.

Poszła za mną do pokoju Nene. Stłumiłam w sobie przygnębienie, które ogarnęło mnie, gdy tylko weszłam do opuszczonego pokoju przyjaciółki, i szybko otworzyłam jedną z szaf. Anna była o wiele wyższa od Nene, ale udało mi się znaleźć jakiś szeroki bawełniany sweter i jakąś znoszoną już spódnicę. Usiadłam na łóżku Nene w nadziei, że Anna zrobi to samo. Jednak ona zatrzymała się przed toaletką Nene, po czym usiadła na stojącym obok taborecie.

– Guga jest taki kochany, naprawdę... – powiedziała, patrząc na siebie w lustrze, po czym wzięła leżącą na komodzie szminkę.

– Tak, to prawda. Zdaje się, że jest z tobą szczęśliwy.

Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Nie nadawałam się do takiej gry, marna ze mnie aktorka, czułam, jak narasta we mnie potrzeba, by pójść do łazienki i poszukać czegoś ostrego.

– Ja też jestem szczęśliwa, tak, nawet bardzo...

Gdy usłyszałam to kłamstwo, po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Obserwowałam ją w lustrze i widziałam, jak nanosi czerwień szminki na coraz większą powierzchnię twarzy, patrzyłam na jej klaunowskie wojenne barwy i czułam się bezradna. Nie byłam w stanie ochronić jej przed nią samą, tak samo jak nie potrafiłam ochronić siebie przed sobą. I przed życiem, które nas nie

oszczędzało, być może dlatego, że uważało, iż jesteśmy jego najdzielniejszymi żołnierzami, jego najtwardszą brygadą. Jej koszmar pociągał mnie, fascynacja zniszczeniem była niezwykle silna. Namalować sobie twarz błazna to być może ostatni żałosny sposób na ucieczkę, jaki nam pozostał.

Nagle do pokoju wpadł Guga. Błagał ją, żeby mu opowiedziała, co się stało. To było straszne patrzeć, jak szuka jakiegoś logicznego wyjaśnienia i nawet nie dopuszcza do siebie najoczywistszej myśli, jak gdyby nawet w najczarniejszych snach nie był w stanie sobie wyobrazić, że została zgwałcona, i to tylko dlatego, że ktoś chciał się dowiedzieć, gdzie przebywa jej brat.

Gdy do niej przemawiał, siedziała przed lustrem, łagodnie się uśmiechając, i bez przerwy wpatrywała się w siebie. Poprosiłam, żeby wyszedł i pomógł w inny sposób, na co przystał bez oporu. Wkrótce potem usłyszałyśmy, jak manewruje w kuchni, a po chwili dom wypełnił się zapachem masła i cebuli.

Podeszłam do okna i je otworzyłam, ponieważ w pokoju było dość duszno, a poza tym w powietrzu unosiła się nieobecność Nene. Potem odwróciłam się do Anny.

– Anna, kto to był? Musisz mi to powiedzieć. Oni muszą zostać ukarani.

– Złapali mnie na ulicy i zaciągnęli do samochodu, potem zawiązali mi oczy...

– Chodziło o Ottona?

– To była bardzo wesoła wycieczka. Było śmiesznie – powiedziała nagle i się roześmiała.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Ilu ich było? – Chciałam wyciągnąć z niej jakąkolwiek informację, jakiś punkt zaczepienia.

– Dwóch, a może pięciu. Było wesoło i przez cały czas leciały piosenki Whitney Houston. Znasz Whitney Houston? Uwielbiam ją. Uważam, że jej głos jest niesamowity.

– Anna, czy nie powinien cię zbadać lekarz?

– Dlaczego lekarz? – Odwróciła się gwałtownie w moją stronę i popatrzyła zdziwiona. – Przecież nie jestem chora. Zrobiliśmy sobie tylko wycieczkę.

Pomyślałam o Ofelii, pomyślałam o leżącej na wodzie pośród kwiatów martwej Ofelii. Wiele lat później, gdy stałam w muzeum Tate Modern przed tym obrazem Millais'a, poczułam nagle, jak wzbierają we mnie silne mdłości, ponieważ w miejsce namalowanej twarzy Ofelii napłynęła przepiękna twarz Anny z tym jej czerwonym malunkiem i popatrzyła na mnie, dlatego szybko stamtąd wybiegłam.

– Anna, to nie była wycieczka. Musimy cię zbadać, nie wyglądasz dobrze. Czy zapamiętałaś twarz, czy to był ktoś, kogo znasz? Czy chodziło o twojego brata?

Gdy zadałam to pytanie, zrobiło mi się niedobrze, ponieważ to była paradoksalna sytuacja, że akurat ja, dziewczyna brata Saby i siostra Ratiego, ją o to pytam. Poczułam, jak ogarnia mnie obezwładniający wstyd, jednocześnie miałam nadzieję, że ani Lewan, ani Rati nie mają z tą sprawą nic wspólnego.

– A czy ty wiesz, że Guga mi się oświadczył? Już dosyć długo się nie widziałyśmy, prawda? Nawet nie pamiętam, jak długo! Lubisz Whitney Houston? Uwielbiam ją, uważam, że jest fenomenalna! Muszę zaliczyć dwa egzaminy, wiosną nie czułam się zbyt dobrze, jakoś nie potrafię się skoncentrować. A czy ty chodzisz jeszcze z młodym Jaszwilim? Zawsze uważałam, że jesteście słodką parą... – Znów zaczęła rozmawiać ze swoim odbiciem w lustrze, a ja się wycofałam, czułam się bezsilna. – Nie wiem, dlaczego ja cię w szkole nie lubiłam, wydaje mi się, że to przez twoją koleżankę. Czy wciąż jesteście ze sobą blisko, Dina i ty? Papużki nierozłączki... jak ja i moje dziewczyny. Ale teraz prawie w ogóle ich nie widuję, po tej całej aferze z moim bratem... Myślę też często o Tariku, co za bezsensowna śmierć...

Nie chciałam przerywać potoku jej słów, liczyłam, że może zacznie sama z siebie opowiadać o wydarzeniach ostatniej nocy.

– ... tak samo jak Saby.

Nagle spojrzała na mnie swoimi jasnymi oczyma, a jej usta wykrzywiły się w bolesnym grymasie. Pomyślałam o tych świetlanych widokach na przyszłość,

o obietnicach, które składało jej życie, gdy była jeszcze dziewczynką, a teraz siedzi tu w ubraniu mojej nieobecnej przyjaciółki niczym umalowany na czerwono błazen i ma okaleczone ciało. Jacyż to chorzy bogowie prowadzą z nami tę grę?

– Dlaczego? Dlaczego! – Te słowa wyrwały mi się z gardła w sposób zupełnie niekontrolowany i stały się swego rodzaju oskarżeniem.

Anna spojrzała na mnie zdziwiona, potem pokiwała głową pełna zrozumienia i wstała z taboretu. Podeszła do mnie, pogłaskała po mamusinem po policzku i szepnęła mi wprost do ucha, zanim wyszła z pokoju:

– Bo my, kobiety, to wytrzymamy.

Obudziłam go krzykiem. Rzuciłam się na jego łóżko i chwyciłam go mocno za ramiona. Wydarzenia ostatniej nocy osadziły mi się w karku, nie mogłam przestać myśleć o szaleństwie Anny. Chciałam roztrzaskać tę nieprzystępność i wyniosłość, którą otoczył się w ostatnich miesiącach niczym murem, chciałam rozbić na kawałki cały ten jego zdegenerowany świat, w którym z kobiet czyniono Ofelie, plułam w twarz swojej własnej niedoskonałości, a także beznadziei, którą w tym kraju nazywano przyszłością, rzuciłam się całym swoim ciężarem do walki z brakiem perspektyw. Nie chciałam już musieć niczego wytrzymywać. Nie chciałam już dłużej czekać, nie chciałam już niczego znosić. Tego poranka byłam gotowa wziąć się z tym światem za bary, nie zważając na konsekwencje. Dina miała rację, wojna już dawno do nas przyszła, toczyła się na naszych ulicach, na naszym podwórku, w naszych kuchniach i w naszych łóżkach. To było śmieszne chcieć się przed nią bronić, nie było gdzie przed nią się kryć, a to, co święte, stanowiło jedynie kolejną pułapkę. Powinnam była poprosić Dinę, żeby zabrała mnie ze sobą, dobrze zapamiętać każde pojedyncze pole bitwy, już na nic nie przymykać oczu, przed niczym nie uciekać, wszyscy powinniśmy się pokazać, wszyscy powinniśmy ujawnić swoje blizny, powinien mnie zobaczyć, mój brat powinien mnie zobaczyć.

– Co to ma znaczyć? – Usiadł, odsłaniając nagi tors, przetarł oczy i spojrzał na mnie z wściekłością. – Odbiło ci?

– Co z nią zrobiliście?! – Wrzeszczałam, jakby mnie przypalali na ruszcie.

– Z kim, o czym ty mówisz? Co to wszystko ma znaczyć? – Złapał mnie za nadgarstki i powalił na łóżko. – Uspokój się, zachowujesz się jak jakaś histeryczka!

– Nie mam zamiaru się uspokajać, chcę wiedzieć, czy masz z tą odrażającą sprawą coś wspólnego. Nasłałeś kogoś?

Nadal trzymał mnie tak mocno, że zaczęły mnie boleć ręce. Ale broniłam się, stawiałam opór, nie dawałam się, więc poczuł się zmuszony zastosować jeszcze więcej siły.

– O czym ty mówisz? Wzięłaś coś?

– O Annie Tatiszwili! Co z nią zrobiliście?

– Anna? Jak to Anna? Co się stało?

– Ostatniej nocy... ona została... – Myślałam, że się udławię.

Ale Rati zdawał się wszystko rozumieć.

– Uważasz mnie za faceta, który mógłby zrobić kobiecie coś takiego?

– Groziłeś Dinie nożem.

Spojrzał na mnie przerażony. Potem zeskoczył z łóżka i zaczął pospiesznie się ubierać.

– Przysięgnij, że nie masz z tą sprawą nic wspólnego!

Stał odwrócony do mnie plecami, potem powoli się odwrócił i wtedy rozpoznałam w nim tego małego chłopca, którym był kiedyś, tego serdecznego, potrzebującego wsparcia chłopca, który ciągle mnie nabierał i jednocześnie denerwował, który nieustająco upewniał się co do mojej miłości, który czcił naszą zmarłą matkę i który cmokał babudy po rękach, gdy czuł się wyjątkowo szczęśliwy, który opowiadał ojcu brzydkie kawały po to, żeby zobaczyć jego rozbrojoną minę. Rozpoznałam w nim tego szybkiego jak wiatr, niespokojnego chłopca z najpiękniejszym uśmiechem na świecie, tak, znów go zobaczyłam. I postanowiłam, że już nigdy nie pozwolę mu znów mi się wymknąć.

– Przysięgam na dedę – powiedział tylko.

Uwierzyłam mu.

– Lewan? – wymamrotałam.

– O co ci chodzi?

– Lewan. Sprowadź go tutaj. Musisz go wypytać.

– Nigdy w życiu, nigdy w życiu nie zrobiłby czegoś takiego... nie, w żadnym razie!

– Jest opętany chęcią zemsty na Ottonie, może mu się przepaliły bezpieczniki. Przeprowadź go tutaj!

Wydawało mi się to niezwykle ważne, jak gdyby cała moja egzystencja zależała od tego, żeby mieć pewność, iż ci dwaj mężczyźni nie ponoszą żadnej winy. Nieszczęście Anny było także moim nieszczęściem, jej porażka albo jej przetrwanie były także moją porażką i moim przetrwaniem.

– Lewan nigdy by tego nie zrobił. Nie za moimi plecami.

– Jesteś taki zaślepiony, tu nie chodzi o ciebie, nie zawsze jesteś pępkiem świata. On musi walczyć z własnymi demonami, a ty ostatnio wypiąłeś się na niego, od kiedy ze mną...

– I słusznie. To jest cena za to, że zaciąga do łóżka moją siostrę!

Przygotował się do wyjścia i właśnie zamierzał opuścić pędem mieszkanie. Chwyciłam swoją ostatnią szansę i uczepliłam się go. Bezskutecznie próbował oderwać się ode mnie i w ten sposób pociągnął mnie za sobą na galerię, gdzie uderzyłam głową o jedną z ciężkich donic Nadii Aleksandrownej, krzyknęłam głośno i upadłam. Przestraszył się, natychmiast pochylił się nade mną, usiadł na zakurzonej podłodze i położył moją głowę na swoich kolanach. Skuliłam się, chciałam, żeby trzymał mnie mocno, i chciałam go zatrzymać, tego brata z mojego dzieciństwa.

– Keto... boli?

– Sprowadź go.

Wkrótce potem Lewan stał pod naszymi drzwiami. Od kiedy ogłosił publicznie nasz związek, znacznie ochłodziły się jego stosunki z Ratim. Nie ukrywał swojego

niezadowolenia z tego, że Rati go zdegradował i dawał mu uwłaczające zadania, mimo że już dawno awansował do roli jego prawej ręki. Ja też nie widziałam go od czasu naszej nieudanej wycieczki do Bakuriani, która całkiem wymknęła się spod kontroli. W sumie to liczyłam, że mnie przeprosi, ale jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że to nie nastąpi. Czułam, że coś wisi między nami w powietrzu, gdy tylko przekroczył nasz próg, ale teraz to nie miało żadnego znaczenia. Cała nasza trójka usiadła przy stole w jadalni.

– Cóż to za pilna sprawa? – spytał w końcu Lewan.

– Anna Tatiszwili.

Jego twarz pozostała nieruchoma, uniósł brwi, spojrzał na mojego brata i zaciągnął się papierosem.

– Podobno coś się stało Annie, ale co dokładnie, Keto mi nie powiedziała.

Rati popijał od niechcienia kawę, a ja pomyślałam przez moment, że szkoda, że nie widzieli w nocy tego, co ja widziałam, tej pomalowanej na czerwono twarzy Anny, jej zatrważającego śmiechu, jej tańca nad przepaścią.

– Już jej wyjaśniłem, że nie mamy z tą sprawą nic wspólnego. Ale chce usłyszeć jeszcze to samo od ciebie.

Obserwowałam Lewana z boku i wydało mi się, że zauważyłam niepokojący błysk czegoś, czego nie potrafiłam ubrać w słowa. Znów zakręciło mi się w głowie. Otworzyłam gwałtownie okno.

– A co się stało Annie?

Znów pojawił się ten krótki błysk niepokoju, zarysowujący się między jego brwiami.

Spojrzałam prosto na Lewana.

– Czy masz z tym coś wspólnego?

– A co to ma być? Przesłuchanie? Nie wiem, do czego zmierzasz.

I wtedy, w tamtym momencie, zdałam sobie sprawę, że jest już dla mnie stracony, że już nigdy do mnie nie wróci, że już dawno wyrzucił ze swojego życia wszelką muzykę. Zrozumiałam, że żądza zemsty wypędziła z niego wszystko, co

dobre i godne miłości. Nagle mogłam w niego wejrzeć i zobaczyłam tam coś, czego mój brat nie dostrzegął. Zauważyłam jego podenerwowanie, które układało mu zmarszczki na czole, jego narastającą panikę, która kazała mu drapać się raz po raz po głowie, a w sposobie, w jaki zaciągał się nerwowo papierosem, rozpoznałam jego przeświadczenie, że ktoś zapędza go w kozi róg.

– To ty – powiedziałam, oddychając ciężko, i zaczęłam powoli wstawać z krzesła.

– Co ty gadasz?! – obruszył się głośno.

– Lepiej powiedz, co zrobiłeś – powiedziałam cicho z groźbą w głosie, odwracając się do niego plecami.

Moja reakcja wzbudziła w Ratim nieufność, on także zaczął przyglądać się Lewanowi.

Odwróciłam się z powrotem i podeszłam do Lewana. Wiedziałam, że ostatni raz jestem tak blisko niego. Klękłam przed nim i położyłam mu ręce na kolanach, dotknęłam jego zimnej, wilgotnej dłoni. Potem spojrzałam mu prosto w jego ciemne oczy pod gęstymi rzęsami. Pożegnałam w tym momencie siebie, tą siebie, którą mogłam się stać u jego boku, pożegnałam się z tym kimś, kim już nigdy dla mnie nie będzie, pożegnałam się z tym wszystkim, czego nie przeżyjemy razem, co nie zostanie wypowiedziane i czego nigdy nie dotkniemy, pożegnałam się z tym chłopakiem, który potrafił godzinami opowiadać mi o pięknie muzyki.

– Dlaczego?

Rati, którego ten widok wyraźnie przerastał, odwrócił od nas wzrok.

– Lewan, powiedz natychmiast, że nie masz z tym głównem nic wspólnego! – Głos mego brata obniżył się o oktawę.

Lewan popatrzył na mnie, na jego twarzy zaczęło zarysowywać się przerażenie, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, co się rozpętało. Ścisnął moją dłoń.

– Co z nią zrobili? – zapytał mnie drżącym głosem.

– Było ich kilku – odpowiedziałam tylko.

Nie spuszczałam wzroku, wytrzymałam jego załamanie, szłam ze światem na wojnę.

– Co ty zrobiłeś? – Rati podszedł do nas, złapał go za włosy i podniósł z krzesła.

Lewan spojrział gniewnie na niego.

– Ty o nim po prostu zapomniałeś! Tak samo go zdradziłeś jak inni, a w tym czasie robiłeś interesy z klanem Koridze. Saba był moim bratem, do jasnej cholery, i był twoim najlepszym przyjacielem! Myślałem, że będziesz góry przenosił, żeby tylko znaleźć jego mordercę. Byłem przekonany, że nie spoczniemy, dopóki Otto Tatiszwili nie dostanie tego, na co zasłużył. Ale ty o nim po prostu zapomniałeś, jak gdyby nigdy nie istniał. Miałem już dość tego zwodzenia, nie rozumiesz? Ty nie musisz słuchać co noc, jak twoja matka wypłakuje duszę. I jeszcze na dodatek zawarłeś deal z tym poronionym Koridze, po tym jak przeleciał twoją kobietę... Owszem, znalazłem paru facetów, którzy dotrzymują słowa, facetów z jajami!

Rati się nie ruszał. Nawet nie widząc jego twarzy, wiedziałam, co się w nim teraz dzieje.

– Chyba nie mówisz poważnie? Nie mów, że poszedłeś do tych bydlaków z Mchedrioni? – Głos Ratiego brzmiał tak, jakby docierał gdzieś z oddali. Nie było w nim już złości, lecz jakieś bezdenne rozczarowanie, głęboka obraza.

Dopiero wtedy mi zaświtało – oczywiście, że tylko te żołdaki mogły sobie pozwolić na taką bezlitosną swobodę, tylko oni mogą robić, co im przyjdzie do głowy, fakt, że Lewan poszedł akurat do największych wrogów Ratiego i poprosił ich o pomoc, był dla mojego brata niewybaczalną, kolosalną zdradą.

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś. Ci mordercy i gwałciciele mają cię teraz w garści.

To były ostatnie słowa, które Rati skierował do niego. Lewan szukał u mnie wzrokiem pomocy, jak gdyby nagle opuściła go cała odwaga.

– Keto, musisz mi uwierzyć, Keto, spójrz na mnie, ja bym nigdy czegoś takiego nie zrobił, to znaczy, ja nie wiedziałem, że posuną się tak daleko. Nigdy w życiu!

Keto, proszę cię, Keto!

Jego słowa już do mnie nie docierały. Zapanował we mnie całkowity spokój, jakbym zanurzyła się w czystym ciemnoniebieskim jeziorze. Świat zewnętrzny odpadł ode mnie, zrobiło się nagle tak spokojnie i cicho. I gdyby w tamtym momencie mój brat zabił Lewana, nawet bym nie drgnęła.

Upalne dni tego lata lizały moje rany. Spędzałam sporo czasu w zapuszczonym, a mimo to bardzo lubianym atelier Diny, czekałam na nią godzinami w małym pokoiku obok, podczas gdy ona wywoływała zdjęcia w ciemni. Potem pokazywała mi je rozentuzjasmowana, a mnie przypadał w udziale zaszczyt być ich pierwszym odbiorcą. Podczas oczekiwania łąziłam czasem bez celu po pustych korytarzach i opuszczonych pokojach tego budynku, o którym prawie nic nie wiedziałam, ale też nie chciałam wiedzieć. Przeglądałam zardzewiałe szafy biurowe i grzebałam w stertach starych papierów walających się na parterze. Lubiałam wilgotną samotność i pachnącą papierem pustkę tego opuszczonego budynku, który należał tylko do nas i do którego oprócz nas nikt nie przychodził. Nie rozmawialiśmy dużo, czekała na zielone światło z redakcji, żeby ponownie pojechać do Abchazji. Obawiałam się jej wyjazdu. Mimo to nic nie mówiłam, traktowałam to jako nieuniknioną konieczność. Życie albo to, co z niego zostało, tak czy siak nas dopadało i potrafiło wytropić każdą naszą kryjówkę.

Dostawałam regularnie listy od Iry. Ponieważ powierzyła mi rolę pośredniczki, nie pisała ani do Nene, ani do Diny, lecz ja byłam tą wybraną, od której chciała wszystkiego się dowiedzieć i której wszystko relacjonowała, choć trzeba przyznać, że od ponownego ślubu Nene ton jej korespondencji stał się bardziej szorstki i brzmiał mniej entuzjastycznie. Opisywała minuta po minucie swoją amerykańską codzienność, od czasu do czasu wkładała do koperty zdjęcia siebie robione polaroidem albo pocztówki przedstawiające sielskie krajobrazy Pensylwanii. Na tych fotografiach miała na sobie zupełnie obco wyglądające ubrania, które w ogóle nie kojarzyły mi się z tą Iry, którą znałam, na przykład za duże bluzy z kapturem z widocznym logo uniwersytetu albo bejsbolówkę na głowie. Wyglądało na to, że

starła się dopasować do otoczenia, była teraz w stosunku do nas jakby na pasie do wyprzedzania, a z każdej linijki jej listu przemawiały do mnie jej dyscyplina i ambicja. Któregoś razu napisała mi, że ubiegała się o kontynuację stypendium i ją dostała, dlatego przedłużyła pobyt – otrzymała wyjątkową szansę, by studiować na renomowanej Uniwersytecie Stanforda, przy pełnym pokryciu kosztów przez amerykańskich partnerów związanych z tą elitarną uczelnią, więc nie mogła powiedzieć „nie”.

Czytając tę wiadomość, przypomniałam sobie zdanie, które dawno temu mnie i Nene wprowadziło w osłupienie, gdy Ira postanowiła z dnia na dzień porzucić grę w szachy: „Chcę w przyszłości grać tylko w to, w czym będę mogła naprawdę wygrywać”. Naturalnie cieszyłam się jej szczęściem i zastanawiałam się, co by to dla niej oznaczało, gdyby została w Ameryce. Dina przyjęła tę wiadomość zupełnie spokojnie, jak gdyby nigdy nie brała niczego innego pod uwagę.

Podczas jednej z moich wizyt u Diny pojawił się niespodziewanie Cotne. Pomagałam jej akurat wtedy ustawiać wielki reflektor i Cotne zdawał się niemiłe zaskoczony, że mnie tu zastał. Miał ze sobą koszyk wykwinnych specjałów, którymi potem z przyjemnością się zajadaliśmy, siedząc na rozłożonym kocu, przyniósł też drogi słodki likier, którego wprowadziła ani Dina, ani ja nie lubiliśmy, jednak się nim poczęstowaliśmy.

Był małomówny, w sposobie, w jaki patrzył na Dinę, mogłam rozpoznać ukryte, drżące gdzieś głęboko pożądanie, takie samo, jakie często widywałam także w oczach mojego brata. Nigdy nie potrafiłam dobrze maskować swojej awersji i braku zaufania do niego, ale ze względu na Dinę starałam się nie okazywać pretensji i bardzo się pilnowałam, żeby po raz kolejny nie dać jej odczuć, że ją za coś potępiam. Była, podobnie jak ja, zmęczona upalnymi, niczym nieróżniącymi się od siebie dniami, które wywoływały jakąś dziwną apatię i poczucie pustki, choć trzeba przyznać, że w sumie niczego konkretnego nie można im było zarzucić i nawet chętnie z nich korzystaliśmy. Od pewnego czasu czuliśmy się wyczerpani i przygnębieni natłokiem wydarzeń ostatnich miesięcy, więc w zasadzie byliśmy teraz wdzięczni za tę monotonię.

Cotne pokazał nam zdjęcie Luki, na którym widać było jego rozkoszne szare oczy i pucołowate policzki. Nene trzymała niemowlę na ręku i uśmiechała się promiennie do obiektywu. Na szyi miała tak kosztowny naszyjnik, że wyglądała w nim po prostu jak nie z tej bajki. Opowiadał, że wybiera się wkrótce z mężem w podróż po Europie. Dina i ja przysłuchiwałyśmy się w milczeniu, cóż miałyśmy powiedzieć, trudno nam było sobie wyobrazić ją u boku tego mężczyzny z wyuczoną na pamięć serdecznością. Nawet nie byłyśmy w stanie przedstawić sobie jego bogactwa, szczególnie że same jadłyśmy tutaj kotlety z resztek chleba i kupowałyśmy benzynę w małych plastikowych kanistrach. Cóż więc mogłyśmy rozumieć pod pojęciem podróży po Europie? Czy powinny były nam się przewinać przed oczyma pocztówkowe motywy z Paryża albo Londynu, nam, siedzącym tutaj w okopach? Po prostu miałyśmy tylko nadzieję, że przynajmniej jest jej lepiej niż nam.

Nie miałam odwagi zapytać Cotnego o Gugę. Po tamtej straszliwej nocy poszłam do niego jeszcze raz. Pocieszałam go, jak mogłam, głaskałam po szerokich barach, zapewniałam, że wszystko będzie dobrze, mimo że sama w to nie wierzyłam. Ponieważ Anna pozostała już wierna swojemu szaleństwu, wzbraniała się przed zrelacjonowaniem tego, co się wydarzyło, i odrzucała wszelką pomoc. Rodzice wysyłali ją do terapeuty, ale jak dotąd bez skutku. Guga zadał mi pytanie, czy powinien poprosić swego brata o rozmowę. Co miałam mu poradzić? Poinformowanie Cotnego przyniosłoby tylko dalsze cierpienia, kolejne akty odwetu i zemsty i ta nieustająca karuzela przemocy kręciłaby się dalej. A jednocześnie takiego bestialstwa nie można było tak po prostu darować i puścić w niepamięć.

Gdy siedzieliśmy sobie na tym wełnianym kocu w pracowni Diny i spożywałyśmy drobne rarytasy, które Cotne zakupił w nowo otwartym supermarkecie, gdzie płaciło się wyłącznie dolarami, i które miały zupełnie nieznaną mi dotąd i dlatego tym bardziej ekscytujący smak – marynowane oliwki, kapary, których spróbowałyśmy pierwszy raz, małe brytyjskie krakersy i chipsy o octowym smaku – zabrakło mi tym razem odwagi, żeby zapytać go o Annę. Nie

byłam gotowa na kolejną potworność. Łaknęłam chwili oddechu, dlatego delektowałam się gnuśnością spokojnych letnich dni. Chwytałam je garściami, inhalowałam się nimi, najadałam się nimi do syta, gromadziłam je jak zapasy na zimę, potrzebowałam ich do walki ze sobą samą, z dojmującą potrzebą, żeby się pociąć. Były lekarstwem na ten przemożny ponury nałóg.

Na początku sierpnia zadzwoniłam do niego. Nie sądziłam, że podejdzie do telefonu, ale to zrobił. Potrzebowałam kilku sekund, żeby wydobyć z siebie jakieś słowo, aż w końcu poczułam się wystarczająco pewnie, żeby wymówić jego imię. Na początku był zdystansowany, ta rozmowa była dla niego niewygodna. Nie spodziewałam się niczego innego, powtarzałam w kółko swoją prośbę, by się ze mną spotkał i pozwolił mi się wytłumaczyć, aż w końcu rzeczywiście dał się przekonać. Umówiliśmy się w parku Wake położonym niedaleko opustoszałego budynku, w którym spędzałam swoje leniwe dni z Diną. Na miejsce spotkania wyznaczyliśmy pomnik Poległego Żołnierza z jego wiecznym ogniem, przy którym podczas mroźnych zimowych wieczorów niejeden miał możliwość się ogrzać.

Rezo zapuścił długą brodę i był bardzo blady, jak gdyby tygodniami unikał słońca. Na jego widok strasznie zabiło mi serce, byłam przekonana, że to słyszy. Nie pocałowaliśmy się na powitanie. Ale za to wcisnęłam mu do ręki lody, które kupiłam w małym kiosku tuż przy wejściu do parku, i poprosiłam go, żeby usiadł ze mną na kamiennych schodach. Weszliśmy na górę, pokonując niezliczone stopnie. Mieliśmy tam cały park u stóp i nikt nam nie przeszkadzał.

– Chciałabym cię przeprosić – powiedziałam bez większych ogródek, gdy już sobie usiedliśmy.

Milczał. Nabrałam głęboko powietrza, zanim wygłosiłam ułożoną wcześniej mowę:

– Byłam okropna w stosunku do ciebie, powinnam była zrozumieć, że nie chcesz mnie więcej widzieć. Ale chcę ci powiedzieć, że jesteś dla mnie bardzo ważny i że jestem ci wdzięczna, wdzięczna za wszystko, co mi umożliwiłeś, ale przede wszystkim za twoją przyjaźń. Mam wrażenie, że moje życie to wieczny

sztorm, chwytam się niewielkiej tratwy i patrzę, jak nacierają na mnie gigantyczne fale, i za każdym razem jestem pewna, że to już ta ostatnia, że porwie mnie ze sobą ostatecznie i na zawsze i że już nigdy nie wrócę na powierzchnię. Ale potem okazuje się, że jakimś cudem udaje mi się przetrwać. Jednak to nie ustaje, wciąż pojawiają się nowe, a ja nie robię niczego innego, tylko staram się przetrwać. Ty byłeś dla mnie jak łódź ratunkowa, która pojawiła się nagle znikąd, ale okazało się, że zapomniałam, jak to jest czuć się bezpiecznie. Walka o przetrwanie to jedyne, co nadaje mi sens, jeśli to odpada, jestem niczym. I dlatego wtedy w Stambule, w tym spokoju, w obliczu tego piękna, tak się przestraszyłam, że wskoczyłam z powrotem do wody i popłynęłam do swojej tratwy.

Milczał deprymująco długo. Jadł swoje lody jak grzeczne dziecko i ocierał gęstą brodę, z tym swoim poważnym, udęczonym, lekko naburmuszonym wyrazem twarzy wyglądał jak bohater powieści Dostojewskiego.

– Bardzo mocno mnie zraniłaś, Kipiani – powiedział w końcu i to zdanie zabrzmiało jak wyrok. – Zawsze cię lubiłem i wydawało mi się, że z wzajemnością. Ale widocznie się myliłem.

– Lubię cię, Rezo, lubię cię, i to bardzo. Jest mi z tobą tak dobrze. Ale zapomniałam, jak to jest, oduczyłam się tego, rozumiesz?

Ponownie długo zwlekał z odpowiedzią. Zawstydzona patrzyłam na ziemię. A on czekał. Czekał, aż podniosę wzrok. Wydawało mi się, że patrzymy tak na siebie w milczeniu całą wieczność. Było w tym coś przenikliwego, nagiego, bezbronnego. On był tak niesamowicie rzeczywisty z tą swoją cierpliwością i lekko melancholijnym, a jednocześnie lekko drwiącym sposobem bycia, czułam, jak coś we mnie mięknie, taje, znika. Uśmiechnęłam się.

– Czy pojawiło się dużo nowych blizn? – zapytał.

– Nie, nie tak dużo. Robię, co mogę – przyznałam.

– Dobrze, to ważne. We wrześniu jadę do Kijowa, dostałem tam duże zlecenie. Słynna katedra Świętego Aleksandra jest całkowicie odrestaurowywana i mam zająć się jednym z malowideł ściennych. Chcesz pojechać ze mną?

Spodziewałam się wszystkiego, ale nie tego. Jego wspaniałomyślność i bezwarunkowa wola, by być dla mnie dobrym, zdawały się o wiele trudniejsze do zniesienia niż wszystkie rozczarowania, które przeżyłam z Lewanem.

– Zleceniodawcami są tym razem katolicy, więc musisz być grzeczna – powiedział i niespodziewanie się roześmiał.

– Rezo, nie wiem, co mam powiedzieć, jestem za bardzo zaskoczona.

– Nie musisz teraz nic mówić. Przemyśl to. Dla mnie ta sytuacja też jest pewnym wyzwaniem. Poza tym to ważne zlecenie i chciałbym je dobrze wykonać. Więc twoja pomoc mi się przyda.

– Nie jestem tak dobra, jak sądzisz – zaproponowałam.

– O tym, co ja sądzę, decyduję jak na razie ja sam. – Podniósł się ze schodów.

– Dokąd idziesz?

– Trzymaj się, Kipiani.

Odwrócił się do mnie plecami i zaczął powoli schodzić długimi schodami, a ja zostałam u stóp Poległego Żołnierza i długo za nim patrzyłam.

Ira staje obok mnie, sprawia wrażenie spokojnej i opanowanej. Nieobecność Nene rozładowuje na chwilę sytuację. Obie pijemy wodę, musimy mieć teraz możliwie jasne myśli. Nasze rozmowy są zbyt gorączkowe, różnice między nami zbyt niejasne i zagmatwane, pamięć bawi się z nami w kotka i myszkę, gubimy się na ścieżkach czasu, próbujemy za pomocą zniekształconej przez czas pamięci zrekonstruować kolejność pewnych wydarzeń, jednak te z późnego lata i jesieni nakładają się na siebie. Rozsypane, niepasujące do siebie elementy nie chcą ułożyć się w żadną harmonijną całość. Jestem zła, ponieważ Ira wymienia fakty, podporządkowuje wydarzenia jakiejś pozornej logice i nakreśla czas jako ciąg przyczyn i skutków, choć wtedy przebywała na drugim krańcu świata. Jestem także zła, ponieważ twierdzi, że właśnie dlatego jej spojrzenie na pewne sprawy jest bardziej precyzyjne. Z dystansu widzi się lepiej, tęsknota wyostrza rozum, poprawia postrzeganie. Porządkowała wszystkie moje nadchodzące z opóźnieniem

listy według daty, ze wszystkich moich słów urządziła w swoim pokoiku na poddaszu kalifornijskiego akademika domowy ołtarzyk.

Ja jednak wiem, że wszystkie te wydarzenia stanowią wprawdzie pewne kontinuum, ale w żadnym razie nie mają uporządkowanej struktury, nie przypisywałabym im nawet jakiejś określonej kolejności. Raczej myślę o nich jak o swego rodzaju paralelach. Dina w Suchumi, w skażonym nienawiścią mieście, a Nene na zdjęciach wklejonych do albumu, prezentowanych mi z dumą, na których widać, jak raz stoi na tle wieży Eiffla lub Koloseum, a innym znów razem na tle Akropolu, przy niej zaś nieodłączny, oślizgły jak węgorz małżonek w lnianych beżowych spodniach, wpatrujący się z uśmiechem w obiektyw, oraz uroczy chłopczyk w wózku dziecięcym prowadzonym przez korpulentną rosyjską nianię. Myślę jednocześnie o wyglądających obco bejsbolówkach Iry, jej krótkich spodenkach i o tym, jak płynie gdzieś tak ubrana kajakiem. Myślę o sobie w Kijowie, o olbrzymim hotelu, wciąż tkwiącym w epoce sowieckiej i mającym niewielu gości, w którym Rezo i ja dostawaliśmy na śniadanie kiszone ogórki i suche plasterki kielbasy i w którym mimo to dobrze się czuliśmy, i na którego długasnych korytarzach z odpadającą tapetą i imponującymi żyrandolami znów urządzaliśmy sobie wyścigi.

W moich wspomnieniach wszystko staje się jednym wydarzeniem, to jest ta sama historia – opowiadana od różnych krańców. To są moje łzy Jezusa i judaszowe srebrniki, w moich wspomnieniach równoczesne, nierozłączne, nieodzowne, tylko razem dające sumę wszystkiego, czym byliśmy i jesteśmy. My, które próbujemy teraz odkrywać swoją historię, wydzierać tym zdjęciom swoje tajemnice, my, postacie, które pragną dla siebie jakiejś puenty, używają wszelkich środków, by już dawno wydany wyrok dotyczący przebiegu naszej historii móc napisać na nowo. Oto stoimy tutaj, nasze trio, które zdołało uciec, którym powiódł się skok w terażniejszość, my, ocalone, które próbują dalej żyć w imieniu tych wszystkich, którym to nie było dane i którzy na tych zdjęciach już na zawsze pozostaną młodzi. Musimy objąć życie wszystkimi zmysłami, wchłonąć wszystko, co ma nam do podarowania, żebyśmy przynajmniej my dostały to, co innym

okazało się niedostępne. Stoimy tutaj i nie chcemy przyznać się do tego, że to zadanie przerasta nasze możliwości, ponieważ pragnienia i oczekiwania tych, którzy odeszli, są nieludzko wielkie, tych luk nie da się niczym zapełnić. Nieustająco zatajamy przed światem, że nadal jesteśmy w stanie ucieczki, że ciągle uciekamy przed tym brzemieniem, przed tym niesprawiedliwym losem i że czasami wolałybyśmy być na miejscu tych, którzy pozostali po drugiej stronie zdjęć, tak by nie musieć znosić porażki z powodu niemożliwości spełnienia tych zbyt wielkich oczekiwań. Kroczymy więc przez to muzeum, muzeum pomyłek, i poddajemy się iluzji, że przynajmniej na kilka godzin budzimy martwych do życia.

Przepowiednie Ratiego się sprawdziły. Lewan, skompromitowany publicznie przez Ratiego, odrzucony i odsunięty od wszystkich istotnych zadań, przywdział wojskowy mundur moro, zarzucił na ramię kałasznikowa i przeszedł do obozu wroga: przyłączył się do ugrupowania Mchedrioni. W grupie Ratiego doszło wtedy do pewnych waśni, niektórzy trzymali z Lewanem i zdystansowali się od Ratiego, na co ten ich poobrażał i rozżłoszczony przepędził na cztery wiatry. Ponieważ jedynym źródłem dochodu chłopaków były nielegalne machlojki, te drobne opryszki nie chciały tak łatwo zaakceptować wykluczenia, w związku z czym eskalacja konfliktu i rozpad grupy zdawały się tylko kwestią czasu.

Błyskawiczna kariera Cotnego w charakterze barona narkotykowego ostatecznie dopełniła miary. Narkotyki już dawno stały się częścią naszej codzienności, Cotne po raz kolejny wyprzedził Ratiego o krok, ponownie ich drogi życiowe niebezpiecznie się skrzyżowały i Rati znów miał poczucie, że przegrał z Cotnem.

Dlatego najpierw wypowiedział wojnę ludziom z Mchedrioni, żeby potem przygotować się na kolejną, bardziej decydującą bitwę. Objął kontrolą jeszcze kilka dodatkowych salonów bukmacherskich, więc zyski stamtąd przestały płynąć jak dotychczas do Mchedrioni, co pociągnęło za sobą represje i proceder zastraszania. Atakowano i plądrowano kioski oraz sklepy znajdujące się pod ochroną Ratiego,

napadnięto również na Sancho, i to na środku ulicy. Rati zemścił się, łamiąc jednemu z napastników kilka żeber.

I tak oto spokój i jednostajna monotonia moich letnich dni nagle się urwały, gdy pewnego dnia obwieszona bronią maszynową jednostka Mchedrioni wpadła szturmem do naszego mieszkania na Winorośli, przeszukała je i wszystko powywracała. Poszło im to bardzo sprawnie, ale my staliśmy potem w ciężkim szoku i na drżących nogach jeszcze bardzo długo. Nasz ojciec został upokorzony, Eter była ganiana przez uzbrojonych mężczyzn po całym mieszkaniu, mnie szturchno i przepędzano z pokoju do pokoju, a w tym czasie mój brat ze złości wychodził z siebie i zaczął popełniać błąd za błędem.

Atmosfera po tym wszystkim zrobiła się gęsta. Rati ze wstydu zamknął się w sobie i zaczął ulegać spalającej go od środka sile zniszczenia. Pił i wyklócał się ze wszystkimi. Ojciec groził, że wyrzuci go z mieszkania. Rati zatrząskiwał za sobą drzwi i znikał na kilka dni. Eter umierała ze zgrzyoty i zarzucała naszemu ojcu, że tylko prowokuje syna do dalszych głupstw. Ojcu nie przychodziło wtedy nic innego do głowy, jak tylko włączyć płytę Dizzy Gillespiego i awanturować się z duchem naszej zmarłej matki, która rzekomo wpakowała go w tak beznadziejną sytuację. Wymykałam się wtedy z domu, bo nie mogłam znieść tej atmosfery. Błądziłam ulicami i znajdowałam schronienie na małej wyspie u Diny. Uciekałam od narzuconego mi życia w poszukiwaniu jakiegoś innego.

Na kilka dni przed ponownym wyjazdem do Abchazji Dina wyszła późno z redakcji. Mieli długie zebranie, więc była bardzo zmęczona. Z powodu późnej pory nie mogła już złapać żadnego publicznego środka transportu, których zresztą także za dnia było już niewiele, i pozwoliła Cotnemu odwieźć się do domu. Właściwie starała się nie pokazywać z nim w naszej dzielnicy. Zazwyczaj przychodził do niej do pracowni. Ich relacja, której kilka tygodni wcześniej wielokrotnie byłam świadkiem, wydawała mi się niejasna i trudna do nazwania. Nie ulegało wątpliwości, że istniała między nimi jakaś szczególna zażyłość, choć unikali pewnych tematów. Nigdy jej nie opowiadał o tym, czym się zajmuje, a i ona

rzadko wtajemniczała go w swoje plany. Ale był przy niej i prawdopodobnie było to coś, o co im obojgu chodziło. Za pomocą drobnych gestów okazywał jej zainteresowanie i wysyłał sygnały, że może na niego liczyć. Od czasu do czasu dawał jej jakiś kosztowny prezent, jak na przykład zegarek firmy Casio, który Dina bardzo polubiła, albo wysokiej klasy albumy ze zdjęciami cenionych przez nią fotografów. Lika wspomniała kiedyś mimochodem, że jest jakiś „tajemniczy wielbiciel”, który zaopatruje je w gaz i naftę, nie ujawniając swojej tożsamości.

Co ją przy nim trzymało? W pewnym momencie przestałam dokopywać się sedna tego związku, bo i tak nigdy bym go nie zrozumiała. Gdy była z Ratim, trudno było nie zauważyć, że jej miłość do niego była rozbuchana, natomiast w obecności Cotnego Dina była opanowana, wręcz oziębła, jakby zależało jej na tym, żeby nie okazywać swoich potrzeb. On zdawał się nie mieć z tym problemu. Niczego nie żądał. Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że tych dwoje to nadzwyczaj ostrożni ludzie, którzy sparzyli się w życiu, którzy są świadomi kruchości swojej relacji i pod żadnym pozorem nie chcą narażać jej na niebezpieczeństwo. W jej obecności zmieniał się nie tylko jego język – rezygnował z wulgaryzmów ulicznego żargonu – lecz także postawa ciała. Kontrolował się i był uważny, jakby poruszał się wśród porcelany. Ona wydawała się w jego obecności spokojniejsza, może nawet bardziej zrównoważona. Zawsze zapewniała mnie, że spotkali się zupełnie przypadkiem, że w ogóle tego nie planowali. Nigdy nie umawiali się jak normalna para zakochanych, nigdy nie podejmowali niczego razem, nie pokazywali się publicznie. Ale też nie wpadali w nerwową krzątaninę, gdy niespodziewanie zastało się ich razem. Tylko raz byłam świadkiem ich kłótni, którą Cotne swoim opanowaniem zdusił w zarodku. On rozumiał o wiele lepiej niż mój brat, że Dinę można było zatrzymać przy sobie, zapewniając jej całkowitą wolność. Jednak także on cierpiał z powodu jej decyzji o ponownym wyjeździe na wojnę. I któregoś wieczoru podczas jednego z naszych już od pewnego czasu regularnie odbywających się pikników na kocu w atelier Diny doszło do owej kłótni, ponieważ Cotne wyraził swój brak zrozumienia dla jej decyzji.

– Przecież ciebie ludzkie życie gównu obchodzi – skontrowała go z miejsca, jak na nią wyjątkowo brutalnie.

– Dlaczego tak myślisz? – spytał, unosząc przy tym wysoko brwi.

– Biorąc pod uwagę, czym się zajmujesz, to się rozumie samo przez się – odpowiedziała z sarkazmem i wpackowała sobie do ust kawałek czekolady.

– Naprawdę sądzisz, że ludzie nie ćpaliby, gdyby mnie nie było?

Nie spodziewałam się takiej otwartości. Wszyscy zawsze omijali ten temat, nikt nie mówił w obecności Cotnego o jego narkotykowych interesach.

– Oczywiście, że by to robili. Ale to nie zwalnia cię od odpowiedzialności.

– Już dawno wziąłem ją na siebie, bez obaw.

– Czyżby? – Spojrzała na niego iskrzącymi ze złości oczami.

– A czy byłabyś gotowa zostać w Tbilisi, gdybym wycofał się z interesu?

To pytanie wprowadziło nas obie w osłupienie. Odjęło mi mowę. Dina nie spieszyła się z odpowiedzią, przeżuła do końca czekoladę, przełknęła ją i powiedziała bardzo spokojnym i poważnym głosem:

– Nigdy bym tego od ciebie nie wymagała. Nie uznaję ponoszenia wykalkulowanych ofiar, które się opłacają. Popatrz na swoją siostrę. I dlatego nie powinieneś oczekiwać ode mnie czegoś takiego. Nawet jeśli zacząłbyś się nagle zachowywać jak wzorowy obywatel, co jest bardzo mało prawdopodobne, nigdy nie staniesz się innym człowiekiem. Podobnie jak ja, niezależnie od tego, czy będę siedziała w domu i piekła ciasteczka, czy pstrykała zdjęcia na froncie. Siedzisz teraz tutaj wyłącznie dlatego, że olewamy moralność i w przeciwieństwie do większości ludzi wcale się tego nie wypieramy. Właściwie to wszyscy olewają moralność, gdy tylko okoliczności temu sprzyjają, z tym że większość nie przyznaje się do tego. Rati jest taką osobą, dlatego to ty siedzisz teraz tutaj, a nie on.

Tym samym dyskusja została zakończona.

Gdy później wszyscy razem wychodziliśmy z budynku, usłyszałam, jak Cotne, przytrzymując nam drzwi, powiedział jakby od niechcenia:

– Twoje życie jest dla mnie tak samo wiele warte jak moje własne.

Ale Dina nie podjęła tego tematu.

Gdy na kilka dni przed swoim wyjazdem zapomniała o swoich zasadach i pozwoliła się podwieźć Cotnemu z redakcji pod sam dom, na ulicę Winorośli, siedziałam wtedy w naszym mieszkaniu, było tuż po północy, mieliśmy akurat prąd, więc czytałam książkę o malarstwie ściennym, którą pożyczyła mi Maja i której znajomością chciałam zapunktować u Reza. Babuda poszła już spać, a ojciec siedział w swoim gabinecie. Ratiego nie było w domu.

Wbrew niepisanej umowie, by omijać naszą ulicę szerokim łukiem, Cotne zaparkował bezpośrednio na wjeździe na podwórko. Została z nim jeszcze chwilę w samochodzie, rozmawiali ze sobą. Później opowiadał mi, że chciał ją przekonać do wspólnego wyjazdu na parę dni. Lecz w tym momencie nadszedł mój brat. Wracał pieszo do domu i gdy skręcił w ulicę Winorośli, musiał od razu rozpoznać samochód Cotnego. Dina i Cotne nie zauważyli go, w każdym razie Dina tak mi to później przedstawiła. Musiał obserwować ich przez jakiś czas, potem przyszedł do nas na górę. Słyszałam, jak drzwi do mieszkania się otwierają, a potem, jak znika w swoim pokoju. Postanowiłam pójść później do niego, ale wcześniej chciałam doczytać rozdział do końca. Jednak po pewnym czasie usłyszałam, że drzwi znów się otwierają i zamykają się z trzaskiem, co nie zapowiadało niczego dobrego. Natychmiast odłożyłam książkę i poszłam do jego pokoju, żeby z balkonu wyjrzeć na ulicę. W pokoju paliła się stara nocna lampka, drzwi szafy były otwarte, a kilka ubrań leżało rozrzuconych na podłodze, najwyraźniej czegoś szukał. Popatrzyłam na dół, ale początkowo niczego nie zauważyłam. A potem dostrzegłam samochód Cotnego stojący na wjeździe. Natychmiast wybiegłam na korytarz, narzuciłam na plecy letnią kurtkę, bo bardzo wiało. Spodziewałam się jakiejś bójki i byłam zła, że Cotne zapuścił się w rejon Ratiego. Byłam pewna, że siedzi w aucie z którymś ze swoich kumpli. Ponieważ Dina nigdy nie pokazywała się z Cotnem publicznie, nawet do głowy mi nie przyszło, że to może być ona.

Byłam jeszcze na naszej zmurszałej klatce schodowej, gdy usłyszałam ogłuszający huk, po którym nastąpił kolejny, a zaraz potem jeszcze jeden. Stałam jak wryta, kolana się pode mną ugięły, prawie osunęłam się na schody, ale udało mi się chwycić za poręcz. Jeśli chodzi o te sprawy, to już dawno straciłam niewinność i w ciągu kilku sekund zorientowałam się, że padły strzały. Myślenie ustało mi na moment. Przeciągły klakson przerwał nocną ciszę, wkrótce potem usłyszałam krzyk i rozpoznałam głos Diny. Wtedy rzuciłam się po schodach na dół, przeskakując po kilka stopni naraz, i wypadłam na ulicę.

O dziwo, zawsze widzę najpierw Dinę, kiedy wracam pamięcią do tej chwili i tej scenerii, choć w tamtym momencie siedziała jeszcze w samochodzie. Jednak w aucie paliło się światło i mogłam zobaczyć wyraźnie jej twarz. Pamiętam, że pomyślałam, iż jest bezbarwna. Nie była blada, nie, po prostu straciła kolor, jak napis kredą starty z tablicy, rozmazany i nieczytelny. Jej usta były szeroko otwarte, ale się nie poruszały, mimika całkowicie zastygła, rysy twarzy stężały, a z wykrzywionych ust dobiegał nieprzerwany krzyk. Głowa Cotnego opadła na kierownicę. Przed samochodem stał mój brat. Trzymał w ręku broń. Nie wydawał z siebie żadnych dźwięków, po prostu tam stał, całkowicie nieruchomo. Poczułam się tak, jakbym była świadkiem jakiejś klątwy, która skazywała Dinę na straszliwe cierpienia i kazała jej znosić je ze spokojem, a ja nie byłabym w stanie nic zrobić. Uświadomiłam sobie, że widziałam już kiedyś tę broń. Zdaje się, że dawno, dawno temu została wyciągnięta spod łóżka i zaprezentowana mi z dumą, było to tego dnia, gdy zostałam pocałowana pierwszy raz w życiu.

Pobiegłam w stronę Diny i otworzyłam gwałtownie drzwi. Potem zaczęłam krzyczeć:

– Zadzwońcie po karetkę, dzwońcie po karetkę, szybko, potrzebny jest lekarz, potrzebny jest lekarz!

Otworzyło się dużo okien, wystraszeni strzałami i nieustającym dźwiękiem klaksonu mieszkańcy chcieli zobaczyć, co się dzieje na dole. Ale ostatnie lata

sprawiły, że ludzie stali się bojaźliwi. Do pewnych rzeczy już się przyzwyczaili, poza tym nikt nie chciał robić sobie kłopotów, bo nigdy nie wiadomo, z kim się ma do czynienia.

Chwyciłam Dinę za nadgarstek i wyciągnęłam ją z samochodu, poddała się bez oporu. Przez cały czas jej wzrok był skierowany na Ratiego, a ten z kolei wpatrywał się jak zaczarowany w Cotnego. Dopiero gdy stanęła obok mnie, zauważyłam, że cały lewy bok ma umazany krwią. Wykrzyknęłam jej imię i potrząsnęłam nią. Nic nie pomagało. Nie przestawała krzyczeć, więc musiałam ją spoliczkować, widziałam to często na filmach. I rzeczywiście zamilkła, spojrzała na mnie zdziwiona, jakby nie wiedziała, kto przed nią stoi. Słysząc było, jak drzwi balkonowe najpierw się otwierają, a potem zatrząskują z łoskotem, zaczął rozlegać się gwar, ktoś krzychał głośno, gdzieś otworzyły się drzwi, a nad tym wszystkim unosił się dźwięk klaksonu.

– Coś ty zrobił?! – Dina podeszła do mojego brata i stanęła przed nim.

Rati upuścił broń. I wtedy niespodziewanie upadł jak w zwolnionym filmie na ziemię i tak pozostał. Rzuciła się na niego i przez chwilę trwali tak w dziwnie wykrzywionej pozie, jak dwoje kochanków, w jakiś pierwotny sposób piękni, prawdopodobnie leżeliby tak w nieskończoność, zaklinowani, w okrutny, brutalny, potworny sposób szczęśliwi, ze mną u boku, znieruchomiałą i niemą płaczką żalobną.

Ale czas wbrew oczekiwaniom nie stanął w miejscu. Wokół nas zaczęli gromadzić się ludzie, kobiety krzychały, mężczyźni udzielali głośnych wskazówek, światła się zapalały, drzwi gwałtownie otwierały, zjawił się ojciec Iry, pod jego surowym nadzorem wyjęto bezwładne ciało Cotnego z samochodu i położono na ziemi. Dźwięk klaksonu urwał się nagle i wokół nas zaległa przerażająca, bezdenna cisza.

W którymś momencie ulicę zalało niebieskie światło, Cotnego położono na noszach i wsunięto do karetki. Mężczyźni w czarnych koszulach chwycili Ratiego za włosy, podnieśli go i wepchnęli do lśniącego w świetle latarni samochodu z zaciemnionymi szybami.

Gdy samochód z moim bratem ruszył z miejsca, coś we mnie pękło. To był czysty impuls, któremu ślepo się poddałam, zaczęłam biec za samochodem i wołać imię swojego brata. Biegłam i biegłam, wręcz dziwiąc się samej sobie, skąd mam tyle energii, skąd tyle miejsca w płucach, i dopiero na placu Wolności opadłam z sił, gdy auto z Ratim zostawiło już za sobą wąskie uliczki Sololaki i zniknęło w ciemnościach. Bezpowrotnie. Na zawsze.

CIRCULUS VITIOSUS

– Nie chciałabyś zejść ze mną na dół? Wydaje mi się, że już wystarczająco długo zajmujesz się tymi zdjęciami – mówi Nene i puszcza do mnie oko. Iry nigdzie nie widać. Zdaje się, że obie realizują jakąś tajną choreografię, taniec, w którym każda z osobna przejmuje partię solową, nie wchodząc sobie przy tym nawzajem w drogę.

Stoję pod ścianą ze zdjęciami z wojny 1993 roku, z okresu przed zajęciem Suchumi. To chyba naturalna kolej rzeczy, że tak przyciągają mnie te pola bitew, bo przecież moje serce jest niczym cmentarz. Moje myśli potykają się ciągle o kamienie nagrobne. Dobrze się tutaj orientuję, poruszam się jak po znanym terenie.

Widzę teraz wewnętrznym okiem twarz Gio, człowieka, który zawsze wychodził ze wszystkiego cało, ale nigdy donikąd nie doszedł. Być może pod tym względem jesteśmy do siebie podobni. To mężczyzna, od którego dostałam największy prezent w życiu, lecz któremu mimo to nigdy nie potrafiłam wybaczyć, że znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

– A kiedy właściwie następuje moment, w którym można powiedzieć: wystarczająco długo? – pytam Nene bez cienia sarkazmu.

Z dołu dobiega głośna muzyka, która zachęca do tańca. Sala na górze jest prawie pusta. Tylko Nene, jakaś para młodych ludzi na drugim końcu i ja jesteśmy jeszcze tutaj. Która może być godzina? Tak, chciałabym wiedzieć, kiedy właściwie jest wystarczająco długo.

– Myślę, że to się czuje, kiedy jest już dosyć – mówi poważnie. – Wiesz, o kim myślałam dzisiaj przez cały dzień? Nie mogłam opędzić się od tej myśli – zaczyna nowy wątek i głaszcze mnie po ramieniu.

Jest niższa ode mnie, a mimo to ma w sobie jakąś nieposkromioną siłę, która sprawia, że czuję, jak blaknę na jej tle. Ale nie przejmuję się tym, nigdy się tym nie przejmowałam.

– O kim?

– O twoim bracie.

Milczę i przypomina mi się zdjęcie, które przed chwilą oglądałam: Rati w łóżku, piękny, młody Rati, który wierzy, że szczęście jest po jego stronie.

– Tak, ja też myślę bez przerwy o naszych braciach.

– A wiesz, tylko nie śmiej się ze mnie, czasami rozmawiam z tymi wszystkimi zmarłymi – mówi Nene i spuszcza wzrok.

Mogłabym ją teraz objąć i powiedzieć, że oni prześladują także mnie. Ale zamiast tego przytakuję z wyrozumiałością.

– Nigdy nie miałam odwagi cię o to zapytać, dlaczego on trafił wtedy do szpitala psychiatrycznego.

Nene zawsze unikała rozmów o naszych braciach i dobrze robiła, bo to pole minowe, które do dziś rozciąga się między nami. Zwlekam z odpowiedzią i patrzę w tym czasie na morze, wszędzie powtarzający się motyw morza, uchwycony przez Dinę podczas krwawej rzezi w Suchumi. To dziwne, ale po morzu w ogóle tego nie widać, zdaje się, że nic nie jest w stanie zakłócić jego wiecznego spokoju, jego przyływów i odpływów. Ta seria nosi tytuł *Circulus vitiosus*.

W lipcu 1993 roku ponownie podpisano układ pokojowy. Przewidywał, że wszyscy najemnicy mają opuścić strefę walk. Także na jego mocy większość gruzińskiej armii została wycofana z abchaskiego terytorium, a stacjonujące tam rosyjskie siły zbrojne przejęły kontrolę nad abchaską artylerią. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że ten układ oznacza nieoficjalną kapitulację.

Dina oraz jej koledzy z redakcji, wyruszając po raz drugi do Abchazji, byli doskonale świadomi tego, dokąd jadą. Dla Diny to była ucieczka. Gdy wówczas wyjeżdżała z Tbilisi, nie wiedziała jeszcze, czy Cotne przeżyje. Ale wolała obcą wojnę niż swoją własną.

– No więc dlaczego szpital psychiatryczny?

Zdawało się, że Nene zebrała w sobie całą odwagę. Widzę, że nie przychodzi jej to łatwo. Niechętnie rozmawia o przeszłości. Nie rozmawia o sprawach, których nie da się już zmienić.

– Gdy okazało się, że twój brat będzie żył, stróże prawa zrobili się trochę nerwowi. Liczyli na to, że będą mogli oskarżyć Ratiego o morderstwo, ale nagle okazało się to niemożliwe. Równocześnie przypuszczali, że Cotne nie zechce zeznawać, bo przecież współpraca z gliniarzami byłaby, biorąc pod uwagę jego interesy, po prostu groteskowa. Chodziliśmy co drugi dzień do aresztu śledczego mimo szykan i zastraszania. Rati nie chciał nic mówić, odmawiał składania zeznań, nie chciał żadnego adwokata, z nikim nie chciał współpracować. Ojciec wtedy osiwiiał z dnia na dzień, babuda traciła siły, nie mogła pogodzić się z tym, że Rati był zdolny strzelić do człowieka. Ojciec obawiał się, że straci nie tylko syna, lecz także matkę. To było nie do zniesienia. Wszystko trwało do czasu, gdy jeden z kolegów ojca, który miał znajomości w szpitalu psychiatrycznym, dowiedział się, że da się załatwić zaświadczenie o niepoczytalności. Twierdził, że zamiast siedzieć pięć czy siedem lat w więzieniu, Rati mógłby wyjść ze szpitala już po dwóch latach. Dla ojca było to mniejsze zło. Można byłoby go tam odwiedzać, byłby do niego dostęp, jak mu się wydawało.

Zaczyna brakować mi tchu. Widzę przed sobą szpital. Ogród zanurzony w świetle koloru ochry. Apatyczni ludzie, którzy siedzą dokoła i palą papierosy albo patrzą w niebo. A pośród nich Rati, nafaszerowany lekami, wyciszony. Brat, który nie jest moim bratem, którego nie znam. Znów mam ochotę stąd uciec, z tego budynku, z tego muzeum umarłych, do domu, wsiąść do najbliższego samolotu. Ale wtem słyszę kroki, to Ira zbliża się do nas jak gdyby nigdy nic. Mimo że Nene ją zraniła, znów się pojawia, wieczna amazonka.

– I co potem? – Nene nie odpuszcza.

– Mój ojciec poszedł na ten układ. Rati był już wcześniej karany, dlatego stanowił łakomy kąsek dla prokuratury. Nawet gdyby twój brat odmówił zeznań, groziła mu długa odsiadka. To było dla nas wszystkich jasne, dlatego ojciec

załatwił to zaświadczenie. Żaden lekarz nie rozmawiał z Ratim, nikt go nigdy nie badał. Diagnoza brzmiała: „zaburzenia afektywne”.

Milczymy przez chwilę i patrzymy na zdjęcia przedstawiające oblężenie miasta. To była realizacja planu rosyjskiego sztabu, po tym jak Gruzini zgodnie z lipcowymi ustaleniami wycofali swoich ludzi i uzbrojenie z Abchazji. Patrząc na jej zdjęcia, zastanawiam się, jak ona to przeżyła, i jednocześnie czuję, że narasta we mnie ta czysta zwierzęca wściekłość, którą odczuwam, ilekroć myślę o jej śmierci. Tak, jak to możliwe, że przeżyła to wszystko, a potem zdecydowała się na linę od pierścienia gimnastycznego?

– Jak długo Cotne leżał w szpitalu? – pyta Ira niepewnie.

– Już nie pamiętam. Straciłam wszelkie poczucie czasu. Tyle było operacji. Miał niesamowite szczęście. Ważne życiowo organy nie zostały naruszone, ale kręgosłup... Tapora miał znajomych w Izraelu, więc Cotne pojechał na rehabilitację do Tel Awiwu. I dokładnie tego samego dnia, gdy wracał do domu, gdy matka i ja odbierałyśmy go z lotniska, umarł Tapora – Nene mówi szybko, beładnie, jakby chciała pozbyć się naraz wszystkiego, co dotychczas nie zostało powiedziane.

Do dziś doskonale pamiętam makabrycznie barokowy pogrzeb tego Minotaura. Spokojna śmierć Tapory była kpina z jego życia: serce mu stanęło, gdy siedział w toalecie. Był sam w mieszkaniu, w tym mieszkaniu, gdzie moja przyjaciółka sprzedała jego bratankowi swoje ciało po to, by uratować mojego brata, który wcale nie chciał być ratowany. Znalezione go z rozpiętymi spodniami, zmoczonego, leżącego obok muszli klozetowej, twarzą do podłogi. Taka śmierć nie odpowiadałaby jego własnym aspiracjom.

– Dzwoniłam wtedy do ciebie, akurat tego dnia. Tak długo już nie słyszałam twojego głosu, pamiętasz? – mówi Ira i się zacina.

Zdradziła się, „tak długo” ją poniża, obnaża jej tęsknotę. Nigdy się nie nauczy, myślę sobie, ta, która uznaje wyłącznie zwycięstwo, będzie zawsze przegrywać, gdy tylko stanie naprzeciwko tej drobnej, mocno umalowanej kobiety. Nene

spogląda na nią, ale w jej spojrzeniu nie ma złości, jest wyrozumiałość. Odwracam się do innego zdjęcia, to jest dla oglądającego duże wyzwanie, babcia oplakuje martwego wnuczka. Ta fotografia była wielokrotnie publikowana w różnych albumach i pokazywana na wystawach. Jak udało jej się zrobić tej kobiecie zdjęcie z tak bliska, jak udało jej się uchwycić ból, samej nie ponosząc przez to szkody i nie kończąc marnie? Ale już od dawna znam odpowiedź na to pytanie: nie udało jej się, skończyła przez to marnie.

– Pamiętam – mówi Nene, zwracając się do Iry, i w tym jednym krótkim zdaniu mieści się tyleż zrozumienia, co rozczarowania, tak że oczy Iry schowane za eleganckimi okularami robią się całkiem małe.

Najchętniej zostawiłabym im pole, ale wiem, że natychmiast by umilkły, gdybym tylko się oddaliła.

– Odchodziłaś od zmysłów.

– Tak, to prawda. Wyobrażenie, że może istnieć życie bez wuja, wydawało mi się całkowicie absurdalne.

– Gdy umarł Stalin, ludzie, którzy siedzieli przez niego w gułagu, przechodzili z rozpaczy załamanie nerwowe. Wschodni wariant syndromu sztokholmskiego – komentuje rzeczowo Ira.

Nie mogę się powstrzymać i wybucham nagle śmiechem, śmieję się na całe gardło. Obie patrzą na mnie poirytowane, ale po chwili Nene także zaczyna się śmiać. Jest podatna na każdy rodzaj humoru, łatwo ją nim zarazić. Ira uśmiecha się i kręci głową na nasze zachowanie.

Nagle zjawia się wytatuowany kelner, prawdopodobnie przyciągnięty naszą niespodziewaną wesołością, ale prawdziwy przedmiot jego zainteresowania wychodzi bardzo szybko na jaw. Pyta, czy potrzebujemy czegoś jeszcze, czy ona czegoś potrzebuje.

– Dlaczego nie – mówi i uśmiecha się do niego, a on jest zadowolony, że może jej zrobić przysługę i wymieszać jej kolejnego drinka.

– Co będzie z tym biednym chłopakiem? – pytam i uśmiecham się, gdy znika.

– Podoba mi się – odpowiada Nene, dwuznacznie się uśmiechając.

– Czy przypadkiem nie zamierzasz wkrótce po raz kolejny związać się z kimś na całe życie? – pyta Ira, podkreślając przy tym „na całe życie”.

– No i co z tego?

– Kim jest nowy wybranek? Co robi?

– O, na pewno go polubicie, Koka jest wspaniały. Chłopaki też go lubią – dodaje z szelmowskim wyrazem twarzy.

Nene i mężczyźni. Pytam ją o zdjęcia chłopaków. Wyjmuje telefon i z chęcią ich pokazuje. Luka, ile on ma teraz lat? Musi dobiegać dwudziestki i na pewno jest najrozsądniejszy i najbardziej stonowany w całej rodzinie. Już jako mały chłopiec był często zamyślony i spokojny, zdaje się, że odziedziczył łagodne usposobienie po swoim ojcu.

Pogrzeb Tapory. Wracam tam. Wspominam morze kwiatów, wieńców i nieustający szloch Manany rzucającej się na trumnę. I długą kolejkę żałobników przed cerkwią, jak na jakimś pogrzebie państwowym. Kolumna samochodów i pierwsza długa limuzyna w moim życiu, która dramatycznie długo toczyła się w stronę cmentarza mokrymi od deszczu ulicami.

Nocą po uroczystościach pogrzebowych Nene przestała w pewnym momencie płakać i z szeroko otwartymi oczami, trzymając w ręku srebrną tacę z resztkami jedzenia, zdumiona, jakby sama nie mogła jeszcze w to uwierzyć, oznajmiła mi, że teraz będzie mogła wziąć sobie takiego kochanka, jakiego zechce. Do dziś pamiętam, jak usłyszawszy to, zaniemówiłam, jak szukałam słów, żeby odpowiedzieć, ale nie mogłam ich znaleźć. Spodziewałam się raczej, że będzie mówić o rozwodzie i o powrocie do Tbilisi, jej myśli wydały mi się całkowicie niezrozumiałe.

– Po co? Przecież możesz rozstać się z mężem.

Spojrzała na mnie poirytowana.

– Po co mam się rozstawać? Prowadzę dobre życie w Moskwie. Kote to miły człowiek. Pozwala mi robić, co chcę. On ma swoje towarzystwo i jeśli tylko nie

popęnię jakiegoś głupstwa, to powinnam wyjść na swoje.

Zniknęła w kuchni, a ja stałam jak skamieniała w przejściu i zaglądałam do jasno oświetlonego salonu, w którym jeszcze kilka godzin temu było pełno ludzi, tak że trudno się było ruszyć, a teraz był tam tylko Cotne, siedział w swoim wózku inwalidzkim i patrzył tępo przed siebie. Gdy go widziałam ostatnim razem, wkładano go nieprzytomnego i zalanego krwią do karetki. Pierwszy strzał był niecelny. Kula przedziurawiła tylko przednią szybę, musnęła lewe ucho i wypadła przez bagażnik. Druga trafiła w lewe ramię, trzecia przedostała się do kanału kręgowego i utknęła gdzieś w rdzeniu. Albo mój brat nie był najlepszym strzelcem, albo celowo nie trafiał w głowę czy serce, ale tego już nigdy się nie dowiemy.

Nie byłam w stanie oderwać od niego wzroku. Widać było, że cierpi z powodu bólu, a mimo to z jego postawy emanowało coś władczego, wręcz apodyktycznego, siedział w wózku tak, że można byłoby pomyśleć, iż siedzi na tronie. Obserwowałam go przez szparę w drzwiach: coś w tym widoku napawało mnie lękiem. Wyglądał bardzo poważnie, był zamknięty w sobie i właśnie w tym jego spokoju tkwiło coś nieobliczalnego, coś absolutnie władczego. Zajmie teraz miejsce Tapory, zostanie teraz wybrany na nowego króla – ta myśl trafiła mnie niczym piorun. Tak, byłam tego pewna, przejmie schedę po Taporze i będzie jeszcze bardziej okrutny niż on. Ponieważ to, co zrobił mu mój brat, odebrało mu resztki łaskowości.

Późną nocą, gdy wszyscy goście już wyszli, Nene poprosiła Dinę i mnie, żebyśmy poszły z nią do jej pokoju. Na pogrzebie byli wszyscy: politycy i funkcjonariusze, ważne osobistości półświatka, dalecy krewni, którzy, wszyscy bez wyjątku, byli winni Taporze tę ostatnią przysługę, przyszli też jego poddani, a nawet wrogowie. Później została w mieszkaniu tylko rodzina, Dina i ja. Dina była załamana, miała pustą i smutną twarz, ponieważ nie udało jej się porozmawiać z Cotnem. Odprawił ją, jak gdyby strzały z pistoletu przerwały bezpowrotnie także ich nieśmiałą, bezimienną więź.

Gdy wchodziłyśmy do pokoju Nene, zobaczyłyśmy, jak jej szwagierka *in spe*, golusienka jak ją Bóg stworzył, stoi w oknie i prezentuje swoje wdzięki jakiejś ryczącej i gwizdzącej na ulicy grupie wyrostków. Wiła się i przeciągała, gładziła się kokieteryjnie po piersiach oraz ramionach, odgarniała do tyłu grube, długie do pasa włosy i zachwycona wybuchała raz po raz śmiechem.

Nene i Dina, całkowicie zaskoczone i przerażone tym widokiem, zostały w drzwiach, natomiast ja podeszłam ostrożnie do Anny, objęłam ją ramieniem i otuliłam w szlafrok. Przepędziłam nastolatków i zaciągnęłam zasłony.

– Anna, co ty tutaj robisz? – spytała Dina skonsternowana.

– Podobam im się – powiedziała Anna i uśmiechnęła się do nas promiennie.

– Wcale im się nie podobasz, wykorzystują cię, naśmiewają z ciebie!

Zaskoczyła mnie szorstkość Diny. Starłam się dać jej wzrokiem do zrozumienia, że powinna być ostrożna, ale zignorowała moje ostrzeżenie.

– Kłamiesz! Zawsze byłaś o mnie zazdrosna! – odparła Anna i wykręciła przed nami pirueta.

Nene stała z otwartymi ustami na środku pokoju i patrzyła na mnie bezradnie.

– Co oni z tobą zrobili?! – wykrzyknęła Dina.

– Nie martwcie się. Guga i tak chce się ze mną ożenić – uspokoiła nas Anna i rzuciła się na łóżko. – W pewnym sensie nawet mi się podoba, że teraz nareszcie mimo wszystko zostaniemy dobrymi przyjaciółmi! – Usiadła na łóżku po turecku i patrzyła na nas wyczekująco. – I na pewno będziemy mieć dzieci, Guga i ja. Chcę mieć dziewczynkę i chłopczyka. Nic im nie powiedziałam. Niczego im nie zdradziłam. Otto jest gdzieś w Bułgarii. Więcej nic nie wiem. Mam nadzieję, że moja córka nie będzie tak wysoka jak ja, wtedy będzie mogła tańczyć w balecie.

Stałyśmy wokół niej jak na jakimś sabacie czarownic i wpatrywałyśmy się w nią szeroko otwartymi oczami. Dina usiadła powoli na łóżku naprzeciwko niej, podkuliwszy nogi, położyła jej ręce na ramionach i spojrzała głęboko w oczy.

– Co się, u diabła, stało? Do jasnej cholery! Mój brat tego nie wytrzyma, to wszystko nie może być prawdą! – wykrzyknęła Nene. – Gdzie on jest? Gdzie

dokładnie w Bułgarii?

– Spytaj swojego brata – syknęła Dina.

– Przestańcie. Dina, zostaw ją w spokoju, boi się ciebie! – wtrąciłam się.

– Mnie nie musi się bać, nic jej nie zrobię. Już i tak wyrządzono ci wystarczająco dużo krzywdy – powiedziała Dina, zwracając się w ostatnim zdaniu do Anny, i położyła głowę na jej ramieniu.

– Wszystkim im się podobam. I chłopakom teraz się podobam. Uroda może być także ciężarem, jak mawia moja matka.

Nagle usłyszałam pełen bólu dźwięk i zajęło mi chwilę, zanim zrozumiałam, że to Dina. Nie miałam odwagi jej dotknąć, jakbym bała się, że zamieni się w pył. Tylko Anna niczym niezrażona głaskała ją ciągle po głowie.

– Już dobrze, już dobrze. Ciebie też pokochają. Na pewno znajdziesz tego właściwego, nie martw się, ty też im się podobasz... – powtarzała raz po raz, a na dźwięk tych słów przeszywał mnie dreszcz.

W końcu Dina znów usiadła prosto i otarła łzy z twarzy.

– Wiesz co, rozumiem cię, nawet bardzo dobrze cię rozumiem. Wybrałaś szaleństwo, żeby czuć się wolna. Być może to jedyne, co nam pozostało.

I nagle Dina zaczęła nerwowo zrzucać z siebie ubranie, aż w końcu ona także stanęła nago. Anny nie trzeba było długo namawiać, zrzuciła z siebie szlafrok i jak dwie artystki cyrkowe zaczęły podskakiwać i piszczeć, rozsunęły zasłony i stanęły w oknie, by przyciągać spojrzenia ciekawskich.

– Jak to możliwe, że nie oszalała po tym wszystkim, co zobaczyła? – pyta Nene, zapatrzona w serię zdjęć z Suchumi.

– Przecież oszalała. Nie od razu, tylko na raty, skoro już pytasz – odpowiadam oschle i również zaczynam przyglądać się tym zdjęciom.

Przez pewien czas stoimy w milczeniu, potem Nene zmienia temat:

– Luka studiuje psychologię, czy możecie to sobie wyobrazić? Jest w Szwajcarii, w Bazylei. Wkrótce kończy. Wciąż trudno mi w to uwierzyć.

Pierwszy mężczyzna w mojej rodzinie z akademickim wykształceniem. Przyda nam się psycholog w rodzinie, powtarzam mu w kółko, a on się śmieje.

– Nene, to wspaniale, naprawdę wspaniale. Cieszę się razem z tobą i z Luką.

– Tak, o niego nie trzeba się martwić. Za to bliźniaki przyprawiają mnie o ból głowy. Są zachwyceni moim bratem, chociaż on już dawno... – Rzuca ostre spojrzenie w kierunku Iry. – Ciągle imprezują, a studia, do których zmusił ich ojciec, w ogóle ich nie interesują. Mają tylko głupoty w głowie. Ale czasy się zmieniły, Tbilisi jest teraz innym miastem. To jest moje jedyne pocieszenie. Kote jest teraz wprawdzie całkowicie zajęty swoją nową flamą, lecz mimo to ma oko na chłopaków. Jest dobrym ojcem, cokolwiek by o nim mówić – dodaje trochę zjadliwie.

Myślę o bliźniakach Nene, których wydała na świat w Moskwie, o tym narowistym zaprzęgu, tych małych diabełkach. Oni jako jedyni w rodzinie nie odziedziczyli tych charakterystycznych oczu rodu Koridze i dorastali w przepychu i dobrobycie pod nadzorem licznych niań. Zawsze bałam się trochę tych chłopaków, ponieważ wydawali mi się nieobliczalni, w przeciwieństwie do ich starszego brata. To niesprawiedliwe, że tak faworyzuję Lukę, zakładając w sposób zupełnie irracjonalny, że to dziecko jest o wiele miłsze i mądrzejsze, ponieważ powstało z miłości, natomiast bliźniaki są rezultatem pewnego paktu – swego rodzaju gwarantem ciągłości rodziny, która tak naprawdę nigdy nią nie była.

Stopniowo dowiadaliśmy się, że Kote także po weselu nie wyrzekł się swego damskiego towarzystwa, ale okazał się na tyle wspaniałomyślny, że przymykał z kolei oko na małe i niezobowiązujące przygody Nene, z których korzystała w niezwykle umiejętny i dyskretny sposób, żyjąc przez te wszystkie lata u jego boku. Dina mówiła, że to jest rodzaj buntu Nene, i być może miała rację.

– Zastanawiam się, czy nie wrócić do Tbilisi – mówi nagle Ira, a my zdumione odwracamy głowy w jej stronę.

– Co proszę? – Wydaje mi się, że się przesłyszałam.

– Dlaczego nie. Mam już dość pracy na rzecz tych dupków. W Tbilisi mogłabym być pożyteczna. Utrzymuję w Gruzji kontakty z kilkoma NGO-sami i obrończyniami praw kobiet. Czasami doradzam im społecznie i sprawia mi to wielką frajdę. Poza tym całkowicie zgadzam się z Nene, czasy się zmieniły, Tbilisi jest teraz całkiem innym miastem, to daje pewną nadzieję. Teraz ma się zupełnie inną świadomość, jeśli chodzi o nadużycia, nowe pokolenie nawet nie jest w stanie sobie wyobrazić takiego życia, jakie my prowadziliśmy. A minęło zaledwie dwadzieścia pięć lat od czasów, gdy ludzie mordowali się nawzajem na środku ulicy. Młodzi chcą teraz działać, mieć na coś wpływ, chcą żyć w państwie prawa. Mam wystarczająco dużo pieniędzy, nie muszę już zarabiać. Poza tym po śmierci matki ojciec jest teraz przeważnie sam, więc mogłabym się nim opiekować. Obejrzałam już kilka mieszkań i zastanawiam się właśnie nad jednym.

Przyznaję, że tego się nie spodziewałam, i zastanawiam się, co mam o tym sądzić.

– I wszystko to, co było, idzie w zapomnienie, po prostu minęło? – dopytuję.

– Ach, zaraz tam minęło... – teraz z kolei wtrąca się Nene nie bez pewnej dozy sarkazmu. – Uchodzi u nas za prawdziwą bohaterkę, w pewnych kręgach wręcz ją ubóstwiają, jakby była królową Tamarą we własnej osobie, jest prawdziwie czołową postacią lewicy...

– Naprawdę? O tym, że po procesach stałaś się osobą szeroko znaną i że podzieliłaś społeczeństwo na dwa obozy, wiem, oczywiście, doskonale, ale że twoja sława utrzymuje się do dzisiaj, to dla mnie nowość.

– Ach, całkowity nonsens. Niektórzy znają mnie może jeszcze z dawnych czasów, poza tym utrzymuję kontakty z ludźmi z branży, ale na pewno nie jestem żadną czołową postacią.

– Myślisz, że zapomniano o tych wszystkich szykanach i groźbach? – drażę temat.

Widzę przed sobą Irę, która po raz drugi w akcie desperacji odwraca się do Gruzji plecami i ponownie szuka swojej szansy w Ameryce. Myślę o błocie,

którym obrzucono ją po wygranym procesie, o groźbach i próbach zastraszania, a potem o fotografii zrobionej gdzieś w Kalifornii, na której jest z tą rudowłosą dziewczyną z dreadami – zdjęciu subtelnego pocałunku, które stało się źródłem stygmatyzacji i obelg.

– Tak, mam nadzieję.

Nie patrzy na Nene, ale nieprzyjemne napięcie, które pojawiło się w okamgnieniu, jest wręcz namacalne.

Pierwszego września 1993 roku, po zakończeniu wakacji, abchaskie dzieci poszły jak zwykle do szkoły. Zawarty pokój zdawał się bardzo kruchy, jednak ludzie byli już tak umęczeni i tak bardzo pragnęli odrobiny normalności, że ochoczo poddali się owej nędznej i iluzorycznej stabilizacji i zaakceptowali ją jako nową rzeczywistość. Tysiące wypędzonych wróciło na rozkaz rządu do swoich domów. Gruzińska artyleria, czołgi i działa zostały przekierowane z powrotem do kraju. Zaplanowana przez rosyjski sztab ofensywa przewidywała zamknięcie miasta w kotle. Szesnastego września Abchazowie otworzyli ogień. Tak zwana rosyjska misja pokojowa nie podjęła żadnej próby powstrzymania tego ataku. Abchazowie otrzymali pełen dostęp do rosyjskiego arsenału broni i samolotów bombowych. Jednak głównym celem było zajęcie budynku rządowego i likwidacja wszystkich gruzińskich członków rządu. Dinie udało się uciec z tego piekła dzięki pomocy francuskiego zespołu ewakuacyjnego. Te trzy tygodnie spędzone w Suchumi spowodowały nieodwracalne zmiany w jej osobowości.

Podobnie jak ostatnim razem na wiosnę, tak i teraz nie rozwodziła się zbytnio na temat koszmaru, który przeżyła, ale przywiozła ze sobą do Tbilisi te wszystkie zapierające dech i ściskające za gardło zdjęcia. Jesienią, gdy mój brat trafił do szpitala psychiatrycznego przy ulicy Asatianiego, a Tapora został znaleziony martwy w swojej łazience, gdy Cotne musiał uczyć się od nowa chodzić, gdy Anna postanowiła szukać swojej wolności w szaleństwie, a Nene przedstawiła mi swoją makabryczną strategię przetrwania w drugim związku małżeńskim, Dinę zaczęli nieustannie nawiedzać jacyś obcy ludzie potrzebujący jej jako naocznego świadka.

Wojenne zdjęcia Diny zaczęły się nagle mnożyć. Stały się niepodważalnym dowodem na coś niewyrażalnego słowami, pokazywano je w telewizji, ukazywały się na pierwszych stronach gazet.

O ile takie publiczne zainteresowanie musiało być dla Diny jako fotografki schlebiające, o tyle dla niej jako człowieka stało się meczące i niezdrowe. Jej sława i nagła rozpoznawalność bazowały na cierpieniu, na śmierci i na niewyobrażalnych potwornościach, a także na śmierci dwojga ludzi, którzy byli dla niej oparciem i drogowskazem, z którymi tworzyła zespół i od których wszystkiego się nauczyła. Ponieważ Pozner i jeszcze jeden kolega zginęli podczas ostrzału Suchumi. Tego dnia Dina zawróciła w połowie drogi, ponieważ Pozner kazał jej wrócić do kwatery, sytuacja była zbyt niebezpieczna, więc nie chciał ryzykować. Śmierć Poznera, którego szanowali wszyscy dziennikarze i fotografowie w kraju, spowodowała ogromną lukę. Podczas zrywów niepodległościowych, wojny domowej i wszystkich tych demonstracji i puczów stanowił swego rodzaju sumienie narodu. Znalazł się zarówno na wojnie w Osetii, jak i w Abchazji, od 1989 roku nie było żadnego krwawego dnia, którego nie uchwyciłby swoim aparatem fotograficznym. A teraz oczekiwano od Diny, jako uczennicy mistrza, by weszła w jego buty. Ta młoda nieustraszona dziewczyna zdawała się mieć to coś, co predestynowało ją do roli następczyni, nie bez powodu przecież wyznaczył ją na swoją prawą rękę, nie bez powodu zaopiekował się nią. Ale Dina z całą pewnością nie miała takiego planu, gdy dzięki zwykłej rekomendacji weszła do siedziby „Gazety Niedzielnej”. Nawet nie przypuszczała, że będzie kiedyś musiała fotografować ludzi uciekających przez kaukaskie góry, ich dzieci zamarzające po drodze z zimna albo babcie, które przeklinają świat, bo u ich stóp leżą martwe wnuki, że będzie dokumentowała zwłoki przedstawicieli gruzińskiego rządu, leżące przed siedzibą rządu. Mimo że prezentowała się wszystkim jako twardzielka, mimo że cechowały ją wytrzymałość i stabilność, nie była przygotowana na taki bezmiar cierpienia. Gdy po śmierci Poznera zaproponowano jej tę rolę, nie śmiała odmówić, także z tego względu, iż uważała, że jest to winna zmarłemu. A my, osoby jej najbliższe, nie potrafiliśmy właściwie ocenić tego balastu, no bo przecież Dina

zawsze miała tę całkowicie mi obcą, a godną pozazdrosczenia umiejętność łatwego strząśnięcia z siebie wszystkiego, co ciągnie ją w dół. Ale, naturalnie, to wszystko kumulowało się w jej sercu, rozchorowała się od tego balastu, to naturalne, że tak się stało, zupełnie naturalne.

Po powrocie z Suchumi, który zbiegł się z potworną masakrą ludności cywilnej dwudziestego siódmego września, o czym przypominają te wszystkie małe, zapisane drobnym drukiem tabliczki pod jej zdjęciami, i po tym, jak dokonano egzekucji trzech najważniejszych członków gruzińskiego rządu oraz obrócono miasto w perzynę, zaczęła stosować strategię wycofywania się i ukrywania przed ludźmi. Nie miała wyjścia – nie mogła odciąć się od tego, co było, zasunąć żelaznej zasuw. Z dnia na dzień stała się osobą publiczną, musiała teraz wypożyczać ludziom własne wspomnienia, wspomnienia rzezi tysięcy ofiar, miała ich tym karmić, miała mówić w zastępstwie tych wszystkich, którym to już nie było dane.

Mój brat trafił do kliniki psychiatrycznej przy ulicy Asatianiego, oficjalna diagnoza brzmiała: „zaburzenia afektywne”, zalicza się je do objawów schizofrenii, leczenie farmakologiczne było nie do uniknięcia. Potrzebowałam kilku tygodni na znalezienie w sobie siły, by pójść tam i go odwiedzić. Stan Cotnego poprawiał się dzięki licznym zabiegom rehabilitacyjnym, jednak lewa noga wciąż odmawiała posłuszeństwa. Każdego dnia mimo bólu zmuszał się z żelazną dyscypliną do wykonania kolejnego kroku, ale tylko prawa noga była posłuszna, lewą wciąż ciągnął za sobą. Aż w końcu, mimo że nie był gotów, by zaakceptować ułomność swojego ciała, nabył sobie laskę ze złotą gałką, której prawdopodobnie używa do dziś. Z pomocą pieniędzy Tapory poszerzył swoje imperium i podwoił ilość heroiny przemywanej do kraju. Wrócił do mieszkania przy ulicy Dzierżyńskiego, do matki i brata, który przestał rozumieć świat, od kiedy jego dziewczyna, którą chciał pojąć za żonę, prezentowała się nago obcym mężczyznom przy każdej nadarzającej się okazji. Manana wydała kategoryczny zakaz: biorąc pod uwagę jej stan, Guga nie może przecież sprowadzić „tej chorej” do mieszkania. Już i tak śmierć szwagra,

nieślubne dziecko córki i wieczna troska o kalekiego od postrzału syna były dla niej wystarczającą katorgą.

Zastanawiam się, czy czasem o czymś nie zapomniałam, czy było może coś jeszcze. Coś, co zatarł czas, tak że zostały tylko niewyraźne resztki, jak ślady kredy na szkolnej tablicy po ostatniej lekcji.

Tak, ojciec... mój w międzyczasie całkowicie posiwiwały ojciec, którego drżące ręce z trudem utrzymywały szklanę, nie wylewając jej zawartości. Wieczorem przed wyjazdem do Kijowa usiadłam w jego gabinecie na poręczy prastarego fotela i wzięłam do ręki jego dłoń. Przez chwilę siedzieliśmy tak w milczeniu, aż nagle powiedział do mnie te słowa, które teraz nasuwają mi się uporczywie na myśl:

– Zawiodłem, Keto. Bardzo przepraszam, że nie potrafiłem was uchronić.

– Uchronić przed czym? – spytałam natychmiast, ponieważ takie sentymentalne wyznania były u mojego ojca rzadkością, i wyostrzyłam słuch, gdy zaczął mówić:

– Przed przemocą, przed tą wszechobecną, niewiarygodną przemocą. To nie powinno było się wydarzyć. Nasza tak zwana inteligencja poniosła klęskę, okazała się całkowicie bezradna i nieudolna wobec tej przemocy. My, którzy zostaliśmy nafaszerowani sowieckimi mitami, my, którzy dorastaliśmy z dala od rzeczywistości i na stałe przebywaliśmy w swoim małym kosmosie, okazaliśmy się impotentnymi, nieudacznymi istotami, które nie potrafią ani niczego zdziałać, ani niczemu zapobiec. Tak po prostu. Czasami myślę, że dokładnie to samo musiało stać się ze szlachtą, tą dekadencją i oddaloną od rzeczywistości hałastrą uważającą swoje przywileje za oczywistość, gdy bolszewicy zapukali do ich drzwi i potoczyły się głowy. Ach, Keto, tak chciałbym wiedzieć, co jest właściwsze: niemy świadek, który nie robi nic i na koniec sam staje się ofiarą systemu, czy prześladowany, który sam przyznaje sobie prawo do decydowania o tym, co jest dobre, a co złe, i żąda krwi. Sam nie wiem. Prawdopodobnie historia będzie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie, ale zanim to nastąpi, mnie nie będzie już na świecie.

Nic nie powiedziałam. Trzymałam tylko jego drżącą dłoń i modliłam się, żeby ojciec znalazł w sobie siłę i potrafił wybaczyć samemu sobie.

Eter przestała wychodzić z domu, nie przyjmowała uczniów i grała sama ze sobą w tryktraka. Wojna przeciwko „kartelowi” mojego brata, jak dawniej zwykłam żartobliwie nazywać jego bandę, nabrała nowych kolorów, gdy Mchedrioni, rozzuchwaleni nieobecnością Ratiego, wdarli się do dzielnicy i zagarnęli jego interesy oraz źródła dochodów. A Lewan, noszący ich mundur, mógł teraz otwarcie nosić broń i nie musiał już chować jej pod łóżkiem.

Ja pojechałam do Kijowa. Mieszkałam w tym ogromnym i pustym hotelu. Nie odstępowałam Reza na krok i z największą starannością wykonywałam wszystkie jego polecenia. Pracowaliśmy nad *Zwiastowaniem Pańskim*, malowidłem ściennym z osiemnastego wieku. Milczałam, jadłam pielmieni z kwaśną śmietaną i bardzo uważałam, żeby go nie dotknąć.

CZTERY:
თავისუფლება / SAM SOBIE BOGIEM

*Ponieważ życie tak pulsuje
Zamyka śmierci wszystkie bramy
Błogosławmy więc ów dzień
W którym przyszliśmy na świat!*

Lado Asatiani

RAJ

Siedzimy w ogrodzie pełnym gości, muzyka przybiera teraz nieco subtelniejsze tony, trochę refleksji i skupienia, mimo tak pięknej scenerii, dobrych nastrojów i wybornych drinków, nie zaszkodzi. Anano dołącza do nas. Gawędzimy o udanym wieczorze, chwalimy ją, komplementujemy i pragniemy wznieść za nią toast. Cieszymy się, że jest z nami. Chcemy mieć ją wyłącznie dla siebie, to jest jakiś samoistny, zniewalający impuls. Takie irracjonalne pragnienie, by za jej sprawą mieć pośród nas namiastkę Diny, łączy nas ze sobą. Nie mogę się powstrzymać i muszę jej dotknąć. Ma taką samą skórę jak jej siostra, jej zapach przywodzi mi na myśl moją przyjaciółkę, której brak odczuwam nagle w tak dojmujący sposób, że wstaję, przeciskam się między grupkami rozmawiających głośno różnymi językami ludzi i chowam się w ciemnym kącie pod jakąś wielką rośliną doniczkową, która rozpostarła swoje liście dla poszukujących schronienia, dokładnie takich jak ja.

Mam w uszach jej zdarty śmiech, widzę przed sobą jej roziskrzzone oczy. Minęło już tyle lat, a jednak moje ciało nie może pogodzić się z tym, że jej nie ma, że już nigdy nie będę mogła jej dotknąć, że nigdy nie będę mogła jej o nic obwinić ani kochać jej tak, jak ją tylko potrafiłam kochać – bezwzględnie, bezlitośnie, bez jakichkolwiek obaw i bez jakiegokolwiek asekuracji. Tak, jak mnie nauczyła, i tak, jak kochają tylko nieliczni.

Nagle przypomina mi się Gio, wyłazę na chwilę ze swojej kryjówki i biorę do ręki lampkę wina, którą akurat niesie na tacy jedna z kelnerek. Myślę o jego rudych włosach. Myślę o tym, jak spotkałam go pierwszy raz po wydarzeniach z zoo, gdy Dina wróciła z wojny do Tbilisi.

To była końcówka października, urodziny Diny, Lika była tak szczęśliwa, iż ma córkę z powrotem całą i zdrową, że zorganizowała przyjęcie, nie informując o tym

Diny. Gdy Dina wróciła z redakcji, staliśmy wszyscy w jej mieszkaniu z lametą i tortem zrobionym na skondensowanym mleku. Nie miała nastroju do świętowania, zbyt głęboko tkwiły w niej okrucieństwa wojny, zbyt świeża była śmierć kolegów. Zaczęła stronić od ludzi i jeśli tylko nie miała jakiegoś zaproszenia do telewizji czy radia lub nie była zmuszona udzielać wywiadu, wycofywała się przy każdej nadarzającej się okazji do swojej pracowni.

Fakt, że Rati na podstawie fałszywej diagnozy przebywał w szpitalu psychiatrycznym, a Cotne siedział na wózku inwalidzkim, zdawał się dodatkowo pogarszać jej stan. Gdy wróciłam z Ukrainy, była pełna skrywanych pretensji i wrogości, jakby miała mi za złe, że znów uciekłam w bezpieczne miejsce, podczas gdy ona znosiła wszelkie możliwe katastrofy, narażając się na śmierć.

Nie wiem, jak Lika znalazła Gio, Dina musiała jej kiedyś o nim wspomnieć, a Lika musiała jakoś znaleźć jego numer telefonu, w każdym razie zaprosiła go na przyjęcie urodzinowe Diny. Mieliśmy się zebrać w jadalni i czekać spokojnie, aż Dina wróci z pracy, i zrobić jej niespodziankę. Mimo wielkich starań była to smutna impreza – ponieważ ze wszystkich bliskich jej ludzi poza rodziną byłam tylko ja.

Od razu go zauważyłam, mimo że było ciemno w pokoju. Prawdopodobnie po raz pierwszy od lat z własnej woli zrezygnowaliśmy z elektrycznego światła, żeby Dina przedwcześnie nas nie zauważyła.

Od razu zwróciłam uwagę na jego rude włosy. Mimo że od naszego ostatniego spotkania minęły prawie dwa lata, wyglądał dokładnie jak w moich wspomnieniach. Wprawdzie widziałam go jeszcze w międzyczasie na zdjęciach zrobionych przez Dinę, jednak wciąż był dla mnie odległy, niczym cień z jakiegoś koszmaru, człowiek, który istniał przez jeden dzień, w pobliżu wybiegu dla małych i z błotem pod stopami. Gdy nagle stanął w pobliżu mnie, nie wiedziałam, co mam myśleć i czuć. Przecież nic o nim nie wiedziałam, więc ta sytuacja wydała mi się w tamtym momencie jakaś dziwna i nienaturalna. Patrzyłam na tego człowieka, który dwa razy uszedł z życiem, i nie czułam nic. Właściwie czego się spodziewałam? Czegoś wielkiego, jakiejś dramaturgii? Zamiast tego stałam tam po

prostu ze wzrokiem wbitym w niego i odczuwałam głuchą pustkę. Próbowałam wyczuć, czy mnie rozpoznał, ale nic na to nie wskazywało, zdaje się, że nawet mnie nie zauważył. A gdy nasze spojrzenia przypadkowo się spotkały, uśmiechnął się do mnie tak samo uprzejmie jak do innych. W pewnym momencie nie wytrzymałam, zebrałam się na odwagę i podeszłam do niego. Popatrzył na mnie pytająco, jak gdyby oczekiwał jakiegoś wyjaśnienia tej niespodziewanej bliskości. W rzeczywistości miał ciemniejsze oczy niż w mojej pamięci, jaśniejszą skórę, tylko włosy były dokładnie tak samo ognistorude. Natomiast w ogóle nie pamiętałam tej dość mocno rzucającej się w oczy przerwy między górnymi jedynekami.

– Czy mogę ci w czymś pomóc? – spytał i uśmiechnął się do mnie szeroko.

Jeszcze nigdy nie widziałam go, jak się śmieje. W mojej pamięci nie śmiał się, w mojej pamięci bał się o swoje życie.

– Nie wiesz, kim jestem? – zadałam pytanie i od razu poczułam się trochę głupio. Właściwie dlaczego tak bardzo zależało mi na tym, żeby mnie sobie przypomniął?

Nagle twarz mu spochmurniała, powieki drgnęły, otworzył kilka razy usta, jednak nie powiedział ani słowa. A potem nagle rozpostarł ramiona i objął mnie mocno, tak mocno, że pomyślałam, że się uduszę. Być może był to najcudowniejszy i najgorętszy uścisk, jakiego doświadczyłam w życiu. Wszystko wokół nas, pozostali goście, to miejsce, w którym się znajdowaliśmy, odgłosy, szepty – rozmawiano cicho w oczekiwaniu na jubilatkę – zeszło na dalszy plan, zostaliśmy tylko my oboje i zoo. Byłam tak zaskoczona, tak zszokowana tym gestem, że odjęło mi mowę.

Trwaliśmy tak całą wieczność, tak mi się w każdym razie wydawało. Nie potrafiłam się przemóc, żeby położyć ręce na jego ramionach, ale też nie wrywałam się z jego uścisku. Ogarnęła mnie jakaś dziwna euforia, wszystko zdawało się układać, ten niegdyś skazany na śmierć człowiek stał teraz przede mną cały i zdrowy i trzymał mnie mocno w ramionach, tak mocno, że nie miałam innego wyjścia i musiałam zaakceptować to, co się kiedyś wydarzyło. Dina była po

powrocie do domu nieprzyjemnie zaskoczona i z wielkim trudem skrywała niechęć. Gdy śpiewaliśmy jej urodzinową piosenkę, zmusiła się do lekkiego uśmiechu i zdmuchnęła ochoczo świece jak grzeczne dziecko z podstawówki. Ale przez cały wieczór trudno było nie zauważyć, że się męczy. W pewnym momencie podeszła do mnie, ciągnąc za sobą Gio, i powiedziała:

– Jak widzę, znów się odnaleźliście.

Nie powiedziała „spotkaliście się”, lecz „znów się odnaleźliście”, ale nie dopytywałam, dlaczego tak się wyraziła. Kiwnęłam głową i się uśmiechnęłam. Gio, ten wyglądający na wiecznie zadowolonego człowiek, objął Dinę ramieniem i zaczął wygłaszać nieustające hymny pochwalne na jej cześć, które brzmiały jak patetyczne toasty jakiegoś tamady, co wyraźnie było Dinie nie w smak.

Tego wieczoru miałam czas, by go dokładnie przestudiować. Kątem oka poszukiwałam, bezskutecznie, jakichś oznak, jakichkolwiek punktów zaczepienia, które wskazywałyby na naszą wspólnotę losu. Wyglądał na pogodnego kolesia, dobrodusznego, okazującego innym zainteresowanie i gotowego do pomocy, miał niezwykle poczucie humoru, łatwo nawiązywał kontakt z ludźmi i bez przerwy dotykał ręką swoich rozmówców. Nic w nim nie wskazywało na to, że jest ocaleńcem. Wręcz przeciwnie, byłam zdumiona, że tak dobrze się bawi, jest taki beztroski i gadatliwy. Zdaje się, że inaczej niż u Diny wojna nie pozostawiła w nim żadnych śladów.

Później, gdy goście już poszli, a Lika zabroniła nam pomagać przy sprzątaniu, usiedliśmy we trójkę przy okrągłym stole i patrzyliśmy na siebie z niedowierzaniem, jak dzieci, które po raz pierwszy zdają sobie sprawę z własnej nagości.

– Tak mi przykro z powodu tej sprawy z Poznerem – rozpoczął rozmowę i dotknął ręki Diny. Nie odpowiedziała, skinęła tylko lekko głową. – A twoje zdjęcia są wybitne. Widziałem wczoraj w „Gazecie Niedzielnej” serię z Suchumi i pierwszy raz tak naprawdę zrozumiałem, co tam się działo. Gdy ja sam tam byłem, chodziło tylko o walkę i przetrwanie. Koncentrowałem się wyłącznie na rozkazach i nie zauważałem tego, co było wokół mnie. W chwili, gdy zobaczyłem

twoje zdjęcia, zaniemówiłem. Dopiero dzięki tobie pojąłem, przez co przeszliśmy.
– Upił nieco wina. Miał rozpalone policzki i stale zwilżał językiem suche usta. –
A teraz w końcu poznałem ciebie – powiedział, zwracając się do mnie z pewną
pokorą w głosie.

– A co teraz robisz? – chciała wiedzieć Dina.

– Będę dalej studiował – powiedział i ponownie spojrzał w moją stronę. – I tym
razem spróbuję usiedzieć w miejscu.

Puścił do mnie oko, a ja nie wiedziałam, co chce przez to powiedzieć.

– Co studiujesz? – spytałam z grzeczności.

– Ach, to długa historia. Już dwa razy dawałem sobie z tym spokój. Najpierw
zaczęłem inżynierię na politechnice, moja matka chciała koniecznie, żebym to
studiował, ale tak naprawdę w ogóle mnie to nie interesuje. Potem chciałem pójść
na informatykę, ale ten wydział jest taki zacofany, w ogóle nie mają sprzętu.
Chciałem zdawać na matematykę, ale jestem leniwy, więc wojna była dobrą
wymówką – powiedział i rozbawiony znów puścił do mnie oko.

Nie wiedziałam, czy mam potraktować ten żart jako brak dobrego smaku, czy
jako udany dowcip. Jego zachowanie jakoś mi nie pasowało do kogoś, kto dobrze
operuje liczbami, z drugiej strony zaczęłam się zastanawiać, co ja sobie dawniej
wyobrażałam, jaka droga życiowa mogła pasować do tego cienia z moich
wspomnień.

– Świetnie, to tak zrób – powiedziała Dina i zapaliła papierosa. Miała zmęczoną
twarz, głębokie sińce pod oczami, zapadnięte policzki. W ostatnich miesiącach
znacznie schudła i to w ogóle do niej nie pasowało, jej silne i zdrowe ciało zawsze
było częścią aury, jaką roztaczała. – Uważaj tylko, żebyś znowu się w coś nie
wpakował – powiedziała nieco żartobliwie i poklepała go po ramieniu. –
Przepraszam was teraz, muszę się położyć, umieram ze zmęczenia. Wiedziałam, że
będziecie dobrze się rozumieć – dodała jeszcze wielce znacząco, zanim
z przepaszającą miną wstała od stołu.

Życzyliśmy jej dobrej nocy.

Zostaliśmy tam jeszcze góra dziesięć minut, potem pożegnałam się z Liką i Anano i wyszliśmy na puste podwórko.

– Chętnie odprowadziłbym cię do domu, ale domyślałam się, że to by było dosyć śmieszne. To może zrobimy tak: założmy, że mieszkasz daleko stąd, wtedy moglibyśmy zrobić parę rundek dookoła? – zaproponował.

Był wyraźnie podпиты, natomiast ja piłam niewiele, ale nie chciałam jeszcze iść do domu i mimo nieprzyjemnej deszczowej pogody przyjąłam jego propozycję. Spacerowaliśmy wąskimi brukowanymi uliczkami Sololaki. Rozmawialiśmy o ogólnych sprawach, wypytywał mnie o studia i moje zainteresowania, a ja przez cały ten czas próbowałam określić, co czuję w jego obecności. Ale nie udało mi się. Był dla mnie jedną wielką sprzecznością i nie potrafiłam go rozgryźć. Można było odnieść wrażenie, że nigdy nic go nie złamało, nie zraniło i ta jego pozornie nieprzenikniona pogodna postawa wydawała mi się ekscytująca – chciałam odkryć w niej jakieś rysy, rany, coś, czego mogłabym się ucześcić. Przez ostatnie lata nauczyłam się podchodzić z nieufnością do wszelkich przejawów udawanego optymizmu, z trudem znosiłam jego pełną samozadowolenia pogodę ducha.

W którymś momencie wróciliśmy na podwórko, staliśmy jeszcze parę chwil naprzeciwko siebie, po czym znów wziął mnie w ramiona. Następnie zapytał, czy będzie mógł do mnie zadzwonić.

– Naprawdę myślisz, że to dobry pomysł, to znaczy...

– Dlaczego nie? – spytał z rozbijającą naiwnością. – Długo was szukałem. I nie było dnia, żebym o was nie myślał. – Zauważył moje wahanie. – Dobrze, zrobimy tak: dam ci swój numer telefonu. Jeśli zmienisz zdanie, zadzwoń. Zjawię się natychmiast, gdy tylko dasz mi znak – powiedział i te słowa zabrzmiały zdumiewająco pięknie, a jednocześnie niestosownie.

Podał swój numer telefonu i powtarzał go tak często, aż w końcu nauczyłam się go na pamięć. Na koniec musiałam mu go wyrecytować, przy czym było, oczywiście, dużo śmiechu. Potem podszedł do mnie blisko, tak blisko, że poczułam

jego alkoholowy oddech i zapach wody po goleniu. Odsunął mi kosmyk włosów z twarzy. Gdy mnie dotknął, poczułam na skórze dziwne mrowienie.

– Dziękuję ci, Keto. Dziękuję – powiedział, po czym zniknął w ciemnościach nocy.

– Wszystko w porządku?

To Anano, szukała mnie. Przytakuję gorliwie, ale mi nie wierzy.

– Nie jest łatwo, rozumiesz... – mówię cicho, a ona spogląda na mnie z ukosa, tak czule, z taką wyrozumiałością, że przez chwilę pragnę, żeby wzięła mnie za rękę i już do końca wieczoru jej nie wypuszczała. Jej optymizmu wystarczyłoby dla nas dwóch.

– Wiem – odpowiada i głaszcze mnie po plecach. – Chodź do nas. Dobrze się bawimy. Rozweselimy cię. Nene dba o dobry nastrój.

Nene, urodzona dama salonowa, kobieta sceny, której nigdy jej nie udostępniono, dusza każdego towarzystwa. Przez lata pielęgnowała swój ekstrawagancki styl bycia, ma wprawę, jej pogoda ducha jest zaraźliwa.

– Ona jest jedyna w swoim rodzaju, naprawdę – mówi Anano i wyczuwam w jej wypowiedzi dawny podziw, jakim zawsze darzyła Nene.

Boję się tych zdjęć, a mimo to czuję się jeszcze bardziej zagubiona, gdy nie mam ich przed oczyma. Dlatego postanawiam pójść jeszcze raz na wystawę. Chcę mieć pewność, że niczego nie opuściłam, niczego nie przeoczyłam. Obiecuję Anano, że zaraz wrócę i dołączę do roześmianej gromadki zgromadzonej wokół Nene. Ponownie wchodzę po okazałych schodach, sala jest całkowicie pusta.

Jako pierwsza wpada mi w oko fotografia Anny. Anny po tym, jak straciła rozum. Nie, nie straciła go, ktoś go jej pozbawił. To zdjęcie wisi w szeregu pomiędzy Cotnem i moim bratem. Tak, tam właśnie pasuje, niedaleko zmasakrowanego Gugi, którego Dina sfotografowała w szpitalu. Anna z jaskrawoczerwoną szminką, którą wysmarowała sobie pół twarzy. Ale ten kamuflaż nie jest w stanie umniejszyć jej urody, regularne rysy twarzy przebijają się dumnie przez maskę szaleństwa, które zagnieździło się w jej oczach.

Zatrzymuję się przed nią, podchodzę do niej jak najbliżej, aż do granic wytrzymałości.

Niespodziewanie Nene wyrywa mnie z tego snu na jawie, w którym Anna wychodzi nago z łazienki. Nie mogę uwierzyć, że opuściła towarzystwo, żeby tylko przyłączyć się do mnie.

– Nie wrócę tam, dopóki nie pójdziesz ze mną. Musimy wznieść razem toast. Musimy w końcu poopowiadać sobie o terażniejszości. Ona nie chciałaby tego nieustającego dramatu żałobnego. Chodź już, Keto! Nie chcę być tam na dole bez ciebie.

– Naprawdę wolę być tutaj, denerwują mnie ci wszyscy ludzie.

– Nie mówię, żebyś zeszła do tych wszystkich ludzi, chcę, żebyś przyszła do nas. – Nagle zauważa zdjęcie i zamyka oczy.

– Dlaczego nie wzięli ślubu? – pytam.

– Jak to dlaczego? Nie pomogła jej żadna terapia. Jej stan nawet się pogorszył. Guga zadzwonił wtedy do mnie i poprosił o pomoc w znalezieniu dobrej kliniki gdzieś za granicą. Uparł się, żeby ożenić się z nią jeszcze tamtego lata. W końcu pewna klinika w Szwajcarii zdecydowała się ją przyjąć. Miała jechać w lutym czy w marcu, ale potem... Potem Guga rzucił się na Cotnego i wszystko się zawaliło.

– A właściwie co dokładnie wtedy się stało? Wiem tylko, jak zakończył się cały ten konflikt, ale przyczyny nie znam.

– Guga nie chciał o tym rozmawiać, a z Cotnego też nie można było niczego wyciągnąć, więc sama poskładałam sobie wszystko w logiczną całość. Byłam akurat w ciąży, gdy to wszystko się rozpętało, przyjechałam kilka razy do Tbilisi, żeby wesprzeć matkę, była na wyczerpaniu. Ale co miałam robić? Dopiero potem zrozumiałam, że chodziło o Annę, ona nie była w stanie sklecić dwóch sensownych zdań. Popatrz tylko na to zdjęcie... Czasem nie mogę uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Kiedy próbuję zrekonstruować ciąg zdarzeń, wydają mi się zupełnie nierealne. I myślę dalej, że gdyby to był film, uznałabym, że jest całkowicie przesadzony. Kiedy czasami próbuję rozmawiać o tym ze swoimi

dziećmi, sama sobie prawie nie wierzę, więc jak one miałyby w to uwierzyć. A przecież to było nie tak dawno. Jednak gdy teraz rozejrzysz się w Gruzji, trudno znaleźć ślady, które prowadziłyby do tamtych czasów.

– Wiem, co masz na myśli. Ja też nie potrafiłam tego nikomu wyjaśnić, ani znajomym w Europie, ani swojemu własnemu dziecku.

– Masz kontakt z jego ojcem? – chce wiedzieć.

Kręcę głową.

– Nie, właściwie nie. Rati sam z siebie szuka od pewnego czasu kontaktu z nim, dowiedziałam się o tym przypadkiem. Ale opowiadaj dalej – proszę Nene, a ona nie daje się prosić po raz drugi.

– Anna przyszła do nas bez zapowiedzi, Guga był poza domem, a Cotne miał wtedy tak silne bóle, że godzinami tylko oglądał telewizję. I wtedy, w każdym razie sama sobie tak to wyjaśniłam, Anna musiała rozebrać się przed Cotnem. Guga wrócił do domu, zobaczył, jak jego narzeczona stoi nago przez jego baratem, i stracił panowanie nad sobą. To nie do pomyślenia, że akurat Guga bije bezbronного człowieka, ale tak się stało. Trzeba było wezwać karetkę, zupełnie stracił kontrolę. A przecież tak bardzo wierzył w nowe życie, zwłaszcza gdy zmarł Tapora. Ten jeden cios zakończył wszystko. Wszystko dobrze się zaczyna, masz dobre intencje – a tu nagle stoisz po kolana w bagnie. Zdaje się, że to taka rodzinna tradycja – mówi z sarkazmem i smutkiem w głosie.

Śmiejemy się, dobrze wiedząc, że nie ma z czego się śmiać.

– Idziesz w końcu?

– Nie wiem...

– O Boże, Keto, nigdy nie potrafiłaś postawić kropki nad „i”. To nie do zniesienia.

Podaje mi rękę, patrzę na nią, tę kształtną białą dłoń z lśniącoymi pierścionkami, moje i jej palce splatają się ze sobą.

– Ale tym razem już nam się nie wymkniesz, obiecujesz?

Zastanawiam się, czy mogę jej to obiecać.

To musiało być wiosną 1994 roku, gdy po raz pierwszy zobaczyłam Gugę Koridze ze szklistymi oczami, jak stoi na jakimś skrzyżowaniu przy ulicy Lermontowa. Spieszyłam się na uczelnię, bo miałam mieć kolokwium. Stał tam beczynnie z kilkoma podejrzanymi typkami, dlatego nieźle się zdziwiłam, bo zwykle tego nie robił, i zadawałam sobie pytanie, czego on tam właściwie szuka. Ze swoją posturą tytana, w wyraźnie rzucającym się w oczy jasnym ubraniu wyglądał wśród wystrojonych w bandanki, ray-bany i czarne ciuchy osiłków po prostu nie na miejscu. Rozejrzałam się w poszukiwaniu jego brata, ale Cotnego nigdzie nie było widać. Podeszłam więc do niego i powiedziałam: „Cześć”. I wtedy zobaczyłam te jego oczy. Wyglądały jak ze szkła.

– Guga, wszystko z tobą w porządku? – spytałam zaniepokojona.

Chłopaki zmierzyły mnie wzrokiem, kilku z nich przywitało się ze mną z szacunkiem, wciąż byłam siostrą Ratiego.

– O, hej, Keto, wszystko okej?

Guga drapał się z uporem maniaka po przedramieniu, poczułam się nagle nieswojo, chciałam jak najszybciej stamtąd uciec.

– Jak Anna się czuje? Dawno jej nie widziałam...

– Nie mam z tą dziwką nic wspólnego – powiedział oschle i odwrócił się do mnie plecami, a przodem do swojej grupy.

Ojciec i ja odwiedziliśmy Ratiego w klinice i przez cały czas, gdy siedzieliśmy w ogrodzie tej przerażającej instytucji, gdy opowiadałam mu o drobnych codziennych sprawach lub karmiłam eklerami przygotowanymi własnoręcznie przez Eter, musiałam powstrzymywać się od płaczu. Był apatyczny, jakby przebywał w jakimś niedostępnym dla nas miejscu. W drodze powrotnej nalegałam na ojca, żeby wyciągnął Ratiego stamtąd jak najszybciej. Każde więzienie wydawało mi się lepsze niż świadomość, że za tym wysokim murem siedzi człowiek, który nie ma już z moim bratem nic wspólnego. Ojciec mnie pocieszał. „Dwa lata, to tylko dwa lata – powtarzał – potem wyjdzie na wolność i zacznie życie od początku”. Nienawidziłam go za to kłamstwo.

Pewnego deszczowego wieczoru zadzwoniłam do Gio Dwalego, którego odtąd przestałam nazywać „rudzielcem”. Od razu wiedział, kto to, jak gdyby czekał na mój telefon. Umówiliśmy się po wykładach i poszliśmy do parku Mziuri, na którego tyłach znajdowała się rura, po której można było przejść nad rzeką Were do zoo. Rozmawialiśmy o codziennych sprawach, prawił mi komplementy, które przyjmowałam łapczywie, jak gdybym cały czas czekała na jakiś wyraz uznania z jego strony. Czy oczekiwałam nadmiernej wdzięczności, czy wręcz poddańczości? Jego niefrasobliwa wesołość przerażała mnie wciąż od nowa. Mimo to postanowiłam go polubić, chciałam zakończyć to, co było, musiałam w końcu nauczyć się oddzielać przeszłość grubą kreską. Podczas naszych następnych spotkań nadal ze mną flirtował, był szarmancki, mimo to wciąż nie było dla mnie do końca jasne, dlaczego tak robi. Jednak pozwalałam na to, na pół świadomie liczyłam, że dzięki temu będę mogła raz na zawsze zostawić za sobą kwestię zoo. I gdy podczas jednego z wielu spacerów, na które wychodziliśmy w tamtym czasie, przycisnął mnie w jednej z bram do ściany i pocałował, wciąż wierzyłam, że w ten sposób uda mi się zawrzeć pokój z przeszłością, i zignorowałam fakt, że podczas tego pocałunku niczego nie czułam.

Nadia Aleksandrowna zmarła i zostawiła mieszkańcom podwórka spadek w postaci pięciu kotów i setek roślin doniczkowych, na których widok niejeden botanik klasnąłby w dłonie.

Reza widywałam rzadko, ale gdy to się zdarzało, byłam szczęśliwa i wdzięczna za te nasze głębokie rozmowy, za jego wiedzę, którą tak hojnie się ze mną dzielił, za zainteresowanie moim życiem i za jego pytania. Kiedyś zaprosił mnie razem z Mają i kilkoma kolegami z pracy do siebie do domu, gdzie mieszkała również jego chora matka, która podczas spotkania ciągle wołała go z pokoju obok. Nigdy więcej nie rozmawialiśmy o tym, co się wydarzyło w Stambule. Tylko co jakiś czas rzucał mi przenikliwe spojrzenie, którego nijak nie potrafiłam zaklasyfikować. Lewana nie widziałam od co najmniej pół roku.

Schodzę z Nene do ogrodu, z powrotem do terażniejszości, i zostawiam zdjęcia tam, gdzie są, w przeszłości, która nigdy tak naprawdę nie minęła. Ludzi, którzy w międzyczasie zgromadzili się wokół Anano i Iry, a są wśród nich także kuratorzy wystawy oraz jej gospodyni, śmieją się swobodnie. Wszyscy są wyraźnie zadowoleni, że znów widzą Nene, a kilka osób bije jej nawet brawo, gdy dołączamy do nich, co uważam za mocno przesadzone. Pewna Angielka chce wiedzieć, co robię i jakie relacje łączyły mnie z Diną. Dwaj Gruzini z ambasady prześcigają się w nadmiernych pochwałach pod moim adresem. Nene opowiada anegdotę z naszego dzieciństwa, wszyscy śmieją się celowo głośno. Wśród tych niestrudzonych gości zaczyna narastać jakiś dziwny brak zahamowań. Ira podaje Nene zapalniczkę, za którą ta przed chwilą się rozglądała. Ira nie spuszcza jej z oka, zawsze jakaś jej część pozostaje przy niej. To niewiarygodnie wzruszające i jednocześnie niewiarygodnie smutne.

Widzę przed sobą Nene z brzuchem okrągłym jak piłka, spodziewa się bliźniaków, gdy zjawia się wiosną w Tbilisi, ponieważ całkowicie nieprzewidywalny Guga staje się zagrożeniem dla całej rodziny. Widzę wychudzoną twarz Diny, nieustannie patrzącą na mnie z ekranu telewizora. Mam przed oczyma Gio, który zabiera mnie do anonimowych wieżowców na imprezy swoich kolegów ze studiów słuchających Boyz II Men. Widzę go, jak bierze mnie za rękę i mówi nagle: „Długo myślałem, że cię po prostu lubię, ale teraz wydaje mi się, że się w tobie zakochałem”. Nic nie odpowiedziałam, ale pamiętam, że tej nocy po raz pierwszy się z nim kochałam, w spiżarni jakiegoś obcego mieszkania, podczas gdy za drzwiami ludzie tańczyli przy świetle świec. Przypominam sobie, jak podciągnął mi spódnice, lekko uniósł moją lewą nogę, a ja byłam wdzięczna, że jest ciemno. Szeptał mi przy tym do ucha, że jestem piękna, że ładnie pachnę i że jest niesamowicie szczęśliwy, że jestem z nim. Niczego nie czułam, ale zignorowałam to także tamtej nocy. Widzę przed sobą szkliste oczy Gugi, jak nafaszerowany heroiną swojego brata chodzi agresywny ulicami miasta, zaczepia ludzi i jest nie do poznania, widzę Cotnego z pozłocaną laską, jak dziwnie kulejąc,

znów uczy się chodzić, Ratiego w ogrodzie kliniki, zadającego nieoczekiwane swoje irytujące pytania: czy chcę sobie kupić psa? Dni, podobne jeden do drugiego, wspomnienia, które za każdym razem stają się w jakiś nowy sposób przerażające – trzeba od nich uciekać, tak, trzeba sobie z tym poradzić.

Dlaczego przypominam sobie nagle *Raj* Tintoretta? Wielkie zlecenie, które niedawno zakończyłam w Wenecji, miesiącami studiowałam z dwoma innymi koleżankami z pracy jego błogosławionych i wybranych, jego anioły i cherubiny, jego Marię i jej niepokalane poczęcie. Ten obraz roztacza szczególną aurę, która daje nadzieję. Łapałam się na tym, że wśród tych głów i ciał rozpoznaję znajome twarze. Zaczęłam się zastanawiać, czy aby nie postradałam rozumu, ale z czasem pojęłam, że to był mój własny mały raj, który ujrzałam w monumentalnym refugium Tintoretta, zaludniłam je swoimi osobistymi świętymi i cherubinami. Gdy nadszedł czas wyjazdu i ponownie przekazałam Tintoretta muzeum i jego zwiedzającym, ogarnęło mnie paralizujące uczucie, jak gdybym oddawała coś niezwykle cennego. Po raz pierwszy moi zmarli wydawali się na właściwym miejscu, spokojne, przepiękne miejsce pełne wyblakłych kolorów i płynnych granic. Pierwszą twarzą, jaką tam wtedy odkryłam, była twarz Gugi. Jego jasnoniebieskie oczy spojrzały na mnie nagle z tego dzieła mistrza, pojawiły się pośród świętych, zbawionych i błogosławionych i wtedy cofnęłam się instynktownie. A potem poczułam niespodziewanie spokój na myśl, że to naprawdę on, że naprawdę mógłby być w tym dziele, i zaczęłam stopniowo umieszczać tam wszystkich innych, których czas w tak okrutny sposób wyciął z życia.

Już nie pamiętam, czy to był czerwiec, czy lipiec, gdy Guga zmarł. Wiem tylko, że było to latem 1994 roku, ponieważ Nene zostało zaledwie kilka tygodni do porodu i z troski o swoją rodzinę mieszkała wtedy w Tbilisi. Spędzała z Luką długie tygodnie w mieszkaniu, ale co drugą noc wychodziła, będąc w zaawansowanej ciąży, na poszukiwanie brata, który raz leżał nieprzytomny na jakiejś klatce schodowej, innym razem bił ludzi w daczę jakiegoś przyjaciela albo trzeba go było wykupić na posterunku milicji.

Przypominam sobie także, że to Dina waliła nocą do naszych drzwi i przyniosła mi tę wiadomość. Podobno zmarł w domu, w swoim łóżku. Z ręką jeszcze podwiązaną, z odchyłoną do tyłu głową, z wywróconymi do góry oczami, z okopconą łyżeczką u stóp.

GRZAŁKA

Nene zabawia towarzystwo anegdotami z lat dziewięćdziesiątych. Gra „A pamiętasz?” się rozpoczyna. Gruzini też biorą w tym udział, prześcigają się w opowieściach o najbardziej dziwnych sytuacjach, szokuje się zachodnich gości, naśmiewając się nonszalancko z czołgów parkujących na ulicach czy z dzieci bawiących się nienaładowaną bronią lub opowiadając z rozbawieniem o bójkach na noże między kolegami z klasy albo o uprowadzeniach dziewcząt – typowe przykłady z tamtych dni i ludzie, którzy do tego przywykli. Nie-Gruzini robią się coraz bardziej milczący. Ira i ja stoimy, nie odzywając się, nasze wspomnienia nie nadają się do tej gry, ponieważ na końcu naszych puent niechybnie stoi śmierć. Natomiast Nene opanowała tę sztukę opowiadania do perfekcji, nawet w godzinach swojego największego cierpienia potrafiłaby dać niezły popis. Ira i ja wycofujemy się trochę z grupy.

– A wiesz, co znalazłam ostatniego lata, gdy przygotowywałam domek letniskowy w Kodzori do sprzedaży? – pyta mnie Ira.

– O nie, nie mów, że sprzedałaś dom w Kodzori?

– Tak, ojciec nie był już w stanie zajmować się działką i wszystko było zapuszczone, smutny widok. Ale czy ty wiesz, co tam znalazłam? Taką śmieszną prehistoryczną rzecz, musiałam się długo zastanawiać, co to, jakbym stała w muzeum przyrodniczym przed jakimś eksponatem i nie potrafiła go nigdzie zaklasyfikować.

– Mów wreszcie.

– Grzałkę! Już sama nazwa jest dziwna, sędzę, że nikt z moich amerykańskich przyjaciół nie wiedziałby, co to jest.

Śmiejemy się bez troski i jest to jeden z pierwszych radosnych śmiechów tego wieczoru.

– Uciekamy stąd? – pyta nagle.

– Jak to, teraz?

– No tak, całą trójką. Anano nas zrozumie.

– Dokąd miałybyśmy pójść o tej porze? Nawet nie wiem, która godzina, pewnie niedługo będzie północ.

– Hej, jest sobota i cudowna pogoda. A my siedzimy w środku. Znam tu kilka lokali, często bywałam w Brukseli na konferencjach.

– Nie wiem... poza tym popatrz na Nene, jest w swoim żywiole.

– Pójdzie z nami, zakład?

Dziwi mnie ta nagła tęsknota Iry za przygodą. Może przez te wszystkie lata, które nas dzielą, znalazła upodobanie w nocnych włóczęgach, wystarczająco długo przestrzegając wojskowej dyscypliny i ze względu na karierę musiała rezygnować z wielu rzeczy, więc teraz może ma ochotę na jakiś wybryk, na niewymuszone, spontaniczne odyseje nocą po obcych miastach. Ale jej pomysł zaczyna mi się nagle podobać, zmęczenie znika, przypominam sobie postanowienie, żeby dziś wieczorem dobrze się bawić. Nic mnie nie łączy z pozostałymi gośćmi, nie mam ochoty prowadzić z nimi powierzchownych pogawędek. Jedyne osoby, od których chcę coś usłyszeć, to Ira i Nene. Kiwam głową, zgadzam się. Teraz trzeba tylko wyrwać Nene ze szponów jej admiratorów i zaimprovizować eleganckie wyjście.

– Ja biorę na siebie Anano. Ty zajmij się Nene – mówi Ira, przyzwyczajona do dyrygowania innymi.

Wykonuję posłusznie jej polecenie. Podchodzę dyskretnie do grupy i przepaszając, proszę Nene na sekundę.

– Dokąd chcecie iść? – Patrzy na mnie lekko zdenerwowana, unosząc wysoko brwi.

– Coś znajdziemy. Tu, w tej dzielnicy, jest duży wybór. Ira rozmawia właśnie z Anano.

Nene waha się, nie chce kończyć przedwcześnie swojego show i rezygnować z widzów. Zastanawia się.

– Ale jeśli znowu wyskoczy z tym swoim dawnym gównem, to znikam – ostrzega mnie, przedstawiając warunek, który mam dalej przekazać Irze. – W takim razie spotkajmy się za dwadzieścia minut przy wyjściu – mówi i wraca do swojej grupy, nie czekając na moją odpowiedź.

Żegnam się z Anano. Chętnie poszłaby z nami zawojować noc, mówi z szelmowskim uśmiechem, ale musi zostać. Może zjemy razem śniadanie, proponuje. Przytakuję. Ira zniknęła, czeka już pod drzwiami. Wymykając się ukradkiem z ogrodu, zauważam, że Nene szepcze coś kelnerowi do ucha.

Przy wyjściu dwaj ochroniarze otwierają mi drzwi i żegnają się ze mną uprzejmie. Na rogu zauważam Irę z jej aluminiową walizką, macha do mnie. Nene się nie spieszy, czekamy na nią, jak nam się zdaje, całą wieczność, aż w końcu się zjawia: wychodzi dumnie z pałacu niczym drobnej postury caryca, posyła jeszcze strażnikom ręką całusy i wyrusza z nami na podbój nocy.

– Umieram z głodu! Te śmieszne przekąski! – to pierwsze, co mówi, więc postanawiamy zjeść frytki, na uliczkach Starego Miasta unosi się kuszący zapach frytury.

Idziemy wzdłuż Królewskiego Muzeum, mijamy dworzec, porywa nas tłum rozbawionych ludzi i wyrzuca na Starym Mieście. Lokale są pełne, ludzie z butelkami piwa w rękach zdają się wykorzystywać każdy wolny centymetr ulicy. Udziela nam się ten imprezowo-święteczny nastrój. Nene zatrzymuje się i zaczyna narzekać na bruk, w którym grzęzną jej obcasy.

– Mam ze sobą japonki. Na pewno będą na ciebie za duże, ale spróbuj, zawsze to coś lepszego niż te zabójcze buty.

Nene przyjmuje ofertę i zamienia swoje szpilki na za duże czarne gumowe japonki Iry. Teraz wygląda na jeszcze niższą niż zwykle. Ustawiamy się w kolejce pod jakimś kioskiem z belgijskimi goframi i frytkami. Jesteśmy jakby trochę z innej bajki, bo ani nasz wiek, ani wygląd nie pasują do tutejszej klienteli, ale jest nam wszystko jedno, czujemy się wolne i delectujemy się anonimowością. Siadamy na krawężniku i zapychamy się frytkami, oblizując palce.

Nene z ustami pełnymi frytek zaczyna nas podpuszczać, opowiadając jakieś zawstydzające historyjki z dzieciństwa, sypie anegdotami jedna za drugą, jest w szczycie formy, zdaje się, że alkohol ją nakręca, jest błyskotliwa i ma cięty język. Śmiejemy się do łez, wiele z tego, o czym opowiada, już nie pamiętam. Zastanawiam się, dlaczego mój mózg wymazał z pamięci to, co było lekkie i beztroskie. Chwytam się wspomnień Nene, są takie jasne, niczym niezmacone, zazdroszczę jej tego daru i mówię o tym głośno:

– Jak wy to robicie? Od chwili, gdy weszłam na tę wystawę, nie potrafię przestać myśleć o śmierci, wciąż mam przed oczyma te wszystkie okropieństwa.

Obie błyskawicznie przestają chichotać i patrzą na mnie. Nene zapala papierosa i patrzy w ziemię.

– Keto, ale przecież te wszystkie piękne rzeczy też były. Mieliśmy to także – mówi Nene, jej spojrzenie jest pełne dobroci, pojednania, aż mam ochotę położyć głowę na jej kolanach i spędzić tak całą noc. – Nie powinnaś rozdzielać tych dwóch rzeczy. Do dwudziestego piątego roku życia przeżyłyśmy tak wiele, tyle widziałyśmy i doświadczyłyśmy tylu emocji, ile większość ludzi nie doświadcza przez całe swoje życie. Czasami odczuwam nawet coś w rodzaju wdzięczności za te doświadczenia.

Patrzę na Nene zdumiona, jak może tak mówić, jak może odczuwać wdzięczność za to wszystko, co zgotował jej los? Ale jednocześnie sama odczuwam głęboką tęsknotę za czymś takim, za tą postawą przebaczenia i za sposobem, w jaki o tym mówi.

– Przykro mi, ale ja bez mrugnięcia okiem zrezygnowałabym z tego wszystkiego, co było – mówię.

– Nie zrezygnowałabyś – zaprzecza zdecydowanie Nene i stękając, podnosi się z krawężnika. – Ani na sekundę nie chciałabyś tego stracić.

– A dlaczegóż to? Przemoc, strach, straty, wojny, bezsensowne śmierci, czego niby miałyby mi brakować?

– Całego życia pomiędzy tym wszystkim – mówi Ira i zdaje się, że obie, Nene i Ira, są w tej kwestii tego samego zdania.

– Właśnie. Życia i miłości pomiędzy tym wszystkim. Tego, jak bardzo byłaś kochana i jak bardzo wolno ci było kochać. Nie sądzisz, że także to jest darem?

– Jakiej miłości...?

– A co powiesz o naszej? – pyta lekko poirytowana i patrzy mi prosto w oczy. Spuszczam wzrok.

Ruszamy dalej w drogę i lądujemy gdzieś niedaleko giełdy. Wchodzimy do pierwszego lepszego baru, w którym są jeszcze jakieś wolne stoliki na zewnątrz. Zostaję przy białym winie. Ira zamawia whisky, Nene nie może się zdecydować. Zaczynamy rozmawiać o udanej wystawie, chwalimy Anano za jej zaangażowanie i naśmiewamy się z nadętych zwiedzających.

– Na pewno by się jej podobało. Tak, tak sądzę – mówi Ira, sącząc whisky.

Zgadzamy się z nią i popadamy na chwilę w zadumę.

– Dobrze, zamówię sobie teraz wódkę i wtedy możemy, tak, chyba tak, wydaje mi się, że wtedy będę mogła o tym porozmawiać – mówi Nene zdecydowanym głosem i patrzy na Irę.

Od razu wiemy, o co chodzi.

– Co chciałabyś ode mnie usłyszeć? – Ira spina się, wydaje się, że całe jej ciało jest zeszywniałe.

– Coś szczerego. Nie chcę słuchać niczego o prawach kobiet ani całej tej twojej paplaniny i NGOsach.

– Paplaniny o NGOsach! To nie jest paplanina, to są moje zasady, robię coś, w co wierzę. A jeśli nie szanujesz moich przekonań, to jest bardzo zły grunt dla szczerzej rozmowy. – Ira stara się mówić neutralnym tonem, ale jej się nie udaje. Rana się nie zagoiła, to pęknięcie zdaje się nie do naprawienia.

– Dobrze, w porządku, rozumiem. Postaram się powstrzymać, naprawdę chcę to zrozumieć – Nene zaczyna nagle mówić ściszym głosem, jej napastliwy nastrój

znika.

– Daj spokój, mamy w końcu Keto w charakterze rozjemczyni.

Ale ja nie próbuję powstrzymać tej lawiny, tym razem odrzucam rolę, jaką przypisała mi nasza przyjaźń, i niemal dziwię się sama sobie, że to jest nagle możliwe.

– Kochałam cię, Nene – zaczyna ostrożnie Ira. – Być może to jest jedyna prawda, którą potrafiłabyś zaakceptować. Kochałam cię jako przyjaciółkę, jako kobietę, jako człowieka.

Te słowa, po raz pierwszy tak lapidarnie wyrażone i tak rozbijające w swoim oddziaływaniu, niosą się jak echo. Ira milknie na chwilę, po czym ciągnie z namysłem dalej:

– Byłam nieszczęśliwa, patrząc, że jesteś traktowana jak niewolnica. Owszem, rozumiem, że kochałaś i potrzebowałaś swojej rodziny, jasne, że to rozumiałam. Ale akurat po śmierci Gugi twoje nastawienie zmieniło się, mówiłaś przez telefon, że przypisujesz Cotnemu winę za śmierć Gugi, że stał się nieprzewidywalny i porywczy, opanowany manią wielkości i okrutny, także w stosunku do Manany i ciebie. Krótko mówiąc, stwierdziłaś, że jest nieobliczalny i chciałaś, żeby to się skończyło. Bałaś się o swoje dzieci, latałaś zdesperowana tam i z powrotem między Moskwą i Tbilisi... Wszystko dobrze pamiętam, każdy szczegół. Nigdy tak naprawdę nie odnalazłam się w Stanfordzie, tylko tak udawałam i uczyłam się jak szalona, żeby jak najszybciej skończyć te studia. To było niezdrowe, mimo to dawałam z siebie wszystko, byłam przekonana, że tylko w ten sposób mogę cię wyzwolić.

Nene pali papierosa, patrzy w drugą stronę, jakby obserwowała sąsiedni stół, ale odbiera każdą informację, którą podaje Ira, porównuje je ze swoimi wspomnieniami. Walczy jeszcze z niechęcią, ale ona już wkrótce zniknie, wkrótce Nene otworzy się i zechce spojrzeć na wszystko oczami Iry, nawet jeśli tylko przez chwilę, tylko teraz i tylko tutaj.

– Już ze Stanfordu ubiegałam się w Tbilisi o pracę w prokuraturze. Wiedziałam, że sama nie będę w stanie wiele wskórać. Twój brat przekupił pół miasta, był nietykalny, od samego początku zdawałam sobie z tego sprawę. Ale mogłam ich zdemaskować, to była jedyna droga: poddać ich publicznej presji i zmusić wszystkich do działania. Za pośrednictwem Diny nawiązałam kontakty z pewnymi dziennikarzami, z tym że ona nie wiedziała wtedy, w czym mi pomaga. Nie zapominaj, że ludzie mieli już dość tego skorumpowanego świata, byli strasznie wściekli, czuli się bezradni, ubezwłasnowolnieni, okradani i okłamywani. To był najwyższy czas, żeby zmienić tę sytuację, wiedziałam, że presja społeczna będzie ogromna. Dopiero wtedy zdałam sobie tak naprawdę sprawę, do jak wielkich rozmiarów urósł w międzyczasie problem narkotyków. Wszyscy cierpieli z tego powodu, rodziny, przyjaciele, wszyscy czuli się pozostawieni sami sobie, nie potrafili sobie poradzić z tym powolnym umieraniem. Potrzebowałam dowodów i poparcia społecznego, to była moja jedyna szansa.

– Jak to możliwe, że prokuratura przyjęła cię do pracy? To znaczy, nigdy nie potrafiłam tego zrozumieć, przecież musieli wiedzieć, że taka ambitna, wykształcona w Stanfordzie, żadna sukcesu niunia może stanowić zagrożenie w ich własnych szeregach? – dopytuje Nene.

– Potrzebowali tam wtedy jakiejś wzorcowej kandydatki, którą podczas pokazowych procesów mogli wysyłać do walki, by potem powiedzieć: patrzcie, robi wszystko, jak trzeba, czego od nas chcecie? Miałam doskonałe referencje, musieliby użyć naprawdę przekonujących argumentów, żeby mnie odrzucić. Poza tym nikt się tam nie spodziewał, że mogłabym im zaszkodzić. Przecież oni wszyscy byli kryci i sądzili, że będą mieć nade mną kontrolę. Szewardnadze w tamtym czasie mówił na okrągło o ustawach antykorupcyjnych i stosownych kampaniach. I nawet jeśli wszyscy wiedzieli, że one nigdy nie wejdą w życie, w dobrym tonie było rozmawianie na ten temat. Przynajmniej udawano, że chce się ustanowić państwo prawa.

– Kiedy wróciłaś, wyglądałaś zupełnie inaczej. – Nene ucieka gdzieś wzrokiem, a w jej głosie pobrzmiwa pewien smutek.

– Tak, a ty zostałam nagle matką trójki dzieci. Do tego też musiałam się najpierw przyzwyczaić. – Ira sprawia nagle wrażenie zmęczonej, jak gdyby chciała jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

Ale Nene nie odpuszcza:

– Kiedy zaczęłaś współpracować z „Gazetą Niedzielną”?

– Zaczęłam ostrożnie nawiązywać z nimi kontakty i dość szybko poznałam Ikę. Od razu wiedziałam, że to odpowiedni człowiek. Ten brodaty, małomówny kolega Diny...

– Czy ona była w to wszystko wtajemniczona? Mam na myśli Dinę.

Zrozumiałe, że to pytanie boleśnie nurtowało Nene przez te wszystkie lata.

– Ile razy mam ci powtarzać: ona o niczym nie wiedziała. Była wtedy bardzo zajęta, miała tyle wystaw i występów w telewizji, no i swoją nową paczkę. A poza tym jak miałabym ją wtajemniczyć? Przecież wiesz, jak wtedy wyskoczyła, gdy pierwszy raz opowiedziałam wam o swoich zamiarach. Nigdy nie naraziłabym was na niebezpieczeństwo. W takie sprawy zamieszanych jest niesamowicie dużo ludzi, a w tym konkretnym przypadku nawet ten rosyjski mafiozo, megalomański gnom Begemot.

Nene odwraca wzrok od Iry. Przynoszą wódkę.

– To jest takie obrzydliwe, że robiłaś to wszystko za moimi plecami. Cofne do dziś mi nie wierzy, że o niczym nie wiedziałam.

– Wiem, przykro mi.

Ira pije łyk whisky i patrzy na mnie pytająco. Nie mówię nic, trzymam się swojej nowej roli, tym bardziej że widzę, iż ma teraz swoją szansę. Lina jest wprawdzie bardzo cienka, ale dobrze balansując, mogłaby po raz pierwszy po niej przejść.

– Nie masz pojęcia, co mi zrobiłaś, co to dla nas wszystkich znaczyło. Zupełnie obcy ludzie wyzywali i opluwali mnie na ulicy, nazywali mnie zdrajczynią, dziwką. W ich oczach byłam kobietą, która wydała własnego brata. Byłam pariaską, przez prawie trzy lata po procesie nie mogłam wrócić do Tbilisi.

Nagle w oczach Nene pojawiają się łzy, zaciska prawą dłoń w pięść, widzę, jak narasta w niej agresja, traci panowanie nad sobą. Pewnie zaraz zerwie się z krzesła i pośle nas do diabła, ucieknie stąd wraz ze swoim bólem. Ale nie, siedzi nadal, wytrzymuje tę presję.

– Gdybym mogła dzisiaj, gdybym miała możliwość wrócić do tamtych czasów, wtedy oszczędziłabym ci swojej miłości. Gdybym mogła, nigdy bym nie poszła wtedy za Diną i Keto do parku, po tym jak przyszły oddać mi pamiętnik.

Coś w tej wypowiedzi Iry sprawia, że obie sztywniejemy. Sztywniejemy na myśl, że Ira mogłaby nigdy nie stać się częścią naszego życia. Widzę po Nene, że zastanawia się nad taką wersją przeszłości. Jej twarz wciąż wykrzywia ból.

– Kiedy zostawiłaś w jego mieszkaniu pluskwę? – Nene walczy ze sobą, z Iry, ze słowami.

– Na jego urodzinach, wtedy był ze mną Ika z „Gazety Niedzielnej”. Przedstawiłam go jako swojego krewnego, który przyjechał akurat w odwiedziny. To on przeprowadził inspekcję mieszkania, gdy siedzieliśmy przy stole. Pewien weteran z Afganistanu dał mu instrukcje i Ika to wykonał. To była bardzo delikatna sprawa.

Mam przed oczyma brodatą twarz dziennikarza, wydaje mi się, że zrobił później karierę w telewizji.

Mnie tam nie było, nic nie wiem o urodzinach Cotnego ani o tym, że w ogóle obchodził urodziny po tym, jak mój brat przykuł go do wózka inwalidzkiego, i po tym, jak jego brat zszedł z powodu heroiny.

Tego lata byłam zajęta egzaminami końcowymi na studiach. Oprócz tego próbowałam sobie wmówić, że moim przeznaczeniem jest pokochać Gio Dwalego, i żyłam nieustającą troską o Ratiego, która nas wszystkich wpędzała w psychiczną, fizyczną i finansową ruinę. Kiedy dokładnie go wypuszczono? Na podstawie „zakończonego z sukcesem leczenia oraz dobrego zachowania”. Wiosną, a może właśnie tego lata? Mój wolny, ale bezradny i uzależniony od leków brat, który mimo odzyskanej wolności nie opuszczał swojego pokoju i miotał się pomiędzy

stanem całkowitego przygnębienia i maniakalnej euforii. Na moich udach nie było już prawie wolnego miejsca, do którego mogłabym przyłożyć żyłkę. Nacinałam blizny, nie oszczędzałam nawet tych zaognionych. Załamywała mnie także Dina, jej zmiana stylu życia. Zdobyła coś w rodzaju tragicznej sławy i uczestniczyła w wystawach grupowych młodych artystów, jeździła do krajów nadbałtyckich i do Polski, wypowiadała się na międzynarodowych konferencjach pokojowych w Strasburgu i Mediolanie na temat „kwestii abchaskiej”, zgromadziła wokół siebie młodych przyjaciół artystów i zdawała się nie mieć z dawnym życiem nic wspólnego. Można było odnieść wrażenie, że nauczyła się czerpać przyjemność ze swojego nieoczekiwanego statusu i przyjmować wyrazy szacunku, jakim ją obdarzano. Powoli zaczynała nazywać siebie artystką, zawsze wymawiając to słowo nieco niedbale, jak gdyby musiała się do tego jeszcze przyzwyczaić. Ubierała się zupełnie inaczej, mówiła inaczej, roztaczała wokół siebie tę tajemniczą artystowską aurę, spotykała się w jakiś piwnicach i zaimprovizowanych barach z muzykami i aktorami, malarzami i dziennikarzami, którzy ją adorowali i kładli jej się do stóp. Odrzuciła świat, nasz świat, w którym poświęciła się dla niewłaściwych idei i niewłaściwych miłości. Nie chciała już składać siebie w ofierze, za nikogo, i któż by śmiał brać jej to za złe?

Na początku szczerze cieszyłam się z jej na nowo odzyskanej wolności i nagłej sławy odważnej i niekonwencjonalnej fotografki, którą interesowano się także na Zachodzie, ze względu na jej właściwe ideały i humanistyczne zasady, choć tak naprawdę chciano ją poznać wyłącznie po to, by po raz kolejny przekonać się o własnej wyższości. Cieszyłam się również z tego nowego, innego świata, w którym się zadomowiła, w którym nie nadawały tonu ani kałasznikowy, ani obrzyny, lecz ona sama. Ale z czasem zaczęłam mieć coraz większe wątpliwości. Wprawdzie odgrywała rolę miłującej wolność artystki niezwykle brawurowo, jednak również tam panowały określone prawa i zasady, które narzucały jej pewną postawę. To był świat pełen pozornej empatii i interesów. Natychmiast nabierano wody w usta i zmieniano temat, gdy tylko ktoś odbiegał od scenariusza modnego pacyfizmu i poruszał kwestię problemów społecznych, które tego kręgu zdawały

się w ogóle nie dotyczyć. Ponieważ większość z tych ludzi to były dzieci elity, z pieniędzmi, które ich rodzicom udało się przechować z czasów sowieckich do czasów nowej anarchii. To, co robili i mówili, było czystą imitacją, tanią kopią myśli liberalnej, czczą gadaniną, która ich nic nie kosztowała, a napędzana była niezaspokojonym pragnieniem, by za wszelką cenę wyróżnić się na tle szarego tłumu. Widziałam, że ci ludzie nie są pokroju Diny, to była grupa zarozumialców, perorujących nieustannie o wolności, patrzących z góry na wszystkich tych, którzy nie należą do ich kasty, i uznających cały kraj za ciemnogród. W rzeczywistości bali się świata takich ludzi jak Cotne czy Rati, bali się powracających z wojny kalek, bali się przemocy pozbawionych wszelkich hamulców członków bandy Mchedrioni, bali się wszystkiego, co leżało poza ich pilnie strzeżonym horyzontem, i maskowali strach wszechogarniającą pogardą. Ale Dina pochodziła z tego bagna, które oni znali tylko ze słyszenia. Nie wybrała swojej sztuki z czystej kokieterii, u niej wzięła się ona raczej z woli przetrwania, była dla niej jedynym sposobem na ucieczkę z tego piekła, które ją otaczało. Ale piekło pozostawia po sobie ślady, wypala człowiekowi piętno, które być może udaje się ukryć, ale które nie jest z tego powodu mniej bolesne.

Z czasem nabrałam prawdziwej awersji do tych jej nowych przyjaciół, których wolała ode mnie, od nas. Nie rozumiałam Diny i stwierdzałam z przerażeniem, że zaczyna nas unikać, prawdopodobnie reprezentowaliśmy według niej tę część życia, z którą nie chciała już mieć nic wspólnego. Ani nie odwiedzała Ratiego, ani nie utrzymywała kontaktów z Cotnem, który od śmierci Gugi schował się w swojej skorupie bezwzględności i milczenia. Ira ma rację, pamiętam, że Nene coraz częściej używała słowa „nieobliczalny” w związku ze swoim bratem.

– Tak, po śmierci Gugi stał się całkowicie nieobliczalny – mówi nagle Nene, jakby czytała w moich myślach. Zapala kolejnego cienkiego papierosa i znów wydaje się opanowana.

– Zmierzał do eskalacji konfliktu razem z tym rosyjskim wymoczkim – komentuje Ira, starając się zachować rzeczowy ton. – Cotne zachowywał wtedy

większe udziały w zyskach, niż to było ustalone, a ten gnom był prawdziwym bandytą, mordercą, inaczej nie można powiedzieć. W 1998 albo 1999 został w swojej windzie zarżnięty jak prosię. To była normalka – stwierdza, a sposób, w jaki to mówi, ma w sobie coś stanowczego i brutalnego, być może nawet bezlitosnego, aż zaczynam się zastanawiać, czy my wszyscy robimy na osobach z zewnątrz wrażenie stanowczych, twardych i bezlitosnych ludzi, na przykład na tym dostojnym towarzystwie, które przed paroma godzinami zgromadziło się wokół Nene. Czy oni przypadkiem nie wietrzą w nas drapieżników, które wprawdzie zostały poskromione, ale których prawdziwa natura w każdej chwili w sprzyjających okolicznościach może ponownie się ujawnić?

Po przeprowadzce do Niemiec zawsze bardzo uważałam na to, by nie wprawiać swoich znajomych w zbytnie zakłopotanie. Ujawniałam tylko to, co było konieczne, i bardzo starannie doбираłam słowa, pilnowałam się, żeby nie szokować ich swoją przeszłością ponad miarę, a jednocześnie szybko i bardzo dobrze przyswoiłam sobie zasady pokojowego świata. Swoją staromodną niemczyzną Hölderlina i Novalisa, a potem wyuczoną specjalistyczną angielszczyzną zawsze zjednywałam sobie ludzi, poza tym wykonywałam swoją pracę ze znacznie większą gorliwością i oddaniem niż wielu moich kolegów, chciałam, by nikt nie miał mi nic do zarzucenia, postawiłam sobie za cel przestrzegać porządku bardziej niż inni i wypełniałam swoje obywatelskie obowiązki z niemal fanatyczną odpowiedzialnością. Podczas pierwszych lat spędzonych w Europie odbierałam to jako wielki przywilej – że mogę robić to, że wolno mi robić to, czego dawniej nam zabraniano. Świeżo uzyskane w Niemczech prawo do samostanowienia wydawało mi się niezasłużonym darem, czerpałam z tego odwagę i siłę najlepiej, jak potrafiłam. Dawałam z siebie wszystko, by moje dziecko nie odziedziczyło koszmarów mojej przeszłości, starałam się być posłusznym sługą swojej wolności. Przywileje, którymi mnie samej nigdy nie było dane się cieszyć, mogłam zapewnić swemu dziecku w całej rozciągłości. Byłam także wyrozumiałą przyjaciółką, odpowiedzialną koleżanką z pracy, czasem też miłą kobietą – zawsze uważałam na to, żeby być lepszą, miłszą, bardziej pomocną,

po to, by mnie uznawano, akceptowano i lubiano. Jednak nigdy nie oczekiwałam miłości. Nigdy nie rościłam sobie do tego prawa, ponieważ wiedziałam, że z kolei moja miłość do tych ludzi, do tych zadań, do tego życia będzie zawsze tylko miłością poskromioną, dawaną wyłącznie w akceptowalnej formie, nigdy nie będzie miłością bezwarunkową, tak charakterystyczną dla mojego leżącego w gruzach uniwersum.

Swoją miłość zostawiłam w świecie, którego już nie ma, a który patrzył na mnie dziś wieczorem z tych imponujących ścian muzeum. Zostawiłam ją w miejscu, do którego już nigdy nie wrócę, wśród ludzi, którzy istnieją wyłącznie jako cienie w mojej głowie. Moja miłość, a jestem pewna, że to także los Iry i Nene, to miłość z epoki dinozaurów, wymarły rodzaj uczucia, miłość brudna i brutalna, miłość doprowadzająca do dźgnięć nożem, krwawych ran i strzałów, miłość nawykła do omijania zakazów i ograniczeń, to miłość kameleona, który musi oszukiwać, żeby przetrwać. Tak, tak to chyba właśnie jest. Nasza miłość nie zna ani wolności, ani beztroski, nie jest lekka i na pewno nie jest cywilizowana, nie jest niczym nieobciążona i nie jest młodzieńcza, to miłość, która ludziom nie pochodzącym z tego świata wydaje się niezdrowa, budzi w nich lęk i wprawia ich w konsternację. I słusznie. Ale nie potrafię zdradzić tej miłości, wyprzeć się jej, bo to jedyne, co mam. I nawet nie pytając tych dwóch kobiet, które siedzą teraz naprzeciwko mnie i próbują przedłużyć noc, które mieszają przeszłość z teraźniejszością jak z wprawą przyrządzany drink, wiem, że one czują to samo. I tak, owszem, wiemy wszystkie trzy, że to, co wisi wystawione na białych ścianach pięknego pałacu pośrodku tego pełnego ciepła, pogodnego miasta, przedstawia przede wszystkim egzotyczny, zniszczony, a jednak magiczny i dla zachodnich oczu pociągający świat – świat, którego każdej z nas starczyłoby na dziesięć żyć. Żyłyśmy, żyłyśmy za wielu i nie możemy nie pozostać temu życiu wierne tylko dlatego, że ból nigdy tak do końca nie ustanie.

Być może to był powód, dla którego doszło do prawdziwego zerwania między mną a Diną, do prawdziwego dramatu między nami. Być może chodziło o to, że w ostatnich latach swojego życia próbowała do tego życia właśnie odwrócić się

plecami i odrzuciła wszystko, co nas łączyło i czego na różne sposoby, złe i dobre, usiłowałam bronić. Przez wiele lat, jeszcze długo po jej śmierci, byłam ślepa z wściekłości, że nie potrafiła zrozumieć, iż nie da się swojego piekła przykryć tak po prostu piękną narzutką. Wzbraniała się przyznać do tej sprzeczności i pewnie w tym swoim zwątpieniu nawet o tym nie pomyślała, że decydując się na wybawienie za pomocą liny od pierścienia gimnastycznego, także nam zada częściową śmierć.

– Nie próbuj teraz ze swojej intrygi robić akcji dobroczynnej! – Głos Nene znów staje się agresywny.

Znów atakuje Irę, ale tym razem nie odbieram tego jako złego znaku. Wprost przeciwnie, cieszę się z odzyskanego przez nie ducha walki.

– Przecież wcale nie miałam tego na myśli – próbuje się bronić Ira. – Zawsze uważałam, że twój brat to dobry biznesmen, tak, tak, naprawdę. Był przygotowywany do tej roli od małego, miał po temu wszelkie niezbędne umiejętności i wiedzę. Ale potem zapędził się w bardzo niebezpieczne rejony. Jednakże straty, ból z powodu Gugi i być może zniknięcie Diny z jego życia sprawiły, że stał się nieostrożny. Nigdy bym nie przypuszczała, że dostarczy nam tylu dowodów. A może od pewnego momentu było mu już wszystko jedno. Pamiętam, że przez te wszystkie miesiące, podczas których przygotowywałam proces, strasznie bałam się na niego natknąć. Bałam się jego nienawiści. Ale potem, gdy spotkałam go w sądzie, patrzył na mnie z taką obojętnością, że aż przeszywał mnie dreszcz. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że w ogóle nie chciał się bronić, że wszystkiemu się poddawał, że odczuwał niemal ulgę...

– Ulgę?! Zniszczyłaś mu życie!

– Jego życie było zniszczone na długo przed tym, zanim się pojawiłam. – Ira pochyla się nad stołem i chwyta Nene za rękę.

Spodziewałam się, że Nene cofnie dłoń, ale nie robi tego, więc czuję, jak moje ciało się rozluźnia.

– Postąpiłam tak, ponieważ uważałam, że to jedyne wyjście z tego koszmaru. I chcę, żebyś mi uwierzyła w jedno: nie oszczędzałam się. Dostawałam groźby zabójstwa, wyzywano mnie od perwersyjnych lesbijek, Giuli zmarła zaledwie dwa lata później, kobieta zdrowa jak ryba, po tym całym procesie była wykończona nerwowo. Ojciec musiał zmienić szpital, sprzedaliśmy mieszkanie, przeprowadziliśmy się do innej dzielnicy. Przedstawiali mnie jako osobę chorobliwie nienawidzącą mężczyzn, rosyjskiego szpiega, socjopatkę. Wiedziałaś o tym wszystkim, Nene, i nawet jeśli przez te wszystkie miesiące nie chciałaś mnie widzieć, przeszliśmy przez to razem, ja także musiałam znosić to wszystko, co wyrządzano tobie.

Nene nie zabiera ręki. Ale odwraca wzrok i przerywa spowiedź Iry:

– Ty byłaś prokuratorką, więc od samego początku byłaś wrogiem, ja natomiast stałam się w ich oczach szcurem. Wszyscy myśleli, że jestem z tobą w zмовie i że zdradziłam własnego brata.

Kieruję się starym impulsem i próbuję zaprotestować, ale Nene nie dopuszcza mnie do głosu:

– O Boże, przedstaw wreszcie swój własny punkt widzenia! Ira nie potrzebuje obrońcy, sama nią jest! Ciągłe to pomiędzy! Przecież to dla ciebie też musi być nie do zniesienia!

– Czego ty ode mnie chcesz?! – tym razem i ja podnoszę głos.

– Dlaczego w stosunku do siebie i własnej rodziny, w stosunku do swoich mężczyzn nie masz takiego samego daru wyrozumiałości i wybaczenia, jakiego oczekujesz ode mnie? Bo może wcale nie jest tak łatwo wznieść się ponad wszystko, co jest tak mocno zakonserwowane? – Oczy Nene lśniły jak w gorączce, gdy ciska mi te słowa prosto w twarz.

– Nie jestem wyrozumiała – protestuję – wprost przeciwnie. Jestem wściekła! Jestem wściekła na swojego brata i na twojego brata, jestem wściekła na Lewana i na tego bydlaka Ottona, jestem wściekła na Gio, przez którego moje życie zabrnęło w ślepią uliczkę. Jestem wściekła na samą siebie, ponieważ nie potrafiłam

niczego zmienić, niezależnie od tego, jak bardzo się starałam. Jestem wściekła na własną niemotę, która chroni mnie przed wszystkimi ludźmi, którzy nie są wami. Jestem wściekła, że nie potrafię nawiązać prawdziwych relacji, jestem wściekła na fakt, że wszyscy, których kocham, pewnego dnia nagle znikają i że tych, którzy mnie kochają, skłaniam do ucieczki. Każdego przeklętego dnia w swoim życiu jestem wściekła, i to cholernie wściekła! Jestem też wściekła na Dinę i mimo całego bólu ta wściekłość, jak się zdaje, tak naprawdę nie znika. Po prostu jest mi przykro, strasznie przykro...

Milknę. Obie patrzą na mnie szeroko otwartymi oczami. Sama dziwię się słowom, które właśnie wyszły z moich ust. Nie odczuwam wstydu, nie spuszczam wzroku. Wiem, że jestem tu bezpieczna. Kiedy ostatnio tak się czułam? I nawet mnie to nie dziwi, że akurat podczas kłótni czuję się pewnie. Piję wodę.

– Przepraszam, Keto – mówi Nene po chwili i próbuje się uśmiechnąć.

– Może masz na swój sposób rację. Tak długo próbowałam patrzeć na wszystko oczami innych, że w końcu straciłam własny ogląd. Już lata całe nie trzymałam ołówka w ręku.

Noc owiewa nam skronie. Jak rzadko zdarzało mi się doświadczać takich nocy poza Gruzją. Noce, które są tak nasycone spiekotą minionego dnia, że grzeją człowieka jeszcze w najczarniejszej ciemności. Noce, które kołyszą w ramionach jak dzieciaka. Dzisiaj jest właśnie taka noc, tutaj, w tym pięknym mieście, noc jest dla nas łaskawa i zdaje się obdarzać nas czasem, którego potrzebujemy.

– Udało jej się, w każdym razie tak wtedy myślałam. Wydawało mi się, że faktycznie zostawiła to całe gówno za sobą: waszych braci, wojny, te autodestrukcyjne poszukiwania. Daleko zaszła, cieszyła się takim uznaniem. Byłam pewna, że będzie szła własną drogą – mówi Ira cicho i zaczyna szukać czegoś w swojej walizce.

– Bzdury! – zaprzecza Nene. – To była ucieczka, z góry skazana na porażkę. Wiele razy próbowałam z nią o tym rozmawiać, mniej więcej od czasu, gdy zaczęła

nas zabierać na te wspaniałe imprezy artystyczne, pamiętasz, Keto, jak wdałam się w sprzeczkę z tymi dwiema aroganckimi głupimi kozami?

Tak, pamiętam, a przede wszystkim przypominam sobie wyraz twarzy tych studentek malarstwa ubranych w pseudoekstrawaganckim stylu i starających się za wszelką cenę być inne niż reszta. Pamiętam, jak gapiły się na Nene, na tę pulchną i niewinnie wyglądającą istotę, którą początkowo łagodnie obśmiały i która w mgnieniu oka zamieniła się w drapieżne zwierzę. Nie mogę się powstrzymać i głośno się śmieję.

– Czasami myślę, że wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby Dina została z moim bratem – mówi Nene, a ja myślę, że to jakaś ironia losu, bo ja wiele razy myślałam podobnie o swoim bracie.

– Czy po śmierci Gugi Dina i Cotne zupełnie przestali się spotykać? – chce wiedzieć Ira.

– On już nie mógł. Uważał się za kalekę. Wydaje mi się, że próbowała z nim rozmawiać, ale był twardy i nieustępliwy, całkowicie zamknął się w sobie, a po śmierci Gugi stracił wszelką wiarę, wszystkich obrażał i ranił z premedytacją. A ona była pochłonięta swoimi nowymi zadaniami.

Czuję, że narasta we mnie rozgoryczenie, gdy myślę o tych długich miesiącach, w których próbowałam nadążyć za Diną, łąziłam za nią, zaskakiwałam ją telefonami i spontanicznymi odwiedzinami, robiłam wszystko, żeby ją powstrzymać.

Ira znalazła w końcu to, czego szukała, trzyma w ręku plastikowy woreczek i zaczyna skręcać jointa. Nene i ja wymieniamy poirytowane spojrzenia.

– O co chodzi?

– Z pięćdziesiątką na głowie zaczęłaś jarać skręty? Poważnie? – Nene naprawdę wygląda na rozbawioną.

– Nie, po prostu już dawno mnie nie widziałaś.

– Niestety, miałam po temu swoje powody – ton Nene zmienia się błyskawicznie. – Jak to wtedy było? – ponownie podejmuje wątek. – Dlaczego są

w ogóle dopuścił do sprawy tak podstępnie zdobyty materiał podsłuchowy?

Nie, to się nigdy nie skończy. To jej nigdy nie da spokoju. Tak jak Dina i ja już nigdy nie wyszliśmy z zoo, tak Nene nigdy nie przestanie być rozdarta pomiędzy lojalnością wobec swojej rodziny i własnymi potrzebami. Ale Ira najwyraźniej postanowiła tej nocy rozciągać swoją cierpliwość w nieskończoność.

– Musiałam udowodnić, że istnieje niebezpieczne zagrożenie. Zgodnie z tym przepisem podsłuch jest w wyjątkowych sytuacjach dopuszczalny.

– Przepraszam, a kto był zagrożony?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– No jasne, że naprawdę chcę to wiedzieć, co ty sobie myślisz?

– Cotne stał się dla ludzi z Mchedrioni cierniem w oku. Miał zbyt wielkie wpływy i był zbyt bogaty, dochodziło do napadów i wymuszeń. A za tym wszystkim stał Lewan Jaszwili. To on wypowiedział wojnę twojemu bratu. Cotne musiał działać. Prędzej czy później musiał wyeliminować Lewana.

Odbiera mi mowę. Zaczynam się śmiać, nie wiem, dlaczego to robię. To, co mówi, wydaje się takie absurdalne. W tym pięknym miejscu, pośród tych wszystkich rozbawionych ludzi to zdanie brzmi zgrzytliwie, jakby pochodziło z jakiegoś niedobrego filmu. Nene przewraca oczami.

– Co ty opowiadasz?

– Nene, Lewan był moją kulą śnieżną. To dzięki niemu udało mi się puścić wszystko w ruch. Był kulą śnieżną, która później uruchomiła lawinę. Bez tych informacji nie byłabym w stanie prowadzić procesu.

– Co ty chcesz przez to powiedzieć? Że Cotne Lewana...

– Możesz mi wierzyć lub nie. Nie mam już siły. Mogę ci co najwyżej wszystko powtórzyć, nic więcej. Mogę ci wszystko wyjaśnić od strony prawnej, mogę ci udostępnić każdy szczegół, wyciągnąć znowu wszystkie akta, ale nie mogę się ciągle usprawiedliwiać. Wiem, że nigdy mi tego nie wybaczysz. W porządku, Nene. Nie będę już więcej zabiegać o twoją łaskę. Wypalę tego jointa i rozprostuję trochę nogi. Muszę wrócić do rzeczywistości – mówi Ira i prosi o rachunek.

Nie protestujemy, podporządkowujemy się jej decyzji. Zastanawiam się, która godzina. Tak, ja też chętnie się przejdę, myślę o tym ładnym parku obok Królewskiego Muzeum, gdzie często spędzałam z Norinem przerwę obiadową, ale o tej porze jest na pewno zamknięty. Potem przychodzi mi do głowy ogród botaniczny, tam leżeliśmy na trawie i obserwowaliśmy ptaki. Ale czy znajdę do niego drogę? – pytam sama siebie, poza tym on też na pewno jest nieczynny. Moje myśli wciąż są uczipione informacjami, którą podała Ira.

– Jak to Lewan? – mruczę pod nosem, mimo że od dawna znam odpowiedź.

– Były różne powody. Ale sądzę, że decydująca stała się sprawa z Anną. On wiedział o tym od samego początku, mam na myśli Cotnego. Obarczał go winą za śmierć Gugi. „On wpędził mojego brata w śmierć”, powiedział w jednej z podsłuchiowanych rozmów telefonicznych. Poza tym uważał, iż jest wielce prawdopodobne, że ludzie z Mchedrioni, w większości napompowani heroiną, prędzej czy później będą chcieli przejąć jego interes. I inaczej niż w stosunku do Ratiego, którym wprawdzie pogardzał, ale czuł wobec niego respekt, brzydził się Lewanem, uważał, że nie ma zasad, między innymi ze względu na to, że zdradził Ratiego i przeszedł na stronę Mchedrioni. Poza tym Lewan był bardziej bezwzględny niż Rati, nigdy by nie chybił, gdyby kiedykolwiek skierował w jego kierunku broń i Cotne spodziewał się tego prędzej czy później.

Ira płaci swoją kartą. Milczę. Usiłuję gorączkowo ułożyć w całość te puzzle, myślę o Lewanie, o swoim pierwszym spotkaniu z nim po nigdy oficjalnie niezaskarżonym gwałcie na Annie. Myślę o swojej miłości, która zachorowała tak niepostrzeżenie, myślę o jego wykrzywionej żądzą zemsty twarzy, myślę o jego zwątpieniu, które z biegiem lat przemieniło się w ślełą nienawiść, i o tym, że ani razu nie odwiedził mojego opuchniętego od leków brata. Myślę o swoim przerażającym odkryciu, że nigdy go tak naprawdę nie znałam, że kochałam kogoś obcego, kto nigdy nie chciał dostrzec moich blizn.

– Chętnie wyciągnęłabym się na jakimś trawniku – mówi tym razem Nene.

Proponuję więc Parc de Bruxelles i ogród botaniczny, dodając z żalem, że oba na pewno są zamknięte. Nene zaczyna głośno się śmiać.

– Chyba nie mówisz poważnie? – śmieje się i śmieje, a ja nie rozumiem, co w tym takiego śmiesznego.

Ira również uśmiecha się pod nosem i nieustannie kręci głową.

– Zawsze byłaś dobra w robieniu niespodzianek! – wykrzykuje Nene i bierze mnie pod rękę, wciąż w japonkach Iry na nogach, i woła jak mały generał zagrzewający swoich żołnierzy do walki: – No to dawaj, Kipiani, prowadź nas do ogrodu botanicznego! Skoro wtedy nam się udało, to dzisiejszej nocy też nam się uda.

– No jasne, włamiemy się! – mówi Ira.

Dopiero teraz dociera do mnie powód ich rozbawienia, nie pomyślałam o tym nawet przez sekundę i sama się dziwię, jak mogłam nie zauważyć tak oczywistej paraleli.

Sprawdzam w smartfonie, jak tam dojść. Musimy przejść około półtora kilometra, powinniśmy dać radę. Nadaję rytm, przewodzę swoim małym żołnierzkom, swoim najwierniejszym i nieustraszonym towarzyszkom. Po drodze kupujemy w jakimś sklepiku wino, wodę oraz kilka torebek orzeszków i chipsów. Maszerujemy niestrudzenie dalej, podążamy pewnie do celu, przechodzimy przez Grande-Place. Zostawiamy za sobą wąskie, zatłoczone uliczki Starego Miasta i podążamy niesione własną muzyką. Płyniemy pod prąd, bez odpoczynku, przebijamy się przez tłumy podchmielonych ludzi, chcemy dojść do ogrodu botanicznego i tym samym do początku naszej historii.

LET THE MUSIC PLAY

– A co tam słyhać u ciebie w sprawach łózkowych, droga Keto? – Nene znów jest w swoim żywiole. – Chcemy wiedzieć wszystko! – woła ożywiona i kroczy pewnie obok mnie.

– Kiedy ty w końcu wydoroslejesz, Nene Koridze? – wzdycham i jeszcze raz rzucam okiem na wirtualny plan miasta, żeby się upewnić, że nie zboczyłyśmy z drogi.

– Proszę cię, jestem kobietą w kwiecie wieku, znajduję się w zenicie swojego rozwoju seksualnego, skoro już o to pytasz. No to już, opowiadaj.

– Nie jestem w żadnym stałym związku, jeśli o to chodzi. I uprzedzę twoje pytanie: niczego mi nie brak.

– Ale mimo wszystko na trochę przyjemności chyba sobie pozwalasz?

Szczypie mnie w bok, aż muszę krzyknąć.

– Tak, od czasu do czasu, chociaż na pewno nie może nawet w przybliżeniu równać się z twoim życiem miłosnym – odpowiadam.

– No to zaczynaj wreszcie, chcemy dowiedzieć się czegoś więcej o tym „od czasu do czasu”. – Chichocze jak piętnastolatka.

– „Chcemy” to chyba trochę na wyrost – bronię się, spoglądając na Irę.

– Ja też chętnie się dowiem, z kim pani Kipiani ma przyjemność. – A więc Ira daje Nene wsparcie.

– To nic poważnego.

Myślę o Norinie i o tym, co by powiedział, gdyby usłyszał podsumowanie naszego związku: „To nic poważnego”. Wstydzę się z powodu tego zdania. Nie chcę, żeby tak go widziały, mimo że nie wiedzą niczego konkretnego na jego temat. Muszę skorygować ten obraz. Zaczynam więc opowiadać, szukam słów, próbuję

opisać esencję, która, jak w niemal wszystkich związkach, jest dla osób postronnych niezrozumiała i która w tym przypadku jest niezrozumiała nawet dla mnie. Najchętniej przeprosiłabym go za wszystko, co o nas powiedziałam i o czym nigdy się nie dowie. Opowiadam więc o naszych osobliwych, od lat rozproszonych w czasie i po różnych miastach zaczynajmy-od-nowa-spotkaniach i jestem zdumiona tym, jak bardzo mnie samej trudno zrozumieć tę specyficzną relację. A także tym, że zaczęła się właśnie w tym mieście, na tych ulicach. Szukam odpowiednich słów, by opisać go jako najbardziej uważnego słuchacza, jakiego kiedykolwiek spotkałam, jego zamiłowanie do szczegółu, które zaskakuje mnie za każdym razem, jego naiwność, która niekiedy doprowadza mnie do białej gorączki, a także jego przygnębienie, które czasami dopada go bez powodu, ciężar, któremu poddaje się bez walki. Ten nietknięty złem człowiek, któremu jakimś cudem udało się przeżyć na tym świecie pięćdziesiąt lat w taki sposób, że wszelkie tragedie, wszelkie katastrofy omijały go szerokim łukiem. U którego największym wyłomem w życiu była przed czterema laty śmierć osiemdziesięcioletniego ojca, który, już zniedołężniały, zasnął spokojnie w apartamencie należącym do kierowanej przez siebie wspólnoty mieszkaniowej i już się nie obudził. A jego syn, mimo że życie go oszczędzało, nie potrafił inaczej, usadowił swoją żalobę na tronie, obwołał ją królową swojego królestwa i spełniał każde jej życzenie. I z powodu swojej melancholii poddaje się od wielu lat psychoanalizie.

Ja jestem jedyną ciemną plamą w jego życiu. Zastępuję mu te wszystkie tragedie, które nigdy mu się nie przydarzyły, i udaje mi się wypełnić to puste miejsce znakomicie – styka się dzięki mnie z tymi wszystkimi koszmarami, które sam zna wyłącznie z obrazów i innych dzieł sztuki. Jestem Saturnem, który pożera własne dziecko, jestem także potworem z piekła Boscha, jestem Salome z odciętą głową Jana, jestem Meduzą z wężami. I nie mogę się pozbyć wrażenia, że on właśnie tego potrzebuje, ponieważ jego życie jest zbyt słoneczne, zbyt pogodne, zbyt ustrukturyzowane, a on tęskni za chaosem, który ja za wszelką cenę chcę przed nim ukryć. A mimo to szuka go, gdy spędzamy razem noce, w każdym nieostrożnym zdaniu, które wymyka mi się z ust, jak pies myśliwski tropi

wszystkie moje zostawione przez nieuwagę ślady i wnika w tę upragnioną ciemność. Niczego tak nie pragnie jak chwili absolutnego załamania, żeby w końcu się uwolnić, uwolnić od predestynacji swojego na wylot przeanalizowanego życia. A ja rozumiem to uczucie i jestem pobłażliwa, jednocześnie sama nie pragnąc niczego innego jak poczucia bezpieczeństwa i spokoju. Tylko w nielicznych, bardzo wyjątkowych chwilach nieuwagi, namiętności, lekkomyślności nasze pragnienia się pokrywają, stają się na moment jednością, ponieważ w tych rzadkich minutach ja też mam ochotę posłać wszystko do diabła, nie zważać na umowy, wszystkie obietnice wyrzucić za burtę, pozrywać wszelkie zabezpieczenia, przeciąć ową kłamliwą sieć bezpieczeństwa, by rzucić się w ten wytęskniony przez Norina chaos, być może w tę najczystsza i najuczciwszą formę życia. Tak, wyszukuję słowa i potykam się o zdania, aż w końcu Nene prosi mnie, żebym się zatrzymała, staje przede mną i mówi cicho:

– Keto, wszystko w porządku, nie musisz się tłumaczyć, znamy cię. Kochasz go?

Zasadnicza kwestia: miłość, która według Nene jest odpowiedzią na wszystko.

Ira uśmiecha się i rusza dalej w drogę, idziemy za nią, mamy cel. Idziemy do ogrodu botanicznego, żeby się tam włamać, znów mamy czternaście lat, jesteśmy na ulicy Engelsa, a nasza przyjaciółka przełożyła już nogę przez rozciągniętą siatkę i macha do nas, dając znak, żebyśmy szły za nią w tę nieznaną dzicz.

– Czasami miłość nie wystarcza, nie jest lekiem na wszystkie dolegliwości, nie wyprostowuje wszystkiego, nie uzdrawia nas i nie odczarowuje naszych problemów. Dobrze o tym wiesz – mówię, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego tak stanowczo się usprawiedliwiam.

– Ale właśnie dokładnie to powinna robić! A jeśli tego nie robi, to nie jest miłością – odpowiada Nene i nie ma sensu jej zaprzeczać, ona musi bronić swojej naiwności, w końcu to dzięki niej przetrwała każdą destrukcję, każde zarzynanie jej miłości.

– Nie rozumiem, dlaczego z nim nie jesteś. To znaczy, ile to już trwa, dwanaście, trzynaście lat? W każdym razie to nie jest jakiś romans, prawda? – tym razem dopytuje Ira.

Jeszcze im nie mówiłam, że Norin mieszka od jakiegoś czasu w Antwerpii z właścicielką pewnej renomowanej restauracji i ma czteroletnią córeczkę. Że jednak na dłuższą metę źle znosi tę chaotyczną, niekontrolowaną miłość z dala od cywilizacji, choć za taką miłością tęskni. I że przed siedmioma laty, płacząc, nieustannie mnie błagając i oczekując zrozumienia, oznajmił, że nie może już wytrzymać tego miotania się w tę i we w tę, że musi „o siebie zadbać”, żeniąc się z renomowaną restauratorką, po to, by uciec od mojego niszczycielskiego nieuporządkowania, mojej niestałości i niezdolności do tego, by się ostatecznie jakoś zdeklarować. I zamiast opisywać dokładniej te okoliczności, wyjaśniam im coś, czego jemu nigdy nie wyjaśniłam. Że opowiedziałam się przeciw niemu zupełnie nieświadomie, po prostu wyciągnęłam z życia nieusuwalną lekcję: że życiu czasami jest całkowicie wszystko jedno, na kogo lub na co się decydujemy, że składanie sobie obietnic jest śmieszne, ponieważ jedyne, czego możemy być pewni, to całkowity brak zielonego pojęcia o tym, co nas czeka.

– Tak, wiem, co masz na myśli, ale trzeba dopuścić do siebie tę iluzję, bo inaczej nigdy nie będziesz potrafiła wejść w żaden związek – oponuje Ira, patrząc na mnie pytająco.

– Dlatego nie jesteśmy w związku – odpowiadam krótko i chcę szybko zakończyć temat, znowu spoglądam na jasny ekran, żeby wykroić sobie krótką chwilę oddechu.

– Ale ty sobie coś wmawiasz. Przecież jesteście w związku! Trzynaście lat, proszę cię. Znasz tego człowieka, a on zna ciebie, dzielisz z nim swoje życie... – Nene się rozpędza.

Muszę ją przystopować, zanim będzie trudno ją powstrzymać.

– Nie, nie jesteśmy. Dzielimy ze sobą pewne fragmenty życia, tych kilka fragmentów, które chcemy ze sobą dzielić. Wszystko inne trzymamy od siebie

z dała. To nie jest związek. To jest porcjowana, dozowana w odpowiednich ilościach bliskość.

Znowu jest mi wstyd, że tak umniejszam to, co jest między mną a Norinem i czego nie potrafię nazwać. Znow muszę go chronić, chronić nas. Dlatego zaczynam opowiadać, choć wcześniej nie miałam takiego zamiaru, że nie przestaje się ze mną kontaktować, wygląda na to, że ani renomowana szefowa kuchni, ani dziecko nie są dla niego żadną przeszkodą, żadnym moralnym obciążeniem. A ja nie wiem, co sądzić o tym, że bez najmniejszych skrupułów przyjmuje zamówienia celowo w tych miastach, w których akurat ja mieszkam i pracuję. I że nie potrafię inaczej jak tylko wpuścić go z powrotem do swojego życia, do tych niezliczonych, wynajmowanych tymczasowo mieszkań i za każdym razem cieszyć się jak dziecko z jego przybycia.

Nene chichocze i klaszcze w ręce, ja śmieję się zakłopotana, Ira tylko kręci głową. Norin, który w tym momencie jest niedaleko stąd, a jednak nieosiągalnie daleko, który najprawdopodobniej śpi teraz obok swojej renomowanej kucharki, który dawniej marzył o dzieciach ze mną i domu z dzikim ogrodem, żeby po latach zrozumieć, że nie wydam już żadnego dziecka na świat – z nikim. Ten wysoki mężczyzna z najdelikatniejszymi dłońmi i najdokładniejszym spojrzeniem, ten wybitny konserwator, który za każdym razem, gdy leżymy nago obok siebie, po tym jak wcześniej się kochaliśmy, gładzi moje blizny, jak gdyby mógł samym tylko nieustającym dotykiem uczynić je niebyłymi.

– Słyszycie to? – Ira zatrzymuje się nagle i każe nam nasłuchiwać.

Słyszę w oddali jakąś melodię, stoimy pod wysokim biurowcem, w każdym razie na to wskazuje fasada z lustrzanych szyb. Zostawiłyśmy za sobą centrum miasta i znajdujemy się teraz przy szerokiej i mało przyjemnej jezdni. Zdaje się, że w tym kompleksie biurowym znajduje się jakiś klub, ponieważ nagle czuję basy i drżenie pod stopami, klub musi być gdzieś w podziemiach.

– To jest znak od losu, musimy tam wejść! – woła Nene i nie czekając na naszą zgodę, pędzi w kierunku, skąd dobiega muzyka.

– Chyba nie mówicie poważnie? Nie zamierzacie chyba iść do nie wiadomo jakiego klubu pełnego dorastającej młodzieży tylko dlatego, że grają tam Barry’ego White’a? Nie żartujcie. – Jestem oburzona, nie mam najmniejszej ochoty na taki zwariowany pomysł i jakoś trudno mi dostrzec w tym znak od losu.

– No chodź, ta noc należy do nas.

Ira także zdaje się szukać jakiejś rozrywki i zapomnienia, może jakiegoś wentylu po tej fatalnej rozmowie z Nene, która wciąż jest nierozstrzygnięta. Wyciąga gotowego skręta z torebki, zapala go i podąża za Nene wielkimi, energicznymi krokami. W takiej sytuacji nie pozostaje mi nic innego i idę za nimi.

To jest jakaś taneczna, szybsza wersja *Let the music play*. Zastanawiam się, czy tę piosenkę śpiewaną przez całkowicie apolitycznego i zakochanego do szaleństwa piosenkarza R&B o łagodnym głosie można by uznać za hymn pewnego gruzińskiego dziesięciolecia, i dochodzę do wniosku, że pasowałaby doskonale, ponieważ od 1994 albo raczej od 1995 roku była po prostu bezkonkurencyjna: grano ją na małych potańcówkach w prywatnych mieszkaniach, w samochodach z głośnikami włączonymi na cały regulator, ale też w nielicznych klubach, których w Tbilisi otwierało się stopniowo coraz więcej, urządzonych w prawdziwie amatorski sposób, ze skromną ofertą trunków i słabym wyposażeniem technicznym. To jest zdecydowanie orficka pieśń mojego pokolenia. To właśnie my, dzieci lat dziewięćdziesiątych, które zamieniły dzieciństwo i młodość na kałasznikowy i heroinę, właśnie my słuchaliśmy Barry’ego White’a i nie tęskniliśmy za niczym innym, tylko za wieczną miłością, ekstatycznymi owocami tej miłości, za zabawą i rauszem. To właśnie dzięki nam grała muzyka. I to jak! Tak, graliśmy ją do gorzkiego końca!

Barczysty wykidajło ze słuchawkami na uszach mierzy nas wzrokiem i najwyraźniej uznaje, że wyglądamy dostatecznie niewinnie, by wpuścić nas do tego królestwa. Barry White śpiewa coraz głośniej i kusi nas swoim głębokim, aksamitnym głosem, byśmy weszły do podziemnego świata. Widzę przed sobą Nene, jak schodzi po schodach. Zdjęła japonki i wyciąga z torebki swoje zabójcze

szpilki. Widzę też Irę idącą za Nene, powieki zrobiły jej się w międzyczasie ciężkie, jednocześnie mam przed sobą jej bladą twarz tamtego dnia, gdy poprosiła nas wszystkich do siebie, gdy nie dało się już dłużej ukrywać pętli, jaką zarzuciła rodzinie Koridze na szyję. Widzę przerażenie Diny i niepohamowaną nienawiść, którą bez skrępowania ciska Irze w twarz, i nagle tu, na tych oświetlonych neonami schodach, przeszywa mnie dreszcz.

Dina odebrała kampanię zemsty prowadzoną przez Irę jako kolosalną i niewybaczalną zdradę. Jestem od pewnego czasu wręcz pewna, że oburzenie Diny było nawet większe niż tej, którą owa zemsta bezpośrednio dotknęła, czyli Nene, i wątpię, by Dina, gdyby żyła, była kiedykolwiek w stanie wybaczyć Irze. Nene do dziś szuka motywów, które mogłyby wyjaśnić decyzję Iry. Dina natomiast od samego początku miała jasne zdanie na ten temat, wydawało jej się, że zna wszystkie powody Iry, i nie zamierzała odstąpić od swojego przekonania ani na milimetr.

Podczas gdy wchodzimy do dużej, ciemnej sali z migającym kolorowo parkietem, próbuję usilnie zrekonstruować w głowie przebieg tamtych dni. Podobnie jak wtedy w ciemnym mieszkaniu Iry siadamy przy stoliku w jakiejś niszy pod ścianą, z tym że teraz nie jesteśmy w komplecie. My, cztery muszkieterki, tylko nasz d'Artagnan już dawno nas opuścił.

Nene maszeruje sama na parkiet po tym, jak jej próby zachęcenia nas do tańca spełzły na niczym, i zanurza się w oparach spoconych ciał, ostrych perfum i kuszącego głosu Barry'ego White'a.

Ira i ja próbujemy rozgryźć to miejsce. Ira przypina mu łątkę „pożal się Boże – posh”. Wbrew moim oczekiwaniom klientela jest mieszana, wiekowo wcale się jakoś specjalnie nie wyróżniamy. Kobiety są dość mocno wystrojone, mężczyźni trochę podejrzani, wielu z nich ma grubą warstwę żelu na włosach. Mimo to miejsce nie wygląda na tanie, design ma w sobie coś futurystycznego z tymi licznymi neonowymi rurami i białymi niszami pod ścianą. Barry White zdaje się lecieć w jakiejś *extended version*, w ogóle nie przestaje śpiewać. Słyszę, jak Ira w swoim ciemnym pokoju i w innym stuleciu mówi do nas: „Jutro sprawa zostanie

upubliczniona, dlatego chciałbym, żebyście dowiedziały się tego najpierw ode mnie”.

Opuściła głowę i próbowała opanować drżenie rąk i głosu. Dina, której nie widziałam już od tygodni, spojrzała na mnie zdenerwowana, a ja wzruszyłam ramionami. Nene piła swoją kawę po turecku i wydawała się nieobecna. Ona, matka trójki małych dzieci, pozostawiona sama sobie ze zmartwieniami swojej matki, z żałobą po zmarłym bracie i troską o brata kryminalistę, bardzo często była myślami gdzie indziej.

Żadna z nas nie spodziewała się takiej rozmowy. Nikt nie przypuszczał, że będzie miała taki przebieg, że usłyszymy od Iry takie słowa.

– O czym ona mówi? – Dina spojrzała na Nene.

Ale ta tylko przewróciła oczami. Nene była ostatnią osobą, która przeczuwała, że ta rozmowa będzie miała tak fatalny koniec.

– Pani prokurator jest przecież ostatnio bardzo zajęta, prawie w ogóle nie ma czasu dla swoich przyjaciół, więc skąd mam to wiedzieć?

Ten zarzut odnosił się także do Diny, ponieważ od wybuchu konfliktu między Nene i dwoma pozał-się-boże-artystkami podczas imprezy u Diny czuła się przez Dinę wystawiona do wiatru.

– Proszę, pozwólcie mi się wypowiedzieć do końca. To nie jest dla mnie łatwe, ponieważ to, co teraz powiem, zmieni wszystko. Dlatego chcę, żebyście wiedziały, dlaczego uważam, że to jedyna droga.

Ira była blada, miała tak duże sińce pod oczami, że wyglądała, jakby była chora. Nene nadstawiła uszu. Dina ściągnęła brwi. Ja wyprostowałam się i pochyliłam nieco nad stołem. I wtedy Ira zaczęła opowiadać. O swojej decyzji, „żeby wreszcie skończyć z tym wszystkim”. Opowiadała o swoim życiu w Ameryce, o swojej samotności, o staraniach, o dążeniu do celu, który wiele od niej wymagał. Milczałyśmy, pamiętam, że w pokoju zapanowała lodowata cisza, która przyprawiała mnie o dreszcze. W tej ciszy niósł się tylko echem nerwowy głos Iry. Opowiedziała nam wtedy o swoich planach, objaśniła każdy krok,

z otwartymi ustami podążałyśmy jej ścieżką. Dokąd to wszystko zaprowadzi? Nie mogliśmy uwierzyć, że naprawdę będzie w stanie wprowadzić w czyn to, czego się domyślałyśmy.

– Ika zaprezentuje jutro w telewizyjnej dwójce fragment nagranej rozmowy telefonicznej, którą przeprowadził twój brat.

Nene, która w pewnym momencie, jak się zdawało, straciła wątek, wybudziła się nagle z letargu i spojrzała na Irę.

– Co ty powiedziałaś?

– To się musi skończyć, zanim straci życie niezliczona liczba kolejnych osób. – Ira podniosła wzrok i spojrzała na nas, ponownie wzięła się w garść.

– Przygotowujesz oskarżenie przeciwko Cotnemu? Ale dlaczego telewizja, co Ika ma z tym wspólnego, nie rozumiem...

Dina zapaliła pospiesznie papierosa, błyskawicznie podniosła się z krzesła i zaczęła łązić tam i z powrotem.

– Ika jest oficjalną twarzą tej sprawy. W mieszkaniu Tapory został umieszczony podsłuch, mamy sporo fragmentów rozmów telefonicznych i dyskusji. Jutro wybuchnie bomba i nie będzie już odwrotu. Od lat pracuję nad oskarżeniem: handel narkotykami, wymuszenia rabunkowe, wielokrotne groźne uszkodzenia ciała, nielegalne posiadanie broni.

Jakiś śmiech wyrwał mnie z szoku.

– Żartujesz sobie, prawda?

Nene powtórzyła pytanie, nie przestając się śmiać. Pamiętam wyraz strasznego oburzenia na jej twarzy, który pojawił się zaraz po tym, jak przestała się śmiać. Przypomniałam sobie, co Ira powiedziała mi w swoim pokoju tuż przed wyjazdem do Stanów, i poczułam, jak zimny pot występuje mi na czoło. Wtedy nie przywiązywałam do jej słów zbyt wielkiej wagi, a do tego nie dotrzymałam słowa. Nie wzięłam poważnie zdecydowanej stanowczości w jej głosie.

– Zadzwoń natychmiast do Iki. Musicie zniszczyć ten materiał – głos Diny przerwał monolog Iry.

– Co proszę? – Ira podniosła się z miejsca.

– Nie udawaj, że nie rozumiesz. Nie jesteśmy zdrajcami. Nie robimy takich rzeczy. Czy chociaż przez sekundę pomyślałaś o Nene? O jej matce? A Cotne też nie jest mi obojętny. – Skrzydełka jej nosa falowały, broda drżała. – To, co zamierzasz zrobić, to szczyt wszystkiego, to jest gorsze niż to, co Cotne kiedykolwiek zrobił w życiu. – Zwróciła się do mnie: – Wiedziałaś może o tym?

– Odbiło ci? O niczym nie wiedziałam.

Jej podejrzenie było dla mnie jak policzek, tym bardziej że od miesięcy zachowywała się tak, jakbyśmy nie dorastały do jej poziomu.

– Przecież to byłoby ci na rękę, Cotne przestałby stanowić zagrożenie dla twojego brata...

Nie wierzyłam własnym uszom, jak śmiała zarzucać mi coś takiego? Spojrzałam na nią, jej wzrok był pełen pogardy. To zdanie było jak strzała, którą strzeliła mi prosto między żebra.

– Przestańcie! Nikt o niczym nie wiedział, nikt! – Ira stanęła między nami.

I zanim naskoczyłabym na Dinę i powaliłabym ją na ziemię, zanim zaczęłabym ją dusić albo wydrapywać jej oczy – wszystko w tamtym momencie było możliwe – usłyszałyśmy jakiś stuk i zobaczyłyśmy, że Nene osunęła się na podłogę.

A teraz tańczy. Wciąż mnie zdumiewa to niewyczerpane źródło energii. Skąd ona bierze tę radość życia? Po tym wszystkim, co przeszła, potrafi się zapomnieć, zakochuje się do szaleństwa, a wszystko po to, by zagłuszyć ową paraliżującą ciszę w swoim wnętrzu. Jednocześnie wiem, że to jest jej kamuflaż, że musi upodabniać się do tornada, żeby nie trwać w grobowej ciszy, jaką pozostawili po sobie wszyscy, których kochała i którzy istnieją już tylko na czarno-białych fotografiach. Musi tańczyć do Barry’ego White’a na tych swoich zabójczych obcasach i flirtować z wytatuowanym kelnerem, żeby nie słyszeć tej ciszy. Wiem, rozumiem to. Wszyscy mamy swoje kłamstewka, które służą nam czasem za podporę. Nene musi to robić, podobnie jak Ira musi gonić za sukcesem, a ja przywracać do życia stare dzieła sztuki.

– Pamiętasz, że wtedy, gdy zdetonowałaś bombę, Dina chciała szukać Cotnego?! – krzyczę Irze do ucha.

Ira zamówiła przy ladzie napoje i czekamy z utęsknieniem na swoją wodę. Wprawdzie wcześniej zaopatrzyliśmy się w sklepiku, ale wstydzimy się tu cokolwiek wypakowywać.

– Napłula mi wtedy w twarz, wyobrażasz sobie, wtedy, tamtego popołudnia, zanim sobie poszła... Owszem, pamiętam, próbowała też znaleźć Ikę, ale spodziewałam się tego i wysłałam go na parę dni na wieś, nawet ja nie wiedziałam, gdzie się zatrzymał. W dniu emisji programu miał przyjechać bezpośrednio do studia.

– Nigdy nie zwątpiłaś? To znaczy, szczególnie wtedy, gdy uświadomiłaś sobie, że Nene i Dina nigdy ci nie wybaczą?

– Byłam święcie przekonana, że któregoś dnia mnie zrozumieją. Tak sobie wmawiałam.

– Myślisz, że Dina pogodziłaby się z tym, gdyby żyła?

Ira wzrusza ramionami. Jej twarz wygląda nagle na bladą i umęczoną, jakby ktoś wcisnął w niej nagle jakiś przełącznik. Ultrafioletowe światło podkreśla jej zagubienie. Ira przetrzymała to wszystko. Wzięła na siebie to, co nastąpiło potem.

– Dlaczego Cotne nie uciekł? Przecież mógł się ukryć?

Znów wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Myślę, że przeszacował swoje siły, myślał, że jego krysha jest wszechmogąca, i nie docenił opinii publicznej, medialnego nacisku, pragnienia małych ludzi, by zobaczyć, jak wielcy i możni idą na dno. Poza tym nastroje w kraju się zmieniły: Szewardnadze wysłał swojego największego przeciwnika za kratki i wszyscy wstrzymywali oddech w oczekiwaniu na wielki proces przeciwko szefowi Mchedrioni. Wszyscy byli świadomi, że następuje przełom i zbliża się koniec panowania tej bandy.

Przypominam sobie, jak siedzę z Eter przed telewizorem, twarz brodatego dziennikarza miga na ekranie i równocześnie jest odtwarzane nagranie z taśmy.

Pamiętam powstrzymywany oddech i wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę, lecz jest jakimś zainscenizowanym przedstawieniem. Widzę, jak Rati wchodzi do pokoju ze zwieszonymi ramionami, bladą twarzą i obgryzionymi do krwi paznokciami, zauważam zdenerwowanie na jego twarzy, gdy rozpoznaje głos Cotnego. Pamiętam, że to wszystko mnie przerastało, chciałam trzymać go z dala od wszystkiego, co mogłoby zaszkodzić jego ozdrowieniu, próbowałam wymazać z jego pamięci wszelkie wspomnienia dawniejszego życia, pamiętam także, że moje zamierzenia okazały się płonne.

Ira wypija do dna szklankę wody przyniesioną wcześniej przez młodą kobietę w krótkiej spódniczce i wstaje gwałtownie. Potem podaje mi rękę.

– Chodź, potańczymy!

Patrzę na nią z niedowierzaniem. Ira jeszcze nigdy nie tańczyła, jestem zdziwiona, że nagle przeszło jej zmęczenie.

– Ty chcesz tańczyć?! – wykrzykuję głośno pytanie, ponieważ po tym jak Barry White spełnił już swoje zadanie i ściągnął nas tutaj, rozlegają się teraz głośne beaty muzyki elektronicznej, przy których nie da się normalnie rozmawiać.

Chwytam Irę za rękę i posłusznie idę za nią na parkiet.

– Tak się ostatnio w tym wprawiałam, że nie wychodzę z klubu bez kogoś do towarzystwa! – Ira krzyczy mi do ucha i śmieje się szelmowsko.

Dziwi mnie to jej szczeniackie zachowanie. Rozglądamy się za naszą żądną zabawy przyjaciółką.

Czy rzeczywiście nią jest? Czy my nimi jesteśmy? Czy możemy posługiwać się tym pojęciem, mimo że od lat odzywamy się do siebie tylko od święta, a osobiste spotkania są jedynie kwestią przypadku? Czy przyjaźń jest wieczna tylko dlatego, że spędziło się razem dzieciństwo i młodość? Że łączy nas echo dawnych dni albo tych kilka czarno-białych zdjęć, na których zostałyśmy uchwycone? Czy dzisiaj wybrałybyśmy siebie nawzajem na przyjaciółki? Czy nasze obecne tak różnorodne marzenia, tęsknoty, dążenia i żądze nie stanowiłyby dostatecznej przeszkody, by powstała taka więź? Czy nasze doświadczenia życiowe, lęki, wątpliwości, ale

przede wszystkim nasze życiowe kłamstwa nie postawiłyby nas od razu w stan alarmowy?

A jednak istnieje we mnie coś, co mówi, że wszystko ma swoją prawidłowość, że lata niczego nie zmieniają.

Do muzyki wkradają się jakieś orientalne dźwięki i moje ciało zaczyna się kołysać, zastanawiam się, która jest godzina, stwierdzam, że już dawno straciłam wszelkie poczucie czasu. Po drugiej stronie parkietu dostrzegamy Nene, tańczy z jakąś młodą parą, przy czym jej uwaga jest wyraźnie skupiona na mężczyźnie, któremu to się ewidentnie podoba, natomiast jego towarzyszka przygląda się obojgu rozbawiona. Tańcząc, przemierzamy się w jej kierunku. Kiedy to ja ostatnio tańczyłam? Kiedy straciłam poczucie czasu? Kiedy miałam ostatnio szesnaście lat? Moje ciało zaczyna tajać. Otwieram ramiona. Ruchy Iry nie są tak jedwabiste jak Nene, ale są stylowe. Nene zauważa nas, śmieje się do nas, jej twarz jaśnieje w świetle stroboskopu.

Zamykam oczy i widzę przed sobą Dinę. Jakie to było lekkie, gdy tańczyła z moim bratem rock'n'rolla. Otwieram oczy i widzę Nene, zbliża się do nas, twarz ma zroszoną potem. Zamykam oczy i widzę przed sobą Reza, jego nieco przeciągłe, lekko pytające „Kipiani” przyciąga mnie do siebie, zanurzam się w mnóstwie zasypanych wspomnień. Z nikim pożądanie nie było tak naturalne i niewymuszone, a bycie razem tak bardzo niemożliwe. Znów otwieram oczy i widzę, jak Ira namierza jakąś blondynę w wysokich kozakach. Chce mi coś pokazać, tę swoją stronę, której nie znam, otwiera się przede mną, ta amerykańska Ira, która nigdy nie wraca do domu bez nagrody, ta kusicielka. Omotuje kobietę, jest pajakiem, który zwabia swoją ofiarę w sieć, cierpliwie i z pewnością siebie. A kobieta, zaskoczona i ciekawa, daje się kusić.

Zamykam oczy i widzę leżącą w kuchni okopconą łyżkę. Pierwsza przesłanka śmiertelnej ofensywy, która nawiedziła także i mój dom. Zastygam w bezruchu, powstrzymuję oddech, czasy jak zasłony zasuwiają się i nachodzą jedna na drugą: widzę tę łyżkę zimą 1997 roku, kilka dni po tym, jak materiał wybuchowy Iry został zdetonowany, a nasza przyjaźń rozprysła się jak owoc granatu na tysiąc

krwistoczerwonych kawałeczków. Widzę łyżkę leżącą na stole w naszej kuchni, użytą niezgodnie z jej przeznaczeniem, widzę również łyżkę zabarwioną na brązowo od płomienia zapalniczki leżącą trzy lata wcześniej obok martwego ciała Gugi.

Wiedziałam więc, z czym mam do czynienia. Wiedziałam, że śmiertelna trucizna płynie teraz także w żyłach mojego brata i że przegrałam. A przecież od kilku tygodni żyliśmy nadzieją, że już ma się ku lepszemu, sprawiał wrażenie stabilniejszego, nie był już tak apatyczny, zmniejszono mu dawkę leku, powróciło łaknienie, oczy przestały mu lśnić w tak maniackalny sposób. Każda najdrobniejsza aktywność z jego inicjatywy sprawiała, że skakaliśmy do góry z radości. Każde stosowne do sytuacji słowo, które do nas kierował, przynosiło ulgę. Zaczął się znowu golić, wychodzić z domu, robił nawet małe zakupy, oglądał filmy, słuchał muzyki, spotykał się od czasu do czasu z Sancho albo którymś ze swoich kolegów i zamykał się z nimi w swoim pokoju. Raz spytał mnie o Dinę, a ja zawahałam się, czy mu powiedzieć, że Dina urządziła sobie nowe, lepsze życie. A potem zobaczyłam tę łyżkę i już wiedziałam, że karmił nas wszystkich kłamstwami.

Otwieram oczy i widzę, jak Ira obejmuje blondynę w tali. Puszczą do mnie oko. Nene zjawia się u mojego boku i obserwuje z fascynacją uwodzicielski kunszt Iry. Zdaje się, że ona, mistrzyni w tej dziedzinie, jest pod niemałym wrażeniem. Nene i ja tańczymy razem, jest wiotka, miękka, jej ciało ma mnóstwo zaskakujących wklęsłości i wypukłości. Jej ciało zwodzi, udaje, że jest niedrażnione, nieokaleczone, zwinne, pełne pożądania i tętniącego erotyzmu. Nie mówi nic o zmarłych, którzy torują mu drogę, nic o tysiącach stłumionych krzyków i straconych marzeń, o niezliczonych ranach, które sobie zadała.

Zamykam oczy i widzę martwe ciało mojej babki, która pewnego poranka postanowiła nie wstać z łóżka i przed którą chowałam każdą strzykawkę, każdą łyżkę i każdy pasek, żeby nie pozbawiać jej iluzji, że Rati jest na dobrej drodze do wyzdrowienia. Gdy ojciec wyszedł z jej sypialni z zastygłym i nic niemówiącym wyrazem twarzy, od razu wiedziałam, że poszła do swojej odwiecznej

przeciwniczki i najlojalniejszej przyjaciółki i że teraz ze swą najwierniejszą towarzyszką będzie mogła znów toczyć spory o Rilkego i Baudelaire'a.

Otwieram oczy, Ira zaraz pocałuje blondynę, chce nam coś udowodnić, nie ma już nic do ukrycia. Jest wolna. Tak, jesteśmy wolne, nareszcie jesteśmy na wolności, w tym rozbawionym mieście, w tym futurystycznym klubie, oddalonym o lata świetlne od czarno-białych zdjęć dzisiejszego wieczoru. Tak, w końcu jesteśmy same sobie Bogami.

Zamykam oczy, poruszam się do beatów podrasowanych dźwiękami bałabanu. Coś mi ten dźwięk przypomina. Tak. Oczywiście, duduka, to proste i jęśliwe brzmienie duduka. Widzę, jak Lewan w największym skupieniu i z żarliwym wyrazem twarzy gra na duduku, widzę jego grube rzęsy, jego uśmiech, gdy patrzy na mnie z siedzenia kierowcy i puszcza do mnie oko. Strukturę jego oliwkowej skóry, jego ciepło, które otula mnie jak koc. Jego oddech w moim uchu, jego dźwięczny śmiech, jego szybkość, jego roziskrzane oczy podczas opowieści o Strawińskim, albo raczej o Debussym, już nie pamiętam, zresztą to wszystko jedno. Kiedy rodzina Jaszwilich sprzedała mieszkanie? Czy to było przed moim wyjazdem do Niemiec, czy po? I na którym to z licznych pogrzebów widziałam go po raz ostatni? Nie, ostatnim razem spotkaliśmy się chyba na placu Majdan, podczas jednego z moich letnich urlopów. Był w towarzystwie jakiejś rosyjskiej piękności, którą przedstawił mi jako swoją „znajomą”. Kobieta, która była całkowitym przeciwieństwem mnie. Już nie pamiętam, co mnie bardziej zszokowało: ta długonoga, bardzo wyzywająco ubrana kobieta czy on sam. Zrobiło mi się dziwnie słabo i musiałam przytrzymać się wózka, w którym siedział mój synek. Jak on wtedy patrzył na mnie i na moje dziecko. Jak zmuszał się do uśmiechu, położył mi rękę na ramieniu i powiedział: „Ach Keto, Keto, jesteś niezniszczalna”. Jego krótko ostrzyżone włosy były już przyprószone siwizną, a okulary pilotki dyndały na czarnym łańcuszku zawieszonym na szyi. Już dawno nie widziałam kogoś, kto nosiłby okulary przeciwsłoneczne w taki sposób. Wyglądał jak z innej epoki w tych swoich czarnych dżinsach i z wykałaczką między zębami. Zapach jego wody po goleniu był wręcz wulgarnie dominujący,

złoty łańcuch zbyt nachalny, a jego dawna ciekawość ustąpiła pospiesznej nerwowości. Ciągłe się rozglądał, jakby był w trakcie ucieczki, i być może tak było, on, który całe życie poszukiwał swojego wroga, sam stał się prześladowanym: po fali aresztowań i rozbiciu Mchedrioni uciekł przed groźącym mu zatrzymaniem do Rosji. Podobno wspiął się tam w rosyjskim półświatku na najwyższe szczyble i zgromadził dosyć dużo pieniędzy, jednak po dojściu Putina do władzy popadł w niełaskę i musiał ponownie wrócić do kraju. Gdy go zobaczyłam w takim stanie, zaczęłam się zastanawiać, co nas kiedyś łączyło. Stałam przed nim i tłumiałam w sobie palącą potrzebę, by podciągnąć sukienkę i wystawić na widok swoje zagojone i poblakłe już blizny. Zatrzymał dłużej wzrok na dziecku, jakby szukał śladów, których jednak nie znalazł.

– Wszystko u ciebie w porządku, Keto? – spytał, lustrując mnie od głowy do stóp.

– Tak, w porządku, Lewan. A u ciebie?

Cóż miałabym mu powiedzieć, o cóż mogłabym go zapytać.

– A jak ma mi być, bez ciebie – powiedział i znów mrugnął do mnie.

Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, znajoma zawołała go do siebie.

Otwieram oczy i schylam się do Nene:

– Masz jeszcze kontakt z Jaszwilimi? Wiesz może, gdzie się podziewa Lewan?!

– krzyczę jej do ucha.

– Dlaczego akurat on przyszedł ci teraz do głowy? – chce wiedzieć. Pachnie fiołkami i pudrem. Dokładnie tak jak wtedy, dokładnie tak jak zawsze. – O ile mi wiadomo, siedzi w Baku, robi coś z ropą, nie mam pojęcia, na pewno goni za wielką fortuną, żeby móc dalej finansować swoich szpiegów i wytropić Tatiszwilego. Ma ze trójkę czy czwórkę dzieci rozsianych po całej Europie Wschodniej, które jeszcze nigdy nie widziały Niny i Rostoma. No wiesz, znasz go...

Nie, nie znam go, być może nigdy go nie znałam, ale nie mówię jej tego.

– A więc nie udało mu się dorwać Ottona?

Z powodu hałasu muszę powtórzyć pytanie dwa razy. Żrenice Nene się rozszerzają, a twarz pochmurnieje. Kręci głową. Niektóre sprawy się nie przedawniają. Niektóre blizny nie bledną. Niektórzy ludzie nie zostają nigdy odnalezieni, nawet jeśli inni tracą z ich powodu rozum, a jeszcze inni nie mogą zaznać spokoju. Zamykam oczy i widzę zdesperowany śmiech Anny Tatiszwili, podczas gdy obnaża piersi. Trzymam oczy zamknięte, pozostaję przez chwilę w swoich wspomnieniach, gdzie znajdują się wszystkie fragmenty mojego ja, wszystkie warianty mojego ja, cały bezsensownie wystrzelony proch, wszystkie obrócone w popiół marzenia. Pozwalam im opadać na siebie, nadstawiam im głowę, daję się przywoływać do „dawniej”, żeby móc jeszcze raz poczuć w nozdrzach wulgarny zapach wody po goleniu i jeszcze raz puścić w ruch przed oczyma każde z tych wielu życ przeżytych na zapas.

„Żyłam, żyłam na zapas, Keto”. Powiedziała to ze znamiennej wyrazistością i tak typowym dla siebie przerażającym zdecydowaniem. To zdanie Diny, wypowiedziane na krótko przed śmiercią, nie znosiło sprzeciwu.

Moje ciało szuka jej, wyciągam rękę do czegoś, co nie nadejdzie, co już nigdy nie przyjdzie, i trwam tak, podczas gdy wokół mnie ludzie rozplývają się w muzyce. Moje ciało sygnalizuje, że jej nieobecność to wołająca o pomstę do nieba niesprawiedliwość, to skandaliczny fakt, z którym nie potrafię się pogodzić. Ale moja głowa wie, że już dawno się z tym pogodziła. Od dziewiętnastu lat uczy się każdego dnia wciąż od nowa z tym życ i od dziewiętnastu lat wymazuje wspomnienia na ten temat. Jakby każdego dnia od nowa bronila się przed robieniem czegoś, czego nauczyła się dawno temu. Wyciągam ramiona, szukam Diny pośród tych wszystkich ludzi, którzy są wokół mnie, doskonale wiedząc, że jej nie znajdę, a jednak nie umiem inaczej. Od razu mam w uszach jej brudny, chropawy śmiech, ten mocny śmiech żeglarzy, jej włosy łaskoczą mnie w czubek nosa, jej delikatne, a mimo to silne ręce lądują na moich ramionach i kołyszemy się w tę i we w tę, rozsadzamy tę imprezę, jesteśmy awanturkami, które działają każdemu na nerwy, wszystkim depczą po nogach, my – dwie wesole, doskonale ze sobą harmonizujące wariatki.

Otwieram oczy. Jestem sama. Od dziewiętnastu lat jestem sama. Od dziewiętnastu lat szukam odpowiedzi, którą Dina zabrała ze sobą do wieczności. Nene tuli się do mnie, mam ochotę ją zapytać, jak jej smakuje wolność, od kiedy Ira złożyła ją u jej stóp jak upolowane zwierzę. Tę wolność, której Nene nigdy nie chciała mieć.

Wzrok Nene wciąż wędruje w stronę Iry, która nagle odstępuje od kobiety, jak gdyby przed kilkoma sekundami w ogóle nie odgrywała przed nią żadnego požądania. Patrzy na Nene. Stroboskopowe światło przestaje świecić, oczy się uspokajają, nowa melodia wypełnia salę taneczną, ludzie zmieniają ruchy, dopasowują się do nowych rytmów, wydają się tworzyć falę jak w jakimś wyuczonym na pamięć tańcu. Ira podchodzi do Nene, Nene waha się, być może nie chce się jeszcze decydować, chce swoją towarzyszkę jeszcze trochę pomęczyć niepewnością. Ale Ira zbiera się na odwagę, a blondyna oddala się urażona. Obserwuję Nene i Irę i muszę się uśmiechnąć, w tej nierównej parze jest coś uspokajająco znajomego, jest w niej coś niezmiennego, wciąż takiego samego. Nene także zaczyna ostrożnie tańczyć, pozwala mówić swemu ciału za siebie, odrzuca głowę do tyłu i daje się Irze dotknąć, pozwala, by Ira wzięła ją za rękę.

Siedzimy na krawężniku przed klubem, potrzebujemy powietrza, jesteśmy spocone i zmęczone. Pijemy łąpczywie wodę kupioną w sklepiku, podajemy sobie butelkę z ręki do ręki. Nene zapala papierosa i śmieje się zadowolona.

– Hej, jesteśmy jeszcze na chodzie, no nie, dziewczyny? – woła i klaszcze z zadowoleniem w rękę.

Ira wyciąga nogi, odchyła się do tyłu, podpierając się rękami, i kieruje wzrok w stronę nieba. Widać tylko gdzieś tam kilka pojedynczych gwiazd, latarnie uliczne świecą zbyt mocno.

– Czy w tutejszym ogrodzie botanicznym też jest jakiś wodospad? – chce wiedzieć Nene. – Trochę ochłody by nie zaszkodziło.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – odpowiadam, sama nieco rozczarowana tym stwierdzeniem. – Czy na pewno chce nam się jeszcze tam iść?

Sama nagle nie jestem pewna, czy to jest taki wspaniały pomysł.

– Oczywiście! – mówi zdecydowanie Ira, podnosi się i podaje mi rękę, żeby pomóc mi wstać.

Posłusznie wstaję. Nene znów wskakuje w japonki Iry i kontynuujemy swoją wędrówkę.

Idziemy powoli, co chwilę się zatrzymując. Nie spieszymy się, wszelki czas zostawiłyśmy za sobą i rozpędziłyśmy go na cztery wiatry, jesteśmy w „dawniej”, w „teraz”, jesteśmy też po części tym, czym będziemy po tej nocy.

– Dlaczego nie zostałeś z Rezem?

Jestem zdumiona, że Nene wspomina w tej chwili Reza, dziwię się też sama sobie, że tak często dziś wieczorem o nim myślałam.

– Dlaczego przyszedł ci teraz do głowy?

– Kochał cię. I w pewnym sensie pasowaliście do siebie, o wiele bardziej niż ty i Gio albo ty i Lewan. I prawdopodobnie też lepiej niż ty i twój Belg.

– Nie można się tak zaprogramować, żeby kochać tylko tego, do kogo się pasuje – Ira wypowiada to zastrzeżenie i dobrze wiemy, do kogo pije.

– Zraniłam go. Nawet bardzo. Niechący. A może też było mi wszystko jedno. Nie wiem. – Nagle naszła mnie ochota, żeby o wszystkim opowiedzieć, nie musieć niczego udawać, niczego nie zatajać. – Uratował mnie wtedy, ale w pewnym sensie nienawidziłam tego uczucia, tej zależności, tego zobowiązania. Gdy wtedy do mnie zadzwonił i zaproponował studia, chciał mi naprawdę pomóc. W tamtym czasie długo się nie widzieliśmy. Słyszał o śmierci Ratiego i chciał ze mną porozmawiać. Mieszkał już wtedy w Dreźnie, miał tam tymczasową profesurę. Był wspaniały jako profesor, wszyscy go lubili. Prowadził wykłady na temat malowideł ściennych. Jego matka zmarła niewiele wcześniej i miałam wrażenie, że nic go już w Gruzji nie trzyma i że zostanie w tym Dreźnie. A potem dzwoni i proponuje mi te studia magisterskie. Zawsze chciał, żebym przerzuciła się z malarstwa ściennego na malarstwo na płótnie, zawsze mnie do tego zachęcał. Ale wtedy to było dla mnie coś niewyobrażalnego, pamiętam ten okres tylko szczątkowo, brakuje mi ciągłości

wspomnień, jak gdybym w międzyczasie zapadła w długi sen zimowy. To było tak, jakby mnie zapraszał na Marsa, wszystko, o czym opowiadał, było tak odległe, jak gdyby mówił do mnie jakimś niezrozumiałym językiem. Staralam się wtedy jakoś trzymać ze względu na ojca, strasznie się o niego bałam i po prostu szłam do przodu, zdobywałam jedzenie i odnawiałam cudze mieszkania.

– Czy wiedziałyście, że Gruzja ze wszystkich państw postsowieckich zanotowała największy spadek gospodarczy? Nikt nie był w takiej, że się tak wyrażę, czarnej dupie jak my. Jeśli dobrze pamiętam, produkt krajowy brutto spadł o siedemdziesiąt procent. Trzeba to sobie uzmysłwić.

– Poczekaj, pozwól jej mówić, daj spokój z tą gospodarką! – Nene nie interesują fakty, nigdy jej nie interesowały, a jeszcze mniej liczby i statystyki. – Odmówiłaś mu wtedy, prawda?

– Tak, odmówiłam. Ale po Dinie nastąpił moment, w którym wiedziałam, że jeśli się stamtąd nie wydostanę, to zginę. Tak się wtedy cięłam, że trzeba było to zszywać.

Zatrzymujemy się. Obie milczą. Jeszcze nigdy nie rozmawiałam z nimi o tym tak otwarcie. Mimo to wiem, że o tym wiedzą, że zawsze o tym wiedziały. Nie chcę współczucia, nie potrzebuję słów pocieszenia, więc nie przerywając, mówię dalej:

– A potem ta ciąża. Byłam pewna, że nie urodzę tego dziecka. Kierując się jakimś głęboko ukrytym instynktem samozachowawczym, zadzwoniłam do Reza i zapytałam, czy jego propozycja jest wciąż aktualna. I postanowiłam usunąć ciążę, gdy tylko znajdę się w Niemczech. Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się to nie do wyobrażenia, ale wtedy byłam pewna, że tak zrobię. Wszystko się przeciągało, minęła wieczność, zanim dostałam wizę, potrzebowałam coraz więcej papierów i gdy w końcu dotarłam do Drezna, byłam już w piątym miesiącu. To Rezo dodawał mi sił, tak że uwierzyłam, że dam radę. Fakt, że staliśmy się wtedy rodziną, nastąpił bez zbędnych słów, bez jakichkolwiek ustaleń. I jakby w naturalny sposób zaczęłam sypiać w jego łóżku. Nie mogę mu tego zarzucić, wiedziałam, że tak zakładał, gdy powiedziałam mu, że się zgadzam. Zorganizował wszystko, nie musiałam się o nic martwić, zresztą sama z niczym bym sobie nie poradziła, on za

mnie wszystko załatwiał. Dopasowałam się do tej roli, nie zastanawiając się, czy tego rzeczywiście chcę i kim tak w ogóle jestem. Żyłam z dnia na dzień. I gdy któregoś dnia sobie uświadomiłam, że dziecko naprawdę przyjdzie na świat i będę musiała się o nie troszczyć, wydawało mi się wręcz logiczne, że u niego zostanę i zapewnię dziecku rodzinę. Byłam pod wrażeniem, jak Rezo świetnie odnalazł się w roli ojca. Ale gdzieś w głębi duszy wiedziałam, że tylko odgrywamy rodzinę. Podziwiam go, także i dzisiaj, ale nie byliśmy parą kochanków, po prostu nie mogliśmy nią być.

– Ale chyba uprawialiście seks? Czy nie? – Nene nie potrafi odpuścić.

– Tak, oczywiście, uprawialiśmy też seks. A potem przyszedł na świat Rati i Rezo był taki czuły i miły. Ale im więcej czasu mijało, tym bardziej czułam się zobowiązana. Tym bardziej stawałam się od niego zależna. Któregoś dnia poszłam na uniwersytet, zdałam egzamin językowy i zaczęłam chodzić na wykłady, wróciłam do życia. Załatwiłam sobie opiekunkę do dziecka. Ale nigdy nie zostałam prawdziwą studentką. Gdy tylko wychodziłam z uczelni, natychmiast stawałam się matką i żoną. W każdym razie starałam się nią być. Byłam mu wdzięczna i ciągle napominałam siebie do tej wdzięczności, aż w końcu zaczęłam nienawidzić tego uczucia, i to bardzo.

– To jest dla mnie zagadką, jak ty w ogóle skończyłaś te studia, w swoim nastroju i z niemowłębem – mówi Ira i odwraca się do mnie.

– Zawsze potrafiłam dobrze funkcjonować. A z malutkim Ratim nie mogłam stanąć w miejscu, musiałam dla niego żyć. To mnie niosło. Poza tym chciałam pomagać ojcu, nie mieliśmy przecież wtedy już niczego. Wszystko zostało sprzedane, rozkradzione, oddane za bezcen. Więc ja i Rezo nadal odgrywaliśmy rodzinę.

– Kiedy zorientowałaś się, że już się tak dalej nie da?

– Miałam szczęście, bo zaraz po zakończeniu studiów dostałam pracę na czas określony jako asystentka w projekcie dotyczącym pewnej kolekcji dzieł sztuki i miałam możliwość współpracy z kilkoma koryfeuszami w tej dziedzinie. To było

duże przedsięwzięcie miasta Drezna we współpracy z Hagą, robiliśmy zdjęcia rentgenowskie oraz w podczerwieni wszystkich siedmiu obrazów Rembrandta znajdujących się w Dreźnie. To mi dodawało stopniowo nowej samoświadomości. Chciałam się usamodzielnąć i pracować na własne konto. Wyczuwałam w Rezie niechęć, zaczął mówić o tym, że powinniśmy mieć razem dziecko, był niemal opętany tą myślą. Byłam zbyt tchórzliwa, żeby mu wprost powiedzieć, że nie potrafię sobie tego wyobrazić, oszukiwałam go i dalej się zabezpieczałam. Wtedy polecono mnie do pracy przy innym projekcie w muzeum MAS w Antwerpii i oszalałam z radości, gdy przyszła stamtąd oferta. Przez jakiś czas jeździłam tam i z powrotem między Antwerpią i Dreznem, po kilku tygodniach zorganizowałam Ratiemu przedszkole na miejscu i poczułam, że będąc z nim sama w tym obcym mieście, oddycham z ulgą. W Antwerpii miałam po raz pierwszy od lat poczucie, że znowu zaczynam żyć, że prowadzę życie, które nie jest już tylko zwykłą egzystencją. A przecież przez te wszystkie wcześniejsze lata wydawało mi się, że moje życie się skończyło, że już zawsze będzie polegało na monotonnym funkcjonowaniu.

– I wtedy poznałaś tego przystojnego Belga? – Nene szczypie mnie, a ja krzyczę z bólu.

– Skąd ci przychodzi do głowy, że jest przystojny?

– No cóż, od kiedy jestem w tym mieście, widzę samych przystojnych facetów, więc twój Belg nie może być wyjątkiem.

– Nene, ty naprawdę jesteś niereformowalna... – parska Ira.

– O co chodzi? Żałujesz Keto przystojnego kochanka?

– Tak, zgadza się, tam go poznałam, pracowaliśmy razem, ale wtedy nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego, wtedy daleko mi było do jakichkolwiek miłostek.

– Miłostka, proszę cię, co to za prehistoryczne słowo? – Nene się śmieje.

– W Antwerpii zrozumiałam, że ta rysa między Rezem i mną będzie się tylko pogłębiać, jednak wciąż nie miałam odwagi powiedzieć głośno tego, co i tak już od

dawna wisiało w powietrzu. Gdy kiedyś mnie odwiedził i znalazł w komodzie pigułkę antykoncepcyjną, ruszyła lawina. Następnego ranka wrócił pierwszym pociągiem do Niemiec. Zostałam ze śpiącym Ratim i po raz pierwszy nie bałam się, że sobie nie poradzę. Nie chciał mnie już nawet wpuścić do swojego drezdeńskiego mieszkania i przesłał mi moje i Ratiego rzeczy do Antwerpii.

– A co teraz robi? Gdzie jest? Macie ze sobą kontakt? – pyta Ira.

– Mieszka w Moguncji i uczy. Ożenił się z niemiecką profesorką sztuki i ma dwójkę dzieci. Utrzymuje kontakty z Ratim, zawsze składa mu życzenia na urodziny, a raz zabrał go nawet na wakacje do Szwecji. Ale my od tamtej pory nigdy więcej ze sobą nie rozmawialiśmy. Dziś często o nim myślałam, może powinnam do niego zadzwonić, przeprosić go.

– Ale nie musisz przecież go przepraszać, proszę cię... – Ira patrzy na mnie oburzona.

– Owszem, może to śmiało zrobić. W końcu przecież przez lata go oszukiwała. Podejście Nene mnie zaskakuje.

– Ach tak?

Widzimy, jak twarz Iry pochmurnieje.

– Jesteśmy na miejscu! – wykrzykuję i zatrzymuję się przed zamkniętą bramą.

BRAKUJĄCE ŚWIATŁO

– I co teraz robimy? – Wiecznie nastawiona na poszukiwanie rozwiązań Ira potrzebuje natychmiast jakiegoś planu. Planu włamania.

Powiększam wirtualną mapę i szukam przydatnych informacji. Obie pochylają głowy nad świecącym ekranem. W pewnym momencie Ira przejmuje dowodzenie, ta Ira, która wtedy, przed ponad trzydziestu laty, ledwie mogła ruszyć się ze strachu, gdy na ulicy Engelsa przedzierałyśmy się przez uszkodzoną siatkę. Wpisuje mi coś na komórce, skroluje, szuka na mapie, wszystko w takim tempie, że Nene i ja nie nadążamy i odwracamy zmęczone oczy od wyświetlacza.

– Okej, park jest ogromny, jest dużo wejść, zdaje się, że nie wszystkie są zabezpieczone. Gdzieś w okolicach oranżerii powinien być plac zabaw i jeśli zdjęcia są aktualne, to tamtejsze furki są niskie. Spróbujmy tam, co o tym sądzicie?

Jesteśmy wdzięczne, że przejmuje kierownictwo, z moim telefonem w dłoni prowadzi nas do celu jak doświadczona harcerka. Idziemy za nią pustymi ulicami. Ile jeszcze mamy czasu, zanim nastanie dzień?

– Ale obłąd, czyż nie jestem cholernie dobra? – Ira prowadzi nas w boczną uliczkę, na jej końcu dostrzegamy niskie ogrodzenie placu zabaw, przez które możemy bez trudu przedostać się do środka.

– Jesteś najlepsza! – wołam i jestem zaskoczona swoją prawdziwą radością.

Nene podnosi kciuk, zdjęła klapki, żeby łatwiej było jej przejść przez płot. Ira rozgląda się, nikogo nie widać, tylko my i obietnica przygody. Znów mamy po czternaście lat, żadna siatka, żadna zamknięta brama nie jest w stanie nas powstrzymać przed utorowaniem sobie drogi do wolności. Ira przerzuca swoją aluminiową walizeczkę przez płot, a ta uderza głucho o suchą ziemię. Nene wspina się na ogrodzenie jako pierwsza i ląduje zgrabnie po drugiej stronie. Ira podaje mi

rękę, chwytam ją, wchodzę na ogrodzenie, mam kłopot ze znalezieniem miejsca, w którym mogłabym postawić stopę, skręcam lekko kostkę przy wchodzeniu, ale nie czuję bólu. Ira ląduje pewnie na obu nogach.

– Wodospadu wprawdzie tu nie ma, ale jest fontanna, no, Nene, wciąż masz ochotę na ochłodę? – pyta i widać, że podoba się sobie w roli przewodniczki.

– I to jeszcze jak! Jestem cała spocona – odpowiada Nene.

– No to już, pokaż nam drogę! – mówię ochotczo.

Kontynuujemy marsz. W parku jest ciemno, nie ma latarni. Ira oświetla drogę telefonem. Nene również wyciąga komórkę. Przez pewien czas idziemy wąską dróżką wysadzaną palmami. Przechodzimy przez duży plac, przy którym znajduje się główna siedziba parku. Ira czyta nam w internecie informacje o historii ogrodu, o jego francuskich, włoskich i angielskich tarasach. Nene i ja dobrze się bawimy, podpuszczamy ją, ale Ira nie daje się zbić z pantałyku i niczym niezrażona idzie dalej. Nagle w komórce Nene dźwięczy sygnał, a ona zaczyna szybko coś odpisywać. Ponieważ nie uważa za stosowne poinformować nas, kto pisze do niej o tej porze, zakładam, że to Koka. Marzę o miejscu, w którym mogłabym się wyciągnąć, kręgosłup daje o sobie znać, ale przepędzam wszelkie zmęczenie i wykonuję polecenia Iry. Musimy skorygować kurs, niewłaściwie skręciłyśmy, więc zawracamy. Minąwszy główny budynek, odkrywamy całkiem spory basen, ale ku naszemu rozczarowaniu stwierdzamy, że fontanna nie działa. Za to basen jest pełen przejrzystej wody, a jego krawędź ze swoją piękną, zaokrągloną formą stanowi doskonale miejsce do siedzenia.

Mościmy się na brzegu zbiornika. Ira rozkłada zakiet i dodatkowo wyciąga z walizki sweter, na którym siadamy. Wyjmujemy plastikowe kubeczki, wodę i wino i otwieramy butelki. Nasze oczy przyzwyczyły się w międzyczasie do nasyconej niebieskości nocy. Wyciągam się i kładę głowę na kolanach Nene. Gładzi mnie po włosach. Wznosimy toast plastikowymi kubeczkami.

– Za co pijemy? – chciałabym wiedzieć.

– No cóż, za nas, prawda? – stwierdza Nene.

– Za nas i za Dinę! – mówi Ira.

– Za nas i za Dinę – wznosimy toast wszystkie trzy i stukamy się kubkami.

– Byłaby dzisiaj szczęśliwa tutaj – ciągnie dalej Ira, a my chciałybyśmy jej wierzyć.

Ja chciałabym jej wierzyć.

– Rok... Czy to nie prawie rok dzieli śmierć ich obojga? – pyta Ira i gapi się w ciemność.

– Tak – potwierdza Nene i patrzy na mnie z dziwnym wyczekiwaniem.

Cóż miałabym do tego dodać? Co można poradzić na taką ostateczność? Żadne słowa świata nie mają takiej mocy. Więc milczę.

– Byli pod koniec znowu razem czy nie?

Ira pędzi myślami w przeszłość. Teraz obie na mnie patrzą. Jestem pomostem prowadzącym do tego czarnego rozdziału historii.

Ale moje wspomnienia na ten temat są nieuporządkowane. Mam luki, jak czarne dziury w mózgu. Słowa i odczucia związane z tymi miesiącami są chaotyczne, przypadkowe i niesterowalne. Jednak istnieją pewne sytuacje, które potrafię natychmiast przywołać w pamięci, kiedy myślę o tym okresie. Na przykład nieustające poszukiwania mojego brata. Jego znikanie na całe dni i moje starania, by ukryć przed ojcem tę straszną tajemnicę, którą skrywałam od dnia, gdy znalazłam na stole okopconą łyżkę. Moje wieczne telefony, telefony petentki: „Gdzie jest Rati, czy jest u was, widzieliście go? Proszę, zadzwońcie, gdy tylko u was się pojawi”. Jego zawziętość w ostatnich miesiącach, by odzyskać dawną pozycję wielce obiecującego kryminalisty. A gdy telefony już nie pomagały, zaczęła się żalosna bieganina po mieście, przeczesywanie wszystkich możliwych spelun, w których mógł zaaplikować sobie kolejną działkę.

Stopniowo nauczyłam się myśleć tak samo jak on. Stopniowo nauczyłam się myśleć jak osoba uzależniona. Gdy w domu zniknął jakiś wazon, jakaś biżuteria lub zegarek (choć i tak nie było już zbyt wielu wartościowych rzeczy), albo, jak w późniejszym czasie, jego sprzęt wideo i wieża stereofoniczna, wtedy wiedziałam,

do którego lombardu mam iść i z którymi ludźmi się kontaktować, żeby odkupić ten dobytek – za pożyczone lub z trudem zaoszczędzone pieniądze z małych zleceń, które załatwiała mi Lika. Wiedziałam również, co należy zrobić, żeby zbić gorączkę, której dostawał, gdy trzymaliśmy go w mieszkaniu pod kluczem, potrafiłam reagować na jego krzyki i przekleństwa i ignorować jego stany apatii lub agresję. Nauczyłam się rozróżniać jego kłamstwa: dzieliły się na niebezpieczne i mniej niebezpieczne, na autodestrukcyjne lub zagrażające innym. Nauczyłam się puszczać mimo uszu jego niekończące się groźby, jego błagalne monologi, jego zawodzenie, napady wściekłości. Nauczyłam się równocześnie znosić samooskarżenia ojca i jego współczucie samemu sobie, jego niezmordowane utyskiwanie i pełne złości apele do swojej zmarłej matki, swojej zmarłej teściowej i swojej zmarłej małżonki, które zgotowały mu taki los i zostawiły go w biedzie. Nauczyłam się uciszać własną frustrację i własne zwątpienie, nacinałam sobie uda z taką precyzją i szybkością, że potrafiłam w każdej chwili wyjść na poszukiwanie brata i przez cały dzień błądzić obcymi ulicami i po obcych domach, nie zważając na własny ból. Musiałam się także nauczyć, że każdy odwyk kończy się jeszcze większym, dotąd nieznanym odlotem. Nauczyłam się nie mieć już żadnych oczekiwań, wobec niczego i nikogo, nie liczyć na niczyją pomoc, ktokolwiek by to był, a każde samowspółczucie dusić w zarodku. Stałam się królową skromnego królestwa wyrzeczeń. Wydoskonaliłam się w pożegnaniach. Gdy po aresztowaniu Cotnego Nene ponownie wyjechała do Moskwy, prosiłam ją, by trzymała się z dala od naszego miasta tak długo, jak tylko może. Gdy Ira czuła się zmuszona opuścić kraj, ponieważ po ogłoszeniu wyroku zaczęła dostawać groźby śmierci, odwiozłam ją na lotnisko i poprosiłam o to samo. Przestałam dzwonić do Diny. Już nie szukałam z nią kontaktu, a gdy występowała w telewizji, wyłączałam telewizor. Kiedy w nowo otwartej galerii odbywała się wystawa jej zdjęć, krążyłam w nieskończoność przed wejściem i zaglądałam przez okna, żeby się upewnić, że jej tam nie ma. Tylko raz, gdy wracałam pieszo z nowo wybudowanego bloku mieszkalnego w dzielnicy Wake, ponieważ wcześniej wydałam ostatnie pieniądze na wyratowanie z lombardu obrączki ojca i nie miałam nawet drobnych na

trolejbus, znalazłam się w pobliżu opuszczonego kompleksu biurowego, w którym Dina miała swoje atelier, i nie mogłam się oprzeć pokusie. Drzwi wejściowe jak zwykle nie były zamknięte, więc weszłam na górę. Zastanawiałam się, czy w międzyczasie nie znalazła jakiegoś bardziej zadbanego miejsca do pracy. Ale coś mnie tam ciągnęło, prowadziło przez ciemne korytarze. Tapicerowane drzwi w kolorze wina były wprawdzie zamknięte, ale na nieoświetlony korytarz sączyła się ze środka muzyka. Wzdrygnęłam się na myśl, że wewnątrz mogą być jej nowi koledzy, że mogę tam zastać sytuację, która będzie kazała mi natychmiast stamtąd uciekać, mimo to zapukałam i kilka sekund później Dina otworzyła gwałtownie drzwi. Miała na sobie obcięte na krótko dżinsy i za dużą koszulę męską. Strąki włosów opadały bezładnie na twarz, jej wzrok zdradzał zaskoczenie, ale przede wszystkim zakłopotanie.

– Keto?

Powtórzyła z niedowierzaniem moje imię. A ja, cała poplamiona farbą, w czarnych ogrodniczkach o dwa numery za dużych, z poranionymi rękami i przetłuszczonymi włosami stałam przed nią jak kupa nieszczęścia, podczas gdy ona wyglądała kwitnąco z tą swoją bezpretensjonalną elegancją.

– Czy coś się stało? – spytała, wciąż stojąc w drzwiach, jakby powstrzymywała mnie przed wejściem do środka.

– Nie wiedziałam, że muszę mieć jakiś powód, żeby móc się z tobą zobaczyć.

– Przepraszam, nie to miałam na myśli, tylko nie spodziewałam się ciebie tutaj i...

– Mogę wejść?

– No wiesz, właściwie to nie jest dobry moment, bo...

Nagle zorientowałam się, że w tle leci Elvis Presley i ta muzyka wzbudziła moją czujność. Podejrzenie, jakiego nabrałam, wydawało się zbyt śmiałe, ale jej zachowanie, ton głosu wywołały nieufność i sprawiły, że wciąż tam stałam, choć jeszcze przed sekundą miałam ochotę odwrócić się na pięcie i jak najszybciej wybiec z tego budynku.

– To niemożliwe... Powiedz mi, że to nieprawda... – mamrotałam, przesunęłam ją na bok i weszłam do środka.

Pokój był świeżo odmalowany i posprzątany, wstawiła nowe okna, nowa była także szafa na negatywy, kilka zdjęć w ramach zdobiło jasne białe ściany. Tylko pierścienie gimnastyczne wciąż wisiały tam gdzie przedtem. W kącie na materacu leżał mój brat i najwidoczniej odsypiał swój odlot.

– Proszę cię, nie rób teraz scen, widzisz przecież, że śpi, chodź, wyjdźmy stąd i wszystko sobie wyjaśnijmy – powiedziała cicho i chwyciła mnie za rękę.

Ale nie pozwoliłam. Byłam tak wzburzona, że nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Patrzyłam na gołe plecy Ratiego i na leżące obok symbole upadku naszej rodziny – znieprawiona łyżka, zapalniczka, jego pasek i strzykawka były pięknie ułożone w rzędzie jak muzealne eksponaty. Kręciłam głową, stałam i bez przerwy kręciłam głową, podczas gdy Dina ciągnęła mnie za przedramię i wypychała z pokoju.

– Co miałam robić? Przegonić go jak psa? Popatrz tylko na niego! Czy wolałabyś, żeby sobie wstrzykiwał w jakichś brudnych piwnicach albo w bramach, gdzie w każdej chwili mogliby go złapać?

Niewiele brakowało, żebym ją spoliczkowała.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, przez jakie piekło przechodzę teraz przez niego? Czy ty zdajesz sobie sprawę, co musi znosić moja rodzina? Wykańczam jakieś gówniane mieszkania przeróżnych nowobogackich dupków, żeby spłacić jego długi! Uświadom sobie, jak to z nim jest! Podczas gdy ja przeczesuję całe miasto w poszukiwaniu brata, całymi dniami, całymi nocami, ty pozwalasz mu tutaj wstrzykiwać sobie heroinę? Co z tobą jest nie tak, do jasnej cholery, co z tobą nie tak?! Jak długo to już trwa? Może jeszcze dajesz mu pieniądze, żeby mógł sobie kupić towar? Tak?!

Straciłam panowanie nad sobą, krzyczałam, podczas gdy ona wypychała mnie za drzwi i w ciemnym przedpokoju przyparła do ściany.

– Uspokój się, popatrz na mnie, uspokój się... Mogę ci wytłumaczyć, mogę ci wszystko wytłumaczyć... Keto, popatrz na mnie, to przecież ja. – Łzy płynęły jej po policzkach.

– Nie wiem, czy to na pewno ty. Nie poznaję cię. Ty też nie chcesz już mieć ze mną nic wspólnego. Zresztą, szczerze mówiąc, ja też nie chcę mieć zdrajczyni za przyjaciółkę! A teraz puszczaj mnie, do cholery!

Ale mnie nie puściła.

– Zagalopowałam się, Keto. Pomyliłam się, wmówiłam sobie, że mogę zacząć wszystko od nowa, ale przeszłość tak łatwo nie znika. Dopiero skończyła się afera z Irą, potem aresztowanie Cotnego, a teraz Rati... Gdy kilka tygodni temu zjawił się tutaj, pomyślałam, że to jakiś znak, że powinnam przestać się oszukiwać i pomóc mu. I że mogłabym raz na zawsze spłacić swój dług, jeśli udałoby mi się wyciągnąć go z tego gówna.

– O jakim długu ty mówisz? Poza tym jemu pomóc?! To już nie jest Rati, to potwór, potwór, który sprzedaje wszystko i wszystkich, żeby dostać kolejną działkę. Niczego nie rozumiesz! Chcesz tu odgrywać bohaterkę, ale to nie jest dobra sceneria do tego. On jest chory, Dina, od miesiący nie próbuję niczego innego, tylko wyciągnąć go z tego bagna, ale on wsiąka w nie coraz głębiej.

Nagle zaczęła tak rozpaczliwie szlochać, że instynktownie przytuliłam ją do siebie. Potem zaczęła opowiadać o nocy z Cotnem, pierwszy raz opowiadała o wymienianych pocałunkach, o wypowiedanych słowach i o uczuciach, które trzeba było zagłuszać, gdy w białych kozaczkach i krótkiej džinsowej spódnicy poszła do mieszkania Tapory, żeby ratować Ratiego, który teraz walczył tutaj o życie, o swoją ostatnią szansę.

Nie rozumiałam, dlaczego akurat teraz, po tylu latach, była gotowa wtajemniczyć mnie w ten ponury rozdział swojej przeszłości. Przez te wszystkie lata wzbraniała się przed tym. Czy to był jej sposób na to, żeby mi powiedzieć, że znów chce stanąć przede mną nago, bez żadnych ogródek, tak jak kiedyś? Ponieważ opowiadała tak bez wytchnienia, ponieważ jej słowa przypominały

spowiedź, nie miałam odwagi jej przerywać. Opowiadając, co rusz robiła przerwę i stawiała pytania. Pytania do wszechświata, pytania do mnie, pytania do mego brata leżącego w delirce i do niepełnosprawnego Cotnego. Zadawała pytania Bogu już dawno przepędzonemu z naszego kraju kałasznikowami i niekończącą się ciemnością, dobrze wiedząc, że nie ma na nie odpowiedzi. A ja zrozumiałam, że nie chodziło jej o odpowiedzi. Zrozumiałam, że była to raczej modlitwa, a jej pytania w formie trudnego wyzwania, były dla mnie darem. Były bezradną, a jednak usilną próbą pojednania choć na ułamek sekundy z tą częścią naszej przeszłości, z którą nie sposób się pojednać.

Keto, jak to możliwe, że serce, raz wycięte, odrasta na nowo?

Keto, jak to możliwe, że sami nie potrafimy się opanować, ale innym pozwalamy nad sobą panować?

Keto, jak to możliwe, że przy Cotnem poczułam się niechcący szczęśliwa, podczas gdy u boku Ratiego musiałam z takim trudem wydzierać światu szczęście?

Keto, jak to możliwe, że człowiek z biegiem lat uodparnia się nie na cierpienie, lecz na miłość?

– Powiedział mi, że potrzebuje jakiegoś powodu, jakiejś motywacji i jeśli będę z nim i mu wybaczę, jeśli znów zaczniemy wszystko od początku, to wtedy mogłoby mu się udać – powiedziała i wyczerpana opadła na podłogę.

– I ty w to wierzysz? Z jego ust wychodzą same kłamstwa, Dina!

– Musisz w niego wierzyć, musimy w niego wierzyć, wtedy mu się uda. Wtedy i nam w końcu się uda.

– Wolałabym, żeby Ira za jednym zamachem zapuszkowała także jego! Wtedy mielibyśmy może wreszcie spokój! – krzyknęłam.

– Jak możesz mówić coś takiego? Ira nas zdradziła. Nie potrafię pojąć, jak możesz brać ją w obronę.

Usiadłam obok niej na brudnej podłodze. Wyciągnęła papierosa z tylnej kieszeni i zapaliła. Siedziałyśmy w ciemnym przedpokoju osłabione, bez sił, bok przy boku. I przy całej wściekłości, jaka we mnie się kotłowała, czułam, że znów

jest tu, przy mnie. I pomyślałam, że istnieje jeszcze jakaś mała nadzieja i że z nią u boku mam jeszcze jakąś szansę.

– Dlaczego to sobie robisz? Chyba nie chcesz zaczynać tego całego bagna od początku? – spytałam i pożyczyłam jej materiałową chusteczkę do nosa, żeby mogła sobie wytrzeć łzy i rozmazany tusz do rzęs. – Masz nowe życie, nigdy ci nie zarzucałam, że zdecydowałaś się pójść inną drogą, wręcz przeciwnie. Nie mogłam tylko zrozumieć, dlaczego dla nas trzech, najbliższych ci osób, nie było tam miejsca.

Ciszę przerywało tylko zaciąganie się papierosem. Elvis przestał śpiewać. Rati się nie ruszał.

– Rzeczy nie znikają tak po prostu od tego, że zakryje się twarz rękami. Jako dziecko wierzyłam, że to działa. Ale już nie jestem dzieckiem, a zoo nigdy nie przestało istnieć. Rati nie przestał istnieć. Cotne nigdy nie przestał istnieć. Strzały nigdy nie ustały. Wojna nie ustała. Wszystko to wciąż istnieje. Po prostu tylko zamknęłam oczy. Ale nie chcę już mieć ich zamkniętych – powiedziała nagle cicho i jednocześnie z niewiarygodną stanowczością w głosie.

– I sądzisz, że gdy Rati rzuci narkotyki, to wszystko ustanie?

– Nie, nie sądzę, że cokolwiek kiedyś ustanie. Sądzę jedynie, że można się nauczyć z tym żyć, jeśli tylko człowiek się temu przyjrzy, dobrze się przyjrzy.

– Tak za tobą tęskniłam, Dina.

– Wiem. Ja za tobą też. – Objęła mnie ramieniem. – Zaoszczędziłam trochę pieniędzy, dwa moje zdjęcia zostały sprzedane do Francji. Moglibyśmy wysłać go na odwyk do jakiejś dobrej kliniki, gdzieś za granicą.

Nic nie odpowiedziałam. Patrzyłam tylko na dym z papierosa, który unosił się w kierunku zakopconego sufitu. Kiedyś ludzie urządzili tu sobie ognisko, zerwali parkiet i go spalili, żeby się ogrzać.

Przestałam opowiadać. Jemy przesolone chipsy, popijamy wino z plastikowych kubeczków. Noc otula nas i bierze w swoje ramiona. Jesteśmy wreszcie tam, gdzie nasze miejsce: jesteśmy dziećmi ciemności i noc o tym wie.

– Nie doszło do odwyku, prawda? – dopytuje ostrożnie Ira i przysuwa się do mnie trochę bliżej.

Siedzimy ciasno przy sobie, jak trzy dziewczynki, które powierzają sobie tajemnicę.

– Nie, dwa dni przed planowaną podróżą zniknął. Wszędzie go szukaliśmy, przeczesaliśmy całe miasto. Dina wszystko zorganizowała. Wydała na to wszystkie swoje oszczędności. Miał tylko wsiąść z nią do samolotu i polecieć do Antalyi, a tam pójść do kliniki. Miała mu towarzyszyć przez cały czas. Chciała koniecznie przejść przez to razem z nim. Była taka pewna, że z nią u swego boku da radę. Podarował jej plastikowy pierścionelek, wiecie, taki z automatu z gumą do żucia, i powiedział, że „prawdziwy” będzie potem, jak wrócą. Nigdy go już nie zdjęła. Nosila go do samego końca. Wszystko postawiła na jedną kartę. Chciała zmienić swoje życie, żeby tylko mu się udało, chciała organizować wystawy, jeździć z nim po świecie, wszystkie jej plany były związane z jego wyzdrowieniem. I wtedy zadzwonił Sancho. Od razu wiedziałam, co się stało. Od bardzo dawna byłam na to przygotowana, czekałam na to, powstrzymując oddech.

– Nie da się przygotować na coś takiego. Niezależnie od tego, jak bardzo człowiek się liczy z taką ewentualnością – mówi Nene i chwyta mnie za rękę.

– Musiał kogoś okraść i kupić podwójną działkę. Poszło szybko.

– To był marzec 1998, prawda? – Ira potrzebuje liczb, zawsze potrzebuje faktów.

– Nie, to było w lutym – poprawiam ją. Tak, znam te starania, by przyporządkować nieszczęście najdokładniej, jak tylko się da, po to, by oddać się iluzji, że w ten sposób odwraca się kolejne. – To Dina zmarła w marcowy dzień...

– Byłam na nią taka wściekła, tak długo byłam na nią wściekła, przez pewien czas nie mogłam nawet się smucić z wściekłości – wtrąca Nene, a ja kiwam milcząco głową.

– Straciła oparcie, a nas wtedy nie było... Nie było nas, żeby ją podtrzymać. Ale wiesz, Keto, często zadawałam sobie pytanie, czy mogliśmy coś zmienić,

gdybyśmy były przy niej, wszystkie razem.

– Po pogrzebie Ratiego straciła panowanie nad sobą – mówię powoli, czuję się, jakbym przeszła przez wielką pustynię. – Lika chciała zaciągnąć ją do lekarza, żeby przepisał jakieś środki uspokajające. Zaczęła pić, ciągle chciała realizować jakieś absurdalne pomysły. Ale wydawało się, że stopniowo znów bierze się w garść. Zaczęła znowu chodzić do redakcji i robić zdjęcia, co interpretowałam jako dobry znak. Latem pojechałyśmy nawet na kilka dni do Batumi, żeby popływać. Mówiła o przyszłości, miała kilka zagranicznych propozycji udziału w wystawach grupowych, snułyśmy plany. Nigdy nie rozmawiałyśmy o Ratim, nie rozmawiałyśmy o niczym, co było. Byłam przekonana, że poradziła sobie ze wszystkim. Ale potem, jesienią, jej stan radykalnie się zmienił. Unikała mnie, znikwała, często nie wracała do domu, zawałała terminy...

Nagle słyszę w głowie jej głos, słowa, które skierowała do mnie, gdy rozmawiała ze mną ostatni raz. Opowiadam im obu, jak poszłam wtedy do jej atelier i przyniosłam jej ciepły chleb z tone. Dlaczego takie szczegóły są w ogóle istotne? Dlaczego moja pamięć chwyta się takich drobiazgów? Opowiadam im, jak siedziałyśmy na podłodze i rozrywałyśmy rękoma chleb na pół.

– Mój mały ołowiany żołnierz.

Tak mi wtedy powiedziała, a mnie zdziwiło takie określenie. Opowiadam, jak próbowałam skierować rozmowę na nadchodzącą wystawę w Niemczech i zachęcić ją do tego, żeby zabrała się do wybierania zdjęć. Opowiadam o tym, jak ciągle, raz za razem, dawała mi wymijające odpowiedzi i kierowała rozmowę na inne tory.

– Czasami wydaje mi się, że mam sto lat. Dziwne, nie?

– O czym ty mówisz? Przecież jesteś jeszcze młoda. Tyle jeszcze może się wydarzyć.

– Wierzysz w to? Wierzysz w to, że coś nas jeszcze czeka?

– W dużym stopniu zależy to także od nas, to jasne, chodź, zacznijmy wybierać zdjęcia. Chętnie ci pomogę. Ile ma ich być?

– Przez ostatnie lata tyle doświadczyliśmy, ile niektórzy ludzie nie doświadczają przez całe życie. Może to ma czemuś służyć?

– Wątpię. Chodź już, wstawaj.

– Wiesz, co mi się wydaje? Wydaje mi się, że żyliśmy na zapas.

Opowiadam, jak uśmiechała się, mówiąc to, i jak od tego uśmiechu dostała gęziej skórki. To był uśmiech pełen żalu i jednocześnie spokoju. Spokoju, który był dla niej nietypowy. Co bym wtedy zrobiła, gdybym wiedziała, że to nasza ostatnia rozmowa? Co bym zrobiła, co bym powiedziała, gdybym wtedy zrozumiała, że już zaczyna przymierzać się do śmierci?

– Tak strasznie mi przykro, Keto, tak strasznie przykro – mówi Nene, nie powstrzymując łez.

– Co masz dokładnie na myśli? – Jestem opanowana, nauczyłam się nie pochylać zanadto nad tą otchłanią.

– Że to ty musiałaś ją znaleźć...

– Co? O czym ty mówisz?

Ira i Nene patrzą na mnie skonsternowane. Nie rozumiem, czego ode mnie chcą. Teraz Nene patrzy poirytowana na Irę.

– Ja nie znalazłam Diny! Skąd ci to przyszło do głowy?

– Oczywiście, że znalazłaś – upiera się Ira.

Ogarnia mnie wściekłość. Skąd przychodzi im na myśl, żeby tak twierdzić? Zobaczyłam ją dopiero u niej w domu, jak leżała w trumnie, z plastikowym pierścionkiem od mego brata na palcu. W nocy przed uroczystościami pogrzebowymi, gdy po raz pierwszy i ostatni usłyszałam, jak Lika śpiewa pewną starą gruzińską pieśń, niezwykle żarliwie, z zamkniętymi powiekami, u stóp trumny. Dla swojej córki. Swojej zmarłej córki.

– Nigdy w życiu! Ja jej nie znalazłam. Skąd wam to przyszło do głowy? Odbiło wam?

– Keto, zaczynam się o ciebie martwić, oczywiście, że ją znalazłaś... Poszłaś wtedy do jej pracowni i tam na linie... wisiała...

Zrywam się z miejsca. To nie może być prawda, co one plotą, kto im naopowiadał tych bzdur, czy to ma być jakiś makabryczny żart?

– Nie żartujcie sobie! Zobaczyłam ją dopiero w trumnie! Anano zadzwoniła do mnie. Ja nie...

Nene i Ira podnoszą się, podchodzą do mnie, czuję się jak umysłowo chora, którą dwie pielęgniarki muszą wsadzić w kaftan bezpieczeństwa.

– Nie, Keto, to ty...

– Nie wierzę własnym uszom, co to ma znaczyć?! To przesłuchanie?! – krzyczę na nie jazgotliwym głosem. Chcę, żeby ponownie usiadły, żeby zostawiły mnie w spokoju.

– Keto, poszłaś wtedy do niej do atelier i znalazłaś ją tam. Wszyscy to wiedzą. Zapomniałaś o tym? – mówi Ira tonem lekarki starającej się uspokoić swojego pacjenta, który stracił panowanie nad sobą.

To doprowadza mnie do jeszcze większej furii.

– Niczego nie zapomniałam! Nie było was tam! Więc skąd miałybyście tak doskonale o tym wiedzieć?!

Na twarzy Nene znów pojawiają się łzy. Ira gryzie nerwowo dolną wargę. Już nic z tego nie rozumiem, patrzę to na jedną, to na drugą, i tak w kółko, czuję się jak dzikie zwierzę przyparte do muru. Nie muszę słuchać tych bzdur, chwytam torebkę, zeskakuję z krawędzi basenu i uciekam stamtąd.

Jak rażona prądem zatrzymuję się kilka metrów dalej. Wchodzę do ciemnego korytarza. I jak zwykle złoszczę się, że nikt nie wkręcił żarówki, przez te dziury w parkiecie można sobie skrócić kark. Przecież Dina ma tutaj zawsze prąd, więc można chyba wkręcić żarówkę. Po raz setny obiecuję sobie kupić tę cholerną żarówkę. Idę dalej, w ręku mam dwie cienkie reklamówki z produktami spożywczymi, dostałam tego dnia wypłatę i chcę sprawić Dinie przyjemność. Obiecała mi, że wybierze razem ze mną zdjęcia na wystawę, termin mija jutro,

organizatorzy nie będą dłużej czekać. Zatrzymuję się pod tapicerowanymi czerwonymi drzwiami. Pukam. To jest „nasze pukanie”, dwa razy szybko, jedno po drugim, a potem pojedyncze puknięcie. Czekam. Nikt nie otwiera. Przez szczelinę w drzwiach widzę światło. Może zeszła na chwilę do kiosku po papierosy. Nic mnie nie niepokoi, gdy naciskam klamkę i drzwi się otwierają. Gdyby jej nie było, to na pewno drzwi byłyby zamknięte, wciąż mamy wolnoamerykankę, nie można niczego zostawiać otwartego. Pewnie jest w łazience na końcu korytarza. Albo w ciemni, która jest dość dobrze wyizolowana. Wchodzę do pokoju, manewruję torbami, próbując je ostrożnie odstawić, żeby nic nie wypadło. I sztywnieję, wciąż stojąc pochyłona. Widzę jej stopy. Jej stopy – w powietrzu. Jej stopy nie mogą być w powietrzu, chyba że zrobiła sobie skrzydła i nauczyła się latać. Nic nie rozumiem. Powoli się prostuję, rozglądam się, widzę przewrócone krzesło, widzę odcięty pierścień gimnastyczny, leżący na podłodze obok krzesła. Kieruję spojrzenie na jej nagie stopy z zaokrąglonymi, krótko obcięzonymi paznokciami. Mój wzrok wędruje do góry, wzdłuż nóg ubranych w jasnoniebieskie dżinsy, pada na jej granatowy sweter, który przywiozła sobie z Rygi, który tak mi się podoba i który już tyle razy chciała mi podarować, który jednak podoba mi się na niej i tylko na niej. Patrzę dalej, w kierunku jej wąskich ramion i dumnej szyi, wokół której wije się gruba lina. Milczę. Wciąż nie rozumiem tego, co widzę. Mój mózg wzbrania się przed napełnieniem tego przerażającego widoku sensem. Patrzę na podłogę, na odcięty, bezużyteczny już pierścień gimnastyczny. Znowu patrzę do góry. Tym razem spoglądam jej w twarz. Ma niezdrowy kolor. Jest lekko sina. I wtedy nagle ogarnia mnie jakiś obcy, pochodzący z zewnątrz przymus, żeby działać, ten niezdrowy kolor musi zniknąć z jej twarzy. Mam zadanie do wykonania. Poprawiam krzesło, staję na nim, obejmuję jej nogi, podnoszę ją do góry, jest taka ciężka, dlaczego jest taka ciężka? Chwieję się, tracę równowagę, spadam. To nic, muszę zadbać o to, by jej twarz znowu nabrała zdrowego koloru. Wstaję, ustawiam krzesło we właściwym miejscu, tym razem jestem lepiej przygotowana, znowu podnoszę ją do góry i zaczynam do niej mówić: „Dina, przestań, Dina, musisz mi pomóc, musimy cię stąd zdjąć. Nie możesz tu zostać. Masz dziwny kolor twarzy,

Dina. Nie możesz tak zostać. Schodźże, jak ty tam w ogóle weszłaś, przecież to dość wysoko... Zejdź, proszę, na dół, musisz mi pomóc, sama nie dam rady...”.

Nie wiem, jak długo ją tak namawiam, nie wiem, jak długo zaklinam swoją martwą przyjaciółkę, żeby wróciła do życia, jak dużo czasu potrzebuję, by zrozumieć, że odwróciła się już od życia ostatecznie, że wszystkie drzwi zostały zamknięte, jakkolwiek powrót jest już niemożliwy. Nie wiem, ile razy próbuję zdjąć ją z tej liny, ile czasu potrzebuję, żeby zrozumieć, że jej słoneczna twarz już nigdy się nie rozpromieni, ile czasu potrzebuję, żeby sobie uświadomić, że nikt nie ma nade mną litości. Ani życie, ani ona. Nie wiem, kiedy dociera do mnie, że już nigdy, stojąc w strumieniach deszczu, nie rozbują mnie na zardzewiałej huśtawce i nie pomoże mi wznieść się na zaskakującą wysokość. Nie wiem, kiedy dociera do mnie, że już nigdy nie przejdzie ze mną przez rozciągniętą siatkę na ulicy Engelsa i nie otworzy przede mną nowego świata, z którego powróciłabym odważniejsza i dojrzalsza. Nie wiem, kiedy dociera do mnie, że już nigdy nie zobaczę, jak z zapamiętaniem, totalnie zakręcona tańczy rock'n'rolla, że już nigdy nie przepędzi jednym ruchem ręki moich lęków i wątpliwości, że już nigdy nie będę się z nią tak śmiać, że aż ciało będzie mi się zwijać z bólu, że już nigdy mnie nie przytuli i nie powie mi, że wszystko będzie dobrze. Nie wiem, kiedy dociera do mnie, że już nigdy nie popatrzy na mnie w całej mojej zmasakrowanej nagości i nie okaże zrozumienia. Nie wiem, kiedy dociera do mnie, że już nigdy nie pobiegnie ze mną przez noc i nieustraszona i bezkompromisowa nie zatrzyma się w połowie drogi nad rzeką Were, i nie zmusi mnie do tego, by zrobić to, co właściwe, żeby móc dalej żyć.

Ale w którymś momencie dociera to do mnie i zaczynam krzyczeć.

Krzyczę. Krzyczę głośno, wtedy i teraz.

Krzyczę, aż całe powietrze uchodzi mi z płuc.

Potem opadam na kolana, kładę głowę na chłodnej od nocy ziemi i leżę bez ruchu.

Czuję, jak Nene mnie obejmuje, czuję, jak Ira otula mnie swoim żakietem. Podnoszą mnie i prowadzą powoli z powrotem w kierunku basenu. Siadamy na brzegu. Dają mi łyk wody, Ira przykłada mi w tym celu butelkę do ust. Nikt nic nie mówi.

Nie wiem, jak długo tak siedzimy. W milczeniu, razem. Na niebie widać już przebłyski poranka. Nene pociąga nosem, ręką sukienki wyciera sobie pobrudzoną twarz. Potem wstaje i zaczyna zdejmować ubranie. Przyglądamy się jej ze zdziwieniem.

– Chyba nie zamierzasz kąpać się w tym basenie?

Ira patrzy na nią sceptycznie. Ja czekam. Rozbiera się całkowicie, zdejmuje też bieliznę. Widzimy naszą nagą przyjaciółkę, jak z dumą, niczym królowa, wskakuje z podniesioną głową do wody, jakby chodziło tu o skok z urwiska, a nie z sięgającego do bioder brzegu basenu. Wydaje krótki okrzyk, a potem słyszymy tylko zadowolone westchnienie.

– Cudownie! Chodźcie! Nie psujcie zabawy! Dina nie przyjęłaby żadnych wymówek!

Ira i ja rzucamy sobie krótkie spojrzenia. Podnosimy się z wahaniem i zaczynamy się rozbierać. Obie zostajemy w bieliźnie i ostrożnie muskamy zimną wodę stopami. Noc walczy już z jasnością, wkrótce słońce zdemaskuje nasze dziecinne zamiary, mimo to wchodzimy do basenu i zanurzamy się w wodzie. Nene piszczy i opryskuje nas, na co łapiemy ją i zaczynamy podtapiać. Prycha i przeklina, i dokładnie w tym momencie tryska fontanna, jak prawdopodobnie każdego poranka o wschodzie słońca. Stoimy tam, patrząc z niedowierzaniem na masywny strumień wody, który unosi się, by wkrótce potem znów wpaść do basenu. W pewnym momencie Nene wyskakuje z wody, przynosi komórkę, „Wodoodporna!” – piszczy z dumą i robi zdjęcie całej naszej trójce, jak golusienkie i zmęczone, ale rozbawione stoimy pod strumieniem wody.

Ira podaje nam z walizki swoją piżamę i koszulki, żebyśmy mogły się wytrzeć. Telefon Nene wydaje krótki sygnał, lecz ona to ignoruje. Siedzimy i dalej patrzymy

na fontannę. Z walizki, która leży rozłożona przed nami, wypadł gruby notatnik w skórzanej okładce. Dotykam go, nieobecna myślami, i jestem zaskoczona, że materiał, z którego wykonano okładkę, jest tak miły w dotyku.

– Jest nowy, jeszcze nieużywany. Dam ci go w prezencie, jeśli chcesz – mówi, gdy zauważa moje zainteresowanie.

– Nie, nie, nie musisz, nie potrzebuję go...

– Kupiłam podczas przesiadki na lotnisku w Londynie, weź go po prostu, na pewno znajdziesz dla niego zastosowanie.

– Nie, naprawdę, Ira, nie musisz...

– Weź go.

Dziękuję jej i gładzę płaską dłonią okładkę. Jest przyjemna i w jakiś niepokojący sposób znajoma. Komórka Nene nie przestaje dźwięczeć. Nene daje za wygraną, bierze ją do ręki i szybko coś odpisuje.

– No cóż, *ladies*, muszę się powoli żegnać. Mam jeszcze umówione spotkanie – mówi, puszcza do nas oko i zaczyna pospiesznie się ubierać.

– Co proszę? – Usta nie zamykają mi się ze zdumienia. – Z kim, przepraszam bardzo, masz o tej porze spotkanie?

– Z... czekaj, muszę sprawdzić... z Theo! Ładne imię, prawda?

– Czy to może ten kelner z wystawy? – Ira najwidoczniej też nie może tego pojąć. – Kiedy zdążyłaś się z nim umówić? Brak mi słów.

Uśmiecha się tylko szeroko, a ja dziwię się, iż w ogóle po niej nie widać, że ma za sobą długą noc.

– A gdzie jesteście umówieni? – Ira miota się pomiędzy odrazą i czymś w rodzaju podziwu.

– No jak to, w moim pokoju hotelowym, oczywiście. Chyba nie myślisz, że idę z nim na śniadanie?

Wyjmuje puderniczkę z torebki i zaczyna malować się w małym lusterku. Jej ruchy są szybkie i wyćwiczone.

– *À propos*: co sądzicie o tym, żeby przyjechać do mnie pod koniec lipca na wesele? Nie będzie niczego pompatycznego, obiecuję. Przyjęcie odbędzie się w winnicy Koki w Kachetii, padniecie z wrażenia, tak jest tam pięknie. Będzie miłe i niewielkie towarzystwo, żadnych welonów i białych sukien. I obiecuję, że rzucę bukiet ślubny w waszą stronę, tylko i wyłącznie wam obu! – Śmieje się i jako ostatni szlif maluje usta jaskrawoczerwoną szminką.

– O rany boskie! – wzdycha Ira.

– A tak na marginesie, Cotnego nie będzie. Odwrócił się od wszelkich ziemskich uciech.

Ojciec opowiadał mi przed dwoma laty, że Cotne jest teraz księdzem i piastuje kościelny urząd w jakiejś wiejskiej parafii, ale wciąż nie mogę w to tak naprawdę uwierzyć. Ira, która nie chce znowu poruszać tego drażliwego tematu, milczy. Nene wskakuje ponownie w swoje wysokie buty i kładzie japonki obok walizki Iry. Potem z wprawą spina wysoko swoje mokre włosy i rzuca ostatnie spojrzenie w lusterko. Wydaje się zadowolona z siebie.

– No to jak, co wy na to?

Patrzę na Irę, Ira patrzy na mnie, wzruszamy ramionami.

– Dwudziestego czwartego lipca. Musicie tylko przylecieć do Tbilisi, resztą się zajmę. Oczywiście z osobami towarzyszącymi, z przystojnymi Belgami albo – robi pauzę – przystojnymi Belgijkami.

Ira wie, że to jest coś w rodzaju propozycji zawarcia pokoju. Kiwa głową.

– Okej – mruczy pod nosem.

– Tak, dobrze, czemu nie – mówię z wahaniem.

– Wspaniale! – Klaszcze w dłonie. – Jak ja teraz stąd wyjdę z moim nieistniejącym zmysłem orientacji przestrzennej? Nawet nie mam pojęcia, gdzie znajduje się mój hotel.

– Chcesz, żebym cię odprowadziła?

Pytanie Iry wisi na włosku, wyczuwam jej obawę bycia odrzuconą, ale Nene kiwa głową z wdzięcznością.

– Ale nie musicie z mojego powodu zwijać manatków...

– W porządku, ja też jestem już zmęczona – mówię i daję wzrokiem Irze do zrozumienia, że to najzupełniej w porządku, jeśli pójdzie teraz z Nene.

– Na pewno? – pyta jeszcze raz Nene.

– Absolutnie. Idźcie już. Theo i tak musiał już wystarczająco długo czekać.

Śmieję się, także po twarzy Iry przemyka uśmiech, gdy pośpiesznie się ubiera, czyści okulary koszulką i zatrząskuje walizkę.

– Świetnie. Poradzisz sobie, prawda? – pyta Ira i upycha plastikowe kubeczki, puste butelki i torebki po chipsach do reklamówki.

Wstaję. Potem rozpościeram szeroko ramiona i stoimy tak parę chwil we trójkę, mocno się trzymając. Potem Nene i Ira ruszają w drogę, jeszcze długo patrząc za nimi, za tą nierówną parą, która maszeruje w stronę pięknego starego budynku siedziby głównej i zaczyna ze sobą rozmawiać.

Biorę torebkę i rozglądam się. Niedaleko basenu znajduję ławkę i siadam na niej. Obok mnie leży notatnik od Iry. Wyciągam z kieszeni telefon. Zegar wskazuje piątą pięćdziesiąt pięć. Sprawdzam, czy syn do mnie czegoś nie napisał, ale zdaje się, że jemu i jego Bei niczego nie brakuje. Mam nową wiadomość od Nene Koridze. Otwieram ją i widzę zdjęcie, które zrobiła naszej trójce w basenie. Ira ma zaciśnięte oczy i zatyka nos, ja jestem pochylona i wyglądam jak oblany wodą pudel, tylko Nene stoi wyprostowana, rozpromieniona, jedną ręką trzymając nad naszymi głowami telefon, a drugą wyciągając w bok, jakby robiła miejsce dla kogoś, kto dokładnie tam ma stanąć. Powinnam powoli ruszać w drogę do hotelu, poranny spacer dobrze mi robi, mnie i mojej bolącej głowie, a potem padnę na miękkie hotelowe łóżko i zasnę. Bez snów, bez wspomnień. Ale zamiast tego grzebię w torebce w poszukiwaniu długopisu, otwieram notatnik Iry, kładę przed sobą telefon z naszym zdjęciem i zaczynam rysować. Stawiam pierwsze kreski i sama się sobie dziwię, że tak gładko mi idzie, jakby nie było tych wielu lat przerwy, jakbym nigdy nie przestała rysować. Przed moim wewnętrznym okiem

pojawia się nagle inny obraz, zdjęcie z wystawy zatytułowane *Brakujące światło*. Także na nim widać naszą trójkę.

Musiało zostać zrobione krótko po śmierci Saby. Już nie pamiętam dokładnie tej sytuacji. W tle widać pokój Nene, jej łóżko, wielkie lustro, komodę z licznymi buteleczkami i puszczkami, które zawsze lubiła zbierać. Istnieje niewiele zdjęć zrobionych nam przez Dinę, na których nie widać jej samej. Pewnie wydawało jej się to jakoś nienaturalne, żeby fotografować tylko nas trzy, a samej nie stawać przed obiektywem, mnie także wydało się dziwne, gdy kilka lat później po raz pierwszy stanęłam przed tym zdjęciem. A teraz znów wzdrygnęłam się na jego widok. Musiała nas wtedy zaskoczyć swoim aparatem, to nie jest żadne z tych ustawianych zdjęć.

Nene leży na łóżku, Ira siedzi na wysokości jej głowy, położyła rękę na ramieniu Nene, jakby chciała ją do czegoś zachęcić. Głowa Iry jest pochylona, oczy za szklami okularów wyglądają na smutne i zamyślane. Ja siedzę nieco z przodu, włosy są spięte w luźny kok i mam na sobie za dużą bluzę Ratiego z napisem „PEACE”. Moja mina zdradza poczucie niepewności, najwyraźniej nie miałam czasu zejść z pola obiektywu ani odwrócić twarzy. To, co wyróżnia to zdjęcie, to jasność, słoneczne światło zalewa cały pokój – musiała być wtedy wiosna, pokój jest skąpany w promieniach słońca – a mimo to nosi ono tytuł *Brakujące światło*. Tytuł nie daje mi spokoju, muszę się nad nim zastanowić, a tymczasem moja ręka nanosi na papier nasze sylwetki pod fontanną. Dlaczego nazywa tak akurat to zdjęcie? A przecież od dawna znam odpowiedź...

Gdy po rozstaniu z Rezem wynajęłam swoją pierwszą pracownię w pewnym ciemnym podwórzu na skraju miasta i wkrótce potem stwierdziłam, że naprzeciwko mojego mikrego okna postawiono szopę na narzędzia, która ograniczyła i tak już słaby dopływ światła, poskarżyłam się w administracji, gdzie pewien schludny mężczyzna o miłym uśmiechu wyjaśnił mi, że nie przysługuje mi większa ilość światła. Wyjął kalkulator z szuflady, nagryzmolił jakieś cyfry na papierze, dodał je, po czym je przekreślił i podstawił mi wynik pod nos, co

prawdopodobnie miało podkreślić wagę jego słów. Zgodnie z jego wyliczeniami i moją umową najmu miałam ponoć prawo wyłącznie do określonej ilości *lux*, takiej wartości, którą otrzymuję również po postawieniu szopy. Jego wysoce złożone równanie tyleż mnie przerosło, co zrobiło na mnie wielkie wrażenie, więc dałam za wygraną i pogodziłam się ze swoim losem. Gdy mimo użycia różnych lamp i reflektorów musiałam w końcu stwierdzić, że praca w tym pomieszczeniu jest niemożliwa, wypowiedziałam umowę i kiedy spotkaliśmy się w celu przekazania kluczy, nie mogłam się powstrzymać i rzuciłam mu prosto w twarz zdanie, które sobie teraz przypomniałam: „Każdy człowiek powinien mieć prawo do wystarczającej ilości światła!”.

Długo przede mną, długo przed nami wszystkimi, doszła do takiego samego wniosku i nie była w stanie pogodzić się z tym brakiem. Do końca walczyła o więcej światła.

Mój długopis pędzi po kartce papieru, utrwalam nas delikatną kreską. I podobnie jak przy tym zdjęciu z wystawy nie opuszcza mnie niepokojące przeświadczenie, że rysunek jest niepełny, że coś się w nim nie zgadza. Ściskam kurczowo długopis i zaczynam od nowa. Tam, gdzie Nene zrobiła ręką komuś miejsce, rysuję Dinę, rysuję jej ramiona i szyję, twarz, taką, jaką zachowałam w pamięci, taką, jaką na zawsze chcę zachować w pamięci, jaka była, zanim świat zgasił jej wszystkie światła. Rysuję jej gęste włosy i dołki w policzkach, które robiły jej się za każdym razem, gdy śmiała się swoim niepowtarzalnym śmiechem, jej oczy pełne żaru, szerokie usta, jej wyjątkowy, lekko garbaty nos, jej niepohamowaną radość i jej zaraźliwą bez troskę. Wszystko tu jest. Wszystko znów tu jest. I tylko nie zestarzała się razem z nami. Na zawsze pozostała młoda, bardziej krnąbrna i uparta niż nasze czasy.

Wstaję z ławki. Bolą mnie plecy, wyciągam się, głęboko wzdychając. Wkładam notatnik z rysunkiem do torebki. Słyszę, że miasto się budzi. Gdzieś za ogrodem botanicznym dudni tramwaj i trąbi samochód. Idę naprzeciw tym odgłosom. Zrobiło się jasno.

SŁOWNIK POJĘĆ

Amirani – gruzińska wersja mitu o Prometeuszu.

Babuda – w języku gruzińskim: siostra dziadka.

Bariga – w języku rosyjskim: dealer narkotyków.

Birża – w języku rosyjskim dosłownie: giełda, tu: publiczne miejsce spotkań, w którym starsi oraz młodszy mężczyźni zbierają się, żeby wspólnie obserwować i kontrolować to, co dzieje się w okolicy.

Breżniewowski zastój – wyrażenie określające czasy rządów Leonida Breżniewa w Związku Radzieckim charakteryzujące się stagnacją gospodarki.

Całowanie noża – rytuał w łagrze sowieckim związany ze złamaniem przez wora w zakonie kodeksu honorowego, tu: zdrada, względnie czyn zdrajcy, który w konsekwencji musi ponieść za to karę (przypis uzupełniony przez tłumacza).

Cechowik – w ten sposób nazywano sowieckiego przedsiębiorcę i fabrykanta, który zazwyczaj oprócz oficjalnych fabryk i zakładów prowadził swego rodzaju równoległe przedsiębiorstwo i sprzedawał towary z pominięciem udziału państwa, czyli na czarno, stosując przy tym łapówki.

Czacza – gruzińska grappa.

Deda – w języku gruzińskim: matka.

Dzweli biczebi – w języku gruzińskim dosłownie: stare chłopaki, tu: slangowe określenie chłopaków i mężczyzn, którzy uważali się za przeciwników systemu, zwykle wykazywali skłonności przestępcze i byli uznawani przez państwo za darmozjadów.

Frajer – zapożyczenie z języka niemieckiego: *Freier*, tu: przeciwieństwo złodzieja, lekceważąco: obywatel. Określenie wszystkich nie-złodziei. Frajer jest dla złodziei łatwym łupem. Może być okradany, oszukiwany, wyzyskiwany.

W stosunku do frajera nie obowiązują żadne reguły, ani te państwowe, ani honorowy kodeks przestępczy, regulujący wzajemne relacje między złodziejami.

Gaprindaszwili Nona – gruzińska (wówczas radziecka) szachistka, pierwsza kobieta, która została arcymistrzynią.

Izmajłowskaja – słynna organizacja przestępcza w Rosji, której nazwa pochodzi od dzielnicy Moskwy Izmajłowo.

Kada – ormiański/gruziński słodki deser.

Keci – tradycyjne gliniane naczynie.

Królowa Tamara – królowa Gruzji, na znak wielkiej czci nazywana „królem Tamarą”, w latach 1184–1213 władczyni średniowiecznej Gruzji, która w okresie złotego wieku znajdowała się u szczytu swojej potęgi.

Krysza – w języku rosyjskim dosłownie: dach, tu: w żargonie ulicznym ochrona przez wyższą instancję.

Lisiczka – w języku rosyjskim dosłownie: lisek, popularny scyzoryk.

Lobio – gruzińska potrawka z fasoli.

Marszrutka – mikrobus, popularny w latach pięćdziesiątych XX wieku środek transportu w Gruzji, istniejący do dzisiaj.

Mchedrioni (Sakartwelos Mchedrioni) – w języku gruzińskim: Jeźdźcy (Gruzińscy Jeźdźcy), paramilitarna organizacja założona w 1989 roku przez watażkę i byłego złodzieja w prawie Dżabę Joselianiego, która w 1991 roku brała udział w puczu przeciwko pierwszemu wybranemu w wolnych wyborach prezydentowi Gruzji, Zwiadowi Gamsachurdii. Jednostka ta z czasem zaczęła prowadzić głównie działalność przestępczą, uczestniczyła w wojnach zarówno w Osetii, jak i w Abchazji, i w 1995 roku została zdelegalizowana.

Obrzyn – broń palna z odpiłowaną lufą lub kolbą, tu: nielegalnie zmodyfikowana broń automatyczna (przypis uzupełniony przez tłumacza).

Obszczak – wspólna kasa grupy przestępczej (przypis tłumacza).

Ogród Stelli – niewielki skwer w dzielnicy Sololaki, potocznie nazywany Ogrodem Stelli.

OPs – grupa operacyjna, wysocy rangą funkcjonariusze milicji, nazywani „OPs”, owiani złą sławą ze względu na zuchwałe metody stosowane w celu zapewnienia sobie własnych źródeł dochodu.

Paska – tradycyjna babka wielkanocna, podobna do włoskiego panettone.

Pchali – wybór gruzińskich przystawek z pasty z orzechów włoskich, przyrządzanych także częściowo z dodatkiem bakłażanów, buraczków lub szpinaku.

Pikris Gora – osiedle w Tbilisi, część dzielnicy Were.

Priwiet – w języku rosyjskim: „cześć!”.

Razborka – w języku rosyjskim: spór, wyjaśnienie, tu: spory toczony i rozstrzygane zazwyczaj na ulicy.

Rycerz w tygrysiej skórze – gruziński epos narodowy Szoty Rustawelego (ok. 1172–ok. 1216), gruzińskiego poety i jednego z najbardziej znaczących poetów średniowiecza. Manuskrypt tego eposu dworskiego został wpisany w 2013 roku na Światową Listę Programu UNESCO „Pamięć Świata”.

Sam sobie Bogiem – dosłowne tłumaczenie gruzińskiego: „tawisupleba”, wolność.

Schodka – w języku rosyjskim: zebranie, zgromadzenie, tu: tajne spotkanie gangów złodziei.

Smiena – radziecki aparat fotograficzny.

Strachowka – w języku rosyjskim: zabezpieczenie, asekuracja, ubezpieczenie.

Sucza wojna – zacięte walki w łagrze pomiędzy więźniami współpracującymi z państwem a złodziejami w prawie.

Tamada – mistrz ceremonii na gruzińskim przyjęciu (po gruzińsku: supra), który wznosi toasty i czuwa nad przebiegiem uroczystości.

Tapora – słowo pochodzi z języka rosyjskiego i znaczy: topór, siekiera.

Tone – tradycyjny gliniany piec.

Złodziej w prawie – inaczej z języka rosyjskiego: wor w zakonie, członek grupy przestępczej w łagrze niewspółpracujący z państwem i przestrzegający określonego kodeksu honorowego (przypis tłumacza).

DODATKOWE INFORMACJE

Praca autorki nad niniejszą powieścią została wsparta przez Deutsches Literaturfonds e.V.

Autorka dziękuje także Passa Porta w Brukseli oraz miastu Schwäbisch Hall za stypendium literackie Comburg.

Wykaz cytowanych dzieł:

Terenti Graneli, „Elegia noworoczna”

Julij Kim, „Moskowskije kuchni”

Lado Asatiani, „W Gruzji”

Adaptacje lub przekłady fragmentów powyższych utworów na język niemiecki:

Nino Haratischwili, przekłady z języka niemieckiego: Irena Dębek.

Victor Hugo, *Demain, dès l'aube*, tłum. Eliza Kasprzak-Kozikowska.

Aleksander Puszkina, *Skąpy rycerz*, tłum. Seweryn Pollak, [w:] tenże, *Dzieła wybrane*, t. 4, Warszawa 1954, s. 132.

SPIS TREŚCI:

Karta tytułowa

JEDEN: MY

Tbilisi, 1987

Bruksela, 2019

Podwórko

Dina

Ira

Nene

DWA: PSIE LATA

Leica

Ostatni dzwonek

Kochankowie z Tbilisi

Kogel-mogel

Zoo

Miasto chłopaków

Kolejki

Morze umarłych

Trzy: Heroina

Разборки / Razborki

Miłościwie nam panujący

Surb Sarkis

Nasza impreza

„Znieczul mnie”

Judaszowe srebrniki lub łzy Jezusa

Circulus vitiosus

Cztery: თავისუფლება / Sam sobie Bogiem

Raj

Grzałka

Let the music play

Brakujące światło

Słownik pojęć

Dodatkowe informacje

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Das mangelnde Licht*

© Frankfurter Verlagsanstalt GmbH, Frankfurt am Main 2022

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2022

Copyright © for the translation by Irena Dębek

Tłumaczenie wiersza Demain dès l'aube: Eliza Kasprzak-Kozikowska

Wydawca prowadzący: Ewelina Tondys

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Przyjęcie tłumaczenia, adiuścacja, korekta i łamanie: Pracownia 12A

Projekt okładki: Magda Kuc (front), Monika Drobnik-Słocińska

Ilustracje na okładce: portret kobiety – Sarah Jarrett / Arcangel,

widok Tbilisi – Ozbalci / iStock by Getty Images

ISBN 978-83-8135-712-8



OTWARTE

www.otwarte.eu

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek